

Nie robiąc nic, też można stać po stronie zła - mówi Sarah Lund

DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

NA MOTYWACH ORYGINALNEGO SCENARIUSZA
SØRENA SVEISTRUPA
- NAILEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ
OSTATNICH LAT - SERIAŁU

THE KILLING



Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Podziękowania_

Główni bohaterowie_

Rozdział 1_

Rozdział 2_

Rozdział 3_

Rozdział 4_

Rozdział 5_

Rozdział 6_

Rozdział 7_

Rozdział 8_

Rozdział 9_

Rozdział 10_

Siedemnaście dni później_

Karta redakcyjna

DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

NA MOTYWACH SCENARIUSZA
SERIALU TELEWIZYJNEGO
SØRENA SVEISTRUPA

THE KILLING

ZDOBYWCY NAGRODY BAFTA

3

Przełożyła
EWA PENKSYK-KLUZKOWSKA

WYDAWNICTWO MARGINESY

Copyright © David Hewson 2014

Based on Søren Svestrup's FORBRYDELSEN III (THE KILLING season 3) – an original Danish Broadcasting Corporation TV series co-written by Torleif Hoppe, Michael W. Horsten

The right of David Hewson to be identified as the author of this work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Copyright © for the translation by Ewa Penksyk-Kluczkowska
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2014

PODZIĘKOWANIA_

Jestem wdzięczny Sørenowi Svestrupowi, twórcy serialu, i swojej wydawcy Trishy Jackson za zrozumienie i wsparcie. Po raz kolejny zaznaczam: to adaptacja opowieści telewizyjnej, a nie zapis scena po scenie. Wszelkie zmiany są wyłącznie moim dziełem.

David Hewson

GŁÓWNI BOHATEROWIE_

KOPENHASKA POLICJA_

Sarah Lund – podkomisarz policji, Wydział Zabójstw

Lennart Brix – szef Wydziału Zabójstw

Mathias Borch – dochodzeniowiec, Politiets Efterretningstjeneste (PET),
Agencji Wywiadowczej Narodowego Bezpieczeństwa Wewnętrznego,
niezależnego wydziału służb policyjnych

Ruth Hedeby – zastępca komendanta policji

Tage Steiner – prawnik od spraw wewnętrznych

Asbjørn Juncker – detektyw, Wydział Zabójstw

Madsen – detektyw, Wydział Zabójstw

Dyhring – szef PET

ŚWIAT POLITYKI_

Troels Hartmann – premier, szef Stronnictwa Liberalnego

Rosa Lebech – szefowa Partii Centrum

Anders Ussing – przywódca Partii Socjalistycznej

Morten Weber – doradca polityczny Troelsa Hartmanna

Karen Nebel – rzecznik prasowy Troelsa Hartmanna

Birgit Eggert – minister finansów

Mogens Rank – minister sprawiedliwości

Kristoffer Seifert – były pracownik sztabu Partii Socjalistycznej

Per Monrad – szef kampanii wyborczej Andersa Ussinga

ZEELAND_

Robert Zeuthen – dziedzic Zeelanda, imperium przemysłowego

Maja Zeuthen – żona Roberta, obecnie w separacji

Niels Reinhardt – asystent Roberta Zeuthena

Emilie Zeuthen – córka Zeuthena, lat 9

Carl Zeuthen – syn Zeuthena, lat 6

Kornerup – prezes zarządu Zeelanda

POZOSTAŁE OSOBY_

Vibeke – matka Lund

Mark – syn Lund

Eva Lauersen – dziewczyna Marka

Carsten Lassen – lekarz pracujący w szpitalu uniwersyteckim

Peter Schultz – zastępca prokuratora

Lis Vissenbjerg – patomorfolog w szpitalu uniwersyteckim

Nicolaj Overgaard – były policjant z Jutlandii

Louise Hjelby – dziewczynka z Jutlandii

**ŚRODA_
9 LISTOPADA_**

Zawsze przydzielali jej młodych. Ten akurat nazywał się Asbjørn Juncker, miał dwadzieścia trzy lata, właśnie odbył staż i został detektywem. Teraz z entuzjazmem przetrząsał wraki samochodów na zapuszczonym złomowisku na skraju doków.

– Tu jest ręka! – krzyknął, obchodząc rdzewiejącą skorupę dawno zmarłego volkswagena garbusa. – Ręka!

Madsen dowodził ekipą przeczesującą teren. Zerknął na Lund i westchnął. Asbjørn pojawił się w Politigården wprost z prowincji dzisiaj rano, z przydziałem do Wydziału Zabójstw. Kwadrans później, gdy Lund półuchem słuchała wiadomości – o kryzysie finansowym i zbliżających się znów wyborach parlamentarnych – zadzwonili ze złomowiska, że znaleźli ciało. A w zasadzie części ciała rozrzucone po całym terenie. Prawdopodobnie jakiś menel z pobliskiego obozowiska na nieczynnym nabrzeżu. Sforsował ogrodzenie, by coś ukraść, a potem zasnął w samochodzie. Zginął, gdy wrak trafił do chwytaka jednego z wielkich żurawi.

– Ciekawe miejsce na drzemkę – powiedział Madsen. – Chwytnak przeciął go na pół. Potem, zdaje się, został pocięty trochę drobniej.

Operator dźwigu pewnie zakrztusił się kawą, widząc, co się dzieje.

Jesień powoli opuszczała Kopenhagę, pogoniana przez zimę, która czekała na swoją kolej. Szare niebo. Szara ziemia. Szara woda z szarym statkiem stojącym nieruchomo kilkaset metrów od brzegu.

Lund nie znosiła tego miejsca. Kiedyś, przy okazji sprawy Birk Larsen, przyjechała tutaj szukać magazynu należącego do ojca zamordowanej dziewczyny. Teraz Theis Birk Larsen właśnie wyszedł z więzienia, gdzie odsiedział wyrok za zabicie człowieka, który jego zdaniem zamordował mu córkę. Słyszała, że wraca do przeprowadzek. Jan Meyer, jej były partner postrzelony w czasie śledztwa, nadal był inwalidą; pracował dla organizacji dobroczynnej niepełnosprawnych. Nie zbliżała się do niego ani do Birk Larsenów, chociaż sprawa wciąż nie dawała jej spokoju.

Spojrzała ponad ponurą wodą na stojący na kotwicy statek. Nieustannie krążyły wokół niej duchy, czasami coś poszeptując. Teraz też je słyszała.

– Nie zamierzasz chyba przyjąć tej posady w OPA, co? – spytał Madsen.

Politigården zawsze trzęsa się od plotek. W sumie wiadomo było, że to wycieknie.

– Dzisiaj dostaję medal za dwadzieścia pięć lat służby. Nie da się spędzić całego życia na mrozie, patrząc na poćwiartowane zwłoki.

– Brix nie chce cię stracić. Czasami jesteś potwornie upierdliwa, ale nikt nie chce. Lund...

– Co? – jęknął Juncker, gramoląc się przez wraki. – Będziesz całymi dniami liczyła spinacze?

OPA – Wydział Operacji, Planowania i Analiz – zajmował się nie tylko liczeniem spinaczy, ale nie chciało się jej o tym mówić. Coś w Junckerze przypominało jej Meyera. Tupet. Odstające uszy. I osobliwa, urażona niewinność.

– Powiedziano mi, że będę pracować z kimś dobrym... – zaczął młody policjant.

– Zamknij się, Asbjørn – przerwał mu Madsen. – Już to robisz.

– I chciałbym, żeby mówiono do mnie Juncker, nie Asbjørn. Wszyscy tu zwracacie się do siebie po nazwisku.

Znaleźli dotąd sześć części półnagiego ciała mężczyzny w średnim wieku. Ta przyniesiona przez Junckera była siódma.

Obok volkswagena stała stara taczka. Lund spytała szefa złomowiska o jej cenę. Trochę zaskoczony szybko jej jakąś podał. Wręczyła mu kilka banknotów i poprosiła Junkcera, by wsadził zakup do bagażnika jej wozu.

Wziął się pod boki.

– Spójrzy ktoś na moją rękę czy nie?

Drażliwy młodzieniec. Lund powoli się do niego przyzwyczajała. Dzisiaj wieczorem miał na kolację przyjść Mark ze swoją dziewczyną. Pierwsza wizyta w jej nowym domu, maleńkiej drewnianej chatce na obrzeżach miasta. Zastanawiała się, czy jej syn da radę, czy znajdzie kolejną wymówkę.

Juncker skinął na fotografa robiącego teraz zdjęcia w miejscu, skąd właśnie wrócił, po czym podniósł w górę palec jak chłopiec wyliczający kolejne punkty z listy.

– Nie ma dokumentów. Ale ma złotą obrączkę i kilka tatuaży. A także pomarszczoną skórę, jakby leżał w wodzie. – Wskazał bezbarwny, apatyczny port. – Tam.

Lund spojrzała na człowieka od złomu, potem na opuszczony teren za pobliskim murem.

– To były kiedyś magazyny – powiedziała. – A teraz co to jest?

Miał smutną, inteligentną twarz. Zaskakującą w takim miejscu.

– To był jeden z głównych terminali Zeelanda. Magazyny były tylko ukłonem w stronę maluczkich. – Wzruszył ramionami. – Niewielu już maluczkich. I mało kontenerów tu trafia. Większość zamknęli, gdy przyszedł kryzys. Z dnia na dzień poszło na bruk prawie tysiąc ludzi. Kiedyś kierowałem załadunkiem. Pracowałem tam, odkąd skończyłem szkołę...

Niechętnie o tym mówił. Zataszczył więc taczkę do samochodu Lund, otworzył bagażnik i położył ją obok kilku krzewów różanych w donicach.

– Leżał w wodzie. Ma tatuaże – powtórzył Juncker. – A na ramieniu ślady jak po nożu.

Na pobliskim parkingu starej stoczni powstało obozowisko bezdomnych – jakieś bezładne konstrukcje z blachy falistej, rdzewiejące ciężarówki i przyczepy kempingowe. W czasach, gdy tropiła mordercę Nanny Birk Larsen, jeszcze go nie było.

– To włóczęga, który się tu przyszwendał, szukając łatwego łupu – wtrącił Madsen. – Zrobimy zdjęcia. Możesz spróbować napisać raport, jeśli chcesz. Sprawdzę go.

To się Junckerowi zupełnie nie podobało.

– Będą kłopoty, jeśli ktoś uzna, że się tu obijamy – powiedział.

– Dlaczego? – spytała Lund.

– Politycy nadciągają. – Ruchem głowy wskazał kierownika złomowiska, który przyglądał się bacznie roślinom Lund, na pozór niewzruszony. – On mi powiedział. Mają sesję zdjęciową z tymi wszystkimi bezdomnymi.

– Bezdomni nie mają praw wyborczych – burknął Madsen.

– Nie mają też złotych obrączek – zauważył Juncker. – Słyszeliście, co powiedziałem? Grube ryby jadą pogadać z sierotami po stoczni. Ma być nawet Troels Hartmann. Za godzinę.

Duchy.

Właśnie przypomniał o sobie następny. Hartmann – podejrzany w sprawie Birk Larsen, człowiek, który przez ambicję i arogancję niemal zniszczył sobie karierę. Meyer mówił o nim „chłopiec z plakatu”. Teflonowy przystojniak kopenhaskiej polityki. Gdy tylko został oczyszczony z podejrzeń, odniósł niewiarygodne zwycięstwo w wyborach na burmistrza. Dwa i pół roku później, po kampanii zdominowanej przez gorzkie słowa o upadającej gospodarce, okazał się zwycięzcą w wyborach parlamentarnych, został premierem z ramienia Stronnictwa Liberalnego i szefem nowej koalicji.

– Hartmann brał udział w tej twojej wielkiej sprawie – dodał Juncker. – Pamiętam.

Można by pomyśleć, że to było wczoraj.

– Pracowałeś już wtedy? – spytała bez namysłu.

Asbjørn Juncker roześmiał się głośno.

– Pracowałem? To było wieki temu. Czytałem o tym w szkole. Jak sądzisz, dlaczego wstąpiłem do policji? To chyba...

– Sześć lat – wtrącił Madsen. – Ni mniej, ni więcej.

Długich lat, pomyślała Lund. Niedługo będzie obchodzić czterdzieste piąte urodziny. Miała własne, niewielkie cztery kąty. Nudne, proste, klasztorne życie. Musiała odbudować relacje z synem. Nie potrzebowała gorzkich wspomnień z przeszłości. Ani świeżych koszmarów na przyszłość.

Powiedziała Madsenowi, żeby dalej szukał i dopilnował, by nic nie przeciekło do mediów ani nadjeżdżającego cyrku politycznego. Następnie pojechała do Politigården – z małym drzewkiem laurowym podskakującym na podłodze przed fotelem pasażera – przebrała się w mundur, niebieską koszulę, granatową kurtkę, i patrzyła na innych, którzy podobnie jak ona

przybywali tu po medale za wieloletnią służbę. Wydawali się Lund o wiele starsi od niej.

Przyszedł Brix, by pogłębzić o jej posiadzie w OPA.

– Jesteś mi potrzebna tutaj. – Szef Wydziału Zabójstw, wysoki mężczyzna o poważnej, szczupłej twarzy, zmierzył ją spojrzeniem. – Nie wyglądasz dobrze w tym stroju.

– Mój strój, moja sprawa. Dasz mi dobre referencje? – Bardzo ją to niepokoiło. – Wiem, że niektóre sprawy z przeszłości im się nie spodobają. Nie musisz się nad nimi rozwodzić.

– OPA to miejsce, gdzie można w spokoju doczekać emerytury. Dla tych, którzy już sobie odpuścili. Ty nigdy...

– Tak. Wiem.

Mruknął coś, czego Lund nie dosłyszała. A głośniejsze dodał:

– Masz źle zawiązany krawat.

Lund zaczęła poprawiać węzeł. Brix – jak zawsze w nieskazitelnym markowym garniturze, świeżo wyprasowanej koszuli – chodząca doskonałość. Im bardziej się jej przyglądał, tym krawat bardziej nie chciał dobrze leżeć.

– Czekaj – powiedział i w końcu zrobił to za nią. – Pogadam z nimi. Popełniasz błąd. Wiesz o tym?

Drakkar – posępny zamek z czerwonej cegły – był kiedyś pałacem myśliwskim mniej znaczących członków rodziny królewskiej. Potem kupił go dziadek Roberta Zeuthena, powiększył i nadał swojemu dziełu nazwę na cześć smoczodziobych langskipów wikingów. Człowiek oddany idei założenia dynastii uwielbiał swoją twierdzę w głębi lasu, jej przerysowane blanki i rozległe wypiełgnowane tereny biegnące do dzikich leśnych ostępów i morza. I zdobny rzygacz, który zamontował od strony morza,

w kształcie zwycięskiego smoka, symbol firmy, pod którą położył podwaliny.

Ocean zawsze był bliski myślom twórcy Zeelanda. Zaczawszy jeszcze w XIX wieku, Zeuthen przeobraził niewielką rodzinną firmę przewozową w międzynarodowe imperium z flotyllą liczącą tysiące statków. Hans, ojciec Roberta, gdy odziedziczył firmę, też stawiał na rozwój i ekspansję. Finanse i firmy informatyczne, działalność doradcza, hotele i biura podróży, nawet krajowa sieć domów towarowych także działały pod logo Zeelanda: trzy fale pod smokiem Drakkara.

Zanim Hans Zeuthen umarł, a stało to się niedługo przed objęciem przez Troelsa Hartmanna urzędu premiera, jego rodzina dorobiła się stałej pozycji w życiu społecznym kraju, w rzeczywistości gospodarczej i politycznej. I wtedy firma nominalnie trafiła w ręce jego syna, głównego właściciela i przewodniczącego rady nadzorczej korporacji.

Robert, trzecie pokolenie przedsiębiorców, był ulepiony z zupełnie innej gliny. Spokojny, introwertyczny czterdziestolatek chodził właśnie po lesie okalającym rodzinną posiadłość, szukając swojej dziewięcioletniej córki Emilie.

Gęsty las, nagi zimą. Zeuthen dziarskim krokiem szedł między drzewami po dywanie brązowych jesiennych liści, wołając córkę. Głośno, ale bez złości. Objęcie tronu Zeelanda nie obyło się bez kosztów. Półtora roku temu odeszła od niego żona, Maja.

Właśnie się rozwodzili. Od jakiegoś czasu mieszkała z lekarzem z największego szpitala w mieście, a Zeuthen odgrywał rolę samotnego ojca, zajmując się Emilie i jej sześciolatnim bratem Carlem – na tyle, na ile pozwalała mu umowa separacyjna i nieustanna praca.

Hans Zeuthen przeżył okres wzrostu gospodarczego i prosperity. Jego syn nie doświadczył ani jednego, ani drugiego. Recesja i porażki biznesowe

mocno osłabiły kondycję Zeelanda. Firma od czterech lat zwalniała pracowników i nadal nic nie zapowiadało poprawy sytuacji. Sprzedano kilka spółek zależnych, inne po prostu zamknięto. Rada nadzorcza się niepokoiła. Inwestorzy wprost wyrażali wątpliwość, czy aby na pewno losy przedsiębiorstwa powierzono właściwej osobie.

Robert Zeuthen zastanawiał się, czego jeszcze oczekiwali. Krwi? Za kryzys zapłacił małżeństwem. Bezcenną więzią rodzinną. Nic innego już oddać nie mógł.

– Emilie? – krzyknął znowu.

– Tato. – Carl podszedł do niego cicho, ciągnąc swojego dinozaura. – Dlaczego Dinuś już nie mówi?

Zeuthen skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył na syna.

– Może dlatego, że wypuściłeś go z okna swojego pokoju? Żeby sprawdzić, czy umie latać?

– Nie umie – skwitował Carl z niewinną miną.

Ojciec zmierzwił malcowi włosy i pokiwał głową. Potem znowu zawołał córkę. Jeszcze jeden dzień i dzieci wrócą do matki. Znowu będzie musiał pożegnać wszystko, co miał najlepszego. Również Maję.

Spomiędzy drzew wypadła rozpędzona postać. Niebieski płaszczyk, różowe kalosze, jej nogi frunęły w powietrzu podobnie jak blond włosy. Emilie Zeuthen pędziła ku niemu ile sił, aż rzuciła mu się na szyję z szeroko rozłożonymi rękami i figlarnie roześmianą śliczną buzią.

Tak jak zawsze niemal od chwili, gdy nauczyła się chodzić.

Czyli: złap mnie, tatusiu. Złap mnie.

I złapał.

Kiedy przestał się śmiać, pocałował jej zimny policzek i powiedział:

– Pewnego dnia cię nie złapię, córeczko. I spadniesz.

– Nieprawda, złapiesz mnie.

Miała taki jasny, przenikliwy głos. Bystre dziecko. Dojrzałe ponad wiek. Emilie przysparzała Carlowi kłopotów. Podobnie jak służbie Drakkara, chociaż nie kochali jej przez to mniej.

– Złapiesz, złapiesz – powtórzył Carl i wziął dinozaura, by dla zabawy ugryźć go w nogę.

– Kiedy będę miała kotka? – spytała Emilie, obejmując go za szyję i wpatrując się w niego intensywnie niebieskimi oczyma.

– Gdzie byłaś?

– Na spacerze. Obiecałeś.

– Powiedziałem, że będziesz mogła mieć zwierzątko. Każde, tylko nie kotka. Muszę porozmawiać o tym z mamą. Między nami...

Twarz jej zmarkotniała. Carlowi też. Zeuthen nigdy sobie nie wyobrażał, że straci Maję; i ich dwoje trochę także. Nie miał pojęcia, co im powiedzieć na pocieszenie. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa.

Wziął więc dzieci za rękę i powoli poszli razem do domu – Carl po jego lewej stronie, Emilie po prawej.

Niels Reinhardt czekał na podjeździe w swoim czarnym mercedesie. Jeszcze jedna spuścizna po zmarłym ojcu. Reinhardt był asystentem rodziny, łącznikiem pomiędzy Zeuthenami a radą nadzorczą; od zawsze, czyli jeszcze w czasach, gdy Robert sam był dzieckiem, załatwiał wiele spraw, nawet nadzwyczaj trudnych i wymagających kontaktów towarzyskich. Teraz miał sześćdziesiąt cztery lata; był wysoki i sympatyczny, zawsze pod krawatem, zawsze gotów pełnić obowiązki.

W rękę trzymał gazetę. Zeuthen już widział artykuł. Pisali, że Zeeland nie dotrzyma obietnic złożonych rządowi Hartmanna i przeniesie swą siedzibę poza granice Danii.

– Skąd wzięli te kłamstwa? – spytał Zeuthen.

– Nie wiem – odparł Reinhardt. – Poinformowałem radę nadzorczą, że chcesz natychmiast zwołać zebranie. Ludzie Hartmanna szaleją. Oczywiście dostają zapytania od prasy.

Robert dostrzegł Maję stojącą na schodach prowadzących do domu. W zielonym skafandrze i džinsach. Poznali się na studiach. Zakochali prawie natychmiast, tak jakoś naturalnie. Nie wiedziała wcześniej, kim jest, a gdy się dowiedziała, nie bardzo się tym przejęła. Był sztywnym i nieśmiałym bogatym chłopcem. A ona była piękną blondynką, córką uroczych hipisów, którzy prowadzili gospodarstwo ekologiczne na Fionii.

W zasadzie nigdy się nie kłócili; dopiero gdy zmarł jego ojciec, a okoliczności zmusiły go do przejęcia steru Zeelanda...

Maja zeszła po schodach. Twarz, którą kiedyś pokochał, przesłoniły gniew i uraza.

Reinhardt, obdarzony świetnym wyczuciem, wziął dzieci za rękę, powiedział coś o poszukaniu suchych butów i wprowadził je do domu.

– Co to jest? – spytała, wyciągając z kieszeni kurtki złożoną kartkę.

Były na niej zdjęcia pręgowanego kociaka. Czyjeś rączki głaszczące jego futerko. Na jednym zdjęciu Emilie przytuliła stworzonko do brzucha, promiennie uśmiechając się do obiektywu.

Zeuthen pokręcił głową.

– Byłam w szkole, Robercie! Ona w zeszłym tygodniu zachowywała się bardzo dziwnie. Nie rozmawiała ze mną. Jakby miała jakiś sekret.

– Ja bym powiedział, że nic jej nie jest.

– Skąd wiesz? Ile czasu z nią spędzasz, gdy jest u ciebie?

– Tyle, ile mogę – odparł i nie kłamał. – Powiedziałem jej, że nie może mieć kota...

– Skąd więc go wzięła? Ma alergię na koty.

– Kiedy dzieci są ze mną, każdą godzinę spędzają pod nadzorem, bez względu na to, czy jestem obecny, czy nie. Wiesz przecież. Może spytasz swoją matkę? Nie musiałaś tu przyjeżdżać z tą sprawą. Mogłaś zadzwonić.

– Przyjechałam, żeby je zabrać.

– Nie – odrzekł Zeuthen. – Mamy plan opieki. Do ciebie wracają jutro. I ja je odwiozę.

Reinhardt z dziećmi wrócili do nich. Niels wyglądał, jakby miał coś ważnego do przekazania. Zeuthen podszedł do niego czym prędzej. Ludzie Hartmanna domagali się oświadczenia. Rada nadzorcza miała się zebrać w ciągu godziny.

– W dokach, nieopodal naszego obiektu, znaleziono ciało – dodał.

– Ktoś z naszych ludzi?

– Nic na to nie wskazuje, Robercie.

To się stało tak szybko, że Zeuthen nic nie zdążył zrobić. Maja minęła go, podeszła do córki i wzięła ją za rękę.

– Powiedz mi wszystko o tym kocie – zażądała stanowczo.

Dziewczynka próbowała się cofnąć.

– Emilie! – wrzasnęła Maja. – To ważne!

Zeuthen pochylił się i wyjaśnił łagodnie:

– Mama musi wiedzieć. Ja też. Czyj to kot? No?

Nagle ubyło jej lat. Znowu stała się niepewnym, przebiegłym dzieckiem. Nic nie powiedziała. Siłowała się z matką, gdy ta podciągała rękawy jej niebieskiego płaszczyka.

Czerwona skóra, obrzmiała i spuchnięta.

Podniosła dziewczynce sweter. Na brzuchu zobaczyła równie wyraźne ślady.

– Tu jest kot – warknęła Maja. – W co ty, do diabła, grasz? Zabieram ją do szpitala.

Dopóki w ich małżeństwie nie zaczęło się psuć, nie miał okazji poznać jej wybuchowego usposobienia. A teraz proszę, znowu się prezentowało w całej okazałości: głośne i napastliwe.

Carl zasłonił uszy rączkami. Emilie stała sztywna i milcząca, z poczuciem winy. Reinhardt powiedział coś o przełożeniu spotkania rady nadzorczej, ale Zeuthen go nie słuchał.

Obowiązki. One nigdy nie odpuszczają.

Zeuthen przykucnął, spojrzał córce w oczy.

– Gdzie jest ten kot, Emilie? – spytał. – Powiedz, proszę...

– To już chyba nieistotne, prawda? – krzyknęła Maja. – Później to załatwię. Teraz ona jedzie do szpitala...

Emilie Zeuthen zaczęła płakać.

Troels Hartmann lubił okres kampanii wyborczej. Zwłaszcza jeśli za przeciwnika miał lewicowego gadułę w rodzaju Andersa Ussinga. Świat duńskiej polityki był kotłującą się mieszaniną małych partii walczących o prawo do zawierania sojuszu z przeciwnikami i zdobywania niewielkiej władzy dla siebie. W obecnym układzie jedynie liberałowie Hartmanna i socjaliści Ussinga mieli szansę zdobyć liczbę głosów niezbędną do obsadzenia stołka premiera.

Ich słupek w sondażach miały podobną wysokość. Jedno potknięcie mogło bez trudu podbić wynik przeciwnika. Potknięcia jednak, zdaniem Hartmanna, bardziej można by się spodziewać po krzykaczu Ussingu niż po nim, uważnie prowadzonym przez doradców. Morten Weber, przebiegły organizator kampanii, który kiedyś zapewnił mu stołek burmistrza Kopenhagi, podążył za nim do Christiansborgu. Skaptował Karen Nebel, zręczną doradczynię do spraw mediów, która wcześniej zajmowała się tematami politycznymi w jednej z państwowych stacji telewizyjnych. Tak

dobrej ekipy Hartmann nie miał jeszcze nigdy. A w dodatku w rękawie chował kilka asów, chociaż słuchając Ussinga próbującego podburzyć ludzi przybyłych na wiec w zapuszczonym terminalu Zeelanda, zastanawiał się, czy w ogóle będą mu potrzebne.

Jak na każdym zebraniu w zakładzie przemysłowym: urzędniczki, grupka krzepkich dokerów w kaskach, paru marynarzy – niewielu naprawdę zainteresowanych polityką, ale zawsze chętnych do przerwy w pracy. Podium zainstalowano na pace pick-upu, obok dwóch lśniących beczek w otwartym hangarze pod przerdzewiałym dachem. Ekipy telewizyjne ustawiono z przodu, za nimi łukiem usadzono reporterów wiadomości.

Ussing recytował tę samą starą śpiewkę, którą powtarzał od początku swej kampanii.

– Ten rząd skazuje na śmierć głodową zwyczajnych obywateli Danii, by napęlić kieszenie bogaczy, którzy go finansują.

Hartmann patrzył prosto w kamery telewizyjne, uśmiechał się i kręcił głową.

– A dzisiaj – grzmiał Ussing, jak przystało na szefa związków zawodowych, którym kiedyś był – zobaczmy, co dała nam słabość Hartmanna.

Podniósł w górę poranną gazetę z nagłówkiem o Zeelandzie porzucającym kraj dla nowej niskopodatkowej bazy na Dalekim Wschodzie.

– Do eksodusu dołącza właśnie jeden z naszych największych pracodawców. Podczas gdy Hartmann wciska nam ustawę, oni przenoszą miejsca pracy do Azji.

Pomruk aprobaty. Poruszenie wśród białych kasków. Hartmann podniósł mikrofon.

– Dobra polityka przemysłowa jest dobra dla wszystkich, Anders. Jeśli Zeeland będzie zadowolony, zatrudni więcej Duńczyków...

– Już nie! – wrzasnął Ussing, uderzając gazetą. – Przymykałeś oczy na ich monopole. Podlizywałeś się im przywilejami podatkowymi i dotacjami naftowymi...

Do roboty ruszyli podżegacze. Nagrodzono go paroma wiwatami i pojedynczymi oklaskami.

– Jedyne podlizywanie, jakie tu widzę, to twoje – przerwał Hartmann. – Gładkie słowa. Nieodpowiedzialne. Mamy ci uwierzyć, że problem zniknie za sprawą kilku słodkich słów, gdy tymczasem będziesz cichaczem sięgał do kieszeni zwyczajnych Duńczyków i pozbawiał ich resztek pieniędzy.

Hartmann potoczył wzrokiem po zebranych. Stali cicho. Słuchali.

– Wiem, że to trudne. Zbyt długo czytamy o zwolnieniach i bankructwach. O ulatniających się bez śladu osobistych oszczędnościach. – Długa chwila ciszy. Czekali. – Gdybym miał czarodziejską różdżkę, czy bym jej nie użył? Taka jest rzeczywistość. Nie tylko w Danii. Wszędzie. Wybór, którego macie dokonać, jest prosty. Czy rozwiązujemy te problemy teraz? Czy przekazujemy ten bałagan swoim dzieciom?

Wskazał na mocno zbudowanego rudego mężczyznę obok.

– Jeśli chcecie się uchylić od odpowiedzialności, głosujcie na Andersa Ussinga. Jeśli macie odwagę ją dźwigać, wybierzcie mnie.

Spodobało im się. Ussing wziął do ręki mikrofon.

– Zatem kiedy Zeeland biadoli w gazetach, że musi przenieść siedzibę, ty dasz im więcej pieniędzy? Tak, Troels? Tak to widzisz? Kolejna łapówka dla twoich kumpli....

– Jeśli zapewnimy przedsiębiorstwom odpowiednie warunki rozwoju, sprzyjający klimat, miejsca pracy zostaną w kraju – odparł stanowczo Hartmann. – Nasza polityka przemysłowa stawia na rozwój. Ale są pewne

ograniczenia. Siedzimy w tym razem. Każdy musi coś wnieść, bo każdego dotyczą te problemy. Również Zeelanda. – Położył rękę na sercu i powtórzył ostatnie słowa: – Również Zeelanda.

Gdy wychodził, zebrani klaskali. Karen Nebel była wyraźnie niezadowolona.

– Prosiłam wyraźnie – powiedziała, gdy szli do samochodu – żebyś trzymał się z dala od sprawy Zeelanda.

– Co miałem zrobić? Przycisnął mnie. Nie mogę ignorować takich pytań. Zeeland musi złożyć oświadczenie, zdementować doniesienia tego artykułu.

Była wysoką blondynką o włosach zaczesanych do tyłu i napiętej, pomarszczonej twarzy. Czasami snuła intrygi, ale radził sobie z tym.

– Złożę oświadczenie, prawda, Karen?

– Ciągłe zostawiam wiadomości. Nikt nie oddzwania. Myślę, że coś jest na rzeczy.

– Wyciągnij to z nich – rozkazał. – Mamy właśnie klepnąć umowę z ludźmi Rosy Lebech. Nie chcę, by cokolwiek stanęło nam na drodze.

Skrzywiła się na wzmiankę o przewodniczącej Partii Centrum.

– Tu obok jest obozowisko bezdomnych – powiedziała. – Umówiłam tam spotkanie.

– Jeśli mogę z kimś pogadać, to OK. Sama sesja zdjęciowa mnie nie interesuje.

Dotarli do samochodu. Ona otworzyła mu drzwi.

– Troels. To są bezdomni. Zdjęcia to jedyny powód, dla którego tu jesteśmy.

Zadzwoił telefon Hartmanna. Zerknął na numer i odszedł, by porozmawiać na stronie.

– Właśnie widziałam cię w telewizji, skarbie. Gdybym nie przewodziła innej partii, miałbyś mój głos.

– I tak poproszę – odparł Hartmann. – Musimy dopiąć umowę, Roso. A potem muszę się z tobą spotkać. W jakimś ustronnym miejscu. – Rozejrzał się dla pewności, że nikt go nie słyszy. – Z wielkim mosiężnym łóżkiem.

– O Boże. I z twoimi płytami Dylana.

– Najpierw umowa.

– Poprzemy twoją kandydaturę na stanowisko premiera. Ale musimy wiedzieć, że panujesz nad Zeelandem.

Roześmiał się.

– Chyba nie wierzysz Ussingowi, co? Ani temu, co dzisiaj napisał ten durny szmatławiec?

– Później o tym pogadamy – odparła Rosa Lebech.

I rozłączyła się.

Nim zdążył uporządkować myśli, podeszła Karen Nebel z informacją, że odwołała wizytę w obozowisku bezdomnych. Towarzyszył jej człowiek z ochrony. Powiedział, że tuż obok znaleziono zwłoki.

– Zdaniem PET może wystąpić jakieś zagrożenie. Zawiódł system zabezpieczeń czy coś. Uważają, że...

– Nie dostarczę Ussingowi kolejnej partii amunicji – przerwał jej Hartmann. – Wpisz to na dzisiaj, później. Chyba że PET znajdzie coś konkretnego.

– Kto dzwonił?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Mój stomatolog – odparł. – Zapomniałem o wizycie. – Wzruszył ramionami i zaprezentował uroczy uśmiech Hartmanna. – Wybory. Ciągłe w czymś przeszkadzają.

W krawacie było jej niewygodnie. Koszula pamiętała lepsze czasy. Brix zorganizował całą ceremonię i nie wiedzieć po co ściągnął policyjną orkiestrę dętą. Stali w kacie, dysząc i dmuchając w trąbki; hałasowali niczym banda pijanych słoni.

Próbowała być grzeczna, słuchając kombatanckich opowieści snuty przez starego policjanta z prowincji, czekała, aż zacznie się ceremonia. Nagle zadzwoniła jej komórka.

Lund odeszła, by ją odebrać.

– Mówi Juncker. Ciągłe jestem w porcie.

– Cześć, Asbjørn.

Milczał chwilę.

– Technicy rzucili okiem na szczątki – rzekł wreszcie. – Są pewni, że to zabójstwo. Ten człowiek nie żył w chwili, gdy chwycił go dźwig. Zatłuczono go młotkiem do wyciągania gwoździ. Wygląda na to, że facet zszedł ze statku i koleś dopadł go na złomowisku. Potem wepchnął go do tego wraku. Rozmawialiśmy z tutejszymi bezdomnymi. O niczym nie mają pojęcia. W Zeelandzie też nie wiedzą o żadnym zaginięciu.

– I tyle?

– Ktoś widział w pobliżu ślizgacz. Sądzi, że goni fokę.

– Po co ktoś by miał gonić fokę? – spytała, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz.

– Strażnicy przybrzeżni mówili, że odebrali połączenie około drugiej trzydzieści w nocy, ale je przerwano. Nie wiedzą, kto dzwonił. Niedługo później w pobliżu złomowiska krążyła ta wyścigówka.

Lund zadała oczywiste pytanie:

– Czy ze stojących w pobliżu statków wpłynęło zgłoszenie o zaginięciu marynarza?

Juncker odrzekł, że nie.

– Pewnie już wyszedł z portu – powiedziała. – Musisz zebrać dane o ruchach statków.

– Jakich ruchach? Tę część portu Zeeland w zasadzie zamknął. I jeszcze jedno... – urwał na chwilę, jakby szukał ustronnego miejsca – koleisie z PET tu węszą. Co oni mają wspólnego z tą sprawą?

– Wszystko w porządku, Asbjørn. To też ludzie.

– Nigdy nie będziesz do mnie mówić Juncker, co?

– Pogadaj z Madsenem. Zrób, co ci każe. Ja jestem zajęta...

– Jeden facet z PET chce z tobą zamienić słowo. Niejaki Borch. Odniosłem wrażenie, że cię zna. Już podchodzi.

Lund nic nie powiedziała.

– Halo?! – spytał Juncker po drugiej stronie. – Jesteś tam?

– Pogadaj z Madsenem – powtórzyła Lund, skończyła rozmowę, popatrzyła na długi korytarz, zastanowiła się, ile jeszcze duchów wypełźnie z cienia.

Nie miała pojęcia, czym Mathias Borch się teraz zajmuje. Domyślała się, że czymś ważnym. Był bystry, udowodnił to, kiedy się poznali, ponad dwadzieścia lat temu, jeszcze w szkole policyjnej. Teraz wyglądał na nieco podłamanego i zmęczonego. Ale wciąż nie był łysy, włosy miał jak zwykle nieuczesane i pomarszczoną twarz młodego bokserka.

Pieseczek.

Tak się do niego kiedyś zwracała. Na to wspomnienie musiała się oczywiście zarumienić akurat w chwili, gdy podszedł, nie uśmiechając się, a nawet nie patrząc jej w oczy.

– Sarah... – powiedział. – Musimy pogadać. O zwłokach w porcie. Ten młody od was mówi...

– Cicho. – Lund podniosła dłoń. Następnie wskazała drzwi. Brix właśnie zaczynał przemowę. Słyszała, jak podkreśla siłę korpusu i że jego integralność leży u podstaw sprawiedliwości i bezpieczeństwa Kopenhagi.

– Milion razy to wszystko słyszałem – burknął Mathias. – Mam ważną...
Lund zaklęła pod nosem i zabrała go do kuchni.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w takim dniu – powiedział. – To znaczy wiesz... gratulacje i tak dalej.

– Nie przesadzaj.

– Dobrze wyglądasz. Naprawdę. A jak się czujesz?

– Czego chcesz?

– Jestem zaangażowany w tę sprawę. Muszę wiedzieć, co znaleźliście.

– Nic. Nie mamy nic absolutnie.

– A przeszukaliście doki? I statki?

– Sprawdzamy. Jest tylko jeden statek. Juncker nawiązał z nimi kontakt przez radio. Nic nie widzieli.

Ściągnął brwi. Teraz Pieseczek wyglądał na swoje lata.

– Spodziewałem się czegoś więcej...

– Słuchaj! Od lat z tobą nie rozmawiałam. Nagle się tu zjawiasz, kiedy właśnie mam odebrać medal za wieloletnią służbę, i zasypujesz mnie pytaniami. Wracam do sali...

– Pracuję w PET. Nie wiedziałaś?

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Naszym zdaniem jest w tym coś więcej. Dwa tygodnie temu w porcie dokonano włamania. Wyglądało na zwykłą kradzież. Zniknął komputer, jakieś drobiazgi. Szczegóły systemu zabezpieczeń Zeelanda...

– Czy to aby nie ich problem?

Wpatrywał się w nią. To nie było za mądre pytanie. Zeeland był wielkim międzynarodowym koncernem. Miał powiązania z władzą, miał wpływy

w rządzie i nie tylko.

– Co to ma wspólnego z naszym człowiekiem w kawałkach? – spytała.

– Z ostatniej nocy brakuje nagrań monitoringu. Dwie minuty po tym niedoszłym wezwaniu straży przybrzeżnej wyłączyły się wszystkie kamery, co do jednej. Ktoś włamał się do systemu, monitoring pokazywał wciąż stare nagranie, a potem, przed świtem, znowu się wyłączył.

Borch wziął kanapkę z tacy przekąsek przygotowanych na spotkanie i ugryzł kawałek.

Brix umilkł. Zbliżał się moment wręczania odznaczeń i dyplomów.

– Zostaw mi swój numer – powiedziała. – Będziemy w kontakcie.

Zatrzymał ją, gdy próbowała odejść.

– Ktoś wyłączył jeden z najgenialniejszych systemów bezpieczeństwa w kraju. Kiedy go włączono, w porcie leżał martwy człowiek. Tego samego dnia w pobliżu miał przebywać premier. Kryzys finansowy. Afganistan... – Roześmiał się. – Wściekli zazdrośni mężowie. Hartmanna tyle samo ludzi kocha, ilu nienawidzi.

– Przekażę to.

– Nie chcę, żebyś to przekazywała. Chcę, żebyś prowadziła sprawę. Brix już się zgodził...

– Nie wątpię.

– Jesteś za dobra do OPA.

– Słuchaj! Nikt nie zgłosił zaginięcia. Istnieje możliwość, że to cudzoziemiec, marynarz z zagranicznego statku, który opuścił już nasze wody terytorialne.

– I tak chcę, żebyś prowadziła tę sprawę. Brix też tego chce.

Z sali obok dobiegły oklaski i śmiech. Wręczano odznaczenia i dyplomy. Nie mogła tak po prostu się tam teraz wpakować.

– Naprawdę dobrze wyglądasz – powiedział, jakby trochę zakłopotany. – Ja... – Wzruszył ramionami, a ona przypomniała sobie, jak wyglądał w akademii, z tym swoim czarnym humorem i żałosnymi dowcipami. – Ja się po prostu zestarzałem.

Chciała na niego wrzasnąć. Wykrzyzczyć coś.

– Nie mogę pobrudzić galowego munduru – powiedziała. – Później mam rozmowę kwalifikacyjną.

Siedziba Zeelanda znajdowała się nad wodą nieopodal portu. Nowoczesny monolit z czarnego szkła z firmowym smokiem wielkości sześciu górnych kondygnacji otaczały place budowy zamieniające port w dzielnicę tanich domów. Te, jako jedne z niewielu artykułów, wciąż się sprzedawały.

Robert Zeuthen zaparkował swojego lśniącego nowością range rovera przed budynkiem. Reinhardt czekał w holu z informacją o zwłokach w porcie. Teraz wiadomo już było, że doszło do morderstwa, ale nic nie wskazywało na jakiegokolwiek powiązania Zeelanda ze sprawą. Pracowała nad nią PET wraz z policją. Obecność w okolicy Troelsa Hartmanna czyniła ich zainteresowanie nieuniknionym.

– Skąd się wziął ten kot? – spytał Zeuthen.

– Nie z domu – odparł Reinhardt stanowczo. – Jeszcze sprawdzam. To zajście w porcie wygląda paskudnie. Prawdopodobnie włamano się do naszego systemu bezpieczeństwa. Powołaliśmy już zespół, który ma to zbadać. – Skrzywił się. – Hartmanna bardziej martwi ten artykuł w gazecie. Czeka na nasze oświadczenie.

– Chcę, żebyś był przy tym, jak PET będzie rozmawiać z ochroną. Jeśli doszło do włamania, to niewykluczone, że to nie jest jednorazowy wypadek.

– Powinienem ci towarzyszyć w czasie posiedzenia rady – zasugerował Reinhardt.

Zeuthen ruszył do windy, kręcąc głową.

– Poradzę sobie. Dowiedz się, co się dzieje z PET. I szukaj kota Emilie. Maja mnie za to zabije. Wiedzieliśmy, że Emilie ma alergię na koty.

– Robercie – Reinhardt położył mu dłoń na ramieniu – nie bez powodu przypuszczam, że posiedzenie rady będzie trudne. Możesz mnie potrzebować.

Zeuthen się uśmiechnął.

– Nie tym razem, przyjacielu.

Karen Nebel była zmartwiona.

– Ludzie już gadają – powiedziała, gdy usiedli w jego gabinecie w Christiansborgu. – Nie rozumieją, dlaczego Zeeland nie zdementował jeszcze doniesień gazety. – Zadzwoiła jej komórka. – Może to...

Hartmann patrzył, jak wychodzi na korytarz, by odebrać, po czym mruknął:

– Mamy reagować jak wariat za każdym razem, gdy w prasie opublikują jakieś kłamstwo?

Morten Weber, siedzący na krześle przy oknie, skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się na oparcie.

– Czasami.

Weber służył Hartmannowi w czasie całej jego kariery politycznej. Drobnym, skromnym, nieco niechlujnym człowiekiem z niesfornymi kręconymi czarnymi włosami kiedyś na przekór okolicznościom doprowadził do tego, że Hartmann zajął fotel burmistrza Kopenhagi. Potem wykorzystał okazję, by zajął on również gabinet premiera. Dysponował niezrównaną wiedzą o duńskim świecie politycznym i czasami działał z cichą, nieskrywaną

bezwzględnością. Nikt nie miał śmiałości mówić do Hartmanna tak jak Weber. A i tak dochodziło do zatargów.

– Radzimy sobie z Zeelandem – powiedział Hartmann. – Karen tego pilnuje.

– Dobrze. Odwołałem tę chorą wizytę w porcie. Ludziom z PET bardzo się nie podoba to, co tam się dzieje. I nie chcą, żebyśmy o tym z kimś rozmawiali.

– Cofnij to odwołanie – nakazał Hartmann. – Ussing powie, że nie obchodzą mnie bezdomni.

– Pieprzyć Ussinga.

– Jesteśmy w defensywie, Morten! Ussing wykorzystuje Zeelanda, żeby wykazać, że okradam biednych, by dawać bogatym.

– Troels...

– Jadę – oznajmił Hartmann. – Choćbym musiał szukać autobusu. Jasne? Wróciła Nebel, ściskając w dłoni komórkę.

– Nie dostaniemy tego dementi.

Weber poprawił swoje ciężkie okulary.

– Chcesz powiedzieć, że ten artykuł mówi prawdę?

– Rada nadzorcza ma takie plany. Próbują obejść Roberta Zeuthena. Uważają, że jest słaby. Zwyczajnie...

– Słuchaj... – przerwał jej Hartmann. – Ojciec Zeuthena obiecał, że jeśli uzyska naszą pomoc, nigdy nie przeniesie firmy za granicę. Robert zapewniał, że dotrzyma tej obietnicy. Jeśli oni teraz nie dopełnią warunków umowy, zniszczę ich...

– Nie zniszczysz – wtrącił Weber. – Nie masz takich możliwości.

Hartmann z trudem trzymał nerwy na wodzy. W takich chwilach jak te Weber okazywał się najbardziej nieoceniony. I najbardziej irytujący.

– Więc co robić?

– Jeśli ustąpisz i zaproponujesz Zeelandowi więcej marchewek, nie będziesz miał Rosy Lebech. Jeśli tego nie zrobisz, zaczną spiskować nasi ludzie. – Weber zmarszczył swój mięsisty nos. – Ja stawiam na Birgit Eggert. Zachowuje się, jakby Ministerstwo Finansów było jej własnością.

– Jeśli usuną Zeuthena, będziemy musieli im coś dać – powiedziała Nebel. – Pogadam z minister finansów. To nie musi być dużo.

– Jezu! – wrzasnął Weber. – Może już teraz damy Ussingowi klucze do gabinetu? Nie widzisz plakatów wyborczych? Jeśli jesteś bogaty, głosuj na Hartmanna. Jeśli nie...

– Nie zrobimy nic, dopóki nie poznamy stanowiska Rosy Lebech – zdecydował Hartmann. – Mogę ją tu sprowadzić. Przekażcie PET, że jadę do obozowiska bezdomnych, bez względu na ich opinię. I... – Podeszedł do szafy, wyjął czystą koszulę i garnitur. – I tyle.

Nebel spojrzała groźnie na Webera, gdy Hartmann zdecydowanym krokiem wyszedł do łazienki się przebrać.

– Nie lubię przegrywać, Morten.

– A kto lubi?

– Dlaczego on nie słucha?

Weber się roześmiał.

– Bo jest politykiem. Troels czuje się szczęśliwy wyłącznie wtedy, gdy stąpa po krawędzi. Lubi pęd. Dreszcz. Niebezpieczeństwo. – Wstał i puścił do niej oko. – Ale czy my jesteśmy inni?

Brix zadzwonił, gdy tylko wróciła do portu. Pytał, czego chciała PET.

– Chyba uważają, że ktoś może zakłócić wizytę Hartmanna. Nie moja wina, że ominęła mnie ceremonia. Powiedziałaś Borchowi, że prowadzę sprawę.

– To prawda.

– Wyjaśnisz więc ludziom z OPA, dlaczego mnie nie było?

– Gdy się z nimi spotkam. Zgadza się na wszystko, czego chce PET.

To jakaś odmiana, pomyślała, i rozłączyła się.

Borch i Asbjørn Juncker chodzili po terenie, robiąc notatki.

– Trzeba przeszukać każdy statek w okolicy – powiedział człowiek z PET.

– Stąd wyszedł tylko jeden – odparł Juncker. – I już go przeszukaliśmy.

Podał jej plik zdjęć. Lund zawsze lubiła przyglądać się fotografiom. Wzięła je od niego i zaczęła wertować jedną po drugiej. Martwy mężczyzna. Przysadzisty. W średnim wieku. Na jednym z tatuaży było imię żeńskie, zdaniem techników wschodnioeuropejskie. Inny, na prawym ramieniu, był nieczytelny. Rana, prawdopodobnie od noża, wycięła środkowe litery.

Podjechał czarny mercedes, z którego wysiadł wysoki, wyprostowany mężczyzna, łysiejący, ze starannie ostrzyżonymi siwymi włosami. Przedstawił się jako Niels Reinhardt, przydzielony do kontaktu z nimi przez firmę Zeeland.

– Robert Zeuthen jest osobiście zainteresowany sprawą – powiedział stanowczym, spokojnym, grzecznym głosem. – Prosił, by zapewnić państwa, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by pomóc.

– System bezpieczeństwa już działa? – spytał Borch.

– Tak nam się wydaje. – Reinhardt popatrzył niepewnie. – Prowadzi go jedna z naszych firm IT. Zajmują się wszystkim – od monitoringu biur po posiadłości prywatne.

Lund zadawała oczywiste pytania. Reinhardt powiedział, że od ostatnich zwolnień nie mieli żadnych problemów z pracownikami. I żadnych nietypowych ruchów statków.

– Musieli się tu pojawić, zanim wyłączyli system – stwierdził Juncker.

– Nie. Zauważylibyśmy intruzów – upierał się Reinhardt. Spojrzał na nabrzeże, na opuszczony teren w oddali. – Chyba że weszli przez dawne tereny Stubben. Tam jest pusto od lat.

– Muszę wrócić po... – zaczęła Lund, ale Borch już wskazywał swój samochód.

Od celu dzieliło ich kilka minut. Zdewastowane pustkowia, gruz i porzucone kontenery przy brudnym nabrzeżu.

– Zamierzaliśmy zbudować tu hotel – powiedział Reinhardt, dołączając do nich. – Teraz nie ma na to funduszy...

– Kto tu przyjeżdża? – spytał Borch, gdy Lund chodziła po żwirowej alei z rękoma w kieszeniach, z przekrzywionym krawatem, kopiąc kamyki i śmieci.

– Rybacy – odrzekł Reinhardt. – Obserwatorzy ptaków. – Milczał chwilę, nim dodał: – I pewnie czasami pary niecierpliwych kochanków.

– Powiedział pan, że nie ma tu statków. – Juncker przemierzał wzrokiem szary horyzont. Widniał tam stary rdzewiejący kadłub; wyglądał, jakby nie ruszał się od lat.

Człowiek z Zeelanda zmarszczył brwi.

– Miałem na myśli czynne statki. To „Medea”. Jeden z naszych starych frachtowców. Jest przeznaczona na żyłетки. Sprzedaliśmy ją łotewskiemu brokerowi, ale zbankrutował.

Borch wziął lornetkę od Junckera. Statek znajdował się dobre pół kilometra od brzegu. Przyjrzał mu się i podał lornetkę Lund. Ona pokręciła głową.

– Tam ktoś jest? – spytała.

– Prawo tego wymaga – wyjaśnił od razu Reinhardt. – Nawet stary hulk taki jak ten potrzebuje minimum trzyosobowej załogi. Rozmawialiśmy z nimi w nocy. I dzisiaj rano. Mówili, że nic nie widzieli.

Rozejrzał się po pustym ospałym Sundzie.

– Tu nic by nie zobaczyli, prawda?

Lund podeszła nad samą wodę, zakłęła, gdy wyjściowymi butami wdepnęła w błotnistą maź. Na ziemi leżał niedopałek. Świeży. Niezmoczony deszczem.

Borch rozmawiał przez telefon.

– Jeśli chcecie tam popłynąć – powiedział Reinhardt – wezwę łódź.

Asbjørn Juncker nie mógł się doczekać. Borch skończył rozmowę.

– Straż przybrzeżna mówi, że zeszłej nocy przepływał tędy rosyjski kabotażowiec. Płynie do Petersburga. Pogadamy z tamtejszym kapitanatem.

– Dziękuję za propozycję – zwróciła się Lund do człowieka Zeelanda. – Ale nie skorzystamy.

Juncker zaczął jęczeć. Lund ruszyła do wozu. Borch i młody za nią.

– Musimy tam popłynąć i się rozejrzeć – powiedział Borch.

– To płyn.

– Ja nie mam czasu! Hartmann tu jedzie. Musimy zabezpieczyć...

– Ja nie muszę tam płynąć – przerwała mu. – Asbjørn... wsiadasz?

Wracamy.

Zawahał się chwilę czy dwie, po czym wykonał jej polecenie.

Borch przykucnął przy oknie od strony kierowcy. Już nie wyglądał jak pieseczek.

– Mam nadzieję, że ta robota jest tego warta – powiedział.

Robert Zeuthen odziedziczył ludzi, którzy kierowali Zeelandem. Wybranych przez jego ojca. Lojalnych, dopóki był dawny szef.

Kornerup, korpulentny, nieuśmiechający się sześćdziesięciolatek o bystrych oczach przesłoniętych okrągłymi okularami, od niemal dwudziestu lat należał do ścisłego kierownictwa Zeelanda. Zaczął

posiedzenie od nowej wersji prezentacji, którą przedstawiał, odkąd tylko Robert Zeuthen objął stanowisko prezesa grupy.

– Przeniesienie stoczni na wschód zredukuje koszty co najmniej o czterdzieści procent. Możemy manewrować kursem walut, by sfinansować ten krok. Jeśli zaczniemy planować dzisiaj, może będziemy w stanie zacząć operację przenoszenia w ciągu roku. Dla podliczenia...

– To nic nowego – przerwał Zeuthen. – Znamy argumenty. Zgadzą się, że za dziesięć, piętnaście lat może być to właściwe.

Jedenastu mężczyzn wokół stołu, jedna kobieta. Zeuthen był największym udziałowcem. Ale nie miał absolutnej większości.

– Świat pędzi szybciej, niż myślimy – odparł Kornerup. – Tę decyzję musi podjąć rada. Jeśli Hartmann przegra wybory, do władzy dojdą czerwoni ze swoim premierem, który nas nienawidzi. Puszczą nas z torbami.

– Dlatego właśnie popieramy Hartmanna – powiedział Zeuthen. – I dlatego osłabianie go nie leży w naszym interesie.

– Jeśli zgodzi się na jakiś nowy układ, nie ma sprawy. – Zebrani kiwnęli głowami na znak, że zgadzają się z Kornerupem. – Ale nie oszukujmy się. Świat nie będzie czekał, aż się przebudzimy. Wiem, że to trudne. Tę firmę stworzył pański ojciec. Ale gdyby był tu dziś...

– Broniłby pracy dla Duńczyków do ostatniego miejsca – wszedł mu w słowo Zeuthen.

– Może inaczej go postrzegaliśmy – odrzekł Kornerup z uśmiechem. – Może...

– Nie – przerwał Zeuthen. – Dość.

Kornerup spojrzał groźnie.

– Mamy jeszcze dużo do omówienia, Robercie.

– Nie z tobą. – Zeuthen skinął na swoją asystentkę, a ona obesła stół, rozdając przygotowane wcześniej przez niego zestawy dokumentów. – Kornerup poświęcił dużo czasu na poszukiwanie drogi wyjścia z Danii. Do zdrady już się tak nie przyłożył.

Pomieszczenie wypełnił pomruk zebranych. Zeuthen potoczył po nich wzrokiem.

– Nasz dyrektor zapomniał natomiast chyba, że w gazecie, która puszcza te bzdury, moja rodzina ma trzydzieści procent udziałów. A także... – lekki uśmiech – że jej naczelny studiował ze mną. Naprawdę nietrudno więc było zdobyć mejle, które wysłałeś do szefa ich wydziału gospodarczego.

Kornerupowi po raz pierwszy chyba zabrakło słów.

– Podsunąłeś im te kłamstwa, aby przycisnąć radę do podjęcia decyzji o przeniesieniu – ciągnął Zeuthen. – Jakikolwiek zyski wiążą się z przeniesieniem na Daleki Wschód, a chętnie to omówię w odpowiednim momencie w przyszłości, takiej nielojalności nie można tolerować. Naruszyłeś warunki umowy, Kornerup, i na pewno masz tego świadomość. Prawdopodobnie podejmiemy kroki prawne.

Kiwnął głową na asystentkę. Ona otworzyła drzwi. Weszło dwóch ludzi w uniformach ochrony.

– Panowie odprowadzą cię do wyjścia. Wszystkie rzeczy osobiste odeślemy ci, gdy tylko sprawdzimy, co jeszcze knułeś.

Znowu potoczył wzrokiem po zebranych.

– Chyba że rada postanowi zignorować przeciek poufnych dokumentów do mediów. I Bóg wie czego jeszcze.

Cisza. Wskazał ręką drzwi.

– Wszystko, co zrobiłem – powiedział Kornerup, wstając – zrobiłem dla dobra Zeelanda. Ta firma stoi nad przepaścią, Robercie. Zepchniesz ją do

niej i nawet tego nie zauważysz. Przejrzysz na oczy dopiero wtedy, gdy zamkną to wszystko na głucho.

W milczeniu patrzyli, jak wychodzi. Zeuthen uporządkował dokumenty i włożył je do aktówki.

– Przepraszam. Moja córka pojechała do szpitala. Muszę iść. – Po chwili dodał: – Chyba że są jeszcze jakieś sprawy?

Zaczekał. Nikt się nie odezwał.

– No dobrze – rzekł Zeuthen i wyszedł.

Hartmann wezwał kierowcę, by zawiózł go do szkoły we Frederiksbergu, gdzie odbywało się spotkanie przedwyborcze Rosy Lebech. Sześć lat młodsza od niego, zanim została politykiem, była prawnikiem. Wciąż ubierała się jak prawniczka: kremowa bluzka, ciemne spodnie, ciemne włosy starannie uczesane. Uderzająco piękna kobieta. Piękna i konkretna zarazem. Poznał ją, będąc jeszcze burmistrzem, gdy zabiegał o głosy koalicjanta.

Wtedy była mężatką.

Nebel nie od razu zrozumiała, że należy zostawić ich samych. Teraz jeszcze funkcjonariusz PET przyglądał się im obojętnie.

– Nie możemy się tak dalej spotykać – zażartował Hartmann.

– Jak?

– Jak politycy.

– Chcesz powiedzieć, że powinniśmy znaleźć jakiś materac i świece?

Twoja obstawa pilnowałaby drzwi.

Hartmann kiwnął głową.

– Podoba mi się ten pomysł.

– Ty bezczelny łajdaku. Dlaczego ja się w to wszystko pakuję?

Hartmann odwrócił się do funkcjonariusza i skinął głową. Ten oddalił się korytarzem.

– To właśnie mam na myśli. Troels...

Chwycił ją w talii, pocałował mocno i tak długo przebierał palcami w fałdach jej bluzki, aż dotknął skóry.

Lebech odsunęła się ze śmiechem.

– Ostry seks z premierem Danii. Nie żebym miała coś lepszego do roboty.

Jego palce mocowały się z bluzką.

– Żartowałam! – krzyknęła. – Przestań.

Przestał więc, ale wyglądał jak chłopczyk, któremu zabrano ulubioną zabawkę.

Westchnął.

– O co chodzi? – spytała.

– Wygląda na to, że plotki o Zeelandzie to prawda. Robert Zeuthen jest po naszej stronie. Reszta rady nadzorczej nie. – Skrzywił się drwiąco. – Może będę musiał coś im rzucić.

Usiadła. Znowu była politykiem.

– Ile czegoś?

– Tyle, żeby się zastanowili. I na tyle mało, żebyś ucięła sobie ze mną romans. – Szeroki, bezczelny uśmiech. – W ujęciu metaforycznym. Wiem, że jeśli chodzi o dosłowne rozumienie tego wyrażenia, nie mam powodu do zmartwień.

Nie śmiała się.

– Nie naciskaj mnie za mocno. Myślisz, że moi ludzie łykną pomysł, za który zapłacą wszyscy oprócz Zeelanda? Jestem szefem partii. Nie właścicielem. Nawet nie będę ich pytać. Nie ma sensu. Znam odpowiedź.

– Może by posłuchali, gdyby wiedzieli, że obejmiesz wysokie stanowisko. Ministerialne. Coś, co by ci się spodobało.

– Premier? – spytała. – Taka robota by mi się podobała.

Skrzyżował ramiona, patrzył na nią i czekał.

– Mam związane ręce, Troels. Nie mogę mocniej naciskać swoich ludzi, ani trochę. Niektórzy z nich uważają, że lepiej stawiać na Ussinga. Jeśli Zeeland się pakuje, to wyjedzie. Choćbyś ich przekupił nie wiadomo czym...

Urwała. Do sali weszła Karen Nebel, postukując palcem w zegarek.

– Przemyśl to – poprosił.

– Już przemyślałam. Przykro mi. – Sięgnęła dłonią do jego kolana. – Ale to polityka. Tylko polityka. Nie zapominaj.

Hartmann postukał się po nosie, dyskretnie ścisnął jej palce i kiwnął głową.

Potem wstał i na użytek jednoosobowej widowni podał jej rękę i życzył udanej kampanii.

– Jeszcze porozmawiamy – obiecał.

Carsten Lassen, facet Mai, był lekarzem, pracował w szpitalu uniwersyteckim. Zeuthen domyślał się, że Emilie została zabrana właśnie do tego szpitala. I oczywiście Lassen czekał na niego na parkingu razem z Mają i dziećmi w ich volkswagenie.

– Co się dzieje? – spytał Zeuthen.

– To reakcja alergiczna na kota, którego nie powinna w ogóle dotykać – warknął Lassen. Miał na sobie lekarski fartuch. Zrobił opryskliwą minę, którą przybierał zawsze w obecności Zeuthena. – Zniknie za kilka dni, jeśli będzie przyjmować leki. I jeśli będzie się trzymać z dala od kotów.

Carl zaczął warczeć z za swojego dinozaura w chwili, gdy pojawił się jego tato. Emilie uśmiechnęła się i pomachała mu. Zeuthen otworzył tylne drzwi samochodu i kazał dzieciom przesiąść się do range rovera.

– Nie. – Maja zatrzasnęła drzwi. – Musimy pogadać.

Dawno się nie kłócili o porządek spotkań z dziećmi. Zeuthen nie chciał wracać do tych sporów.

– Jeśli sądzisz, że dzięki temu przejmiesz opiekę nad nimi...

– Ona ma wysypkę na całym ciele! Co się dzieje, do cholery?

– Nie wiem. A ty?

– Albo kłamiesz, albo się nią nie zajmujesz.

– Nie. – Z trudem zachowywał spokój. Dzieci patrzyły i ta kłótnia na pewno fatalnie na nie wpływała. – Wiem, co robią, kiedy są ze mną. W domu nigdzie nie ma żadnego kota. Przecież to nie jest śmiertelna...

Lassen usłyszał te słowa i wtrącił się:

– To może być poważne. Jeśli zlekceważy się reakcję alergiczną...

– Nie twoja sprawa – wytknął mu Zeuthen. – To nie są twoje dzieci.

Zatrzymała się przy nich biała furgonetka. Przez chwilę Zeuthen miał wrażenie, że Emilie komuś macha. Ale to było niemożliwe. Jeśli nawet się uśmiechnęła, to przelotnie. Oboje z bratem wyglądali na zmęczonych i biednych, gdy spór na parkingu się przeciągał.

– Mamy ustalony sądownie grafik spotkań z dziećmi – podjął. – Nie możesz tak po prostu zabrać mi ich, kiedy ci się spodoba.

– Sądownie! – wrzasnęła Maja. – Teraz będziesz mi groził sądami? Naślesz na nas całego Zeelanda? Wtedy poczujesz się jak facet?

W małym volkswagenie otworzyły się drzwi. Emilie podeszła, stanęła między nimi i spojrzała na każde z wyrzutem. Lassen wycofał się do szpitala.

– Widziałam kotka, jak bawiłam się z Idą. I już. – Spojrzała na matkę. – Nie chcę mieszkać z tobą i Carstenem. Carl też nie. Chcemy być z tatą.

Emilie podeszła do range rovera. Carl już tam stał. Maja podbiegła do dzieci, głos się jej załamał i to strasznie zaboląło Zeuthena.

Dzieci wsiadły na tył i zaczęły zapinać pasy.

– Posłuchaj – powiedział do Mai, siląc się na spokój. – Nie powinniśmy się tak kłócić. Nie w ich obecności. Mam coś do załatwienia. Możesz pojechać z nimi do Drakkara. Zostać do mojego powrotu. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, kiedy wrócę. Jak chcesz, mogę cię uprzedzić, zadzwonię z samochodu. Żebyś wiedziała, kiedy wyjść.

Od pół roku Lund mieszkała w dwupokojowym drewnianym domku na przedmieściu. Stał na wąskiej ulicy na pagórku, z którego roztaczał się widok na miasto. Miała tam też pusty ogródek, który starała się ożywić.

Słuchała radia, zmywając naczynia dla Marka i jego gościa. Głównym tematem wiadomości znowu był Hartmann – miał wydać oświadczenie na temat Zeelanda, kiedy odwiedzał obozowisko bezdomnych, przed czym wyjątkowo przestrzegała go PET. Zawsze robił, co mu się podobało. Nigdy nie współpracował z policją, jeśli nie chciał, nawet jeśli zamierzał wygrać wybory.

Nie żeby te wybory zapowiadały się dobrze. Ussing podżegał masy, ostrzegając przed nowymi ustępstwami wobec bogaczy. Partia Centrum, której poparcie pewnie zdecyduje o wygranej, się wahała.

Lund zajrzała do piekarnika, stwierdziła, że nie zdjęła folii ze sklepowej lasagne, wyjęła więc szybko całe danie i za pomocą nożyczek pozbyła się brązowego plastiku. Następnie odstawiła lasagne do środka i wytarła dłonie o dzinsy.

Zadzwonił telefon. Mark.

– Cześć, mamó...

– Niełatwo tu trafić. Przy żółtym budynku musicie skręcić w lewo na końcu...

– Nie przyjeździemy. Eva jest chora. Innym razem...

Spojrzała na stół. Butelka dobrego chianti. Nowe kieliszki do wina, kupiła je na tę okazję. Świece.

Brix podesłał jej dyplom za wieloletnią służbę i butelkę szampana. I jeszcze kopertę z OPA.

– To coś poważnego?

– Nie. Przeziębienie. Zobaczymy się innym razem.

Nie mógł się doczekać końca rozmowy. Słyszała to w jego głosie.

– Mark... – powiedziała jakoś rozpaczliwie.

– Tak?

– Wiem... wiem, że nie zawsze mogłeś na mnie liczyć. Nigdy nie wychodziło mi... – „mówienie tych rzeczy”, pomyślała. – Robię ze sobą porządek. Masz absolutnie prawo być na mnie zły.

Cisza.

– Mark?

– Tak?

– Chciałabym cię czasami zobaczyć.

– Jestem bardzo zajęty.

– A jutro?

– Jutro nie za bardzo.

Usiadła. Na stole leżały zdjęcia od Junckera. Odcięta głowa. Wykrzywione martwe usta. Ręka z tatuażami. Pewnie z jakimś kobiecym imieniem. Coś jeszcze, krótkie słowo, środkowe litery wycięte przez krwawą ranę.

– No to może pojutrze. Ty zdecyduj, kiedy.

– Nie wiem...

Pierwszą literą zniszczonego tatuażu było wielkie M. Gotykiem.

– Musimy się umówić kiedy indziej – powiedział Mark.

Ostatnią literą było małe a. Całe słowo liczyło z pięć, sześć liter. Nie więcej.

– Mamo? Halo?

Wzięła do ręki długopis i pochyliła się nad zdjęciem.

– Kiedy indziej, mamo. Jesteś tam?

– Tak. Kiedy indziej. Dobra. Tylko daj mi znać.

Rozłączył się, a ona odtworzyła brakujące litery. I odczytała cały wyraz. Zadzwoiła do Brixa.

– Cześć, Lund. Dostałaś szampana i pismo z OPA? Chcą, żebyś zaczęła w przyszłym tygodniu. Nie musisz przechodzić przez rozmowę kwalifikacyjną. Chyba ci gratuluję.

– Mamy jeszcze ludzi w porcie?

– Kazałaś im się zwinąć. Pamiętasz?

– No to wezwij ich z powrotem. Stoi tam statek, „Medea”. Chcę go obejrzeć.

– Powiedziałaś, że to nieważne.

– I wyślij ekipę na teren Stubbena. Już jadę.

Miała świetną wymówkę, żeby przekraczać prędkość. Nawet nie zawracała sobie głowy wystawianiem koguta. W porcie czekała załoga łodzi. I Mathias Borch. Powiedział, że Hartmann z ekipą są w odległym o kilometr obozowisku bezdomnych.

– Każ mu się stamtąd zwijać – poleciła.

– Próbowałem. Jesteś pewna? Na ile procent?

Podala mu zdjęcie, na którym napisała „Medea”.

– Kiedy straż przybrzeżna skontaktowała się rano ze statkiem, nie rozmawiała z załogą. Poprosiłam, żeby teraz znowu nawiązali łączność. Nikt nie odebrał.

Borch patrzył na nią wściekły.

– Gdybym wiedział, zatrzymałbym Hartmanna!

Lund wzruszyła ramionami, wsiadła do pontonu z Junckerem i dwoma załogantami.

– Zatrzymaj go teraz – powiedziała, gdy łódka, kołysząc się, ruszyła na wody portu.

Troels Hartmann podawał talerze z gulaszem niechlujnym, cichym mężczyznom usadowionym przy rozkładanych stołach w prowizorycznych namiotach. Cuchnęło tu tanim jedzeniem i ściekami. Dziennikarze mieszały się z ekipami telewizyjnymi, podążając za nim od jednej porcji do drugiej i zadając pytania, na które on nie odpowiadał.

Gdy tylko kamera robiła zbliżenie, uśmiechał się. Karen Nebel patrzyła i się nie uśmiechała. Chciała, żeby wrócił do Slotsholmen na konferencję prasową.

Potem Morten Weber wprowadził kilku mężczyzn niosących skrzynki piwa. Rozległy się wiwaty. Paru włoczęgów chwyciło butelki, wstało i wzniosło toast za Hartmanna.

Uśmiechnął się szeroko i wyszedł.

Ciągle się uśmiechał, gdy odwrócił się do Webera i rzekł:

– Rozdawanie gorzały alkoholikom, Morten. Bardzo sprytne.

Weber się roześmiał.

– Zdumiewasz mnie, Troels. Pod wieloma względami taki sztywniak i purytanin, a jednak...

Czekał na odpowiedź, ale żadnej nie usłyszał.

– PET chce, żebyśmy się natychmiast stąd zwijali. Ich zdaniem występuje bezpośrednie zagrożenie.

– Musimy się natychmiast udać na konferencję prasową – dodała Nebel. Hartmann pokręcił głową.

– Tu są te wszystkie pismaki. Po co im dokładać roboty?

Podszedł zdecydowanym krokiem do samochodu, siadł na masce, uśmiechnął się promiennie do kamer, pomachał. Nawet dziennikarze byli zaskoczeni.

Dokoła zbierali się mężczyźni w długich płaszczach. Każdy miał w uchu słuchawkę, od której przez szyję biegł kręcony kabelek, każdy miał zatroskany wyraz twarzy.

– No dobra – powiedział Hartmann radośnie. – Nie marnujemy czasu, co? Macie jakieś pytania? No to słucham.

– Cholera – warknęła Karen Nebel.

Weber rozmawiał z najgłośniejszym spośród funkcjonariuszy PET, człowiekiem, który przedstawił się jako Mathias Borch. Podeszła i słuchała. Wymiana zdań stawała się coraz gorętsza.

– Mówiłem, że macie go stąd zabrać – perorował Borch. – Może to zrobicie, co?

– Troels jest premierem Danii – odparł Weber, wzruszając ramionami. – Może sam pan chce spróbować?

– Jeszcze tylko kilka minut – dodała Karen Nebel, próbując uspokoić atmosferę.

– Dzisiaj rano tuż obok znaleziono ciało – powtórzył Borch i z surową miną wyjął telefon. Co chwila wybierał ten sam numer.

Lund.

Sarah.

Nie odbierała. Ale Karen Nebel zauważyła wyraz twarzy Mortena Webera, wyraz, którego nie widziała nigdy wcześniej. Morten był blady, wstrząśnięty. Przestraszony.

– Pomożemy wszystkim, komu się da – mówił Hartmann głośno na improwizowanej konferencji prasowej. – Ale zdołamy to zrobić wyłącznie wtedy, gdy każdy wniesie swój wkład. Dotyczy to również Zeelanda. Nie dostaną żadnych specjalnych przywilejów. Powtarzam. Żadnych więcej przywilejów.

Nie lubiła statków. W sprawie Birk Larsen też był statek. Człowiek powieszony na linie. Jeszcze jeden niewłaściwy ruch w ciemności.

Dwaj mężczyźni z załogi łodzi obchodzili pokład „Medei”. Juncker podążył za nią do środka. Wnętrze frachtowca przypominało ogromną, martwą katedrę ze stali i cuchnęło jak wszystkie statki. Starością i ropą. Przenikliwie zimno w długich, metalowych korytarzach. Nie było żadnych śladów, dopóki nie dotarli w pobliże mostku. Lund podniosła dłoń, by zatrzymać kolegę, i wskazała coś przed sobą.

Długa plama na podłodze. Rozmazana krew. Również na ścianie. Musiał tu upaść ktoś ciężko ranny.

Próbował uciec, pomyślała. Stara sztuczka – to, że widziała te obrazy przed oczami, miała je w głowie – wracała, choćby Lund nie wiadomo jak się broniła.

Mężczyznę poraniono tutaj. Jakoś się uwolnił. Wskoczył do lodowatej wody i próbował ratować życie ucieczką w pław.

Czyli musiał być bardzo przerażony.

Potworny jazgot przeciął ciemności. Mało ducha nie wyzionęła. Asbjørn Juncker nieporadnie walczył z telefonem; jakąś okropną rockową solówkę na gitarze miał ustawioną jako dzwonek. Lund wyrwała mu telefon

i wyciszyła – tak jak zawsze swój. Ktoś próbował się do niej dodzwonić, odkąd dotarli do „Medei”. Czuła, jak telefon wibruje jej w kieszeni. To mogło poczekać.

Podniosła wysoko latarkę w prawej ręce. Zeszli na dół schodami. Zbiorniki paliwa. Z boku rozmazana krew. W kącie martwy mężczyzna, prawie nagi, tylko w brudnych slipach, na klatce piersiowej wiele ran po nożu. Nadgarstki spętane drutem, kostki też.

– Lund – szepnął Juncker idący z latarką w jednej i pistoletem w drugiej dłoni, cały czas celując i szperając światłem to po lewej, to po prawej stronie.

Spojrzała. Kolejne ciało. W takim samym stanie. Rany od noża. Drut. Mężczyźni byli torturowani.

– Broń ci niepotrzebna, Asbjørn.

– Straż portowa mówiła, że jest ich trzech.

– Tak. Trzeciego znaleźliśmy rano w kawałkach. A ten, kto to zrobił, zniknął. Za sprytny był, żeby tu zostać.

Jedynym źródłem światła na mostku były monitory wciąż pracujące na pulpicie. Obok koła sterowego stał laptop. Z otwartym plikiem. Wyglądało to na schemat systemu bezpieczeństwa Zeelanda.

Lund sprawdziła, czy ma zasięg, i kazała Junckerowi zadzwonić do Brixa, ściągnąć ekipę. Potem zadzwoniła do Borch.

– Nie wiem, co tu się dzieje – zaczęła i powiedziała mu o ciałach i włamaniu do systemu bezpieczeństwa Zeelanda.

Słuchał, nic nie mówił. W akademii policyjnej Mathias Borch był prymusem. Bystry i oddany. Ale nigdy nie myślał szybko.

– Hartmanna już tam nie ma, co?

– Udziela się na improwizowanej konferencji prasowej. Dlaczego nie odbierasz komórki?

– Byłam w ładowni tego cholernego statku. Kimkolwiek byli włamywacze, operowali stąd.

Ruszyła przez ciemności z latarką w ręku. Patrzyła.

Na ścianie w głębi zdjęcia. Mnóstwo, mnóstwo zdjęć pokrywających malowaną stal.

Zatrzymała się. Politycy i przemysłowcy. Twarz obok wycinków prasowych: Aldo Moro. Były premier Włoch porwany przez Czerwone Brygady. Trzymali go przez pięćdziesiąt pięć dni, a potem zastrzelili i porzucili ciało w samochodzie na ulicy. Obok wisiał artykuł o Thomasie Niedermayerze, niemieckim przemysłowcu porwanym przez Provisional IRA, skatowanym, zamordowanym i pogrzebanym na wysypisku pod Belfastem. Ten artykuł był o wiele świeższy i Lund nie mogła się od niego oderwać. Dziesięć lat po znalezieniu ciała niemieckiego przemysłowca wdowa po nim wróciła do Irlandii, weszła do oceanu i utonęła. Potem samobójstwo popełniły dwie ich córki. Nieprzerwany ciąg nieszczęść w następstwie jednego brutalnego czynu...

– Patrzę tu na zdjęcia porwanych polityków – powiedziała Lund, nie wiedząc nawet, czy Borch słucha. – Martwych. Musisz natychmiast zabrać stamtąd Hartmanna.

Ludzie z PET wdarli się w tłum pismaków, niemal zdjęli Hartmanna z maski samochodu i wsadzili go do bezpiecznej furgonetki wraz z Weberem i Karen Nebel.

Błyskające światła. Syreny. Cała trójka siedziała na ławce naprzeciwko dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy, gdy samochód pędem opuścił port i pognał do miasta.

– Nie mogą mnie tak traktować – narzekał Hartmann. – Nie pozwolę na to.

– Policja znalazła dwa ciała na statku w porcie – powiedział Weber. – A rano jeszcze jedno. Zdjęcia porwanych polityków. Owszem, mogą cię tak traktować.

Odpowiedziało mu wściekłe, mściwe spojrzenie.

– Sprawę prowadzi Lund – dodał Weber.

Obaj zamilkli.

– Kim jest Lund? – spytała Nebel.

– Dużo by mówić – odparł Hartmann. A do Webera dodał: – Pogadaj z Politigården. Nie z Brixem. Obejdź go, uderz do kogoś nad nim. Nie chcę jej widzieć.

– Czy ktoś powie mi, o co chodzi? – dopominała się Nebel.

– Kiedyś już popełniła wielki błąd – wyjaśnił Weber. – Mało przez nią nie przegraliśmy wyborów. To się więcej nie powtórzy.

Zadzwoił jego telefon. Furgonetka podskoczyła na nierówności i wreszcie dotarła do jakiejś porządnej drogi.

Nebel odwróciła się do Hartmanna.

– Nie powinienes składać tych obietnic. Nie możesz z marszu tworzyć polityki. Nie wiesz, jaka będzie odpowiedź Zeelanda. Musisz mi pozwolić to ogarnąć. Nie jestem od patrzenia, jak sam sobie strzelasz gole.

To go chyba trochę ubawiło.

– A to właśnie robię?

– Nie mogę działać po omacku. Wiem, że pracujesz z Mortenem wiele lat. Ale ze mną nie. Wprowadź mnie.

Hartmann udawał zdumionego.

– Co dokładnie chcesz wiedzieć?

– Pieprzysz Rosę Lebech?

Opadł na oparcie. Nie patrzył na nią.

Morten Weber zakończył rozmowę.

– Zeeland właśnie opublikował dementi. Zdaje się, że zawiesili dyrektora. Robert Zeuthen oznajmił publicznie, że on osobiście, a także Zeeland jako firma, w pełni wspierają plan naprawczy rządu.

Na zewnątrz światła. Wjeżdżali do centrum. Slotsholmen. Niedługo znowu zasiądą w ciepłych biurach Christiansborgu.

Hartmann się roześmiał. Uśmiechnął się szeroko. Weber na nią nie patrzył.

– Obaj wiedzieliście, że to nastąpi, prawda? – spytała.

– Morten ma wszędzie przyjaciół – odrzekł Hartmann. – Może mały ptaszek zdradził mu, że gazeta zamierza dopieprzyć Kornerupowi. – Klepnął Webera w kolano. – Nie żebym chciał wiedzieć.

Furgonetka wjechała na dziedziniec przed pałacem. Dwóch funkcjonariuszy podeszło do niej i otworzyło drzwi. Hartmann nie drgnął.

– Musimy wydać oświadczenie dla prasy, Karen. Ty je tak świetnie formułujesz. Tak pięknie. Chciałbym tak umieć.

Cień uśmiechu.

– Ale najpierw mi je pokaż, dobra? – dodał. – Potem podrzuć kopię do przegródki Ussinga, z najserdeczniejszymi pozdrowieniami ode mnie.

Karen Nebel pierwsza ruszyła do budynku. Weber zatrzymał Hartmanna na schodach, zaczekał, aż ochroniarze oddalą się na tyle, by ich nie słyszeć.

– Ona ma rację? Obracasz Rosę Lebech?

Twarz Hartmanna spoważniała.

– Nie mam na to czasu – odparł i ruszył przed siebie.

Weber chwycił go za ramię.

– Już zapinałem ci rozporek przy tych głupotach z Birk Larsen. Mieliśmy szczęście jak cholera, że się z tego wywinęliśmy. Nie proś mnie o to znowu.

– Jestem wolny. Jestem wdowcem. Każdą godzinę przepracowuję na rzecz tego kraju. Mam prawo do życia prywatnego. I mam prawo być kochany. – Po chwili namysłu dodał: – Nie miałem z tamtą dziewczyną nic wspólnego.

– Ach... – Skinął głową Weber. – To miłość, tak? – Zaczekał. Zero odpowiedzi. – W samym środku kampanii wyborczej? Którą i tak możemy przegrać? Z całym tym gównem Zeelandowym, z Lund czającą się za rogiem... ty posuwasz szefową partii, której potrzebujemy, by ocaliła nam skórę.

Hartmann jęknął.

– Okaż mi trochę zaufania, Morten. Panuję nad tym. Rosa zapewni mi poparcie Partii Centrum. Poprą moją kandydaturę na stanowisko premiera. Sprawa z Zeelandem jest już wyprostowana. A ty masz dopilnować, żeby Lund się do nas nie zbliżyła.

Położył rękę na plecach Webera i poprowadził go w stronę pałacu.

– I dopilnujesz, prawda?

Maja Zeuthen nigdy nie lubiła Drakkara. Przed śmiercią ojca Roberta mieszkali w dawnym domku ogrodnika w obrębie posiadłości, cieszyli się wychowywaniem dwójki swoich pięknych dzieci w maleńkim, schludnym domu przeznaczonym dla szczęśliwego ogrodnika.

Tam bardzo się kochali.

Potem na jego barkach spoczęło brzemie prowadzenia firmy, a jednocześnie narastał kryzys. Nie tylko w Zeelandzie. Na całym świecie.

Wprowadzili się do Drakkara. Mieszkali pod smokiem. Zagubili się w jego rozwlekłych piętrach i ogromnych, pustych pomieszczeniach.

Rola szefa Zeelanda przerastała Roberta, w dodatku nie pozwalał sobie pomóc. Proponowała. Przegrała. Ich miłość gasła. Zaczęły się kłótnie. Ona

się oddalała, on coraz więcej czasu spędzał skryty za czarnymi szybami biura w porcie.

A kiedy pojawiał się w domu, kłócili się. Dwie małe twarzyczki czasami przyglądały się temu od progu.

Dochodziła dwudziesta. Służba postawiła kolację na stole. Zjadła z Emilie i Carlem, próbując prowadzić niezobowiązującą rozmowę. Zauważyła, jak oboje milkli, gdy usiłowała poruszyć temat Carstena.

Był młodszy. Ciężko pracował, robiąc karierę medyczną. Jak powiedział Robert, to nie były jego dzieci, i czasami dało się to poznać po jego chłodzie i złym humorze.

Sami posprzątali po sobie ze stołu. Powiedziała Reinhardtowi, żeby pojechał do domu. Miał żonę. Dorosłe dzieci. Dom nad wodą, nieopodal siedziby Zeelanda. Ale i tak został w pałacu, patrzył i martwił się. Robert, kiedy był chłopcem, uważał go niemal za wujka, element wyposażenia domu.

Emilie i Carl poszli na górę. Grać. Oglądać telewizję. Poszaleć z gadżetami.

Maja siedziała sama na wielkiej kanapie, wpatrując się w wielki obraz na ścianie: szare, żalozne płótno przedstawiające ocean w czasie straszliwego sztormu. Kiedy się rozstawali, ich córka powiedziała, że nienawidzi tego obrazu. I że kojarzy się jej z odejściem dziadka. Gdyby Maja nie odeszła, już dawno by stąd znikł.

Na schodach pojawiła się Emilie w niebieskim płaszczyku, różowych kaloszach i z plecaczkiem, na którego bokach widniały kucyki.

– Dokąd idziesz?

Nieruchomym wzrokiem patrzyła matce prosto w oczy.

– Nakarmić jeża.

– Jeża? O tej porze?

– Tata mi pozwala.

– Taty nie ma.

– Zaraz wrócę.

– Pójdę po Carla – powiedziała Maja. – I razem pójdziemy do jeża.

Mała usiadła na schodach. Kiedy Maja wróciła z chłopcem, nie było jej.

– Emilie!

Starła się, żeby w jej głosie nie było zbyt dużo złości.

Zadzwonił Robert.

– Emilie gdzieś zniknęła. Powiedziała, że idzie nakarmić jeża.

Roześmiał się. Lubiała jego śmiech.

– Ostatnio karmi go co noc. Musimy ustalić, jakie dać jej zwierzątko.

Nie sędzę, żeby zadowolila się patyczakiem.

– Też nie sędzę.

Czy zauważył, że ją rozśmieszył? Czy dla niej to coś znaczyło?

– Reinhardt rozpytał o kota – powiedziała. – Ogrodnik mówił, że widział jakiegoś za ogrodzeniem. Gdzieś nad strumieniem. Emilie się tam czasem wałęsała.

– Za ogrodzeniem?

W jego głosie pojawiło się lekkie napięcie.

– Tak. To nic ważnego, Robercie. Carsten powiedział, że jeśli będziemy ją smarować maścią, za kilka dni wydobrzeje. Przepraszam, że tak się wściekłam.

– Nie powinna sama wychodzić. Nie bez powodu mamy ochronę.

Chwila ciszy.

– Jadę do domu – powiedział nagle.

Maja podeszła do drzwi wejściowych i zastanowiła się, jak długo tym razem będzie musiała czekać. W wysokiej, eleganckiej sieni jedynym

brzydkim elementem wystroju były niebieskie pulsujące światła i niewielkie ekrany monitoringu, który strzegł pałacu i całego terenu.

W sumie osiem monitorów, większość pokazywała drzewa kołyszące się w zimowym wietrze, nagie gałęzie poruszające się niestrudzenie.

Patrzyła na nie bezradna, gdy nagle obraz na jednym z monitorów znikł; został tylko niebieski komunikat o braku sygnału. Za chwilę wyłączył się drugi. I za moment cała reszta.

Zdjęcia. Dziesiątki zdjęć. Na ścianach. Na podłodze.

Czarno-białe twarze, których Lund nie znała. Lustrzanka canona z teleobiektywem. Dokumenty na temat ruchu statków. Coś, co wyglądało na schemat zabezpieczeń Zeelanda, różnych jego siedzib. Zakładów, biur. I prywatnych posiadłości.

– Nie rozumiem – odezwał się Juncker, świecąc latarką na aparat. – Po co ktoś by się tu ukrywał? I zabijał trzech marynarzy tylko po to, żeby przyłożyć jakiemuś politykowi?

Lund ledwie go słuchała. Na biurku w kącie znalazła plik kolorowych wydruków wprost z drukarki atramentowej. Na niektórych zdjęcia lotnicze z netu. Trawniki i drzewa. Widok z satelity na jakąś wielką posiadłość.

Zwyczajnie wyglądający mężczyzna obok lśniącego range rovera. Koło czterdziestki, w garniturze. Sprawiał wrażenie bardzo nieszczęśliwego.

– To Robert Zeuthen – powiedział Juncker. – Ten koleś od Zeelanda.

Przełożyła wydruk, spojrzała na następny. Zeuthen idący do samochodu, w środku dwie małe postacie. Na wydruku widniała data i godzina. Szesnasta trzydzieści. Dzisiaj.

– Nie rozumiem...

– Już to mówiłeś, Asbjørn.

Zamilkł.

Lund spojrzała na drukarkę. Błyskało na niej czerwone światełko. Zabrakło papieru, nim skończył się wydruk. Wzięła z biurka kilka kartek i włożyła do podajnika.

Drukarka zagrzechotała, zafurczała i zaczęła drukować.

Wychodziły powoli; zdjęcie po zdjęciu.

Każde przedstawiało dziewczynkę w niebieskich dzinsach i płaszczyku. Blondwłosą. Z kamienną twarzą, z wyjątkiem chwili, gdy zobaczyła ojca i uznała, że potrzebny mu jej uśmiech.

I ostatnie. Zbliżenie. Nie z teleobiektywu. Dziewczynka śmiała się do osoby, która trzymała aparat. W ramionach trzymała kotka.

– Tu nie chodzi o Hartmanna – powiedziała Lund i chwyciła telefon.

Zeuthen zatrzymał swój wielki samochód na żwirze tak ostro, że aż go zarzuciło, nie zatrzasnął nawet drzwi i pobiegł do domu. Drzwi wejściowe stały otworem. Maja dygotała w kurtce.

Oczy szeroko otwarte, przerażona, zraniona.

– Dzwoniła policja – szepnęła. – Kazali nie wychodzić z domu. Wysyłają...

– Gdzie dzieci?

– Carl na górze. Emilie...

Jej twarz powiedziała mu wszystko.

Zeuthen wpadł do środka, chwycił latarkę, wybiegł przed dom i ruszył w mrok, świecąc dokoła.

Maja dołączyła do niego.

– Jak długo jej nie ma? – spytał.

– Powiedziała, że idzie nakarmić jeża. I że jej pozwalasz.

– Jak długo jej nie ma? – powtórzył.

– Czterdzieści minut. Godzinę.

Drakkar otaczały wymyślne ogrody, stawy, jeziora, kort tenisowy, pole do krykieta i teren piknikowy. Dalej rosły lasy ciągnące się aż do morza.

Wokół biegło wysokie ogrodzenie podłączone do potężnego najnowocześniejszego systemu bezpieczeństwa, zawiadywanego z biur Zeelanda w porcie.

Coś mu wpadło do głowy.

Wszedł z powrotem do holu i zaczął wpatrywać się w puste monitory na ścianie.

Wrócił na podjazd. Jeden z ogrodników zatrzymał się nieopodal, zdziwiony zamieszaniem. Zeuthen chwycił go, spytał o dziurę w ogrodzeniu, niedaleko potoku. Jakiego potoku? Potoków było kilka.

Mężczyzna nie umiał odpowiedzieć. Zeuthen był coraz bardziej zrozpaczony. Dziewięciolatka zagubiona w rozległych ogrodach i lesie wokół domu. Tyle że tak się toczyła większość bajek, przynajmniej przez jakiś czas.

Niebieskie światła zbliżające się podjazdem. Syreny. Patrzyli, jak obok jego range rovera gwałtownie zatrzymuje się samochód. I nadjeżdżają następne.

Kobieta wyciągnęła legitymację. Kolejny biały samochód z napisem „Politi” na boku gwałtownie zatrzymał się w pobliżu, potem następny. Słyszał niestrudzony łopot motoru niewidocznego śmigłowca, jego łopaty rozdzierały noc na kawałki.

– Policja, Sarah Lund – przedstawiła się kobieta. – Gdzie jest państwa córka?

Robert Zeuthen odwrócił się w stronę gęstego lasu, na próżno szukając słów.

Tam ostatnio chodziła, nie wiadomo dlaczego. Powinien to zauważyć.

Przez ciemny las, w którym bezlistne drzewa nie dawały żadnego schronienia, Lund szła i szła. Kazała funkcjonariuszom przeszukiwać gęsto zarośnięty, ciemny teren dokoła posiadłości, pokierowała nimi. Zostawiła Junckera, by przekazał informacje reszcie ekipy przybywającej z Politigården. Zeuthenowie nie byli zwyczajną rodziną. Groźba rzucona pod ich adresem oznaczała rzucenie wyzwania całemu państwu.

Próbowała powiedzieć Robertowi Zeuthenowi, co robić. Nie miała szans. Mężczyzna jej nie słuchał, pokrzykiwał i biegał, omiatając wszystko światłem latarki.

Lund poszła za nim, wyciągnęła go z niskiego rowu, który nazywał potokiem, a do którego właśnie się wtoczył. Próbowała rozmawiać. Myśleć. Widzieć.

Po jakimś czasie dotarli do wysokiego, solidnego ogrodzenia. Za nim rozciągały się otwarte przestrzenie, dzikie tereny. Tu znaleźli wyciętą dziurę, na tyle dużą, by przeszło przez nią dziecko.

Rzucił się na siatkę, rozdarł dziurę jeszcze bardziej.

– Co tu się działo, Robercie? – spytała. – Musi mi pan powiedzieć.

– Zawsze robi, co chce.

– Muszę wiedzieć!

Wtedy to z siebie wyrzucił. Że ktoś widział ją, jak karmi kota. Że system nadzoru się wyłączył, chociaż takiej dziury i tak by nie wyłapał.

Potem padł na kolana i na czworakach przelazł przez otwór w siatce. Ubłocony garnitur i drogie półbuty, uwalane ręce.

Lund podążyła za nim. Gdzieś za sobą słyszała znajomy głęboki głos, który kazał się jej zatrzymać, zaczekać.

Za ogrodzeniem w wysokiej trawie zobaczyła talerzyk obok kartonu mleka.

Już nie próbowała rozmawiać z Zeuthenem. Nagie drzewa, zimna, ciemna noc. Puste, obojętne okolice. Wszystko to już знаła.

Po jakimś czasie się zatrzymał, wydał okrzyk pełen bólu. Dogoniła go i zobaczyła, co trzyma w rękach: różowy kalosz, dziewczęcy.

– Proszę – powiedziała. – Niech pan to odłoży. Niech pan niczego nie dotyka.

Nie musiała zadawać pytania, czy to kalosz Emilie. Odpowiedź była oczywista.

Kolejne światła. Brix ciągle pokrzykiwał, żeby się zatrzymała, żeby zaczekała.

Gdy patrzyła, jak Zeuthen natrafia na swoje znalezisko, zastanawiała się, ile już razy to słyszała. I ile jeszcze razy usłyszy.

– Musi pan to nam zostawić.

To nasza robota, pomyślała. Jedyne, co możemy zrobić.

Śmigłowiec leciał gdzieś blisko. Obejrzała się. Długi szereg policjantów z latarkami zbliżał się do nich. Na przedzie wysoka postać. To mógł być tylko Brix. Wrzeszczał.

Nagle wpadła na coś. Przez chwilę nie wiedziała, co się dzieje.

To był Zeuthen. Zatrzymał się przed niskim ciernistym krzewem, oświetlił latarką nagie gałęzie. Na nich leżał dziecięcy plecaczek, z kucykami na bokach. Zeuthen sięgnął po niego.

Dość. Stanowczym głosem kazała mu się cofnąć, chwyciła go za łokieć i odciągnęła, a gdy jej nie posłuchał, włożyła lateksowe rękawiczki, sięgnęła po plecaczek i zdjęła go z krzaka.

To chwilę zajęło. Ktoś go tam rzucił rozmyślnie. Zanim go zdjęła, dogonił ich Brix.

– Wiecie, gdzie może być dziewczynka? – spytał.

Zeuthen nie mógł mówić. Nadbiegła jego żona. Zadyszana, bezskutecznie starała się wydobyć z siebie głos.

Potem Juncker. Powiedział, że na drodze gruntowej po drugiej stronie łąki znaleźli ślady opon.

– I jeszcze to... – Wyciągnął rękę z torebką dowodową, oświetlił latarką jej zawartość. Mała srebrna bransoletka. – Jest na niej jej imię.

Maja Zeuthen milczała. Jej mąż wpatrywał się w przedmiot w dłoni młodego policjanta.

Gdzieś zaszczekał pies.

Do Zeuthenów podszedł Brix.

– Do poszukiwań włącza się wojsko. Mamy w rejonie śmigłowiec.

– Słyszę go – szepnęła Lund, usiłując otworzyć zamek plecaczka.

– Robimy wszystko, co w naszej...

Kobieta zaczęła łkać. Zeuthen wyciągnął do niej rękę. Odsunęła się.

Lund wreszcie otworzyła plecak. Zajrzała do środka. Znajdował się tam tylko tani smartfon. Wyjęła go ostrożnie.

Ekran natychmiast się rozświecił. Domyśliła się, że ma ustawione połączenie wideo. Widziała tylko wnętrze furgonetki: jasne, puste ściany. Nagle z lewej strony pojawiła się jakaś postać i Lund od razu wiedziała, że on patrzy na nią. Czarny kaptur. Kominiarka z otworami na oczy.

– Chcę rozmawiać z osobą prowadzącą śledztwo – powiedział kulturalnym, wyważonym głosem.

Tłoczyli się dokoła, patrzyli, słuchali.

– Kto mówi? – spytała Lund.

– Pani nazwisko i ranga, poproszę.

– Sarah Lund, podkomisarz policji kryminalnej.

– Dziewczynce nic nie jest.

– Chcę ją zobaczyć.

Obraz zniknął. Mężczyzna przyłożył telefon do ucha.

– Żałuję, ale to niemożliwe.

– Czego chcesz?

– Wyłącznie rzeczy w granicach rozsądku. Wiem, że czasy są ciężkie. Ale długi trzeba spłacać. Chciałbym dostać to, co mi się należy.

– Długi? – krzyknęła Maja Zeuthen. – O czym on mówi, do cholery?

Mężczyzna się roześmiał.

– Mamy słuchaczy. Świetnie. Zaprzyjajnijmy się. Pytanie, na które musicie odpowiedzieć, jest proste. Ile jest warte życie dziewczynki? Ile dacie, żeby ją odzyskać?

– Powiedz, ile chcesz – powtórzyła Lund.

Chwila milczenia.

– Właśnie powiedziałem, prawda? Słuchasz mnie? Zadzwoń jutro po południu. Na ten numer. Będę rozmawiał tylko z tobą, Lund, z nikim innym. I czekam na twoją propozycję.

– Tak, tak – odparła szybko. – Daj mi porozmawiać z Emilie, to ważne. Musimy...

Kliknięcie. I to wszystko. Spojrzała na telefon. Rozłączył się.

Ostry wiatr szalał wśród bezlistnych drzew, miotał swój lodowaty oddech na nagą ziemię.

Maja Zeuthen, z oczami pełnymi strachu i wściekłości, zadrżała, odrzuciła do tyłu długie jasne włosy i zaczęła wyć.

CZWARTEK_
10 LISTOPADA_

Ranek w Drakkarze – zamku z czerwonej cegły. Robert Zeuthen obudził się na kanapie. Ciągle miał na sobie brudny garnitur i buty.

Przez chwilę był przekonany, że ciągle śni. Że to głupi, niewiarygodny koszmar senny. Potem się rozejrzył. Popatrzył na obraz, którego nie znosił. Na miliony śladów zabłoconych butów na dywanie, teraz w ciszy usuwanych przez kogoś z personelu. Zrozumiał, że to się dzieje naprawdę.

Zrozumiał też, że jest sam. Maja odjechała, wróciła do mieszkanka Carstena Lassena, do innego życia z innym mężczyzną.

Wstał, poszedł do pokoju Emilie. Nie wiedzieć czemu. Spojrzał na puste łóżko. Wziął jej ulubioną lalkę. Wpatrywał się w plakaty na ścianie. Stał przy oknie. Drżał chwilę. Płakał, patrząc na trawniki porośnięte śladami opon. Otarł oczy brudnym rękawem.

Reinhardt stanął u stóp schodów, jak zawsze nienagannie odziany w czarny garnitur, ciemny krawat, białą koszulę. Zreferował Zeuthenowi wszystko, co powiedziała mu policja. Niewiele tego było.

- Maja wie o tym? – spytał Zeuthen.
- Pewnie wydzwaniała do nich całą noc.

– Musimy porozmawiać z ochroną i finansowymi o okupie. Umów spotkanie.

– To już się dzieje, Robercie. Włączyła się PET. Musimy działać według ich wskazówek. – Zawahał się, nim dodał: – Ilekroć w przeszłości zdarzały nam się takie sprawy, zajmował się nimi Kornerup. Jest bardzo... biegły.

Zeuthen nie zrozumiał.

– „Takie sprawy”? Co masz na myśli?

– Był kiedyś taki incydent w Somalii. Niedługo przed śmiercią twojego ojca. Kornerup dopilnował, żeby nic nie doszło do mediów. – Lekko drwiąca mina na długiej, bladej twarzy Reinhardta. – Pewnie zawsze wiedział, jak nimi manipulować. Gdybyśmy mogli...

– Zwolniłem Kornerupa. Poradzimy sobie z tym sami. Ci zabici mężczyźni...

– Łotysze. Nasi ludzie zadbali o pomoc dla ich rodzin.

Zeuthen patrzył na swoje ubranie. Zdał sobie sprawę, że musi się przebrać. Coś zrobić.

– Gdybym wiedział o kocie, byłoby inaczej...

Reinhardt położył mu na ramieniu dłoń w geście wsparcia.

– Znajdźmy po prostu Emilie, Robercie. To jest teraz ważne.

Ranek w Politigården, w fortecy z białego kamienia. Lund przespała się kilka godzin na kozetce, a potem wyskoczyła do domu po świeże ubrania. Przygotowała się na trudny dzień.

Tani smartfon cały czas jej towarzyszył. Kiedy była pod prysznicem i kiedy wkładała ciuchy, w których prowadziła niegdyś dochodzenia: dzinsy, bluzę i jeden ze wzorzystych swetrów, które zaczęła kupować dawno temu, gdy zabrała nastoletniego Marka na Wyspy Owcze na wakacje, by choć trochę wynagrodzić mu rozwód.

To działało.

Podłączony do ładowarki telefon leżał na biurku w Wydziale Zabójstw, podczas gdy ona patrzyła, jak Borch i Juncker przeglądają zdjęcia z „Medei”, zdjęcia porywacza i zdjęcia policji. Brix stał nad nimi w milczeniu, groźny. Niezadowolony.

Porywacz dzwonił przez internet, nie można było namierzyć rozmowy. Skradzioną białą furgonetkę zauważono nieopodal portu. W środku odkryli drugi różowy kalosz Emilie, a także jej odciski palców. I tylko jej. Na statku nie znaleziono żadnego istotnego dowodu. Wszystko wskazywało na to, że porwania dokonał jeden człowiek, który wcześniej skrupulatnie je przygotował.

Poprzedniego wieczoru około dwudziestej trzeciej zostawiła Roberta i Maję Zeuthenów kłócących się i warczących na siebie. Lund nie sądziła, by którekolwiek z nich zmrużyło oko. Kiedy spojrzała na rozmowy przychodzące, miała już pewność. Ciągłe telefony, do Brixa, do jego przełożonej Ruth Hedeby. Do ministra sprawiedliwości i do biura premiera. Hartmann wydał już oświadczenie, że współczuje rodzinie, a także wyraził wdzięczność wobec Zeuthena za poparcie rządu. Potem wypuścił swoje teriery na policję, domagając się szybkiego rozwiązania sprawy.

Jakbyśmy szukali powolnego, pomyślała Lund, gdy Hedeby przekazała im informacje.

Kiedy zaginęła Nanna Birk Larsen, jej rodzice, zwyczajni ludzie z klasy robotniczej z Vesterbro, nie mieli się do kogo zwrócić. Zeuthenowie wręcz przeciwnie, mieli aż za duży wybór. Co prawda niczego to nie zmieniało.

Mieli tylko jeden dowód: ślady opon obok porzuconej furgonetki sugerowały, że porywacz przeniósł Emilie do większego pojazdu.

– Teraz mogą być już trzysta kilometrów stąd – burknął Juncker.

– To porwanie, Asbjørn – cierpliwie przypomniła mu Lund. – On zażąda pieniędzy. Nawet jeśli dziewczynka nie żyje, i tak będzie chciał je odebrać.

– Co wiemy o tej porzuconej furgonetce? – spytał Brix.

– Należy do serbskiego gangu – odparła Lund. – Zajmują się sutenerstwem. Zgarnęliśmy tych, których znaleźliśmy. I niektóre ich dziewczyny.

Spojrzał z zainteresowaniem.

– To nie oni – dodała. – Nigdzie w ich burdelu nie ma po niej ani śladu. Mówią, że furgonetkę ukradziono im trzy dni temu. Nie zgłosili tego, bo... bo nie.

Zgarnęli czterech Serbów i tłum przemyconych kobiet, wszystkich nieprzerwanie przesłuchiowano kilka pokojów dalej. Lund sama już spędziła z tymi mężczyznami pół godziny.

– Alfons trzymał w furgonetce komplet kluczy – powiedziała. – Do lokali, w których umieszczał kobiety przywiezione do Danii. Przeszukujemy je.

Zdażyła już przeczytać materiały o Zeuthenach. Właśnie się rozwodzili. Dzielili ich morze goryczy. Opieką nad dziećmi podzielili się po równo. Ona mieszkała teraz z lekarzem ze szpitala uniwersyteckiego, Carstenem Lassenem. Z rozstaniem zdaje się nie miała nic wspólnego żadna osoba trzecia. Chodziło raczej o obciążenie Zeuthena pracą w Zeelandzie.

– Między Zeuthenem a jego żoną nie ma już nawet śladu miłości, prawda? – zauważyła. – Słyszeliście, co ona krzyczała, kiedy odjeżdżaliśmy?

„Gdybyś ją puścił ze mną, tak jak prosiłam”.

– Ludzie czasami obarczają się nawzajem winą – powiedział Borch. – Żeby samemu nie czuć się winnym. Ale to się nie udaje.

Lund zamknęła oczy na chwilę, modląc się, żeby nikt tego nie zauważył.

– To było zorganizowane porwanie. Gdyby zeszłego wieczoru nie zabrał dziewczynki...

Brix posłał jej zgryźliwe spojrzenie.

– Powinnaś od razu sprawdzić ten statek.

– To była również moja decyzja – skłamał Borch.

Nie słuchała. Wpatrywała się tylko w szkolne fotografie Emilie Zeuthen, które teraz były wszędzie – w gazetach, w telewizji. Uśmiechnięta blondynka patrząca prosto w obiektyw, z inteligentną, wystudiowaną otwartością. Obok leżały zdjęcia przedstawiające mężczyzn ze statku. Półnaczy, tak jak rozczłonkowane zwłoki znalezione w porcie.

– Dlaczego torturował tych ludzi? – spytała. – Czego od nich chciał?

Nikt jej nie odpowiedział.

Borch dorzucił jakieś zdjęcia na biurko. Ujęcia z kotkiem. Emilie trzymająca zwierzątko w ramionach, uśmiechająca się do obiektywu.

– Musiał ją dobrze przygotować. Sarah...

Lund prawie nie słuchała. Torturowani marynarze nie dawali jej spokoju.

– Sarah! Musisz cały czas mieć ten telefon przy sobie, naładowany! Nie wiemy, kiedy on zadzwoni. Masz się zgodzić na wszystko, co powie. Niech mówi. Możemy namierzyć...

– Już wiemy, że korzysta z internetu – zauważyła. – Był na tyle kumaty, żeby wyłączyć cały system bezpieczeństwa Zeelandu. Myślisz, że da się przyłapać na rozmowie telefonicznej?

– Lepiej mieć nadzieję – burknął Juncker. – Bo jak nie, to gównu mamy. Czasami chciało się jej krzyknąć.

– Pomyślcie o tym, co powiedział. Ani razu nie użył słowa „okup”. Chciał propozycji. Spłacenia długu. O czym on mówi? Komu Zeeland jest winien pieniądze?

Borch sprawiał wrażenie, jakby zrozumiał.

– Mają obroty wysokości trzystu miliardów koron. Może komuś nie chcą zapłacić za ogrzewanie? Skąd mamy...?

– Jeśli chodzi mu o pieniądze, to dlaczego nie powiedział, ile chce?

– Spytaj go, jak zadzwoni – zasugerował Brix. – Masz...

Podał jej mejl od Reinhardta z Zeelanda.

– Chciałaś wiedzieć, co robiła załoga. Zdaniem firmy jedyną osobą, która schodziła na ląd w zeszłym tygodniu, był mat. Prosił o przepustkę, bo miał wezwanie do sądu, jako świadek. Miejsca, które sprawdzasz...

– W jakiej sprawie?

– Nie wiem. To ten, którego znaleźliście w kawałkach na złomowisku. Te pomieszczenia...

Brix odebrał telefon. Ruchem ręki dał im znak, by umilkli. Dokończył.

– Są tu Zeuthenowie – powiedział. – Musimy im zreferować, co się dzieje.

– Ja to zrobię.

Wstała, by wyjść. Borch ją zatrzymał.

– Sarah?

Trzymał w ręku telefon Emilie.

– Dzięki – powiedziała, biorąc go do ręki.

Ranek na Slotsholmen, wyspie, gdzie mieści się siedziba władz Danii. Śniadanie w zacisznym pomieszczeniu nieopodal budynku Parlamentu. Hartmann, Rosa Lebech, Anders Ussing. Kawa i ciastka. Porządek spotkania obejmuje jeden punkt: rozejm w sprawie Zeelanda i Zeuthena.

– Musimy ich trzymać z dala od wyborów – powiedział Hartmann. – Dla ich dobra, dla dobra śledztwa, nie chcę, żeby to stało się elementem debaty.

Ussing, burkliwy, nieokrzesany mężczyzna, który wszędzie dopatrywał się populizmu, pokręcił głową.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mogę wspomnieć o Zeelandzie? Zwariowałeś? To ważny temat polityczny i gospodarczy.

– To dotyczy rodziny, Anders – przerwała mu Lebech. – Musimy potępić ten czyn i okazać im wsparcie.

Ussing miał białe kark i czerwoną twarz z sarkastycznym uśmiechem. Kiedyś był dokerem.

– Widzę, dlaczego chcecie to zamieść pod dywan. Dziecko Zeuthena porwano, kiedy PET cały dzień cackała się z tobą.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego – powiedział stanowczo Hartmann.

– Udowodnij to. Chcę dostać raport PET i policji na temat wczorajszych wydarzeń w porcie. Daj mi go, a ja nie będę się wypowiadać na temat Zeelanda. Na razie.

Hartmann z trudem panował nad sobą.

– Nie masz żadnego prawa do raportu...

– Może nie mam. Ale i tak chcę go dostać. Jakieś uzasadnienie do tego rozejmu. – Przelotny, ironiczny uśmiech. – Przecież nie chcemy, żeby ludzie pomyśleli, że daliśmy się z Rosą osłepić twoim uwodzicielskim spojrzeniem i nieodpartemu urokowi.

Wstał i skinął im głową.

– Chcę dostać ten raport przed wieczorną debatą – dodał i wyszedł.

Rosa Lebech nie patrzyła Hartmannowi w oczy.

– On próbuje nas poróżnić – powiedział, usiłując ująć jej dłoń.

Odsunęła rękę.

– Będziemy musieli przedłożyć oświadczenie. Moja partia nie może zająć stanowiska, jeśli Ussing chce cię wplątać w tę sprawę. Już kiedyś tak było...

– Ta Birk Larsen nie miała ze mną nic wspólnego! Nic.

– Wiem – powiedziała spokojnie. – Oczyszczył się z tego. Ale teraz znów masz kłopoty. Nigdy nie zabijają czyny, Troels. Tylko kłamstwo.

– Jakie kłamstwo?

– Musisz popracować nad tym, żeby się zdystansować wobec tej sprawy. Słyszałam, że śledztwo prowadzi niejaka Lund. Ussing też to wie. Daj mu ten raport. Niech on się zamknie. Wtedy cię oficjalnie poprzemy.

Po powrocie do gabinetu przekazał informacje Karen Nebel. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Prasa już dzwoniła. Coś zwietrzyli. Chcą wiedzieć, czy będzie umowa.

– Graj na zwłokę – polecił. – Powiedz im, że...

Na biurku leżała gazeta. Brukowiec. Większość pierwszej strony zajmowało szkolne zdjęcie Emilie Zeuthen. Dziewięć lat. Blond włosy. Śliczna.

Nanna Birk Larsen była o dziesięć lat starsza. I miała ten sam kolor włosów. Też była piękna. Jej zdjęcie prześladowało Hartmanna każdego dnia przez niemal trzy tygodnie, gdy walczył o władzę nad Kopenhagą.

– Troels – powiedziała Nebel, podchodząc do niego. Dotknęła jego ramienia. – Nie chcę, żeby ci to zaszkodziło.

– Nie zaszkodzi – obiecał.

Maja Zeuthen weszła pierwsza, z szeroko otwartymi oczyma minęła wschodnioeuropejskie prostytutki, które policjanci sprowadzili na przesłuchanie; jej mąż podążył tuż za nią. Interesująca para, pomyślała Lund. Ona miała zszarzałą urodę bezrobotnej aktorki, ubierała się niezobowiązująco, nie tanio, ale i nie elegancko. Zeuthen wyglądał, jakby co rano po prostu wkładał świeżo wyprasowaną białą koszulę i krawat, a do tego czysty, elegancki garnitur. Nie wyglądał na takiego, który przyciąga

spojrzenia. Nie wyglądał na kogoś, kto by prowadził jedną z największych firm w kraju, gdyby ta rola nie przypadła mu z urodzenia.

Zabrała ich do pokoju przesłuchań, gdzie usiedli obok siebie pod zakratowanym oknem w bladym porannym świetle. W separacji czy nie, byli rodzicami Emilie. Ważne, że razem stawiali czoło problemowi.

Telefon leżał na biurku. Upewniła się, czy o tym wiedzą.

Następnie powiedziała im tyle, ile mogła. O furgonetce. O tym, że dowody znalezione na „Medei” wskazują na to, że porywacz działał w pojedynkę i był dobrze przygotowany.

Zeuthen poprosił o pokazanie zdjęć pojazdu. Lund się zawahała.

– Nie chciałbym być zmuszony dzwonić do pani przełożonych – dodał.

Brix nie pozostawił złudzeń. Tych dwoje należało traktować wyjątkowo. Przesunęła więc zdjęcia po blacie biurka.

– Pewnie go państwo wcześniej nie widzieli? – spytała.

– Wczoraj przed szpitalem stał podobny. Wydawało mi się, że Emilie machała do kogoś w środku.

Lund poprosiła o przerwę, wezwała Junckera i kazała mu to sprawdzić.

Potem pokazała im zdjęcia ubrań, które znaleźli w furgonetce. Dżinsy. Różowy sweterek. Maja Zeuthen zamrugła powiekami, by powstrzymać łzy, i kiwnęła głową.

– Czy to na pewno rzeczy Emilie?

– Oczywiście – odparł Zeuthen. – Czyli kazał jej...

– Nie należy nic z tego wnioskować – przerwała mu Lund. – Porywacze często kazały się przebrać porwanej osobie, by zmienić jej wygląd.

Przypomniała sobie, jak Maja Zeuthen patrzyła na kobiety czekające na przesłuchanie.

– Nic nie wskazuje na to, że w furgonetce coś się stało. Że użyto przemocy. Nic.

Zeuthen zebrał się w sobie.

– Muszę znać nazwiska tych ludzi, których aresztowaliście. Oraz ich adresy.

– To są Serbowie. Zajmują się stręczycielstwem. Furgonetkę im skradziono. Prawdopodobnie nie mają związku ze sprawą.

Matka wstała i podeszła do okna, gryząc kłykcie.

– Muszę wiedzieć... – zaczął znowu Zeuthen.

– Powiedział, że uwolni Emilie w zamian za spłatę długu – przerwała mu Lund. – Ci ludzie nie zajmują się takimi sprawami. Są... są odrażający. Ale działają legalnie.

– Więc co robicie? – Maja Zeuthen wróciła od okna i usiadła; wpatrywała się w telefon po drugiej stronie stołu. – Siedzicie i czekacie, aż on zadzwoni?

Zeuthen sięgnął po jej rękę. Odsunęła ją.

– Maju...

– Nie wtrącaj się, Robercie! Gdyby tylko Emilie wróciła wtedy ze mną do domu...

Lund zaczęła, aż umilkną.

– Ten człowiek – powiedziała w końcu – planował porwanie Emilie od pewnego czasu. Gdyby nie zrobił tego wczoraj...

Zwróciła się do Zeuthena.

– Kiedy zadzwoni, musi pan mu złożyć ofertę. To ważne. Musi mu pan coś zaproponować. Nie byłoby mądrze próbować gry na zwłokę.

– Rozmawiam z PET – powiedział Zeuthen. – I z moimi ludźmi.

– My z nimi rozmawiamy, Robercie – warknęła Maja Zeuthen. – Pieniądze są może i twoje, ale to również moje dziecko.

Te słowa go zaboląły, a ona nawet tego nie zauważyła. Zeuthen wstał, podziękował, uścisnął Lund dłoń ze skromnością pasującą raczej do

dyrektora banku.

– Gdy tylko się czegoś dowiem, skontaktuję się – powiedziała.

Kiwnął głową. Jego żona wpatrywała się w sufit i klęła bezgłośnie.

– On mówił o jakimś długu – dodała Lund. – Wie pan może, o co mu chodziło?

– Nie – odrzekł. – A wy?

Wyszli, znowu mijając szeregi czekających prostytutek. Wszedł funkcjonariusz z dziennej zmiany i powiedział, że nie znalazł żadnych informacji o sprawie, w której by ostatnio zeznawał mat z „Medei”. I dzwoniła matka Lund. Prosiła, żeby oddzwonić. Miała coś ważnego.

Przez najbliższe godziny Lund nie oddzwoniła. Juncker zdobył nagranie kamery przemysłowej z parkingu szpitalnego. To musiała być furgonetka porywacza, obserwował Zeuthenów. Kierowcy nie było widać.

Mathias Borch przerwał przesłuchiwanie Serbów i ich kobiet, usiadł przy biurku naprzeciwko, sprawdził, czy Lund ma przy sobie telefon. Dochodziła jedenasta.

– Coś macie? – spytała.

– Parę wskazówek na temat zabawek erotycznych. W moim przypadku są bezużyteczne. To nie jest rok przestępny, prawda?

Był żonaty, dwójka dzieci. Nie mówił za dużo o rodzinie. Ale gdy raz go spytała, to nie miał szczęśliwej miny.

– A ty co masz?

– Dzwoniłam do sądu. Mat nie zeznawał tamtego dnia. Spotkał się z jednym z zastępców prokuratora. Zostawiałam mu wiadomości. Nie oddzwonił. Więc...

Wstała, chwyciła torebkę i płaszcz.

– A jeśli zadzwoni nasz człowiek?

Telefon leżał na biurku.

– Powiedział, że się skontaktuje po południu – odparła, podnosząc aparat. – Niedługo wrócę.

Z głębi pomieszczenia dobiegł okrzyk:

– Witaj, kochany!

Lund na chwilę przymknęła oczy. Odwróciła się, zobaczyła zbliżającą się matkę.

– Kochany? – spytała, po czym zrozumiała. Vibeke sunęła do rozpromienionego Borch, który wstał, kiwając głową i wygadując te wszystkie miłe rzeczy, które zawsze mówił, i całując ją w oba policzki.

– Nie mówiłaś, że Mathias tu pracuje! Całe wieki go nie widziałam. Od...

Juncker przyglądał się scenie z ciekawością.

– Od czasu, jak byliście... – dodała Vibeke. – Ile to już minęło?

– Jakiś czas – odparł Borch i wdał się w wytworną gadkę z rodzaju tych, które Lund zawsze doprowadzały do furii, ponieważ przychodziły mu z taką łatwością i taką oczywistą szczerością.

To Vibeke zakończyła tę wymianę zdań. Odciągnęła Lund na bok.

– Przepraszam, że tak się wpakowałam.

– To nie jest dobry moment, mamo.

– Proszę. – Wyciągnęła coś z torby. – Kupiłam ci książkę o ogrodnictwie. Nie masz zbyt dobrej ręki do kwiatów. Temu twojemu domkowi przydałoby się trochę zieleni.

Borch podsłuchiwał. Sprawiał wrażenie ubawionego. Lund odciągnęła matkę trochę dalej.

Matka zaś nie mogła od niego oderwać wzroku.

– Zawsze myślałam, że to Mathias zostanie mężczyzną twojego życia – wyszeptwała. – Nie ten nadęty drań, za którego wyszłaś.

Lund włożyła płaszcz, gotowa do wyjścia.

– Musimy pogadać o Marku – powiedziała szybko Vibeke.

– Co to znaczy?

– Nie chcę, żeby między wami się coś popsuło.

– Między nami jest dobrze. Zaprosiłam go z dziewczyną na kolację. Nie dali rady. I tyle.

Vibeke położyła dłoń na ramieniu córki i przysunęła się bliżej.

– Był mały, kiedy się rozwiedliście. Potem już nigdy nie było łatwo. Tamta straszna sprawa. Ta z dziewczyną...

„Ciebie interesują tylko martwi ludzie”.

Dwunastoletni Mark rzucił jej w twarz te słowa w trakcie śledztwa w sprawie Birk Larsen; ciągle ją prześladowały.

– Taka byłaś pochłonięta pracą, Sarah...

– Po co tu przyszłaś? – spytała Lund tak gwałtownie, że całe biuro to usłyszało.

Vibeke rzadko miała problem z mówieniem, co myśli. Ale teraz nie starała się być otwarta. Wręcz przeciwnie.

– Mark prosił... Mark prosił, żebym ci przekazała, żebyś dała mu spokój. Żebyś nie dzwoniła. I nie kontaktowała się z nim.

Lund zrobiło się zimno. Poczwała się głupia. I samotna.

– Zgłosi się do ciebie, jak będzie gotów – dodała Vibeke. – Daj mu czas. Pogadam z nim. – Pocałowała córkę w policzek, uśmiechnęła się do Borch, spojrzała na drzwi. – Wszystko będzie dobrze. Tylko jeszcze nie teraz.

I wyszła.

Borch podszedł do Lund.

– Możemy wyskoczyć na kawę, jeśli chcesz – powiedział. – Ja bym sobie chętnie zrobił przerwę w tym...

– Jadę do sądu – odparła. I już.

Hartmann skończył pierwszy tego dnia punkt programu, czyli przemówienie do pracowników biurowych nieopodal lotniska Kastrup, po czym skierował się do swojego niebiesko-białego autokaru. Karen Nebel powiedziała, że dziennikarze stali się bardziej agresywni w sprawie sojuszu z Rosą Lebech.

– Nie możemy tego odwlekać cały dzień. Ona nie może już dłużej stać w rozkroku.

– Może – odparł, mając już dość tej rozmowy. – Daj jej czas. Dopilnuj, żeby Ussing dostał jakiś raport od PET. Cokolwiek. Jak chcesz, sama go napisz.

– Mam za dużo zajęć, żeby jeszcze pisać raport. Birgit Eggert chce z tobą rozmawiać.

Eggert była ministrem finansów. Wiecznie spiskującą kobietą, która od lat pragnęła stołka przewodniczącego partii.

– Obejdę się, dzięki.

– Za późno – szepnęła Nebel.

Eggert pojawiła się przy autokarze ubrana w długi granatowy wełniany płaszcz. W klapie miała znaczek wyborczy ze zdjęciem Hartmanna. Wysoka, krótko ostrzyżone siwe włosy, męska, władcza twarz, miała pięćdziesiąt parę lat, dziesięć więcej od Hartmanna. Ale ambicja ciągle w niej nie gasła.

Podeszła zdecydowanym krokiem, pogratulowała mu kampanii. I wyszeptała do ucha:

– Musimy pogadać. Na osobności.

W drodze do miasta autokar zajechał we wskazane przez nią miejsce. Przy zielonej łące tuż obok drogi. Wysiedli we dwójkę i przeszli po smętnej

trawie.

– Pamiętasz to miejsce, Troels?

– Niezupełnie.

– To nasz business park. Zadeklarowaliśmy w manifeście, że go tu wybudujemy. – Roześmiała się. – Myślę, że to jeden z plusów recesji. Ty się za bardzo nie oglądasz za siebie. Same świetliste nadzieje i wspomnienia. Nikt się już od nas nie domaga dotrzymania tamtych obietnic, prawda?

– A powinien – odparł. – Poprawimy świat.

– A ty jesteś właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Wskrzesałeś partię. Ludzie cię kochają. – Uśmiech. – W każdym razie większość ludzi.

– Birgit, jestem naprawdę bardzo zajęty. O co chodzi?

– Musimy mieć pewność, że Zeeland jest po naszej stronie. Bez nich nasza polityka gospodarcza leży w gruzach.

Pokręcił głową.

– Czytałaś oświadczenie Zeuthena, prawda? Ten artykuł był stekiem bzdur. Kornerupa już nie ma...

– Zeeland nie jest własnością Roberta Zeuthena. On nie może dyrygować wszystkimi. Kornerup nie wykręciłby takiego numeru za rządów ojca Zeuthena. Powiedziałaś Rosie Lebech, że zrezygnujemy z cięć w ubezpieczeniach społecznych...

Eggert od początku była temu przeciwna – i przegrała. Zdziwił się, że znowu chce wyciągać temat, i wyraził to zdziwienie na głos.

– Rzecz w tym, Troels, że ustąpiłeś jej we wszystkim, a ona udaje niedostępną. – Chwila przerwy. – W każdym razie w kwestiach politycznych.

Hartmann przypomniał sobie przestrożę Mortena Webera: jeśli z wnętrza obozu ma paść cios, to zada go ta kobieta.

– Dzięki zagrywkom Ussinga naciska na nią teraz jej własna partia. Poradzi sobie z tym. Dzisiaj.

Eggert patrzyła na pusty teren, nie na niego.

– Krążą plotki, że łączy cię z Rosą nie tylko polityka. To prawda?

Spojrzał na nią groźnie.

– Przerwałaś naszą kampanię, żeby zapytać o moje życie uczuciowe?

– Nic mnie nie obchodzi twoje życie uczuciowe – warknęła Eggert. – Nie chcę patrzeć, jak z byle powodu obraca się w proch wszystko, co zbudowaliśmy. Ussing nie bawi się w figle. Zaproponował Lebech układ. Pełne partnerstwo w rządzie w wypadku jego wygranej. Wysokie stanowisko ministerialne.

Milczał.

– Więc ci nie powiedziała? – spytała Eggert z uśmiechem. Hartmann ostentacyjnie spojrział na zegarek. – Wiesz, z jakiego powodu nie miesza się polityki i miłości?

– Nie wątpię, że zaraz mi wyjaśnisz.

– Prędzej czy później trzeba dokonać wyboru. Zdecydować, co ważniejsze. I co wybierzesz?

Hartmann się roześmiał.

– Skoro musisz pytać, to naprawdę zupełnie mnie nie znasz. Jak tam gospodarka, Birgit?

– Beznadziejnie.

– To może wróć do siebie i się nią zajmij. Co ty na to?

Budynek sądu na placu Nytorv, wielki gmach z klasycznym portykiem wspartym na sześciu kolumnach jońskich. Na fasadzie – inskrypcja

o sprawiedliwości, ponad szczytem – maszt flagowy. Kiedyś, jeszcze jako kadet, weszła schodami na górę, by zobaczyć widok z dachu. Ostatnio więcej czasu spędzała w sąsiadującym z sądem areszcie, do którego wchodziło się przez kilka zamkniętych przejść za rzędem wielkich łuków.

Zanim opuściła komendę, zajrzała do bazy danych personelu Ministerstwa Sprawiedliwości i do akt zastępców prokuratora. Zerknęła też na fotografię. Peter Schultz był urzędnikiem średniej rangi, pracował dla ministerstwa od dziesięciu lat. Szczupły, ascetyczny czterdziestolatek z brodą artysty.

Lund rzadko radziła sobie z prawnikami. Oni zawsze chcieli rozmawiać z policją na swoich warunkach. Nie miała powodu sądzić, że z Schultzem będzie inaczej.

Traf chciał, że spotkała go na schodach prowadzących do sądu, pod portykiem; właśnie się żegnał z jakimś innym prawnikiem. Lund przerwała, wyjaśniła, że to ona zostawiła mu te wszystkie wiadomości.

– Strasznie jestem dzisiaj zajęty – wyjaśnił Schultz i rozbawiony spojrzał na kolegę. Tamten wszedł do sądu, postukując palcem w zegarek.

– Ja też. Tak jak mówiłam, musimy porozmawiać o macie ze statku Zeelanda. Z „Medei”. To jego zabito w porcie...

– Odebrałem pani wiadomość. – Wskazał ręką gmach. – Ale właśnie idę na rozprawę, a sędziowie nie czekają.

– To dotyczy porwania Emilie Zeuthen i zabójstwa trzech osób. Myślę, że sędzia zrozumie.

– Nie zna go pani.

Przeszła kilka kroków, by stanąć przed wejściem i odciąć mu drogę.

– Spotkał się pan z tym matem?

– Na chwilę. – Sprawiał wrażenie zdenerwowanego. – Przyszedł i domagał się spotkania ze mną. Nie wiem dlaczego. Nie mówił po duńsku.

Po angielsku nie najlepiej. Twierdził, że należą mu się pieniądze za stawienie się w sądzie jakiś czas temu. Jechał do domu i chciał te pieniądze dostać.

Schultz machnął ręką do kogoś, kto wchodził do budynku, obiecał, że zaraz dołączy.

– Ta sprawa, o którą mu chodziło, nigdy nie trafiła na wokandę. Nie było więc pieniędzy.

– Ale Zeelandowi podał inny powód. I nie wybierał się też do domu.

Drobne ramiona Schultza zadygotały.

– Tak mi powiedział.

Prawnik zrobił unik, obszedł ją i ruszył do drzwi.

– Jaka to sprawa? – spytała.

– Nie możemy tego odłożyć na później?

– Mam to powiedzieć rodzinie Zeuthenów?

– Jakaś dziewczynka uciekła z domu gdzieś w Jutlandii. Popelniła samobójstwo. Ten mat z kumplami znaleźli jej ciało w porcie. Przesłuchiwała ich miejscowa policja.

– Kiedy to było?

– Muszę iść. Proszę do mnie zadzwonić jutro.

– Muszę znać nazwiska tych pozostałych mężczyzn. Może to ci sami, których znaleźliśmy na „Medei”. Schultz. Schultz!

On już jednak pchnął skrzydło zielonych drewnianych drzwi i wchodził do budynku. Jeszcze przelotny uśmiech i zniknął.

Zadzwonił telefon Lund, jej własny, nie ten Emilie, spoczywający bezpiecznie w jej kieszeni.

– Chyba coś mamy – powiedział Asbjørn Juncker. – Jedna z prostytutek mówi, że słyszała dziecko płaczące w budynku gdzieś obok pomieszczenia, w którym mieszka. W dzielnicy przemysłowej w Vasbygade.

Zostawiła samochód za rogiem. Do Vasbygade miała dziesięć minut drogi.

– Spotkamy się na miejscu – powiedziała.

Reinhardt rozmawiał już z PET i z ochroną Zeelanda. Teraz przekazywał zdobyte informacje Robertowi i Mai Zeuthenom w sali konferencyjnej.

– Jedni i drudzy chcą, żebyś zaczekał z pieniędzmi. Cokolwiek zaproponujesz, on pewnie to odrzuci. Musisz mieć pole manewru.

Maja patrzyła spode łba.

– Nie chodzi o pieniądze. Chodzi o odzyskanie Emilie.

Zeuthen – w samej koszuli bez marynarki, z krawatem porządnie zawiązanym na szyi – kiwnął głową.

– PET też to wie – nie ustępował Reinhardt. – Nie chcą cię namawiać, żebyś nie proponował okupu. – Spojrzał na nich oboje. – Powiedziałem, że to miałyby się z celem. Starają się jak najbardziej skrócić całe negocjacje. Z tego powodu musisz dać mu myśleć, że wygrał.

– Ile? – spytał Zeuthen.

– Jak najmniej. On chce, żebyś złożył ofertę. To tylko taktyka. Zaczynij...

– To wszystko stało się przez pieniądze – krzyknęła Maja. – Nie oszczędzaj na życiu mojej córki!

– Ale też dzięki pieniądзом to rozwiążemy – odparł Zeuthen.

– Ten człowiek czeka na ofertę. Chce wiedzieć, ile Emilie jest dla nas warta – ciągnęła. – Więc powiedz mi, Robercie. Ile?

Podszedł do okna, wyjrzał na doki i na miasto za nimi.

– Chcę, żeby ona wróciła do domu – mówiła Maja. – Nie obchodzi mnie, ile cię to będzie kosztować.

Zeuthen czekał, aż żona powie coś jeszcze. Ale skoro milczała, zwrócił się do Reinhardta:

– Daj mu tyle, ile mówiliśmy. Jeśli to za mało, podniosę stawkę. Weź pieniądze z moich osobistych zasobów. Nikt poza mną nie będzie ponosił tych kosztów.

Sięgnął po marynarkę.

– Przekaż to PET i policji – dodał. – I bankowi.

Wyszedł. Mijał pomieszczenia biurowe, świadom, że wszystkie oczy go śledzą. Podeszedł do windy, przeprosił kogoś, kogo potrącił. Stał sam, patrząc, jak światelko przeskakuje z jednego piętra na drugie. I zjechał na parking.

Wsiadł do lśniącego range rovera. Spojrzał na swoje odbicie w lusterku. Zwyczajny człowiek, uwięziony w eleganckim garniturze, w wyprasowanej koszuli, statecznym krawacie, zestawie wartości, które mu wpajano od urodzenia.

Jedyne, czego pragnął, to rodzina. Kochająca żona. Szczęśliwe dzieci. Nie bogactwo czy władza. A teraz właśnie to tracił.

Na opustoszałym parkingu podziemnym, w obrzydliwych oparach benzyny, bezbarwna, nieruchoma twarz w lusterku naigrywała się z niego.

Coś obcego rosło w gardle Zeuthena. Wściekłość i złość. Zamknięty w wielkim samochodzie wrzeszczał i krzyczał, walił pięściami w obciążoną skórą kierownicę, stopami w ręcznie szytych butach walił w podłogę.

A skoro dał upust gniewowi, zerwał krawat z szyi. Na jeden krótki moment stał się kimś innym.

Ale to nie trwało długo. I świat się nie zmienił, gdy nagła furia ustąpiła. Odchylił głowę. Po chwili zawiązał krawat jak należy. Po czym powoli, ostrożnie wyprowadził range rovera z garażu, wyjechał na ulicę i ruszył do Politigården.

Lund była właśnie w przemysłowej dzielnicy Amager, gdy Brix zadzwonił z informacją o propozycji okupu Zeuthena: dziesięć milionów koron.

– Ile to jest w euro? – spytała.

– Nie wiem. Jakies milion czterysta tysięcy?

– Powinno być w euro – powiedziała Lund. – Będzie chciał łatwo je wywieźć za granicę. Każdy by się rzucał w oczy, jeśli się pojawi w Ameryce albo we Włoszech, ciągnąc ze sobą dziesięć milionów koron.

– No to właśnie jest propozycja – warknął Brix. – Szkoda, że nie uczestniczyłaś w rozmowie. Borch powiedział, że pojechałaś badać jakąś starą sprawę sądową.

– Jestem w Vasbygade. Zeszłej nocy ktoś słyszał tu płacz dziecka.

Ponure miejsce. Jakoś nie była w stanie uwierzyć, że nawet serbscy handlarze żywym towarem mogliby trzymać ludzi w takiej norze. Nagie budynki przemysłowe, niewiele różniące się od kontenerów, w pewnym oddaleniu od drogi w stronę lotniska. Łatwy dostęp do wszystkich wylotówek. Kilku innych funkcjonariuszy sprawdzało budynki od zewnątrz.

– Macie coś? – spytał Brix.

– Ja niczego nie widzę.

– Zeuthen jedzie pogadać o okupie. Chcę, żebyś przy tym była.

– Świetnie.

Młody policjant na czworakach oglądał jakieś ślady na podłodze przy wielkiej szafie na akta. Wyglądało na to, że coś stąd niedawno usunięto. Lund zaczynała lubić Asbjørna Junckera. Wbrew chłopięcemu wyglądowi był dość uparty i twardy.

– Co to? – spytała Lund.

Nie odpowiedział. Wstał. Pociągnął za uchwyty szuflad.

– Tu z tyłu coś jest – powiedział i dźwignął mebel.

Ten przewrócił się na podłogę z hukiem, który rozniósł się po pustym pomieszczeniu. Odsłoniło się wąskie przejście. Żelazna krata na niskich drzwiach.

– Załatw jakieś narzędzia – poleciła Lund.

Zadzwoił telefon. Wyciągnęła go. Spojrzała. Wygaszony ekran.

Zakłęła. Zdała sobie sprawę, że to inny, raczej dziecięcy dzwonek. Wyjęła aparat Emilie.

– Dzień dobry, Lund – powiedział ten sam bezbarwny, grzeczny głos z poprzedniej nocy. – Chciałbym usłyszeć twoją propozycję.

– Dzwonisz wcześniej.

– A ty marnujesz czas. Nie możesz namierzyć rozmowy. Nie jestem kretynem.

Wyszła na zewnątrz, zamrugała powiekami, zaskoczona ostrym, zimowym słońcem przebijającym się przez chmury.

– Zeuthen chce ci dać dziesięć milionów koron. W nieoznakowanych banknotach. Nienamierzalne.

Cisza.

– Co ty na to?

Nadal się nie odzywał.

Odsunęła się od drogi, z której dobiegał hałas przejeżdżających samochodów.

– Zagwarantujemy ci bezpieczne przekazanie. Powiedz nam, co mamy robić. Zeuthenowie chcą tylko, żeby Emilie wróciła do domu. Nic poza tym. No i?

– Co no i?

– Czy to wystarczy?

Roześmiał się.

– Pytasz mnie, czy ta suma odpowiada długowi, który chciałbym odzyskać?

Lund patrzyła na rząd hal. Rozwalały się. Większość najemców pewnie zbankrutowała.

Intrygowało ją coś w sposobie mówienia tego mężczyzny. Sprawiał wrażenie kulturalnego, wykształconego. I dość obojętnego.

– Ponieważ nie wiem, jaki to dług, nie mogę o to pytać, prawda?

– Na ile szacujesz wartość dziewczynki?

– Myślę, że przeciągasz strunę. Nie jesteśmy głupi i jeśli będziesz się wahał, znajdziemy cię. To najlepsze, co możesz zrobić. Przyjmij tę propozycję. Oddaj dziewczynkę. A potem zabieraj się z Danii.

Wydawało jej się, że mężczyzna znowu się śmieje.

– Dobra – powiedział.

– Więc jak to zrobimy? Gdzie mamy dostarczyć pieniądze?

– O siedemnastej dwadzieścia trzy ze stacji Nørreport odjeżdża pociąg. Linia A w stronę Hundige. Ty masz przynieść pieniądze. Jeśli zobacze kogokolwiek innego, ona umrze.

I koniec.

Podszedł Juncker.

– Działamy? – spytał.

Autokar sztabu wyborczego przemykał od jednej sesji fotograficznej do drugiej. Zadzwoiła Rosa Lebech i poprosiła o pilne spotkanie w jakimś ustronnym miejscu. Hartmann wybrał spokojny punkt nieopodal plaży na Amager. Po drodze Karen Nebel odebrała telefon od Dyhringa, szefa PET. Hartmann siedział naprzeciwko, patrzył i słuchał tonu jej głosu.

– Dobre wieści? – spytał, gdy skończyła.

– PET mówi, że ustalono przekazanie okupu. Zeuthen zaproponował dziesięć milionów koron. Porywacz się zgodził.

– Miejmy nadzieję, że się uda.

Jej leżący na stole iPad piknął. Spojrzała na mejla.

– Ussing na razie zgadza się na rozejm.

– Na razie? – powtórzył Hartmann.

– Nie oczekujemy żadnych przysług, prawda?

– Pewnie nie. Kiedy odbędzie się przekazanie okupu?

– Po siedemnastej. Chyba nie sądzisz, że podałem mi szczegóły?

– Jak tylko ta akcja się skończy, chcę o tym wiedzieć.

Nebel przesiadła się na miejsce obok niego. Granatowy kostium. Blond włosy ciasno związane na karku. Doskonały makijaż. Wyglądała dokładnie tak jak w telewizji.

– Jedna rada – powiedziała cicho, tak żeby nikt poza nim jej nie usłyszał.

– Uważaj z Rosą Lebech. Ona ma własny plan...

– Jak my wszyscy. Do ciebie też dotarła Birgit Eggert?

– Rosa nic by nie zyskała, stając teraz za tobą. Ja na jej miejscu bym tego nie zrobiła. – Wpatrywała się w niego, czekając, aż na nią spojrzy, i na ułamek sekundy dotknęła rękawa jego koszuli. – Cokolwiek bym do ciebie czuła.

Hartmann zastanawiał się nad Nebel kilka razy. Była atrakcyjna. Rozpoznawał w niej niespokojny głód, który dawał mu do myślenia. Jej małżeństwo się rozpadło z powodu pracy dla rządu. Zdarzały się chwile, późną nocą, kiedy o mało między nimi do czegoś nie doszło. Ale ona była jego pracownikiem. Jak Rie Skovgaard, gdy Hartmann walczył o fotel burmistrza. Wtedy nic z tego nie wyszło. Romansom biurowym brakowało dystansu, były trudne do zakończenia. A Karen Nebel nie należała do

kobiet, które łatwo by przyjęły nieuniknione łagodne odrzucenie. Ta ostatnia myśl ostatecznie go powstrzymała. Ale niewiele brakowało.

– Po co jej kolejne spotkanie? – spytała Nebel.

Widzieli już długą, pustą plażę.

– Lepiej się dowiem – odparł Hartmann.

Kilka minut później szedł z Rosą Lebech, oboje zakutani przed przenikliwym wiatrem. Latem trudno było tu znaleźć miejsce. Zimny listopad sprawił, że byli tu prawie sami.

– Jeśli będziemy kultywować takie spotkania, muszę kupić kamper – powiedział Hartmann. – Kuchenka gazowa i rozkładane łóżko. Może to zresztą nie najgorszy pomysł...

Miała na sobie modny płowy płaszcz, pod szyją czerwony szalik. Pomyślał, że wygląda na zmęczoną. Prawdopodobnie wszyscy byli zmęczeni.

– Ussing zgadza się na rozejm.

Lebech kiwnęła głową. Może już to wiedziała.

– To dobre wieści.

– Więc kiedy wygłosisz oświadczenie?

Patrzyła na plażę. Na piasek wirujący na wietrze.

– Wieczorna debata w telewizji chyba byłaby idealną okazją – dodał.

– Musimy poczekać. Dzisiaj nie jest dobry moment. Rano będzie to wyglądało lepiej.

– Nie możemy ciągle tego odkładać, Roso.

– W tej chwili media zajmują się tylko jedną sprawą. Porwaniem córki Zeuthenów. Ono kradnie cały show.

– Miejmy nadzieję, że ten, jak mówisz, show, niedługo się skończy – odparł. Starał się nie mówić za ostro.

Nie odpowiedziała.

– Ussing się do ciebie dobił?

– Nie do mnie. Do mojego zastępcy. I paru innych. Niezły jest w skłócaniu.

– Chyba mu nie pozwolisz wykorzystać takiej straszliwej zbrodni do własnych celów. – Przyglądał się jej bacznie. – Prawda?

Po chwili odpowiedziała:

– Masz rację. Postawię się. Poprzemy cię po dzisiejszej debacie.

– Dziękuję.

Ekipa robiąca kampanię przyglądała im się z autokaru. Zastanawiał się, czy warto się tym przejmować. Po chwili wahania lekkim gestem położył dłoń na jej talii, uśmiechnął się. I już jej nie zdjął.

Została godzina. Zebrali się w Politigården, gotowi do akcji przekazania okupu. Borch układał pieniądze w czarnej torbie pod okiem Roberta Zeuthena, jego żony i Brixa. Lund siedziała w rogu pokoju, przeglądała akta na komputerze.

– Możemy wrzucić GPS – powiedział Borch. – W ten sposób...

– Nie! – zareagował ostro Zeuthen. – Róbcie, co on mówi. Nie obchodzą mnie pieniądze.

Lund wyczuła, że szykuje się kłótnia, podeszła do biurka, spojrzała na Borchą. Zrozumiał.

– Jak on przekaże Emilie? – spytała Maja Zeuthen.

– Nie wiemy – odrzekła Lund. – Nie powiedział.

Brix wyjaśnił, że akcja przekazania okupu będzie monitorowana z Politigården drogą radiową, dzięki dostępowi do okolicznych kamer przemysłowych.

– Mogą państwo zostać i popatrzeć – dodał.

– Nie – odparła Maja Zeuthen. – Chcę tam pojechać. To moja córka. Nie mogę tak siedzieć i czekać.

Jej mąż kiwnął głową.

– Nie będziemy przeszkadzać.

– Mogą państwo być w pobliżu – orzekła Lund, zerkając na telefon. Po czym spojrzała na drugą stronę stołu. – Jeśli to państwu odpowiada.

Brix chrząknął i zabrał Zeuthenów na korytarz. Pewnie na naradę, jak oceniła Lund.

– To mu się nie podobało, Sarah – powiedział Borch.

– Jak to się skończy, będę siedziała na cichej i ciepłej posadce w OPA. Chyba nie mam się czym przejmować. Ten prokurator, Schultz... On wie więcej, niż mówi. I ciągle nie oddzwania.

– Może... jest zajęty? – zasugerował Borch.

– Mówię ci, że tu się coś dzieje. Ten człowiek chce zwrotu długu. Nadal nie wiemy, co to jest.

– Wydostaśmy po prostu dziewczynkę. Potem się przyjrzymy Peterowi Schultzowi.

Zastanawiała się chwilę nad jego słowami.

– Czy ja ci podałam jego imię?

– Tak – odrzekł szybko. – Podałaś. Rozmawiałaś z synem?

– Nie teraz.

Spojrzała na torbę na stole. Dziesięć milionów koron. Będzie ciężka.

– Wiesz, co zawsze przywracało mnie do rozumu, kiedy się kłóciłem z moimi rodzicami? Przynosili mi pizzę. I piwo. Zawsze skutkowało.

– Pamiętam – odparła Lund.

W studiu telewizyjnym, za scenografią przygotowaną do debaty, pomiędzy monitorami i ekipą przechadzał się Anders Ussing. Z takim

wrzaskiem dopominał się o spotkanie z Hartmannem, że w końcu Karen Nebel przyprowadziła go i zostawiła ich samych.

– Musisz mieć krawat, Anders – powiedział Hartmann. – I make-up.

– W cholerę z make-upem! – Ussing trzymał w ręku kilka kartek. – Te bzdury, które mi przysłałeś...

Hartmann wziął od niego papiery. Wysłał mu ten raport o zajściu w porcie poprzedniego dnia, ale wiedział, że zawiera niewiele.

– Mówiłeś, że chcesz raport. Przekazałem im, żeby ci go dostarczyli. A ty ciągle czegoś chcesz...

– Możesz zapomnieć o rozejmie.

Hartmann spojrzał na niego groźnie.

– Pogadajmy szczerze. Jesteś wkurzony, bo próbowałeś przewrócić w głowie Rosie Lebech i nie udało ci się. Nie wciągaj w to Zeuthenów.

– Cholera! Chcę raport zawierający wszystkie szczegóły. Nie z tymi ochłapami, które ci pasują.

Hartmann zmrużył oczy.

– Co? – spytał.

– Istnieje notatka na ten temat. Sprzed tygodnia. Wiem...

– Słuchaj. – Dźgnął palcem krzepkiego socjalistę. – Nie muszę ci dawać absolutnie nic. I tak już wiesz więcej, niż powinienes. Chodźmy debatować o rzeczywistych problemach, a tę sprawę zostawmy policji.

Ussing ani drgnął.

Po czym się rozpromienił.

– O rzeczywistych problemach? Dobra, Troels. Masz rację. Tak właśnie zrobimy.

Stacja znajdowała się pośrodku ruchliwej ulicy: z każdej strony podjeżdżały na nią autobusy i odjeżdżały. Długie schody prowadziły w dół

do pociągów metra. Lund niosła pieniądze w ciężkim plecaku. Panował tu duży ruch. Ludzie wracali do domów. Inni wychodzili spędzić gdzieś wieczór.

Pociąg nadjechał punktualnie. Lund wsiadła. Jedne drzwi dalej wsiadł Mathias Borch. Zerknął na telefon. Działał w metrze. WiFi też. Mogli pozostać w kontakcie. Porywacz też.

Zadzwonił minutę po tym, jak pociąg ruszył.

– Wsiądź na Sjælør i przesiądź się na linię E, jadącą na północ.

– Muszę porozmawiać z Emilie.

Rozłączył się.

Brix wysłał Roberta i Maję Zeuthenów na dworzec główny, umieścił ich nad holem, pod opieką trzech funkcjonariuszy utrzymujących stały kontakt radiowy. Zeuthen wiedział, że to strzał w ciemno. Nie było podstaw, by sądzić, że porywacz pojawi się na najbardziej uczęszczanym węźle komunikacyjnym w mieście. Politigården chciała się ich pozbyć, umieścić w miejscu, gdzie nie będą przeszkadzali. Rozum mu podpowiadał, że to logiczne. Ale Maja tak nie uważała. I jego serce też mówiło, że nie. Oboje czuli się odpowiedzialni za zniknięcie córki. Obojgu doskwierało poczucie winy. Mieli więc niecierpliwą, nagłą, głupią potrzebę, by coś zrobić, chociaż w głębi serca oboje wiedzieli, że niczego nie osiągną.

Mieli przygotować pieniądze.

Dać je Lund.

Modlić się, by się udało.

Teraz stali obok siebie, patrząc, jak tłumy przemieszczają się miarowo przez hol dworca.

Robert myślał tylko o minionej nocy. O zmarnowanych szansach na zmianę biegu wydarzeń. Chciał oddalić się od niewidocznego potwora

czyhającego na dzikich terenach pośród nagich drzew, za uszkodzonym ogrodzeniem.

– Czasami wracała i miała mokre buty – powiedział, nie mając nawet odwagi na nią spojrzeć. – Mogłem spytać dlaczego. Powinienem się domyślić, że była gdzieś, gdzie nie powinna.

Maja nie patrzyła na niego. Cały czas wpatrywała się w tłum na dole. Zwyczajni ludzie, znudzeni, zmęczeni, niezadowoleni, udawali się do domu, wiedząc, że dzisiaj nic im się już nie wydarzy.

– Gdybym ci pozwolił ją zabrać...

Westchnęła. Posłała mu spojrzenie, którego nie umiał zrozumieć, po czym powiedziała:

– Przepraszam, że ci nie ufałam, Robercie. Wiem, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

– Ale to nie wystarczyło, prawda?

– Przejdziemy przez to. – Spojrzała na niego i po raz pierwszy od miesięcy nie widziała w jej oczach nienawiści i żalu. – Musimy. Dla Emilie. Dla Carla. – Chwila ciszy. – I dla siebie.

Spojrzał w jej przejrzyste niebieskie oczy i zamyślił się. Ona wyciągnęła rękę i na jeden za krótki moment dotknęła jego dłoni, ścisnęła ją.

– Uczymy się, jak żyć po rozwodzie, prawda? – powiedziała. – Musimy nad tym popracować.

Zeuthen kiwnął głową. Poczul się wyjątkowo żałośnie i za nic nie chciał tego okazać.

Jeden z towarzyszących im funkcjonariuszy rozmawiał przez radio. Zauważył, że go obserwują. Zakończył rozmowę. Pokręcił głową: nic.

Pociąg turkotał w trzewiach Kopenhagi, pod dworcem głównym toczył się i dudnił.

Lund przyglądała się twarzom pasażerów. Skupiła się zwłaszcza na dwóch. Młodego mężczyzny w czerni siedzącego naprzeciwko niej – uśmiechał się, ewidentnie zachęcająco. Starszy, powłóczyący nogami, w skafandrze, na ławce kawałek dalej, wbił wzrok w podłogę.

Nie patrzyła na Mathiasa Borch, który przysiadł na końcu wagonu.

„Myślałam, że to mężczyzna twojego życia”.

Jej matka nie miała prawa tak myśleć. Nie miała wyboru. To było silniejsze od niej.

Pizza. Piwo.

To nie był taki zły pomysł. Gałązka oliwna. Żałosny sposób, by powiedzieć: przepraszam za te wszystkie lata zaniedbania.

Młody człowiek naprzeciwko ciągle się uśmiechał. Lund patrzyła mu prosto w oczy.

Zadzwonił telefon.

– Wsiądź na Vesterport – powiedział głos. – Idź na peron w przeciwnym kierunku.

Spojrzała na czerwoną wskazówkę stacji w wagonie.

– Już tam dojeżdżamy.

– Wiem. Masz mało czasu na przesiadkę. Jeśli chcesz uratować to dziecko, lepiej się pośpiesz.

Lund stanęła przy drzwiach. Czekala. Pisk hamulców. Wyszła na peron. Po drugiej stronie stał już pociąg. Drzwi się otwierały, ponaglając pasażerów. Borch też wysiadł. Spojrzała w bok. Znieruchomiała.

Na peronie stał Mark. Wysoki Mark. Prawie dziewiętnastoletni, chociaż w jej głowie wciąż był to ten sam cudowny chłopczyk, którego kiedyś zabrała na Wyspy Owce, próbowała rozpieszczać, przekonywać, że zawsze będzie kochanym, doskonałym, uwielbianym synem, choćby nie wiadomo jak bardzo jego rodzice się nie cierpieli.

„Ciebie interesują tylko martwi ludzie”.

To nie była prawda. A jeśli, to ta zmiana przyszła później, przy sprawie Birk Larsen. Niechciana, niepożądana – albo tak chciałyby myśleć.

Miał na sobie zniszczoną kurtkę. Od razu chciała mu kupić nową. Ale on się uśmiechał, rozmawiał ze śliczną młodą kobietą o blond włosach i żywej, szczęśliwej twarzy. Starsza od niego. Lund od razu to zauważyła.

Nagle się odwróciła i Lund zobaczyła jej wielki brzuch. I jak otacza go rękoma, tuląc dziecko w środku.

Dlatego ostatnio nie przychodził. Lund zrozumiała to w jednej chwili.

Usłyszała głos, wołał ją już od jakiegoś czasu.

– Sarah! Ej!

Borch był w pociągu, opierał się o drzwi, żeby się nie zamknęły.

Mark z dziewczyną wsiedli. Borch zdumiony ruszył w stronę Lund.

Drzwi właśnie się zamykały. Lund skoczyła ku nim. Wcisnęła guzik. Patrzyła, jak pociąg rusza, jak nabiera prędkości. Mignął jej Mark z dziewczyną, nie odrywali od siebie oczu.

Poczuła, jak ziemia usuwa się jej spod nóg.

Ręka Borchy powstrzymała ją przed upadkiem.

– Co się stało? – spytał.

W głowie się jej kręciło.

– Przepraszam...

Dziewczynka. Porywacz. Mark. Towarzyszka mu kobieta.

– Co...?

– To był mój syn – odparła. Znów była tu, z Borchem, i próbowała zrozumieć to, co się stało. – Cholera...

Zadzwonił telefon.

Ona odezwała się pierwsza:

– Nie zdążyłam na pociąg.

– Kiepska jesteś, co, Lund?

– Czy nie dlatego mnie wybrałeś?

Cisza.

– Ciągłe mam pieniądze. Możemy to zrobić.

– Wiem. Pogadaj z ludźmi, którzy ci towarzyszą. Niech zamkną metro. Zatrzymają pociągi. Odetną zasilanie. Potem idź tunelem. W kierunku, w którym odjechał ten pociąg.

Spojrzała na czarną dziurę, na światła znikające w jej paszczy.

– Mam tam iść?

– Chcesz, żeby Emilie wróciła, prawda? Idź, aż po prawej zobaczysz klatkę schodową. Skieruj się do góry. Potem się skontaktuję.

– Posłuchaj...

– Nie masz czasu.

Ussing uderzył w czuły punkt w drugiej minucie debaty. Tematem miała być polityka gospodarcza.

– Potrzebna nam szeroka koalicja, żebyśmy przetrwali kryzys – powiedział Hartmann. – Partnerstwo oparte na zaufaniu i wzajemnym szacunku.

– Jakim zaufaniu? – przerwał mu Ussing. – Jakim szacunku? Twój układ z Partią Centrum leży w gruzach. Nie poprą cię po sprawie Zeelanda. Nie wierzą ani jednemu twojemu słowu.

– Z oczywistych powodów nie zamierzam w dzisiejszej debacie zajmować się Zeelandem – odpowiedział Hartmann. – Możemy się jedynie domyślać, jak wielki ból przeżywa w tej chwili rodzina Zeuthenów. Nie pozwolę, by stało się to tematem walki wyborczej. Partię Centrum i nas łączy solidne partnerstwo...

– Już nie! – pisnął Ussing. – Kiedy Lebech się dowie, że zdradziłeś nas wszystkich.

Hartmann pokręcił głową.

– O czym się dowie? – spytał.

– O tym! – Ussing podniósł w górę zadrukowane kartki, które przyniósł.

– To twój tak zwany raport na temat przebiegu wydarzeń, które zakończyły się porwaniem Emilie Zeuthen.

– To nie jest temat na debatę publiczną...

– Owszem, Hartmann. Kiedy ty podwajałeś ochronę własnej osoby, tę małą dziewczynkę porwano z domu rodzinnego. Mimo że twój własny minister sprawiedliwości tydzień wcześniej na spotkaniu ze służbami specjalnymi omawiał wzrost zagrożenia porwaniem członka rodziny Zeuthenów. Mam wewnętrzną notatkę z departamentu sprawiedliwości, która mówi o tym wprost.

I znowu machnął raportem Hartmanna.

– A tu nie ma o tym ani słowa. Bezbronna Emilie Zeuthen została porwana, gdy ty przechadzałeś się po Kopenhadze, zebrząc o głosy, otoczony uzbrojonymi strażnikami, którzy powinni chronić ją. Jak to wyjaśnisz?

– Już powiedziałem – odparł Hartmann. – Nie pozwolę, by cierpienie tej rodziny stało się elementem debaty publicznej.

Wtrącił się prowadzący.

– Nie chce pan w ogóle skomentować tych zarzutów? Naprawdę?

– Bezgranicznie ufam PET i policji.

Hartmann spojrział w stronę, gdzie miała czekać Rosa Lebech, gotowa wygłosić oświadczenie o koalicji w chwili, gdy debata dobiegnie końca. Widział, jak kłóci się z Karen Nebel. Jak kręci głową. I odchodzi.

– Tyle jestem gotów powiedzieć – dodał.

Dwie minuty zajęło wyłączenie zasilania i zatrzymanie pociągów. Potem Lund zeskoczyła na tory, wyjęła latarkę i weszła do zimnego, zatęchłego tunelu. Minęła żelazne słupy i jakieś stare graffiti; trzymała się ścieżki technicznej po prawej.

Linia w przeciwnym kierunku ciągle działała. Od czasu do czasu przetaczał się tamtędy jakiś pociąg, świecąc i hałasując. Widziała twarze w oknach. Nie miała pojęcia, ile już przeszła. Zaczęła się zastanawiać, czy aby nie przegapiła wskazanego miejsca. Nagle znowu zaczęły się graffiti, znak, że ta część tunelu jest dostępna dla wtajemniczonych. Po prawej zwieszała się stara, przerdzewiała, wąska drabina.

Chwyciła zimne poręcze, postawiła prawy but na pierwszym szczeblu i zaczęła się wspinać.

Po chwili poczuła zimne powietrze, usłyszała dobiegające z góry odgłosy ruchu ulicznego. Kłapa wjazdu była już zdjęta. Jeszcze trochę i Lund wyszła na powierzchnię. Otaczały ją słupki techniczne i ogrodzenie. Znajdowała się na brukowanym placu, przy którym zatrzymywały się żółte autobusy.

Zadzwonił telefon.

– Widzisz autobus numer czternaście? – spytał mężczyzna.

Właśnie wjeżdżał na przystanek. Pobiegnęła do drzwi.

– Mam wsiąść?

– Nie. Wrzucić do środka pieniądze.

Zatrzymała się, spojrzała na tłum i ludzi w środku. Zwyczajni, codzienni pasażerowie. Nie dało się śledzić pakunku. Lund zdjęła plecak, weszła na stopień, rzuciła plecak na ziemię i patrzyła, jak drzwi się zamykają. Autobus natychmiast odjechał – z okupem między nogami obcych ludzi.

– Dobrze – powiedział mężczyzna.

Lund się rozejrzała. On widział każdy jej ruch.

– Gdzie dziewczynka?

Cisza.

Już wiedziała, gdzie się znajduje. Plac Nytorv, gdzie rano nękała pytaniami niechętnego do rozmowy Petera Schultza. Szybkie kroki. Biegł ku niej Mathias Borch.

– Gdzie dziewczynka? – powtórzyła Lund.

– Spójrz do góry – powiedział głos, czysty, ubawiony. – Zawsze powinnaś patrzeć w górę. Musisz się tego nauczyć.

Gmach sądu. Najwyższy budynek na placu.

Z telefonem przy uchu odchyliła się tak, że aż strzyknęło jej w karku, i skupiła się na portyku z jego śmiałą dobrze widoczną inskrypcją o sprawiedliwości. Nic nie zobaczyła. Nagle na zwieńczonym szczycie, obok masztu flagowego...

– Co to jest? – wyszeptała.

– Przeczytaj ją.

Nigdy nie zwracała uwagi na słowa na budynku. To było miejsce, gdzie po prostu załatwiała sprawy.

Med lov skal man land bygge.

Państwo musi opierać się na prawie.

– Niezły dowcip, nie sądzisz?

Borch podszedł do niej, rozglądając się po placu.

– Mówiłem, że masz przyjść sama, Lund. – Jego poważny głos stał się nagle bardzo krytyczny; teraz przypominał nauczyciela. – Następnym razem rób dokładnie to, co każę. I dobrze się zastanów, zanim zapłacisz drobnymi za życie dziewczynki.

Portyk oświetlony był reflektorami. Coś wolno spadało ze szczytu. Chustka szybowiała jak wielki płatek śniegu w zimową noc. Borch

skierował na portyk swoją latarkę. Lund poczuła, jak oddech więźnie jej w płucach.

Wysoko, na szycie spadzistego dachu, dostrzegła skulonego mężczyznę. Miał coś na szyi.

– Zapamiętaj to – powiedział głos, i nagle postać runęła z dachu przywiązana do długiej, gwałtownie rozwijającej się liny.

Lecąc jak kamień, mężczyzna wrzeszczał, wymachiwał rękoma, nogami młócił powietrze. Nie roztrzaskał się o bruk placu Nytorv, bo zatrzymała go pętla na szyi i długa lina.

Trzask jak wystrzał. Pęknięcie kręgów.

Lund krzyknęła.

Patrzyła, jak powieszony człowiek kołysze się wolno niczym wahadło pomiędzy kolumnami jońskimi. Drobna, brodata postać Petera Schultza obracała się nieustannie.

Jakaś kobieta krzyknęła na ulicy. Od drzwi sądu nadchodzili pracownicy. Mathias Borch biegał jak oszalały, wzywając posiłki.

Dawno, dawno temu Lund też weszła na dach sądu. Kto chciałby stamtąd uciec, miałby do wyboru wiele możliwości.

Zaczynała kreślić w wyobraźni obraz tego człowieka. Kogoś, kto na zawołanie umiał wyłączyć system zabezpieczeń potężnej korporacji. Kto przenikał tunele miejskiego systemu komunikacyjnego. I zawsze był o krok przed nimi.

Już zniknął.

Pół godziny później plac roił się od policji. Brix był w fatalnym nastroju. Borch nerwowo wypatrywał tropów. Przeszukanie gmachu sądu nie dało nic prócz kiepskiego obrazu z kamer przemysłowych: mężczyzna

w kapturze wchodził przez dach od zachodu. Nietknięty okup znaleziono w autobusie.

Zdjęli ze sznura ciało Schultza. Front budynku – odgradzony dla techników – osłonięto przed dziennikarzami i ekipami telewizyjnymi.

– Pewnie dostał się tam po dachach i tą samą drogą odszedł – powiedział Borch.

– Czyli w autobusie nikogo nie było? – spytał Brix.

– Nie było i nie miało być – odparła Lund. – W ogóle nie chciał okupu.

– Rozmawiałaś z nim... – Brix wysłuchał w milczeniu jej relacji z tego, co się stało na stacji. – Zadzwoń jeszcze?

– Pewnie tak. Potrzebny mi samochód.

– Pewnie tak? – Podniósł głos, a to się rzadko zdarzało. – A co z Peterem Schultzem?

– Kontaktował się z nim mat z Zeelanda. Chciał pieniędzy. To miało coś wspólnego z jakąś sprawą sądową. Jakimś samobójstwem dziewczynki. Mat i dwaj pozostali członkowie załogi zeznawali jako świadkowie. Musimy zbadać tę sprawę.

Brix wziął długi, głęboki oddech.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Ponieważ to wypłynęło dzisiaj – wtrącił się Borch. – Nie było czasu.

– Potrzebny mi samochód – powtórzyła Lund. – Chcę jeszcze raz obejrzeć miejsce, które znalazł Juncker.

Szef Wydziału Zabójstw zatrzymał ją gwałtownym ruchem długiego ramienia.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie dostanę tego telefonu.

– Powiedział, że będzie rozmawiał tylko ze mną.

– Telefon!

Burknęła coś i podała mu aparat.

– Teraz możesz iść – dodał Brix. Kiwnął głową na Borch. – Ty też.

Wyładowała się na Mathiasie. Dała mu popalić po drodze. Poszło o telefon. Nie mieli żadnego zamiaru poza tym, że mężczyzna korzystał z operatora znajdującego się w Londynie.

– Skąd on to wszystko, do cholery, wie? – krzyczała. – I dlaczego nie ma z was większego pożytku?

To go rozwścieczyło.

– Większego pożytku? Myślisz, że dałbym radę dojrzeć na dachu mężczyznę z pętlą na szyi? Ty go zauważyłaś?

Dotarli do samochodu. Lund ze złością kopnęła drzwi.

– Poza tym – dodał Borch – to nie ja zatrzymałem się na peronie, żeby się na kogoś gapić, prawda?

Wsiadli do samochodu, Lund za kierownicę.

– A więc – kontynuował Borch – Mark zostanie tatusiem. Gratulacje.

Wyjazd blokowała im biała policyjna furgonetka. Lund walnęła w klakson.

– Dlaczego oni się nie ruszają?

– Za biurkiem w OPA, pracując od dziewiętej do siedemnastej, będziesz miała mnóstwo czasu na babciowanie.

Chciała powiedzieć, żeby się odpierdolił, ale spojrzała na niego i stwierdziła, że mówi poważnie.

– W ciekawy sposób się dowiedziałaś... – dodał, przyjaźnie wzruszając ramionami. – Pewnie Mark chce zachować wszystko w tajemnicy, dopóki nie będzie gotowy.

– Wygląda na dziewiąty miesiąc!

Znowu wdusiła klakson.

– Ach – powiedział.

– To pewnie jej pomysł. Wygląda na starszą od niego. Nie chce, żebym wiedziała, że mój osiemnastoletni syn ma zostać ojcem.

Borch kiwnął głową.

– Nie mogłoby to nie mieć związku z tobą, prawda?

Lund wbiła w niego wzrok.

– Dam ci radę – ciągnął śmiało – cokolwiek to znaczy, a pewnie niewiele... kup im prezent. Coś trochę lepszego niż pizza i piwo. Jedź i pogratuluj im. Skończysz z tajemnicą. Spróbuj i...

– Nic o mnie nie wiesz, Borch. Nic nie wiesz o moim życiu.

To go zabolalo.

– Naprawdę? Pamiętam, jak stałem pod tamtym mieszkankiem na mrozie, wszystkie moje rzeczy leżały na ulicy, a ja nie miałem zielonego pojęcia, gdzie popełniłem błąd. Zielonego...

– Byliśmy za młodzi. W ogóle nie powinniśmy zamieszkać razem.

– Tak, jasne... Teraz mi to mówisz. Dzięki. W życiu mi to nie przyszło do głowy. Mój tata wpłacił kaucję za tamto mieszkanie.

Znowu walnęła pięścią w klakson.

– Jestem ci ciągle winna pieniądze?

– Praktycznie biorąc, owszem. Ale odpuszczę.

– Bardzo jesteś łaskawy.

– Nieprawda. A teraz chwila prawdy: ilekroć w grę wchodzi uczucia... ty od razu chcesz uciekać. Przede mną, przed Markiem, Bóg raczy wiedzieć przed kim jeszcze...

– Ale przynajmniej wyszło nam to na dobre, nie sądzisz? Masz udane życie rodzinne. Żona, dwójka dzieci. Nirwana...

Cisza. Spojrzała na niego. Patrzył przez okno. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Znowu walnęła w klakson i tym razem furgonetka ruszyła.

Po debacie Hartmann wezwał Mogensa Ranka, swojego ministra sprawiedliwości, na spotkanie w trybie pilnym. PET znalazła najbliższe bezpieczne miejsce: rządowe biuro w pobliskim banku. Zanim autokar zajechał przed budynek, na ziemi pojawił się szron. Morten Weber już tam był, chciał jak najszybciej zreferować Hartmannowi sprawę morderstwa na gmachu sądu.

– Co to ma, do cholery, wspólnego z Emilie Zeuthen?

– Policja nie ma pojęcia – odrzekł Weber. – Okupu nie odebrano. Nie mają też pojęcia, gdzie jest dziewczynka.

Karen Nebel skończyła rozmowę telefoniczną.

– Birgit Eggert robi aferę. Chce się spotkać. Domaga się odpowiedzi na zarzuty Ussinga.

– Doprawdy? – burknął Hartmann.

Rank czekał na nich w środku. Wytworny mężczyzna po trzydziestce; rude włosy, grube szkła; nieustannie bawił się okularami. Hartmann obsadził go na stanowisku z wdzięczności za pomoc, której Rank udzielił mu w czasie ostatniej kampanii. Był oschły i nerwowy, ale raczej można było na nim polegać.

– Mogę wyjaśnić – powiedział w chwili, gdy Hartmann wszedł do niewielkiego bezpiecznego pomieszczenia, które znalazła im PET.

– Córkę Zeuthenów porwano. Prokuratora zamordowano w miejscu publicznym. Wyjaśnienia na pewno się przydadzą, Mogens.

Usiadł przy stole. Rank zajął miejsce naprzeciwko. Dołączyli do nich Weber i Karen Nebel.

– W pełni rozumiem twój gniew, Troels. Próbuje ustalić, skąd Ussing wziął te informacje. Oczekuję odpowiedzi...

– Chcę wiedzieć, czy to jest prawda! Na badanie przyczyn przyjdzie czas później.

Rank wiercił się na krześle.

– No cóż... Jeśli dasz mi szansę wyjaśnić... ostatnio jesteśmy bardzo zajęci...

Morten Weber walnął pięścią w stół.

– Wiedzieliście, że istnieje zagrożenie porwaniem członka rodziny Zeuthenów? Tak czy nie?

Rank nie cierpiał, gdy ktoś na niego krzyczał.

– Nie – odparł. – Nie znaleźliśmy żadnych konkretów. Dostaliśmy anonimowy mejl. Pytałem też Dyhringa. To szef PET. Jego wydział też go otrzymał.

Rank przywołał urzędnika służby cywilnej – przysadzistego mężczyznę w średnim wieku w zimowym płaszczu. Miał krótko ostrzyżone ciemne włosy, starannie przyciętą brodę. Usiadł, rozdał spięte komplety raportów.

– Nadawcy mejla nie udało się namierzyć – podjął Rank. Postukał w dokumenty. – On to nazywa aktem oskarżenia.

Weber chwycił swój egzemplarz, potem Nebel i Hartmann. Drobną czcionką, strona za stroną.

– Cały czas dostajemy pogróżki od szaleńców – powiedział Dyhring. – Te w żaden sposób nie odbiegały od pozostałych. To diatryba przeciwko państwu, rządowi.

– Lewicowa retoryka i bzdury o sędzie ostatecznym – włączył się Rank. – To robota szaleńca. Skąd mogliśmy wiedzieć...?

Hartmann przebiegł wzrokiem pierwszą stroną: gromy na rząd kontrolowany przez wielki biznes.

– Kończy się konkluzją, że od winnych należy zażądać wyjaśnień – dodał Dyhring.

– Wspomniano tu o Emilie Zeuthen? – spytał Hartmann.

– Nie – padła stanowcza odpowiedź szefa PET. – Kilka razy pada nazwa „Zeeland”. Ale rodzina Zeuthenów... ani razu.

Karen Nebel przycisnęła do raportu wypielegnowany palec.

– I to się panu z niczym nie skojarzyło?

– Dokonałiśmy oceny ryzyka – odparł Dyhring. – Nie było nawet wzmianki o rodzinie. Groźba wpłynęła zaraz po tym, jak zapowiedział pan wybory. – Spojrzał na Hartmanna. – Wydawało nam się, że raczej należy się skupić na bezpieczeństwie polityków.

– On chciał, żebyście właśnie tak pomyśleli – zasugerował Weber.

– Tego nie wiem.

– Pańskim obowiązkiem jest wiedzieć! – krzyknął Weber. – Za to dostaje pan pensję. Jezu Chryste, jeśli...

– Morten. – Jedno spojrzenie Hartmanna uciszyło urzędnika. – Podsumuję: nie było żadnej groźby skierowanej bezpośrednio pod adresem rodziny Zeuthenów. Gdybyśmy taką dostali, PET podjęłaby stosowne działania. Ussing przeciąga strunę.

– Mnie się to podoba – powiedziała Nebel i zanotowała coś.

– To nadal nie wyjaśnia, jakim cudem Ussing dowiedział się o tym przede mną.

Dyhring kiwnął głową.

– Twierdzi, że dokument znajdował się w ogólnej skrzynce parlamentarnej. Badamy tę sprawę.

Hartmann wziął do ręki wieczorną gazetę. Na pierwszej stronie widniało nowe zdjęcie Emilie.

– Jest jakieś powiązanie, prawda?

– Zdecydowanie – przyznał Dyhring. – Został wysłany z komputera na statku Zeelanda. To on.

Weber cisnął raport na stół.

– Dziewczynka żyje?

Dyhring się skrzywił.

– Policjantka spieprzyła przekazanie okupu. – Spojrzał szczerze na Hartmanna. – Lund. Chyba pan ją zna.

– Dziewczynka żyje? – powtórzył Hartmann zdecydowanym głosem.

– Nie wiemy. Nawet nie wiemy, czy on jeszcze zadzwoni. Niewykluczone, że istnieje powiązanie pomiędzy tą sprawą a samobójstwem sprzed lat w Jutlandii.

– Mogens? – spytał Hartmann. – Teraz jeszcze samobójstwo? Czy ty o tym wszystkim wiesz?

– Raczej niewiele.

– Chcę, by ponownie przeanalizowano ten materiał. Chcę wiedzieć, czy mogę oznajmić kategorycznie, że nie miałeś powodu uważać, że cokolwiek grozi Emilie Zeuthen. Czy to jasne?

Mogens Rank bawił się dokumentami leżącymi przed nim. Nie patrzył Hartmannowi w oczy.

– To... to nie będzie problem, Troels. Gwarantuję.

Morten Weber siedział przygarbiony, w ponurym nastroju. Patrzył groźnie na Dyhringa zajmującego miejsce po drugiej stronie stołu.

– Ktokolwiek puścił ten przeciek, coś kombinuje. Macie go znaleźć. Dajcie mi jego nazwisko.

Szef PET i Rank niemrawym krokiem wyszli z pokoju.

– Moglibyśmy podjechać na spotkanie wyborcze Rosy Lebech. To po drodze – powiedziała Karen Nebel. – Warto wpaść i upewnić się, czy nas popiera.

– Nie popiera. Nie będę jej błagał – burknął Hartmann.

Weber milczał.

– Tak? – zwrócił się do niego premier.

– Już ci mówiłem, Troels. Jeśli nie zaproponujesz Rosie marchewki, utnie sobie romans z Ussingiem. Jeśli to zrobisz, Birgit Eggert zacznie truchtać po Slotsholmen z nożem pod sukienką. Twój wybór.

– Walcie się oboje...

– Świetne podejście! – krzyknął Weber, wznosząc plastikowy kubek w drwiącym toaście. – Idźmy na dno z godnością. To jedyne wyjście.

Robert i Maja Zeuthenowie siedzieli przy stole w Politigården, wściekli na wszystkich. Na porywacza. Na Lund. Ale przede wszystkim na Madsena, którego zostawiono z nimi samego, podczas gdy Lund przeszukiwała miejsce znalezione przez Junckera, a Brix użerał się z ludźmi komendanta policji na górze.

– Daliśmy mu to, czego chciał – narzekała Maja. – Dlaczego nie wziął okupu?

– Może to było za mało – podsunął detektyw.

– A potem zabił tego prokuratora – dodał Zeuthen. – Dlaczego?

– Nie mam pewności – odparł Madsen. – Zdaje się, że to jest powiązane z jakąś starą sprawą.

– Jaką starą sprawą? – zdziwiła się Maja. – Co to, do cholery, ma wspólnego ze mną i moją rodziną?

Madsen westchnął.

– To właśnie próbujemy rozpracować.

– Zadzwoń jeszcze? – spytał Zeuthen. Z tej dwójki on wydawał się spokojniejszy. – Muszę mu dać lepszą ofertę?

– Wciąż to badamy. Znaleźliśmy miejsce, w którym ją trzymał. – Spojrzał kolejno na każde z nich. – Kiedy będziemy wiedzieli coś więcej, skontaktujemy się z państwem.

Wstał, uściśnął dłoń Zeuthenowi. Wyciągnął rękę do Mai. Nie doczekał się reakcji. Wyszedł.

– Jestem pewien, że zadzwoni.

Próbował jej dotknąć. Ale się odsunęła.

– Maju. On ma jakiś powód. Nie sprawia wrażenia szaleńca.

– Dopiero co powiesił człowieka w samym centrum Kopenhagi!

– Chodziło mi o to... że w tym jest jakaś logika.

– Na przykład jaka? Ta stara sprawa, Robercie... Ten prokurator... Czy ty wiesz, o czym oni mówią?

Jakiś dźwięk u drzwi. Stał tam Carsten Lassen. Ciepła kurtka i dzinsy. Skinął głową Mai, nie spojrzawszy na Zeuthena.

Wstała, wzięła go pod ramię i odeszli korytarzem.

Został sam.

Nigdy nie czuł się tak bardzo sam. Dorastając w szczęśliwej, bogatej rodzinie, należącej do nowej arystokracji, Robert Zeuthen miał niewiele czasu dla siebie. Zawsze dzielił z kimś życie. Zwykle na równych, sprawiedliwych zasadach.

Znalazł detektywa przy biurku w sąsiednim gabinecie.

– Madsen, tak?

Wyglądał na wyczerpanego. Rozczarowanego. Oni też traktowali to osobiście. Zeuthen to widział.

Na ścianie wisiły zdjęcia. Mnóstwo zdjęć Emilie, ale również jakichś mężczyzn. Domyślił się, że to załoga „Medei”. Za życia i po śmierci.

– Panie Zeuthen, przepraszam, ale nie powinien pan tu wchodzić.

Robert Zeuthen przesunął się wzdłuż tablicy korkowej, patrząc na szkolne zdjęcia córki i na zdjęcia zamordowanych, torturowanych mężczyzn. Madsen stanął przed nim.

– Nie powinien pan tego oglądać.

Chciał patrzeć na zdjęcia swojego dziecka. Nic więcej. Na obrazy, które miał wyryte w głowie. O których nigdy za dużo nie myślał.

– Staralem się zapewnić im bezpieczeństwo – powiedział cichym, zbolalym głosem. – Mieliśmy wszystkie pieniądze tego świata. – Spojrzał na przybitego policjanta o smutnej twarzy. – To nie miało wartości, prawda? Nie zdołałem ocalić małżeństwa. Jakie miałem prawo zatrzymać ją? Carla?

Madsen westchnął.

– Nie można trzymać dzieci w kokonie. Nie da się tak.

– Nie jest pan mną – powiedział Robert Zeuthen bez namysłu.

– Nie – przyznał policjant. – I proszę po raz ostatni: musi pan natychmiast opuścić ten pokój. Bardzo proszę.

Lund – w rękawiczkach i w białym kombinezonie ochronnym – chodziła po maleńkim pomieszczeniu w budynku przemysłowym na Amager, gdzie przetrzymywano Emilie. Znaleźli tu śpiwór, puste kubki po makaronie, butelki z wodą i cztery krótkie książeczki dla dzieci obok posłania. W kącie stała przenośna toaleta, używana.

Technicy obsypywali wszystko proszkiem.

– Co z nasieniem? – spytała. – Odciskami palców?

Na ścianie naklejki ze znacznikami. Cyfry oznaczające ewentualne dowody. Jeszcze jedno miejsce przestępstwa spośród wielu.

– Niczego nie znaleźliśmy – odpowiedział jej najbliższy stojący członek ekipy.

Ustawiali lampy, by szukać śladów krwi. Asbjørn Juncker śledził każdy ich ruch. To była jego pierwsza poważna sprawa i bardzo ją przeżywał. Był nerwowy, niespokojny, rozdrażniony.

– Na miłość boską, dlaczego on po prostu nie wziął pieniędzy i nie wypuścił tej dziewczynki?

Głos miał podniesiony, widać było, że jest bliski załamania.

– Może się przestraszył, że jesteśmy blisko – podsunęła.

Na podłodze leżało lśniące opakowanie. I puszki po coli.

– Dał jej cukierki – powiedziała.

– Oni tak właśnie robią – warknął Juncker. – Prawda?

Wszedł Borch. Nie bardzo zwrócili na niego uwagę.

– Wydrapała swoje imię plastikowym widelcem z makaronu z sosem – powiedział Juncker.

Siedział na pudle obok toalety.

– Asbjørn – zwróciła się do niego Lund. – Może powinieneś się trochę przewietrzyć.

Imię wyryte w miękkim tynku widniało tuż obok niego.

– Co za potwór może zrobić coś takiego dziecku?

Wstał, z każdą chwilą wyglądał na młodszego i bardziej szalonego.

– Potwór, który siedzi obok ciebie w autobusie i nawet nie zwracasz na niego uwagi – odpowiedziała. – Wyjdź na dwór. Nie chcę cię tu takiego.

– W budynku naprzeciwko jest monitoring. Zajrzyj tam – zasugerował Borch.

Po wyjściu Junckera spojrział na nią spode łba.

– Ciągłe nie przesadzasz ze współczuciem, prawda?

– Współczucie nie zwróci nam Emilie Zeuthen. – Coś w tym pomieszczeniu ją zdumiało. – O ile się nie mylę, on się naprawdę zatroszczył o to dziecko.

Pokręcił głową

– Zatroszczył?

Wszedł mundurowy. Powiedział, że przy drzwiach czeka Robert Zeuthen i mówi, że nie odejdzie, dopóki z nią nie porozmawia.

– Nie możesz go tu wpuścić – stwierdził Borch. – Naprawdę, Sarah. Nie możesz.

Zeuthen już dotarł do sąsiedniego pomieszczenia. Teraz w lśniących skórzanych półbutach stapał po pyłe i niedopałkach, z rękoma w kieszeniach eleganckiego prochowca. Oczy szeroko otwarte, wstrząśnięty. Jakby zabłądził i trafił do świata, o którego istnieniu wiedział, ale nigdy go nie tknął ani nie oglądał na własne oczy.

– Technicy zabezpieczają ślady – powiedziała spokojnie. – Porozmawiam z panem, ale nie może pan tu zostać.

Zeuthen wpatrywał się w nią i po raz pierwszy policjantka zobaczyła w nim przejaw siły, władzy.

– Rozmawiała pani z tym człowiekiem, Lund. Musi pani wiedzieć, dlaczego nie wziął pieniędzy.

– Mówił coś o... o drobniakach.

– Ona żyje? – spytał i nie odrywał od niej wzroku.

– Tak przypuszczam.

Wyraz jego twarzy sprawił, że wróciła do ciepłego, zagraconego mieszkania Birk Larsenów w Vesterbro. Oni też tak wyglądali, ilekroć dawała im cień pozytywnych wiadomości: rozdarci pomiędzy ulgą a rozpaczą.

– Peter Schultz, ten prokurator... czy to nazwisko coś panu mówi?

Zeuthen pokręcił głową.

– Już mnie o to pytano. Nic nie wiem o tym człowieku. Ani o żadnej starej sprawie w Jutlandii. Co się tu działo z Emilie?

– Spotkał pan kiedyś któregoś z tych zabitych marynarzy?

– Nie.

– Słyszał pan coś o nich?

– Nie.

– A...?

– Nie, nie, nie!

Zaczekała. Nie było sensu męczyć tego człowieka.

– Czy on jej coś zrobił?

Lund podeszła do niego bliżej i starała się patrzeć z przekonaniem, gdy mówiła:

– Nic na to nie wskazuje.

Kiwnął głową.

– Chciałbym zobaczyć miejsce, w którym przetrzymywano moją córkę.

Borch spojrzał na nią. Wzrokiem, który doskonale umiała odczytać. „Ostrzegalem cię”, mówił ten wzrok.

Nic nie powiedziała.

– Chciałbym je zobaczyć – powtórzył Zeuthen.

– Proszę stawiać stopy tylko tam, gdzie wskażę – przestrzegła. – I niczego nie dotykać.

Weszli do maleńkiego pomieszczenia. Teraz było tam jasno od neonówek techników. Niedługo zostaną włączone niebieskie. W sprawie Birk Larsen odsłoniły ślady rąk, plamy krwi na ścianach i na podłodze. Tutaj nie było tego rodzaju krwawych dowodów. Czuła to.

Zeuthen wpatrywał się w śpiwór, w puste opakowania po jedzeniu, butelki i puszki. W liczby i strzałki na ścianie. Wydrapane imię na tynku.

– Dał jej światło i jedzenie – wyjaśniła mu. – I to. – Wskazała mały grzejnik elektryczny obok śpiwora. – Wygląda na nowy. Musiał kupić go dla niej. Dał jej książki do czytania.

Mężczyzna w prochowcu milczał, przygarbiony.

– Fakt, że napisała swoje imię... to dobry znak – dodała.

– Emilie jest jak jej matka. Uparta, zawzięta. Nie... – Mówił niejasno i wiedział o tym. – Nie słucha, jeśli nie chce.

Coś przyciągnęło jego wzrok. Pochylił się, by to podnieść.

– Nie! – krzyknęła Lund, doskoczyła do niego i wyciągnęła rękę, by go powstrzymać. – Niech pan niczego nie rusza!

Nie mógł oderwać wzroku od książek.

– Uwielbiała tę książeczkę o małpce. – Odwrócił się do niej. – To jedna z jej ulubionych. – Skąd on to wie?

– Może go o nią poprosiła?

– A on po prostu poszedł i znalazł jej egzemplarz? W trakcie tego wszystkiego?

Nie, pomyślała. To głupi pomysł. Zatem pod tym względem też był przygotowany. Wiedział wcześniej.

Juncker znowu pojawił się w drzwiach, przebąkując coś o nagraniu z monitoringu w budynku naprzeciwko.

– Musi pan stąd iść, Robercie – powiedziała. – Mamy dużo pracy. Wiem, że chce pan pomóc. Ale przeszkadza pan.

Zeuthen ani drgnął.

– Pani się tym przejmuje? – spytał.

– Tak – odparła. – Przykro mi, jeśli pan tego nie dostrzega. Ja taka... taka jestem po prostu.

Kiwnął głową. Wyszedł do lśniącego range rovera stojącego w błocie, wsiadł, uruchomił go i ruszył szarą drogą gruntową.

Juncker nieźle znał się na technologii. Zanim dołączyli do niego Lund i Borch, już miał nagranie z kamery na laptopie. Kamera była wycelowana w punkt tak odległy od budynku, że nie na wiele się przydała.

– Nie jest, kurna, dobrze – zaklął młody policjant. – Widać tylko pół budynku.

Przejechał samochód. Nowy, czysty. Za kierownicą siedziała kobieta.

Juncker przesuwiał po kilka klatek.

– Czekaj – odezwał się Borch. Wrócił do początku.

Lund nachyliła się, by lepiej widzieć.

Na ścianie po prawej stronie obrazu wisiało okrągłe lustro ułatwiające cofanie. Odbijał się w nim jakiś kształt.

– Co to jest? – spytał Juncker. – Samochód?

Lund przysunęła się do monitora tak blisko, że zaczęła im zasłaniać.

– Jakiś kamper – powiedziała. – Widać tablicę rejestracyjną. Jeśli to jego wóz, na pewno jest fałszywa.

Juncker zrobił zbliżenie.

– To stary wóz – zauważył. – Spójrzcie na światła. Wygląda na wóz z lat osiemdziesiątych.

Borchowi się to nie spodobało.

– Stary jak na kamper – dodał Juncker.

– Sprawdź to – poleciła. – Ja muszę pogadać z Brixem.

Carsten Lassen mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu nieopodal Kościoła Marmurowego. Daleko mu było do bezkresnego zimnego luksusu Drakkara. Kiedy nocowały tu dzieci, musiały spać w jednym pokoju. Małym, z piętrowym łóżkiem. Emilie zawsze pozwalała bratu zajmować górę, bo uważał, że to fajne.

Teraz nie wiedział, gdzie ma spać. Maja Zeuthen zajęła więc dolne łóżko i czytała mu książeczkę. Po pewnym czasie zszedł na dół i położył się pod kołdrą obok mamy. Zasnął.

Obejmowała go. Przypominała sobie, jak obejmowała Emilie. Jak słyszała jej silny, ostry głos podający argumenty w takiej czy innej sprawie.

Ktoś gwałtownie zapukał do drzwi. Dobiegł ją głos Carstena. Z jego tonu domyśliła się, że przyszedł Robert.

Pogłaskała uśpioną twarz synka. Nigdy nie przywiązywała zbytnej wagi do pieniędzy. Kiedyś zamierzała podjąć pracę, uczyć w szkole podstawowej. Robertowi to się podobało. Też nie lubił, kiedy ktoś go utrzymywał.

Potem umarł jego ojciec i świat z hukiem rozpadł się na kawałki.

– To ważne. Gdzie jest Maja?

Chciała pomyśleć, że jego głos brzmi obco. Że ten nowy, twardy ton czyni go jakimś nienawistnym. Ale to nie była prawda. Oboje cierpieli. Nigdy właściwie nie chciała od niego odejść. Robert zniósłby wszystko, każdą kłótnię, każde żądanie, żeby tylko byli razem. Ale ich związek zaczął się rozpadać, z dnia na dzień pogłębiała się przepaść między nimi. Potem Carsten, miły, przystojny, niezamożny Carsten pojawił się w jej życiu i wypełnił lukę, którą zostawił Robert. W każdym razie jej część.

– Maja ma przez ciebie dość zmartwień.

Miał bezbarwny, wyprany z emocji głos lekarza. Umiał wypowiadać ostre słowa – których może niekiedy potrzebowała – bez namysłu.

Słyszała go przez drzwi.

– Wszelkie sprawy dotyczące Mai dotyczą też mnie. Najpierw więc powiedz to mnie.

Spór narastał. Zaraz obudzą Carla.

Wstała i powłócząc nogami, dotarła do drzwi, spojrzała na nich. Jedyni ważni kochankowie w jej życiu. Siedli przy stole – dwaj mężczyźni naprzeciwko siebie, Maja na końcu.

Rozmawiali o pieniądzach i zaleceniach ochrony. O opcjach i planach.

– Pojechałeś tam, gdzie ją przetrzymywał? – spytała.

– Wpuścili mnie. Lund nie za bardzo się to podobało, ale... – Wzruszył ramionami. – To było maleńkie pomieszczenie.

– I są pewni, że tam była?

– Wydrapała na ścianie swoje imię.

Nachylił się bliżej, tak jak w innych okolicznościach nachyliłby się, by potrzymać ją za rękę.

– Chyba uważają, że ten człowiek ją zna, że gdzieś ją poznał. Kupił jej książkę, którą tak lubi. Tę o małpce. Chcą wiedzieć, czy zauważyliśmy coś niecodziennego. Jakies zmiany w zachowaniu znanych nam ludzi? I czy w pobliżu dzieci pojawił się ktoś nowy...?

– Może myślisz, że to ja? – spytał Lassen oburzony.

Zeuthen popatrzył na niego.

– Nie – odparł po prostu.

A po chwili dodał:

– Chcą, żebyśmy się zastanowili nad wszystkim. Żebyśmy postarali się dostrzec coś, co wcześniej nam umknęło.

Lassen ciągle się wściekał. Wstał, znalazł rozpiskę z opieką nad dziećmi, rzucił ją na stół.

– Tu są wszystkie ustalenia. Twoje ustalenia. Ustalenia, które wypełniamy punkt po punkcie. Spójrz na nie. – Walnął pięścią w kartki. – Ty mi powiedz, gdzie ten łajdak mógłby się do niej zbliżyć, gdy była z nami.

Maja podniosła ręce do twarzy, płakała. Lassen nawet tego nie zauważył.

– Ty i twoi ochroniarze nękacie nas od początku. My wypełniamy swoją część. Teraz ty dałeś dupy i masz czelność winić Maję. Jak śmiesz?!

– Zamknij się! Na miłość boską, Carsten. – Wpatrywała się w nich, łzy płynęły jej po policzkach. – Przestań, po prostu przestań!

– Nie! – wrzasnął. – Całe morze łez wypłakałaś przez tego kretyna i zobacz, co ci to dało. Nie pozwolę, żeby dalej rozpierała ci życie.

– Proszę... – błagała.

Przysunął twarz blisko twarzy Zeuthena.

– Posłuchaj mnie, Robercie. Ona raz na zawsze opuściła twoją złotą klatkę. Nie ma powrotu. Od tego czasu codziennie ją za to karzesz. Dość tego!

Wskazał drzwi.

– Wynoś się.

Zeuthen ani drgnął. Potem zobaczył jej twarz. Smutek. Zakłopotanie. Ból.

Tylko dlatego wyszedł. Tylko dlatego.

Pół godziny później dotarł do domu. Gdy wszedł, Reinhardt rozmawiał przez telefon. Wysoki, dystyngowany, cierpliwie radził sobie z rozmowami z policją i ochroniarzami Zeelanda.

Gdy skończył, sięgnął po płaszcz, po czym wprowadził Zeuthena w ostatnie wydarzenia.

Nowych wiadomości było niewiele. Doradcy do spraw bezpieczeństwa Zeelanda korzystali z rad specjalistów, z którymi pracowali nad porwaniem w Somalii.

– Nic nie wiedziałem o żadnym porwaniu – powiedział Zeuthen.

– Twój ojciec się tym zajmował. To się działo niedługo przed jego śmiercią. Paru naszych ludzi porwali piraci. Sprawa się przeciągała. Nie było łatwo. Ale wydostaliśmy ich. Za niższą sumę, niż żądali na początku. I bez rozgłosu. Może mają jakieś pomysły...

– Czy ja źle traktowałem Maję? – przerwał mu Zeuthen. – Za dużo od niej wymagałem?

Reinhardtem to pytanie wyraźnie wstrząsnęło.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Bo ona mnie nienawidzi. I zastanawiam się, czy na to zasłużyłem.

Starszy mężczyzna pokręcił głową.

– Nie wierzę, że cię nienawidzi, Robercie. Rozwód nigdy nie jest łatwy. Myślę, że byłeś bardzo wyrozumiały. To ona odmówiła przyjęcia wsparcia finansowego. Nie wiem, co innego mógłbyś zrobić. – Po chwili milczenia dodał jeszcze: – Obawiam się, że ona nigdy nie lubiła wielkiego biznesu. Myślę, że miała swoje... zasady.

Zanim wrócili do Politigården, Brix zarządził sprawdzenie wszystkich kamperów przejeżdżających przez kontrolę graniczną. Zespół pracował nad bazą danych Wydziału Komunikacji. Tablice rejestracyjne okazały się fałszywe. Przynajmniej mieli jakiś trop.

– To volkswagen albo fiat – powiedział Borch, rzucając na blat kilka zdjęć. – Trudno zdecydować. One wszystkie wyglądają tak samo.

Lund ślęczała nad wydrukami. Dołączył do nich Brix.

– Niech sprawdzą kempingi. Mnóstwo działa nawet teraz, zimą. Mieszkają tam na przykład ludzie, którzy stracili domy.

Spojrzał groźnie na Borchę.

– I jeszcze to – dodał, rzucając mu pod nos gruby dokument. – Tydzień temu porywacz wysłał do ministra sprawiedliwości coś w rodzaju manifestu. PET o tym wiedziała. – Pochylił się i zajrzał Borchowi w twarz. – Prawda?

– Oczywiście. Ale do dzisiaj nie wiedzieliśmy, że to od niego.

Przesunął dokument na bok.

– Daj – powiedziała Lund i chwyciła go.

– Nie ma tu wzmianki o starej sprawie z Jutlandii, Sarah. To tylko jakieś pokręcone lewicowe bzdury...

– Zignorowaliście groźby skierowane bezpośrednio pod adresem Zeelanda! – przerwał Brix. – Teraz mam na karku szefostwo, które chce wiedzieć, dlaczego nikt nam nic nie powiedział.

Borch burknął coś o rozmowie z Dyhringiem.

– Jego tu nie ma, a ty jesteś – odparł Brix. – Następnym razem odzywaj się trochę szybciej. Nie chcę...

Wszedł Madsen.

– Właśnie przesłuchaliśmy sekretarkę Petera Schultza – zameldował. – Schultz powiedział ci, że ten mat był u nich pytać o wynagrodzenie, tak?

Lund kiwnęła głową.

– No więc ona rozmawiała z tym człowiekiem, zanim wszedł do prokuratora. W ogóle nic o tym nie wspomniał. Mówił, że chce zmienić zeznanie w sprawie, którą Schultz prowadził. Coś że... sumienie go ruszyło. I jeszcze...

Jakoś nie za bardzo chciał mówić dalej.

– I jeszcze? – warknął Brix.

– Zadzwoiła komórka dziewczynki. Odebraliśmy. Rozłączył się.

Brix zamknął oczy.

– Nic nie powiedział?

– Niezupełnie. Powiedział, że rozmawia tylko z Lund.

Za Madsenem stała policjantka z telefonem Emilie w ręku. Wyglądała na zdenerwowaną.

I nagle komórka zadzwoniła. Brix kiwnął głową. Lund wzięła aparat i odebrała.

Głos już nie brzmiał ani spokojnie, ani wytwornie.

– Jeśli znów oddasz komuś telefon, Lund, uznam, to dziecko gównem cię obchodzi. Rozumiemy się?

– Mieliśmy umowę. Ty jej nie dotrzymałeś. Odsunięto mnie od sprawy. Śmiech.

– I dlatego nadal jesteś w Politigården?

– Czego chcesz?

– Nowej oferty. Przemyśl to sobie przez noc. Zadzwoń jutro. Może do tego czasu zrozumiesz powagę sytuacji.

– Dlaczego zabiłeś Schultza?

– Bo coś mi się należy. Nie możesz mnie zbyć drobniakami od Zeelanda.

– Dlaczego jego? I tych trzech marynarzy?

Cisza. Już myślała, że się rozłączył.

– Masz dzieci, Lund?

Nie była w stanie od razu odpowiedzieć.

– Proste pytanie. Spytałem, czy masz dzieci.

– Tak.

– Syna czy córkę?

– Syna.

– Więc wiesz, ile jest warte dziecko, prawda? Zadzwoń jutro.

– Czekaj! Skąd mam wiedzieć, że dziewczynka ciągle żyje?

Cisza. Potem piknięcie i w skrzynce wiadomości przychodzących pojawiło się zdjęcie. Lund je otworzyła. Emilie Zeuthen w ciemnym płaszczyku, wełnianej czapeczce. Obok niej gazeta z dzisiejszego popołudnia, z jej szkolnym zdjęciem na pierwszej stronie.

Lund przyłożyła telefon do ucha. Mężczyzna się rozłączył.

– Trzymaj go teraz cały czas przy sobie – polecił jej Brix. – Naładowany. Gotowy. Jasne?

Kiwnęła głową.

– A teraz idź do domu. Prześpij się trochę. Czas na nocną zmianę. Jutro macie się tu stawić wypoczęci.

Nie zrobiła tak, jak kazał Brix. Wzięła pizzę, piwo i pudełko czekoladek, po czym udała się na boczną uliczkę w Vesterbro, gdzie od trzech miesięcy mieszkał Mark.

I ani razu jej do siebie nie zaprosił. Kilka ulic od niego mieszkali Birk Larsenowie. Może dlatego nigdy nie naciskała.

Ta okolica dobrze się zapowiadała. Część wyglądała jak stare Vesterbro – brudne, zamazane graffiti, z jakimiś ciemnymi typami czającymi się w wejściach, część jak nowe – z nowymi lub wyremontowanymi budynkami.

Niemal minęła właściwe drzwi – obok sklepu z używanymi rzeczami, z którego dochód przeznaczony był na cele charytatywne. W jego witrynie wisiało mnóstwo zdjęć kotów i psów do adopcji. Lund stała na zewnątrz z pizzą, piwem i bombonierką. W ostatniej chwili przypomniała sobie, że trzeba zdjąć nalepkę z ceną. Wreszcie zadzwoniła.

Nie usłyszała żadnego dźwięku, więc zapukała, a wtedy młody, wysoki kobiecy głos zawołał:

– Proszę, otwarte.

Pusty korytarz, zapach remontu. Weszła do pierwszego pomieszczenia. Kobieta, którą widziała wtedy na peronie, stała pod ścianą i próbowała zdrapać farbę. Wszędzie leżały materiały budowlane, narzędzia, worki, kubły. Nie za dużo mebli. Tylko niewielki stół, kanapa i niskie dwuosobowe łóżko.

Lund stała w progu i nie wiedziała, co powiedzieć.

Młoda kobieta podeszła, uśmiechnęła się i uścisnęła jej dłoń.

– Pani z góry? Bardzo przepraszam za ten hałas. Prawie skończyłam. – Poklepała się po brzuchu. – Nie mogę przesadzać. Jestem Eva.

– Nie... Przyszłam do Marka. Jest w domu?

Postawiła pizzę, czekoladki i piwo na stoliku. Nie było za dużo miejsca.

– Nie. – Miała blond włosy odgarnięte do tyłu, uśmiechniętą, śliczną twarz i wielkie, szeroko otwarte oczy. – Pojechał ze śmieciami. – Jej sweter

wyglądał na wytarty. Pokrywały go plamy farby. Wszystko tutaj zdradzało biedę. – Tyle tu mamy do zrobienia.

– Nieważne.

– Proszę zaczekać. Pani jest mamą Marka?

Lund nie wiedziała, czy ma się ucieszyć, czy nie.

– Tak, przepraszam. – Znowu ujęła dłoń Ewy. – Sarah. Przyniosłam... – Zerknęła na stół. – Parę rzeczy. Kiedy on wróci?

– Nie wiem. Proszę zaczekać, jeśli pani chce. Może zrobię pani kawy? Czy coś?

Lund, chcąc nie chcąc, rozglądała się. Widziała, że nie jest dobrze. Mieszkanie na parterze, jeden główny pokój, kuchnia z łazienką w głębi. I wszystko niewykończone.

– To nora – powiedziała Eva – ale urządzamy ją. Zdobyliśmy to mieszkanie niedrogo, bo nasi poprzednicy zbankrutowali. Chcieli tu kogoś, kto... rokuje.

Entuzjazm. Lund nigdy nie czuła się z nim wygodnie. Eva była może dwa lata starsza od Marka, w zaawansowanej ciąży, i mieszkała w lodowatej norze. A i tak wyglądała na zadowoloną.

– Bardzo miło, że pani przyszła. Mark o pewnych rzeczach nie mówi za dużo. Jest pani taką trochę zagadką. Ale... ale nie mówił nic złego. Chciałam panią poznać. – Poklepała się po brzuchu. – Żeby pani zobaczyła to. Ale on powiedział, że w tej chwili mamy mnóstwo spraw na głowie.

Hałas przy drzwiach. Ktoś zawołał Ewę.

Wszedł Mark. Szczęśliwy, ożywiony, z długą deską w rękach.

– Zobacz, co znalazłem na śmietniku. – Deska była złamana. Ale może coś dałoby się z niej zrobić. – Ktoś to zostawił. Po prostu...

Jego uśmiech zniknął w chwili, gdy zobaczył matkę.

– Cześć – powiedziała Lund.

– Coś się stało?

– Nie. Byłam w okolicy i pomyślałam...

Wzięła czekoladki, wskazała pizzę i piwo.

– Czego chcesz? – spytał i to nie był przyjazny ton.

– Niczego. Po prostu dawno się nie widzieliśmy.

Eva cały czas starała się uśmiechać. Wyglądała jak uczennica, która przypadkiem trafiła w sam środek czyjejs kłótni.

On milczał.

– Macie tu mnóstwo roboty – podjęła Lund. – Jeśli mogę wam jakoś pomóc...

– Poradzimy sobie. Rozmawiałaś z babcią?

– Nie powiedziała mi, że będziecie mieli dziecko. Widziałam was na stacji...

Eva usiadła i patrzyła na niego.

– Chciałam pogratulować, Mark. Chciałabym pomóc...

– Niczego nam nie trzeba...

– Moglibyśmy skorzystać z pani mieszkania przez parę dni, dopóki sufit nie będzie gotowy – wtrąciła Eva niepewnym, pełnym nadziei głosem.

– Jasne – zgodziła się Lund. – W każdej chwili. Przy drzwiach wejściowych jest klucz, pod donicą. Wejdźcie sobie, nie krępujcie się. Zadzwońcie, jeśli...

– Mamo? – odezwał się głośno. – Możesz choć raz posłuchać? Niczego nam nie trzeba.

Jakiś dźwięk. W ogóle do niej nie docierał.

– Komórka ci dzwoni. Może wyjdź ją odebrać. Możesz to zrobić już?

Na zimnej, ciemnej ulicy wyjęła telefon. Swój. Nie Emilie. Spojrzała na numer: Asbjørn Juncker. Jakieś pięć lat starszy od Marka. Bystry młody człowiek, próbujący ukształtować swoje przyszłe życie.

– Z kamperem zero postępów – zameldował. – Przykro mi.

Słyszała w tle odgłosy Politigården. Ci ludzie stanowili swego rodzaju rodzinę, scaloną okolicznościami, czasami podzieloną przez spory i konflikty, czasami złączoną wspólną potrzebą, poczuciem szacunku i przyzwoitości.

– Pojedziesz tam, Juncker – powiedziała.

– Więc już nie Asbjørn?

– Chyba nie.

– A więc postęp! Mam dokumenty dotyczące sprawy, którą zajmował się Peter Schultz. Mat i pozostali dwaj marynarze znaleźli tamtą dziewczynę w Jutlandii Zachodniej. Miała trzynaście lat. Sierota. Przez jakiś czas była w domu dziecka. Potem w rodzinie zastępczej. Mówią, że uciekła. Załoga Zeelanda znalazła w porcie jej zwłoki.

– Kto prowadził sprawę?

– Miejskowa policja. Uznali, że to było samobójstwo. Peter Schultz podpisał papiery. Umorzenie. Borch chce z tobą rozmawiać.

Lund przeszła na drugą stronę ulicy, wracała w stronę latarni. Usłyszała, że ktoś inny bierze telefon.

– A co z autopsją? – spytała.

Odpowiedział starszy głos, zmęczony i znużony.

– Nie ma nic o przemocy. Piana wokół nosa i ust. Płyn w płucach. Sekcję przeprowadziła Lis Vissenbjerg. Stwierdziła, że przyczyną śmierci było utonięcie. Znasz ją?

– Moje życie to nie tylko zwłoki, Borch.

Długa chwila milczenia.

– Mam tego świadomość – odparł w końcu ostrożnie.

– Gdzie przeprowadzono sekcję?

– W Kopenhadze. Wydział Medycyny Sądowej szpitala uniwersyteckiego. Chcesz się z nią jutro spotkać?

– Umów to.

– Znalazłaś Marka? – spytał. – Wszystko w porządku?

Dotarła do samochodu, wyjęła kluczyki. Zastanawiała się, czy naprawdę chce o tym rozmawiać z mężczyzną, którego kochała i którego porzuciła dwadzieścia lat temu.

– Zobaczymy się rano – odparła. – Dobranoc.

**PIĄTEK_
11 LISTOPADA_**

Wydział Medycyny Sądowej znajdował się w zachodnim skrzydle szpitala uniwersyteckiego. Lund spotkała się z Borchem na tym samym parkingu, na którym porywacz obserwował Zeuthenów z ukradzionej furgonetki.

– Chłopiec czy dziewczynka? – spytał, gdy wspinali się krętą, wyłożoną białymi kafelkami klatką schodową na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się sale, w których wykonywano sekcje zwłok. – Czy może nie chcą wiedzieć?

Lund miała przed sobą akta Schultza. Ledwie usłyszała pytanie.

– Dlaczego zastępca prokuratora miałby kłamać w takiej sprawie? I mat ze statku? Dlaczego zmieniałby zeznanie po dwóch latach?

Dotarli na szczyt schodów. Dwóch pracowników przejeżdżało z noszami. Pod gładkim szpitalnym prześcieradłem spoczywał znajomy kształt.

– Jadłś śniadanie? – spytał Borch.

– Tak.

Smętny wzrok bokserka.

– Ja nie jadłem. Wychodziłem jakby w pośpiechu.

Najwyraźniej chciał, żeby go spytała o małżeństwo. Coś tam nie było dobrze.

– Nie mieliśmy okazji porozmawiać o dziecku – powiedziała tylko.

– To absolutnie naturalne pytanie, wiesz? Wręcz oczywiste.

Lund spytała w recepcji o Lis Vissenbjerg, pokazała legitymację. Wpuszczono ich. Gdziekolwiek spojrzeli, wszędzie ktoś pracował. Milczące postaci krzątały się wokół zwłok leżących na srebrnych stołach. Krew i organy. Woń chemikaliów i ciała.

– Gdybym ja miał zostać dziadkiem... – zaczął.

Odwróciła się i przyłożyła palec do ust. Potem znalazła właściwe pomieszczenie i otworzyła drzwi. Weszli do wysokiego, jasnego audytorium, gdzie rzędy siedzeń piętrzyły się w łukach. Sala do autopsji. Scena ostatniego aktu życia.

Teraz nikogo nie było na widowni. Tylko kobieta w błękitnym kitlu i maseczce pochylała się nad nagim ciałem mężczyzny leżącym na płaskim metalowym stole operacyjnym, a pomocnik przyglądał się jej znudzonym wzrokiem, podpierając ręką brodę.

– Lis Vissenbjerg? – spytała Lund.

Zasłonięta maseczką twarz uniosła się. Lekarka powiedziała asystentowi, że na razie skończyli, i poprosiła, by odwiózł zwłoki.

Wentylatory niestrudzenie próbowały oczyścić salę z nieprzyjemnego zapachu. Usiedli na krzesłach w najniższym rzędzie i pokazali jej dokumenty: raport z sekcji zwłok Louise Hjelby, trzynastolatki, podpisany przez Vissenbjerg.

– Na pewno to pani pamięta – powiedział Borch.

– Skąd ta pewność? – Była wysoką, chudą jak patyk czterdziestoparolatką, z włosami koloru słomy zaczesanymi do tyłu nad

wysokim czołem. Miała wąską, poważną twarz. – Ma pan pojęcie, ile takich dokumentów podpisuję rocznie? Proszę mi to dać, przeczytam...

Wzięła raport. Sześć stron. Przejrzała je. W milczeniu.

– Dlaczego sekcję przeprowadzono tutaj? – spytała Lund. – Dlaczego nie w Jutlandii?

– Nie wiem – odparła Vissenbjerg. – Zrobiłam to, co mi zlecili.

– Kto zlecił? – nie ustępowała Lund. – Peter Schultz?

Na tę wzmiankę podniosła wzrok.

– Czytałam o tym w gazecie. To potworne. Te sprawy się łączą?

– Może – rzuciła Lund. – Czy to on zlecił przeprowadzenie sekcji tutaj?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. Musielibyście zajrzeć do akt. Jeśli jeszcze są...

– Naszym zdaniem ta sprawa w jakiś sposób łączy się z porwaniem córki Zeuthenów – dodał Borch.

Lund nie odrywała wzroku od lekarki.

– Niewykluczone, że ludzie, których zabił porywacz, pomagali w ukryciu prawdy o śmierci tamtej dziewczynki. Może zdaniem porywacza to nie było samobójstwo.

– Ja niczego nie ukrywałam – zapewniła szybko patomorfolog.

– Rozmawiała pani z Schultzem? – spytał Borch.

– Nie. Dlaczego miałabym z nim rozmawiać?

Lund czekała. Na próżno. Postukała palcem w dokument.

– Na ciele było dużo ran.

– Tak – przyznała Vissenbjerg. – Powstały po śmierci. Ciało przez jakiś czas przebywało w porcie. Dziewczynę prawdopodobnie zmyło na skały. Może uderzyła ją śruba jakiejś łodzi. – Kobieta spoglądała to na jedno, to na drugie z policjantów. – Nie dostrzegłam niczego, co by wskazywało na przestępstwo. Gdybym zauważyła, napisałabym o tym w raporcie.

Borch kiwnął głową.

– I nikt z panią o niczym nie rozmawiał? Nie słyszała pani nic więcej o tej sprawie?

– Nie. To była rutynowa sprawa. O ile dobrze pamiętam, dziewczynka była sierotą. Kilka razy zmieniała rodzinę zastępczą. Nie miała krewnych.

– Czy od trzech marynarzy, którzy ją znaleźli, pobrano próbki DNA?

– O ile wiem, nie. Nie byli podejrzani. W ogóle nie było żadnych podejrzanych. Jak już powiedziałam, nic nie wskazywało na popełnienie przestępstwa. Nic...

– W raporcie napisano, że dziewczynka odbyła stosunek płciowy – zauważyła Lund.

– Że w ogóle go odbyła. Nie wiem kiedy. Miała trzynaście lat. Myśli pani, że to coś niezwykłego?

Zadzwoił telefon Borch. Odszedł, żeby odebrać.

– Powiedziała pani, że nie było żadnych podejrzanych uszkodzeń ciała. – Lund wyjęła zdjęcia nadgarstków dziewczynki. Pokryte śladami cięć. – A jak to pani nazwie?

– Nazwę to samookaleczeniem. One dużo mówią o jej kondycji psychicznej. Z tego co pamiętam, policja mówiła, że dziewczynka była zaburzona. Wszystko wskazuje...

Wrócił Borch i przeprosił, że musi przerwać.

– Asbjørn znalazł kemping – powiedział. – Trzeba jechać.

Lund zgarnęła zdjęcia i raport, wepchnęła je do torby. Lis Vissenbjerg przyglądała się temu.

– Ma pani wizytówkę? – spytała.

Lund podała jej kartonik i oznajmiła, że można dzwonić w dowolnej chwili.

– Naprawdę sądzicie, że ten człowiek morduje ludzi w związku z tą sprawą?

– Na to wygląda – przyznała Lund.

Patolog machnęła wizytówką.

– Skontaktuję się, jeśli coś mi przyjdzie do głowy.

Tego ranka Reinhardt z własnej inicjatywy ściągnął zewnętrzną firmę doradczą do spraw bezpieczeństwa. Zasiedli w sali konferencyjnej Zeelanda. Zeuthen ich wysłuchał. Potok niezrozumiałych słów. Fala za falą żargonowych wyrażeń.

Jedno sam wiedział. Porywacz chce więcej pieniędzy.

Przez czterdzieści pięć minut powiedzieli niewiele ponad to, podziękował im i oznajmił, że sam sobie poradzi.

Reinhardt odprowadził ich wzrokiem.

– Mam nadzieję, Robercie, że nie sądzisz, iż przekroczyłem swoje kompetencje. Skorzystaliśmy z usług tych ludzi w tamtej sytuacji w Somalii. Byli bardzo dobrzy.

– To nie jest Somalia.

Ale prawdę mówiąc, nie wiedział, co to jest. Nie wiedzieli też tego ci beznamiętni, poważni ludzie, których właśnie odesłał.

W drodze do wyjścia minęli Maję rozmawiającą z asystentką w recepcji. Zeuthen podszedł, spróbował się uśmiechnąć, zasugerował, by usiedli razem i omówili wszystko.

Stanęli przy oknie. Na tle szarego morza pod posępnym niebem. Po chwili usiedli przy stole.

– Musimy się trzymać niskiej sumy – ostrzegł Reinhardt. – Zostawić pole manewru na wypadek, gdyby zażądał więcej.

Na kolanach miał poranną gazetę. Zdjęcie Emilie obok zdjęcia zabitego prokuratora.

– Taką naukę wynieśliśmy z tamtego porwania – dodał.

– To nie jest umowa biznesowa – wtrąciła Maja słabym, zbolałym głosem.

– Wiem – zgodził się Reinhardt. – Ale i tak trzeba być praktycznym.

– Jak Carl? – spytał Zeuthen.

Podniosła wzrok. Ucieszyło ją to zainteresowanie.

– Pyta o nią – odpowiedziała. – I o ciebie.

– Jeśli zaproponujecie za dużo, może grać na zwłokę i zażądać więcej – ciągnął Reinhardt.

Spojrzała na niego twardo.

– Nie możemy ryzykować, że znowu go rozzłościemy!

Zeuthen podszedł do okna, wyjrzał na port, milczał.

– Dlatego musimy ustalić jakąś sumę – odparł Reinhardt. – Zanim on zadzwoni. Zanim...

– Zapłacę każdą sumę, której zażąda – przerwał Zeuthen. – Każdą. Emilie jest więcej...

Maja wpatrywała się w niego, a on pomimo tych wszystkich spędzonych razem lat nie mógł odgadnąć wyrazu jej twarzy.

– Jest warta więcej niż wszystko, co mogę mu dać – dokończył.

Reinhardt westchnął.

– PET nie chce, żebyś proponował wysoką sumę, Robercie. Są problemy praktyczne. Tę sumę trzeba przerosić. Musimy ją też zgromadzić. Nasze banki nie mają za dużo gotówki.

– Mogę zebrać pieniądze prywatnie przez Frankfurt. Wyślij tam samolot...

Reinhardt pokręcił głową.

– Nikt ci tego nie ubezpieczy. Podejmiemy zbyt wielkie ryzyko.

– Nie obchodzi mnie ryzyko! – Zeuthen ledwie nad sobą panował. – Zorganizuj to, proszę.

Reinhardt sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Mogę spytać, o jakiej sumie myślisz?

Maja ciągle miała na sobie stary zielony skafander. A na nim błoto sprzed dwóch dni.

– Oddałbym mu wszystko, gdybym mógł – szepnął Robert Zeuthen. – Bez wahania. Gdyby tylko...

Nad zimnymi niewzruszonymi wodami Sundu poniósł się dźwięk syreny przepływającego statku.

Debatę zaplanowano w Czarnym Diamencie, lśniącej szklanej siedzibie Biblioteki Królewskiej wznoszącej się nad wodą. Ussing, Rosa Lebech i Hartmann przyszli na próbę dźwięku. Karen Nebel przyniosła wstępny raport od Mogensa Ranka na temat reakcji PET na dokument przesłany z „Medei”.

– Jak widzicie – powiedział Hartmann – nie było żadnej groźby skierowanej bezpośrednio pod adresem Zeuthenów. Jeśli chodzi o stronę polityczną, nikt się w te decyzje nie angażował. Podejmowała je wyłącznie PET. Twoje oskarżenia, że w jakikolwiek sposób uchyliłem się od odpowiedzialności, są bezpodstawne i mylące. Kiedy następnym razem znajdziesz coś w poczcie, zastanów się dobrze, zanim zrobisz z siebie głupca.

Ussing wertował raport.

– Twoi ludzie i tak dali ciała. Mogens Rank chyba nie wierzy, że wywinie się z tego, zwalając winę na PET, prawda?

Rosa Lebech milczała. Sprawiała wrażenie, jakby nie najlepiej czuła się w tej sytuacji.

Hartmann wyciągnął rękę.

– O ile nie masz więcej pytań, powinniśmy zakopać topór wojenny. Niech policja robi swoje. A my swoje. – Ruchem głowy wskazał scenę. – Kiedy już tam dzisiaj staniemy.

– Ja się zgadzam – odezwała się wreszcie Rosa Lebech. – W tych okolicznościach nie trzeba nam publicznej kłótni.

Ussing pokręcił głową. Głośny, sarkastyczny śmiech.

– I to wszystko? Minister sprawiedliwości sam się sprawdza w ciągu pół godziny i proszę, jaka niespodzianka! Wszyscy jesteście bez winy!

– Tego już za wiele... – burknął Hartmann.

– Nie widzę tu wzmianki o starej sprawie w Jutlandii. Dlaczego?

– Miałeś kolejne anonimowe przesyłki w poczcie?

– Ty masz w szafie za dużo trupów, Troels. I to starych. Zrobię ci w tej szafie porządki.

– Słuchaj no! – krzyknął premier. – Od początku podaję ci wszystkie szczegóły.

– Nie wszystkie – wtrąciła ostrożnie Rosa Lebech.

Wpatrywał się w nią groźnie.

– Świetnie! Skoro tak ci źle z rządem, zawrzyj umowę z nim!

Zostawił ich i ruszył korytarzem w stronę swojego autokaru, a Karen Nebel pognała za nim, gdacząc jak stroskana kwoka.

– Dość tego – zarządził Hartmann. – Nie muszę słuchać bzdur Ussinga.

Morten Weber siedział na zewnątrz, przeglądał pocztę. Wstał i dołączył do nich.

– Dobrze poszło, prawda? – spytał.

– Do diabła z nimi. Powiedz lepiej, co z Zeuthenami?

– On zamierza zaoferować majątek. Nie są pewni, czy zdążą uzbierać pieniądze na czas. Możemy im zaproponować pomoc. Może pożyczkę gotówkową?

Hartmann ledwo na niego spojrział.

Szybkie kroki za plecami. Podbiegła Rosa Lebech, chwyciła go za ramię. Zatrzymał się.

– Mam spotkania – powiedział.

– Nie ty jeden masz coś do stracenia, Troels. Jeśli nie możesz znaleźć czasu, żeby wyjaśnić niejasności...

– Jakie niejasności? Omawialiśmy to już setki razy.

– Znajdziemy czas. – wtrąciła się Karen Nebel. – Ministerstwo Sprawiedliwości odpowie na wszystkie wasze pytania. Nie mamy nic do ukrycia. Ussing o tym wie. On po prostu pogrywa. Więc... – uśmiechnęła się – jeśli masz pytania, przekaz je mnie. Osobiście się nimi zajmę.

Zapadła cisza.

– Dobrze – powiedziała w końcu Rosa Lebech.

Patrzyli, jak wraca powoli do sali.

– Skąd, do cholery, Ussing wiedział o tej sprawie z Jutlandii? – zastanawiał się Hartmann.

– Twój statek przecieka – skwitował Weber.

Kemping znajdował się na pustkowiu pół godziny od miasta. Wokół pełno rozpadających się przyczep i kamperów. Ponad dwieście, jak powiedział Juncker. Zza przybrudzonych okienek obserwowały ich przybycie zaciekawione, przestraszone twarze.

Brix zadzwonił, gdy wysiadała z samochodu. Zeuthenowie podjęli decyzję w sprawie okupu. Suma była oszałamiająca.

– Masz coś na temat tej sprawy z Jutlandii? – spytała.

– Skup się na kempingu. I pamiętaj, żeby telefon był włączony.

Juncker działał tu już od godziny. Kamper, który wyglądał jak ten porywacza, zameldował się poprzedniego dnia i wyjechał z samego rana.

Lund zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta trzydzieści.

– Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz?

– To dziura – wyjaśnił młody detektyw. – Prowadzi to jakiś kompletny dziwak. Przychodzi do pracy dopiero na dziesiątą.

– Sarah! – Borch skończył rozmowę telefoniczną. – Mam coś od informatyków. Rozmowę z zeszłego wieczoru prowadzono przez tutejszy ruter WiFi. Nie mamy numeru. Ale...

Rozejrzał się po polu pełnym przyczep. Pachniało tu węglem drzewnym i wadliwą kanalizacją.

– To musi być on.

Kiwnęła głową. Juncker też. Wyglądał lepiej niż poprzedniej nocy. Jakby się przyzwyczaił do śledztwa.

– Zeuthen złożył ofertę? – spytał Borch.

– Sto – odparła.

– Sto milionów koron?

– To na pewno rekordowy okup. Nazwiska i adresy. – Spojrzała na Junckera. – Czy coś przeoczyłam?

– Chodźmy się spotkać z królem trolli – odparł.

Mężczyzna miał jakieś siedemdziesiąt lat i skrzywioną twarz, pewnie po wylewie, ubrany był w czapkę z daszkiem oraz starą granatową nylonową kurtkę. Siedział na krześle pod jedynym tutaj budynkiem: niskim ceglanym garażem z rdzewiejącym samochodem w środku.

– Nie szpieguję ludzi – powiedział. – Mamy komplet. Całe dwieście szesnaście miejsc. Kampery. Przyczepy. Mamy też cztery domki. Na wszystko jest pozwolenie. Nic na mnie nie macie.

Na szyldzie za jego plecami widniał napis „Kemping Tip Top”. I symbol placu zabaw dla dzieci. Zauważył, że Lund mu się przygląda.

– Wyrzuciliśmy karuzele, żeby zrobić więcej miejsca. Ludzi bardziej interesuje dach nad głową. W dzisiejszych czasach jest mało dzieci. – Spojrzał na nich spode łba. – Jak tylko służby socjalne się dowiadują, przyjeżdżają węszyć. Czasami je zabierają.

– Łatwiej zarobić, jak się nie zadaje pytań – zauważył Borch.

– Kiedyś rodziny przyjeżdżały na wakacje. Teraz potraciły domy. Mają banki na karku. Kredyciarze. Jeszcze ja miałbym im dokładać?

Borch robił się zły.

– Chodzi o morderstwo. O porwanie dziewczynki. Widział pan tego...

– Nie widziałem. – Starzec sięgnął do kieszeni i wyjął rachunek. – Zarezerwował jedną noc przez internet. W skrzynce pocztowej zostawił pokwitowanie i pieniądze. Nic nie widziałem.

Lund zerknęła na pokwitowanie. Skorzystał z karty kredytowej Petera Schultza. Zajmował parcelę numer sześćdziesiąt cztery.

Borch wyjął zdjęcie Emilie Zeuthen.

– Widział pan tę dziewczynkę?

– Głuchy pan jest? Nie widziałem, jak przyjeżdżał. Nie widziałem, jak odjeżdżał. Dać ludziom życie, to moje motto. I nie mieszać się w ich sprawy.

– Bardzo pan pomocny – burknął Juncker.

– Robię, co mogę – odparł starzec.

Hałas. Coś wibrowało w kieszeni Lund. Wyjęła telefon Emilie i wyszła za róg.

Głos był nadal spokojny.

– Co macie dla mnie tym razem?

Stała obok najbliższej przyczepy. Zza brudnej zasłonki przyglądała się jej kobieta z ciemną twarzą, cudzoziemka.

– Rodzina chce zapłacić sto milionów koron. Byle tylko odzyskać Emilie.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, Lund próbowała sobie wyobrazić mężczyznę kryjącego się za tym głosem. Mniej więcej w jej wieku. Wykształcony. Inteligentny. Doświadczony w dziedzinach, które mogła sobie tylko wyobrazić.

– Chcę je w banknotach po pięćset euro. Muszą się zmieścić do pięciu toreb. Żadnego nadajnika. Żadnych pojemników z tuszem. Tym razem żadnych gierek. Kolejnej szansy nie będzie.

– Zrozumiałam. Skąd mam wiedzieć, że można ci ufać?
Śmiech.

– Cóż mam powiedzieć? Masz moje słowo. Zbierz pieniądze. I przyjeźdź z nimi na E47. Wiadukt przy zjeździe szesnastym, punktualnie o szesnastej.

Dawał im na przygotowania niewiele ponad cztery godziny.

– To dużo gotówki do zebrania. Nie jestem pewna, czy zdążą w tak krótkim czasie.

– To Zeeland. Oni mogą wszystko.

– Ale...

– Szesnasta. Tym razem nie daj dupy.

Próbowała się spierać. Ale było za późno. Wróciła do Borchy i Junckera, którzy ciągle usiłowali coś wydobyć z właściciela. Powiedziała, że oferta została przyjęta.

Zgłosił się Brix. Borch zadzwonił do siedziby PET. Poszli do samochodu.

– Sarah.

Borch się zatrzymał. Z telefonem przy uchu.

– Wyśledzili go. To nie Skype. Używa zwykłej komórki. Znajduje się w promieniu dziesięciu kilometrów stąd.

Szeroki uśmiech. Od dwudziestu lat go nie widziała.

– Popełnił błąd. – Klepnął ją w ramię i krzyknął z entuzjazmem: – Dopadniemy drania!

Między jednym spotkaniem wyborczym a drugim autokar Hartmanna zatrzymał się w tymczasowym biurze eventowym w hotelu na przedmieściach. Karen Nebel pracowała nad Rosą Lebech. Partia Centrum ciągle wstrzymywała się z decyzją. Policja poinformowała Webera, że dojdzie do przekazania okupu.

– Miejmy nadzieję, że tym razem się uda – powiedział Hartmann. – Zeuthen ma pieniądze?

– Ściąga z Frankfurtu. Chyba nie ma problemu.

– To dobrze...

Weber się skrzywił.

– Możemy na słówko? – spytał.

Nebel nie bardzo się to podobało, ale Hartmann się zgodził. Przeszli do nieużywanych sypialni obok.

– Nie będzie lepiej, jeśli dasz Karen odczuć, że nie należy do zespołu, Morten.

– No tak... – Weber sprawiał wrażenie skrepowanego, zmartwionego. To było niecodzienne. – Chcę tylko być ostrożny, dopóki nie będę dokładnie wiedział, na czym stoimy.

Hartmann sięgnął po butelkę wody leżącą na łóżku i pociągnął z niej haust.

– O czym ty mówisz?

– Ussing właśnie wygłosił nowe oświadczenie.

– No na miłość boską...

– Domaga się oficjalnego śledztwa natychmiast po wyborach, niezależnie od tego, kto wygra.

– Gdzieś tam jest dziewięcioletnia dziewczynka! Czy on w ogóle o tym myśli?

– Świetnie – powiedział Weber. – Słuszny gniew. Wszyscy to uwielbiamy. A teraz do rzeczy. Rozmawiałem z Ministerstwem Sprawiedliwości. Znam tam prawniczkę...

– Nie mam na to czasu.

– Masz czas, Troels. Ta prawniczka sądzi, że widziała dokumenty dotyczące tej starej sprawy z Jutlandii, samobójstwa dziewczyny. Nie była pewna, ale gdy napomknąłem o marynarzach Zeelanda...

– Ta sprawa nigdy przez nich nie przeszła – przerwał Hartmann. – Byłeś przy tym, jak Mogens wczoraj nam to powiedział.

W drzwiach stanęła Karen Nebel. Weber zgromił ją wzrokiem.

– Właśnie skończyłam z Rosą. Jeśli rzucimy jej żołnierzom jakieś niższe stanowisko w ministerstwie, dzisiaj wieczorem ogłosi sojusz. Zgodziłam się.

– Świetne wieści! – krzyknął Hartmann.

– Musimy się pośpieszyć, jeśli chcemy złożyć oświadczenie przed debatą – dodała Nebel. – Możecie więc później dokończyć tę kłótnię?

– Nie musimy – odparł premier. – Już skończyliśmy.

E47 zaczynała się w niemieckiej Lubece, promem przedostawała się do Danii, mijała Kopenhagę i skręcała ku Szwecji, ale kończyła się już w Helsingør. Ludzie Brixa zamierzali zamknąć drogę w obu kierunkach.

Ruchliwe skrzyżowanie z autostradą znajdowało się przy wiadukcie nad mniejszą wersją pola kempingowego znalezionej przez Junckera. Tylko ta

wersja była o wiele podlejsza. Przypominała raczej miejsce biwakowe nad niewielkim jeziorem.

Juncker rozmawiał już wcześniej z miejscowymi. Miał lornetkę, którą wymierzył w ponure rudery na dole.

– Zdaje się, że mówią na to Błotnisko. Jest tam czterdziestu czy pięćdziesięciu nielegalnych imigrantów.

Lund wzięła lornetkę polową i popatrzyła. To nie były przyczepy kempingowe. Widziała zniszczone furgonetki, ludzi w namiocie, kilkoro dzieci bawiących się starą piłką do nogi.

– Odsyłamy ich do ojczyzny, a oni wracają – dodał Juncker.

Borch spędził większość czasu na rozmowie telefonicznej z kwaterą główną PET. Kiedy się rozłączył, Lund powiedziała:

– Nie wierzę ani przez chwilę, że on wejdzie na ten wiadukt i weźmie pieniądze.

– Nie. – Wskazał przyczepy i furgonetki w dole. – On jest tam. Wyśledziliśmy sygnał jego komórki. – Wskazał biały pojazd zaparkowany na skraju obozowiska, jakby niedawno przybył. – To ten kamper. Daję głowę.

Juncker zatarł dłonie.

– Więc chodźmy...

– Brix powiedział, że mamy czekać na telefon – zaprotestowała Lund.

To mu się nie spodobało.

– Ona tam jest. Chodźmy.

Borch podniósł dłoń, żeby go powstrzymać.

– Brix ma rację. Nie możemy ryzykować, że coś się stanie dziewczynce.

Przyparliśmy go do muru...

Lund jeszcze raz spojrzała przez lornetkę. Kamper był podobny do tego, którego poszukiwali.

– Dlaczego nagle zaczął używać telefonu, który możemy wyśledzić?

Juncker wzniósł oczy do nieba i zabrał lornetkę.

– Może dlatego, że nie ma połączenia z internetem?

Borch kazał jej iść na wiadukt.

– Dlaczego tutaj? – nie ustępowała. – Jest widoczny jak na dłoni. Ten człowiek wyłącza komputery. Wiedział, co się dzieje, kiedy był na tamtym statku. Wczoraj wiedział, jak kursują pociągi metra. A teraz...

Znowu zadzwoniła jego komórka.

– Już czas – powiedział jej Borch. – Zeuthenowie są po drugiej stronie wiaduktu. Brix jest z nimi. I pieniądze. Weźmiesz się do pracy?

– To nie ma sensu.

– Kiedy zadzwoni, rób, co ci każe. Zgarniemy go, kiedy ruszy po pieniądze. No już. Migiem.

Juncker zachichotał i wrócił do obserwacji obozowiska. Zapadał zmierzch. Lund podjechała do miejsca wskazanego przez Borch.

Trzy samochody. Brix miał na sobie ciemny zimowy płaszcz. Robert Zeuthen w nieodłącznym garniturze. Jego żona w nowej granatowej kurtce.

Z bagażnika range rovera Zeuthena mundurowi wyjęli pięć toreb. Trzyście i pół miliona euro, wszystko w banknotach o największym dostępnym nominale.

Brix podał Lund czarną kamizelkę kuloodporną i kazał włożyć. Policjantka przeprowadziła Zeuthenów na jedną stronę.

– Będę ich trzymał od tego z daleka – powiedział. – Nie możemy się zbliżyć, ale będziemy podsłuchiwać.

– Jak to było z tą sprawą z Jutlandii?

Nie podobało mu się to pytanie.

– Rozmawiałem z szefem tamtejszej policji. Potwierdził słowa tej patomorfolog. Dziewczynka popełniła samobójstwo. To ślepy zaułek.

Wsadzili pieniądze do bagażnika jej czarnego nieoznakowanego focusa.

– Powodzenia, Lund.

– Ta Jutlandia...

– Zapomnij o Jutlandii! Uważaj na pieniądze. I na siebie.

Wjechała na wiadukt. Zmierzch szybko przechodził w noc. Zaparkowała dwoma kołami na krawężniku i czekała.

Minęła siedemnasta dwadzieścia i nic. Borch, Juncker i grupa obserwacyjna dygotali w lesie nad Błotniskiem, nie odrywając wzroku od białej furgonetki w dole. Zastłonki zaciągnięte. W środku ciemno. Zdaniem ludzi Borchy telefon znajdował się wewnątrz kampera. Kolejny oddział – dowodzony przez Brixa – zebrał się na zjeździe pod wiaduktem. Na poziomie obozowiska. Gotów wkroczyć natychmiast.

Zeuthenowie milczeli, niespokojni, słuchając przejeżdżających nad głowami samochodów.

W końcu Maja podeszła i zaczęła wypytywać Brixa.

– Co się dzieje?

– Proszę – odrzekł – wolałbym, żebyście państwo czekali w samochodzie.

– Spóźnia się już ponad godzinę – zauważył Zeuthen.

– Spełniamy jego żądania – odparł Brix. – Lund jest na stanowisku. Ma pieniądze. Teraz jego kolej.

Krótką przerwa w ruchu. Hałas z wiaduktu przycichł. Rozległ się natomiast dźwięk telefonu.

Wyglądało na to, że to będzie największa debata tej kampanii. Tłumy sunęły do przestronnego budynku nad wodą. Stacje telewizyjne nadawały podstawioną historyjkę Karen Nebel. Mówili, że wybory są w zasadzie

rozstrzygnięte. Tego wieczoru Rosa Lebech reprezentująca Partię Centrum zamierzała opowiedzieć się za Troelsem Hartmannem jako przyszłym premierem. Zgodnie z najnowszymi sondażami nic, co socjaliści mogliby zrobić, nie wygenerowałoby tylu głosów, żeby zapewnić im władzę.

Hartmann przeszedł przez salę wypełnioną pracownikami sztabów wyborczych, uśmiechając się i machając. Z Nebel u boku.

– Parę gazet zarzuci Ussingowi wykorzystanie sprawy Zeuthenów – powiedziała cicho, gdy podążali między stołami. – To powinno zapewnić nam trochę oddechu.

Anders Ussing stał obok wyjścia i kiwał na nich.

– Wygląda na skruszonego – zauważył Hartmann.

– Powinien – odparła. – Bądź miły.

– Zawsze jestem miły.

To była krótka wymiana zdań. Ussing sprawiał wrażenie zdenerwowanego, mówił coś o wykonywaniu tylko swojej pracy.

– Cóż, teraz już po wszystkim, Anders. Kto dzisiaj idzie pierwszy?

– Ty, Troels. Ty rzucasz mi wyzwanie.

Hartmann posłał mu uśmiech polityka.

– Chcę tylko, żebyś wiedział – dodał Ussing – że jeśli stracisz przez to urząd... to nic osobistego. Pod żadnym względem.

Hartmann się roześmiał. Ussing miał na sobie kufajkę. Był bez krawata. Nieogolony. Nie wyglądał, jakby był gotowy na cokolwiek, a już na pewno nie na debatę.

– Coś ci powiem – odrzekł premier. – Ty się martw o swoją kampanię, ja się zajmę swoją.

Karen Nebel wyczuła, że coś nadciąga. Czym prędzej dołączyła do Hartmanna. Ussing kiwnął jej głową z szerokim uśmiechem.

– Nie po raz pierwszy Mogens Rank cię zwodzi. – Promieniał. – Ale pewnie po raz ostatni. Powodzenia z tym... no... – głośny śmiech – z sojuszem.

– Co to miało być, do cholery? – spytał Hartmann, gdy Ussing się oddalił. – Rosa nas popiera, prawda?

– Tak. Powiedziała mi...

Morten Weber szedł szybkim krokiem przez salę, z przekrzywionym krawatem, papierami w ręku i zachmurzoną twarzą.

Lund wpatrywała się w telefon Emilie. Milczał. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła aparat służbowy.

– Lund, słucham?

– Mówi Lis Vissenbjerg. Rozmawialiśmy dzisiaj rano. Możemy się spotkać?

– To nie jest dobry moment. Oddzwonię do pani, jeśli pani pozwoli.

– Powiedziała pani, że ten człowiek zabił Schultza w związku z tamtą sprawą.

Nagle ruch się wzmógł. Poczula na twarzy chłód nocnego powietrza.

– Na to wygląda.

Chwila ciszy.

– Widzi pani... ten raport sekcyjny, który pani ma...

Z rykiem przejechała ciężarówka. Lund podeszła do balustrady i przechyliła się przez nią, spojrzała na posepny mały kemping i na białą furgonetkę na obrzeżach.

– Co z nim?

– Powinnam powiedzieć to pani rano. Coś mnie niepokoiło odnośnie do przyczyny śmierci. Myślałam, że może dziewczynka została zamordowana. Ale kiedy chciałam przeprowadzić dodatkowe badania...

– Tak?

– Schultz powiedział, że góra go naciska. Straciłabym pracę, gdybym nie zrobiła tego, co chciał. Ciągłe mam pierwszą wersję raportu. Musi ją pani zobaczyć.

Dochodziła siedemnasta trzydzieści. A on nie dzwonił.

– Halo, Lund? Słyszysz mnie pani?

– Gdzie pani jest?

– W pracy. Dzisiaj... na dzisiaj mam wpisaną sekcję zwłok Petera Schultza. Powiedziałam, że nie mogę raczej...

– Proszę zaczekać.

Zadzwoiła do Borchy.

– Właśnie dzwoniła do mnie ta patomorfolog, z którą widzieliśmy się rano. Mówi, że raport z sekcji zwłok Louise Hjelby został zmieniony. Boi się. Chce nam coś pokazać.

– Nie teraz.

Lund wzięła głęboki oddech.

– Tu się nic nie stanie. Tracimy czas. Zrobił to z powodu...

– Rozłączam się. Zostań na miejscu, chyba że Brix wyda inne rozkazy. Cześć.

Sama na wiadukcie. Dygotała z zimna. Ciemne włosy związane w niestaranną kitkę. Miała dość ciężkiej kamizelki kuloodpornej.

Zerknęła na zegarek. Minęła siedemnasta trzydzieści.

On nie przyjedzie. W ogóle nie zamierzał przyjeżdżać.

Zdjęła kamizelkę, podeszła do bagażnika, wyjęła torby, ustawiła je na chodniku. Wysłała Borchowi krótki esemes, żeby je odebrał. Potem wsiadła do auta, przekręciła kluczyk i włączyła się do miarowego wieczornego ruchu.

– Chwila na osobności! – zażądał Morten Weber.

Wyszli na korytarz. Weber uderzył plikiem kartek w pierś Hartmanna.

– Mogens Rank wiedział wszystko o tej starej sprawie. Mam dokumenty z ministerstwa, które tego dowodzą. Śledztwo przeszło przez niego.

Hartmann zaklął.

– Czy to może chwilę poczekać?

Maleńkie oczy Webera płonęły wściekłością.

– Poczekać? Bomba nam tyka pod tyłkiem. Naprawdę nie możesz tego wysłuchać? Spójrz!

Wskazał kartkę z wierzchu.

– Mogens osobiście podpisał dokumenty. To jest tu czarno na białym. A jednak słowem się nie zająknął, gdy zginęli marynarze. Ani kiedy Peter Schultz zadyndał na budynku sądu. A PET mówi, że dokument od porywacza przyszedł prosto na jego służbowy adres mejlowy w ministerstwie. Który zresztą nie jest znany publicznie. O tym również mógłby wspomnieć.

– Co on na to? – spytała Nebel.

– Nie oddzwania.

– To musi poczekać – powiedziała stanowczo. – Tysiąc ludzi schodzi się na tę debatę. Zajmijmy się...

– Jeszcze nie skończyłem – ciągnął Weber. – PET uważa, że wie, kto przekazuje informacje Ussingowi. Znaleźli w ministerstwie Ranka urzędnika, który ma motyw. – Spojrzał na Hartmanna. – Nazywa się Jens Lebech. Były mąż Rosy.

– Były – podkreślił czym prędzej Hartmann. – Nie zbliżyłem się do Rosy na cal, kiedy jeszcze była mężatką. Nikt mi tego nie udowodni.

Weber walnął się dłonią w czoło.

– Czy ty chociaż raz możesz pomyśleć o czymś innym niż twój fiut? Musimy natychmiast zrobić z tym porządek. Musisz wrócić do Christiansborgu i wezwać Mogensa.

– Debata, Morten – zauważyła Nebel. – Ludzie tu są. Media.

– Po debacie – powiedział Hartmann. – Odwołaj wszystkie późniejsze spotkania. I znajdź mi Ranka.

Stojąc pod wiaduktem, usłyszeli, jak samochód Lund podskakuje na drodze, zjeżdżając z krawężnika.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał Brix.

Zawarczał telefon Borchy. Esemes.

– Pisz, że odbierze telefon Emilie, jeśli porywacz zadzwoni. Zostawiła pieniądze tam, gdzie stał samochód...

Wściekły Brix odwrócił się do Madsena.

– Niech ktoś wejdzie na wiadukt. I dowiedz się, co, do cholery, wyprawia Lund.

Zeuthenowie patrzyli na to wszystko ze swojego samochodu. Wysiedli.

– Dzwonił? – spytała Brixa Maja.

– Jeszcze nie. Muszę iść na wiadukt. Możecie... – wskazał range rovera – trzymać się z daleka?

Oddział policyjny siedział w lesie. Madsen połączył się z nimi i powiedział, że Lund oddaliła się z jakiegoś powodu. Oni mieli czekać, aż porywacz wpadnie w zasadzkę, i odebrać dziewczynkę.

Robert Zeuthen stanął przy nim i słuchał każdego słowa. Dopadł Madsena, gdy ten odchodził.

– O co chodzi z tą zasadzką?

– Nie teraz... – rzucił Madsen szorstko.

Zeuthen był spokojnym człowiekiem, nieco przysadzistym. Jeden szybki ruch i chwycił policjanta za ramię, obrócił ku sobie.

– Chcę wiedzieć.

Madsen spojrzał na grupę obserwacyjną. Machnął ręką. Że spokojnie.

Zeuthen odszedł do swojego samochodu.

W lesie nad kempingiem Borch ciągle próbował połączyć się z Lund, ale zgłaszała się poczta głosowa. Usłyszał za sobą hałas. Odwrócił się, zobaczył, jak range rover Zeuthena chybotrze się na błotnistej ścieżce.

– Niemożliwe – jęknął, patrząc, jak Zeuthen i jego żona wysiadają i wdrapują się ku nim po nierównym terenie.

– Tego nie było w umowie – powiedział, stając im na drodze. – Narażacie państwo swoją córkę.

Zeuthen podszedł na skraj polanki, spojrzał w dół na przyczepy i kampery. Juncker przyglądał się jednemu z nich przez lornetkę i wskazywał go koledze.

– Ona tam jest? – spytał Zeuthen. – To ta furgonetka?

Borch podszedł do niego.

– Nie mamy pewności. Nawet jeśli tam jest, nie wiemy, czy będzie chciał ją oddać. Nie dzwonił. Pieniądze ciągle...

– Coś jedzie – krzyknął Juncker. – Kieruje się do kampera.

Zeuthen z żoną próbowali przysunąć się bliżej, żeby coś zobaczyć.

– Mają państwo wrócić do samochodu – zażądał.

Polecił dwóm funkcjonariuszom odprowadzić Zeuthenów do auta. Przyłożył lornetkę do oczu. Rozglądał się po kempingu.

Był to stary fiat kombi. Za kierownicą siedziała postać okutana w grube, ciepłe ubrania. Samochód zatrzymał się przed kamperem. Kierowca

podszedł do drzwi, otworzył je kluczem. Wszedł do środka. W środku zamigotały światła gazowe.

Na Wydziale Medycyny Sądowej dzień dobiegał końca. Większość pracowników szła do domu. Lund pokonywała kolejne wyłożone białymi kafelkami opustoszałe korytarze, szukając Lis Vissenbjerg.

Nie chciała myśleć o tym, co się stało na wiadukcie. Brix będzie jej to wytykał do końca życia. Taka już jego natura. W dodatku nie miał wyobraźni.

Na pewno nie doszłoby do przekazania okupu. Porywacz w ogóle nie zamierzał go odebrać.

Zadzwoił jej telefon. Spojrzała na wyświetlacz. Borch.

– Zanim zaczniesz na mnie wrzeszczeć, posłuchaj: to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Chodzi o tę dawną sprawę. Dziewczynkę, Louise Hjelby. Patomorfolog coś wie. Tu się bardziej przydam...

– Potem to przedyskutujemy – przerwał jej. – Teraz musimy tylko wiedzieć, czy odbierzesz telefon.

– Oczywiście, że odbiorę! Jeśli zadzwoni...

– Ktoś właśnie wszedł do kampera, Sarah. Tu się coś dzieje.

– Jesteście w niewłaściwym miejscu. Ściągnął was tam z jakiegoś powodu. Posłuchaj...

Dźwięk. I ruch w kieszeni jej kurtki.

Telefon Emilie.

– Muszę odebrać – powiedziała.

– Rozmawiaj z nim jak najdłużej – rozkazał. – Jeśli stwierdzimy, że dzwoni stąd, wchodzimy.

Rozłączyła się. Odebrała.

– Przepraszam za spóźnienie. Jesteś gotowa?

– Tak – odpowiedziała, starając się nie zdradzać zdenerwowania. –
Pieniądze czekają.

Wahanie.

– Nie słyszę samochodów, Lund. A to ruchliwe miejsce.

– Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Musiałam porozmawiać z szefem.

Mogę zaraz wrócić.

– Zapomnij. Zmieniłem zdanie.

– Co to znaczy, że zmieniłeś zdanie? Mam te wszystkie pieniądze...

– Umowa unieważniona. Mogę wyciągnąć z niego więcej.

– To znaczy ile?

Lund się rozejrzała. Zbliżała się do audytorium, w którym rano
Vissenbjerg z uwagą rozkrawała zwłoki.

Połączenie przerwano.

Zadzwoiła do Borch. Próbował namierzyć rozmówcę, upewnić się, że
to kamper.

– No i? – spytała.

– Pracujemy nad tym.

– To znaczy, co dokładnie robicie?

Nie odpowiedział. Nie słuchał. Borch krzyczał, wrzeszczał. Coś
o Robercie Zeuthenie, jedno słowo w kółko: „Stać!”, „Stać!”, „Stać!”.

Zbiegał ze wzgórza, półbuty grzęzły mu w błocie, potykał się o cierniste
krzewy. Upadł twarzą w obrzydliwą ziemię, pomacał rękoma, zrozpaczony.

Robert Zeuthen był spokojnym człowiekiem o uporządkowanym umyśle.
Ale teraz nie dochodził on do głosu, bo Robert nie mógł znieść
oskarżycielskich spojrzeń Mai w samochodzie. I nagle bezmyślna furia
kazała mu pognać do brudnej białej furgonetki obserwowanej przez policję,
choć nie miał pojęcia, co zrobi, gdy jej dopadnie.

Wstał. Zakrwawiony, obolały, ranny wpadł na polankę, pognał do drzwi, otworzył je gwałtownie.

Ze wzgórza zbiegały błyskające światła. Za sobą słyszał głosy i wykrzykiwane rozkazy.

Zeuthen je zignorował, wszedł do środka. Odór papierosów i gorzały, potu i czegoś prymitywnego. Postać w tanich ciemnych ubraniach wstawała z siedzenia, krzycząc coś w obcym języku.

Mocowali się, walczyli, wypadli przez drzwi, zwarli się, boksowali, wrzeszczeli, tarzali się po błocie.

Wymachiwali pięściami. Bez słów.

Nagle tamten zebrał siły, oddał. Kościstą pięścią walnął Zeuthena mocno w brodę, wskoczył mu na klatkę piersiową, zaczął walić.

Światła. Kolejne ciosy, nie mocne, lecz bolesne.

Lufy połyskujące w mroku.

Stanęli w kręgu. Ściągnęli tamtego z Roberta.

Niezbyt ciężki, pomyślał Zeuthen. Granatowa kurtka i czarna czapeczka. Dwa karabinki automatyczne wystawiły ku nim krótkie lufy. Trzymali tamtego za ramiona.

Borch podszedł, ściągnął mu czapkę.

Długie blond włosy. Męska twarz. Ale nie mężczyzny.

Zeuthen, kuśtykając, dopadł kampera. Borch podążył za nim. Na stole leżał telefon. A dokoła pudełka po pizzy.

I nic poza tym.

Borch wszedł do środka, wciągnął kobietę, którą znaleźli. Przytrzymał ją przy białej ścianie kampera. Zmusił do mówienia.

Potem odebrał telefon. Słuchał. Rozłączył się. Zanim zdążył cokolwiek zrobić, telefon znowu zadzwonił.

Spojrzał na wyświetlacz.

– Sarah...

– Macie dziewczynkę?

– Nie. To był ten kamper. Z telefonu korzystano wcześniej. Oddał go imigrantce na stacji benzynowej cztery godziny temu. O nic nie pytała. Bo i po co?

– Próbowałam ci powiedzieć...

– No właśnie. Dostałem wiadomość od namiaru. Ta ostatnia rozmowa, którą odebrałaś...

Lund wpatrywała się ponury korytarz. Pachniało tu tak samo jak rano. Chemikaliami i odrobinę krwią.

– Tak?

– Dzwoniono z telefonu stacjonarnego w szpitalu. Ich zdaniem ze skrzydła medycyny sądowej.

Cisza.

– Jeśli nadal jesteś w tym budynku, masz go natychmiast opuścić.

Borch machał jak szalony, by czym prędzej podstawiono mu samochód.

– Sarah? Słyszysz mnie?

Lund nie opuściła budynku. Szła pustym korytarzem, stukając obcasami. Nie wiedziała, gdzie patrzeć. Mogła tylko podążać za swoim instynktem, a on prowadził w jedno miejsce: do audytorium ze srebrnym stołem na scenie.

Znalazła je nieco dalej w ciemnym korytarzu. Pchnęła dwuskrzydłowe drzwi, pomacała w poszukiwaniu włącznika światła. Na próżno, więc po ciemku ruszyła naprzód. Sięgnęła po latarkę do kieszeni, włączyła ją.

Przed sobą miała półkoliste rzędy siedzeń. Głos Borchy wciąż brzmiał w jej głowie; to co mówił o dziecku i o Marku.

W audytorium nikogo nie było. Z każdą chwilą była tego coraz bardziej pewna. Tylko stos papierów na skraju blatu biurka, przy którym pracowała Lis Vissenbjerg.

Skierowała snop światła na ścianę. Znalazła włączniki i sala obudziła się do życia. Wróciła do biurka, spojrzała na dokumenty. Notatki do innego raportu z sekcji, tego, który nigdy nie trafił do akt.

Czytała tylko chwilę. Musiała się zająć czymś innym.

Jedna ze świetlówek nad jej głową zamigotała hałaśliwie. Połowa ławek zniknęła w ciemności.

Lund spojrzała w tamtą stronę. Zaklęła. Już miała wrócić do raportu, gdy świetlówka się włączyła i jasnym, zimnym światłem zalała lewą stronę ławek.

Krzyk. Nie dała rady się powstrzymać.

Lis Vissenbjerg siedziała w tylnym rzędzie, ciągle w białym fartuchu, oparta o blade drewno. Z jej gardła płynęła krew. Zalała klatkę piersiową. Ściekała na schody i sączyła się powoli w stronę srebrnego stołu. Ramiona po bokach. Oczy szeroko otwarte. Martwa jak człowiek, nad którym pracowała dziś rano.

Drżącymi palcami Lund sięgnęła po telefon. Upuściła go. Patrzyła, jak upada, jak podskakuje i stukocze, sunąc powoli ku kałuży krwi.

Usłyszała coś jeszcze. Kroki na zewnątrz, ciężkie, zdecydowane, coraz cichsze.

Miała przy sobie broń. Kamizelki kuloodpornej nie.

Podniosła telefon, podeszła do drzwi i wyszła na długi, ponury korytarz.

Próbowała sobie przypomnieć rozkład budynku. Na pierwszym piętrze firmy. Na parterze biura. W piwnicy...

Lund kiedyś już tam była. Ale nie potrafiła nic sobie przypomnieć.

Szła korytarzem obok sali wykładowej. Puste szpitalne pomieszczenia, nagie stoły. Lodówki na zwłoki. Z wyciągniętą bronią, w pozycji klasycznej, wyjrzała, wytyczając wzrok w bladym świetle, bojąc się włączyć górne światło, by się nie zdradzić.

Kroki umilkły. Może odszedł. Słyszała własny oddech. Cichą pracę klimatyzacji. Ruch samochodów na zewnątrz. Nagle wycie syren, coraz bliżej.

Po chwili zastanowienia zrozumiała, że on czytał te notatki do raportu. To był jeden z powodów jego przybycia.

Kiedy była w ostatnim pomieszczeniu, obok stołu, który chyba czekał na zmycie, zadzwonił telefon. Jej.

– Wchodzimy do budynku – powiedział Borch spiętym głosem. – Gdzie jesteś?

– Idę przez pomieszczenia.

– Jezu Chryste! Czy ty mnie słuchasz?

– Zabił tę patomorfolog. Mam to, co chciała nam pokazać. To szkic raportu z sekcji. Nie ten, który widzieliśmy. Nigdy go nie złożyła. Schultz ją powstrzymał i...

Dźwięk za plecami.

Postać w białym fartuchu, którą dostrzegła odbijającą się w lśniącej szafie, pędziła przez korytarz.

– Sarah? – odezwał się Borch. – Halo?

Znowu z bronią w ręku podeszła do drzwi. Usłyszała cichnące kroki. Uciekający mężczyzna.

– Ciągłe tu jest – szepnęła. – Idzie na parter. Może do piwnicy.

Nie czekała na odpowiedź. Wrzuciła telefon do kieszeni i ruszyła biegiem.

Wąskie schody. Lund wciąż słyszała w głowie głos Borchy pytającego ją o dziecko.

Piwnica. Długi korytarz rozchodzący się pod kątem prostym w dwie strony. W ostatniej chwili dostrzegła postać znikającą za rogiem po prawej. Rozwiany fartuch lekarski. Tył głowy, ciemne włosy.

Czarne buty.

Lund mijala wielkie rury grzewcze, instalacje elektryczne.

Kolejny zakręt. Postać w bieli. Podniosła pistolet. Kobieta zaczęła krzyczeć. Otworzyła się winda. A tam dwóch pielęgniarzy. Ciało na noszach. Wpatrywali się w nią. W jej broń.

Lund spojrzała na ich obuwie. Same szpitalne białe chodaki.

Nie miała czasu na wyjaśnienia i pytania.

Mógł pójść tylko jedną drogą, więc podążyła nią, zdyszana.

Zapach prania. Detergenty i para. Pchnęła drzwi, znalazła się w wielkiej, pustej pralni. Rzędy strojów na wieszakach jak skóry zrzucone na noc. Z boku pralki bulgoczące łagodnie.

Dźwięk. Z wyciągniętą bronią obróciła się dokoła.

Twarcz. Celowała prosto w Mathiasa Borchy, w czarnym ubraniu, czarnej czapce, machającego ręką.

Ich dwoje w długim, szerokim, słabo oświetlonym pomieszczeniu, wypełnionym ubraniami, wieszakami i szafami. Mnóstwo miejsc do ukrycia się.

Lund wskazała gestem „na prawo”. Wiedziała, że on zrozumie. Już kiedyś razem pracowali.

Teraz przemieszczali się powoli przez długą pralnię, Lund po jednej stronie, Borch po drugiej. Dziewięciomilimetrowe pistolety Heckler & Koch Compact w mocno zaciśniętych dłoniach. Patrzyli, tropili, słuchali.

Przeszli połowę dystansu, gdy usłyszeli dźwięk. Grzechot wentylacji. Kanalizacji. Cokolwiek. Lund była obok stosów starannie wyprasowanych białych prześcieradeł. Obserwowała podłogę, szukała czarnych butów. Żałowała, że nie ma jak powiedzieć o tym Borchowi.

Jeszcze trzy kroki. Biały fartuch rzucony na podłogę. Był tutaj. Znowu się przebrał.

– Borch? – zawołała.

I nagle dźwięk. Krótki krzyk bólu. I odgłos, jakby ciosu zadanego czymś ciężkim.

– Mathias!

Przecięła pomieszczenie i zobaczyła ich. Mężczyzna w grubej kurtce, kominiarka z trzema otworami skrywała twarz. Trzymał Borch. Przykładał pistolet do jego szyi.

Lund podniosła broń i wymierzyła. Bez przekonania.

– Rzuć broń, proszę – powiedział głos, równie spokojny, beznamiętny i inteligentny jak przez telefon.

Widziała głowę w kapturze. Mogła do niej strzelić. Ale przede wszystkim widziała Mathiasa Borch.

– Nie lubię się powtarzać. Rzuć broń.

– Zastrzel gnoja, Sarah! – Borch usiłował się wyrwać. – Zrób to!

Po czym zaskowyczał z bólu. Nie widziała, ale mogła się domyślić. Cios w nerki.

– Rzuć broń albo go zabiję. A potem ciebie.

– Sarah – błagał Borch, z lufą pistoletu wciśniętą w policzek.

Przysunęła się o krok.

– Zrób to! – wrzasnął Borch.

– Liczę do trzech...

Powoli, tak żeby widział, Lund odsunęła od siebie rękę z pistoletem skierowanym w sufit. Następnie przykucnęła, położyła broń na podłodze i odepchnęła ją.

Borch patrzył na nią wściekły.

– Masz ostatnią szansę, Lund – powiedział mężczyzna. – Tym razem daj mi interesującą ofertę. Zawróć mi w głowie. Jutro czekam na telefon.

Następnie wycofał się w mrok, w miejsce obok jednej z dudniących pralek, ciągnąc za sobą Borchę.

Zerknęła na swoją broń na podłodze. Usłyszała okrzyk bólu. Podniosła pistolet. Zobaczyła otwarte drzwi. A przed nimi Borchę leżącą na podłodze. Doskoczyła do niego, spojrzała na schody prowadzące na ulicę.

Znowu zniknął. Tę trasę ewakuacyjną też znał, a ona nie miała pojęcia, którądy go ścigać.

Miała za dużo wspomnień. Zakrwawiony Jan Meyer w ciemności, kolejny partner stracony.

– Mathias?

Przyklękła, dotknęła jego czoła. Rozcięcie, a wokół niego rosnący guz.

– Nic ci nie jest? – wyszeptała i przyłożyła dłoń do jego zimnego, wilgotnego policzka.

Borch się ocknął. Dostrzegł coś w jej oczach. Spojrzał na otwarte drzwi. Zaklął cicho.

W audytorium pracowano nad ciałem Lis Vissenbjerg. Trzej mężczyźni z Wydziału Kryminalistki zaczęli drobiazgowo opisywać szczegóły jej śmierci. Co do metody nie było wątpliwości. Jedno spojrzenie dało odpowiedź: podciął jej gardło, a ona natychmiast wykrwawiła się na śmierć.

– Jak Borch? – spytał Brix.

– Trochę obity. Wkurzony. Pewnie na mnie. – Spojrzała na szefa. – Nie on jeden.

– Zostawiłaś niebotyczny okup przy drodze, nawet mnie nie uprzedzając. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Zeuthenowie szaleją.

Ostatnie zdanie Lund zbyła machnięciem dłoni.

– On w ogóle nie zamierzał odebrać tych pieniędzy. Powiedziałam Borchowi, żeby po nie przyjechał, prawda?

Zaprowadziła go do biurka, dźgnęła palcem wstępny raport.

– Vissenbjerg zadzwoniła do mnie, gdy byłam na wiadukcie. Chciała mi pokazać te dokumenty. Myślę, że się przestraszyła. Skoro przyszedł po Schulza, mógł przyjść i po nią.

Brix wziął do ręki notatki.

– To pierwotna wersja raportu. Ona wcale nie uważała, że dziewczynka popełniła samobójstwo. Schultz kazał jej usunąć to z raportu, grożąc wyrzuceniem z pracy. Powiedział, że ktoś go naciska.

– Kto?

– Nie zdążyła mi powiedzieć. Musimy zgarnąć tego, kto prowadził sprawę z Jutlandii.

Brix pokręcił głową.

– Dlaczego przez to giną ludzie? Jakie to ma powiązanie z Zeuthenami?

– Musi jakieś mieć. Powinnam zajrzeć do Borchy. Nigdy sobie nie radził z siniakami i ranami. Co wyciągnąłeś z tego kempingu?

– Nic. On przekazał po prostu furgonetkę i telefon jakiejś biednej cudzoziemce, którą zobaczył na stacji benzynowej, i powiedział, że jeśli poczeka na niego w tej norze, może dostanie coś jeszcze. To kobieta z Estonii. Odniosła wrażenie...

Zamilkł.

– Tak?

– Odniosła wrażenie, że on jest miły. Powiedział jej, że żał mu ludzi w potrzebie. Wszystko się sprowadza do wielkich interesów i rządu. Ruth Hedeby da mi popalić, jak wrócę. Nie mam jej kompletnie nic do przekazania, prawda?

Lund nie wiedziała, co powiedzieć. Nagle wszedł Borch, przyciskając sobie gazę opatrunkową do szyi.

– Jak się czujesz?

– Mówią, że prawie trzeba szyć.

Otworzyła szeroko oczy.

– Prawie?

Kąśliwe spojrzenie.

– Mamy świadków? Cokolwiek?

– Jak sądzisz? – burknął Brix.

– Wymyślił tę szopkę na autostradzie, żeby odwrócić naszą uwagę – powiedziała Lund. – Chciał spokojnie dorwać Vissenbjerg. Draży tę starą sprawę. Więc... – Przynajmniej słuchali. – Musimy zgadnąć, gdzie teraz będzie szukał.

– Dlaczego go, do cholery, nie zastrzełaś, skoro miałaś okazję? – spytał Borch.

Brixa to nie interesowało. Zabrali furgonetkę porywacza do garażu kryminalistyki w Politigården. Chciał, żeby ją sprawdzono. Żeby znaleziono coś, co mogłby podać jako trop.

Borch stanął przed nią, czekając na odpowiedź.

– Powinnaś go zdjąć.

Ruszyła do wyjścia. On podążył za nią.

– Dlaczego...? – zaczął znowu.

– Jak znaleźlibyśmy Emilie Zeuthen, gdybym go zastrzeła?

– Mogłaś go ranić w rękę albo w nogę, cokolwiek. Dobrze strzelasz....

– Nieprawda! Nic o mnie nie wiesz. Gdybyś się nie wtrącił...

Wyrzucił ramiona w górę.

– O, znowu moja wina! Szwendałaś się w ciemnościach, kiedy się pojawiłem. Mogłaś go zastrzelić i...

– Ty tam stałeś! – krzyknęła. – Stałeś na drodze. – I nagle, bez namysłu, wypaliła: – Znowu.

Chwycił się tego słowa.

– Znowu?

– Nie mogłam i koniec. Jasne? – Lund pożałowała, że nie ma szans pójść teraz w jakieś spokojne miejsce, posiedzieć sama jakiś czas, nie myśleć o nim ani o Emilie Zeuthen, ani o żadnym innym duchu z przeszłości.

Nie wiedzieć czemu zamknął się po tych słowach. Ruszyła więc do samochodu.

Nie tylko Borch był poszkodowany. Robert Zeuthen zranił się w rękę w bezsensownej walce na kempingu. Obolały, żaloszny, rozdrażniony prowadził teraz swojego range rovera. Maja siedziała z tyłu. Reinhardt na fotelu pasażera.

Właśnie przekazał im wiadomość o ostatnim morderstwie. Patomorfolog.

– Policja pyta, czy coś o tym wiemy – dodał. – Powiedziałem, że nie. Prokurator? Ta kobieta? Jakaś sprawa z Jutlandii? Z tym wszystkim nie mieliśmy przecież nic wspólnego. Oni, zdaje się, sądzą, że porywaczowi nie chodzi o pieniądze.

– Dlaczego? – spytała Maja, i były to pierwsze słowa, jakie padły z jej ust, odkąd wsiadła do samochodu. – To czego on chce, na miłość boską?

– Nie wiedzą. Powiedział, że jutro znowu zadzwoni z nowym żądaniem. Ostatnim. Chociaż tak oczywiście twierdził już wcześniej.

– Mówił coś o Emilie?

– Nic więcej nie powiedział.

Maja mówiła coraz głośniej, coraz gniewniej.

– Musi chodzić o coś jeszcze. Wyjaśnił, dlaczego nie chce pieniędzy?

– Nie. Załatwiłem, że odwieziemy to do Banku Narodowego, Robercie.

Potem...

Zeuthen zerknął na żonę. Spytał, jak się czuje. Była bardzo blada, wyglądała na zmęczoną.

– Zatrzymaj się – zażądała. – Chcę wysiąść.

Znajdowali się na obrzeżach miasta. Światła. Ludzie na ulicy.

– Zawiozę cię do Carstena – zaproponował Zeuthen.

– Zatrzymaj się!

Jechał dalej. Zaczęła wrzeszczeć. Zeuthen zjechał na chodnik i zatrzymał się. Wyskoczyła natychmiast, wpadła w krzaki. Popędził za nią.

– Maju...

Chyba chciała zwymiotować, ale nie dała rady. Pewnie nie mogła znieść jego widoku, wielkiego samochodu, rozmowy o pieniądzach. Łkając, bliska hysterii, wyszła z krzaków i ruszyła bez celu przed siebie.

– Odezwij się do mnie – błagał. – Proszę.

Odwróciła się wściekła, z oczyma lśniącymi od łez.

– Emilie nie wróci, Robercie. Nie rozumiesz tego?

Dogonił ją. A ona ciągle szła.

– Dam mu, czego chce. Cokolwiek to jest...

– Może ona już nie żyje...

To go rozwścieczyło.

– Żyje. Napisała swoje imię na ścianie. Dla nas. Wie, że po nią przyjdziemy. Wie...

Bolała go noga. Pewnie też była obita. Kuśtykał żaloszny w zimną noc, ich oddechy tworzyły obłoki pary.

Zatrzymała się przy jakimś ogrodzeniu. Próbował objąć jej szczupłe ramiona.

– Gdybyś ją puścił ze mną – płakała. – Do domu, tam gdzie jej miejsce. Gdybyś...

Nie miał słów. Nic nie mógł zrobić, tylko ją objąć. Łzy na jego policzku. Jego łzy i jej.

Chwilę się wrywała, ale w końcu się poddała. Bezwiednie objęła go w pasie. Chwyciła kurczowo. Jak kiedyś, gdy byli sobie bliscy. Zanim miłość wystygła.

Z ustami przy jej uchu szeptał słowa przeznaczone dla nich obojga.

– Odzyskam ją. Obiecuję. Nic innego nie ma znaczenia. Nic...

Nie odzywała się. Tylko płakała.

– Obiecuję – powtórzył Robert Zeuthen. – Zrobię to.

Na płocie wisiał plakat wyborczy. Troels Hartmann uśmiechający się promiennie do świata. Premier. Porządny człowiek, jak mówiono. Ktoś, kto stoi po twojej stronie.

Gdy samochód wjechał na bruk dziedzińca Christiansborgu, Hartmann słuchał radia. Morderstwo w szpitalu uniwersyteckim i jego domniemane powiązanie ze sprawą Zeuthenów było głównym tematem. Anders Ussing zaś stanowił drugi, oskarżając rząd Hartmanna o zaniedbanie w sprawie uprowadzenia Emilie.

Wokół samochodu zebrali się dziennikarze i ekipy telewizyjne. Wiadomości przedstawiły krótki raport o nieudanej próbie przekazania okupu, a także sugestię, że porywaczowi nie chodzi o pieniądze.

– Ani premier, ani policja czy PET nie złożyli żadnego oświadczenia – mówił reporter. – Ussing twierdzi, że zarówno porwania, jak i morderstw można by uniknąć, gdyby minister sprawiedliwości przejął się ostrzeżeniami, które otrzymał.

– Gdyby wiedział – burknął Hartmann, po czym wysiadł uśmiechnięty do kamer; ochroniarze przepchnęli go przez tłum i doprowadzili do budynku.

Poszedł prosto do swojego gabinetu. Czekał tam Mogens Rank, bawiąc się nerwowo ołówkiem.

Hartmann usiadł, Weber i Nebel u jego boków. Z rękami opartymi o blat wpatrywał się w elegancko ubranego mężczyznę naprzeciwko i czekał.

– Przykro mi, że nie oddzwoniłem do żadnego z was – powiedział Rank, poprawiając marynarkę. – Analizowałem tutejsze wydarzenia. Wygląda na to, że wiedzieliśmy o tej dziewczynce, tej Hjelby. To się działo tuż po objęciu przez nas rządów. Byłem zavalony robotą. Nie...

– Opowiedz nam o tym, Mogens – zażądał Hartmann.

– To była prosta sprawa. W porcie w Jutlandii Zachodniej znaleziono martwą trzynastolatkę. Na ciało natknęło się trzech marynarzy Zeelanda. – Wzruszył ramionami. – Co oczywiście oznacza, że sprawa musiała przejść przez moje ręce.

– Dlaczego? – spytał Morten Weber.

Rank spojrział na niego zdumiony.

– Zeeland popierał nas w wyborach. Wydawało się, że należy się interesować wszystkim, co z nim związane.

Spojrział na Nebel, szukając poparcia. Bez skutku.

– Wszystkie dowody przemawiały za samobójstwem – dodał Rank. – Przyjąłem więc, że sprawa jest zamknięta.

– Wczoraj powiedziałaś nam, że nic o tym nie wiesz – zauważył Weber.

– Tak – przyznał Rank. – Przepraszam. Byłem zajęty. To było kilka kartek, które przeszły przez moje biurko i nie wymagały żadnych działań. Zapomniałem. – Spojrzał na Hartmanna. – Przykro mi, Troels. Wiem, że narobiłem ci kłopotów. Ale naprawdę cokolwiek Ussing chciałby z tym zrobić, to już wszystko.

Morten Weber jęknął i na chwilę opuścił głowę.

– Zapomniałeś, Mogens?

– Tak. Nie wierzysz mi? Dlaczego miałbym kłamać?

– A gdy ci sami trzej marynarze zostali zamordowani? – wrzasnął Weber.

– Nadal nic ci się nie skojarzyło?

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Gdy zastępca prokuratora odpowiedzialny za tę sprawę zawisł na budynku sądu? I teraz, gdy zginęła ta lekarka?

– Nic mi się nie skojarzyło. Przepraszam.

Weber wstał, podszedł do ściany i kopnął w nią z całej siły.

– Szukamy Emilie Zeuthen – warknął na niego Rank. – Nie myślałem o tej starej sprawie. Wydawało się, że ona nie ma znaczenia...

Hartmann westchnął, patrzył na niego groźnie.

– Ale miała, Mogens. Powiedz mi szczerze. Czy ingerowałeś w tę sprawę? Na jakimkolwiek etapie? Zrobiłeś coś, co mogłoby świadczyć o działaniu w czyimś interesie?

– Co masz na myśli?

– Ma na myśli – wtrącił Weber – czy wyświadczyłeś komuś przysługę. Na przykład Zeelandowi?

– Oczywiście, że nie! Dlaczego miałbym to robić? Sądziłem, że ta sprawa jest już rozwiązana.

Hartmann walnął pięścią w stół.

– Ale nie była. Prawda?

Długa chwila ciszy.

Spokojniej już dodał:

– Na szali leży życie Emilie Zeuthen. Może zginąć z powodu tych... karteczek, które zignorowałeś. Łajdak powiedział policji, że mają ostatnią szansę sprowadzić ją do domu. Nawet nie wiemy jak...

Rank się zebrał, pokręcił głową.

– Sugestia, że w cokolwiek ingerowałem, jest absurdalna. Oburzająca. Bardzo mi się nie podoba.

Znowu potrząsnął głową.

– I to nie moja wina, że Ussing dostał te wszystkie materiały. Mąż Rosy Lebech ci to załatwił, nie ja. – Minister dźgnął palcem powietrze przed sobą. – Nie wezmę na siebie winy za twoje grzeszki.

Weber wrócił do stołu, popatrzył na Karen Nebel. I zanim Hartmann zdążył się odezwać, powiedział:

– Nie rozmawiaj z mediami, dopóki to się nie skończy, Mogens. I odbieraj, kiedy dzwonię.

Rank kiwnął głową. Wyglądał, jakby mu ulżyło, że go rozgrzeszyli.

– Powinienem go, kurwa, wyrzucić przez okno – warknął Hartmann po wyjściu ministra.

– Nie możesz – wypalił Weber. – Niedługo pewnie będziesz miał do czynienia z buntem w łonie partii. Czy ci się to podoba, czy nie, Rank stoi po twojej stronie. W każdym razie z grubsza rzecz biorąc.

Hartmann znowu zaklął.

– Nie ufam mu. Musimy sprawdzić jego wersję.

Pukanie do drzwi. Weber otworzył. Jeden z asystentów z torbami pełnymi jedzenia.

– Najpierw coś zjemy – zaproponował, otwierając torby i wykładając na stół plastikowe pudełka. – Zamówiłem sushi. Mam nadzieję, że wam

odpowiada.

– Do diabła z jedzeniem! – wrzasnął Hartmann. – Chcę wiedzieć, co się stało. Od chwili, gdy raport dotarł do ministerstwa Ranka, do chwili, gdy on zdecydował się go wyrzucić.

Weber się roześmiał.

– Co cię tak bawi? – spytał Hartmann.

– Jedyni ludzie, którym mogę zlecić prześwietlenie Mogensa, to ci, których sam wyznaczył. Kto śledzi śledczych?

– Chcę...

– Wiem, czego chcesz – przerwał mu Weber. – Pogadam z Dyhringiem. Zobaczą, co da się zrobić.

Hartmann sprawiał wrażenie udobruchanego.

– Powinienem cię przestrzec – dodał Weber. – Jens Lebech siedzi w areszcie. Robi się gorąco. Przechodziliśmy już przez to. Wiem, że martwisz się o Emilie Zeuthen. Wszyscy się martwimy. Ale ty jesteś premierem. Prowadzimy walkę wyborczą. Dla dobra wszystkich musisz się trzymać z daleka od tej sprawy.

Hartmann spojrzał na niego ze złością.

– Nie przechodziliśmy przez to – warknął stanowczo. – Nie mów tak. To co się stało wtedy... nie miało nic wspólnego ze mną.

Morten Weber uśmiechnął się i nic już nie powiedział.

W Politigården w garażu Wydziału Kryminalistyki trwały badania nad zdobytą furgonetką. W środku znaleziono mnóstwo śladów pobytu Emilie. Nic, co by sugerowało, gdzie jest teraz. Juncker był zmęczony i gburowaty, tak jak poprzedniego wieczoru. Chwilami przypominał jej Marka – zabawny, uroczy i tylko odrobinę trudny. To jej wina, że wrażliwość syna dostrzegła dopiero wtedy, gdy było już za późno. Patrzyła na Asbjørna

Junckera przeczesującego furgonetkę, który wielkimi oczami wpatrywał się w dowody, i widziała wyraźnie swoje błędy.

– O co mu chodzi, skoro nie o pieniądze? – spytał Juncker.

Zawartość furgonetki wyłożono na stoły.

– Chce po prostu zabijać ludzi? W tym rzecz? To szaleniec.

Lund wpatrywała się w przedmioty na blatach.

– To nie jest szaleniec. Powiedz mi, co masz.

Westchnął głęboko i zaczął wymieniać:

– Blond włosy i resztki jedzenia z tyłu samochodu. Pewnie posadził ją przed telewizorem, żeby ją widzieć w lusterku wstecznym. Furgonetkę skradziono cztery dni temu od dilera. Zmieniono tablice. Okna zaklejono folią i taśmą. Dziewczynka nie miała jak wyjrzeć na zewnątrz.

Wszedł Madsen i poinformował ich, że przyjechali Zeuthenowie i chcą z kimś rozmawiać.

– Są bardzo stanowczy – dodał.

– Niech Borch się nimi zajmie.

Spojrzał zaskoczony.

– Borch pojechał do Jutlandii. Myślałem, że wiesz. PET chciała się przyjrzeć tej starej sprawie.

Juncker znowu burczał pod nosem. Coś o tym, że mogła postrzelić tego faceta, gdy miała na to szansę.

– Świetnie – odcięła się, po czym wzięła kilka torebek dowodowych z zawartością i wyszła.

W biurze zaczęła je rozkładać przed Zeuthenami. Ci wyglądali jakoś inaczej. Jakby już ze sobą nie wojowali. Brix siedział i głównie słuchał.

– Dał jej zabawki i coś do czytania – mówiła Lund, rozkładając puzzle, krzyżówki, książki i gazetki. – Czy te rzeczy coś państwu mówią?

Matka przyjrzała się dowodom.

– Książki... ta gazetka... to są jej ulubione. Skąd on o tym wiedział?

– Może ją spytał? – podsunął Brix. – Stara się, by czuła się bezpiecznie. Jakby brała w tym udział, a nie była więźniem.

– To prawda w pewnym sensie – przyznała Lund. – Ale bardziej prawdopodobne jest to, że wiedział o tym wcześniej. W jakiś sposób zbliżył się do Emilie. Czy nic się państwu nie kojarzy?

– Nie! – przerwał Zeuthen. – Skąd macie pewność, że on nie chce pieniędzy? Nie zrobiliście tego, co kazał. Pani opuściła wiadukt.

Brix pośpieszył jej z pomocą.

– On się nawet nie zbliżył do okupu. Ani dzisiaj, ani wczoraj. I nie było z nim Emilie. To niemożliwe. On prowadzi grę. Próbuje nas odciągnąć od tego, co naprawdę chce zrobić.

– Co to jest? – spytała Maja.

– Chce rozwiązać zagadkę starego śledztwa policyjnego – wyjaśniła Lund. – W porcie w Jutlandii Zachodniej znaleziono wówczas ciało trzynastolatki. Niedaleko obiektów Zeelanda. Ciało znaleźli ci trzej marynarze, których teraz zamordowano. On chce...

Zeuthen uderzył dłonią w biurko.

– Mówiłem wam, że nic o tym nie wiem.

– Wygląda na to, że tamtą dziewczynkę zamordowano – dodała Lund. – Ktoś to zatuszował.

Maja Zeuthen odwróciła się do męża.

– Masz z tym coś wspólnego, Robercie?

– Nic. Pierwszy raz o tym słyszę.

– Nie musi być pan w to wplątany osobiście – wyjaśnił Brix. – Chodzi o wymiar symboliczny. Może dla niego Zeeland to pan. Może ktoś inny w firmie wiedział coś o sprawie...

– Prosiłem Reinhardta, żeby ochrona zbadła archiwa. Porozmawiajcie z nim. Macie coś jeszcze?

Lund udzieliła odpowiedzi dopiero po chwili wahania.

– Ciągłe próbujemy wyśledzić parę rzeczy...

– Nie macie pomysłu, co? – przerwała jej Maja Zeuthen. – Po dwóch dniach... żadnego tropu....

Bez odpowiedzi.

– Kiedy on znowu zadzwoni – rzekł Zeuthen – niech mu pani powie, że zapłacę, ile chce. Bez ograniczeń. Ile chce.

– On nie chce pieniędzy... – zaczęła Lund.

– Niech mu pani to powie! – krzyknął. – I tym razem niech pani zrobi, co on każe.

Wstał i wyszedł. Matka została.

– Emilie wydrapała swoje imię na ścianie – powiedziała. – Może zostawiła coś jeszcze...

– Przeszukaliśmy furgonetkę. – Lund wstała. – Przykro mi. Nie znaleźliśmy nic znaczącego.

– Jej pokój w domu...

– Też przeszukaliśmy – przerwał Brix.

Zgromiła go wzrokiem.

– Jestem jej matką. Widzę rzeczy, których wy nie widzicie.

I wyszła. Lund zastanowiła się nad jej słowami. Wróciła do garażu. Juncker ciągle marudził jak zmęczony szkrab. Kazała mu iść do domu i się przespać. Ani drgnął.

W furgonetce usiadła tam, gdzie zapewne siedziała Emilie. Juncker popatrzył na nią i w końcu zamilkł.

– Cały czas miał ją na oku – powiedziała Lund, patrząc w swoje odbicie w lusterku wstecznym. – Nie widziałby jej tylko w rogach, a tam nie ma

żadnych śladów.

Wstała i weszła do maleńkiej toalety. Okno zaklejono czarną folią, żeby Emilie nie mogła wyjrzeć. I żeby nie można było jej zobaczyć.

– Przejrzałem papier toaletowy – powiedział Juncker. – Nic tam nie ma.

W jednym rogu taśma była odklejona. Spod niej wyglądało matowe szkło. Lund powoli ściągnęła folię i chuchnęła na powierzchnię.

Ślady palców.

– Musimy tu posypać proszkiem – powiedziała.

Juncker siadł na zewnątrz i patrzył. Z poczuciem winy, ale i zafascynowany. Jeden z techników podszedł, wyjął pędzel i proszek, po czym przystąpił do pracy.

Stopniowo pojawiały się litery.

K Top. 03. KPS.

– Zostawiła wiadomość, a ja jej nie zobaczyłem – wyszeptał Juncker. – Jestem do dupy.

– Nieprawda. – Lund delikatnie puknęła go pięścią w ramię. – Już ci mówiłam. Naucz się patrzeć.

– Co to znaczy?

– Emilie jest bystra. Mówi nam, gdzie była. Kemping Top. 03 to obwodnica. To trasa z kempingu.

– A KPS?

Przysunęła się bliżej, nie spuszczając wzroku z liter.

– Jakies inne miejsce, w którym ją trzymał. Jeśli szczęście nam dopisuje... może jest w nim jeszcze...

Okolo ósmej Karen Nebel weszła do gabinetu Hartmanna i zaanonsowała niespodziewanego gościa: Rosa Lebech domagała się spotkania w cztery oczy.

Oderwał się od mowy przygotowywanej na następny dzień i kazał wprowadzić Rosę. Była wściekła.

– Jeszcze nie wydaję opinii na temat ministra sprawiedliwości – powiedział. – Chcę to zbadać wnikliwie. Tak jak...

– Gównu mnie obchodzi Mogens Rank. Co wyprawiacie z Jensem? Ty i PET.

Hartmann wcisnął ręce do kieszeni spodni, milczał.

– Został aresztowany. W domu. Na oczach dzieci, na miłość boską!

– Nie mówimy ludziom z PET, co mają robić. To nie w naszym stylu. Oni prowadzą śledztwo w sprawie przecieku informacji. To ich sprawa. Nie moja.

Przysunęła się bliżej.

– Wiedziałeś, że chcą go aresztować, prawda?

– Nie. Wiedziałem, że go podejrzewają.

– Przez nas! Bo on wie!

– Nie miałem o tym pojęcia – odparł Hartmann ostrożnie.

– Powiedziałam mu kilka tygodni temu. Nie chciałam, żeby się dowiedział od kogoś innego, dzieci też.

Hartmann kiwnął głową i uśmiechnął się. Wziął ją za rękę. Nie wyszarpnęła jej.

Łagodny głos. Wyrozumiały.

– Postąpiłaś właściwie. To niezręczne dla nas wszystkich. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Jeśli Jens jest niewinny, wypuszczą go. Nie mogę się w to wplątać. A nawet gdybym wiedział... Myślisz, że mógłbym ci powiedzieć?

Wtedy się odsunęła.

– Tak. Mógłbyś. Mam z tobą same kłopoty. Muszę cię bronić przed swoją partią. Teraz muszę to jeszcze robić przed swoją rodziną. Co za dużo,

to niezdrowo.

Mówiła coraz głośniej. Drzwi były otwarte. Za nimi wciąż jeszcze kręcili się urzędnicy. Hartmann wstał i zamknął je.

– Jeśli Jens jest źródłem przecieku, to wpakował nas w niezły bałagan. Miej pretensje do niego, nie do mnie.

– Jest niewinny. Chcę, żeby go wypuszczono.

– Jeśli jest niewinny, zostanie wypuszczony. Kochanie...

Znowu wyciągnął rękę i ścisnął jej palce. Potem dotknął jej policzka.

– Bardzo bym chciał, żebyśmy byli zwyczajną parą. Żebyśmy nie musieli pokonywać tych wszystkich przeszkód. Rozmawialiśmy o tym. Ale na razie musimy. – Sięgnął wyżej i musnął palcami jej krótkie ciemne włosy. – Spotkajmy się później. Odłóżmy na bok politykę. – Przechylił głowę na bok i uśmiechnął się. – Bądźmy po prostu sobą.

Rosa Lebech cofnęła się i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Jeśli chcesz się spotkać, zadzwoń do szefowej mojej kampanii. Ona prowadzi terminarz spotkań.

W drzwiach minęła się z Weberem.

– Mało zadowolona kobieta – zauważył. – Niektóre twoje wybory mnie zdumiewają. Czy nie mógłbyś się wiązać z mniej ryzykownymi kobietami? Powiedzmy... z jakąś aktorką. Niechby nawet miała problemy narkotykowe. Albo tatuaże.

To Hartmanna nieco ubawiło.

– To kwestia serca, Morten. Gdybyś miał serce, tobyś zrozumiał. Rosa się wściekła, że PET zwinęła jej męża.

– Oj tam. Nie będą go trzymać. W tej chwili nie mają mocnych dowodów.

– To jakiś plus.

– Naprawdę? – Weber podrapał się po głowie. – No to chyba jedyny.

– Nie pogrywaj ze mną, proszę.

– Czemu nie? Każdy to robi. Długo rozmawiałem z Dyhringiem. Z naszym człowiekiem w PET.

– I?

Weber wziął do ręki wydruk z kalendarza z listą nazwisk.

– W trakcie tej sprawy jutlandzkiej Mogens Rank brał udział w zorganizowanym tam spotkaniu biznesowym. Podobnie jak Peter Schultz.

– Co mówi Rank?

Wzruszenie ramion.

– Mówi, że nie pamięta żadnego spotkania z Schultzem. Jak na ministra to pamięć ma naprawdę wstrząsającą.

– Wierzysz mu? – spytał Hartmann z nadzieją.

– Chciałbym, Troels. Naprawdę bardzo bym chciał.

Juncker nie poszedł do domu. Kazała mu więc szukać śladów opon kampera, a sama ruszyła na górę przejrzeć nagrania z kamery przemysłowej, którą znaleźli. Widzieli, jak porywacz opuszcza autostradę zjazdem przy terenach przemysłowych, numer czternaście, i jak włącza się do ruchu przy stacji benzynowej, gdzie przekazał kluczyki i telefon pierwszej osobie, która się napatoczyła. Nie mieli pojęcia, dokąd pojechał później, ale według Lund można było założyć, że zostawił Emilie gdzieś w pobliżu.

Kilka razy dzwoniła Eva Lauersen. Przedstawiła się jako dziewczyna Marka. Ale zanim Lund zdołała oddzwonić, Brix wprowadził pulchniutkiego, siwowłosego mężczyznę z silnym akcentem z Jutlandii. Nicolaj Overgaard. Szef miejscowej policji w okresie, gdy prowadzono śledztwo w sprawie Louise Hjelby.

Sprawiał wrażenie... sennego. I niezbyt bystrego.

Lund posadziła go na wprost siebie. Brix siadł na rogu biurka. Spytała, kogo mogłoby urazić takie rozstrzygnięcie śledztwa, że dziewczynka popełniła samobójstwo: rodzinę, chłopaka, kogoś bliskiego?

– Nikt mi nie przychodzi do głowy – odparł Overgaard. – Dziewczyna mieszkała w rodzinie zastępczej. Nie była tam długo. Często ją przenoszono. Nikt tak naprawdę nie znał jej dobrze.

Jak na zimny listopad był za lekko ubrany. W różową koszulę w kratkę. W kurtkę na cieplejsze dni. Lund napisała coś na kartce i podała ją Madsenowi.

– Pojawiła się pierwotna wersja raportu z sekcji zwłok – powiedział Brix. – Inna niż ta znajdująca się w aktach. Zgodnie z nią dziewczynkę zamordowano.

Stary gliniarz podniósł głowę. Miał tik nerwowy. Prawe oko mu drgało.

– Wydaje się oczywiste, że rany na ciele Louise powstały, zanim znalazła się w wodzie – dodała Lund.

– Mogę zobaczyć ten raport?

Brix podał mu dokument. Overgaard przejrzał go, za szybko.

– Mówi pan, że nigdy pan tego nie widział? – spytała Lund.

– To dla mnie coś nowego.

– Jak to możliwe? Patolog powiedziała, że Peter Schultz wywierał na nią presję, żeby sporządziła fałszywy raport. Skoro Schultz naciskał na nią, musiał naciskać też na pana.

Overgaard wpatrywał się w nią, milcząc.

– A teraz oboje nie żyją – dodała. – Proszę to przemyśleć.

– Nikt... nikt nie wywierał na mnie presji.

– Więc w śledztwie nie było nic nietypowego? – spytała. – Znaleźliście dziewczynkę, którą zamordowano, a potem wrzucono do wody. Następnie

podpisał pan raport orzekający, że to było samobójstwo.

To mu się nie spodobało.

– Zrobiliśmy wszystko zgodnie z zasadami. Ci marynarze powiedzieli, że znaleźli tę małą w porcie. Raport z sekcji zwłok, który dostałem z Kopenhagi, mówił, że to było samobójstwo. Nie wiem, skąd wzięliście ten nowy...

– Patomorfolog chciała nam go pokazać – przerwał Brix. – Znaleźliśmy go obok jej ciała. Podcięto jej gardło. Schultz...

– Czytałem o tym – powiedział Overgaard niemal szeptem.

– Zdaje się, że mordercę interesują osoby blisko związane ze sprawą. – Usta Brixa ułożyły się w prawie uśmiech. – Takie jak pan.

Wrócił Madsen, podsunął Lund notatnik z odpowiedzią na jej pytanie.

– Jeśli się pan czuje zagrożony – powiedziała Lund – możemy panu zapewnić ochronę. Docenilibyśmy oczywiście wszelką pomoc.

Nerwowy śmiech. Overgaard wstał.

– Nie. Idę do Związku Policjanta oszukiwać w karty. Nikt się mną nie interesuje.

– Niech pan siada – poleciła Lund.

Chyba się przestraszył.

– Niech pan siada – powtórzyła.

Nagle zniknął odgrywany przez niego dobry nastrój.

– O co znowu chodzi?

Pokazała mu notatkę. Numer lotu.

– Dlaczego opuszcza pan Danię w takim pośpiechu? Zarezerwował pan bilet na lot do Bangkoku na dzisiaj. Nie idzie pan grać w karty do Związku Policjanta. Ucieka pan. – Lund oparła ręce na biurku. – Czemuż to? Kogo się pan boi?

– Czy wprowadzono jakieś rozporządzenie, że podróże są nielegalne? – spytał pewnym głosem Overgaard.

– Od razu po zamknięciu sprawy Hjelby przeszedł pan na emeryturę i przeprowadził się do Kopenhagi. Mieszka pan sam. Nikogo pan tu nie zna. Dostrzegła coś w jego oczach. Rezygnację. Nagi strach.

– Stres. Dali mi rentę. Chciałem być w mieście. To wszystko. Cholera! Przyjechałem tu dobrowolnie. Powiedziałem wam wszystko, co mogłem. Idę...

Nie ruszył się. Był starym policjantem. Wiedział.

Brix kiwnął głową na funkcjonariusza.

– Zarezerwujcie celę dla naszego kolegi. I przypomnijcie mu, jakie prawa mu przysługują.

– Co, do...? – zaczął Overgaard.

– Mamy powód podejrzewać, że ukrywa pan ważne informacje – ciągnął Brix. – Szukamy dziewięciolatki, która jutro może już nie żyć. Jeśli wie pan cokolwiek...

– Nie wiem! – krzyknął stary policjant. – Nic nie wiem. Muszę zdążyć na samolot. Puśćcie mnie! Puśćcie!

Wszedł Madsen z dwoma kolegami. Zabrali go.

– Jedź do domu, Lund – rozkazał Brix. – Prześpij się. I miej pod ręką telefon.

Myślała przez chwilę.

– Ten człowiek jedzie, gdzie chce. Robi, co chce. Wie, co się wydarzy.

– To prawda – przyznał.

– Zdaniem Borchy w szpitalu miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Zna się na komputerach. Na systemach bezpieczeństwa. I z tego co wiem, zna się na broni...

– Lund. Jedź do domu.

W ogóle się nie ruszyła.

– On ma przewagę, Brix. Wie, gdzie będzie. A my nie mamy pojęcia.

Wziął z biurka telefon Emilie. Potem kluczyki Lund. Podał je i zaczął, aż weźmie.

Maja Zeuthen wciąż nie znosiła rodzinnej posiadłości. Za łatwo było się w niej zgubić. Za zimno w niektórych miejscach. Za dużo ciemnych kątów, ukrytych przejść, pomieszczeń, z których czteroosobowa rodzina nigdy nie korzystała.

Ale Emilie i Carl uwielbiali Drakkar. Znali go lepiej niż matka. Lubili bawić się w chowanego na górnych piętrach, przesiadywać na zakurzonych strychach i w schowkach, z których wracali brudni, roześmiani, rozochoceni. Kiedyś znalazła ich, jak wspinali się na samą górę, mówiąc, że chcieli znaleźć smoka dziadka i spojrzeć przez jego oczy. Po tym wydarzeniu mieli zakaz wstępu na górną kondygnację.

Niemniej jednak był to dom, w którym się wychowywali. Stanowił część ich dzieciństwa. Nigdy nie było łatwo wyciągnąć ich do maleńkiej kawalerki Carstena w mieście, sprawić, żeby czuli się tam szczęśliwi. Nie ten rozmiar. Zresztą formalnie było to jego mieszkanie, nie ich. Czegoś tam brakowało. Miłości, która na początku łączyła matkę, ojca, siostrę i brata. W czasach, gdy wiązała ich magia, którą była rodzina.

Siedziała w bawialni na dole, przeglądając ich rzeczy z Carstenem, który bardzo starał się pomóc. Słyszeli, jak nieopodal Robert i Reinhardt rozmawiają szeptem o śledztwie. Robili, co mogli. Robert zarządził, żeby w Zeelandzie odnaleziono wszelkie informacje na temat tamtej sprawy w Jutlandii. Wyglądało na to, że nic wartościowego nie mają. Dokumenty marynarzy były w porządku. Byli świadkami, nie podejrzanymi.

Carsten siedział, mamrocząc coś pod nosem, gdy ona przeglądała zdjęcia Emilie, wiersze i albumy ze skarbami.

Nagle Robert powiedział za głośno:

– Sprawdź też dyrektorów. Chcę mieć pewność, że niczego nie ukrywają.

– Właśnie – warknął Carsten, wstał i podszedł do drzwi.

Nie poszła za nim. Dość już było kłótni. Ale słyszała.

– Co ty ukrywasz? – krzyczał Carsten. – Wszystko się sprowadza do ciebie i Zeelanda?

Mogła to sobie wyobrazić. Robert patrzy z urazą. Reinhardt, w końcu przykładowy sługa, rusza do drzwi.

– Maja wychodzi ze skóry, szukając najdrobniejszej rzeczy, która pomoże odnaleźć Emilie. Czy szuka w niewłaściwym miejscu, Robercie?

– Carsten – wyszeptała. – Na miłość boską, zamknij się...

Głośne kroki. Wszedł do pokoju.

– Co się dzieje? Co ty zrobiłeś? Czy to twoje śmierdzące pieniądze ściągnęły to na nas? Tak? Czy ktoś mi wreszcie odpowie?

Drzwi się zamknęły. Może Reinhardt go wypchnął. Carsten zaczął walić w drzwi pięściami. Z natury nie był porywczy. Gdyby był, ona nie wpadłaby bezwolnie w jego ramiona, kiedy małżeństwo się kruszyło. Ale teraz coś go niepokoiło.

Maja spojrzała na obrazek przed sobą i pomyślała: Może ma powody.

Zdjęcie jej i Roberta – młodszych i takich szczęśliwych, ona z głową na jego ramieniu. Oboje uśmiechnięci. Emilie wycięła to zdjęcie w kształt serca. Obrysowała kwiatami i ptaszkami. Na drugiej stronie cztery postacie. Matka, ojciec, dwójka dzieci, ręka w rękę idący przez pole pełne rysowanych dziecięcą rączką ogromnych stokrotek, a za nimi las, ich własny las.

Pod spodem podpis: „Najlepsi”.

I niżej: „Zeuthenowie – to MY!”.

Carsten wciąż gardłował pod drzwiami.

Podniosła rękę do ust. Zaczęła łąkać, dławić się, czuła, jak łyzy płyną po jej policzkach.

Emilie zagubiła się w ciemnym świecie za łąką, za wielkimi kwiatami. Oni wszyscy się tam zagubili.

Domek Lund stał przy niewielkiej ulicy w Herlev, na przedmieściach, dziewięć kilometrów od centrum. Nic specjalnego. W pobliżu wielki szpital miejski. Szeregi parterowych domów, każdy inny. I w końcu jej – zwyczajny, czerwony, drewniany. Wprowadziła się pół roku temu, musiała jeszcze dokończyć jego malowanie i meblowanie. W maleńkim ogródku kłębiło się od żałośnie wyglądających roślin w donicach zielonych od mchów. Taczka, którą odkupiła za grosze na złomowisku, ciągle stała przed wejściem, teraz wypełniona deszczówką.

Życie wróci do ogródka. Kiedy nadejdzie właściwy czas.

Zaparkowała jak zwykle na ulicy. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedziała Brixowi. Porywacz był wyjątkowy. Wszystko wiedział. Szczegółowo się przygotowywał. Nie był zwyczajnym mścicielem.

Nagle pomyślała o Mathiasie Borchu. Miała dobry służbowy powód, by do niego zadzwonić.

Zanim zdążył się rozkręcić, przerwała mu.

– Słyszałeś, że aresztowaliśmy dawnego tamtejszego szefa policji? Nicolaja Overgaard?

Zaśmiał się. Teraz, gdy był daleko, wydawał się miłszy. I młodszy.

– Tak. Byłem w tutejszym komisariacie. Naprawdę zrobiło to na nich wrażenie. To był dość lubiany koleś.

– On coś wie. Jestem pewna. Jutro dam mu popalić.

Dziwny hałas. Zastanowiła się, co to. Nagle zrozumiała, że to syrena statku, gdzieś u niego.

– Gdzie jesteś?

– W porcie. Chciałem zobaczyć miejsce, w którym znaleziono jej ciało. Myślisz, że to KPS może oznaczać nieczynny zakład czy coś w tym rodzaju?

– Niewykluczone – przyznała.

Umilkł. Już myślała, że się rozłączyli.

– Sarah? Nic ci nie jest?

– Miałam ciężki dzień. Nie radzę sobie najlepiej, co?

– Żadne z nas sobie nie radzi. Wszystko się dzieje zgodnie z jego planem. Mieliśmy nie wiedzieć. Byłaś dobra.

– Nie żartuj sobie.

Umilkł na chwilę, a potem dodał:

– Muszę już kończyć. Chciałem tylko powiedzieć... Rozumiem, dlaczego nie strzeliłaś.

– To dobrze. Może użyłam niewłaściwych słów. Czasami trudno mi je znaleźć. Powinieneś o tym wiedzieć.

Dałaby sobie rękę uciąć, że zachichotał.

– Doprawdy? Pamiętasz, jak pojechaliśmy na plażę i zostawiłaś mnie tam? Po prostu odjechałaś, beze mnie. Wtedy znalazłaś właściwe słowa.

Lund nie odpowiedziała. Dostrzegła światło w domu. Borch nagle wyleciał jej z głowy. Myślała tylko o mężczyźnie na tyle bystrym, że wziął kamizelkę kuloodporną, gdy jej potrzebował, i trzymał się dziesięć kroków przed wszystkimi, którzy go ścigali.

– Sarah? Halo?

Wsadziła telefon do kurtki. Sięgnęła do schowka. Wyjęła pistolet, dziewiątkę.

Powoli, ostrożnie podeszła do drzwi wejściowych.

Nacisnęła klamkę. Otwarte. Słyszała, że w środku ktoś się porusza.

Pokój dzienny. Dalej dwie sypialnie. Mała kuchnia. Łazienka tak niewielka jak w którymś z oglądanych dzisiaj kamperów.

Z pistoletem u boku Lund weszła do swojego domu, zobaczyła postać wyłaniającą się z półmroku. Podniosła broń z palcem na spuście.

Spojrzała.

Długie blond włosy. Usta szeroko otwarte. W krzyku.

W krzyku.

– Och – powiedziała Lund i opuściła broń.

Eva Lauersen stała, opierając się o najbliższe krzesło, najlichsze tutaj, trzymając się za wielki brzuch.

– Przepraszam – powiedziała Lund.

– Auć...

Zgięła się w pół, na ile pozwolił jej brzuch. Lund zaczęła się modlić: Nie teraz, nie teraz, Boże, błagam... nie teraz.

– Usiądź, Evo.

Lund odłożyła broń na niewielki stół jadalny, podeszła do dziewczyny i pomogła jej usiąść na krześle.

– Oddychaj głęboko – mówiła. – Głęboko, pełną piersią.

Teraz Eva wyglądała na młodszą od Marka. Miała na sobie szary pulower z długimi rękawami, poplamiony farbą. Pod spodem sfatygowaną bawełnianą bluzę.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić – wychlipała, patrząc na Lund przestraszona. – Powiedziałaś, że możemy po prostu przyjechać. Powiedziałaś, gdzie trzymasz klucz.

– Przeprosiłam.

– Masz broń!

Lund kiwnęła głową.

– Gdzie Mark?

Odzyskiwała oddech. Była starsza od jej syna. Ale pod pewnymi względami jednocześnie młodsza. Miła, urocza. Może niezbyt bystra.

– To pewnie hormony – mówiła. – One tak... – zamachała rękoma – tak się przewalają przez moje ciało. Czasami aż wariuję.

– Zaczekaj – rozkazała Lund i wstawiła wodę.

– Nie, ja to zrobię!

Skoczyła, znalazła dzbanek. Torebki z herbatą. W kuchni czuła się jak u siebie, na pewno swobodniej niż Lund.

– Ale była awantura. Nakrzyczałam na niego. Chyba ma wątpliwości. Zdenerwowałam się. Nie mogłam... – Skrzywiła się. – Moi rodzice się rozstali. Już tu nie mieszkają. Nie wiedziałam, gdzie się podziać. Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Lund kazała jej usiąść i ogarnąć się. Przynajmniej mogła zrobić herbatę.

– Mark wie, gdzie jesteś?

Siedząc z rękoma na brzuchu, wbiła wzrok w wytarty dywan.

– Zostawiłam mu wiadomość, ale nie zadzwonił.

– To nie znaczy, że ma wątpliwości, Evo.

– Tamto mieszkanie to nora. Nie mamy pieniędzy. To wszystko jest takie głupie...

Lund sięgnęła po herbatę, chociaż najchętniej napiłaby się piwa.

– Wszystko się ułoży. Kiedy Mark skończy aplikację, będzie zarabiał.

Eva wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma.

– Firma zwolniła aplikantów trzy miesiące temu. Zarabia jako taksówkarz. Jeździ do późnej nocy. Mojego brzucha dotyka tylko wtedy,

gdy go poproszę. Nigdy...

Lund musiała spytać.

– Dziecko nie było planowane?

Eva spojrzała na nią, jakby w życiu nie słyszała głupszego pytania.

– Mark się bardzo ucieszył, kiedy to się stało – zapewniła szybko. – Powiedział, że najbardziej na świecie chce mieć prawdziwą rodzinę. Bo nigdy nie miał. Nie chciał być sam. Jak... jak...

Wielkie niebieskie oczy się zamknęły.

– O cholera. Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. Jestem taka głupia...

– Nieprawda.

– Mam sobie iść?

– Zostajesz tutaj.

Zadzwoił telefon Lund. Eva wpatrywała się w pistolet.

– Nie dotykaj tego – napomniła ją i odebrała.

Znowu Borch.

– Nic ci nie jest? Rozłączyłaś się tak nagle.

– Wszystko w porządku. Jak twoja głowa?

– Mocno boli.

– Weź paracetamol.

– Wziąłem. Ciągłe boli. Mam też uraz kręgosłupa szyjnego.

– Uraz?

– Podobno może się to ciągnąć miesiącami. Niewykluczone, że będę musiał nosić kołnierz ortopedyczny...

– Biedny Mathias. Boli go. Pomyśl, ile masz szczęścia. Przynajmniej nie musisz rodzić.

Eva patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma, zasłaniając dłonią usta.

– Masz te raporty, które wysłałem ci z Jutlandii? – spytał sztywno.

– Wzięłam je do domu. Nie mówiłam?

– Nie. Niektóre fragmenty oznaczyłem krzyżykami. Może zechcesz je rano omówić z Nicolajem Overgaardem.

– Dobra.

– Idę spać. Jeśli zdołam zasnąć. Dobranoc.

I rozłączył się.

Wzięła raporty z samochodu. Kiedy wróciła, Eva nadal siedziała sztywno na krześle jak uczennica, która potulnie i chętnie czeka na instrukcje.

– Wyglądasz na wykończoną – powiedziała Lund. – Weź sobie coś do jedzenia. Co chcesz. I zajmij moje łóżko. Tak będzie lepiej. I zostań, ile chcesz, będzie mi miło.

Przez chwilę bała się, że Eva chciałaby, żeby ją pocałowała. Ale ona tylko wzruszyła ramionami, powiedziała, że nie jest głodna, i wyszła.

Lund popatrzyła na raporty Borchy. Mnóstwo ich było. Zajmą jej całe godziny.

Podeszła do zlewu, wylała z kubka herbatę. Wyjęła z lodówki butelkę piwa i wypila je, smażąc sobie kilka jajek.

Potem wzięła kolejne piwo, jajka, chleb i kilka plasterów szynki, zaniósła wszystko do stołu. Usiadła i zaczęła czytać.

**SOBOTA_
12 LISTOPADA_**

Tuż po dziewiątej Lund była już w Politigården i sprawdzała raport sporządzony przez nocną zmianę, a także kilka informacji od Borchy z Jutlandii. Juncker pojechał w teren szukać prawdopodobnych lokalizacji.

– Nie mamy nic, co wygląda na KPS – zameldował jej przez telefon. – Może on próbował wywinąć jakiś numer z kamperem. Nie wiemy na pewno, czy dziewczynka była w środku, kiedy złapaliśmy wóz na kamerze.

Był taki młody i energiczny. Ona nie, i spała fatalnie na wąskim twardym łóżku w małym wolnym pokoju, zastanawiając się nad Evą i Markiem, nad przyszłością ich dziecka.

– Rozejrzyj się po porcie – zasugerowała.

Przerwa.

– Mogę spytać dlaczego? Nic, co mamy...

– Ten człowiek ma coś wspólnego ze statkami. Wciąż wraca do doków. Do Zeelanda. Zgaduję tylko, ale mam wrażenie, że to jego świat. Gdzie czuje się swobodnie. Dokąd się wycofuje, gdy sprawy przybierają zły obrót.

Kolejna długa przerwa.

– To ma sens – powiedział młody policjant.

– Dziękuję, Asbjørn.

– Myślałem, że jestem Juncker.

– To było wczoraj. Port. Zaczynaj szukać.

Kiedy skończyła rozmowę, pojawił się zaniepokojony Brix i spytał, czy Lund ma przy sobie telefon Emilie. Wzniosła oczy do nieba i pokazała mu.

– Czy dowiedzieliśmy się czegoś od naszego przyjaciela z Jutlandii?

Pokręcił głową.

– Trzymamy go tu dziesięć godzin, a on tylko jęczy o wyjeździe do Bangkoku i panienkach.

– Puść mnie do niego – powiedziała, chwytając notes i długopis.

– To kolega po fachu! – zauważył Brix. – Chciałbym mieć lepszy punkt zaczepienia niż bilet do Tajlandii.

Ciężkim krokiem zeszła do aresztu, Brix za nią. Poprosił jednego ze strażników, by ich wpuścił.

Overgaard zaczął narzekać na jakość śniadania.

– Nie przyszedłam rozmawiać o jedzeniu – przerwała mu Lund, siadając. – Ani o twoich nastoletnich dziwkach z Bangkoku. Szukamy małej dziewczynki. Staramy się ją zachować przy życiu. Albo dasz nam coś, co pomoże...

– Albo co? – warknął Overgaard. Starał się sprawiać wrażenie pewnego siebie. Bez skutku. Był zdenerwowany i przerażony.

– Albo cię stąd wywalę i radź sobie sam. Może zdobędziesz na jutro bilet do kraju miłości. Myślisz, że zdążysz?

Wpatrywał się w nią z rozdziawionymi ustami.

– Przemysł to – ciągnęła Lund. – Peter Schultz zatuszował prawdziwe przyczyny śmierci Louise Hjelby i zawisł na budynku sądu. Wiem. Widziałam to. Lis Vissenbjerg napisała fałszywy raport z sekcji zwłok, więc ten człowiek podciął jej gardło i posadził na widowni audytorium w szpitalu, żeby wykrwawiła się na śmierć. Ma wyczucie stylu, nie sądzisz?

Zastanawiała się, czy stary policjant zacznie płakać. Tymczasem on spytał:

– Lubi pani patrzeć na martwych ludzi?

– To moja praca.

– Ja takiej nie miałem. Byłem szefem policji gdzieś na zadupiu. Zwijaliśmy pijanych kierowców. Czasami zapudłowaliśmy jakiegoś włamywacza. Nigdy nie mieliśmy takiego gówna, z którym wy tu...

Na to obruszył się Brix.

– Był pan funkcjonariuszem policji. Miał pan sobie radzić ze wszystkim, na co się natknie.

Lund rzuciła na kozetkę pierwszy raport policji.

– Jak wynika z tego steku bzdur, uważał pan, że Louise Hjelby uciekła z domu i po pięciu dniach się utopiła. Pięć dni...

– I co?

– Nie wydaje się to co najmniej odrobinę dziwne, że nikt jej nie widział? Nie chciał pan wiedzieć, gdzie była przez te pięć dni?

Overgaard machnął lekceważąco ręką.

– To była sierota. Przewinęła się przez Bóg wie ile domów. Często sama się szwendała.

– Mam nadzieję, że ma pan rację. Nasi funkcjonariusze sprawdzą na miejscu każdą linijkę pańskiego raportu – obiecała Lund. – Ta dziewczynka miała trzynaście lat. Niedługo przed śmiercią odbyła stosunek płciowy.

Spojrzał spode łba i wzruszył ramionami.

– Nie wydało się to panu dziwne? – spytała. – Zwłaszcza że, o ile panu wiadomo, nigdy nie miała chłopaka?

– Pani myśli, że ona by się z tym obnosiła? Kto zresztą mówi, że ta patomorfolog nie popełniła błędu?

Lund uśmiechnęła się do niego.

– Dobre pytanie. To też sprawdzamy. Ona chociaż się starała. – Kolejne stuknięcie palcem w jego raport. – Pan radośnie doszedł do wniosku, że dziewczynka nie tylko rzuciła się do wody, ale również przywiązała się do betonowego bloku.

Kolejne machnięcie ręki.

– Nie pamiętam szczegółów...

Rzuciła zdjęcie na stół. Szara bryła, szczątki grubej liny przewleczonej przez okucie.

– Zabraliśmy ten blok z pańskiego magazynu dowodów rzeczowych. Waży czterdzieści sześć kilogramów. A to była niska, drobna trzynastolatka. Wątpię, czy w ogóle zdołałaby go podnieść. A już na pewno nie dałaby rady przenieść go do portu i wrzucić do wody.

– Może leżał już na nabrzeżu. Ona go tylko zepchnęła...

– Może? – krzyknął Brix. – Powinien pan zadzwonić po ekipę z Wydziału Zabójstw w chwili, gdy zobaczył pan ten blok. Nawet prowincjonalny szef policji...

– Wiedział pan, że tę dziewczynkę porwano – przerwała Lund. – Wiedział pan doskonale, że gdzieś ją przetrzymywano, a potem zamordowano i wrzucono do wody. Jest pan winien pomocy...

Mężczyzna kręcił siwą głową.

– Przedstawię to wszystkiemu sędziemu – zapowiedziała Lund. – Jeśli szczęście panu dopisze, postawi panu zarzuty. Jeśli szczęście panu nie dopisze, wyjdzie pan stąd sam i zaczeka na rozwój wydarzeń. My nie będziemy pana kryć.

Overgaard zwiesił głowę. Nie odzywał się ani słowem.

– Dzięki panu mamy teraz do czynienia z porwaniem i jednym morderstwem za drugim – powiedział Brix. – Chcę nazwisko. Chcę

wiedzieć, kto na pana naciskał, żeby tę sprawę zatuszować. Jak człowiek na pańskim stanowisku...

– Wykonywałem swoją robotę! – krzyknął Overgaard. – Nic poza tym.

Czekali. Stary gliniarz wyglądał na zagubionego i zrozpaczonego.

– Byłem nikim. I dobrze mi z tym było. Nic się tam nigdy nie działo. Potem pojawiła się ta mała. Myśleliśmy, że to może marynarze Zeelanda mieli z tym coś wspólnego. Byli w porcie.

– To nie oni... – wtrąciła Lund. – Gdyby oni ją zabili, po co zgłaszaliby, że nie żyje?

– Ja nie zajmowałem się... morderstwami. Odesłałem ją do Kopenhagi na autopsję. Potem pojawił się ten zastępca prokuratora, wisiał mi nad głową. Mówił... mówił, że to samobójstwo. I koniec. Postaw się, a wylecisz z roboty. Żadnych perspektyw. Żadnej emerytury.

– Więc się pan ugiął? – rzucił Brix.

– Nie! Próbowalem się stawiać... On był stąd. Był jednym z was. Rozmawiał też z marynarzami i dlatego oni nie chcieli już potem zeznawać. – Overgaard uciekł wzrokiem. – Wydawało się, że on zna właściwych ludzi.

– Jakich konkretnie? – spytała Lund.

– Z miesiąc później pojawił się ten człowiek. Nie uważał, że to samobójstwo. Chciał wznowienia śledztwa.

– Nazwisko.

– Nie przedstawił się. Duńczyk. Po czterdziestce. Myślałem, że to może jakaś rodzina, ale ona podobno nie miała rodziny.

– Ten człowiek...

– Powiedział, że przez długi czas był w rejsie. Prawdopodobnie pracował dla Zeelanda, tak mi się zdaje. – Podniósł na nich wzrok. – Nic więcej nie wiem, z ręką na sercu. Staralem się po prostu wykonywać swoją robotę.

Przyjechał Schultz. Był bardzo nieprzyjemny. Ja byłem przeciw, ale milczałem. Potem przeszedłem załamanie. Podobno od stresu.

– Wzrusza mnie pan do łez – powiedziała Lund.

– Schultz na mnie naciskał! Co miałem zrobić?

Brix spojrzał mu prosto w oczy.

– Odmówić.

– Jakich ludzi? – spytała znowu Lund.

Milczenie. Po chwili Overgaard podjął:

– Powiedziałem wam wszystko, co mogłem. Co się teraz stanie?

– Postawimy panu zarzuty – odrzekł Brix. – Jest pan tymczasowo aresztowany. Bez szansy na kaucję. Z uwagi na ten bilet do Bangkoku w aktach.

Nicolaj Overgaard oparł siwą głowę na dłoniach i jęknął.

Ktoś w korytarzu. Zaniepokojona twarz w szybie. Mark.

Brix zauważył. Odniosła wrażenie, że zorientował się, że ona ma problemy rodzinne.

– Zawołam kogoś, żeby się tym zajął. – Kiwnięciem głowy wskazał drugą stronę stołu. – Załatw to szybko.

Mark czekał na ławce w pobliżu biura. Usiadła obok niego, spytała, czy rozmawiał z Evą. Pokręcił głową.

– Ostatniej nocy spała u mnie. Jest OK. Jeśli chcesz, możesz skorzystać z mojego mieszkania.

– Nie, dzięki. Dam sobie radę.

Wrócił ten młodzieńczy, rozdrażniony ton.

– Zdaniem Evy nie jesteś przekonany do tego wszystkiego. Nie chcesz dziecka.

Wyglądał, jakby nie spał.

– Mówiłam, żeby się uspokoiła. Że może ci zaufać. Jeśli chodzi o pieniądze, mogę pomóc....

– A jeśli rzeczywiście mam wątpliwości?

To nie było miejsce na takie rozmowy. Za dużo ludzi. Poprosiła, by weszli do nieużywanego boksu. Ku jej zdumieniu poszedł za nią i usiadł naprzeciwko.

– Oczywiście, że masz wątpliwości – powiedziała. – Eva na pewno też. To naturalne. Ja też miałam. Podobnie jak twój ojciec.

– I zobacz, co się stało.

Zawsze rzucał te oskarżenia, kiedy był wściekły. Oczywiście były uzasadnione. Ale przez to wcale nie stawały się mniej irytujące.

– Nigdy nie żałowałam, że cię mam – powiedziała. – Tylko że jestem taką głównianą matką.

– A ja mam się teraz bawić w szczęśliwą rodzinę? A jeśli jestem równie porąbany jak ty? Ty z tatą przynajmniej mieliście porządną robotę. Jakieś pieniądze. Ja... – Wyjął z kieszeni kilka banknotów. – To urobek z całej nocy. Nie utrzymam z tego Evy i dziecka.

Tyle rzeczy chciała mu przez lata powiedzieć i nigdy nie znalazła na to właściwej chwili.

– Mark...

Usłyszała dzwonek. Telefon Emilie. Wyrwała go z kieszeni, spojrzała na syna, kiwnęła palcem i powiedziała:

– To ważne. Zostań tu. Musimy pogadać.

Wyszła na korytarz. Odebrała po piątym dzwonku.

– Już myślałem, że zniknęłaś, Lund. Nie pogrywasz sobie znowu, prawda?

Spokojny, rozsądny, inteligentny. Kontrolujący wszystko. Nie zmienił się.

– Przepraszam. Rozmawiałam...

– Szkoda, że zwinęliście tego gnojka Overgaarda. Czekałem na niego na lotnisku z dużą niespodzianką.

Lund zamknęła oczy.

– Masz na oku nas wszystkich? – spytała odruchowo.

– A jak sądzisz?

– Posłuchaj. Jeśli on jest winien, a moim zdaniem jest, trafi pod sąd. Dopilnujemy tego. Poddaj się. Przywieź Emilie. Wiem, czego chcesz. Badamy sprawę Louise Hjelby...

– Nie za bardzo wierzę w sądy. Ani w ciebie. Chyba że umiesz mi powiedzieć, kto ją zabił.

– Potrzebuję czasu.

– Miałaś dwa lata.

– Nie. Miałam niespełna dwa dni. Nie umiem rozwikłać takiej zagadki w jednej chwili. Skąd znałeś tę dziewczynkę? Jak się dowiedziałeś?

Dokoła niej zbierali się ludzie. Brix patrzył na nią i uważnie słuchał.

– Miałaś czasu od metra, Lund. Wciskaj mi bajeczki, jeśli chcesz...

– To nie jest bajeczka! Widzę, że doszło do pomyłki....

– Pomyłki? – Jego głos przybrał na sile, a ona wyczuła w nim gniew. – Naprawdę to powiedziałaś?

– Nie miałam na myśli...

– Czy to pomyłka, kiedy całe społeczeństwo odwraca się plecami od morderstwa dziewczynki? Czy tylko tyle trzeba? Machnąć kasą?

– Nie. Proszę. Posłuchaj...

– Ja już nie słucham. Wasz cuchnący świat upada. Powinnaś rozwalić mury, a nie podtrzymywać je. Co Zeuthen proponuje tym razem?

W głębi pojawił się człowiek z ekipy technicznej, kręcąc głową. Kolejny telefon z internetu. Nienamierzalny.

– Wszystko, czego chcesz.

– Czy on sądzi, że jest na tyle bogaty, by przywrócić ją do życia? Ile? Dwieście milionów? Pięćset?

– Już powiedziałam. Nie ma granicy.

Roześmiał się.

– Ten kretyń niczego się nie nauczył, prawda?

– Powiedz mi...

– To ostatnie żądanie. I tym razem mówię poważnie. Żadnych negocjacji.

– Co...?

Długa, zaplanowana cisza.

– Daj spokój, Lund. Już się trochę poznaliśmy, co? – Jego śmiech miał w sobie jakąś stanowczość, która ją zmroziła. – Domyśliłaś się. Na pewno.

Tego ranka Hartmann, gotowy na kolejny dzień kampanii, powiedział Karen, że najpierw muszą się zatrzymać przy jego starym domu na Svanemøllevej, nieopodal ambasad w północnym Østerbro. Nieruchomość prawie rok temu wystawiono na sprzedaż. Zdaniem pośrednika w końcu znalazł się kupiec. Ale pojawił się problem z wilgocią. Trzeba było wydać pieniądze na naprawę albo obniżyć cenę. Nikt inny nie mógł tej decyzji podjąć za Hartmanna.

Siedziała obok niego w czarnym mercedesie. Pogoda zmieniła się na gorsze. Ciągłe opady deszczu ze śniegiem, niskie ciemne niebo.

Morten Weber wykonał po drodze parę telefonów. PET doszła do wniosku, że Mogens Rank nigdy nie rozmawiał z zastępcą prokuratora podczas spotkania, które odkrył Weber.

– Są tego pewni? – spytał Hartmann.

– Tak mówią – odparł Weber. – Mogens miał prezentację, a potem wyszedł.

– Świetnie.

– Może. Potem było kilka drinków w ministerstwie. Dużo różnych ludzi. Mogens nie pamięta, czy z nim rozmawiał, czy nie.

– Czy ten człowiek w ogóle cokolwiek pamięta? – burknął Hartmann.

Nebel przeglądała poranną prasę. Podawano w wątpliwość polityczną przyszłość Ranka. Ussing ciągle żerował na niepowodzeniach w sprawie porwania.

– Chcę się spotkać z Robertem Zeuthenem. Chcę z nim porozmawiać osobiście.

Ręka Webera wysunęła się na znak protestu.

– Trzymaj się z daleka od Zeuthena. Teraz to ranny zwierz.

Hartmann odwrócił się do Nebel.

– Umów mnie – powiedział.

Samochód zahamował przed wielkim domem. Żadnych świateł. Żadnych oznak niedawnego życia. Hartmann wpatrywał się w niego zza szyby. Milczał.

– Miejmy to za sobą – zdecydował.

Weber został w samochodzie, znowu rozmawiał przez telefon. Hartmann podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je. Karen Nebel podążyła za nim. Wyprowadził się ze Svanemøllevej półtora roku temu, przeniósł się do mniejszego mieszkania niedaleko Christiansborgu. Tutaj zostały wspomnienia; i wciąż tu były. W czasach gdy był jeszcze tylko radnym, gdy marzył, że pewnego dnia zostanie burmistrzem, kupili ten dom z żoną, prawniczką. Dwa lata przed tym, jak zasiadł na fotelu burmistrza, żona umarła na raka. Była w ciąży. Tamten ból ciągle czał się w tych murach. Dawniej Hartmann marzył tylko o tym, żeby awansować w szeregi duńskiej

elity politycznej z nią u boku. Kiedy jej zabrakło, ujawniła się inna strona jego natury. Niestrudzony kobieciarz. Nieustatkowany.

Niedługo przed tym, jak został premierem, pojawił się krótki okres stabilizacji związany z Benjaminem, młodszym o niemal dwadzieścia lat bratem, właśnie wyrzuconym z college'u w Stanach.

Zagubiony w dorosłym świecie Benjamin był przez pewien czas pełnym energii, choć niekiedy irytującym zjawiskiem w singielskim życiu Hartmanna; flirtował z lewicowym dziennikarstwem i nieustannie spierał się ze starszym bratem. Zwykle miał dobry humor.

Przez rok Hartmann prowadził ustatkowane życie. Wszedł w stały związek z piękną nauczycielką pracującą w ubogiej okolicy Nørrebro.

Potem praca okazała się bardziej absorbująca. Spędzał więcej czasu na Slotsholmen niż w domu. Pewnego dnia, kilka tygodni po objęciu przez niego urzędu premiera, Benjamin zniknął z jego życia. Niedługo później piękna nauczycielka. Znowu został sam. Bez zobowiązań. Wszystkie stare zwyczaje wróciły.

Stanął w kuchni. Kiedyś siedział tu podstępnie przesłuchiwany przez Sarah Lund. Ona też go zastanawiała. Wydawała się interesującą, atrakcyjną kobietą. On był zbyt zaintrygowany, by zauważyć, że po prostu stara się go podejść. Sprawa Birk Larsen o mało nie położyła kresu jego karierze politycznej, chociaż nie miał nic wspólnego z zamordowaniem dziewczyny.

Nigdy nie zabijają czyny. Tylko kłamstwo.

Słowa Rosy Lebech były prawdziwe. I wtedy właśnie kłamstwo omal go nie wykończyło.

Poszedł na górę. Karen Nebel za nim.

– To piękny dom, Troels. Powinieneś zapłacić za naprawę zacieku i trzymać się oferty wyjściowej.

Podszedł do okna, spojrzął na zarośnięty ogród. Jeżyny niemal pokryły altanę, w której jego żona lubiła siedzieć w te ostatnie ciężkie miesiące. Róże wymagały przycięcia. Drzewa owocowe też.

– Tam zwykle rąbałem drewno – powiedział z uśmiechem. – Nic tak nie pomaga na myślenie. Nie dzwoni żaden telefon. Nie przychodzą mejle. Są tylko ludzie, których bliskości pragniesz. I to.

Zapukał w drewniane drzwi.

– Te sam zamontowałem. Byłem niezły w zrób to sam.

Roześmiała się.

– Ty?

– A czemu nie?

Nebel się zawahała.

– Nigdy tak o tobie nie myślałam.

– To znaczy jak? Że jestem domatorem?

Przeszedł przez podest i otworzył drzwi na końcu. Niewielki pokój z oknem wychodzącym na front domu.

– To miał być pokój dla dziecka. Położyłem tapety, całkiem sam.

Samochody z kreskówki jeździły po ścianach, uśmiechnięte, ścigające się, rozpędzone.

– Wiedzieliśmy, że to będzie chłopiec. W każdym razie tak sądziliśmy. – Palcami dotknął tapety. Wilgotna. – Kiedy Benjamin wrócił, od razu poszedł do tego pokoju. Dwadzieścia sześć lat. Wieczne dziecko.

– Spotkałam go tylko raz. Był błyskotliwy i dowcipny.

– Szalony – dodał Hartmann. – Bardzo denerwujący. – Uśmiech. – Miał zdanie w absolutnie każdej sprawie, i było to zawsze jedynie słuszne zdanie. Uwielbiałem go. – Przechylił głowę na bok. – I trochę mu zazdrościłem.

Podszedł do szafy, otworzył ją. Płyty CD i gry komputerowe. Lewicowe plakaty i kij bejsbolowy.

– Mama zawsze mówiła o nim, że to szczęśliwa wpadka. Ja już studiowałem, gdy się urodził. Kiedy dorastał, nie mieszkałem już w sumie w domu. Pewnie... – Wziął do ręki czapkę. Boston Red Sox. – Pewnie byłem dla niego raczej poważnym wujkiem niż starszym bratem. Kiedy wyrzucili go z Harvardu, okazało się, że tylko ja mu zostałem.

Włożył czapkę. Nebel zachichotała, podeszła i zdjęła mu ją.

– Nie ten wizerunek.

– Pewnie nie.

Wyjrzał za okno.

– Bardzo lubiłem, gdy tu był. Choć doprowadzał mnie czasem do szału.

A potem...

Uśmiechnęła się. Nie wiedziała, co powiedzieć, chociaż bardzo się starała coś wymyślić.

Po schodach wszedł Weber i wystawił głowę zza rogu.

– Rozmawiałem z Reinhardtem, człowiekiem Zeuthena. Chętnie cię dzisiaj przyjmie. Jeśli chcesz. – Weber chyba nie czuł się tu swobodnie. Od dawna znał ten dom. – Twój przybytek pamięta lepsze czasy. Powinieneś sprzedać go komuś, kto przywróci go do życia.

– Właśnie – przyznał Hartmann. – Są jakieś wiadomości o dziewczynce?

– Jest nowe żądanie – odrzekł Weber przybity. – Obawiam się, że nie wygląda to dobrze.

Rozmowy przychodzące były nagrywane automatycznie. Robert Zeuthen siedział w gabinecie na parterze Drakkara i słuchał ich odtwarzanych z policyjnego magnetofonu.

„Daj spokój, Lund. Już się trochę poznaliśmy, co? Domyśliłaś się. Na pewno”.

„Nieprawda, nie domyśliłam. Powiedz mi”.

„Zeuthen mówi, że zapłaci każdą cenę?”.

„Tak”.

„No to niech zapłaci”.

„Robert Zeuthen nie ma nic wspólnego ze śmiercią Louise Hjelby. Jeśli dasz mi czas, rozgryzę tę sprawę. Nie mogę...”.

„Życie za życie. Nie sądzisz, że to rozsądna cena?”.

Zeuthen siedział sztywno, na jego twarzy nie widać było żadnych emocji.

„Wy dostaniecie dziewczynkę. Ja dostanę jego. Kochający ojciec zrobi wszystko dla swojej córeczki. Powinien się cieszyć, że ma szansę to udowodnić”.

„Cieszyć? Nikt się na to nie zgodzi. Zażądaj czegoś w granicach rozsądku”.

Długa przerwa. Lund spojrzała na magnetofon, zastanowiła się, czy coś się popsuło. Zeuthen też tak pomyślał. Reinhardt, jego prawa ręka, siedział blady, wstrząśnięty, kręcił głową.

„Jestem najrozsądniejszym człowiekiem w Danii. To moja ostateczna propozycja. Zadzwoń po południu. Dopilnuj, żebyś miała gotowy samochód. Macie w nim siedzieć ty i Robert Zeuthen”.

Brix wyciągnął rękę i wyłączył aparat.

– Od razu zastrzegam – powiedział – że to niedorzeczne żądanie. Nie możemy na nie przystać.

Zeuthen zmrużył oczy, spojrzał na niego.

– Kiedy uczyniłem pana właścicielem mojego życia? – spytał cichym, spokojnym głosem.

– Rozwiązaniem jest sprawa Hjelby – tłumaczył Brix. – Ten człowiek jest przekonany, że ktoś z Zeelanda wywarł nacisk na Petera Schultza, by wyciszył sprawę. Jeśli może pan nam znaleźć jakiś trop w obrębie firmy...

Zeuthen już na niego nie patrzył. Teraz skierował wzrok na ścianę: dziki szary ocean, statek rzucony przez ogromne fale, na burcie smok Zeelanda.

– Jeśli jest coś, co pomoże nam odnaleźć pańską córkę... – dodał Brix.

– Ile razy pan mnie o to prosił? Sądzi pan, że nie powiedziałbym panu?

– Przetrzęsaliśmy całe archiwum – wtrącił się Reinhardt. – Sprawdziliśmy wszystko. Nie ma nic do dodania. Przykro mi. Możecie namierzyć dzwoniącego? Dlaczego ten człowiek ciągle jest na wolności?

– Bo jest sprytny – odparła Lund. – I wie rzeczy, których my nie wiemy. Brix uchwycił spojrzenie Zeuthena.

– Załatwię panu ochronę, dopóki ta sprawa się nie skończy.

To się nie spodobało Reinhardtowi.

– Mamy własną ochronę. Niektórzy sądzą, że jest skuteczniejsza niż pańska.

– Chodzi o pilnowanie mnie, nie o ochronę – zauważył Zeuthen z uśmiechem. – Żebym na pewno nigdzie się nie zapalał.

– Robercie... – zaczęła Lund.

– Nie trzeba – przerwał jej. – Zrozumiałem. Teraz musicie mi wybaczyć. Mamy ważnych gości. Niels odprowadzi was do wyjścia.

W zimnym holu stały trzy osoby pogrążone w cichej rozmowie. Lund niemal na nie wpadła, zdziwiona, kogo widzi.

Hartmann. Mały doradca Weber, który zupełnie niepotrzebnie zapewnił mu alibi w sprawie Birk Larsen. Karen Nebel, niegdyś dziennikarka telewizyjna, obecnie spin doctor.

– Cześć – powiedziała Lund i spojrzała Hartmannowi w twarz.

Nie postarzał się bardzo. Ciągle był przystojny. Pewnie byłby jeszcze przystojniejszy, gdyby się uśmiechał.

– To pani – rzekł. – Kopę lat.

– Rzeczywiście.

Brix zakasłał znacząco.

– Szkoda, że nie więcej – warknął Weber.

Hartmann go za to złąjał. Zaczął pouczać. Gładkie słowa, pięknie wygłoszone. Jak to chciał zrobić wszystko, by sprawa została rozwiązana.

Zadzwonił telefon Lund. Odeszła na bok, by odebrać. W głosie Asbjørna Junckera usłyszała ekscytację.

Zanim wróciła, przemowa dobiegła końca. Pewnie i tak wygłoszono ją na jej użytek. Weber nachylił się do niej i powiedział:

– Podobno PET znowu zgarnęła Jensa Lebecha. Co tam się dzieje?

– Kogo? – spytała.

– Jensa Lebecha.

– Daj spokój – rozkazał Hartmann. – Są jakieś informacje o dziewczynce?

– Nie takie, o których mogłabym rozmawiać – odparła.

Ku jej zdumieniu nie naciskał.

Rozeszli się przy cichych słowach pożegnania.

Brix mruknął coś pod nosem.

– Nie mogłam go zignorować – poskarżyła się.

– Są jakieś informacje? – spytał.

– Juncker chyba zawęził obszar poszukiwań miejsca przetrzymywania Emilie.

Rozjaśnił się na te słowa.

– Gdzie?

– W pobliżu doków. – Obejrzała się na zamek z czerwonej cegły. Wielki, okazały pałac. Podniosła wzrok na smoka na dachu, przywodzącego na myśl dziób łodzi wikingów. – Co za niespodzianka.

Patrzyli w trójkę, jak zbliża się do nich pewnym krokiem wysoka postać Nielsa Reinhardta. Sekretarz, lokaj, osobisty asystent. Dziesiątki lat był prawą ręką Hansa Zeuthena, a teraz służył jego synowi.

– Sam to załatwię – powiedział Hartmann i uraczył Reinhardta poważnym uśmiechem, uściśnął mu dłoń i wszedł do gabinetu imperium Zeuthenów.

Wszędzie modele statków. Obrazy marynistyczne. Na powitanie Robert Zeuthen wstał zza ogromnego biurka z drzewa orzechowego. Siedli we dwóch obok siebie na sofie przed marmurowym kominkiem.

Palenisko było puste. Ten ogromny pałac wydawał się zimny, pozbawiony życia.

– Policja robi wszystko, co w jej mocy – zaczął Hartmann. – Chcę, żebyś wiedział, że rząd i ja popieramy ich bez żadnych zastrzeżeń. Modlimy się o rozwiązanie, które sprawi, że Emilie wróci do domu. – Patrzył, jak Zeuthen kiwa głową. Przedsiębiorca wyglądał, jakby nie spał od kilku dni. – Pracują nad tym najlepsi ludzie z policji i z PET.

Zeuthen sprawiał wrażenie, jakby go nie słuchał.

– Anders Ussing próbuje zdobyć przewagę. Rozgłasza haniebne plotki. Przekazałem mu wszystkie informacje, jakie mogłem, by te plotki obalić, ale i tak... – Hartmann się skrzywił. – Obawiam się, że to kwestia polityczna.

– Polityczna? – powtórzył Zeuthen zmęczonym, podejrzliwym głosem.

– Nie dla mnie – zastrzegł premier. – Przykro mi, że ta sprawa stała się częścią kampanii wyborczej, Robercie. To absolutnie gorszące. Jeśli jest

coś...

Zeuthen wstał i podszedł do okna.

– A więc prasa podaje nieprawdę? – spytał.

Hartmann dołączył do niego. Deszcz ustał. Reinhardt stał na trawniku przed słupkami miniaturowej bramki. Śmiał się, gdy chłopiec próbował trafić w nie piłką. Żona Zeuthena stała tam i patrzyła na nich obu, na twarzy mając wypisane wyłącznie nieszczęście i ból. Za wzniesieniem ogrodu rozciągało się ponure morze.

– Nie ma żadnych wątpliwości co do prowadzenia śledztwa? – dodał Zeuthen.

– Badam tę sprawę. Jeśli stało się coś niewłaściwego, załatwię to.

Wyczekał, aż Zeuthen na niego spojrzy.

– Zapewniam cię, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Mam nadzieję... mam nadzieję, że to nie wpłynie negatywnie na twoje poparcie dla naszej kampanii. Bardzo je cenimy. Gdybyś zdołał w pewnym momencie je potwierdzić. Powiedzmy dzisiaj, później...

Hartmann nie umiał zinterpretować wyrazu twarzy Zeuthena.

Pukanie do drzwi. Wszedł Reinhardt. Zmienił buty na niestosowne czerwone kapcie, ale woda ze spodni i tak kapała na dywan.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Dzwonił Brix. Powiedział, że znaleźli miejsce, w którym ich zdaniem ostatnio przetrzymywano Emilie. Niestety, nie ma jej tam.

– Dowiedzieli się, gdzie jest? – Hartmann był wyraźnie urażony. – Rozmawiałem przed wejściem z Lund, nic o tym nie wspomniała.

Reinhardt go zignorował.

– Muszą poczynić pewne przygotowania do wymiany, Robercie.

– Jakiej wymiany? – dopytywał się Hartmann. – Chciałbym wiedzieć...

Zeuthen popatrzył na niego, nic nie powiedział i wyszedł z pokoju.

Głęboki oddech. Hartmann usiadł. Żałował, że nie poradził sobie z tym lepiej. Do środka weszli Weber i Karen Nebel.

– Tak czy owak, są jakieś dobre wieści – oznajmił Weber. – Mogens nie uczestniczył w tym koktajlu w ministerstwie. Nie spotkał się tam z Schultzem. PET też nic na niego nie znalazła.

Hartmann podszedł do okna. Chłopiec znowu kopał piłkę. Maja Zeuthen wyglądała na równie zdruzgotaną jak wcześniej. Zeuthen wyszedł i powiedział coś, na co Carl zareagował śmiechem.

– On nie wie – wyszeptał Hartmann. I zastanowił się: jak powiedzieć dziecku coś takiego? Słowa go zawodziły, gdy próbował rozmawiać z Zeuthenem, choć to był dorosły mężczyzna. Nie, nie próbował prosić go o nowe wsparcie Zeelanda. Nie o to mu chodziło. Po prostu szukał czegoś, co przeszłoby mu przez gardło.

– Policja przeszukiwała fabrykę w pobliżu doków – podjął Weber. – Ich zdaniem mała mogła być tam przetrzymywana.

– Mówili coś o planowanej wymianie – powiedział Hartmann. – Policja coś o tym wspomniała?

Weber pokręcił głową.

– Więc skąd wiesz, że teraz mówią ci prawdę?

Nie odpowiedział. Wyjrzał za okno.

Chłopiec podbiegł do ojca, objął go mocno w pasie. Potem zbliżyła się też matka. W tym momencie wyglądali zwyczajnie. Para z dzieckiem, taka jak inne. Ale Zeuthenowie nie mogli być tacy jak inni. Nie po to się urodzili. Podobnie jak on.

– To kolejny powód, dla którego powinniśmy dać za wygraną – powiedziała cicho Karen Nebel.

Zakład produkcyjny znajdował się kilometr od złomowiska, na którym znaleziono zwłoki mata z „Medei”. Rozpadające się, puste budynki. Na najwyższym literami o staromodnym kroju napisano: „KPS”.

Madsen wypuścił w teren oddział z psami. Asbjørn Juncker szalał, szukając tropu.

– Musiała gdzieś tu być – powiedział, wskazując rząd opuszczonych zabudowań. – Tam są setki kryjówek.

– To nic nie znaczy – odparła Lund.

Brix, oparty o ścianę, rozmawiał od jakiegoś czasu z Ruth Hedeby, swoją bezpośrednią przełożoną. Ktoś gdzieś tam coś mącił. Pewnie Hartmann, pomyślała Lund. Musiał mieć Roberta Zeuthena po swojej stronie. O ostatnim żądaniu nie powiedzieli politykom. Wiedziała o nim tylko niewielka ekipa i Zeuthen. Brix miał nadzieję znaleźć trop, dzięki któremu ostatniego żądania w ogóle nie trzeba by już brać pod uwagę. Teraz wydawało się to mało możliwe.

– Mogła zobaczyć tę nazwę, gdy przejeżdżali – powiedział Brix smętnie.

– Nie – zaproponowała Lund. – Emilie to bystra dziewczynka. Nie zapisałyby czegoś przypadkowego.

Zakład był bardzo duży. Madsen musiał ściągnąć pięćdziesięciu funkcjonariuszy, którzy przetrzasali teren od brzegu do opuszczonych magazynów. Na przysadzistej ceglanej wieży na skraju od strony obozowiska bezdomnych, gdzie Hartmann przemawiał w zeszłą środę, stała staroświecka kula czasu służąca kiedyś do synchronizacji chronometrów na statkach.

Lund zadzwoniła do Politigården, znalazła kogoś, kto by coś dla niej sprawdził. Znała odpowiedź, zanim ją usłyszała.

– To była filia Zeelanda – powiedziała jakby do siebie. – Zamknęli ją ostatecznie jakieś półtora roku temu.

Brix milczał.

– To jeden z nich – dodała. – Dlaczego nie przychodzi im do głowy żadne nazwisko?

– Szukaliśmy wszędzie – przypomniał Juncker.

– On zna w najdrobniejszych szczegółach system zabezpieczeń Zeelanda – mówiła Lund coraz głośniej. – O co zakład, że ma też plan tego obiektu? Może sobie urządzić kryjówkę, gdzie chce.

Brix odebrał telefon. Patrzyła, jak rzuca przekleństwo i z całej siły wymierza kopniaka ogrodzeniu z blachy falistej, a także krzyczy coś, czego nie mogła dosłyszeć.

– Szukaj dalej – dodała cicho.

Rozłączył się. Podeszła do niego.

– Musimy wziąć z Zeelanda nazwiska i zdjęcia – powiedziała stanowczo. – Musimy je pokazać Overgaardowi. To jedyny nasz świadek, który widział tego człowieka.

Opatulony w swój zimowy płaszcz Brix wciąż się nie odzywał.

– Dobra – dodała Lund. – Ja to zrobię.

– Nie ma szans – wymamrotał. – Overgaard nie żyje.

Zamrugła powiekami. Zadygotała na wietrznym, opustoszałym nabrzeżu.

– Jak to?

– Jakimś cudem oderwał rękaw koszuli i powiesił się na nim. Gdy zajrzał do niego strażnik, było za późno.

Brix namyślał się chwilę.

– Będziemy musieli sobie jakoś poradzić. Musisz znaleźć funkcjonariusza podobnej budowy i w podobnym wieku do Zeuthena, żeby go zastąpił. Nie chcę, żeby on się w ogóle w pobliżu pojawił. Słyszysz?

Ja tak, pomyślała. Ale czy on to usłyszy?

O piętnastej trzydzieści miasto było zalane deszczem. Zapadała noc. Wiatr wył za oknami. W swoim gabinecie w Ministerstwie Sprawiedliwości Mogens Rank oglądał telewizję. Miała się odbyć debata na temat gospodarki. Tymczasem toczyła się gorączkowa kłótnia na temat sprawy Zeuthenów.

Ussing powtarzał tę samą śpiewkę, co wszędzie: Rank miał możliwość podjąć działania, które zapobiegłyby porwaniu Emilie, i zmarnował tę okazję. Hartmann odpowiadał oskarżeniami: Ussing wykorzystywał sprawę kryminalną dla celów politycznych. Śledztwo prowadzono sprawnie. Bronił publicznie poczynań Ranka i zaprzeczał, by ten zrobił coś niewłaściwego.

Mogens Rank uśmiechnął się i nagroził te słowa oklaskami. Potem ruszył korytarzami łączącymi jego budynek z resztą Slotsholmen. Przemierzał trasę, którą kiedyś pokonywał jego poprzednik Thomas Buch. W końcu dotarł do samego Christiansborgu, czyli siedziby premiera.

Drzwi gabinetu Hartmanna były otwarte. Rozmawiał z Karen Nebel i z Weberem.

Rank zapukał, uśmiechnął się i poprosił o chwilę rozmowy.

Fotel się obrócił, Hartmann zmierzył go wzrokiem i spytał:

– Policja robi się dyskretna, Mogens. Co się dzieje?

– Próbują umówić wymianę. Wydaje mi się, że miejsce Roberta Zeuthena zajmie policjant.

Nebel i Weber przerwali swoje zajęcia i skupili się na ich rozmowie.

Rank przedstawił ostatnie żądanie porywacza.

– Przydałoby się, żebym wiedział o tym, zanim spotkałem się z Zeuthenem – burknął Hartmann.

– Dowiedziałem się o tym już po waszym spotkaniu. To są sprawy policji, Troels. Informowanie nas na bieżąco nie leży w ich naturze. Ani nie jest ich priorytetem.

– Skoro pytam, to jest.

Rank westchnął.

– Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tych wszystkich kłopotów, których przysporzyłem. I że bardzo doceniam słowa, które dopiero co powiedziałeś w telewizji.

Hartmann siedział milczący, z kamienną twarzą. Pozostała dwójka obserwowała tę scenę.

– Znakomicie poradziłeś sobie z ciągiem bardzo trudnych wydarzeń – dodał Rank. – Jestem pewien, że znajdzie to odbicie w wynikach głosowania.

Na biurku leżały jakieś dokumenty. Hartmann podniósł je i zaczął czytać.

– Mam świadomość, że w moim ministerstwie były niedociągnięcia. Trzeba uporządkować pewne sprawy. Właśnie nad tym pracuję.

– Doprawdy?

– Tak. – Jasny, optymistyczny uśmiech. – No to już pójdę.

– Jeszcze jedno – odezwał się Hartmann, podnosząc wzrok znad dokumentów.

– Tak?

– To, co mówiłem w telewizji, było na użytek widzów. Nie miałem wyboru.

– Troels... – szepnął Weber, ale Hartmann gestem nakazał mu milczenie.

– Nie będę przeproszał za twoją słabą pamięć, Mogens, jeśli okaże się, że to ona stanowi problem. Zginęli ludzie. Porwano kilkuletnią dziewczynkę. A ty nic nie zrobiłeś. Od początku tylko kręciłeś i migąłeś się od obowiązków.

Z głową przechyloną na bok, z rękoma założonymi za plecami, Rank patrzył wściekle na Hartmanna.

– Od tej chwili nie masz nic wspólnego z tą sprawą. Policja i PET będą się kontaktować bezpośrednio ze mną.

– Nie możesz tego zrobić – powiedział Rank z bezczelnym uśmiechem.
– To nie do pomyślenia.

– Jedź do domu. Trzymaj się z dala od biura. I od mediów. Spróbuj się wychylić, a czeka cię bolesna niespodzianka, obiecuję.

Rank chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Jeśli jakimś cudem przetrwamy tę burzę, którą na nas ściągnąłeś – dodał Hartmann – i jeśli jakimś cudem wygram wybory... nie czekaj na telefon ode mnie. Masz jakieś pytania?

Nic. Mogens Rank szybko wyszedł z gabinetu.

Weber podszedł do biurka.

– Nie zaczynaj – ostrzegł go Hartmann.

– Nie możesz go wyłączyć! To jeden z najbardziej lojalnych ministrów, jakich masz. Jeśli Birgit Eggert się...

– Już po nim. Musisz to przeżyć.

Nebel usiadła.

– Właśnie zrobiłeś wszystko, żeby to na nas spadła wina za ewentualną śmierć dziewczynki – powiedziała. – Nawet jeśli Mogens rzeczywiście będzie trzymał gębę na kłódkę. W co wątpię.

– Wiem, co robię.

– Nie mam takiego wrażenia.

Hartmann zignorował tę uwagę i odwrócił się do Karen.

– Dowiedz się, co się dzieje. Nie pozwolę, żeby Sarah Lund trzymała mnie w niewiedzy.

Sięgnęła po telefon.

– Ale wyjdź, proszę.

Odprowadzili ją wzrokiem.

– Po co ja to robię? – spytał Weber. – Skoro ty i tak wszystko ignorujesz...?

– Robisz to, bo nie masz nic innego do roboty. Tak jak ja.

– To niemądre wkurzać przyjaciół. Nigdy nie wiadomo, kiedy będą ci potrzebni.

– Jeśli wolisz wyjść i przeczekać z Mogensem tę burzę...

Weber pokręcił głową. Rzadko tracił panowanie nad sobą, ale w tej chwili niewiele już brakowało.

– To ja cię uratowałem! Beze mnie nie zająłbyś miejsca w radzie miasta, nie mówiąc o... – zamasztył gestem wskazał wielkie biuro – ...o tym.

Hartmann wychylił się do przodu i spojrzał Weberowi w oczy.

– Wiem, co robię.

– Możesz to w kółko powtarzać. Ale to się nie stanie prawdą. Teraz atakuje cię były mąż Rosy Lebech. Birgit też. W porównaniu z nią afera Mogensa Ranka to pikuś.

Zeuthen i jego żona byli w bawialni. Uzgodnili, że pozostaną w Drakkarze i policja będzie ich informować na bieżąco o rozwoju sytuacji. Nie chcieli czekać w Politigården. Nie chcieli znać szczegółów.

Wbiegł Carl, szukając swojego samochodziku.

– Może zostawiłeś go w ogrodzie, kiedy się bawiłeś z mamą – zasugerował Zeuthen.

– Myślę, że Emilie go wzięła, jak jechała na wakacje. Zawsze mi kradnie zabawki.

Zeuthen uśmiechnął się do niego, poklepał po głowie i poradził, żeby jeszcze raz sprawdził na dworze.

Maja patrzyła, jak Carl wychodzi z Reinhardtem. Po chwili zza okna dobiegły ich głosy, jeden niski, szorstki i przyjazny, drugi wysoki i jasny.

– Przykro mi z powodu Carstena – powiedziała. – Nie miał prawa ci tego wszystkiego wygarnąć.

– Jest podenerwowany. Jak my wszyscy.

Miała na sobie dzinsy i stary T-shirt. On – kolejny ciemny garnitur. Zeuthen nigdy nie rozumiał, co w zasadzie ich połączyło. Co ona w nim widziała. Na pewno nie pieniądze ani pozycję. Prawdę mówiąc, wręcz ich nienawidziła.

– Nie powinien tak do ciebie mówić. Wiem, że nigdy nie zrobiłbyś nic, co by zaszkodziło dzieciom. Zawsze byłeś... dobrym ojcem.

Wyglądało na to, że to go zraniło, a tego nie chciała zrobić. W każdym razie w chwilach, gdy myślała trzeźwo.

– Więc przysyłają tu kilku policjantów? – spytała, próbując zmienić temat. – Tym razem czekamy z nimi?

Wymuszony uśmiech. Do pokoju wpadł Carl, tuż za nim wszedł Reinhardt. Chłopiec znalazł samochodzik i chciał to obwieścić światu.

To do ojca podbiegł w pierwszej kolejności, by pokazać mu autko.

– Emilie go nie miała! – krzyknął.

– Nie miała – przyznał Zeuthen, poczochnął mu włosy i przytulił go aż za mocno.

Chłopiec odsunął się i spojrzał na niego zdumiony.

– Nic ci nie jest, tato?

Dzwonek do drzwi.

– Myślisz, że to policja? – spytała Maja.

Robert Zeuthen rozejrzał się uważnie po pokoju. Przez chwilę myślała, że do niej podejdzie i przytuli ją. Zastanawiała się, co wtedy zrobi.

Tymczasem on powiedział:

– Pójdę sprawdzić.

Carl podbiegł z samochodzikiem do matki, trajkocząc radośnie. Reinhardt stał, nie patrząc jej w oczy.

Trzasnęły drzwi wejściowe i nagle Maja zrozumiała, że Robert wyszedł.

– Co się dzieje? – spytała. – Co on robi?

Kolejny oddział prewencji był już na miejscu. Kolejny oddział zbrojny gotów na rozkazy. Przybyły najnowsze zdjęcia z Zeelanda. Lund kończyła je przeglądać. Przysadzisty policjant wkładał kamizelkę kuloodporną. Był mniej więcej postury Roberta Zeuthena. Podobne włosy. Mogły zwieść w ciemności, ale nie na długo.

Figurant zaczął zapinać białą koszulę na kamizelce. Lund rozmawiała z Junckerem, który ciągle pracował w opuszczonej fabryce.

Gdy tylko zobaczyła mężczyznę, który wszedł do pomieszczenia, zakończyła rozmowę.

Zeuthen podszedł do niej.

– Przemyślałem to. Emilie jest moją córką. To mój obowiązek. Chcę jechać.

Brix w jednej chwili wyłonił się ze swojego gabinetu, kręcąc gwałtownie głową.

– Możecie nie wiedzieć, kim jest ten człowiek – dodał Zeuthen. – Ale na pewno nie jest głupi. Zorientuje się, że to nie ja. Powiedział wam, że to ostatnia szansa. Jeśli...

– Uruchomiliśmy już plan – przerwał mu Brix. – Szuka jej więcej ludzi niż kiedykolwiek. Nie mogę teraz tego odwołać.

Zeuthen nie ustępował.

– Wie pan, że będzie po niej w chwili, gdy on się zorientuje, że to nie ja. Tylko ja mogę ją uratować. To jedyna szansa, żebyście go schwytali.

Brix pokręcił głową.

– Nie podejmę takiego ryzyka.

– Nie musi pan.

Zeuthen podszedł do figuranta, spojrzał na kamizelkę kuloodporną.

– Powinna pasować – powiedział.

Asbjørn Juncker wciąż jeszcze pracował w opuszczonej fabryce. Przeszukali już każdy budynek. Zajrzeli do piwnic, do magazynów. Nie znaleźli nawet śladu dziewczynki.

Nie chciał odjeżdżać z niczym, więc wdrapał się na szczyt najwyższego budynku. Skoro Emilie zapisała te litery, to znaczy, że je widziała. Może furgonetka przejeżdżała tędy kiedyś. Albo dziewczynka dostrzegła je z jakiegoś miejsca w pobliżu.

Zapadał zmrok. Żadnych gwiazd, tylko niskie chmury kropiące deszczem. Odległe światła najbliższych budynków mieszkalnych połyskiwały jak światełka bożonarodzeniowe.

Miał dwadzieścia trzy lata i służył dotąd wyłącznie na zadupiach i przedmieściach, a najpoważniejszą sprawą, z jaką miał do czynienia, było włamanie i napad. Tamte rzeczy po prostu się działy. Uprowadzenie dziecka przez zdeterminowanego, świetnie zorganizowanego człowieka, zdolnego zabić bez namysłu, nie mieściło się w jego wyobraźni. I to go mobilizowało. Był czujny.

Stojąc na dachu najwyższego budynku, uderzany podmuchami zimowego wiatru, Juncker wyjął lornetkę.

– Emilie...

Jego szept umknął z powiewem nocnego powietrza.

Tak miała na imię również jego siostra. Miała trzynaście lat i była zwyczajną, szczęśliwą dziewczyną z Vesterbro. Mówił sobie, że to nie ma znaczenia. Że to po prostu jego praca.

– Emilie – westchnął i zaczął odliczać brudne, wytłuczone okna w budynku naprzeciwko.

Zeuthen przyszedł przygotowany. Z prawnikiem u boku. Zestawem dokumentów gwarancyjnych, które już podpisał i gdyby zaszła potrzeba, był gotów podpisać je w obecności świadków. Dokumentów zwalniających policję z wszelkiej odpowiedzialności za jego ewentualną śmierć.

Brix zadzwonił do komendanta policji.

Wyszedł na spotkanie.

Zadzwonił do Ruth Hedeby.

Nie odebrała.

Lund słuchała jego jęków.

– Nie chcą podjąć decyzji – powiedziała. – Nie mają odwagi. Wszystko zależy od nas.

– A to mi nowina – burknął.

– Mają rację, prawda? To nasza sprawa i my musimy sobie z tym poradzić.

– I z konsekwencjami. Nie chcę, żeby Zeuthen zbliżał się do tego człowieka. On go zabije. Może Juncker coś znalazł...

– Nie znalazł. – Wyjęła z kieszeni telefon Emilie. – Co mam zrobić, jeśli on zadzwoni i powie, że chce rozmawiać z Zeuthenem? Zorientuje się, że to nie on.

– Może jakoś to obejdziemy.

– To ostatnia szansa! Tak powiedział. Jeśli nie zrobimy tego, co kazał, dziewczynka zginie. I co się wtedy stanie? Jeśli Zeuthen pojedzie, przynajmniej będzie tam ze mną. Czy go ochronimy, czy nie, i tak siedzimy po uszy w gównie.

Zadzwoił jej telefon. Juncker. Nie miał nic nowego. Przekazała to Brixowi.

Obejrzał się, popatrzył na Zeuthena i jego prawnika.

– Niech się przygotuje – powiedział.

Oznakowane radiowozy zebrały się przed budynkiem. Juncker wyjrzał za krawędź dachu. Błyszczące niebieskie światła.

– Ej, mały! – krzyknął ktoś. – Jedziemy czy nie?

Stąd widział wszystko. Biura Zeelanda po drugiej stronie wody. Złomowisko, na którym zaczęła się sprawa. Obozowisko bezdomnych.

W oddali jasne światła miasta. Wieże kościołów. Slotsholmen i wysoka wieża ratusza.

– Juncker! – dobiegł głos z dołu. – Musimy się zwijać.

Ostatnia runda. Obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni. Widział, jak Lund to robi, gdy wszyscy inni już zrezygnowali.

„Musisz się nauczyć patrzeć”.

Tak powiedziała. A pomimo tej całej niezdarności i nieprzewidywalności była najbardziej interesującym i najbystrzejszym detektywem, jakiego w życiu widział.

Gdzieś na dwieście siedemdziesiątym stopniu dostrzegł przez lornetkę okno na ostatnim piętrze czegoś w rodzaju biurowca odległego o może pół kilometra.

Błyskało tam światło. Włączało się i wyłączało. Nie migotało, tylko gasło regularnie, jakby ktoś je włączał i wyłączał.

Obejrzał resztę budynku. Ani znaku życia.

Wrócił do okna. Poczuł, że wstrzymuje oddech, gdy światło się ostatecznie włączyło i jakaś postać podeszła do szyby.

Dziewczynka w ciemnym płaszczu. Śliczna, blada twarz. Blond włosy przykryte czapeczką.

– Emilie – szepnął.

Gdy tak patrzył, z lornetką drżącą w dłoniach, dziewczynka odsunęła się od okna. Wyglądała na przestraszoną. Jakaś postać weszła w pole widzenia Junckera. Krzepka, ubrana w nieokreśloną ciemną kurtkę. Twarz zasłonięta kominiarką, dwa otwory na oczy, jeden na usta.

Nagle światło zgasło i już się nie zapaliło.

Lund miała na sobie kamizelkę kuloodporną. Czekala na parkingu Politigården, z Zeuthenem u boku.

Zadzwoił telefon.

– Jesteś gotowa, Lund?

Wydawał się spokojny, ale głos miał zdyszany. Jakby szedł.

– Tak.

– Oboje?

– Tego właśnie chciałeś, prawda?

– Jedź autostradą na południe. Zadzwoię niedługo.

Wsiedli do dużego, nieoznakowanego sedana, z nadajnikiem GPS pod deską rozdzielczą.

– Ostatnia szansa, Lund. Pamiętaj.

Ona prowadziła. Zeuthen siedział na fotelu pasażera. Gdy wyjeżdżali z komendy, na poboczu zobaczyli drobną postać.

Ładna, ale śmiertelnie przerażona twarz.

Maja Zeuthen patrzyła na nich z półotwartymi ustami. Dostrzegła swojego męża.

Zaczęła krzyczeć, gdy Lund wcisnęła pedał gazu i wskoczyła na otwartą drogę.

Nie było czasu na wyjaśnienia, Asbjørn Juncker kazał ludziom iść za sobą, pognął za róg i dalej do biurowca.

Biegł miarowo. Brakowało mu oddechu, by zadzwonić. Ledwie miał szansę myśleć.

Był od nich szybszy. Zanim dotarł w pobliże budynku, okazało się, że jest sam. Usłyszał hałas, jakby warkot wściekłego zwierzęcia. Warkot przybierał na sile, a Juncker nie ustawał.

Ostatni róg. Asbjørn Juncker minął go szybko. Tuż przed sobą zobaczył światła reflektorów. Ogromny tir łomotał po drodze.

Dźwięk przechodził w coraz głośniejszy ryk.

Juncker stanął na drodze potwora, szukając na oślep broni. Nie mógł znaleźć. Nie mógł się ruszyć.

Była wysoko nad nim. Twarz za kierownicą. Kominiarka. Ciemne oczy.

Nagle coś go uderzyło. Mocno. Młody detektyw poczuł, że leci na bok, a ciężkie ramię trzyma go mocno przy ziemi.

Oszołomiony, zdyszany, obrócił się i zdążył zobaczyć, jak ciężarówka nieporadnie pokonuje obskurny wjazd na autostradę.

Madsen leżał obok, rozcierając sobie ramię i lżąc Junckera, aż ziemia jęczała.

– Wykosilby cię, kretynie.

– To ona – powiedział Juncker i wskazał tira znikającego za rogami. – Emilie. To ona.

Starszy policjant uniósł się, klęknął i wyciągnął telefon.

Juncker wstał. Wciąż widział ją stojącą w oknie – przerażoną dziewczynkę porwaną w noc.

Grupa dziennikarzy przed Christiansborgiem głośno domagała się oświadczenia. Hartmann siedział milczący w gabinecie, podczas gdy Weber

i Karen Nebel nękali swoich informatorów w policji i PET.

Jedyną pewną informacją, jaką dostali, była ta, że Robert Zeuthen zgodził się na wymianę. Chciał oddać swoje życie za życie córki.

– Powinni się ze mną skonsultować – jęknął Hartmann, gdy Weber przekazał mu te informacje.

– Dlaczego?

– Bo powinni! Jeśli stracimy Zeuthena i jego córkę, wpadniemy po uszy w gówno! Te dranie na zewnątrz rozedrą mnie na strzępy.

– Nie sądzę, by w tej chwili stało to wysoko na liście priorytetów Brixa. Zanim złożysz kolejne publiczne oświadczenie, może powinniśmy porozmawiać o tonie i doborze słów.

– Chcę, żeby to dziecko wróciło do domu! – wrzasnął Hartmann. – Myślisz, że tego nie chcę?

– Oczywiście, że chcesz – odparł Weber. – Po prostu czasami... niefortunnie formułujesz myśli.

– Straciłem Benjamina – mówił premier łagodnym, zbolalym głosem. – Wiem, jak to jest. Ty nie wiesz.

Nastrój był fatalny. W trakcie kampanii sytuacja często zmieniała się diametralnie. To nie było obce Hartmannowi, wiedział, że najważniejsza jest ostatnia runda, ważne, by w dniu wyborów walka skończyła się korzystnie dla niego. Ale trudno było planować, nie wiedząc, na czym się stoi.

W dodatku Birgit Eggert dręczyła go nieustannie, domagając się spotkania i narzekając dosłownie na wszystko.

Weber uważał, że Hartmann powinien się z nią spotkać. Stawić jej czoło, zdusić w zarodku ewentualną rebelię. Miał rację co do jednego: Mogens Rank był niegdyś jednym z jego najsilniejszych popleczników. Teraz musiał

go trzymać z dala od Christiansborgu. Z zarzutem o ingerowanie w sprawę Zeuthenów by sobie nie poradzili.

Jakiś hałas za oknem. Hartmann podniósł wzrok. Nadszedł kolejny wóz transmisyjny. Wyczuli krew.

– Czy oni nie mają nic lepszego do roboty? – burknął Hartmann. – Dlaczego wciąż tu siedzą?

Otworzyły się drzwi. Weszła Karen Nebel, rzuciła na biurko plik zdjęć. Obaj panowie podeszli, by spojrzeć.

– Dostała je jedna z gazet – wyjaśniła Nebel. – Jutro rano ukaże się artykuł.

Morten Weber pierwszy sięgnął po telefon.

– Mogens – ryknął – natychmiast przywlecz tu swoją dupę!

Borch wrócił do Politigården, gdy operacja już się zaczęła. Brix stał w pokoju operacyjnym, ze słuchawkami na głowie, wydając rozkazy jednostkom w terenie: żadnych śmigłowców, w oddali nieoznakowane radiowozy gotowe do pościgu, wszelka komunikacja na zakodowanych kanałach.

Najwyższy stopień ostrożności.

Mieli numery rejestracyjne tira, który omal nie rozjechał Asbjørna Junckera. Okazały się fałszywe. Ale sam pojazd, czarny ciągnik siodłowy, uchwyciła kamera monitorująca ruch na drodze przy wjeździe na autostradę. Ekipa pracująca w pobliżu zakładu produkcyjnego ustaliła, że w budynku wypatrzonym przez Junckera przetrzymywano Emilie.

– A co z jego telefonem? – spytał Brix, bo to PET miała monitorować firmy telekomunikacyjne w czasie operacji.

– Nic z tego – odrzekł Borch. – Zmienił kartę SIM czy coś. Pewnie korzysta z różnych operatorów.

– Musicie być w stanie wyśledzić telefon!

Borch przechylił głowę.

– Ty, kurwa, nie możesz znaleźć ciężarówki. Nie zaczynaj. Lund i Zeuthen mają wsparcie?

Brix pochylał się nad mapami.

– Mam w pobliżu zbrojne jednostki.

– On o tym wie. Czy to najlepszy...?

Brix podniósł wzrok, ruchem głowy wskazał boczne pomieszczenie. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Borch zamilkł.

Maja Zeuthen słuchała ich rozmowy z szeroko otwartymi oczami, niechlujna, w starej bluzie i dżinsach.

– Uważaj na słowa – przestrzegł Brix kolegę.

Jechali w deszczu, w świetle latarni. Samochody ze wsparciem – w każdym razie Lund domyślała się, że to one – śledziły ich w odległości mniej więcej trzystu metrów.

Zeuthen siedział na fotelu pasażera; krawat starannie zawiązany, ciemny drogi płaszcz, włosy uczesane. Przygnębienie na twarzy.

– Co pani zamierza zrobić, Lund?

– Kiedy już poznamy jego pozycję, zbliżymy się, wysadzę pana, wezmę Emilie. Ludzie Brixa są w pobliżu. Pan ich po prostu nie dostrzega.

Zeuthen zerknął w lusterko wsteczne. Wóz ze wsparciem był dobrze widoczny.

– A jeśli on się dowie, że nie jesteśmy sami?

Sięgnęła do kieszeni kurtki, wyjęła gumę do żucia. Poczęstowała go. Pokręcił głową. Nie wyglądał na osobę, która żuje gumę. Mimo to Lund wrzuciła do ust cały listek.

Wyjeżdżali z miasta. Ani śladu tira. Porywacz powinien niedługo zadzwonić.

– Damy radę – powiedziała z naciskiem. – Działamy razem. Postępujemy zgodnie ze wskazówkami.

Przyglądał się jej.

– Robiła to pani już kiedyś?

– O tak – odparła i zastanowiła się, czy on wie, że to kłamstwo.

Niemal się ucieszyła, słysząc telefon Emilie.

Odebrała przez system głośnomówiący.

– Jest tam Robert Zeuthen?

– Tak. Chcesz z nim rozmawiać?

– Będę miał na to mnóstwo czasu. Gdzie jesteście?

System monitorujący jej samochodu był połączony z Politigården. Brix słyszał każde słowo, widział każdy ruch samochodu.

– Dojeżdżamy do zjazdu numer trzydzieści siedem. Dokąd jedziemy?

– Zapraszałem tylko dwie osoby na imprezę.

– I dwie się stawiają.

Zjazd był już widoczny w strugach deszczu. Znajdowali się spory kawał za miastem, na płaskim terenie.

– Czy ja sprawiam wrażenie kretyna?

– Jestem w samochodzie z Robertem Zeuthenem. Tak jak prosiłeś. Powiedz, co mamy robić.

– Zjedź zjazdem trzydziestym ósmym.

Zacząła już skręcać. Wykonała gwałtowny manewr, by wrócić na autostradę. Zobaczyła, że samochód za nią robi to samo.

– Jeśli w którymkolwiek momencie zorientuję się, że nie jesteście sami, to już się nie usłyszymy. Rozumiesz to, prawda?

– Rozumiem.

Pojawił się drogowskaz informujący o zjeździe numer trzydzieści osiem.
– Mam nadzieję – powiedział mężczyzna.

W pokoju operacyjnym wisiała wielka mapa okolicy. Zjazd numer trzydzieści osiem prowadził na niewielką wiejską drogę, a potem do sieci mniejszych drózek. Gospodarstwa. Kilka niewielkich zakładów. Mnóstwo pustej przestrzeni.

– Tam nic nie ma – powiedział Brix. – To nie może być tu.

Borch stał obok niego.

– Wyciąga ją na otwartą przestrzeń. Jeśli jest na tej drodze, zobaczy twoje wozy. Z daleka.

– Dobra – powiedział Brix i kazał Junckerowi i jego ludziom trzymać się w większej odległości.

– On już ich widział! – krzyknął Borch. – Co Lund ma zrobić?

– Postępować zgodnie z jego wskazówkami. Mamy ją na GPS-ie. Kiedy się zatrzyma, my ruszymy.

– To jakiś żart. – Borch wstał. Poszedł po kurtkę. – Nie wezmę w tym udziału.

Głos przez radio. Asbjørn Juncker.

– Chyba go mamy – powiedział. – Volvo FH16. Wygląda jak to, które widzieliśmy w porcie. Ma na naczepie kontener. Stłuczone światło z tyłu.

– Kontener?

– Zaczekaj – powiedział Juncker. Kiepsko go słyszeli. Radio przerywało.

– Zbliżamy się. Możemy go zatrzymać...

– Cofnij się! – wrzasnął Borch, chwytając mikrofon.

– Cofnij się – powtórzył Brix. – Nie rób nic.

– Możemy go zatrzymać za brak światła – podsunął Juncker.

– Powiedziałem cofnij się i czekaj – warknął Brix. – I zrób to, jasne?

Jechali przez ciemne pola. Z nieba lał nieustępliwy deszcz.

– Brix, ciągle widzę twoje wozy – zgłosiła się Lund. – Zabierz je. Mam zjechać.

– Wszystko w porządku – odpowiedział. – Asbjørn ma kontakt wzrokowy z tirem. Jest prawie dwa kilometry za tobą. On nic nie zobaczy. Ludzie cię pilnują. Kilka wozów kieruje się do tira. W zasięgu wzroku nic nie ma.

Zeuthen słuchał każdego słowa.

Dotarli do zjazdu. Lund spodziewała się kolejnego telefonu, z którego by się dowiedziała, że jednak ma skręcić gdzie indziej. Ale nikt nie zadzwonił. Lund zjechała z autostrady.

Maja Zeuthen niezauważona przez nikogo weszła do centrum operacyjnego. Brix, pochłonięty dowodzeniem, mówił do mikrofonu. Carsten Lassen przyjechał prosto z pracy. Objął ją, przekonał, żeby wróciła do pomieszczenia na uboczu, gdzie miała czekać.

– Carl jest z twoją mamą. Powiedział, że nie pójdzie spać.

– Wie, że coś się dzieje. Oczywiście, że nie...

Podszedł do nich Brix.

– Mamy kontakt wzrokowy z ciężarówką. Uważamy, że jest w niej Emilie. Zamierzamy ją zatrzymać...

Skrzyżowała ramiona i na chwilę zamknęła oczy.

– On powiedział, że jeśli zrobicie coś...

– Nie można mu wierzyć, pani Zeuthen. Wszystko, co mówił dotąd, okazywało się kłamstwem. Nie mogę się wdawać w szczegóły, ale podejmujemy wszelkie możliwe środki ostrożności. Bezpieczeństwo Emilie jest bezwzględnym priorytetem. Bezwzględnym.

– Mogę pojechać?

– Dokąd?

– Mogę być gdzieś w pobliżu? To moja córka. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Proszę.

Kiwnął głową, wezwał funkcjonariusza.

– Załatwimy samochód. Będzie musiała pani poczekać, aż operacja dobiegnie końca. Proszę robić, co powiemy. Dobrze?

– Dobrze – odparła i sięgnęła po płaszcz.

Droga zrobiła się jednopasmowa, a potem, o dziwo, znowu szersza. Brix dotrzymał słowa. Już nie widziała w lusterku reflektorów. W ogóle nie widziała żadnych świateł. Tylko deszczową drogę przed sobą.

Zgłosił się Borch.

– Porywacz zbliża się do zjazdu. Chcemy sfingować kolizję i zatrzymać go. Mamy SWAT i kilku strzelców wyborowych z wojska.

Zeuthen zaklął i pokręcił głową.

– Ja jadę dalej – odparła Lund.

– Jedź. I jeszcze jedno. Może to nie ma nic wspólnego z Zeuthenem. Ani z Zeelandem.

– Co masz na myśli?

– Sprawdziłem dokumenty w Jutlandii. Schultz i Overgaard spreparowali raporty. Twierdzili, że tamta dziewczyna zniknęła w piątek. Nieprawda. Sprawdziłem to w rodzinie zastępczej. Louise zaginęła dzień wcześniej, w czwartek.

– I co? – spytała Lund.

– „Medea” weszła do portu dopiero w piątek. – Chwila przerwy. – Rozumiesz, co mówię?

Zastanowiła się i odpowiedziała, że tak. Po czym się rozłączyli.

– Chcą go zastrzelić? – spytał Zeuthen. – Przy Emilie?

– Oni wiedzą, co robią. Proszę im za...

Zadzwoił telefon Emilie.

– Dotarłaś już do lasu, Lund?

Zerknęła za okno.

– Nie. Widzę tylko pola.

– Niedługo zobaczysz drzewa. Po prawej drodze. Stoi tam opuszczony zakład. Zaczekaj tam na mnie.

Juncker siedział na fotelu pasażera, Madsen prowadził. Byli dobry kawał drogi za zjazdem, w który skręciła Lund. Nagle odległość pomiędzy nimi a tirem się zwiększyła.

– On przyśpiesza – powiedział Juncker do Brixa. – Ekipa od wypadku jest gotowa?

Po krótkiej chwili Brix potwierdził.

Ruch samochodów przybrał na sile. Trudno było nie stracić z oczu tira, jednocześnie nie wzbudzając podejrzeń.

– Zachowajcie odległość – polecił Brix. – Macie tysiąc dwieście metrów do wypadku. W tej chwili blokują drogę.

Pojawił się nowy problem. Tir zaczął zwalniać.

– Nie wiem, w co on pogrywa – mruknął Juncker.

Podwójny rząd świateł. To musiało być skrzyżowanie. Został im może kilometr.

Nagle zjechał ostro na prawo. Juncker zaklął. Madsen zbyt gwałtownie zahamował, wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni, z trudem odzyskał kontrolę nad pojazdem.

Tir zjechał z pasa do skrętu na zjazd.

– Opuszcza autostradę – zameldował Juncker. – Za wcześnie.

Brix odpowiedział natychmiast.

– Jesteś pewien?

– Zjazd numer trzydzieści siedem. Już się oddala. Co mamy robić?

– To nie może być ten. – Głos w słuchawkach Junckera zabrzmiał przez chwilę dziwnie niepewnie. – Lund zjechała trzydziestym ósmym.

Policyjny sedan zwolnił, znowu jechał równo. Juncker spojrzał na Madsena i kiwnął głową.

– No dobra. Jedziemy za nim.

– Trzymajcie się z daleka! – krzyknął Brix.

Wielki tir toczący się po bocznej drodze. Za nim samotny samochód.

Dwa rzędy opuszczonych budynków oddzielonych wyboistą błotnistą drogą. Lund zaczynała dostrzegać charakterystyczne cechy porywacza. Lubił takie ciemne i zrujnowane miejsca. Pasowały do jego nastroju.

Podjechała do pierwszych drzwi. Była pewna, że nikogo tu nie ma. A jednak pomiędzy nieczynnymi warsztatami wisiała instalacja elektryczna ze starymi żarówkami, które rzucały żółte światło na wilgotny spękany beton, wytłuczone okna i potrzaskane drewniane elementy konstrukcji czegoś, co kiedyś musiało być prowincjonalnym zakładem przemysłowym.

Po obu stronach wisiały szyldy „Do wynajęcia”. Połamane i brudne.

Z deski rozdzielczej popłynął głos Brixa.

– Asbjørn ma kontakt wzrokowy – powiedział. – Borch też tam jedzie.

To wszystko nie miało sensu.

– Gdzie on jest? – spytał Zeuthen z fotela pasażera.

Brix musiał go usłyszeć.

– Daleko od was. Zostańcie na miejscu. Jest bezpieczne.

Lund wysiadła. Obok samochodu stała stara lodówka. Kilka rozrzuconych beczulek.

– Jak daleko? – powiedziała do telefonu, tak żeby Zeuthen jej nie usłyszał.

– Za daleko – odrzekł Brix.

Zeuthen dołączył do niej, drząc od mrozu nocy. Spytał, co się dzieje.

– Śledzą go – odpowiedziała. – Lepiej niech pan zostanie w samochodzie.

Ani drgnął.

Światła nie dawały jej spokoju.

– Czy on widział waszych ludzi? Lund?

Podeszła do wąskiego przejścia pomiędzy budynkami.

– Lund!

– Nie sądzę.

Nikt tu już nie przyjeżdżał. Elektryczność przetrwała chyba cudem. Nie rozumiała, skąd i po co są te światła.

Nagle rozległ się dźwięk.

Lund wyjęła latarkę i broń.

Brzmiało to jak świergot ptaka. Ale to nie był ptak. Gdzieś dzwonił telefon.

Niedaleko ostatniego budynku po prawej.

– Proszę się trzymać za mną – poleciała i razem ruszyli w kierunku źródła dźwięku.

Przelewające się beczki na deszczówkę. Stary, porzucony rower. Przed nim truchtający szczur. Usłyszała łopot skrzydeł. Coś dużego. Kruk albo sowa.

Dźwięk przybrał na sile. Na stosie opon zobaczyła błyskający telefon.

Stara nokia. Lund odebrała.

– Nie śpieszyłaś się. Uśmiech.

– Słucham?

– Żart. Nie rozumiesz? Do samochodu, proszę.

Kiwnęła ręką na Zeuthena. Ruszyli do policyjnego sedana.

– Nie, Lund. – Śmiał się. – Nie do twojego samochodu. Przygotowałem dla was bardziej odpowiedni środek transportu.

– Nie za bardzo mam w tej chwili nastrój do żartów.

– A w ogóle miewasz taki nastrój? Jak powiedziałem, uśmiech proszę.

Odwróciła się. Przyglądała się budynkom w bladym świetle, pomagała sobie latarką.

– Spójrz do góry!

Do zniszczonej rynny najbliższego budynku przymocowano kamerkę. Niebieskie światło błyskało miarowo ze wspornika.

– Zostawcie telefony w takim miejscu, żebym je widział – rozkazał mężczyzna. – I powiedz Zeuthenowi, że tym krawatem naprawdę mi schlebił.

Lund odłożyła swój telefon na ziemię. Kazała Zeuthenowi zrobić to samo.

– Dobrze. A teraz popatrz przed siebie. Widzisz furgonetkę?

Kolejna charakterystyczna rzecz. Przerdzewiały stary gruchot stojący przy drodze za budynkami.

– To prezent dla ciebie. Kluczyki są w stacyjce. Wszystko gotowe do drogi.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Czekam, Sarah – powiedział. – Pośpiesz się. Mamy randkę.

Juncker i Madsen śledzili tira, jadąc za nim daleko w głąb pól. Zachowywali największą możliwą odległość. Ale na opuszczonych wąskich drogach trudno było uwierzyć, że pozostali niezauważeni. Podobnie jak

kolejne trzy samochody za nimi, obsadzone zbrojnym oddziałem gotowym do akcji.

– Nie podoba mi się to – powiedział Juncker do Brix. – Robi się zbyt oczywiste.

Szef odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Dobra. Za czterysta metrów przejeżdżacie pod wiaduktem kolejowym. Potem droga się rozwidla. Przepuście tam SWAT. Mogą pojechać drogą, której on nie wybierze, potem zrobić objazd i przechwycić go dalej.

Madsen pokręcił na to nosem i spojrzał na kolegę.

– Będą musieli się pośpieszyć – ostrzegł Juncker.

Zobaczyli przed sobą wiadukt. Tir ledwie się mieścił w wąskim przejeździe.

Madsen zahamował ostro. Juncker zaparł się rękoma o deskę rozdzielczą, żeby nie wbić się w przednią szybę.

Brix to usłyszał. Zaczął gwałtownie krzyżeć do telefonu.

Tir stał z włączonymi światłami. Było tak wąsko, że nic nie mogło go ominąć.

– Juncker? Co się dzieje? Nie widzimy, żeby się przesunął wasz GPS.

– Zatrzymał się pod wiaduktem. Może patrzy na mapę?

W ciemnościach trudno było cokolwiek zobaczyć. Kabina kierowcy znajdowała się poza zasięgiem wzroku.

– Silnik pracuje? – spytał Brix.

Rura wydechowa się kołysała. W nocne powietrze wypuszczała kłęby brudnego dymu.

Dosłyszeli dźwięk zatraskiwanych drzwiczek.

– Cholera! – zaklął Madsen i wyskoczył pierwszy.

Z podniesioną bronią i latarkami, przerażeni, ruszyli naprzód wzdłuż naczepy.

Szoferki nie było. W oddali znikwały tylne światła, a ryk pociągu, który przetaczał się nad ich głowami, zagłuszył przekleństwa Junckera.

Kiedy skład przejechał, młody sięgnął po radio.

– Zgubił nas. Zablokował naczepą przejazd. Nie możemy przejechać...

Wszystko było precyzyjnie zaplanowane.

– Mamy kogoś po drugiej stronie? – spytał Juncker.

Odpowiedziała mu wymowna cisza.

Rozmawiali na otwartym kanale. Ludzie przy wiadukcie i porzuconej naczepie słyszeli, jak Brix mówi:

– Lund. Mamy tu problem. Lund? Zgłoś się...

Długa cisza, a potem znajomy głos.

– Tu Borch. Jestem przy warsztatach. W samochodzie nikogo nie ma. Właśnie znalazłem na ziemi jej telefon. Brix?

Nic.

Pół kilometra dalej człowiek z PET patrzył na ponury szereg opuszczonych zabudowań i zastanawiał się, gdzie jest Lund.

Stary ford śmierdział zwierzętami. Prawdopodobnie psami. Porywacz zadzwonił, kiedy ruszyli. Kazał jej zajrzeć do schowka na rękawiczki. Leżał tam tani zestaw do nawigacji, z zaprogramowaną trasą. Automatyczny głos podawał instrukcje.

Kręte drogi wśród pól. Zawile zakręty. Nagle większa, szersza droga. Dziwnie pusta.

– Ma pani pojęcie, gdzie jesteśmy? – spytał Zeuthen.

– A pan? – odparła, ale nie chciała być niemą.

Gdziekolwiek by się znajdowali, Robert Zeuthen z pewnością w takich miejscach nigdy nie bywał.

Droga zrobiła się szersza. Nadal nic nie jechało. Nagle zobaczyli znak: droga w budowie. Brak przejazdu.

Lund podążała za wskazówkami nawigacji. Wreszcie zorientowali się, że jadą w stronę mostu nad szeroką rzeką. Musieli być niedaleko portu. Czują w powietrzu zapach soli Sundu.

Pachołki i błyskające żółte światła. Robotnicy zakończyli już pracę. Jezdnia zwężyła się do jednego pasa. Drogę przed nimi zamykała czerwono-biała barierka, a za nią leżał chyba jeszcze świeży asfalt.

Lund zwolniła i w końcu się zatrzymała.

„Jesteś u celu” – oznajmiła nawigacja.

Brix nie miał w pobliżu ludzi. Była tego pewna. Ten człowiek osiągnął wszystko, czego chciał: miał ich oboje, samych.

Zostawiła włączone reflektory i wysiadła. Zeuthen też. Część nadziemna mostu była oświetlona. Prowadziło do niej kilka latarni.

Po drugiej stronie mostu stał tir bez naczepy, z włączonymi światłami. W szoferce nic nie było widać.

Zeuthen ruszył w jego stronę z rękoma w kieszeni. Płaszcz nadymał się na wietrze.

– Proszę tu zostać – rozkazała mu Lund. Nie zatrzymał się. – Robercie! Nie wiemy, czego on chce.

Obejrzał się rozczarowany. Ale stanął.

Zadzwonił nowy telefon.

– Przyślij Zeuthena. Jak już będę go miał, puszczę dziewczynkę.

Lund spojrzała do tyłu, potem przed siebie. Nigdzie nic nie widziała.

– To ci się nie uda – powiedziała. – Byliśmy śledzeni po drodze. To miejsce jest pod nadzorem. Nie wydestaniesz się stąd. Pogadajmy...

Śmiech.

– Nie poddajesz się, co? Gdyby wasi ludzie tu byli, nie zdążyłbym zadzwonić. Już bym nie żył. Proszę. Nie chciałbym ci zrobić krzywdy. Przyślij go. Więcej nie będę prosił.

Zeuthen musiał wyczytać wszystko z jej twarzy.

– Idę – powiedział i ruszył przez most, w stronę świateł ciężarówki.

– Robercie! Niech pan tu zostanie. Jeśli pan zginie, on nie będzie miał powodu jej puścić. Niech mnie pan posłucha!

Stała przed nim, położyła mu dłoń na piersi.

– Niedługo dojedzie tu reszta ludzi. Możemy negocjować. Jeśli będzie miał pana, zrobi, co chce.

Nadal był gotów iść.

– Ja to zrobię – zdecydowała Lund i ruszyła przed siebie.

Rank znów był w gabinecie premiera. Po raz ostatni, zdecydował Hartmann.

– Spotkałeś się z Peterem Schultzem czy nie?

W spotkaniu uczestniczyła Birgit Eggert. Wydawało się to mądrym posunięciem.

– To się staje już trochę nużące – odparł Rank szybciej, niż pomyślał. – Już ci mówiłem. Nic takiego nie pamiętam.

– A to?

Karen Nebel dostała zdjęcia od swojego człowieka w mediach. Hartmann rzucił nimi na biurko.

– Monitoring Ministerstwa Sprawiedliwości. Dwa lata temu. Tydzień po śmierci tej dziewczyny z Jutlandii.

Rank przeglądał je powoli, jedno po drugim.

– O czym rozmawialiście? – spytał Hartmann.

– Nie pamiętam. – Podniósł wzrok. – Jeśli spotykasz na korytarzu przypadkowego człowieka, pamiętasz, co mówiłeś? Po dwóch latach?

– Czy tak będzie wyglądała twoja odpowiedź, kiedy ten materiał pojawi się w prasie? Mają te zdjęcia. Staniesz przed nimi i powiesz „A niech to, nie pamiętam!”? Naprawdę...

– Dość – krzyknął Rank. – Byłem wiernym ministrem, Troels. Twoim wielbicielem. Wspierałem cię... – zerknął na Eggert – kiedy inni sądzili, że nie jesteś dobrym kandydatem na to stanowisko.

– Ten etap mamy już za sobą – odparł Hartmann. – Teraz domagam się prawdy.

Dziesięć kroków, broń w prawej dłoni, nisko, telefon przy lewym uchu. Znowu zadzwonił.

– Lund. Na co czekasz?

– Idę po Emilie. Chcę ją zobaczyć.

– Mówiłem, że masz przysłać Zeuthena.

Sprawił wrażenie wściekłego, to jakaś nowość.

– Robert przyjdzie, gdy będzie wiedział, że jego córce nic nie grozi. To uczciwy układ. Chciałeś umowy. No to masz.

– Co to ma być! – krzyknął. – Co cię obchodzą ci ludzie? Dlaczego ryzykujesz życiem dla takich jak oni?

– Bo są niewinni. Tak jak Louise Hjelby. Zeuthen jej nie skrzywdził. Zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby nam pomóc w odkryciu, co się stało.

Bliżej. Czują zapach diesla w słonym morskim powietrzu.

– Nie wciskaj mi kitu...

– To prawda. Stało się coś strasznego. Pracujemy nad tym, by naprawić, co się da. Ale to nie jest wina Roberta Zeuthena.

Wciąż nic nie widziała, nie miała pojęcia, gdzie znajduje się porywacz.

– Kłamiesz. To Zeeland kazał zamknąć tę sprawę. Zeuthen jest za to odpowiedzialny i doskonale o tym wiesz.

– Bądź poważny – krzyknęła Lund. – Myślisz, że taki człowiek jak Zeuthen zadałby sobie tyle trudu, żeby kryć trzech marynarzy, cudzoziemców? Naprawdę w to wierzysz? Miałam cię za bystrego.

Usłyszała jego przekleństwo.

– Spytaj Zeuthena – powiedział.

Położyła palec na spuście. Ciągle nigdzie nie widziała mężczyzny.

– Nie muszę. Wiem, że on nie ma z tym nic wspólnego. Overgaard i Peter Schultz zmienili raporty. Louise zniknęła dzień wcześniej, niż oni zapisali. „Medei” nawet nie było jeszcze wtedy w porcie.

Niski, niezrozumiały pomruk.

– Słyszałeś? Kiedy ona zaginęła, tych marynarzy nie było w Danii. Cały czas ścigałeś niewłaściwych ludzi.

Dała mu wiele do przemyślenia. Ona szła. Nic nie widząc. I coś jej mówiło, że on jest w tej samej sytuacji.

– Zamordowałeś trzech niewinnych ludzi. Ci marynarze po prostu ją znaleźli, nie zrobili nic więcej. Schultz zmusił ich do zmiany zeznań, tak żeby śmierć Louise wyglądała na samobójstwo. To właśnie ci powiedzieli, prawda?

Silnik ciągnika pracował. Za kierownicą nikt nie siedział.

– Schultz ci powiedział, że to Zeuthen?

Zero odpowiedzi.

– Myślę, że nie – ciągnęła. – Kogokolwiek krył, to na pewno nie był to Zeeland.

Reflektory świeciły tak jasno, że musiała podnieść rękę z bronią, żeby osłonić oczy.

Podniosła ją wyżej.

– Odłożę teraz broń – powiedziała. – Nie mam nic innego.

Przykucnęła, położyła pistolet na drodze, odsunęła go kopniakiem.

– Kiedy Emilie będzie bezpieczna, możemy pogadać. Chcę rozwiązać tę sprawę tak samo jak ty.

Idąc do przodu w ślimaczym tempie, Lund dotarła do szoferki od strony kierowcy. Drzwi były otwarte. Wspięła się.

Pusto. Zaslona odcinająca przestrzeń w głębi. Odchyliła ją, poświeciła w głąb.

Nic.

– Same gładkie słówka, Lund. Ale za późno. Ten człowiek zasłużył na to, by cierpieć tak jak ja.

Zmartwiona i trochę już zdesperowana niemal wypadła z kabiny kierowcy i spojrzała na most.

– On nie ma z tym nic wspólnego!

Uderzył w nią nagły podmuch zimnego wiatru. Zeuthen szedł sam przez most, patrzył zdumiony.

Nagle oboje usłyszeli samotny, wysoki krzyk na wietrze.

– Tato! Słyszysz mnie? Tato!

Zeuthen się obejrzał. Lund też.

Nigdzie ani śladu dziewczynki.

Potem jej krzyk odezwał się znowu i wtedy już wiedzieli.

Zeuthen dotarł przed nią do skraju mostu, chwycił rękoma poręcz i próbował zobaczyć coś w ciemności poniżej. Nowy dźwięk. Niski pomruk silnika łodzi. Ledwie widoczna we własnych światłach na wodzie niewielka jednostka kierowała się w stronę mostu.

– Tato!

Była tam, a jedyne, co Zeuthen mógł zrobić, to odpowiedzieć na jej szalone wołanie jak ranny zwierz, który słyszy zagubione młode.

Lund podniosła pistolet. Wołania dziewczynki stały się bardziej piskliwe, a potem przeszły w krzyk.

Ze skraju mostu było widać więcej. Ślizgacz, długi dziób, lekki na rufie.

Pokład niemal całkowicie krył się w ciemnościach. Lund mimo to wycelowała ponad wodą.

Nagle go zobaczyli. Człowiek w czerni. Niewielka postać siłowała się z nim na rufie. Na oczach Lund i Zeuthena mężczyzna naciągnął na głowę dziewczynki coś, co wyglądało na niebieską torbę brezentową.

Próbowała wycelować. Nie zaufała sobie. Łódź zniknęła pod mostem. Krzyki dziewczynki były teraz stłumione.

Zeuthen już biegł z krzykiem na drugą stronę mostu.

Za białą ciężarówką z piskiem zatrzymał się samochód. Wyskoczył z niego Borch.

Lund trzymała telefon przy uchu. Proponowała wszystko, czego tamten chce. Biegła, by dołączyć do mężczyzn po drugiej stronie.

Gdy dotarła do balustrady, z dołu nie dochodziły już żadne krzyki. Borch próbował wycelować z pistoletu. Zeuthen wychylał się przez poręcz.

Z dołu docierał tylko miarowy pomruk silnika.

Pojawiła się łódka. Dźwięk przybrał na sile. Jeden stłumiony krzyk i cisza.

Lund spojrzała. Światła nad wodą, czerwone i zielone. Światła na moście. Światła, małe i nieskuteczne, na samej łodzi.

Zwykle miała do dyspozycji tylko wzrok. Coś było w jej świetlistych, wszystkowidzących oczach, dzięki czemu nie musiała mrugać, gdy inni nie mogli się powstrzymać.

Wiedziała, że teraz musi patrzeć i zapamiętać.

Łódka.

Robert Zeuthen krzyczał.

Lund zrezygnowała z trzymania telefonu. Wystawiła broń za balustradę.

Człowiek w kominiarce trzymał w objęciach niebieski pakunek.

A w prawej ręce broń.

Ręka się odsunęła. Jeden strzał w głowę i coś podskoczyło w środku.

– Nie! – wrzasnął Robert Zeuthen.

Czarne ramię się podniosło. Druga kula w klatkę piersiową i brezent opadł.

Borch strzelał jak szalony. Gejzery wody wzbijały się za rufą.

Mężczyzna w łódce dźwignął pakunek. Na końcu przywiązanej do niego liny zobaczyli coś pomarańczowego.

Lund przypomniała sobie zdjęcia, które pokazali Overgaardowi: blok betonu użyty do obciążenia martwego ciała Louise Hjelby.

Okrutne i rozmyślne skojarzenie.

Obciążnik zniknął pierwszy. Niebieski pakunek zaraz za nim.

Pochłonęła go woda.

Kolejne strzały. To znowu Borch. I Lund.

Na łódce zgasły światła. Pomruk jej silnika przeszedł w ryk. Mogli dojrzeć ostry kształt dziobu, jak zrywa się pod nagłym przyplływem mocy.

Opróżniali magazynki, wiedząc, że to na nic.

Nikt się nie odzywał.

Lund spojrzała na Roberta Zeuthena. Jego płaszcz leżał na ziemi wraz z marynarką i kamizelką kuloodporną. W koszuli i krawacie przechodził przez balustradę, gotów do skoku.

Wyciągnęła rękę, żeby Borch przestał strzelać. Doskoczył do przedsiębiorcy, ale było już za późno.

Robert Zeuthen poszybował w dół, ku wodzie. Nogami w dół, machając rękoma, z jedną myślą w głowie.

Cały czas krzyczał jedno słowo.

Emilie.

Emilie.

Emilie.

Przez piętnaście minut naciskali Mogensa Ranka. Hartmann. Birgit Eggert.

Jak przystało na prawnika, nieustannie wykręcał się od odpowiedzi.

Wreszcie Hartmann stracił cierpliwość.

– Powiedz prawdę albo idę do PET. Dyhring już nie jest twoim sprzymierzeńcem. Twój czas dobiegł końca.

Rank wpatrywał się w niego przez grube szkła okularów. Namyslał się chwilę.

– Masz dziwne pojęcie o wdzięczności, Troels. Mówiono mi o tym, kiedy cię poparłem, a tylu innych tego nie zrobiło. Pewnie powinienem wziąć to sobie do serca.

– Rzuć go wilkom na pożarcie – wtrąciła się Eggert. – Nie ma co tracić czasu.

Uśmiechnął się do niej.

– Więc Troels będzie następny? Prawda wygląda tak, że chciałem się tylko upewnić, czy wszystko zrobiono należycie. Padła nazwa Zeelanda. Byliśmy z nimi... bardzo blisko. Działaliśmy na korzyść partii...

– I dlatego teraz prasa nie zostawia na mnie suchej nitki? – krzyknął Hartmann. – Zatuszowałeś morderstwo! Teraz płaci za to Robert Zeuthen. I my wszyscy.

– Nic takiego nie zrobiłem. Nic niezgodnego z prawem. Nie zrobiłbym tego ani dla Zeelanda, ani dla ciebie. Zaufaj mi. Nie chciałbyś...

– Doprowadziłeś do umorzenia sprawy! Zataiłeś informacje...

Otworzyły się drzwi. Karen Nebel, za nią Weber. Rank kręcił głową, wpatrując się w stół.

– Do cholery! – krzyknął Hartmann. – Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię! Co ty sobie myślałeś, u diabła?!

– Mówią, że ją zastrzelił – odezwała się Nebel. – Emilie Zeuthen nie żyje.

Rank zdjął okulary i zamknął oczy. Birgit zakłęta siarczyście pod nosem.

Hartmann otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Ale zabrakło mu słów.

Pół godziny później most został oświetlony ze wszystkich stron. Radiowozy i wozy techniczne zaparkowały w poprzek drogi. Lund stała sama nad wodą, na dole, Borch nieopodal; zbyt byli wstrząśnięci, żeby wydobyć z siebie słowo.

Brix zostawił ich w spokoju.

Asbjørn Juncker pracował z nurkami. Ściągnięto śmigłowiec, by obejrzeć rzekę aż do portu w mieście. Szukanie małej łódki bez świateł w ciemnościach... nikt nie miał zbyt dużych nadziei.

– Są jakieś ślady dziewczynki? – spytał Brix.

– Tu jest wartki nurt – odparł Juncker. – Silny prąd. Ona może być wszędzie. Mówią... – rękawem kurtki otarł zmęczone oczy – mówią, że w ciągu kilku godzin powinni ją znaleźć.

Usłyszeli, jak podjeżdża kolejny samochód. Tyle ich tu teraz stało, że nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nagle dobiegł ich łagodny, zmęczony głos wołający imię dziewczynki.

– Gdzie ona jest? – spytała Maja Zeuthen, podchodząc do Brixa, który stał nad wodą, górując nad zebranymi wokół mężczyznami.

Lund chciała coś powiedzieć. To był jej zawód, jej obowiązek. Nagle kobieta dostrzegła inną postać na brzegu. Robert Zeuthen dygotał okryty kocem, który znalazł Borch.

Nie miał już krawata. Spodnie przemoczone. Włosy mokre i potargane. Ale najbardziej zmieniły się jego oczy. Przerażone. Naznaczone widokiem, którego nigdy nie wymaże z pamięci.

– Robert? – odezwała się jego żona.

Dygotał owinięty kocem, milczał. Podeszła, stanęła przed nim, nie wyciągnęła ręki na pocieszenie.

Pokręciła głową.

– Niemożliwe – powiedziała drżącym głosem. – Niemożliwe... Robert, nie...

Nurkowie w pomarańczowych kombinezonach przygotowali na brzegu ponton i ostrożnie zaczęli spychać go z wózka do czarnej wody.

Maja Zeuthen wpadła w histerię, która towarzyszy nagłej, tragicznej śmierci. Nic nowego. Lund widziała to już tyle razy. Za każdym razem czuła się bezradna.

– Sarah...

Borch podszedł do niej, spróbował położyć dłoń na jej ramieniu. Jego głos się nie zmienił przez wszystkie te lata. Ciągłe był czuły, jeśli chciał. Miły, pocieszający. Chętny ukoić ból z czułości. Może nawet z miłości.

Ale jeśli ból był zasłużony? Jeśli w tej udreńce leżała wiedza?

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy – powiedział i dotknął jej ręki.
– Wszystko.

– Zostaw mnie – poprosiła Lund i odeszła w ciemność, poza krąg światła reflektorów, jak najdalej od zapracowanych postaci wokół.

NIEDZIELA_

13 LISTOPADA_

Nie spała. W głowie wciąż przewijały się obrazy. Krzepka postać naciągająca niebieską torbę na głowę dziecka, łódka wpływająca pod most.

Zniknęli. Dudnienie i pogłos silnika pod przęsłem. Mała łódka wyłaniająca się z drugiej strony.

Kolejne wspomnienie. Czarny samochód komitetu wyborczego Troelsa Hartmanna wyciągany z kanału niedaleko lasu Pinseskoven. Woda wylewająca się przez drzwi. Żałosne ciało wciśnięte do bagażnika. Węgorz, który wije się po nagich członkach dziewczyny. Nanna Birk Larsen, dziesiętnastolatka. Jeszcze jedna niewinna istota zagubiona w ciemności.

Lund usiadła rozdygotana na chwiejnym krześle w ogródku małej chatki, patrząc na uschnięte krzaki i zwiędłe kwiaty.

Nie była chora, ale pragnęła lekarstwa. Nie była przygnębiona, ale zastanawiała się, jak by to było być szczęśliwą.

Krótkie filmiki odtwarzające się w kółko dusiły w zarodku te marzenia. Zawsze tak było. Wyłączały się, dopiero gdy Lund rozwiązała sprawę.

– Sarah?

Eva nie oglądała telewizji, nie czytała gazet. Żyła poza światem, który pochłaniał Lund i jej kolegów. Nic się dla niej za bardzo nie liczyło poza

życiem bezpośrednio wokół niej i tym rozwijającym się w jej brzuchu.

– Zrobiłam herbatę. Swoją.

Miała na sobie szlafrok, a pod nim dzinsy i koszulę nocną. Przyciągnęła drugie koślawe krzesło i podała jej kubek.

Lund bez namysłu upiła łyk. Herbata skojarzyła jej się z płynem do kąpieli.

– Ziołowa – dodała Eva, wznosząc kubek w toaście. – Przyda ci się.

Lund próbowała się uśmiechnąć.

– Mam nadzieję, że mogę zostać na jeszcze jedną noc. Od wieków nie spałam tak dobrze. Tutaj jest tak spokojnie.

Wydawała się radosna, a zarazem jakaś krucha i przestraszona. Nie miała pojęcia o historii, która pasjonowała całą Danię.

– Trochę bolą mnie plecy, ale twoje łóżko jest dobre. Nagle kiedy dziecko kopie... uf! – Uśmiechnęła się promiennie do Lund. – Też tak miałaś?

Nie czekała na odpowiedź. Trajkotała nerwowo.

– Wzięłam z sofy kilka poduszek. Teraz jest OK.

Lund odstawiła kubek na bok.

– Rozmawiałaś z nim? – spytała Eva.

Potrząsnęła głową i spytała tępo:

– Z kim?

– Z Markiem. – W jej głosie pobrzmiwała jakaś prosta radość, która mogła stać się drażniącą. – Miałaś rację. To była tylko nieistotna kłótnia.

– Próbowałam – odpowiedziała Lund. – Coś nam przeszkodziło. Jeszcze raz go złapię.

– Nie martw się. Damy radę. Dzisiaj mam USG. Na pewno przyjdzie.

Lund wstała, wzięła zardzewiały sekator z pobliskiej donicy, odcięła jakieś gałązki z jakiegoś krzaka przed sobą. Próbowała się oszukać, że to

prawdziwe przycinanie.

Eva się jej przyglądała.

– To tylko rutynowe badania, tak myślę. Szpitale ciągle mnie przerażają. Tyle się słyszy różnych historii. Dzwonił do ciebie BOPA.

– OPA – poprawiła ją Lund.

– Właśnie. OPA. Powiedzieli, że jeszcze zadzwonią. To już nie ma sensu.

Sarah?

Lund odwróciła się do niej zdumiona.

– Opuść sobie to drzewko – dodała Eva. – Ono umarło. Nie przywrócisz go do życia. – Postukała w pień. – Korzenie obumarły. Jeśli je wyciągniesz...

Lund chwyciła drzewko oburącz i szarpnęła. Korzenie wyszły z donicy w postaci jednej zasuszonej bryły.

– Tu mogłoby być naprawdę miło, gdybyś posadziła właściwe rośliny – dodała Eva. – Pracowałam kiedyś w centrum ogrodniczym.

Lund nie mogła znieść jej szerokiego, niewinnego uśmiechu. Coś na jej twarzy musiało to zdradzić.

– No – powiedziała Eva – pójdę się umyć, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Wzięła kubek Lund. – Następnym razem zrobię ci zwykłą herbatę. Przepraszam.

Lund patrzyła, jak dziewczyna wraca do środka. Rzuciła martwym krzakiem w żywopłot. Poszła do pracy.

Pół godziny później w posępnym centrum operacyjnym w Politigården słuchała, jak Madsen relacjonuje ekipie wydarzenia. Porzucony ślizgacz znaleziono w porcie niedaleko terminala Zeelanda. Juncker sprawdzał ruchy statków w Sundzie. Brix uważał, że porywacz mógł dostać się na pokład wychodzącego z portu statku i uciec z kraju.

Lund spojrzała na wydłużającą się listę Junckera. W porcie panował duży ruch. Statki do Rosji, Szwecji, Norwegii, Wielkiej Brytanii i dalej.

– Jeśli jest na jednym z nich... – zaczął Madsen i nie dokończył.

– Gdzie Brix? – spytała Lund.

Madsen się skrzywił.

– Hedeby wezwała go na spotkanie z czarusiami z góry. Trwa ustalanie przyczyn.

– Czego się spodziewasz? – jęknął Asbjørn Juncker. – Spieprzyliśmy sprawę.

Przejrzała ruchy statków.

– Jeśli jest na pokładzie jednej z tych jednostek, i tak niewiele już możemy zrobić.

Juncker spojrzał na nią gniewnie.

– Więc się poddajemy?

– Tego nie powiedziałam, prawda? – odparowała głosem zbyt podniesionym, zbyt donośnym. – Zrobiliśmy, co było w naszej mocy. Nie wiem, co jeszcze...

– Mogliście poczekać na nas – rzucił jej w twarz młody policjant.

– Nie, Asbjørn. Nie mogliśmy. Nie było cię tam. Nie widziałeś...

– Mogłaś go postrzelić w szpitalu.

Dość.

– Jak na dzieciaka z mlekiem pod nosem masz dużo do powiedzenia.

– Może trzeba to powiedzieć, Lund. Zrobiłaś wszystko, czego on zażądał. Pozwoliłaś jej umrzeć na oczach ojca.

– Juncker! – wtrącił się Madsen. – Zamknij się. Wyluzuj. Pieprzysz głupoty.

– Naprawdę?

Ale odpuścił. Lund zauważyła, że ciągle jest uwalany błotem z minionej nocy. Prawdopodobnie nie był w domu.

– Chłopak nie mówił poważnie – powiedział Madsen, gdy młody wyszedł.

Lund ciągle przeglądała papiery.

– Nic tu nie ma o zwłokach.

– Wydaje im się, że znaleźli ten betonowy blok. Nie mogą go uwolnić spod jakiegoś wraku. Może ciało ugrzęzło w mule.

– Przekaż rodzicom, że porozmawiam z nimi, jak będą gotowi.

Madsen kiwnął głową.

– Juncker jest wykończony. To dla niego pierwsza taka sprawa. Musiało go sieknąć.

– On mówił poważnie – odparła. – Może ma rację. Zadzwoń do Zeuthenów. Zobaczymy, co oni myślą. A, i przekaz PET, że muszą się dogadać z Interpolem. To ich zakres.

Madsen ruchem głowy wskazał pokój obok.

– Borch jest tam. Też nie był w domu. Możesz mu sama przekazać, jeśli chcesz.

W Drakkarze Robert Zeuthen zszedł na kondygnację biurową, półubrany, z posmakiem wczorajszej whisky w ustach, z głową pomiędzy snem na jawie a tym pełnym potwornych, powracających koszmarów.

Otworzył oczy. Obraz wisiał na miejscu. Szare niebo, groźne fale, wspinający się na nie smok Zeelanda. Płótno, którego Emilie nigdy nie lubiła.

Okropne, mówiła. Przerażające.

W pewnym momencie, który pamiętał jak przez mgłę, Zeuthen rzucił w nie butelką gorzały. Brązowe plamy ściekały z nieruchomego morza

wprost na drogi dywan pod spodem.

Kucał tam przez chwilę, pragnąc, by koszmar znikł. Gdy zrozumiał, że to niemożliwe, poszedł na górę, wziął prysznic, włożył nowe wełniane spodnie garniturowe, czystą białą koszulę, krawat. Uczesał się. Umył zęby. Ogolił się. Stał się mężczyzną, którym miał być.

Wrócił na dół, gdzie Niels Reinhardt chodził niemrawo po gabinecie. Kilka porannych gazet leżało w koszu na śmieci. Na pierwszych stronach widniało zdjęcie Emilie.

Zeuthen podszedł do okna. Zapatrzył się w jasny zwyczajny listopadowy dzień. Patrzył na trawę i morze widoczne w oddali.

– Nie wiem, co powiedzieć – odezwał się Reinhardt. – Wszyscy jesteśmy ogromnie wstrząśnięci. Jeśli jest coś...

Wzrok Zeuthena przykuł bezmiar płaskiej trawy. Tu rodzina bawiła się w skwarze jasnego lata. Wyobrażał sobie ją teraz, jak kopie szaleńczo piłkę Carla, jak się śmieje, gdy ta leci daleko.

– Przysłano wiele kondolencji – dodał Reinhardt. – Nie musisz nic robić, dopóki nie będziesz miał na to siły. Ja sobie ze wszystkim poradzę. Z prasą też. Kilku reporterów próbowało dostać się na teren posiadłości.

Reinhardt podszedł do okna.

– Już nie wrócą. – Zawahał się. – Dzwoniła policja. Chyba ją znaleźli. Mają pewne problemy, ale sądzą, że niedługo zdołają wydobyć ciało Emilie.

Zeuthen zamknął oczy.

– Obawiam się, że najpierw muszą je zawieźć do Wydziału Medycyny Sądowej. Policja mówi, że gdy tylko zechcesz, przedstawią ci szczegółowy raport, jak wygląda sytuacja. Termin zależy tylko od ciebie.

Dwa lata temu, gdy zmarł ojciec Zeuthena, Reinhardt zajął się wszystkim, okazał się dla rodziny prawdziwą opoką w okresie żałoby.

– Chciałbym, żebyś się zajął stroną praktyczną – powiedział Zeuthen, ponownie zapatrzony w listopadowy krajobraz za oknem. – Skontaktuj się z kapłanem. Powiedz Mai, że zgadzam się na wszelkie jej ustalenia.

– Carl jest u dziadków. Nie wie, co się stało. Od ciebie i od Mai zależy, kiedy zechcecie...

Padło? Czy deszcz miał zepsuć ten dzień?

Zeuthen wpatrywał się w martwy trawnik, w morze w oddali. Nagle uświadomił sobie, że płacze.

– Zostawię cię samego – powiedział Reinhardt i powoli, cicho wyszedł z pokoju.

Wyglądało na to, że Mathias Borch zaanektował maleńki pusty pokój, który sobie znalazł. Na ścianie wisiały zdjęcia. Emilie. Ciał marynarzy. Schultza i Lis Vissenbjerg. Kiedy weszła, sprawiał wrażenie zajętego, odbijał na kserokopiarce jedną kartkę za drugą.

– Brix uważa, że on uciekł z kraju – powiedział. – Na jakiej podstawie...

– Czemu nie pojedziesz do domu, Mathias? Masz rodzinę...

Nie spodobał jej się grymas jego twarzy po tych słowach.

Jeden z młodszych funkcjonariuszy PET przydzielonych do zespołu Politigården wetknął głowę do pokoju i powiedział, że Dyhring chce natychmiast dostać raport.

– Tak, tak, Kasper – odparł Borch i machnął na niego ręką. – Dlaczego popłynął ścigaczem aż do portu? Mógł go porzucić gdziekolwiek. Mieć samochód w gotowości. Nie...

– To już nie jest nasz problem. Interpol przejmuje sprawę. Madsen przygotowuje im materiały.

Podszedł do ściany, do zdjęć przypiętych zaciskiem. Lund pozostała na miejscu.

– Ten człowiek zaplanował każdy swój krok. Porywa Emilie Zeuthen. Morduje tych marynarzy. Prokuratora. Patomorfolog. Potem nie przyjmuje ogromnej kasy, bo chce zemścić się za zapomnianą zbrodnię w Jutlandii.

– Tak – powiedziała i usiadła.

– A kiedy mówisz mu, że może się pomylił co do Roberta Zeuthena, to co robi? – Borch złożył prawą dłoń w kształt pistoletu. – I tak strzela jej w głowę. Dlaczego?

– To ważne? – spytała.

– Tak. Ważne. Jeśli cokolwiek o nim wiemy, to właśnie to, że ma jakieś wypaczone poczucie sprawiedliwości. Nie uważa się za zbrodniarza. Ma się za prawego wojownika, który szuka zemsty za krzywdę Louise Hjelby. A jeśli tak siebie postrzega, to jak może odebrać życie Emilie, skoro to niczego nie zmienia?

– Ale odebrał. Jedź może do domu, co? Zostaw to Interpolowi...

– Pojechałem do domu.

Nie spojrział przy tym na nią. Wziął tylko paczkę papierosów z biurka i zapalił jednego.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– To teraz wiesz.

Wyciągnęła rękę, zabrała mu papierosa, zdusiła o blat biurka i wrzuciła do kosza na śmieci.

– Tu nie wolno palić.

– Siedziałem w samochodzie przed domem. Patrzyłem, jak Marie przygotowuje śniadanie dla dziewczynek. – Wziął kolejnego papierosa, zapalił. Tym razem nie ingerowała. – Wszystko wyglądało tak ładnie. Pewnie rozmawiały sobie, co będą jeść i kiedy pójdą na basen.

Podniósł na nią wzrok.

– Nie mogłem tam wejść. – Wskazał zdjęcia na ścianie. – Mając to w głowie, nie mogłem. Znajdziemy tego człowieka, Sarah. Nie sądzę, żeby uciekł. On nie jest taki. Coś przeoczyliśmy. Czuję się... – poklepał się po kieszeniach džinsów, znowu przez chwilę wyglądał jak szaleniec – jakbym zgubił telefon. Albo klucze...

Znowu pukanie do drzwi. Wszedł Kasper z PET.

– Dyhring szaleje. Chce natychmiast z tobą rozmawiać.

Wybuch był niespodziewany i zupełnie do niego niepodobny. Borch kopnął biurko, aż się przesunęło, papiery spadły na podłogę, kubek od kawy też, w ogóle wszystko.

– Czy ja czegoś nie mówiłem?

Kasper stał z ręką na klamce.

– Owszem, Borch. Mówiłeś. Ale on ciągle dzwoni...

– Przyjdę, do kurwy nędzy! Wyluzuj!

Chwycił kurtkę, zaciągnął się papierosem. Wymierzył palec w Lund.

– Coś przeoczyliśmy, Sarah. Przemyśl to.

Tego ranka Hartmann nie pojawił się w swoim gabinecie w Christiansborgu. Weber i Karen Nebel szukali go w jego mieszkaniu. Potem zgłosiła się ochrona i poinformowała, że premier przebywa w swoim starym domu w Østerbro.

Oboje natychmiast tam ruszyli, spierając się, co dalej. Nebel miała na podorędziu pakiet pozytywnych frazesów o wsparciu i pomocy w podejmowaniu decyzji. Weber słuchał tego, gdy szli ścieżką do domu. W końcu powiedział:

– Może on po prostu musi spędzić trochę czasu w samotności.

– Mamy finisz kampanii wyborczej. Jeśli on gdzieś wsiąknie, Birgit Eggert znowu zacznie spiskować. Nie powinien siedzieć w tej starej

dziurze, kiedy połowa Danii pyta, co się dzieje.

Weber milczał.

– Dobra. – Nebel pojęła. – Ty go znasz od zawsze. A ja jestem nowa i nic nie rozumiem.

– Nie ująłbym tego tak ostro. Troels to dziwne zwierzę. Jest prosty, ale skomplikowany. Jednocześnie gruboskórny i wrażliwy.

– Ach! – krzyknęła. – Człowiek zagadka. To będzie się świetnie prezentować na plakatach wyborczych.

– Wyborcy nie muszą poznać tej jego strony. To najlepsze wyjście. Wierz mi.

Wyglądało na to, że kłótnia przybierze na sile. Nagle coś usłyszeli. Dopiero po chwili zidentyfikowali dźwięk.

– O Boże – jęknął Weber. – Rąbie drewno.

Podążyła za nim do ogrodu na tyłach domu. Hartmann miał na sobie zieloną kurtkę i wymachiwał siekierą nad polanami.

– Jak tam nasz mały drzewny duszek? – spytał Weber radośnie. – Budujemy sobie nową norkę, żeby mieć skryjówkę?

Hartmann zachichotał, wyglądał pogodniej niż w ostatnich dniach. Przy nim leżał stos starannie poćwiartowanych pniaków.

– To dobre, Morten. Próbowałeś kiedyś? – Hartmann wskazał na drewno. – Tę część trzeba zanieść do środka. Rozpalam w kominku. Pomożesz, nie?

– Nie wykonuję prac fizycznych – odrzekł Weber. – Jak sądzisz, dlaczego zacząłem robić w polityce?

– Postanowiłem zatrzymać dom – oznajmił Hartmann. – Jest za ładny, żeby go komuś oddawać.

Chwycił naręcze drew i wszedł do środka przez otwarte tylne drzwi. Oni podążyli za nim. Hartmann zrzucił polana przy wielkim kominku w salonie.

– Rzecz w tym – podjął – że ten dom tylko wygląda na zimny i zagubiony, bo nikt mu nie poświęca uwagi. Jeśli napalę w kominku, wilgoć zniknie. Jeśli się wprowadzę...

– Trochę daleko do pracy – zauważyła Nebel.

Weber westchnął, spojrział na nią i przeszedł do ofensywy.

– Dobra, Troels. Krótka aktualizacja. PET zamierza się zająć stukniętym mężem Rosy Lebech. Nie będzie już źródłem przecieków. W zamian on nie złoży pozwu. Jestem w kontakcie telefonicznym z policją...

– Postanowiłem zrezygnować z funkcji premiera.

Umilkli. Hartmann zdjął rękawiczki i ostrożnie położył je na polanach.

– A także z funkcji szefa partii oczywiście. Powinienem był was posłuchać i trzymać się z daleka od sprawy Zeuthenów. Głupotą było się w nią włączyć. Po prostu nie mogłem nic na to poradzić. Jestem...

– To jakiś żart? – krzyknął na niego Weber. – Jaja sobie robisz czy co? My harujemy jak idioci...

– To robota Ranka – przerwała mu Nebel. – Nie twoja. On będzie musiał wziąć na siebie winę.

– Nie – odrzekł Hartmann stanowczo. – On był moim ministrem. Jestem za niego odpowiedzialny. Nie pozwolę, by taki skandal wydarzył się nad grobem Emilie Zeuthen.

– Och, daj spokój! – Weber kopnął stos polan, zrzucając kilka na dywan. – Zapomnij choć raz o swoim wrażliwym ego. Powiesimy Mogensa, jeśli zajdzie taka potrzeba, i już.

– Umówcie spotkanie z Birgit Eggert – ciągnął Hartmann. – Ja już postanowiłem.

Weber stanął tuż przed nim.

– Możesz sobie postanawiać. Nie pojąłeś tego jeszcze? Jesteśmy zespołem. Tak nie może być.

– Umów spotkanie z Eggert – powtórzył Hartmann.

Karen Nebel pokręciła głową.

– Nie masz prawa rezygnować. Mamy za sobą całą kampanię. Setki ludzi, którzy w ciebie uwierzyli.

Hartmann kiwnął głową.

– Może nie powinni tego robić. Zadzwońcie do Eggert, dobra? Chciałbym złożyć wyrazy współczucia Robertowi Zeuthenowi osobiście, kiedy będzie na to gotowy. W tej sprawie też zadzwońcie. – Spojrzał na swoje brudne ręce. – Muszę się przebrać.

Po czym wyszedł z domu.

– Nie wierzę... – szepnęła Nebel.

– Ja wierzę – westchnął Morten Weber. – Niestety. Kiedy będziesz rozmawiać z Eggert, powiedz, że on postanowił zrezygnować. Postanowił! To wszystko.

Korytarze były długie, ciemne i kręte. Czasami nawet Lund czuła się zagubiona w labiryncie kanciastego szarego budynku, w którym znajdowała się Komenda Policji.

Listopad. Deszcz padał na wewnętrzny dziedziniec, który w założeniu miał mieć dach, a w nim oculus jak w Panteonie.

Wszędzie paliły się światła. Ludzie, których nie znała, przemieszczali się nieśpiesznie pomiędzy wydziałami i piętrami.

OPA działał w innym, nowoczesnym budynku. Zwyczajnym klocek niedaleko dworca. Siedzibie bezpiecznej nudy i przewidywalnych godzin pracy. Miałyby czas zadbać o ogród, mogłaby poprosić Evę o poradę w sprawie roślin.

Dopiero ostatnio zauważyła, jak ludzie na nią czasami patrzą. Pod wpływem ich zdumionych, zatroskanych spojrzeń czuła pragnienie, by być

jak każdy inny, by osunąć się w to samo bezmyślne zadowolenie i jakoś przetrwać dzień.

Teraz musiała stawić czoło Mai i Robertowi Zeuthenom, by wyjaśnić niewyjaśnialne. Lund nigdy nie uciekała od trudnych momentów. Jej praca polegała też na tym, by przekazywać najgorsze wiadomości. Sprawa Zeuthenów była inna. Coraz bardziej stawiała ją w jednym szeregu z morderstwem Nanny Birk Larsen. To nie była tylko brutalna, niepojęta zbrodnia, lecz także znak czasów, dowód, że świat chyli się ku upadkowi i pogrąża w bezwzględny chaosie.

Lund weszła do recepcji. Siedzieli tam wszyscy troje. Zeuthen w kolejnym ciemnym garniturze, czarnym krawacie, z nieruchomą twarzą. Jego żona w zielonej kurtce, włosy potargane, twarz wymizerowana. Obok jej facet.

Carsten Lassen został. Zeuthen i jego żona weszli do pokoju przesłuchań i siedli przy zakratowanym oknie, a Lund zajęła miejsce naprzeciwko.

– Robimy wszystko, co w naszej mocy, by wytropić mordercę państwa córki – zaczęła i zdała sobie sprawę, że powtarza słowa, które skierowała do Pernille i Theisa Birk Larsenów sześć lat temu, prawdopodobnie przy tym samym stole.

Zastanawiała się, co tamci dwoje robią teraz, gdy Theis wyszedł z więzienia. Kiedy spojrzała na Zeuthenów, ta myśl przyszła sama z siebie. Czas niczego nie leczył, ale miłość łagodziła ból. Oddanie Birk Larsenów zostało wystawione na straszliwą próbę i przeszło ją. Tymczasem Maja Zeuthen ledwie patrzyła na męża, chociaż on nie mógł oderwać od niej oczu. Nic nie zapowiadało, by mogło zdarzyć im się podobne oczyszczenie.

– Podejrzewamy, że uciekł za granicę na pokładzie jakiegoś statku – dodała. – Tą stroną śledztwa zajmuje się Interpol. Mają pełny raport z ruchu statków...

Jej głos wydawał się obcy, jakby należał do kogoś innego. Do kapłana odmawiającego wciąż te same stare modlitwy, w ogóle nie ważącego słów.

– Nadal uważamy, że jest on prawdopodobnie byłym pracownikiem Zeelanda i żywi jakąś urazę. Możemy zapewnić państwu spotkanie z terapeutą – dorzuciła i znowu przyszedł jej na myśl zmęczony kapłan recytujący ten sam refren.

– Gdzie ona teraz jest? – spytała Maja zmęczonym, słabym głosem.

– Nurkowie mają pewne problemy techniczne. Przykro mi. Nie mogę podać szczegółów.

– Co miała na sobie?

Zeuthen próbował spojrzeć żonie w oczy, ale nie udało mu się.

– Widziała pani? – nie ustępowała Maja. – Była pani tam, Lund?

– Nie wiem. Było bardzo ciemno...

– Miała na sobie ciemny płaszczyk – przerwał Zeuthen.

– Bała się?

Nadal nie mogła spojrzeć na męża.

– Nic nie widziała – włączyła się Lund. – To się stało bardzo... bardzo szybko. Łódź znajdowała się pod mostem. Nie jestem pewna...

Głos Borchy w jej głowie ciągle chciał jej coś powiedzieć.

– Nie wiem, co dokładnie widziałam. Nie sądzę też, żeby ona rozumiała, co się dzieje. Ja nie rozumiałam.

Maja Zeuthen kiwnęła głową.

– Chcę ją zobaczyć.

Lund milczała, zastanawiając się, co powiedzieć.

– Słyszysz mnie pani? Chcę ją zobaczyć...

Zeuthen się poruszył, próbował wziąć ją za rękę, wypowiedzieć jej imię.

– Nie!

To był niemal wrzask. Maja wybiegła z pokoju. Przez drzwi widzieli, jak Carsten Lassen otwiera ramiona i przytula ją.

Zeuthen siedział przygarbiony na twardym krześle w Politigården, zagryzając wargę.

Potem podniósł wzrok na Lund i to spojrzenie znała doskonale. Nienawiść. Oskarżenie.

– Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziała. – Nadal nie rozumiem...

Spojrzenie się nie zmieniło. Wstał i wyszedł bez słowa.

Lund siedziała w pokoju przesłuchań, słuchając głosów rozbrzmiewających dokoła. Maja Zeuthen. Pernille Birk Larsen. Tyle ich i zadawały to samo pytanie... Dlaczego?

Włosy zaczesane w koński ogon, szykowniejsza niż zwykle, czarny sweter, czarne spodnie. Ubrana jak na pogrzeb, podświadomie. Pochyliła się i tylko przez krótką chwilę pozwoliła sobie na płacz.

Hartmanna nie dało się powstrzymać. W południe z Weberem u boku w gabinecie Birgit Eggert omawiali kwestie praktyczne. Po jej twarzy widać było, że wietrzy okazję.

– Jeśli będziemy działać stanowczo – powiedziała – i wybierzemy nowego kandydata, zdołamy przynajmniej ograniczyć szkody. Mamy sporą szansę stworzenia nowej koalicji, ale powinniśmy mieć siły odegrać w niej rolę lidera.

Hartmann kiwnął głową, podszedł do okna, milczał.

– To śmieszne – wtrącił się Weber. – Jeszcze nigdy urzędujący premier nie ustępował w trakcie kampanii wyborczej. Staniemy się pośmiewiskiem.

– A co się stanie, jeśli Troels nie zrezygnuje? – krzyknęła Birgit. – Mała Zeuthen nie żyje. Wszyscy nas winią. Ta sprawa będzie nas prześladować całymimi latami.

– Emilie Zeuthen nie ma nic wspólnego z Troelsem! – ryknął Weber.
– Birk Larsen też nie miała – odparła Eggert. – A mimo to tamta sprawa mało go nie wykończyła.

Weber skwitował to uśmiechem. Hartmann się przysłuchiwał.

– Ale nie wykończyła, Birgit. Nie zrezygnowaliśmy. Wygraliśmy. A ludzie, którzy wtedy nie stracili wiary, nadal są z nami. W tej grupie tu...

– Tak sądzisz? – zaśmiała się. – Podzwoniłam trochę.

– Dzwonisz, odkąd ta sprawa się zaczęła, prawda?

– Wszyscy się zgadzają, że Troels zaszkodzi partii.

– Gównu prawda!

– Morten! Nie jesteś tu od wczoraj. Zawsze już będzie premierem, który nie ocalił Emilie Zeuthen. Który zniszczył nasze stosunki z Zeelandem. Nie może zrobić nic, co odwróci tę sytuację.

Hartmann odszedł od okna i przysłuchiwał się im.

– Powiedz coś, na miłość boską – poprosiła. – Szukamy wyjścia.

Hartmann kiwnął głową.

– Należy nam się jakieś wyjście. Niech Karen zwoła konferencję prasową, Morten. Po południu, o jakiejś dogodnej godzinie.

– Do diabła z tym – warknął Weber i chwycił płaszcz. – Sam sobie pisz nekrolog. Ja mam lepsze rzeczy do roboty.

Mark urodził się w tym samym szpitalu, kilka pomieszczeń od maleńkiego pokoju, w którym teraz leżała Eva z odsłoniętym wielkim brzuchem, z żelem na skórze, czekając na USG.

Lund patrzyła na nią, trzymając jej płaszcz. Wciąż próbowała odegnąć wspomnienia i obrazy z minionej nocy.

Radiolog, uśmiechnięta Hinduska, delikatnie przesuwała głowicę.

Obraz na monitorze obok kozetki. Dla niewtajemniczonych niewiele do oglądania.

– Dzisiaj dzieciątko jest trochę spokojniejsze, Evo. – Zerknęła na gościa.
– Proszę usiąść. Nie ugryzę.

Lund przysunęła sobie krzesło.

– Bardzo ci dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała Eva. – Nawet jeśli zrobiłeś to bardziej dla Marka niż dla mnie.

– Dziecko się ładnie obróciło – kontynuowała lekarka. – Już niedługo. O, zerknijcie...

Lund pamiętała te wszystkie szczegóły, to poczucie, że w jej wnętrzu rozwija się nowe życie. Serce, głowa, ręce, nogi.

Eva spojrzała, zaśmiała się nerwowo, wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Lund.

– Śliczne małe paluszki – dodała kobieta, wskazując monitor.

– Mark powinien to zobaczyć – powiedziała Eva i w jej głosie słychać było, że ma ochotę się rozplakać.

– Jeśli nie chce pani znać płci, proszę teraz nie patrzeć.

Eva odwróciła wzrok, powiedziała, że czuje ruchy dziecka.

Patrzyła na Lund.

– Widzisz, Sarah, czy to dziewczynka, czy chłopczyk?

Niebieski brezent naciągany na blond głowę dziewczynki. Most. Dwa strzały. Drgnięcie tkaniny. Czarny samochód wynurzający się z kanału przy Pineskoven, wylewająca się zewsząd woda.

Lund milczała. Lekarka wydawała się zaskoczona, nawet zakłopotana.

– Wygląda na to, że wszystko jest w porządku – powiedziała. – Nie ma żadnych problemów. Nic, czym by się pani miała martwić.

Eva poczuła kopnięcie i gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Zaczekam na zewnątrz – szepnęła Lund i wyszła.

Stała tam pusta ławka. Lund usiadła pośrodku. Przechodzili ludzie. Ciężarne młode matki. Ojcowie z dziećmi. Starsi. Chorzy. Żałośni. Umierający. Długi, nieskończony korowód. Ale Lund widziała tylko drobnutką postać i spowijający ją niebieski całun.

Dwa strzały. A potem czarna woda.

Lubiła być sama. Mogła żyć już zawsze w maleńkim czerwonym domku na obrzeżach miasta. Obojętna na wszystko. Chodziłaby do pracy w OPA. Wracałaby wieczorem. Oglądała telewizję przy piwie i jakimś daniu z mikrofalówki.

Kroki. Zbliżały się. Ktoś usiadł. Lund podniosła wzrok.

Borch, świeżo ogolony, pachnący szamponem. W czystym ubraniu.

– Brix powiedział, że tu jesteś.

Jedno spojrzenie, a potem już nie chciała więcej patrzeć.

– Nie chcę teraz rozmawiać.

– Szkoda. Ja chcę.

– Borch...

– W nocy na moście powiedziałaś mu, że się pomylił. Później znaleźliśmy jego łódkę. Zmienił taktykę, żeby zostawić dla nas trop. Żeby to wyglądało, jakby zniknął.

Lund odgarnęła z twarzy zbłąkane pasmo włosów.

– Nie mam teraz czasu.

Wstała, by odejść. Podążył za nią długim korytarzem.

– Dzisiaj rano włamano się do systemu Urzędu Morskiego. W ten sam sposób. Wyłączony system zabezpieczeń, tak jak w Zeelandzie. On nie wyjechał.

Szła szybciej. Borch dotrzymywał jej kroku.

– Oto kserokopie skradzionych dokumentów. – Podetknął jej plik kartek.

– Wszystkie rejsy i wejścia „Medei” do portu. Sprawdzaj twoje słowa!

Lund odwróciła się, chcąc się go pozbyć.

– Nie obchodzi mnie to. Ja skoń...

– Nie!

Borch mówił głośno. Przechodzący lekarz zgromił ich wzrokiem, przyłożył palec do ust.

Odwróciła się do niego.

– Co z tobą? – pisnęła. – Ona nie żyje.

– On cię posłuchał. Kazałaś mu się zastanowić. To coś oznacza. Może chciał wyjechać za granicę, ale zmienił zdanie. Nie wiem jak, ale chyba zmusiałaś go do tego, by się zatrzymał i zastanowił, co robi.

Łzy wróciły. Lund przyłożyła palec do głowy.

– Ale widzieliśmy. Nie mogę...

Był na to przygotowany. Wręcz czekał na te słowa.

– Co widziałaś?

– Widziałam, jak ją zastrzelił.

Mathias Borch skrzyżował ramiona na piersi.

– Naprawdę? – spytał.

Nebel siedziała w swoim samochodzie nad morzem w Dragør, gdy zadzwonił Hartmann. Przeprosiła go. Szykowała się właśnie na rozmowę z Mogensem Rankiem. Nie miała sił, żeby cokolwiek załatwić.

Jak na ministra rządu mieszkał bardzo skromnie. Niewielki domek na końcu szeregowca. W powietrzu krążyły mewy. Na brzegu z hukiem roztrzaskiwały się fale. Nadchodziła zima: krótkie dni, długie noce, zimne i mokre miesiące.

Rank był skromnym, milczącym człowiekiem. Jeśli miał jakieś słabości, nikt ich nie znał. Wykonywał swoją robotę, potem szedł do domu, był pokornym, sprawnym sługą partii.

Zastanawiała się, czy w ogóle ją wpuści. To, jak z nim rozmawiali... może nawet zasłużyła na pocałowanie klamki. Ale Mogens Rank tylko się uśmiechnął, zaprosił ją do środka, zrobił kubek dobrej kawy, posadził w schludnym salonie, który pachniał pastą do podłogi i ogniem na kominku.

– Przykro mi, że ta sprawa zaszkodziła Troelsowi – powiedział, zanim zdążyła zacząć. – Mnie też nie wyszła na dobre.

Tyle książek na ścianie. Wyglądały na przeczytane. Rank nie miał życia poza polityką. To było oczywiste.

– Zdjąłem słuchawkę z widełek. Wyłączyłem komórkę. Prasa nie daje mi spokoju. Nie mogę spać.

– Odsyłaj ich do mnie – powiedziała.

Błady uśmiech.

– Żeby to zrobić, musiałbym odebrać, Karen.

Nie miał na sobie krawata. Nie pamiętała, żeby go kiedykolwiek widziała bez krawata.

– Najlepiej się przyznać, Mogens. Wszystko się kiedyś skończy. Przyznaj, że wywierałeś nacisk na Petera Schultza...

– Ale nie wywierałem – krzyknął.

– Więc co zrobiłeś? Ja chcę tylko jasnego i niepodważalnego oświadczenia, że Troels nic o tym nie wiedział. Że jest niewinny...

– Tak jak ja? – przerwał jej. – Ja tylko spytałem Schultza, co się dzieje. Czy musimy się tą sprawą martwić. O Boże...

Zdjął okulary i przetarł oczy.

– Mam tego dość. Czuję się strasznie. Przepraszam. Muszę się położyć.

– Był przy tym ktoś jeszcze? Czy ktoś to może potwierdzić?

Rank westchnął głęboko i pokręcił głową.

– To była krótka wymiana zdań w korytarzu po spotkaniu dotyczącym czegoś zupełnie innego. Oczywiście, że nie było świadków.

Nebel wyjęła swoją teczkę.

– Musisz skończyć z kłamstwami, Mogens. Jeśli tego nie zrobisz, nie zdołam ci pomóc.

Okulary wróciły na miejsce. Spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

– Jakimi kłamstwami?

Pokazała mu raport PET.

– System ochrony wykazuje, że Schultz przebywał w ministerstwie przez dwie godziny. Nie rozmawialiście cały czas w korytarzu.

Mogens Rank skrzyżował ramiona na piersi.

– Przyjmuję, że powinienem uprzedzić, że znałem Schultza. Nie podoba mi się to tak samo jak i wam. Ale zapewniam cię, że to była tylko krótka rozmowa. Spytałem Schultza, czy mamy jakiś powód do zmartwienia w związku ze śmiercią tamtej dziewczyny. Zapewnił mnie, że nie. Nic poza tym.

Podsunęła mu papiery.

– Strażnik widział go, jak wchodził do budynku o trzynastej pięćdziesiąt cztery. Wyszedł przez ministerstwo o szesnastej dziesięć.

– Mógł być gdziekolwiek – zauważył Rank. – O ile wiem, mógł pójść aż do Christiansborgu.

– Ale nie poszedł! Widzielibyśmy go. Gdzieś... – jej umysł pracował gorączkowo – gdzieś złapałaby go kamera.

– Nie myślę się – oznajmił Rank z uporem. – Nie tym razem.

Kiedy wyszła, znów zadzwonił do niej Hartmann. Poprosił, żeby zaczęła przygotowywać wszystko do rezygnacji.

– Pogadamy o tym, jak wrócę – odparła.

Późne popołudnie w Drakkarze. Delikatne, dręczące poczucie winy kierowało uczuciami Mai Zeuthen, przekonywało ją, żeby pozostała blisko męża w czasie, gdy poszukiwano ciała Emilie. To był ich wspólny ból, jakkolwiek ten pomysł nie podobałby się Carstenowi Lassenowi.

A to dręczące oczekiwanie wciąż się przedłużało. O szesnastej Reinhardt pojechał do Politigården dowiedzieć się, co się dzieje. O siedemnastej nie miał żadnych informacji. O osiemnastej powiedział, że nurkowie ciągle walczą z prądem i że muszą jeszcze uwolnić betonowy blok z jakiegoś wraka pod wodą.

W najbliższym czasie Carl miał być z nią. Domagała się tego, nie wiedzieć czemu, a Robert się nie opierał. Mając dość czekania na kolejny telefon, poszła na górę, zajrzała do pokoju Emilie, popatrzyła na jej zabawki, książki i ubrania rozrzucone gdzie popadnie. Uporządkowała je trochę. Potem z pokoju Carla wzięła kilka jego rzeczy, które chciała zabrać do mieszkania w mieście.

Kiedy wróciła na dół, Zeuthen był w gabinecie – jak zawsze w nieskazitelnym służbowym garniturze.

– Nie mogę znaleźć książeczki Carla – powiedziała. – Tej z samochodem. Szuka...

– Może jest w jego pokoju.

– Już tam szukałam, Robercie!

Wcale nie chciała tego powiedzieć z takim gniewem, i nie był to gniew na niego.

Podeszła do drzwi.

– Włosy miała pod czarną czapeczką... – powiedział Zeuthen i to ją zatrzymało.

Stała przy drzwiach, patrząc na wielki hol wejściowy, czarno-białe płytki. Bez dzieci wydawało się tu tak pusto. Nie wrogo. Tylko martwo.

– Musiał jej kupić czapczkę – powiedział.

Maja odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Ciągle... – postukał się w głowę; trząsał się, mówiąc do niej – ciągle ją widzę. Wołała mnie, a ja wołałem ją. Tylko że...

– Robercie...

– Kiedy mnie zawołała pierwszy raz, nie widziałem jej. Potem zdałem sobie sprawę, że patrzy na mnie z łódki i... – Starał się zachować choćby pozory opanowania, ale głos mu się łamał. – Wiedziałem, że ona się boi. Widziałem to. Tak... tak bardzo chciałem... – Kręcił głową; te starannie zaczesane, dobrze ostrzyżone włosy. – Nie było czasu. Ona tam była, a ja nie mogłem jej uratować.

Maja Zeuthen wzięła torbę z rzeczami Carla i wyszła.

Ruszył za nią, ale się nie zbliżył. Jakby już nie miał śmiałości.

– Jeśli uważasz, że to moja wina, powiedz to, na miłość boską. Nie mogę znieść...

Łzy. Jego. Jej.

– Jeśli uważasz, że mogłem coś zrobić... jakoś... proszę...

Jedenaście lat małżeństwa. Wcześniej przez krótkie dziesięć miesięcy byli kochankami. Dzielili ze sobą sypialnię, urodziła im się dwójka dzieci. Kiedyś żyli w szczęśliwym związku.

Ale kiedy teraz na niego spojrzała, na jego otwarte usta, załzawione oczy, na zmarszczki na jego twarzy, których nigdy wcześniej nie widziała, nie miała pojęcia, co powiedzieć.

Mogliby być obcymi sobie ludźmi; więc jak obca wyszła przez drzwi wejściowe i wsiadła do samochodu, cały czas nie mówiąc ani słowa.

Karen Nebel nie odbierała telefonu. W końcu Hartmann kazał komuś z działu kontaktów z mediami zwołać konferencję prasową.

Już miał pójść na spotkanie, gdy wrócił Weber i próbował raz jeszcze odwieść go od decyzji o rezygnacji.

– Już postanowiłem. Dopilnuję, żeby nowa ekipa zatrudniła ciebie i Karen Nebel.

– Dzięki za pocieszenie – warknął Weber. – Naprawdę myślisz, że będę pracował dla tej starej pizdy?

– To wybory powszechne – zauważył Hartmann. – Nie ma pewności, że Birgit będzie następnym przewodniczącym.

Weber przymknął oczy, splótł palce jak stary nauczyciel. I to rozmyślnie.

– Pod wieloma względami jesteś dzieckiem, Troels. To jedna z twoich nielicznych zalet. Zwykle to nie ma większego znaczenia. Przywykliśmy do tego. Ale teraz musisz mnie wysłuchać. To pochojna decyzja. Popełniasz straszliwy błąd.

Pukanie do drzwi. Ussing. Po raz pierwszy wyglądał tak, jakby się wahał.

– Mogę?

Weber usiadł i przyjrzał mu się uważnie.

– Nie sprawia mi to żadnej przyjemności – podkreślił gość, niepewnie czując się w obecności osoby trzeciej.

– Ciężko na to pracowałeś, Anders.

Śmiech. Wzruszenie ramion.

– Na tym polega ta gra, prawda? Polityka. To nie szachy.

– Owszem – przerwał Weber. – I to jest szach. A nie mat.

– Bardzo się starałeś, Troels – powiedział Ussing z niezręcznym uśmiechem. – Jestem pewien, że to słuszna decyzja. Trupy w szafie zawsze trudno schować. – Wyciągnął rękę. – Bez urazy.

Hartmann ani drgnął.

– Trupy? – spytał.

- Nie chcę tego drażnić.
- Mam nadzieję, że tobie się uda.
- Najpierw muszę wygrać wybory. – Ussing wepchnął ręce do kieszeni.
- Rosa prosiła o spotkanie. Może więc nie będzie tak trudno. Nie będę...
Urwał na chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał.
- Nie będę tego kontynuował, kiedy dojdziemy do władzy. – Znowu wyciągnął rękę. – To czas na wielkoduszność. Uściśniemy sobie dłonie?
- Drzwi są tam, Anders – powiedział Weber. – Po prostu wyjdź przez nie.

Ussing cofnął dłoń.

- Skoro tak chcecie to rozegrać – powiedział.

Potem roześmiał się i wyszedł.

Morten Weber podniósł brwi, wpatrując się w Hartmanna.

- Naprawdę zamierzasz potknąć się na takim fiucie?
- Zamknij się, Morten.
- Pewnie Rosa też nie okaże się wierną kochanką...
- Powiedziałem...

Do gabinetu wpadła pędem Karen Nebel, zdyszana, z laptopem pod pachą.

– Od wielu godzin próbuję się z tobą skontaktować – wytknął jej Hartmann.

– Byłam zajęta – odparła, po czym postawiła laptop na biurku i otworzyła go.

- Mam konferencję prasową.

Stuknęła w kilka klawiszy, uruchomiła wideo.

- Najpierw musisz to zobaczyć.
- Zaraz zaczynamy.
- Morten, zamknij drzwi.

Weber nieśpiesznie wykonał polecenie i powrócił do biurka.

– Jeśli to znowu jakaś żalosna sztuczka, żeby mnie odwieść od rezygnacji... – zaczął Hartmann.

Filmik ruszył. Nagranie z kamery przemysłowej. Znajome miejsce. Hol Ministerstwa Sprawiedliwości. Mogens Rank i nieżyjący Peter Schultz.

– Wzięłam to od ochrony – powiedziała Nebel. – Mogens spotkał się z nim w miejscu powszechnie dostępnym, gdzie każdy mógł ich zobaczyć.

– Uśmiechnęła się. – Dziwne miejsce na spiskowanie, nie sądzicie?

– Za późno – mruknął Hartmann.

Przesunęła kawałek do przodu.

– Proszę bardzo. Siedemnaście minut. Nie dwie godziny, jak nam powiedziano. Mogens idzie na inne spotkanie. Schultz do toalety.

– Karen...

– Schultz wychodzi i idzie korytarzem do budynku parlamentu.

Weber przysunął się bliżej, wyraźnie zaintrygowany.

– Poprosiłam więc, żeby ściągnęli mi nagrania stamtąd.

– Idę – oznajmił Hartmann.

– Skoro zdaniem Karen to ważne – przerwał mu Weber – przynajmniej możesz jej wysłuchać. Znalazłeś się tu dzięki nam...

– To śmieszne...

Nebel próbowała otworzyć następny plik.

– Oboje będziecie mogli zachować swoje posady, załatwiłem to – ciągnął premier. – Możecie już z tym skończyć?

Morten Weber wpadł w szal.

– Nie jesteśmy tu dla siebie. Ani też dla ciebie. Tylko dla partii. Ty ją stworzyłeś. Ty jej przewodziłeś. Jeśli nie będzie ciebie, a na stołku zasiądzie Eggert, utkniemy po uszy w gównie...

– W życiu bym nie sądził, że masz takie wzniosłe zasady – warknął Hartmann.

– No to śmiało. Rezygnuj. Odgrywaj rolę żalowanego, zadufanego w sobie zarozumialca, jeśli chcesz. Nie będę patrzył...

– Jak na jeden dzień dość się już nagadałeś, Morten. Za kogo ty się uważasz, co?!

Weber wstał.

– Za człowieka, który służy głupcowi – odparł. – Co czyni mnie jeszcze większym głupcem. – Chwycił swoją aktówkę. – Żegnaj, Troels. – Uśmiechnął się, kiwnął ręką koleżance. – Karen, postaraj się, żeby nie zrobił z siebie ostatniego kretyna, gdy będzie przechodził przez to wszystko.

Po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Przykro mi...

Ale ona nie słuchała. Znalazła to, czego szukała. Hartmann chwycił papiery. Wstała, stanęła przed nim i oparła dłoń na jego klatce piersiowej.

– Jeśli nie chcesz, żebym i ja wypadła stąd jak burza, obejrzyj to do końca. Potem możesz jechać do domu i rąbać te cholerne drwa, jeśli chcesz...

To go powstrzymało.

Na stopklatce widział dwóch mężczyzn w garniturach na klatce schodowej, tyłem do kamery.

– To wejście przy placu do jazdy konnej – powiedziała. – Schultz spotkał się z kimś jeszcze. Weszli do sali konferencyjnej. Siedzieli tam pięćdziesiąt pięć minut.

– Karen...

Przesunęła nagranie do przodu. Hartmann patrzył i w końcu przysunął sobie krzesło.

Schultz uśmiechnięty. Ten drugi przodem. Też z uśmiechem. Uścisnęli sobie ręce.

Hartmann ujął dłoń Karen Nebel i złożył na niej pocałunek.

– Co mam powiedzieć dziennikarzom? – spytała.

– Że premier nie ma czasu rozmawiać. Ma robotę.

Lund wróciła na most. Usunięto już rzeczy budowlańców. Zniknął skradziony tir. Nieco dalej w dole rzeki na brzegu pracowali nurkowie, reflektory walczyły z ciemnością.

Weszła na białą linię biegnącą przez środek jezdni. Stała tam, gdzie poprzedniej nocy. Podeszła do miejsca, gdzie po raz pierwszy usłyszeli głos Emilie. Zastanowiła się, co zapamiętała. Potem przeszła na drugą stronę, stanęła blisko punktu, w którym wyłoniła się łódka.

Umysł wypełnił luki, by zobaczyć to, czego oczekiwał. Próbował nadać sens temu, co niezrozumiałe. I czasami coś fabrykował. Borch miał rację: już nie wiedziała, czego świadkiem była ostatniej nocy.

Głos z dołu. Po powierzchni przemykała jakaś jednostka.

– Wyciągamy ją – krzyknął głos. – Proszę się nie zbliżać.

Postaci w czerwonych kombinezonach wychylały się za burtę, patrząc na zielonkawe światła płetwonurków wynurzających się z rzeki.

Wyłonił się pomarańczowy kształt. Betonowy obciążnik, który porywacz przywiązał do brezentu. Potem odcięta lina.

Ktoś zaklął. Lund słuchała.

Niebieski pakunek zniknął. Musieli wrócić do przeczesywania teraz już większego rejonu.

Jeszcze nie znaleźli ciała. Może jutro też nie znajdą. Może nigdy.

Lund wróciła do samochodu, pojechała do Politigården, poszła prosto do garażu Wydziału Kryminalistyki, gdzie Juncker z Madsenem po raz kolejny

przeszukiwali łódź. Borch węszył dokoła. Lund włożyła rękawiczki jednorazowe i poprosiła Junckera, by z nią poszedł.

W jasnych światłach garażu ślizgacz wydawał się mniejszy. Na pokładzie było miejsce na dwie osoby. Niewiele więcej.

Na dziobie wyłoniła się głowa.

– Nie śpieszyłeś się – powiedział Borch z uśmiechem.

– Ukradł te dokumenty dzisiaj rano? – spytała Lund, gdy Juncker przysunął się o kilka kroków, by wpuścić ją na łódkę.

– Właśnie.

Jego głowa znowu zniknęła. Gdy Lund wspięła się na pokład, zaglądał do schowka w forpiku. Sporego.

– Widziałaś, jak to otwierał?

– Nie – odparła. – Był na rufie. Tu się nie zbliżał.

Przeszła na tył, rozejrzała się. Niewiele tu pasowało do jej wspomnienia.

– Problem więc w tym – powiedział Borch, dołączając do niej – że on się śpieszył. Improwizował, a to do niego niepodobne.

– To nie mogło być na dziobie – upierała się. – Było za mało czasu, gdy wpłynął pod most.

Juncker podniósł rękę.

– O czym wy, na miłość boską, mówicie? Myślałem, że widzieliście, jak ją zastrzelił. A potem wyrzucił za burtę.

– Coś widzieliśmy – przyznał Borch. – Odtwórzmy to, Sarah. Gdzie ona się znajdowała pod koniec? A gdzie on?

Lund obróciła się wokół siebie.

Zobaczyła luk. Biegł przez całą szerokość rufy. Pośrodku jeden uchwyt. To tu stał porywacz, gdy wyrzucał za burtę niebieski worek i pomarańczowy blok.

Lund wyjęła latarkę, podniosła pokrywę, zajrzała do środka.

Wyciągnęła rzeczy, które tam znalazła.

Czarna czapeczka. Wełniana. Blond włosy przy krawędzi.

Do Gudbjerghavn, małego miasteczka w Jutlandii Zachodniej, gdzie zginęła Louise Hjelby, pojechali jednym samochodem. Leżało ono w pobliżu Esbjerg, gdzie Zeeland prowadził większość zakładów w porcie. Lund siedziała za kierownicą. Borch szybko zasnął na fotelu pasażera i chrapał głośniej, niż pamiętała. Asbjørn Juncker drzemał z tyłu. Wcześniej był bardzo ożywiony. Sam pomysł, że może Emilie żyje, uradował go tak bardzo, że odrobina jego dobrego nastroju udzieliła się też Lund. Potem skulił się na kanapie jak małe dziecko.

Po drodze Lund zadzwoniła do Politigården i poprosiła Madsena, by pogadał z sennym posterunkiem policji, którym kiedyś dowodził Nicolaj Overgaard. Brix przesłuchiwał śledczy z Ministerstwa Sprawiedliwości. Pierwszy krok postępowania dyscyplinarnego. Które szybko dotrze do niej. Cieszyła się, że w tej chwili szef jest nieosiągalny. Oznaczało to, że nie trzeba nic wyjaśniać. Koncepcja jej i Borchy – pewnie niejasna, niedopuszczalna – zakładała, że porywacz wróci do Gudbjerghavn, podejmując nowy trop. Chciała, żeby miejscowi szukali obcych zadających pytania. I bardzo chciała sama zbadać sprawę Hjelby.

– Niech Brix zadzwoni do mnie, gdy tylko wyjdzie ze spotkania – powiedziała. – Niedługo dojedziemy na miejsce.

O dziwo, rozmowa chyba nie obudziła pasażerów. Lund spojrzała na Borchy. Wyjeżdżali w pośpiechu. Jego marynarka leżała na podłodze obok fotela. Ogrzewanie w samochodzie nie powalało. Zdjęła rękę z kierownicy, podniosła kurtkę i przykryła go najlepiej, jak się dało.

– Kiedy będziemy na miejscu? – spytał Juncker z tylnej kanapy.

– Przestraszyłeś mnie. Myślałam, że śpisz.

– Teraz już nie. Ale może niedługo będę chciał się odlać. Kiedy będziemy na miejscu?

– Niedługo, Asbjørn – odparła najbardziej matczynym głosem, jaki zdołała wykrzesać. – Spróbuj wytrzymać.

– Czego dokładnie szukamy?

W pobliżu kopenhaskiego portu, niedaleko miejsca, gdzie porzucono ślizgacz, rano skradziono czerwoną furgonetkę. Przekazali jej numery do Gudbjerghavn. Zawsze to jakiś punkt zaczepienia.

– Naprawdę wierzysz, że ona żyje?

– Dopóki ktoś nie udowodni, że jest inaczej.

– Skąd znasz Borchę?

– To ważne?

– Chciałem być miły.

– Studiowaliśmy razem w akademii. On rok niżej.

Usłyszała długie i porozumiewawcze „Ahaaa...”.

– Co to ma znaczyć? – spytała.

– Po prostu „Ahaaa”. – Roześmiał się. – Byliście parą. Daj spokój. Widać to na kilometr. I słyszałem, jak twoja mama...

Gadanie obudziło Borchę. Przeciągnął się, ziewnął, słuchał, jak Lund mówi o skradzionej furgonetce.

– Kiedy byliście parą, też się tak kłóciliście jak dzisiaj? – spytał radośnie Juncker.

Borch znowu się przeciągnął, odwrócił, wbił w młodego wzrok.

– Co? – spytał.

Ponieważ Lund chciała jak najszybciej zmienić temat, spytała o Gudbjerghavn. Port feederowy Zeelandy, działający od dziesięcioleci. W czasie kryzysu gospodarczego firma stopniowo go wygaszała. Kilka lat

temu całkowicie go wyłączyli. Dwa tysiące mieszkańców. Większość bezrobotna.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – spytał Borch.

– Mamy jakieś chipsy czy coś? – dodał Juncker. – No i teraz już naprawdę muszę na siku. – Chwila ciszy. – Chyba że mamy jakąś butelkę.

Skręciła na następny parking. Juncker kupił coś do jedzenia. Poszli z Borchem do toalety. Wrócili zdecydowanie bardziej ożywieni.

– Nie cierpię spać w samochodzie – powiedział Borch, gdy wrócili na trasę. – Po raz ostatni zasnąłem, gdy jechałem z tobą w Norwegii. Ty prowadziłaś. Obudziłem się gdzieś na jakiejś drodze z bólem pleców.

– To nie przez moją jazdę bolały cię plecy.

– Och... – odezwał się powoli Juncker. – Co robiliście w Norwegii? Poza oczywistym...

Borch prychnął. Ona milczała. Niedługo później wjechali do Gudbjerghavn, znaleźli posterunek policji. Niski dwukondygnacyjny budynek z jednym samochodem przed wejściem.

Dyżurny policjant stał przy masce i raczył się papierosem. Przyjrzał się jej legitymacji, gdy mu ją okazała.

– Kontaktowaliśmy się z Kopenhagą – powiedział i rzucił niedopałek do rynsztoka. – Nic nie wiedzą o waszym przyjeździe.

– Prosiłam o poszukiwania.

– Nie za bardzo jest tu gdzie szukać.

O dziwo Borch trzymał się z tyłu. Nagle jednak podszedł do mężczyzny, uśmiechnął się i uściśnął mu dłoń.

– Witam ponownie. Chodzi o sprawę Zeuthenów. Proszę sprawdzić w Zeelandzie, jeśli pan chce.

Lund to zastanowiło.

– W Kopenhadze mówią – mundurowy nie ustępował – że porywacz zabił tę małą Zeuthenów, a potem uciekł na statku za granicę. My tu nie mamy nic do roboty.

– Czerwona furgonetka – przerwał Juncker. – Macie numer rejestracyjny. Do dzieła, dobra?

– Tutaj nic się nie dzieje, synu. Gdyby tu była, już byśmy ją zobaczyli.

Wyciągnął kolejnego papierosa i zapalił.

– Overgaard jakiś czas chodził z moją siostrą. Kawał debila. Nie zasłużył, żeby być tu szefem. Ale wszystko jedno...

– Proszę posłuchać... – zaczął Borch.

– Za rogiem jest pensjonat. Nic szynkowego, ale tutaj jedyny. – Ruszył do samochodu. – Pogadamy rano, jeśli chcecie.

W trakcie swej kariery Lennart Brix wszczynał całe mnóstwo postępowań dyscyplinarnych przeciwko innym, przeżył też kilka we własnej sprawie. Obecnie nie miał szans uniknąć, podobnie jak konsekwencji. Ruth Hedeby wyłożyła to jasno, kiedy zaprowadziła go do pokoju przesłuchań i przedstawiła śledczemu z prokuratury. Nazywał się Tage Steiner – szczupły mężczyzna wzrostu Brix, o nieruchomym spojrzeniu zza okularów bez oprawek.

Brix słuchał, jak Steiner recytuje listę jednostronnych pytań, starał się odpowiadać w miarę możliwości. Na większość zareagował dobrze. Co prawda nie miało to znaczenia, Emilie Zeuthen nie żyła. A zawodowo on też już nie żył.

Po ostatnim niedwuznacznym ataku poczuł się znużony.

– Bądźmy szczerzy, panie Steiner. Panu potrzebny kozioł ofiarny, a ja pasuję do obrazka. – Odchylił się na oparcie, spojrzał na mężczyznę siedzącego naprzeciwko, prawnika, urzędnika, nie policjanta. – Nie udawajmy, że chodzi o coś innego.

Steiner napił się kawy.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – odparł.

– Ja też. Jeśli sądzi pan, że ma podstawy do postępowania, to śmiało. Proszę nie marnować mojego czasu. Ciągle...

– Pańskie dowodzenie śledztwem było rażąco niedoskonałe – przerwał mu Steiner.

– Czy w innym życiu był pan oficerem policji? Uważa się pan za uprawnionego do oceny?

– Oceniam pana, panie Brix, czy to się panu podoba, czy nie.

– Przestrzegaliśmy standardowych procedur. Podjęliśmy wszystkie decyzje, które należało podjąć...

– A dziewczynka zginęła. Człowiek honoru sam złożyłby rezygnację.

Brix zerknął na zegarek. Nic nie powiedział.

Drzwi się otworzyły i weszła Ruth Hedeby. Zignorowała Steinera, który polecił jej wyjść.

– Jesteś mi potrzebny, natychmiast – powiedziała i zaczęła, aż Brix do niej dołączy.

– Lennart, co się dzieje, do cholery? – spytała szeptem. – Właśnie się dowiedziałam, że Borch, Lund i Juncker są w Jutlandii. Proszą o dodatkową siłę roboczą do poszukiwań.

– Poszukiwań czego? – spytał.

– Miałam nadzieję, że ty mi powiesz.

Prokurator wstał i podszedł do nich.

– Muszę powiedzieć, że zyskuję coraz bardziej interesujący obraz całego wydziału. Może problem sięga głębiej, nie dotyczy tylko jednego oficera.

Hedeby zaczęła coś gadać, żeby go udobruchać. Odezwał się telefon Brixa.

Spojrzał na wyświetlacz i wszedł z powrotem do pokoju.

– Nawet według twoich standardów to wymaga wyjaśnienia, Lund.
– Może on jej nie zabił. Chce rozgryźć sprawę Hjelby. Naszym zdaniem ukradł furgonetkę z portu i przywiózł małą tutaj.

– Dlaczego miałby ją oszczędzić?

– Powiedziałam mu, że Zeeland nie jest odpowiedzialny za śmierć Louise Hjelby. Że zamordowanie Emilie niczego nie pomści. On chce wiedzieć, kto zabił Louise.

Przez okno po drugiej stronie korytarza widział Maję Zeuthen krążącą w tę i z powrotem.

– Masz cień dowodu na poparcie tej wersji?

– Ukrył Emilie w schowku na łódce. Znaleźliśmy tam jej wełnianą czapkę.

Brix głośno wciągnął powietrze.

– Wełnianą czapkę?

– On nie spocznie, dopóki się nie dowie, co się stało. Emilie to dla niego impreza towarzysząca. Potrzebujemy więcej ludzi.

Ruth Hedeby stanęła mu przed nosem.

– Niech Lund wraca niezwłocznie – rozkazała. – Powstrzymaj to natychmiast.

Madsen i inni ludzie odsunęli się, wyczuwając nadciągającą burzę.

– Brix? – spytała Lund.

– Dopilnuję, żebyście dostali wsparcie z pobliskich rejonów. I niech Borch zrobi, co może.

Hedeby wyciągnęła swój telefon.

– Ja to zrobię, skoro ty nie...

– Ruth. – Brix podszedł i położył dłoń na jej dłoni. – Szkoda czasu. Niewykluczone, że dziewczynka żyje. Jeśli chcesz zamknąć śledztwo w chwili, gdy być może dotarliśmy do przełomowego punktu, nie ma

sprawy. – Ruchem głowy wskazał Steinera. – Ale to ty następna będziesz z nim rozmawiać. Nie ja.

Prokurator znowu stał przed drzwiami, domagając się kontynuacji spotkania.

– Prosiłbym o odrobinę współpracy – dodał.

Wtedy Brix na niego wsiadł.

– Współpracy? Dlaczego prosi pan mnie? Nikt nie gra tu fair. Wszyscy tylko kryją swoje tyłki.

– Mógłbym po cichu pana wyrzucić bez odprawy – oznajmił Steiner. – Albo z hukiem i na oczach połowy kopenhaskich mediów. Niech pan tylko...

– Pierdol się pan – ryknął Brix. – Co pan powie swoim panom w Ministerstwie Sprawiedliwości? Zlikwidowaliśmy zespół w chwili, gdy wyglądało na to, że znajdzie Emilie Zeuthen żywą?

To zamknęło mu usta.

Hedeby stanęła między nimi.

– Przełożymy postępowanie na jutro. Biorę odpowiedzialność za tę decyzję.

Steiner kiwnął głową i chwycił swoją teczkę.

– Żebyś wiedziała, że bierzesz.

Ciągle tam stała, gdy Brix wrócił do rozmowy telefonicznej.

– Słyszałaś to, Lund?

– Trochę.

– Lepiej, żebyś tym razem się nie myliła.

Kazał Madsenowi wysłać ludzi do Jutlandii. Detektyw ruchem głowy wskazał poczekalnię.

Maja Zeuthen stała tam z szeroko otwartymi oczami.

– Niechętnie to mówię – wyszeptał Madsen – ale wydaje mi się, że ona coś z tego słyszała.

Niewielki pirs wcinał się w łagodne fale. Kilkaset metrów od brzegu stał w przechyle martwy statek. Zapach diesla, gnijących glonów, stęchłej wody.

Nadciągający z pobliskich okręgów policjanci narzekali na zimną noc i dopytywali się o nadgodziny. Borch kazał im sprawdzić wszystkie miejsca, w których mógł się zatrzymać przyjezdny. Dotąd nie znaleziono nawet śladu czerwonej furgonetki.

Lund kopnęła zwoje liny leżące na betonie. Próbowwała sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać.

– Tu ją znaleźli?

Borch kiwnął głową.

– Statek Zeelanda cumował naprzeciwko. Wtedy port jeszcze działał. Możemy już iść?

Lund ani drgnęła. Szukała w głowie nowych obrazów. Przydatnych. Obrazów, które zastąpią wspomnienie Emilie i łódki z poprzedniej nocy.

– Ktoś mógł przywieźć tu Louise i wrzucić do wody. To w ogóle nie musi być powiązane z portem.

Borch wciągnął ciężkie portowe powietrze.

– Możemy się skupić na tym, co nas tu sprowadziło? Na znalezieniu człowieka...

– Nie możemy oddzielić tych dwóch spraw – zaproponowała. – Jeśli rodzina zastępcza ma rację, Louise zniknęła dzień wcześniej, niż sądziliśmy.

– To prawda – poparł ją Juncker. Badał mapę okolicy, by zlokalizować domki letniskowe, o których zdobyli informacje.

– Skoro Peter Schultz zmienił datę – ciągnęła Lund – musiał mieć powód. Coś się poprzedniego dnia wydarzyło. Próbował oddalić od siebie te sprawy.

– Nakazałem poszukiwania furgonetki – powiedział Juncker. – Podaliśmy szczegóły taksówkarzom.

Borch wziął mapę, położył ją na masce swojego samochodu, palcem w rękawiczce nakreślił krąg wokół miasteczka.

– Wyznaczmy teren o promieniu dziesięciu kilometrów. Zaczniemy tutaj.

– Na miłość boską! – krzyknęła Lund. – On sobie nie zarezerwował pokoju w tutejszym pensjonacie. Wiemy, jaki jest. Popatrzcie na złomowiska i kempingi.

– Świetnie – przyznał Borch. – Możesz jechać z nim.

– Nie. – Lund pomachała kluczykami do samochodu. – Najpierw chcę pogadać z rodziną zastępczą. Oni ci dadzą wóz. I tak chyba wolą ciebie ode mnie.

Kiedy Brix podszedł porozmawiać z panią Zeuthen, stwierdził, że pojawił się też jej facet, młody lekarz. Człowiek, który sprawiał wrażenie permanentnie wściekłego, pragnącego wyładować się na pierwszej napotkanej osobie.

Brix słuchał, jak znowu zaczyna stękać.

– Zespół ratowniczy robi, co może – powiedział.

Kobieta wpatrywała się w niego, obejmując się ramionami.

– Dlaczego to trwa tak długo? – spytał lekarz.

– Pękła lina mocująca balast. Prąd jest w tym miejscu bardzo silny. Mogła odpłynąć bardzo daleko.

Żadna z tych informacji mu się nie spodobała.

– Ale zaczęliście szukać od razu? Nie opieprzaliście się jak zawsze?

– Zaczęliśmy od razu – potwierdził Brix. – Jeśli ona tam jest, mam nadzieję, że niedługo ją znajdziemy.

Maja Zeuthen podniosła głowę.

– Jeśli? Słyszałam, jak się pan kłócił. Myślałam...

– Przykro mi, że słyszała pani tę wymianę zdań – przerwał jej Brix i podał wizytówkę z prywatnym numerem telefonu. – Źle się stało. Proszę mi wybaczyć...

Odwrócił się, by odejść.

– Brix! – Jeśli chciała, miała donośny, zdecydowany głos. – Co miał pan na myśli, mówiąc „jeśli ona tam jest”? Chyba słyszałam...

Postawienie go w niezręcznej sytuacji przez tego idiotę prawnika i Ruth Hedeby spływało po nim jak po kaczce, ale dawanie nadziei tej kobiecie...

– Badamy każdy aspekt ostatniej nocy – powiedział.

– To możliwe, że ona żyje?

Oczy miała zaczerwienione od płaczu i bólu.

– Pani Zeuthen... Ja nie...

– To proste pytanie.

Brix patrzył na nią. Nie mógł się zmusić do pogłębiania tej udręki.

– Nie. Nie sądzę. Przykro mi.

Karen Nebel odwołała konferencję prasową. O dwudziestej pierwszej usiadła z Hartmannem, by wysłuchać wieczornych wiadomości. Mogło być gorzej. Wciąż krążyły spekulacje, że zamierza ustąpić w bezprecedensowym trybie. Pojawiły się też pogłoski, że pewne nowe okoliczności mogą zmienić bieg sprawy Zeuthenów. Hartmann miał szanse przetrwać najgorsze, może nawet przejąć inicjatywę.

Uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

– Domyślam się, że to dzięki tobie.

– Za to mi płacisz. Tracę trochę na wiarygodności, Troels. Musimy więc dotrzymać słowa.

– Morten dawał znak życia?

– Żadnego.

Wzruszył ramionami.

– Czasami tak robi. Jesteśmy jak stare małżeństwo. Kłócimy się i schodzimy.

– Może już go nie potrzebujesz.

Uśmiech stał się nieco wymuszony. Ręka uciekła.

– Pewnego dnia może tak będzie. Nie teraz. Sprawdziłaś? Rozpoczęli spotkanie?

Zerknęła na zegarek.

– Piętnaście minut temu. Zapewne już się rozkręcili.

Klasnął w dłonie, sięgnął po marynarkę, poprawił koszulę i krawat. Przeszedł przez dziedziniec do budynku parlamentu. Kilku zaskoczonych fotoreporterów zaczęło trzaskać migawkami, błyskać fleszami.

Troels Hartmann uśmiechnął się promiennie, przybrał minę wyborczą. Pewny siebie. Otwarty. Szczery.

Potem znalazł salę obrad komitetu i wparował tam dziarskim krokiem.

Rosa Lebech – w szarym kostiumie, z poważną miną i włosami starannie ułożonymi na użytek telewizji – stała na jednym końcu stołu. Anders Ussing na drugim. Oboje w otoczeniu swoich sztabów.

Ussing sprawiał wrażenie wściekłego.

– Jeszcze nie zrezygnowałaś?!

– Coś mi przeszkodziło – odparł Hartmann.

Rosa Lebech wpatrywała się w stół zakłopotana.

– To spotkanie w cztery oczy – zaproponował Ussing. – Nie możesz tak po prostu tu wtargnąć.

Hartmann usiadł. Kazał doradcom wyjść. Spojrzeli na swoich szefów. Lebech kiwnęła głową. Potem Ussing. Wkrótce przy stole została ich tylko trójka.

– Już dopieśliście umowę? – spytał ją.

Nie odpowiedziała.

– Zwiodłeś wszystkich – mówił Ussing. – Nie oczekuj poparcia po tym, jak spieprzyłeś sprawę Zeuthenów.

– To policja i PET ją prowadziły. Nie ja. Policzę się jednak z nimi. Podobnie jak z każdą inną osobą wplątaną w tę sprawę. Roso?

– Możemy porozmawiać później, Troels.

– Rzeczywiście. – Wskazał drzwi. – To nie dla twoich uszu.

Zakłęła, chwyciła swoje dokumenty i wyszła zdecydowanym krokiem.

– Obyś miał coś dobrego. – Ussing się zaśmiał.

– To jest bardzo dobre. Otóż próbujesz mnie postawić pod pręgierzem, ponieważ mój minister sprawiedliwości nie przypomina sobie każdej sekundy z siedemnastominutowej rozmowy z prokuratorem sprzed dwóch lat...

– Ważniejsze, że...

– Podczas gdy nie wspominasz ani słowem o własnym zaangażowaniu w sprawę... – Hartmann rzucił na stół plik zdjęć. – Mogens Rank. Kilka minut na korytarzu. Nie rozmawiali o niczym ważnym. Ty... – Podsunął zdjęcie Schultza z Ussingiem w budynku parlamentu. – Niemal godzina z nim sam na sam w twoim gabinecie. Tu wchodzicie – jedno zdjęcie – tu żegnasz się z nim uściskiem dłoni. Z datą. Dokładną godziną.

Ussing milczał.

– I ty masz czelność oskarżać Mogensa Ranka o zatajanie faktów?

– Kto ci to dał?

– A to ważne?

– To oficjalne? Jeśli uważasz, że zrobiłem coś niewłaściwego, powinieneś nasłać na mnie swoich kolegów z PET.

– Tak zrobię. Przecież... – uśmiechnął się – nie chciałbyś, żebym zatajał ważne informacje, prawda? Spotkałeś się z Schultzem, gdy on zajmował się tą starą sprawą.

– I myślisz, że wywierałem na niego jakieś naciski? Czemu miałbym to robić?

– O czym rozmawialiście?

– To była prywatna rozmowa. Nie miała nic wspólnego z tobą. Ani z Zeelandem czy tamtą sprawą. Gdyby miała, powiedziałbym o tym wcześniej. Nawet jak na ciebie to cios poniżej...

Hartmann poklepał Ussinga po ramieniu.

– O tym zdecyduje PET, prawda?

I wyszedł. W swoim gabinecie opowiedział Nebel, co się stało.

– Prywatna rozmowa? – spytała z niedowierzaniem. – Tuż po tym, jak Schultz spotkał się z Mogensem Rankiem?

– Może nic się za tym nie kryje. Dlaczego Ussing miałby być w to wplątany? Nieważne. On się martwi. Rosa też. Muszę się z tym przespać. Może powinienem zadzwonić do Birgit...

Nebel położyła dłoń na telefonie, zanim on do niego sięgnął.

– Policja sądzi, że Emilie ciągle żyje – powiedziała. – Pojechali do Jutlandii Zachodniej. Wygląda na to, że porywacz ją tam zabrał i próbuje się dowiedzieć czegoś o tej starej sprawie.

Hartmann z trudem pojmował jej słowa.

– Oto co zrobisz – ciągnęła. – Za pół godziny wygłosisz w telewizji oświadczenie. Masz sprawiać wrażenie pogrążonego w bólu. Wyraż współczucie dla rodziny. Powiesz, że kazałeś wszcząć postępowanie wyjaśniające, jak doszło do porwania, i domagasz się odpowiedzi.

Potwierdzisz, że może pojawią się nowe informacje, które prawdopodobnie zmienią bieg sprawy. Potem powiesz, że jutro zamierzasz wezwać przywódców partii i poprosić ich, by nie wykorzystywali sprawy Zeuthenów w rozgrywkach wyborczych.

Miała umysł medialny. To nigdy nie mija.

– Czy muszę wyjaśnić PET, co powiem? Brixowi?

Nebel się roześmiała.

– Nie, Troels. Musisz wyjaśnić to mnie. Chcę, byś sformułował to perfekcyjnie, zanim znajdziesz się na antenie. To oświadczenie, nic poza tym. Nie będziesz odpowiadał na pytania.

Wzięła notes, zaczęła pisać.

– Jeśli dziewczynka nie żyje, pokażemy, że powoduje nami współczucie i szlachetność. Jeśli żyje, przypiszemy sobie zasługę, a Andersa Ussinga pošlemy do rynsztoka, gdzie jego miejsce.

Rodzice zastępczy mieszkali w niewielkim, prostym parterowym budynku na wzgórzu wychodzącym na port. On był inżynierem okrętowym, bezrobotnym. Ona chyba zajmowała się domem; teraz była nieobecna, wyjechała do rodziny. On – wysoki, poważny, podejrzliwy. Może w wieku Lund. Louise Hjelby wprowadziła się do nich tuż przed swoimi trzynastymi urodzinami.

– Czego szukacie? – spytał, gdy Lund pokazała mu legitymację i weszła.

– Nie wiem dokładnie. Jakichś przyjaciół. Ludzi, z którymi spędzała czas.

– Louise nigdzie nie chodziła. Miała tylko nas. Nikogo innego. Dużo przeszła. Była nieśmiałym dzieciakiem. Czemu właściwie to wszystko pani mówię? Już przez to przechodziliśmy.

Na kredensie stała fotografia. Lund podeszła, wzięła ją do ręki. Dziewczynka z białym rowerem. Długie czarne włosy. Bez uśmiechu, ale nie nieszczęśliwa.

– To ona?

– A kto niby?

Chciał się jej stąd pozbyć, co oznaczało, że Lund tym bardziej była zdecydowana zostać.

– Jak to się stało, że została umieszczona u państwa?

Wziął od niej fotografię i odstawił na miejsce. Nigdzie nie było śladu kurzu ani bałaganu. To byli schludni, porządni ludzie.

– Louise mieszkała w Kopenhadze ze swoją matką, ale ona umarła na raka. Na jakiś czas umieszczono ją w domu dziecka. Potem były jakieś cięcia budżetowe czy coś takiego i dom dziecka zamknięto.

Usiadł przy staroświeckim stole, gestem zaprosił, by zajęła miejsce naprzeciwko.

– Powiedzieli nam, że była już u innych rodzin, i to paru. Nie dlatego, że była trudna. Nie umiała się przystosować. No i trzy lata temu przyjechała do nas.

Długim spojrzeniem omiół pokój.

– Nie mogliśmy mieć własnych dzieci. Ten dom zawsze wydawał się pusty.

Lund wyjęła notatnik.

– Wspominała o swoim ojcu?

Pokręcił głową.

– W sumie nie. Matka opowiedziała jej jakąś bajkę. Że to był wielki bohater, który przepłynął siedem mórz jak tata Pippi Langstrumpf.

– Mówiła może, jak się nazywał?

– Louise była bystra. Nie sądzę, żeby wierzyła w bajki. Już z nich wyrosła.

– Ale podała nazwisko?

– Nie. I chyba wierzyła, że on pewnego dnia po nią przyjedzie. Ale to się nigdy nie stało.

Ta rozmowa sprawiała mu ból. Widziała to. Jeszcze raz pokręcił głową i spojrzał na nią.

– Staraliśmy się robić wszystko, co w naszej mocy. Myślałem, że jest lepiej. Wydawała się szczęśliwa. Czuliśmy się... tak mi się zdaje... że czuliśmy się rodziną. – Ostre spojrzenie na fotografię. – Ale pewnie nie mieliśmy pojęcia, jak to jest. Więc pewnego dnia...

W domu było niewiele więcej miejsca niż u niej. Ale czuło się, że to dom. O wiele bardziej niż u niej.

– Jeśli czuliście państwo, że ona jest szczęśliwa, to pewnie była. Louise się nie zabiła.

– Słucham?

– Uważamy, że została zamordowana.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Gdybym mogła zobaczyć jej pokój... jej rzeczy....

Bez słowa zabrał ją do garażu. Pełnego kartonów. Nie było miejsca na samochód. Zdjęcia i pamiątki. Otworzył na ostatniej stronie. Louise pojechała do szkoły na rowerze, miała wrócić wczesnym popołudniem, jak zwykle. Zawsze jechała tą samą trasą: przez port i dalej nad wodą przy nabrzeżu.

– Na pewno zaginęła w czwartek? Nie w piątek?

Wróciło podejrzliwe, wrogie spojrzenie.

– Takich rzeczy się nie zapomina.

– Kto ją widział ostatni?

Musiał się zastanowić nad odpowiedzią.

– Dyrektorka. Widziała, jak prowadzi rower w stronę portu. Ale potem...

– Co potem?

– Jakiś czas później ktoś mi powiedział, że widział ją na szosie. Daleko od szkoły. Powiedziałem to policjantowi, Overgaardowi. On mówił, że to sprawdził i że to był ktoś inny. Do miasta nazjeżdżało się wtedy pełno polityków, bo były wybory. Nie wydaje mi się, żeby policja miała dużo czasu na Louise.

Lund skończyła oglądać rzeczy dziewczynki.

– Znaleziono jej rower?

– Jeśli znaleziono, to nikt nam o tym nie powiedział. W ogóle niewiele nam mówili. – Zamknął oczy na chwilę. – Zamordowana? Nasza Louise?

– Tak sądzimy.

– To było dziecko. Dopiero co odzyskiwała normalne życie. Kto by to zrobił? Dlaczego?

Sekcja zwłok udzieliła odpowiedzi na to pytanie. Ale Lund spojrzała na tego poczciwego człowieka, zdała sobie sprawę, ile bólu już mu sprawiła, więc milczała.

Przed wyjściem dała mu wizytówkę. Poszła do samochodu. Wdychała słone morskie powietrze.

Potem wykonała kilka telefonów. Ostatni do Borchy – powiedziała mu, że jedzie do szkoły.

Maja Zeuthen pojechała prosto do Drakkara, przeszła przez hol wyłożony czarno-białymi płytkami do gabinetu. Był tam z Reinhardtem. Odniosła wrażenie, że jakaś kłótnia wisi w powietrzu, co wydawało się niesłychane. Robert był nieogolony, włosy miał potargane, nie założył krawata. Cuchnęło tu brandy, ale jej mąż nie wyglądał na pijanego.

Nagle zobaczyła. Potłuczone butelki. Potrzaskane szkło. Rozbite klosze lamp. Zdjął wielki szary obraz przedstawiający ocean i frachtowiec Zeelanda. Pociął go.

Robert był zdruzgotany, a i to mało powiedziane. Wyglądał żałośnie. Nigdy wcześniej go takiego nie widziała. Nie wiedziała, co myśleć.

Znów zaczęli się kłócić. Szybko się zorientowała, czego dotyczy sprzeczka. Robert wysłał własną ekipę nurków pod most, żeby szukali Emilie. Policja odprawiła ich bez ceregieli.

– Nie możesz się wtrącać – tłumaczył Reinhardt. – Nie w taki sposób.

– Jeśli oni nie mogą jej znaleźć, ja to zrobię.

Weszła służąca i zaczęła sprzątać szkło. Reinhardt kazał jej przyjść później. Zerknął na Maję.

– Robert chce porozmawiać o pogrzebie – powiedział cicho i wyszedł.

Pomyślała, żeby usiąść obok męża. Ale została na miejscu.

– Musimy to omówić z kościołem – zaczął.

– Carl jest u babci. Przed domem czeka na mnie w samochodzie Carsten. Jedziemy jej szukać. Jedziesz z nami?

Podniósł głowę. Zbity z tropu, zbolały.

– Może stać gdzieś przy drodze. Czekać na nas.

Oczy Roberta Zeuthena robiły się coraz większe z niedowierzania. Wydało jej się, że zaraz wypełnią się łzami.

– Podśledzałam ich w Politigården – dodała. – Nie rozmawiali ze mną. Ale słyszałam. Lund uważa, że ona żyje.

– Lund! – krzyknął. – Ty jej wierzysz? Co to ma być?

Wyjęła latarkę z zielonej kurtki.

– Jadę szukać swojej córki. Zaczynamy przy moście. Myślałam, że będziesz chciał pojechać. Może... Oni nie wiedzą, co się stało, Robercie!

– Ja wiem... – wyszeptał. – Widziałem.

Tyle udręki w jego oczach.

– Zastrzelił Emilie. A potem wrzucił ją do wody.

– Lund też to widziała, prawda? A nie uważa, że Emilie nie żyje. Jedziesz? Czy chcesz tu siedzieć i demolować ten cholerny dom?

Wstał. Wiedziała, co pomyślał.

– Nie jestem szalona – warknęła. – Pytałam cię już, czy to poczułeś. Że ona nie żyje. Powiedziałaś, że nie. A teraz to czujesz?

– Widziałem! Czy to powiemy Carlowi? Że jego siostra wraca? – Zawahał się, rozejrzał po zdemolowanym pokoju. – Że wszystko będzie tak jak kiedyś? Że będziemy szczęśliwi?

Żadnych słów w odpowiedzi. W głowie też żadnych nie miała.

– Jesteś mi potrzebna przy rozmowie z Carlem. Przy pogrzebie – przekonywał. – Nie każ mi wierzyć w coś, w co nie mogę uwierzyć.

– Dobra – powiedziała i zostawiła go.

Budynek szkoły stał nieopodal pirsu. Huśtawki na placu zabaw. Pusty parking. Niski parterowy budynek, łuszcząca się farba i okna z prostymi rysunkami na szybach.

Borch zadzwonił i spytał, gdzie jest.

– W szkole Louise. Wiedziałaś, że w tym miasteczku roiło się od policji w chwili, gdy Louise zaginęła?

Nie odpowiedział od razu.

– Przeszukaliśmy wszystkie domki letniskowe. I nic.

– Och.

– Nie musisz nic mówić.

– Nie mówię!

– Tak, jasne. Powinniśmy zajrzeć na fermę trzody chlewnej. Chcesz jechać?

Biedny Borch. Szukał jej towarzystwa.

Lund już stała pod drzwiami szkoły. Nacisnęła klamkę. Otwarte. Weszła.

– Co robisz, Sarah?

– Chcę się spotkać z nauczycielką. Powiedziała, że możemy się umówić tutaj. Ona ostatnia widziała Louise żywą.

W środku było ciemno. Lund znalazła włącznik światła. Zamrugła, gdy nagle zrobiło się jasno. Na ścianach zobaczyła obrazy i plakaty.

– Oczekuję, że dołączysz do nas przy świniach – powiedział z nadzieją w głosie.

– Ty to umiesz rozmawiać z kobietą.

Z telefonem przy uchu szła dalej. Klasa, na ławkach odwrócone krzesła, zabawne buzie nabazgrane na papierze pokrywającym ściany.

Podeszła do długich okien. Słuczone szkło, drobne odłamki w środku.

– Myślę, że on tu był – powiedziała cicho. – Ktoś się tu włamał.

– Jadę – odparł natychmiast. – Zostań na miejscu. I tym razem rzeczywiście to zrób.

Lund odłożyła telefon, wyjęła broń. Skręciła w prawo, w ciemny korytarz.

Na końcu drzwi, uchylone. Włączone światło. Sekretariat. Białe ściany, wykresy, plany lekcji, zdjęcia. Przy oknie szafka na akta, górna szuflada wyciągnięta. Przeglądała pobieżnie jej zawartość, akta uczniów, gdy usłyszała za sobą kroki. W korytarzu.

Z wymierzoną bronią, zmarznięta w krótkim prochowcu, czując charakterystyczny zapach szkoły – środków dezynfekujących i pobliskiej sali gimnastycznej – wyszła, by sprawdzić, co się dzieje.

Zobaczyła dwie rzeczy jednocześnie.

Borcha przy wejściu z bronią w wyciągniętej ręce, machającego nią na boki.

Przy drzwiach naprzeciwko – kobietę w długiej kamizelce, o blond włosach, za długich jak na jej wiek. Wpatrywała się w nich. Nagle zaczęła krzyczeć.

Dwadzieścia minut później w improwizowanym centrum operacyjnym urządzonym w pensjonacie nauczycielka nerwowo popijała kawę z kubka. Wszędzie kłębiło się od policjantów – miejscowych i tych z okolicznych okręgów.

– Wpadliście z bronią – mówiła kobieta z wyrzutem. – Do szkoły. W życiu czegoś takiego nie widziałam.

Lund spytała o Louise Hjelby. Dyrektorka odstawiła kubek i przez chwilę milczała.

– Może to wiatr wytłukł szybę – podsunęła.

– On tam był, przeglądał wasze akta.

– Ktoś mógł zostawić otwartą szufladę – upierała się dyrektorka. – Tu się nic nie dzieje. Nic. Nigdy.

– Proszę mi opowiedzieć o Louise.

– Była uroczym dzieckiem. Radosnym. Grzecznym. – Zamknęła oczy. – Myślę, że wiele wycierpiała w życiu. Umarła jej mama. Była w domu dziecka.

– Wierzy pani, że ona się zabiła? – spytała Lund.

– Nie do końca. – Ruchem głowy wskazała miejscowych policjantów. – Ale oni tak powiedzieli. A kim ja jestem, żeby się z nimi kłócić?

– Naszym zdaniem została zamordowana.

Kobieta przyglądała im się tak jak wcześniej: jakby byli szaleńcami.

– Zamordowana?

– Tak właśnie powiedziałam. W dniu, w którym Louise zniknęła, widziała pani, jak prowadziła rower w kierunku domu, w drodze ze szkoły?

Widział ją ktoś jeszcze?

Kolejne kąśliwe spojrzenie skierowane na miejscowych policjantów.

– Jedna z koleżanek z klasy tak twierdziła. Że widziała ją na szosie. Bóg raczy wiedzieć, co tam robiła. Ale oni – ruchem ręki wskazała drugą stronę pomieszczenia – oni jej powiedzieli, że zwariowała, więc było po sprawie. Przeszłam już przez to wszystko z tym policjantem, który dzwonił z godzinę, dwie temu.

– Kto dzwonił? – spytała Lund.

– Przedstawił się jako Mathias Borch. Muszę przyznać, że był bardzo miły i grzeczny. Nie wyglądał na kogoś, kto macha ludziom pistoletem przed nosem.

Na końcu stołu Borch podniósł na nią wzrok.

– Cholera – mruknął i poprosił kobietę o numer jej telefonu.

Dziesięć minut później puścili nauczycielkę. Lund siedziała sama, rozmyślając nad tym, co usłyszeli. Borch wrócił i powiedział, że nie da się wyśledzić telefonu.

– Znowu pewnie dzwoni ze Skype'a.

Spojrzała na biurka, na zajętych policjantów. Poszukiwanie nic nie dało.

– On chciał czegoś ze szkoły – powiedziała Lund.

Borch podszedł, stanął i oparł się o stół obok niej.

– Sarah. Jego pewnie tu w ogóle nie było. To tylko wybite okno. Jeśli pomożesz mi w poszukiwaniach...

– Niczego nie znaleźliście.

– Może gdybyś była ze mną...

Położyła sobie rękę na głowie. Ciężki dzień. Wspomnienia z poprzedniej nocy, niebieski brezent, strzały, postać spychająca coś do wody i przekradająca się z powrotem. Maleńki kształt na monitorze w szpitalu, przyszłe życie ukryte w wielkim brzuchu Evy Lauersen.

Borch odebrał telefon. Z jakiegoś powodu oddalił się w stronę pokojów. Podążyła za nim w pewnej odległości. Wszedł do swojego pokoju. Drzwi zostawił otwarte, więc stanęła pod nimi i słuchała.

Z tonu głosu można tyle wywnioskować. Rozmawiał z przełożonym. Pewnie z Dyhringiem, małomównym szefem PET, który zdaje się go strofował i kochał pociągać za sznurki.

– W tamtej sprawie – powiedział Borch – mamy wielki problem. Już to rozpracowała.

Wkładał świeżą koszulę przed lustrem. Zobaczył ją.

– Pogadamy później – powiedział i rozłączył się. Podeszedł do niej.

– Co?

– Z kim rozmawiałeś?

– Z górą.

Zapiął koszulę. Lund weszła do środka.

– Twój pokój jest trochę dalej. I jest miłszy niż mój. Myślę, że masz więcej...

– Nie pieprz – warknęła. – Co tu się dzieje?

Zamknął oczy. Po czym spojrzał wzrokiem szczeniaczka.

– Co?

– Skąd on znał twoje nazwisko?

– Może jest jasnowidzem. Czemu pytasz mnie?

Podeszła do niego bliżej.

– Dwa lata temu w tej miejscowości kłębiły się stada polityków. PET ich pilnowała. Musieliście tu mieć funkcjonariuszy, kiedy to się stało. Czy oni wzięli udział w tuszowaniu tej zbrodni? Pomogłeś im?

Zastanowił się, skinął głową, jakby traktował to pytanie poważnie, i rzekł:

– Nie.

– Więc co tu robiłeś dwa dni temu?

Chyba go uraziła.

– Próbowałem pomóc. Chciałem... chciałem coś dla ciebie znaleźć.

– Och, na miłość boską. Sądzisz, że uwierzę...

– Nie mam nic wspólnego z tą starą sprawą, Sarah. Może usłyszał moje nazwisko w radiu. Albo może... – w jego głosie pojawił się kąśliwy ton – zaprogramował nas, żebyśmy odbyli tę rozmowę. Albo jak zwykle wpadasz w paranoję...

Lund zaklęła, odwróciła się do wyjścia. Dopadł jej, silne ramiona wciągnęły ją do środka.

– Dlaczego mi nie wierzysz, do cholery? Dlaczego tak trudno ci zaufać komukolwiek?

Nigdy się na nią nie wściekał, nawet w czasach, kiedy ewidentnie się o to prosiła.

– Pieprzysz głupoty.

– Nieprawda! Zamykasz się na głucho, gdy tylko ktoś się do ciebie zbliża. Tak było z nami kiedyś. Tak było z twoim synem. I teraz znowu tak jest ze mną.

Podniosła ręce do góry, cofnęła się.

– Teraz z tobą? Akurat.

– To prawda! Kochałem cię. Pragnąłem cię. A ty mnie wyrzuciłaś ze swojego życia, bo to cię przerażało...

– Nie...

– Tak!

Stał przed nią w świeżej koszuli, nieogolony.

– Tak – powtórzył już spokojniej. – Zniósłbym to, że cię znudziłem. Albo że znalazłaś sobie kogoś. Ale ty... – przysunął się i wymierzył palec

w jej twarz – ty odeszłaś, bo było nam razem tak cholernie dobrze. I to cię przestraszyło. To...

Lund zrobiła w tył zwrot i znowu go zostawiła.

Przy moście padało. Maja Zeuthen spojrzała na długą pustą drogę, stanęła przy balustradzie, próbowała sobie wyobrazić tamtą scenę.

Po chwili się poddała. Rozmawiała z ratownikami. Powiedzieli, że wciąż szukają.

Kazała Carstenowi Lassenowi przejechać każdą dróżką w pobliżu. Nie słuchała go za bardzo. Nie mogła zapomnieć widoku Roberta, zdruzgotanego, zagubionego, słabego.

Takie właśnie miał cechy, gdy się poznali. Był samotnym, pracowitym studentem, od którego wszyscy stronili. Ona była piękną imprezowiczką, do której chcieli się zalecać wszyscy mężczyźni.

To nie było przyciąganie się przeciwieństw. Nic podobnego. Kiedy się poznali tamtego lata, dawno temu, niejako wyszli sobie naprzeciw: jego nieśmiałość stopniała, jej krótka fascynacja szalonym życiem rozproszyła się w nabożnym podziwieniu do jego spokojnej, lojalnej rzetelności.

Wszystko się działo stopniowo, przypadkiem. A jednocześnie w jakiś sposób było nieuniknione.

Wspomnienia.

W ciągu godziny przemokła na wylot, idąc kolejną ciemną i wąską drogą. Z latarką. Wołając imię swojej córki.

Pokój operacyjny. Ciągłe nic. Ktoś powiedział, że Juncker jej szuka.

– Nie teraz – warknęła.

Wyszła na zewnątrz. Wsiadła do swojego wozu. Pożałowała, że już nie pali. Przeczesała palcami wilgotne włosy. Zastanowiła się, czy powinna

pojechać z powrotem do stolicy. Obudzić się następnego ranka i włożyć mundur biurowy: biała koszula, szara spódnica, praktyczne obuwie. Pewnym krokiem podejść do biurka w OPA. Spojrzeć na stos spinaczy. Zabrać się za liczenie.

Otworzyły się drzwi. Modliła się, by to nie był on.

Asbjørn Juncker padł na fotel pasażera.

– Chyba coś mam – oznajmił radośnie.

– Co?

Spojrzał na nią.

– Ale masz humor. Rozpytywałem po miejscowych. Chyba znalazłem wyjaśnienie. Akurat dzisiaj rano dzwonił jakiś dziennikarz i pytał o sprawę Hjelby. W recepcji kazali mu zadzwonić do Borchy z Kopenhagi, bo dopiero co tu był.

Wyciągnęła notes.

– Zadzwoniłem do gazety. Pierwsze słyszą. Nikt z nich się tym nie zajmuje. On ma łeb na karku, nie? To trzeba mu przyznać.

Ma łeb na karku.

Komputery. Mapy. Broń. Teraz gładki telefon, by podszyć się pod oficera. Nie sposób się nie zgodzić. A ona nakrzyczała za to na Borchę. Wyciągnęła z niego coś, czego nie chciała usłyszeć.

– No! – Juncker czekał na reakcję. Nie doczekał się. – Sam to zrobiłem!

Wysiadł i pobiegł w deszcz.

W dobry dzień była tylko jedna droga przed siebie. Prosta, jasna, bezsporna. Dzięki temu życie było o wiele prostsze. Skromne, nagie, ubogie. Samotne.

Lund podniosła dłoń do ust i chuchnęła na nią. Potem wzięła miętówkę. Otrzepała płaszcz, w sumie bez powodu, raczej żeby odwlec coś, czego strasznie nie chciała.

Wysiadła. Przeszła przez gwarne centrum operacyjne.

Korytarzem. Pokój numer szesnaście. Zapukała do drzwi.

Borch ciągle miał na sobie koszulę i dzinsy. Łóżko było pościelone.
I szerokie.

– Asbjørn właśnie mi powiedział, że porywacz prawdopodobnie dzwonił tu dziś rano i że miejscowi podali mu twoje nazwisko.

Ciągle miał tę urażoną chłopięcą minę, która ją zawsze bawiła.

– Doprawdy?

– Wygląda więc na to... że doszło do jakby nieporozumienia.

Kiwnął głową.

– To przeprosiny?

Lund weszła zdecydowanym krokiem i nogą zatrzęsnęła za sobą drzwi,
po czym zsunęła płaszcz.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nie. To są przeprosiny – powiedziała i pocałowała go.

Uścisk, na który czekał wiele lat.

Jej dłonie zdarły z niego koszulę.

Jego palce podciągnęły szorstki wełniany sweter.

Na pustym, martwym terenie pod miastem Maja Zeuthen potykała się w ciemnościach. Latarka świeciła dokoła. Głos podnosił się coraz wyżej. Nic nie widziała.

Wreszcie stanęła. Nie wiedziała, gdzie jest. Gonił ją Carsten. W jego głosie słyszała zmęczenie i złość.

Nie ten głos.

Musiała uciszyć ten pokrętny szept. Za dużo było w niej bólu. Droga powrotna mogła być tylko gorsza.

– Maju! Na miłość boską... Maju!

Przystojny mężczyzna, świadom swoich walorów. Tak bardzo pragnął, by zapomniała, że miała wcześniej jakieś życie.

Dogonił ją. Stał przed nią. Deszcz padał. Zerwał się lodowaty wiatr. Czowała zapach rzeki, stęchłej wody, bagnistej, cuchnącej ziemi.

– To szaleństwo. – Przytrzymał ją za ramiona. Wbił w nią zimne, natarczywe oczy. – Musimy jechać do domu. Jej tu nie ma. Wiesz o tym...

Objął ją. Mocno. Jakby samą siłą swoich ramion chciał wycisnąć z niej żal i ból.

Delikatny. To słowo właśnie zawsze łączyła z Robertem. Zbyt łagodny, żeby rządzić Zeelandem. Zbyt miły i troskliwy jak na ten świat.

– Maju...

W uchu głos innego mężczyzny.

– Nie teraz, Carsten – powiedziała i odsunęła się od niego. Ruszyła do samochodu.

PONIEDZIAŁEK_
14 LISTOPADA_

Delikatny szum dalekich fal. Krzyki sprzecających się mew. Nieznajome łóżko. Uporczywy dzwonek telefonu.

Lund obudziła się naga pod tanim poliestrowym prześcieradłem pensjonatu w Gudbjerghavn. Sama. Przez chwilę nie mogła tego zrozumieć.

Ubrania rozrzucone po zbyt jaskrawym pomarańczowym dywanie. Zegar wskazywał ósmą trzydzieści jeden. Jej telefon dzwonił w torebce przy łóżku.

Chwyciła go, dziękując niebiosom, że Borch nie ma.

– Gdzie jesteś?! – krzyknął Brix.

– Zaraz...

– Włamano się do szkoły! Borch się tam rządzi. To nie jest mój człowiek, wysłałem tam ciebie, nie jego. Zbieraj się.

Zasłony były tylko odrobinę zaciągnięte. Zastanawiała się, kto ich widział. Wyszła z łóżka i zasunęła je do końca. Pozbierała ubrania z podłogi, przemknęła do swojego pokoju. Najszybszy w świecie prysznic. Potem minęła tymczasowe biuro – odprowadzana uważnym spojrzeniem ciekawskich oczu – i dotarła do samochodu.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Lund wyruszyła do szkoły, Hartmann usadowił się w małej kawiarence, do której codziennie przed pracą lubił zachodzić Morten Weber. Znajdowała się w okolicach Dworca Głównego, nieopodal skromnego mieszkania, które Weber kupił wiele lat temu, zaraz po studiach, gdy dostał swoją pierwszą pracę jako analityk polityczny. Studiowali na tym samym roku. Przystojny, elokwentny, uroczy Hartmann był twarzą ich spółki, Weber jej zakulisowym mózgiem. Razem spiskowali i knuli, lawirując wśród miejscowych polityków; najpierw dotarli do kopenhaskiego ratusza, by potem sięgnąć po najważniejsze trofeum: premierostwo.

Na ogół spotykali się twarzą w twarz. Ale zawsze pozostawały jakieś napięcia, które czasami doprowadzały do eksplozji.

– Spóźniłeś się – powiedział Hartmann, gdy usiadł i zamówił kawę. Limuzyna rządowa zaparkowała przed lokalem, ochroniarze stali w niewielkiej plamie zimowego słońca. Weber nie podniósł wzroku. – Mogę ci postawić śniadanie?

– Stać mnie na śniadanie. Spierdalaj.

– Jakaż odmiana po radosnym poranku. Zdążasz może do biura?

– Egzekucje średnio mnie bawią, dzięki.

Hartmann kiwnął głową.

– Nie złożyłem rezygnacji.

Małeńkie oczka Mortena zwróciły się na premiera.

– Znowu to samo. Przechodziliśmy przez to sześć lat temu. Wtedy też Lund kręciła się w pobliżu. Zrezygnowałbyś wtedy, gdyby nie ja.

To była prawda. Ale nie musiał sobie tego przypominać.

– Myślałem, że dopadliśmy Ussinga – powiedział. – Niestety. Może te zdjęcia, które Karen znalazła, były zbyt dobre, żeby mogły być prawdziwe.

Okazuje się, że Ussing z Schultzem od lat się przyjaźnili. Czasami grali razem w squasha.

– Nie ufaj ludziom, którzy grają w squasha. – Weber, człowiek przysadzisty, nie był gorącym zwolennikiem sportu. – To nienaturalne.

– Ciągłe szukają ciała Emilie Zeuthen. Brix jest powściągliwy. Nie sądzę, żeby miał pojęcie, czy ona żyje, czy nie... i czy Lund jest na jakimś tropie.

Weber odsunął filiżankę po kawie, zerknął na zegarek i ziewnął.

– Potrzebuję cię dzisiaj, Morten.

– Zawsze mnie potrzebujesz.

– Więc przyjdiesz?

– Ogłuchłeś?

– Nim dzień się skończy, albo zostanę królem na zamku, albo Birgit Eggert będzie stała nad moim zimnym, znieruchomiałym ciałem. Naprawdę chcesz to przegapić?

Weber dopił kawę, podniósł filiżankę, przywołał wzrokiem śliczną kelnerkę zza baru. Bez słowa podeszła i dołąła mu do pełna, uśmiechając się przy tym promiennie do Hartmanna, który odpowiedział jej uśmiechem.

– Nawet o tym nie myśl, Troels – syknął Weber po jej odejściu. – To dziecko, ma dziewiętnaście lat. Ani dnia więcej.

– Jestem tylko miły. Ludzie tego oczekują. Ty zawsze myślisz o mnie jak najgorzej.

– Jak sądzisz, jakie są szanse?

– Dobre pytanie – zauważył Hartmann. – Jeśli obrzucę Ussinga odrobiną błota i choć trochę do niego przylgnie... To też coś. Gdyby Bóg był tak miły, żeby ożywić Emilie Zeuthen... kto wie?

Weber zamknął oczy.

– Ty się martw tylko o to, na co masz wpływ. Ile razy muszę to powtarzać?

– Na nic nie mam wpływu, jeśli ciebie nie ma. Czy to już taki rytuał? Kłócimy się. Ty odchodzisz. Kilka godzin później pojawiaasz się w biurze, jakby nic się nie stało. Wszyscy klaszczą. Dobry stary Morten. W końcu powraca.

Tyle już razy odgrywali tę scenę.

– Nie bądź taki pewny siebie.

– Nie jestem. Potrzebuję cię. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Dam ci wszystko, co chcesz.

Weber zastanawiał się chwilę.

– No? – ponaglił go Hartmann.

– Nie rezygnujesz. Odejdiesz dopiero, jak cię wywalą.

– Zgoda.

– Słuchasz bardziej mnie niż Karen.

Roześmiał się.

– Przecież cały czas tak robię. Nie zauważyłeś?

Weber znowu się zastanowił.

– Doskonale – rzekł wreszcie. – Jeśli dam radę, zostaniesz ponownie premierem. Bez względu na cenę.

Hartmann poklepał go po ręce.

– A potem naciśniesz na uniwersytet, żeby znaleźli mi jakąś profesurę. Chcę się stąd wynieść. Mam dość.

To był wstrząs.

– Porozmawiamy o tym później.

– Nie! – Weber podniósł głos. Ludzie się obejrżeli. – Takie są warunki umowy. Wóz albo przewóz.

– Nie lubię ultimatów. Zawsze mi mówiłeś, że mam je odrzucać.

– Nie jestem Bogiem! – krzyknął Weber. – Nie wiem wszystkiego. Jezu...

– Później – powtórzył Hartmann z naciskiem.

– Ty tego nie rozumiesz, co? – Morten Weber postukał się w głowę. – Gdzieś tam głęboko ciągle wierzysz, że jesteś Johnem F. Kennedym na czele kopenhaskiego Białego Domu. A ja jestem twoim bystrym młodszym bratem Robertem, który ci podszeptuje zza pleców mądre słówka.

– Miałem młodszego brata – odparł Hartmann z nutą rezygnacji. – Kochałem go, ale nie był taki bystry.

Weber zamknął oczy.

– Nie to miałem na myśli – szepnął.

– To jednak nie najgorszy sen, co?

– Ale nadal tylko sen. Chcesz usłyszeć prawdę? Ty jesteś Don Kichotem, a ja Sancho Pansą. Żalonym małym giermkim. Jedyne, co możemy robić, to kruszyć kopie z wiatrakami. Nawet teraz. Kiedy byliśmy młodzi, myśleliśmy, że możemy coś zmienić, poprawić. Teraz jesteśmy starzy i tylko staramy się, żeby nie było gorzej.

W tym momencie na jego twarzy malowała się rozpacz. Coś, czego Hartmann nigdy wcześniej nie widział.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak to odbierasz. To chodzi o mnie?

– Nie! Nie bardziej niż o mnie. Albo Karen. Albo o Ussinga. Albo Rosę Lebech. Albo... kogokolwiek. Spróbuj choć raz posłuchać. Mnie chodzi o świat. Spieprzyliśmy to. Prawica, lewica, centrum.

Premierowi Danii zabrakło słów.

– Mamy umowę – przypomniał Weber.

– Wszystko, czego sobie życzysz – zgodził się Hartmann. Kiwnął głową na samochód i ochroniarzy przed knajpą. – Jeśli skończyłeś, mogę cię podwieźć.

Za dnia szkoła wyglądała inaczej. Dzieci biegały w świetle jasnego zimowego słońca, wypełniając boisko radosnymi głosami. Lund weszła do środka, znalazła Junckera w biurze, które widziała poprzedniego wieczoru.

Otwarte szafki z aktami. Wszędzie rozrzucone dokumenty.

– Gdzieś ty była, do cholery? – spytał.

– Co się stało?

– Ty nigdy nie odpowiadasz na pytania, co?

– Co się stało, Asbjørn?

– Sprzątaczką zgłosiła włamanie. Borch uważa, że ta stłuczona szyba, którą widziałas, to była próba. Może zaczekał w pobliżu, aż odeszłicie.

Borch siedział na podłodze po turecku i przeglądał papiery. Nie spojrzał na nią.

– Szukałem cię w pokoju – powiedział Juncker. – Nie było cię tam. Martwiłem się.

– Jestem dużą dziewczynką – odparła. – Musisz się ogolić.

Miał cień zarostu. Nie wyglądał porządnie.

– Borch coś znalazł? – spytała.

Juncker wskazał mężczyznę siedzącego na podłodze.

– Masz na myśli tego Borch?

Wstał, spojrzał na nią, wskazał szkolne zdjęcia na ścianach. Rok po roku. Procesja dzieciaków przechodzących z klasy do klasy.

– O ile zdołałem się zorientować, on szukał akt uczniów.

– Więc był tu wczoraj wieczorem? – spytała.

Skrzywił się.

– Nie wtedy, kiedy my.

– Więc był w pobliżu?

– W pobliżu – zgodził się Borch z irytacją. – Tak.

Juncker spojrział na nią, zdumiony tą bezceremonialnością, i wzruszył ramionami. Technik zbierał odciski palców ze ściany.

– Zabrał zdjęcie klasy Louise Hjelby – oznajmił Juncker. – Ale od innych rodziców dostałem odbitkę.

Wbiła w niego wzrok.

– Innych rodziców?

– To jej tato albo wujek, albo ktoś w tym rodzaju, prawda? Bo po co by to wszystko robił? Matka nie podała nazwiska tego gościa do aktu urodzenia. Nawet nie wiemy, czy widział to dziecko. Czy wiedział o jego istnieniu. Lund... – wskazał swoją wargę – masz tu pastę do zębów. Chyba się trochę śpieszyłaś...

Polizała palec i starła pastę. Juncker znalazł zdjęcie. Klasa siódma B. Spośród wszystkich dzieci Louise wyglądała najsmutniej. Była ubrana na czarno. Ale trzymała za rękę dziewczynkę obok.

Lund poszła ze zdjęciem do dyrektorki, spytała, kim jest ta uczennica.

– To Katja. One się kolegowały. Siedziały razem.

– Jest gdzieś tutaj?

Oburzony wzrok, który widzieli poprzedniego wieczoru.

– Powiedziała, że jeden z waszych ludzi rozmawiał z nią wczoraj. I tak jest już zdenerwowana.

– Wczoraj? – powtórzyła Lund.

Borch pokręcił głową. Juncker też.

– Gdzie ona jest?

Kobieta podeszła do okna. Wskazała wysoką dziewczynę w dżinsach, zielonej włóczkowej czapeczce, taniej kurtce.

– Idziemy – rozkazała Lund.

Wyszli z Borchem i Junckerem. Katja nie chciała rozmawiać w obecności innych uczniów. Przeszli więc na wyboisty teren za szkołą.

O szesnastej poprzedniego dnia, gdy jechała rowerem pod miastem, zatrzymał ją mężczyzna, który twierdził, że jest policjantem.

Juncker poprosił o dokładne określenie miejsca i pojechał sprawdzić. Borch pokazał dziewczynie zdjęcie Emilie Zeuthen.

– To ta dziewczynka z gazet.

– Widziałaś ją?

– Nie.

– Jak wyglądał ten mężczyzna? – spytała Lund.

Dziewczyna wskazała Borch.

– Jak ten pan. Zwyczajny. Ciemne włosy. Chciał wiedzieć, czy to ja widziałam Louise Hjelby po szkole w dniu, w którym zaginęła.

– A to ty?

– Tak. – Wskazała drogę. – Widziałam ją pod tablicą przy wjeździe od strony Esbjerg. Szłam nakarmić konia.

Lund wyjęła mapę, sprawdziła wskazane miejsce.

– Co Louise tam robiła? Przecież do domu wracała przez port i nad wodą?

– Powiedziała, że coś się popsuło w rowerze. Chyba przerzutki. Pewnie szła go naprawić. I może dlatego dała się podwieźć.

– Podwieźć?

– Mężczyźnie w czarnym samochodzie. Wydawało mi się, że Louise go zna. Wziął jej rower i wsadził do bagażnika.

– Jak on wyglądał? – spytał Borch.

– To było dawno temu. W sumie nie bardzo go widziałam. Odjechali, zanim tam doszłam...

– Jaki to był samochód?

– Czarny. Duży. Drogi... nie wiem.

Lund naciskała. Dziewczyna zaczęła płakać. Lund zadawała więc te same pytania, w kółko i w kółko.

– Sarah – wtrącił się wreszcie Borch. – Proszę?

Umilkła. On spojrzał na dziewczynę.

– Pamiętasz, w którą stronę odjechał ten samochód?

Za późno. Za dużo łez.

– Nie wiem! Mówiłam już panu Overgaardowi. Louise się nie zabiła. Byłyśmy przyjaciółkami. A on powiedział, że mam siedzieć cicho, jeśli wiem, co jest dla mnie dobre.

– A temu mężczyźnie wczoraj też to wszystko powiedziałaś? – spytał Borch.

Katja kiwnęła głową.

– Muszę zadzwonić – oznajmił i odszedł.

W Politigården Robert Zeuthen zadreczęwał Brixa, domagając się odpowiedzi na pytania.

– Moi marynarze mogliby pomóc w poszukiwaniach.

– Mamy już wsparcie marynarki wojennej. I wojsk powietrznych. Naszych ludzi. Mamy dość sił.

– Jak długo mamy czekać? Wie pan, co się dzieje z Mają? Ona uważa, że Emilie żyje, na miłość boską.

Szef policji milczał.

– To pańska robota. Usłyszała, jak rozmawiacie...

– To nieszczęśliwy zbieg okoliczności – przerwał Brix. – Bardzo żałuję, że do niego doszło. Musimy sprawdzić każdą ewentualność...

– A ta farsa w Jutlandii? – Głos Zeuthena zrobił się wysoki i donośny. Na krawędzi załamania. – Co tam się dzieje?

– Nie znaleźliśmy nic, co by wskazywało na to, że pańska córka żyje.

– Gdzie ona jest?

Brix pokręcił głową.

– Emilie wrzucono do wartkiej rzeki. Lina, do której była przywiązana, pękła. Może być wszędzie. Niestety, takie poszukiwania często...

– Muszę porozmawiać o pogrzebie. Z żoną, która nie wierzy w jej śmierć.

– Przykro mi... – zaczął Brix.

– Przykro to za mało. Jeśli nie znajdzie pan mojej córki do wieczora, sam się tym zajmę.

Zeuthen wyszedł na korytarz. Reinhardt zostawił wiadomość. Maja nie chciała iść z nim do kościoła.

Zadzwoił do niej. Odezwała się poczta głosowa.

– Ja idę, z tobą czy bez ciebie, Maju – powiedział.

Po drugiej stronie miasta, w małym mieszkaniu Carstena Lassena, z Carlem u boku, Maja patrzyła na ikonkę wiadomości przychodzącej. Zaczekała. Odsłuchiwała. Skasowała.

Chłopczyk bawił się zabawkami. Wiedział coś. Tego była pewna. Byłoby dziwne, gdyby nie wiedział.

Maja Zeuthen odłożyła telefon, zamknęła oczy. Poczula, jak dwa małe ramionka obejmują jej głowę i tulą mocno.

– Mamo? – spytał mały. – Czemu płaczesz?

Nie odpowiedziała.

– Ja się tobą zaopiekuję – obiecał Carl i pocałował ją.

Za radą Webera Hartmann obrał Partię Centrum za cel pierwszego ataku. Rosa Lebech nie odbierała jego telefonów, więc zasadził się na nią w jednej z galerii budynku Parlamentu. Nie uśmiechnęła się. Nie zaprotestowała,

gdy poprosił, by dotrzymała mu towarzystwa w jednej z zacisznych wnęk. Karen Nebel podsłuchiwała. Weber tymczasem gdzieś badał grunt.

– Nie powinniśmy rozmawiać, Troels – powiedziała, oglądając się na Nebel. – Dopóki wszystko nie zostanie wyjaśnione.

– Rozumiem, dlaczego się przymilasz Ussingowi. To nie problem.

– Więc czego chcesz?

– Twojego poparcia. Tak jak uzgodniliśmy.

– Troels! Twój minister sprawiedliwości przyczynił się do śmierci Emilie Zeuthen! Wiedziałeś o tym i nie powiedziałeś mi. Aresztowałeś Jensa...

– Dyhring go aresztował, nie ja. – Patrzył jej cały czas w oczy. – Poprosiłem, żeby go wypuścili. Nie zostaną mu postawione zarzuty. Mogłyby...

– Mam być za to wdzięczna?

Hartmann zastanowił się nad odpowiedzią.

– Nie spodziewałbym się, że będziesz niewdzięczna. PET bada sprawę Zeuthenów. I szuka powiązań Ussinga.

Skrzywiła się.

– Anders powiedział mi o tym Schultzu.

– A co ci dokładnie powiedział?

– Że się kumplowali. Jest zdumiony, że próbujesz wykręcać takie numery. To chore...

– Na miłość boską, Roso – warknęła Nebel. – O co chodzi? Błagaliśmy cię już setki razy, nakłanialiśmy. Proponowaliśmy stanowiska. Wycinaliśmy naszych ludzi, zastępowaliśmy ich waszymi. A ty i tak łykasz wszystko, co Ussing powie, ilekroć...

– Może dlatego, że on jest bardziej wiarygodny. – Zerknęła na Hartmanna. – I nie ma... takiej przeszłości.

– Nie pomaga, że twój eks wynosi dokumenty! Tajne. Mógłby pójść za to do więzienia....

– Karen! – wtrącił się Hartmann. – Nikt nie pójdzie do więzienia. – Wziął Lebech za rękę, tak żeby Nebel to widziała. – Rosa i ja potrzebujemy po prostu chwili dla siebie, żeby to omówić. Przed spotkaniem z innymi przywódcami. Możemy...

– Ja jestem z Ussingiem – powiedziała Lebech i wyrwała dłoń. – Przykro mi. W tych okolicznościach nie zostawiasz mi wyboru.

Odeszła.

– Dzięki, że się wtrąciłaś z tym mężem – burknął Hartmann. – To naprawdę pomogło.

– Ta kobieta już ci nie ufa. To bezcelowe...

– Jest kobietą. To nigdy nie jest bezcelowe.

Korytarzem szedł Weber. Wyglądał na wstrząśniętego, przyłożył palec do ust.

– Tylko spokojnie, proszę państwa.

– A więc wróciłeś? – spytała Nebel.

Weber się uśmiechnął.

– Cieszysz się, że mnie widzisz?

– Zawsze. – Zerknęła na Hartmanna. – Nie ekscytuj się. Nie miałam czasu tego sprawdzić, ale mam kogoś, kogo musisz poznać. Jednego z byłych pracowników Andersa Ussinga. Ma coś do opowiedzenia.

Weber skrzyżował ramiona na piersi.

– Mam nadzieję, że to coś ciekawego.

Stali przy szosie przed szkołą, oboje rozmawiali przez telefon. Borch z PET. Lund z Brixem. Nie patrzyli na siebie.

On zakończył rozmowę jako drugi. Rozejrzał się.

– Sprawdziliśmy całą drogę wzdłuż morza i głównej ulicy. Ani śladu tego człowieka.

– A ja sprawdziłam jeszcze raz, że nigdzie w aktach Louise Hjelby nie ma wzmianki o czarnym samochodzie. Overgaard przesłuchiwał tę dziewczynę i to on musiał tę informację usunąć.

– Może...

– Nie! Nie może. Widzisz jakieś inne wyjaśnienie? Duży, czarny, drogi samochód, powiedziała dziewczyna. Tutaj nie ma takich wiele. To był samochód biznesmena. – Patrzyła. – Może polityka. Wtedy się tu od nich roiło.

Wyjął mapę, rozłożył ją na dachu auta, przytrzymał narożniki szarpane morską bryzą.

– Nie uważam, że w tej chwili ważny jest samochód. Gdzie jest Asbjørn? Lund zacisnęła powieki i spojrzała na niego.

– Nie jest ważny? Ona wsadzała rower do bagażnika...

– Tak! Dwa lata temu. W tej chwili szukamy Emilie Zeuthen. I czerwonej furgonetki.

Podzieliły ich zaniepokojenie i gniew. I może jeszcze wstyd.

– On chce się dowiedzieć, co się wtedy stało – przypomniała Lund.

– Wszystko po kolei. Emilie Zeuthen...

– Jesteś na mnie wściekły z powodu ostatniej nocy? Dlatego jesteś taki nieprzyjemny?

To oskarżenie zabolowało.

– Nie byłem nieprzyjemny. Byłem?

– Bardzo.

– Sarah, ty w kółko wracasz do tej starej sprawy. A mamy nową. Bieżącą...

– Nie możemy nawet porozmawiać o czarnym samochodzie? No wiesz...
po tym...

Zmiał mapę.

– Po raz ostatni mówię: nie chodzi o ostatnią noc.

– Louise Hjelby znaleziono martwą po tym, jak wsiadła do czarnej eleganckiej limuzyny. Kierowca wsadził jej rower do bagażnika.

Oznakowany biały radiowóz zatrzymał się za ich samochodem. Wsiadł z niego Juncker.

– Na wypadek gdybyś nie zauważył – ciągnęła – w tej chwili nasz człowiek próbuje się dowiedzieć, dokąd pojechał czarny samochód i kto go prowadził. Wykonuje robotę, którą my powinniśmy się zajmować.

– Świetnie. Szukaj czarnego samochodu.

Juncker podszedł do nich.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam...

– Nie, nie przeszkadzasz – warknęła.

– To dobrze – powiedział z radosnym uśmiechem. – Bo kiedy wy tu zajmujecie się wrzeszczeniem na siebie, ja znalazłem gościa w warsztacie. Który coś widział. – Stuknął się w klatkę piersiową. – Moje dzieło.

– Jakim warsztacie? – spytał od razu Borch.

– Pod miastem. W drodze do Esbjerg. – Juncker wskazał na biały samochód. – Jedźcie za mną.

Zakład, do którego się udali, był zarazem szrotem i warsztatem. Porzucone wraki przed długim białym budynkiem. W środku mężczyzna w brudnym kombinezonie pracował pochylony nad starą lanią.

Ledwie podniósł wzrok, gdy Juncker zagadał:

– Słyszałem, że zapisuje pan samochody przejeżdżające szosą.

Mechanik pokręcił głową.

– Czy ja wyglądam, jakbym miał czas na takie rzeczy?

– Tak słyszałem...

– No to źle pan słyszał. Mój syn tak robi. Mamy tu wszelkiego rodzaju wozy. – Wskazał na rdzewiejące wraki. – Francuskie, japońskie, amerykańskie. On lubi robić spisy.

Machnął ręką na rozbitego forda.

– Nie wiedzieć czemu trzyma te swoje zapiski w schowku w tym gruchocie. Zajrzyjcie, jeśli chcecie.

Lund doskoczyła pierwsza. Przednia szyba była rozbita, ale wewnątrz wyglądało na stosunkowo czyste. W środku znaleźli cztery notesy. Zaczęła je przeglądać. Dziecięcy charakter pisma. Daty. Numery.

– Ma większego szmergla na punkcie numerów rejestracyjnych niż na punkcie samochodów. Gdy widzi nowy, od razu go zapisuje. – Mężczyzna położył na masce usmarowany klucz. – Myślę, że marzy mu się, że pewnego dnia wydostanie się z tej dziury. Chyba wszyscy o tym marzymy.

Zaśmiał się i machnął ręką.

– Oto i on. Ej, Jakob!

Mniej więcej dziesięcioletni blondynek podjechał rowerem do domu obok warsztatu.

– Ja z nim porozmawiam – rzekł Borch. – Ty zajrzyj do notesów.

Juncker spytał mechanika, od kiedy chłopak zapisuje te numery.

– Chyba od trzech, czterech lat – odrzekł tamten.

Borch długo rozmawiał z małym. Przyjaźnie. Lund patrzyła. Podeszła. Wtrąciła się i spytała o czerwoną furgonetkę.

Jakob wysunął rękę – na nadgarstku miał napisany numer.

– To może ta?

– Była czerwona? – spytała Lund.

– Tak. Widziałem ją przy domkach letniskowych.

- Kiedy?
- Dzisiaj rano. Jechałem tamtędy do szkoły.
Juncker pobiegł do samochodu.
- Chcę wziąć te notesy – powiedziała Lund do mechanika. – Przyślę kogoś później.

Nad wodą nieopodal Syrenki Hartmann i Weber spotkali się z mężczyzną, którego znalazła Karen Nebel. Nazywał się Kristoffer Seifert – lat mniej więcej czterdzieści, szykowny garnitur, przylizane włosy, gładki uśmiech. Był pracownik administracji Ussinga. Powiedział, że był tam dwa lata wcześniej, gdy spotkał Petera Schultza.

- Wszedłem po jakieś podpisy. Widziałem ich.

Weber spytał, dlaczego mężczyzna nie pracuje już u Ussinga. Przyklejony uśmiech nie zniknął ani na chwilę.

- Był pewien problem z budżetem kampanii. Oficjalnie przypisano go mnie.

- Jakiego rodzaju problem?

– Sumy się nie zgadzały. Nie z mojej winy. Chcecie usłyszeć moją historię czy nie?

Hartmann poprosił, by kontynuował.

- Ussing zaprosił Schultza na spotkanie. Rozmawiali. Przesunął kilka innych spotkań, żeby go wpasować.

- Oni byli przyjaciółmi, prawda? – warknął Weber.

Seifert się zawahał.

- Zawsze chciałem pracować w rządzie – powiedział wreszcie. – Nie dla opozycji. Skończyłem nauki polityczne. Chciałbym z tego zrobić użytek.

- A historia... – westchnął Weber.

– Oczywiście, oczywiście. No więc w życiu bym nie podsłuchiwał. Ale Ussing poprosił, żebym zaczekał pod drzwiami. Co było dziwne, szczerze mówiąc. Niestosowne. Nie mogłem nic poradzić, słyszałem. – Kiwnął głową. – Naprawdę. Nie sposób było nie słyszeć.

– Co pan słyszał?

– Ussing interesował się sprawą, którą prowadził Schultz. Jakiejś dziewczynki, która zginęła w Jutlandii Zachodniej. Nie wydaje mi się, żeby prokurator chciał o tym mówić. Bo i dlaczego? To nie miało nic wspólnego z nami.

Hartmann stanął. Przejechał rowerzystą.

– Ussing nalegał – dodał Seifert. – On nie uznaje odmowy.

Weber w końcu się zainteresował.

– Wyjaśnił dlaczego?

– Odniosłem wrażenie, że nie chciał, aby coś wyszło na jaw. – Wyjął z kieszeni kopertę. – Przez kilka lat pracowałem w Brukseli. Mam duże doświadczenie. To wszystko tu jest.

– Czego ujawnienia nie chciał Ussing?

– Czegoś związanego z tą dziewczynką. Tego nie słyszałem dokładnie. Coraz bardziej się denerwował. – Wzruszył ramionami. – W końcu zamknęli drzwi.

Hartmann i Weber wymienili spojrzenia.

– W tej chwili pracuję jako niezależny konsultant. Mógłbym zacząć w każdej chwili... jestem w pełni dyspozycyjny.

– Musi pan to wszystko opowiedzieć PET – powiedział Hartmann.

Seifert wyraźnie się zmartwił.

– PET? Dlaczego? – Zaśmiał się nerwowo. – To tylko polityka...

Zadzwoił telefon Webera.

– Nie chcę mieć nic wspólnego z policją.

– Ale musi pan – odparł Hartmann i ruszył do Webera, który cały czas chodził w tę i z powrotem wzdłuż brzegu i rozmawiał niespokojnie.

Zaczekał.

– Co ty o tym myślisz? – spytał, gdy Weber skończył.

– Śmierdząca sprawa. Musimy wracać do Christiansborgu. Birgit wytacza swoje działa. Przeciwpancerne.

Kwadrans później Hartmann spotkał się z nią w budynku Parlamentu. Była zdyszana i wyglądała, jakby się śpieszyła.

– Chyba mamy nowe informacje – zaczął.

– Nie ma teraz na to czasu, Troels. Zwołano posiedzenie komitetu partii. Zaczyna się za godzinę.

– Jestem szefem partii, Birgit. Chyba bym wiedział, gdyby coś takiego się działo.

– To się właśnie dzieje. Porządek obrad obejmuje tylko jeden punkt. – Podała mu kartkę. – Chcemy to zrobić przyzwoicie. Bez urazy. Jeśli dasz się przekonać, by ustąpić z własnej woli, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, byś w pewnym momencie mógł wrócić na jakieś stanowisko w rządzie. – Ponury uśmiech. – Zależnie od wyniku wyborów, oczywiście.

– A jeśli nie?

– Zgodnie i oficjalnie odwołamy cię z funkcji przewodniczącego partii.

Hartmann zmiął kartkę i rzucił ją na schody.

– Naprawdę nie zostawiłeś nam wyboru. Przykro mi.

Zerknęła na zegarek.

– Za godzinę.

Członków rodziny Zeuthenów chowano tylko w jednym miejscu: Frederiks Kirke, Kościół Marmurowy, wielka bazylika pod kopułą, która

dominowała nad rejonem na zachód od Amalienborgu. W tej chwili był pusty, jeśli nie liczyć trzech osób: Zeuthena, jego żony i pani pastor.

– Chcemy kameralnej uroczystości – powiedział. – Tylko rodzina i przyjaciele.

– Zastanawiali się już państwo nad hymnami?

Maja Zeuthen spuściła głowę. Na jej twarzy malowały się rozpacz i wściekłość.

Zeuthen – w ciemnym płaszczu, przekrzywionym krawacie, nieuczesany – zaczął:

– Śpiewaliśmy coś przy jej chrzcie. To się chyba nazywało...

Pokręcił głową.

– Nie, nie pamiętam.

– *Prowadź mnie, nocna gwiazdo* – wyszeptała Maja.

W świątyni panował mrok. Nawet mosiądz i brąz kandelabrow wydawały się pogrążone w żałobie.

Pastor zanotowała coś sobie, powiedziała, że to piękny wybór.

– W trakcie uroczystości następuje taki moment, gdy mogę coś powiedzieć o Emilie. – Spojrzała na każde z nich po kolei. – Jeśli mają państwo jakieś życzenia... Nie wiem, czy jej braciszek do nas dołączy. Ale jeśli dołączy, chciałabym wspomnieć o nim.

Cisza. Zeuthenowie nie patrzyli sobie w oczy.

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy, czy Carl weźmie w tym udział – powiedział Robert.

Kobieta kiwnęła głową.

– Czasami to dzieciom pomaga. To taki sposób, żeby się pożegnać. Pójść dalej. Kładzie się kwiaty na trumnie. Jest w tym pewne piękno...

– Piękno? – krzyknęła Maja Zeuthen. – Moja córka nie żyje. Została zamordowana. Jakie w tym może być piękno?

Pastor zeszywniała.

– Nikt wam nie ujmie bólu, Maju. Ale przeżywamy żałobę, bo kochaliśmy. To miłość musicie zapamiętać. Miłość pozostaje. Tobie. Carlowi. Może byłoby dobre dla niego, gdyby zobaczył, jak się wspieracie nawzajem...

Ze zwieszoną głową, powstrzymując łzy, Maja Zeuthen wstała, podeszła do ogromnych drzwi i szarpnęła nimi.

Zamknięte.

– Maju?

Słyszała jego zbliżające się kroki.

– Dlaczego ten cholerny kościół jest zamknięty? – krzyknęła. – Kto go zamknął? Ja chcę wyjść. Co za durne frazesy...

Dogonił ją, w oczach błaganie, w dłoniach też.

– Musimy to uzgodnić. Musimy podjąć te decyzje.

– Wypuść mnie, Robercie. Nie jestem twoją własnością. Tego kościoła też nie. – Odwróciła się i krzyknęła do pastor: – Słyszysz pani?

Oparła się o kolumnę.

– Musimy powiedzieć Carlowi. Powinniśmy zrobić to razem...

W sieni było zupełnie ciemno. Przestała krzyczeć, patrzyła na jego postać surowo obrysowaną jedną smugą światła z żarówki w górze.

Ta sama twarz, w której się zakochała. Nigdy nie sądziła, że pewnego dnia zobaczy w niej tyle bólu.

– Wypuść mnie... – wyszeptała z rozpaczą.

Brix porządkował swoje rzeczy. Pozbywał się dokumentów, których wolałby nikomu nie pokazywać. Zastanawiał się, kiedy Ruth Hedeby przyjdzie z Tagem Steinerem przypuścić kolejny atak. Ostatni.

Dzwonił do Lund w Gudbjerghavn. Nie usłyszał nic, co pozwoliłoby mu uznać, że ma szansę ocalić skórę. Stał przy oknie swojego gabinetu, zastanawiając się, jak bardzo będzie tęsknił za tym miejscem.

Nagle wpadł pędem Madsen.

– Jeśli to Hedeby, powiedz jej, że jestem zajęty.

Detektyw spojrzał zdumiony.

– To nie Hedeby. Nurkowie znaleźli dziewczynkę. Wyciągają ją w tej chwili. – Zerknął na zegarek. – Za dziesięć minut będzie u nas na dole. Zastanawiam się, czy...

Zanim dokończył, Brix wypadł z gabinetu.

Ostatni kurs po miasteczku. Lund za kierownicą. Borch siedział obok zmęczony i milczący.

– On musi tu być – upierała się. – Asbjørn dzwonił?

Znowu padało. Wiał nieustępliwy, lodowaty wiatr.

– Nie – odparł. – To naprawdę jest tego warte?

Na kolanach trzymał rozłożoną mapę.

– Szukaliśmy już wszędzie. To strata...

– On jest bystry! Prawda? On... – Zastanawiała się nad tym chwilę. – Pracowałam kiedyś z kimś, kto był wcześniej w wojsku. W siłach specjalnych. Powiedział, że są tacy ludzie, którzy dotrą wszędzie. Potrafią się stać niewidzialni. Matka Louise mówiła jej, że jej ojciec jest bohaterem. Dużo podróżował. Może...

Może on był jak Ulrik Strange, pomyślała. Porządny człowiek zniszczony przez historię, przez wydarzenia.

Borch westchnął.

– Co do ostatniej nocy...

– Wiem – przerwała mu niespokojnie. – To się nie powinno stać.

Z przeciwka nadjechał samochód. Reflektory oświetliły twarz Mathiasa. Zbolała. Może nawet przerażoną. Nie odrywał od niej wzroku.

– Nie. Nie powinno – przyznał.

Nic poza tym. Wjechała w boczną drogę, wzięła od niego mapę.

– Problem w tym...

– W porządku. Nie musisz nic mówić.

To go ubodło.

– Wręcz przeciwnie, muszę. Problem w tym... Nie żałuję.

Lund przesunęła palcem po mapie. Popatrzyła przed siebie. Starła się nie słuchać.

– Ani trochę – dodał. – Więc...

Milczała bardzo długo, a potem wskazała palcem do przodu.

– Ta droga. – Stuknęła palcem w mapę. – Dokąd ona prowadzi?

W świetle reflektorów pokazała się biało-czerwona taśma, która musiała wcześniej odgradzać wjazd. Ktoś ją przerwał.

Borch westchnął.

– Tam dalej jest nieczynna stocznia jachtowa. Miejscowi ją sprawdzili.

– Jachtowa?

– Dobra. Wiem, on lubi łodzie...

– Nasi ludzie poprawiliby taśmę, nie sądzisz?

– Sarah...

Wrzuciła bieg i przejechała po rozerwanej taśmie.

Pół kilometra dalej droga się kończyła. Lund wysiadła, Borch podążył za nią.

Znad pobliskiego morza napływała szara linia mgły, niosąc niski jęk dalekiej syreny mgłowej. Teren dawnego zakładu odgradzony był solidnym ogrodzeniem. Wyłączyli latarki. Borch wysunął się naprzód. Brama była otwarta, wisiała na niej przecięta kłódka.

Weszli do środka.

W miarę jak szli, stocznia wydawała im się coraz większa. Warsztaty i magazyny. Na betonie porzucone zniszczone łodzie. Kilka niedokończonych kadłubów. Maszty i rdzewiejące silniki. Ogromna śruba napędowa.

Dotarli do wody. Na końcu niewielkiego pomostu migotała jedna żarówka, niczym czujne oko wpatrujące się w nadpływającą mgłę.

Gdziekolwiek spojrzeli, wszystko wydawało się ruiną. Wytluczone okna. Ciekące drewniane ściany. Ruina, chociaż nie ustronna.

Ostatni budynek był inny. Metal, żadnego szkła, nawet żadnych okien, i tylko jedne drzwi.

Sądząc po zapachu, była to lakiernia. Albo miejsce, w którym kiedyś pracowano nad silnikami. Może jedno i drugie. Lund już miała coś powiedzieć, ale Borch ją uciszył.

Wskazał na drzwi: uchylone.

W środku farba. Olej. Smar. Chemikalia. Jakieś rzeczy przykryte plastikowymi płachtami. Na wieszakach rdzewiejące narzędzia. Zniszczenie i pracowitość jednocześnie. Jeśli ten człowiek miał jakąś cechę charakterystyczną, to tę właśnie.

Przeszli przez halę z silnikami. Znaleźli się w dobudówce. Z sufitu niczym stryczki zwisały grube liny. Z dołu dobiegał rytmiczny dźwięk fal rozbijających się o słupy. Byli nad wodą, bez okien, bez żadnego układu odniesienia.

Znalazła włącznik światła, przestawiła go. Ruszyli dalej. Za linami wisały łańcuchy i niska przesuwana platforma do pracy pod kadłubem, pod silnikami.

Z pistoletem nad latarką szła dalej. Zapomniała o Borchu. Mówiła do siebie.

On tu był.

Wiedziała to. Czuła to. Czuła jego zapach.

Nagle, na rogu, promień światła padł na biały kształt i Lund zrozumiała, że wreszcie zbliżają się do rozwiązania.

W Kopenhadze też były takie rowery. Niemodne. Po prostu tanie i użyteczne. Stał trochę niezgrabnie oparty o długą szarą plastikową płachtę.

Borch był tuż za nią.

– To jej – powiedziała. – Rower Louise. Widziałam go na zdjęciu w domu rodziców zastępczych.

Pochyliła się, wyjęła z kieszeni lateksowe rękawiczki. Brakowało łańcucha. Obok tylnego koła stał tornister.

– Sarah?

– Nie teraz – mruknęła. – Myślę. Albo chociaż próbuję.

– Sarah!

Borch odsunął kolejne płachty leżące nieco dalej pod ścianą. Coś, co malowało się na jego twarzy – smutnej, młodej, wstrząśniętej – kazało jej czym prędzej spojrzeć.

Dwa promienie światła. Odepchnięta na bok szara zasłona.

Na podłodze brudny wypłowiały materac. Na skraju wypłowiałe plamy krwi, i obok na podłodze. Łańcuchy jak kajdany.

– Mówiłeś, że ludzie sprawdzili to miejsce? – spytała.

– Powiedzieli, że brama była zamknięta. Musiał się pojawić wczoraj wieczorem. Jezu... – Borch wyglądał, jakby miał krzyczeć. – Ten drań Overgaard nawet nie zadał sobie trudu, żeby tu zajrzeć, co?

Podczas gdy rozglądał się dokoła, ona została na miejscu i patrzyła na materac, na plamy krwi. Łańcuchy. Próbowwała sobie coś wyobrazić.

Telefon.

– Lund? – spytał Juncker.

Po głosie sądząc, był przybity.

– Asbjørn...

– Posłuchaj mnie – przerwał jej. – Właśnie odebrałem telefon z tego warsztatu, w którym byliśmy. Tego, gdzie ten dzieciak zapisywał numery...

– Tak, dobrze. Jesteśmy w stoczni jachtowej, którą podobno wcześniej sprawdzali miejscowi. Potrzebuję ludzi...

– Słuchaj mnie! Kiedy znowu z tym małym gadałem, powiedział, że Borch był tam przed nami. Rozmawiał z tym dzieckiem. Wziął jeden z notesów, zanim do nich dotarliśmy.

Materac. Gwałt. Życie dziewczynki dobiegło tu końca, a jakimś sposobem, którego Lund nie mogła zrozumieć, proste, brutalne okrucieństwo tego czynu zostało zapomniane.

W ciemnościach nie widziała, dokąd poszedł Borch.

– Słyszysz, co mówię? – spytał Juncker ostrym, zmartwionym głosem. – Ktoś nas tu przerabia i nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć kto.

Kroki. Jego latarka. Lund odłożyła telefon.

– Znalazłem na tyłach czerwoną furgonetkę – powiedział Borch. – Chodźmy. Później możemy tu ściągnąć ekipę.

Ani drgnęła.

– Sarah!

Wrócił ten nowy Borch. Apodyktyczny i sprawny.

– Dlaczego ten notes jest taki ważny? – spytała.

Był na rogu, w takim miejscu, że go nie widziała.

– Jaki notes?

Podążyła za jego głosem, skierowała na niego latarkę.

– Notes, który wzięłeś dzisiaj rano od tamtego chłopca. Zanim pojechaliśmy tam wszyscy.

Nic.

– To ty i PET wykreśliliście z równania ten czarny samochód, prawda?
Ty tylko wymazałeś...

Przechylna głowa. Spojrzenie „znowu szalejesz”.

– O czym ty mówisz?

– Schultz tak kazał? Czy ty kazałeś Schultzowi?

– Ani jedno, ani drugie.

– Nie przyjechałeś tu szukać czegoś dla mnie! – krzyknęła. – Zacierałeś ślady. Chciałeś dopilnować, żebyśmy nigdy nie znaleźli... – zerknęła na materac i zakrwawione łańcuchy – tego wszystkiego.

Wyglądał na oburzonego.

– Wiem, że widziałeś się dzisiaj rano z tym chłopcem.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

– Kto jest w tym notesie? Kogo kryjesz?

Splótł ramiona na piersi. Przysunął się bliżej.

– Posłuchaj, Sarah. Chłopiec notował przypadkowe numery rejestracyjne, kiedy zaginęła dziewczynka. Jeden szczególnie rzucał się w oczy. Sprawdziliśmy go. To była nasza robota. Okazał się czysty. Fałszywy trop. Koniec...

– Dlaczego ty jesteś w to wplątany?

Podniósł ręce w górę.

– Bo...

Skądś dobiegł ich dźwięk. Kroki. Jakaś maszyna. Stary silnik z niechęcią ruszający do pracy.

Potem głośny huk. Poświeciła latarką. Ciężkie stalowe wrota na końcu pomieszczenia zostały zatrzaśnięte.

Borch podbiegł i próbował je podważyć ramieniem. Bez efektu.

Z sufitu zaczęły spływać trujące niebieskawosine kręte obłoczki.

Spaliny diesla. Dużo spalin.

Żadnych okien. Żadnej widocznej wentylacji.

I tylko obraz w jej wyobraźni, jeden z tych, które zawsze pojawiały się same z siebie: na zewnątrz stary generator, rura wydechowa podłączona do jedyne go komina wentylacyjnego w dachu.

Borch walił w drzwi, krzyczał, szalał.

Lund świeciła latarką na napływające ku nim spaliny.

Wdech. Wydech. Wdech.

Żadnego wyboru.

Pierwszy niepożądany wdech. Zaczęła się krztusić.

W drodze na spotkanie z komitetem partii Karen Nebel streściła Hartmannowi sytuację. Policja sądziła, że w Jutlandii zaczyna się coś klarować. Nadal nie wiedzieli, czy Emilie żyje, czy nie.

Po drodze elegancka postać pędziła za nim po schodach. Mogens Rank.

– Troels! Troels! Zaczekaj, proszę. Nie złość się na mnie.

Hartmann się odwrócił.

– Przykro mi, że do tego doszło – mówił Rank. – Chcę, żebyś wiedział, że mój głos należy do ciebie. Zawsze tak będzie. To nie ma nic wspólnego z tobą.

– Próbowaliśmy wytłumaczyć to Birgit – zauważyła Nebel. – Ona chyba nie chce słuchać.

Rank kiwnął głową.

– Ma ambicje. Cóż... – wzruszył ramionami – taka jest polityka. Sugeruję, żeby na początku spotkania...

– Nie będzie spotkania – przerwał Hartmann szorstko i ruszył dalej.

Sala konferencyjna. Długi stół, nad nim żyrandole. Rozłożone papiery. Przygotowane dzbanki z wodą. Birgit Eggert stała samotnie u szczytu.

Nowy czarny kostium, doskonała fryzura – wszystko dla kamer.

Hartmann wszedł dziarskim krokiem. Nebel i Rank zostali w tyle, słuchali.

– Sprawa jest prosta, Birgit. Analizujemy nowe informacje na temat porwania Emilie Zeuthen. Mam absolutną pewność, że oczyszczą rząd z wszelkich podejrzeń.

– Troels....

– Jako członek partii, jako jeden z moich ministrów jesteś odpowiedzialna przede mną, i tylko przede mną. Ta nielojalność nie przejdzie niezauważona. – Wskazał na stół. – Idź powiedzieć swoim akolitom, że przykro ci, iż zmarnowali czas.

Cień uśmiechu.

– A cóż to mają być za informacje?

– Mamy świadka, który widział, jak Ussing wywierał nacisk na prokuratora. Kogoś ze sztabu Ussinga. PET prowadzi postępowanie. Z tego powodu nie mogę powiedzieć nic więcej...

– Błagam, powiedz, że nie masz na myśli tego błazna Kristoffera Seiferta.

Mogens Rank podniósł ręce w rozpacz.

– Och, na miłość boską, Birgit. Masz nas za kompletnych idiotów? Oczywiście, że to nie Seifert. – Podchwycił spojrzenie Hartmanna. – On przecież omal nie skończył przed sądem za kradzież funduszy na kampanię Ussinga.

– Mogens... – wyszeptała Nebel.

– Co prawda to nie ma znaczenia – dodał szybko Rank – w tych okolicznościach. Wszystkie tropy należy sprawdzić. I zostaną sprawdzone...

– PET to analizuje – nie ustępował Hartmann.

– Miałeś swoją szansę. – Eggert wzięła ze stołu papiery. – Zaczynamy spotkanie. – Zostań albo wyjdź. Jak chcesz.

Dwa piętra niżej. Wydział Kryminalistyki. Surowe zimne pomieszczenie. Ludzie, których Brix znał, stali dokoła w oczekiwaniu.

Na ten akt dramatu czekali, a jednocześnie go nie chcieli. Koniec jednego pościgu. Początek innego.

Ociekająca śmierdzącą wodą torba leżała na lśniąącym srebrnym stole, miała wielkość i kształt dziecka. Spod błota i glonów wyzierał błękit. Z boku widniała nazwa. I wizerunek żagla.

Lund coś wcześniej powiedziała. Że człowiek, którego szukają, jest nierozdzielnie związany z morzem. Wydawało się, że wszędzie towarzyszy mu słona woda. Może płynęła w jego żyłach, pompowana przez bezduszne serce.

A jednak coś jeszcze go napędzało. Niedokończone sprawy.

Był tu główny patomorfolog. I szef kryminalistyki. Obaj stali w milczeniu, ubrani w białe kombinezony, ze skalpelami w dłoniach.

Jeden do ciała. Drugi do dowodów. Który skalpel wybrać?

– Co to jest? – spytał Brix.

– Brezentowa torba na żagiel z małej jolki. Zwyczajna. W porcie można takie znaleźć na każdym kroku – odpowiedział szef kryminalistyki.

Woda pachniała solą i zgnilizną. Zaraz robi się gorzej. Nie da się przed tym uciec.

– To jak? – spytał patolog, podnosząc skalpel. Kiwnął głową na kolegę. – Ja czy on? Twój wybór.

Co się stało, to się nie odstanie. Czasu nie da się cofnąć. Wręcz przeciwnie, choćby nie wiadomo jak się pragnęło.

Brix odwrócił się do technika.

– Ty.

Po czym cofnął się, wziął głęboki oddech, pomyślał, jaki odór zaraz poczują, i patrzył, jak mężczyzna zakłada maseczkę na twarz.

Kilku funkcjonariuszy wyszło, nie mogło tego znieść. Trochę im zazdrościł. Niedługo, gdy prokurator i Ruth Hedeby wykonają swoją robotę, taka wolność stanie się częścią jego codziennego życia. Nie wiedział, co o tym myśleć. Czy to pocieszające, czy przygnębiające.

– Cięcie – oznajmił technik, po czym przystawił ostrze skalpela do szczytu torby, w pobliżu wiązania, i przesunął je powoli, ostrożnie, wykonując płytkie cięcie przez całą długość płótna.

Nowy zapach. Brix nie mógł go skojarzyć.

Drugie cięcie, w poprzek, pośrodku. Potem jeszcze kilka.

To się działo za szybko. Torbę należało rozciąć ostrożnie, wydobyć tę poczwarkę motyla z kokonu.

Jeszcze jedno cięcie i Brix dopadł go z krzykiem na ustach.

I zaraz umilkł.

Technik ściągnął maseczkę. Wzruszył ramionami.

Brix spojrzał, próbował skojarzyć zapach.

Płótno i żywica. Nowiutkie. Nieużywane.

Nieskazitelne, ciasno złożone, w większości ciągle białe, leżało w niebieskiej torbie.

Żagiel. I nic poza tym. Na jednym końcu poczerniały otwór po kuli. I drugi na środku.

– Lund miała rację – odezwał się stojący za plecami Brixa Madsen.–
Miała...

Brix już wychodził na korytarz. Człowiek odrodzony.

– Powiedz Hedeby, że wznawiamy sprawę – rozkazał, gdy detektyw próbował dotrzymać mu kroku. – Znajdź wszystkich dostępnych

funkcjonariuszy. Nie obchodzi mnie, czy są po służbie. Mają się tu natychmiast stawić.

Trzeba powiadomić ludzi. Podjąć decyzje. Wydać rozkazy.

– Przekaż Zeuthenom, że musimy się jak najszybciej spotkać – dodał. – I połącz mnie z Lund.

W centrum operacyjnym trwała już krzątanina. Dzwonił Juncker z Jutlandii. Lund chyba w końcu wytropiła porywacza. Ale nie było dobrze.

Lakiernia. Włączony silnik. Światlik wysoko w suficie.

Na zewnątrz grzechotał i trząsał się generator. Czuli, że jego oddech miesza się z ich oddechami. Porywacz był tu cały czas. Patrzył. Słuchał.

Borch robił to, co w takich sytuacjach robiłby każdy mężczyzna. Rzucił się na ściany, ciskał przedmiotami, krzyczał.

Wszędzie cegły i metal. Rękawy przy ustach, płytkie oddechy. Ale nie bardzo to pomagało.

Dźwięk. Od razu wiedziała, kto dzwoni.

Wyjęła z kieszeni telefon, podeszła do ściany, próbowała znaleźć odrobinę powietrza, by mówić.

– To zabawne – powiedziała, niemal się krztusząc.

– Chcę tylko notes, Lund. Nie ciebie. Daj mi go, a będziesz żyła.

Borch był obok. Powiedziała mu. Chwycił telefon.

– Słuchaj no! – warknął. – Nie mamy notesu. Policja tu jedzie. Wyłącz to, dobra?

Nic.

Podniosła wzrok na niedosiężny światlik. Borch przyniósł wiadro i kazał jej na nim stanąć. Próbowała, ale nawet z wiadra nie sięgnęła do pierwszej belki.

– Nie dam rady – powiedziała i zeskoczyła na podłogę. – Ty spróbuj. Wyjdź. Wyłącz silnik. I wróć po mnie.

Wahanie na jego twarzy. Krzyczała, aż się w końcu ruszył.

Był wygimnastykowany. Jeden skok z wiadra i już chwycił belkę. Podciągnął się. Wspiął się na legar i dalej na dach. Walnął pistoletem w szkło. Stare żelazo drgnęło. Lekki powiew nocnego powietrza spłynął pośród oparów jak woda podczas suszy.

Wciągnęła je nosem. Zamknęła oczy. Próbowwała myśleć.

Kiedy je znowu otworzyła, był już prawie na zewnątrz, właśnie znikwały nogi.

A więc wyszedł. Usłyszała, jak ciało stacza się po dachu z blachy falistej.

Usłyszała, jak spada.

Usłyszała jego jęk.

I potem jeszcze jeden dźwięk.

Strzał z pistoletu.

Borch spadł z dachu, wylądował na błotnistej ziemi, przeturlał się dwa razy, usłyszał coś. Przeturlał się w drugą stronę.

Podniósł wzrok. Czarna postać. Kominiarka. W dłoni pistolet. Lufa wycelowana w jego twarz.

– Notes – powiedział mężczyzna bezbarwnym, zimnym głosem i nagle pistolet wypalił tak blisko jego głowy, że huk na chwilę go ogłuszył. Woń kordytu przerosła odór pobliskiego generatora, który rzeźił i terkotał, posyłając swoją truciznę Lund uwięzionej w środku.

Odzyskał oddech. Próbował dojrzeć coś pod kominiarką.

– Nie mam notesu. Mówiłem...

– Jeśli będę musiał cię zabić, zrobię to.

– Nie...!

Kopniak w brzuch. I drugi w głowę. Borch zaskomlał. Usiłował wstać. Chciał walczyć.

Ale spadały kolejne ciosy. Po chwili zostały już tylko one.

Kaszłąc, z piekącymi oczami i obolałymi płucami, Lund odsuwała kopniakami graty na podłodze, szukając, szukając.

W głowie miała jedną myśl: słyszała wcześniej morze pod deskami podłogi. Było tam, zimne, posępne i obojętne. Wyjście. Musiała być jakaś kłapa.

Znalazła w rogu przy drzwiach. Dwa brudne zawiasy.

Uchwyt, okrągły, zardzewiały. Nieruchomy.

Trzy razy próbowała, nim kłapa drgnęła. Jeszcze trzy szarpnięcia i udało się.

Pokrywa się podniosła. W świetle latarki błyskała w dole woda, dobre pięć metrów. Stalowa drabina, na dole trap, który musiał prowadzić do mola z przodu.

Lund zeszła pomalutku. Dotarła do rozwalającej się żelaznej siatki. I dalej do betonowego mola. Wspięła się. Rozejrzała.

Wyprostowana postać. I druga na ziemi. Nagle mężczyzna się pochylił, kopnął Borchę po raz kolejny, zaczął przeszukiwać jego kieszenie.

Ruszyła przed siebie, z bronią wycelowaną, cicho, starając się nie oddychać.

Coś się zmieniło. Gdy tak patrzyła, on wyciągnął z wewnętrznej kieszeni Borchę coś, co wyglądało na torebkę dowodową, pomachał nią przed zboląłą postacią na ziemi, zaklął i wrzasnął:

– A to co, gnoju?

Notes, pomyślała. Notes. Ten, którego Borch podobno nie widział na oczy.

Ciągle szła.

Mężczyzna w kominiarce odsunął się, wymierzył z pistoletu prosto w twarz Borch.

Lund wtedy strzeliła, na oślep. Nigdy nie była w tym dobra.

– Rzuć broń! – krzyknęła, wciąż idąc w jego stronę.

Odsunął się i wtedy wydało się jej, że widzi za maską wyraz jego twarzy: ubawienie.

– Rzuć...

Jego broń powędrowała w górę tak szybko, że jakaś jej część, zupełnie jej nieznana, zaczęła się budzić.

Jeden strzał.

Jego.

Chybił.

Jeden strzał.

Jej.

Skowyt bólu. Czarna postać rzuciła się w mrok obok terkoczącej maszyny.

Ciągle miała to w głowie. Dopadła Borch, pochyliła się. Krew na jego ustach. Dotknęła jego policzka.

– Sarah... On ma notes. Musisz...

Bez wahania, z podniesioną bronią, ruszyła w stronę generatora.

Nagie deski na błocie. Kilka śladów stóp. Może jakieś plamy krwi. Nic poza tym.

Podniosła broń wyżej. Szła dalej.

Nic nie widziała.

W oddali dźwięk syren i jasnoniebieskie błyski.

Z morza niski pomruk silnika małej łódki.

Na wodzie ani jednego światła. Znowu zniknął.

Wtedy dotarł do niej Borch.

– Postrzeliłam go – powiedziała. – Widziałam go. I trafiłam.

Bóg raczy wiedzieć jak – pomyślała.

Borch dotknął swojej klatki piersiowej, skrzywił się z bólu.

– Już ci mówiłem. On nosi kamizelkę kuloodporną czy coś w tym rodzaju. – Delikatnie się poklepał. Wydawał się niemal zadowolony z tego, co czuje. – Ale na pewno go zabolalo.

– Jeszcze jak – wyszeptała.

Borch spojrzał na nią i zamilkł.

– Jaki on jest? – spytała.

Zastanowił się.

– Niezwykły – odrzekł. – Bardzo.

Telefon rozbłysnął i zadzwonił. Tym razem jej własny.

Lund słuchała. Spojrzała na Borchę.

– Żyje – powiedział Brix; jak wywnioskowała z harmideru w tle, dzwonił z centrum dowodzenia. – Emilie jest żywa. Wracamy do gry.

Spotkanie komitetu trwało w najlepsze. Piętnaście osób przy stole. Eggert jako kierownik.

– Wszyscy jesteśmy omylni – powiedziała. – Ale jako politycy zostaniemy rozliczeni ze swoich błędów. Nie mówimy tu o pojedynczym potknięciu. Już sam twój związek z Rosą Lebech...

– To sprawa osobista – wtrącił Hartmann. – Nigdy nie kolidowała z moją pracą ani z polityką, którą realizuję.

– Wątpię, czy jej mąż by się z tym zgodził. – Eggert mówiła z wyraźną wzgardą. – I twoje zachowanie w sprawie Zeuthenów... Zlekceważyłeś

wszystkie sygnały alarmowe. To przez ciebie Mogens Rank udawał niewinnego, podczas gdy wiemy w tej chwili, że nie jest niewinny.

– To bzdury – wtrącił się Rank. – Moje ministerstwo nie...

Rzuciła mu przed nos wieczorną gazetę.

– Przeczytaj to, Mogens. Media stawiają nas pod murem. Nie ma co narzekać, że są... niemiłe. Prawdą jest to, co oni uznają za prawdę. Nie odpowiedziałeś na pytania w sprawie. Podczas gdy Troels zaangażował się w nią w sposób dość niestosowny jak na premiera. Nasza wiarygodność jako partii została podkopana, a od wyborów dzielą nas ledwie dni. Statek bez steru tonie na naszych oczach. Jesteśmy to winni partii, wyborcom, Zeuthenom...

Rank uciszył ją machnięciem ręki.

– Usuwanie premiera nie leży w interesie partii. On reprezentuje koalicję...

– Myślisz, że oni teraz za nim stoją? Nawet Rosa się nie zbliży. Jeśli wyjdzie z jego łóżka...

Hartmann odwrócił się do niej gwałtownie.

– Czy ja dobrze słyszę? Do tego doszliśmy? Jesteśmy bandą cwaniaków, którzy się sprzecniają, plotkują i wbijają nóż w plecy, szukają okazji, która ich dowiezie na następną imprezę?

Spojrzał po zebranych, po każdym po kolei.

– Dzięki mnie tu jesteście... Ja wykonałem tę pracę. Owszem, nasza wiarygodność, nasza przyszłość, nasza pozycja w społeczeństwie, stosunki z Zeelandem, to wszystko jest stawką. Ale mamy wizję. Jeśli mnie wyrzucicie, pożegnacie się z tą wizją. Wybraliście mnie z tego samego powodu, dla którego ja wybrałem was. Z powodu wiary. – Hartmann walnął pięścią w stół. – Teraz właśnie potrzebuję tej wiary. Wy też. Domagam się jej.

Cisza. Przerwana śmiechem Birgit Eggert.

– Jak ty świetnie przemawiasz, Troels. Ale słowa nie przywrócą do życia Emilie Zeuthen. Albo złożysz rezygnację, albo odwrócimy się od ciebie. Odejście z godnością albo krwawa wojna domowa. Wybór...

Za nimi otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi. Do sali weszła Karen Nebel, spojrzała na Hartmanna. Ten wstał. Mogens Rank również. Powiedziała im coś na ucho.

Eggert chciała przejść do kwestii formalnych. Regulaminów i procedur.

– Troels! – wrzasnęła. – Zechcesz wrócić do stołu i kontynuować spotkanie?

Odpowiedział jej Mogens Rank. Poprawił na nosie okulary, spojrzał na nią z sympatią i rzekł:

– Będziesz musiała mi wybaczyć. Mamy nowe informacje z Politigården.

– Dobre informacje – dodał Hartmann. – Policja właśnie otworzyła torbę, w której miało się znajdować ciało Emilie Zeuthen. Okazało się, że to podstęp.... W środku był tylko żagiel.

Nebel rzuciła na stół jakieś zdjęcia. Niebieska ubłocona torba, dwa otwory po kulach, w środku biały materiał.

– Wierzą głęboko, że Emilie żyje – dodał Rank. – Wolę się zająć tym, niż dyskutować tutaj... – Machnął ręką. – Cokolwiek by to miało być. Birgit?

Miała na ustach najwątleszy ze swoich uśmiechów. Nic nie powiedziała.

Hartmann wyszedł. Nebel za nim. Relacjonowała mu to, co wie. Zdaniem policji Emilie nie została zabrana na Jutlandię. Prawdopodobnie była przetrzymywana gdzieś w pobliżu miasta.

Usiedli w gabinecie. Hartmann zamknął oczy, wyglądał, jakby się namyślał. Nebel sprawdzała wiadomości. Weber podszedł do barku.

– Nie teraz – powiedział Hartmann, nagle się budząc.

Weber stanął, spojrział zdumiony.

– Ty i Karen Nebel macie za sobą ciężki dzień – dodał Hartmann. – Idźcie gdzieś wypić za mnie. – Wyjął portfel, rzucił na stół pieniądze. – Z wyrazami wdzięczności.

– A ty co będziesz robił? – spytała Nebel, zbierając banknoty.

Rozejrzał się po wygodnym pokoju. Sofy. Obrazy.

– Ja chcę mieć chwilę spokoju dla siebie. Idźcie. – Odpędził ich ruchem dłoni. – Sio!

Wstali zdumieni.

– A po drodze zamówcie mi coś do jedzenia. Homara i sałatkę. Dwie porcje. Jestem głodny jak wilk.

Weber westchnął, spojrział na koleżankę porozumiewawczo i wyszli.

Hartmann podszedł do lodówki. Dwie butelki szampana. Dobra marka. Rozkosznie schłodzona. Powinien poskutkować.

Stocznia jachtowa była teraz oświetlona niczym wesołe miasteczko. Technicy kryminalistyki uwijali się przy pracy. Miejscowi ciekawscy wyciągali szyje. Za dużo ludzi. Próbowwała trzymać ich na odległość, ale Gudbjerghavn jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziało. Takiego przedstawienia nie można było przegapić.

Brix znowu dzwonił, chciał wiedzieć, jak porywaczowi udało się uciec.

– Miał łódź – wyjaśniła. – Zawsze ma łódź.

– Dziewczynka...

– Znaleźliśmy miejsce, w którym zamordowano Louise Hjelby. Nie sądzę, żeby tu ktokolwiek choćby zajrzał. Widziano czarny samochód. Borch miał notes z kilkoma numerami rejestracyjnymi... – I zatrzymał go, pomyślała. – On nas podsłuchał. Zabrał notes.

Lund pomyślała o materacu, plamach krwi, kajdanach.

– Ktokolwiek zabił Louise, musiał się czuć pewnie. Nawet nie próbował usunąć śladów. Albo może...

Może to było zadanie kogoś innego. I ten ktoś ciągle działał.

– Jak Borch zdobył notes? Dlaczego nie ty?

Zawsze wiedział, o co spytać.

– O to musisz zapytać jego. Albo Dyhringa. Kogoś z PET. Ja nie wiem.

Kiedy się rozłączyła, stwierdziła, że Borch słuchał jej rozmowy.

Poszli na róg warsztatu, z dala od techników, od białego roweru. On miał bandaż na ramieniu, w miejscu, gdzie porywacz go uderzył. Żadnego złamania.

– Był pewien powód – zaczął Borch. – Chcę ci o nim powiedzieć.

– Naprawdę?

– Tak. Jestem ci to winien. I...

Wstała i odeszła w mrok.

Juncker przekazał jej bieżące informacje. Przeszukali wydmy. Kilka pobliskich kempingów. Trudno było zgadnąć, gdzie zniknął.

– On zawsze ma plan – zauważyła. – Wszystko gotowe. Na wszelki wypadek.

Młody detektyw kiwnął głową.

– Pewnie tak...

Podszedł Borch, uparczywie nie odstępował jej boku.

– Sarah, ja niczego nie utrudniałem. Wysłuchasz mnie?

Juncker zgromił go wzrokiem.

– Wydaje mi się, że na deskach przy generatorze jest plama krwi – powiedziała Lund. – Postrzeliłam go. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, ale może się czymś skaleczył. W każdym razie jest ranny. Niech technicy zbiorą to i wyślą do laboratorium.

Furgonetka stała na parkingu stoczni. Ani śladu Emilie. Wprowadzone do środka psy nie podjęły tropu.

– Jej tu w ogóle nie było – stwierdziła Lund. – Wracamy do Kopenhagi. Ktokolwiek był w tym czarnym samochodzie...

– Ja zrobiłem, co mogłem! – krzyknął Borch.

Szła dalej, schyliła się pod czerwono-białą taśmą, wracała do radiowozów.

– Próbowałem pomóc...

Wściekła zatrzymała się i odwróciła do niego.

– Więc kogo kryłeś? Czyją dupę PET tu chroni?

Juncker skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył groźnie na Borch.

– Właśnie. Ja też chciałbym to wiedzieć. Wydawało mi się, że będziemy jedną drużyną.

– Nie macie uprawnień! – W głosie Borchy słyhać było napięcie. – Dopóki nie... dopóki...

To Juncker się wkurzył, nie ona.

– To dziecko zostało zgwałcone i zamordowane. Emilie Zeuthen ciągle jest Bóg wie gdzie. A ty tu... pieprzysz jak jakiś służbista. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– Ja prowadzę – oznajmiła Lund i podniosła w górę kluczyki.

Juncker zajął fotel pasażera.

Twarz przy szybie.

– Może mnie podwieziecie? – poprosił Borch.

– Nie mamy uprawnień – odparła Lund i odjechała.

Brix spodziewał się, że pokaże Zeuthenom ciało. Tymczasem była to brudna niebieska torba ze zwojem płótna. Dwa strzały. Mocny dowód, że ten właśnie przedmiot Zeuthen widział z mostu.

Torbę przeniesiono do niewielkiego pokoju w Wydziale Kryminalistyki. Zeuthenowie wpatrywali się w nią, nie mówiąc ani słowa.

– Nie umiem, niestety, odpowiedzieć na wiele naglących pytań – dodał Brix. – Na pewno on chciał nas zwieść. Ale...

– Myśli pan, że ona żyje? – spytała matka.

Brix nie cierpiał jednoznacznych odpowiedzi.

– Został wysledzony w Jutlandii. Nic nie świadczy o tym, że Emilie jest z nim. Z tego, co się orientujemy, została ślizgaczem zabrana do portu w Kopenhadze. Potem... Przeszukujemy teren, sprawdzamy ruchy statków. Na pewno miał dostęp do kontenera.

Spojrzał na Zeuthena.

– On ma jakieś powiązania z morzem. Poza tym... przestrzegałbym przed nadmiernym optymizmem. To brutalny, dobrze zorganizowany człowiek. Jeśli...

Robert Zeuthen zrobił w tył zwrot i wyszedł. Żona tuż za nim. Brix też. Zeuthen już rozmawiał przez telefon, dzwonił do szefa ochrony Zeelanda i jego ludzi.

– Panie Zeuthen... – zaczął Brix.

– Przeprowadzimy w porcie własne poszukiwania. Już zaczynamy. Znamy to miejsce lepiej niż wy. Szczerze mówiąc, z tego co widziałem...

Brix pokręcił głową.

– Rozumiem pańską frustrację. Nie mogę pozwolić jednak, żeby przeszkodził pan naszym działaniom.

– Zmarnował pan czterdzieści osiem godzin na tę bzdurę! – krzyknął Zeuthen.

– One nie były zmarnowane. Moi oficerowie...

– Już mieliśmy powiedzieć synowi, że jego siostra nie żyje. Wyobraża pan to sobie? Co mamy mu powiedzieć teraz?

Brix stał nieruchomo.

– To nietypowa sprawa. Jeśli spróbuje pan przeszkodzić w naszych działaniach, tylko ją pan dodatkowo skomplikuje.

Zeuthen odszedł już bez dalszych komentarzy. Ona została.

– To nie jest właściwa droga – powiedział Brix. – Proszę...

– On chce coś zrobić! Nie rozumie pan tego? Oboje chcemy.

– Więc proszę poszukać bliżej domu. Ten człowiek się do was zbliżył. Do Emilie. Wie dużo o was, o Zeelandzie, rzeczy, których nie powinien wiedzieć. Jeśli zdołamy zrozumieć to...

– Prześwietliliście całą naszą rodzinę, panie Brix. Całego Zeelanda.

– To nie oznacza, że nie ma tu odpowiedzi. Tylko że ich nie znaleźliśmy. Jeśli ktoś spojrzy innymi oczami. Może ktoś jej bliższy...

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecała.

Patrzył, jak odchodzi korytarzem, spotyka się z mężem na zewnątrz. Teraz wydawali się nie tak dalecy sobie jak wcześniej.

Wrócił do centrum operacyjnego. Zobaczył zainteresowanie, chęć, energię. Sprawa wróciła z zaświatów.

W gabinecie w Drakkarze Robert Zeuthen i Reinhardt spotkali się z ochroniarzami Zeelanda. Szarzy, poważni, zdecydowani zawodowcy rozmawiali o miejscach do przeszukania, o rejestrach statków, portach przeznaczenia.

Maja podsłuchiwała plotkujący personel. Zeeland sam się nie kierował. Jeszcze przed porwaniem Emilie były problemy z radą nadzorczą. Szepty o buncie i jak to Robert nie jest swoim ojcem.

I nie był. Inaczej nigdy by za niego nie wyszła. Kiedy słuchała, jak rozmawiają, i patrzyła, jak on próbuje kierować ich staraniami, czuła się bezsilna. Podobnie jak on.

Mieli przy stole wielki monitor. Wyświetlały się na nim mapy i ruchy statków. On pytał, które miejsca sprawdziła policja. Odniosła wrażenie, że to operacja na ogromną skalę.

– Sprawdzili wszystkie statki w porcie – powiedział Reinhardt.

– A kontenery?

– Są zapieczętowane. Nie możemy tak po prostu...

– Chcę, żebyś porozmawiał z ludźmi z terminalu kontenerowego – przerwał Zeuthen. – Powiedz, że chcemy zajrzeć do każdego kontenera. Pokryjemy straty. Wszelkie starty spowodowane ewentualnymi opóźnieniami.

Szef ochrony pokręcił głową.

– Nie mamy prawa. To są ładunki. Zawartość jest prywatną własnością. Jeśli...

– Spytaj o cenę. A potem zapłać. Nie sądzę, żeby się spierali.

– Rada chce się spotkać – dodał Reinhardt. – To ważne.

– Nie dla mnie – warknął Zeuthen.

Hałas przy drzwiach. Stał tam Carsten Lassen i patrzył na Maję. Był z nim Carl. Widać było, że płakał.

Podeszła do chłopca. Zeuthen też. Lassen wyglądał na zawstydzonego. Miał włączony telewizor, a Carl usłyszał wiadomości.

– Zapomniałem. Prze...

Maja już obejmowała chłopca, spojrzała na Lassena znacząco. Zrozumiał i odszedł.

Poszli do salonu, posadzili Carla między sobą, objęli go. Tak jak kiedyś.

– Mama i tata jej szukają – powiedział Zeuthen. – Wszędzie. Znajdziemy naszą Emilie. Oboje... wszyscy za nią tęsknimy.

– A jeśli jej nie znajdziecie?

Położyła mu rękę na głowie. Zeuthen też.

– Ależ znajdziemy – zapewniła.

– Kiedy?

– Niedługo.

Przeturlał się po kanapie, położył jej głowę na kolanach, nogi miał na kolanach taty.

– Pójdę jej poszukać – powiedział chłopczyk.

Zebrało się jej na płacz, ale nie pozwoliła sobie na to.

– Gdzie?

– Myślałem, że jest w schowku. Ale jej nie ma.

Maja Zeuthen przymknęła oczy. Stara posiadłość była taka wielka. Dzieci całymi godzinami eksplorowały miejsca, o których ona nie miała pojęcia.

– W jakim schowku, kochanie?

Spojrzał zmartwiony. Spytała raz jeszcze.

– To takie miejsce, gdzie Emilie chodziła, kiedy nie chciała słyszeć różnych rzeczy.

Zeuthen położył dłoń na policzku syna.

– Jakich rzeczy?

– Was. Jak się kłócicie.

Spojrzeli na siebie. Wspólny ból i poczucie winy. Coś, co jeszcze nie umarło, chociaż tak bardzo starali się to zabić.

Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że w drzwiach stoi Carsten Lassen, zagubiony i żałosny, z walizką w dłoni.

– Chodź, poszukamy ciastek i mleka – zaproponował Zeuthen i wyszedł z synkiem.

Lassen wszedł.

– Może powinniśmy zabrać stąd więcej rzeczy dla Carla – powiedział niepewnie. – Tak żeby z nami czuł się jak w domu.

Nie odezwała się.

– Są jakieś nowe informacje?

Pokręciła głową.

– Czy Carl albo Emilie wspominali kiedyś o jakiejś kryjówce? Nazywali ją schowek.

Roześmiał się, ale to nie był miły śmiech.

– Myślisz, że oni mi się zwierzali ze swoich sekretów?

Maja spojrzała na stary, znajomy pokój. Pomyślała o szczęśliwych chwilach tu spędzonych. Rozstanie z Robertem jakoś je przesłoniło. Zostały tylko kłótnie i ból. Sprawili, że Emilie uciekała w cień, do miejsca, którego mogli się tylko domyślać. Może do miejsca, z którego w końcu została zabrana, by nigdy nie wrócić.

– Zostaniemy tu na noc – powiedziała łagodnie. – Lepiej, żeby był teraz z ojcem.

Kiwnął głową z gorzkim uśmiechem. Znowu go rozczarowała.

Postawił torbę na podłodze.

– Skoro tak uważasz.

Maja prawie nie zauważyła, że odszedł.

Schowek.

Miejsce, do którego ją zesłali.

Schowek.

Musiała wiedzieć.

Lund dotarła do domu około północy. Brix zadzwonił, gdy wchodziła przez drzwi. W drodze z Jutlandii marudziła o Borchu, PET i zaginionym notesie. Omówił to z nimi. Ale nic nie zyskał.

– Mówią, że to było rutynowe postępowanie, Lund. Nic specjalnego.

– Dlatego Borch dwa lata temu pozamiatał tam wszystko, co mu wpadło w ręce?

– Nie pozamiatał. Gdyby zamiatał, znalazłby tę stocznę, prawda?

– Borch wziął ten notes i nic mi nie powiedział. Miał jakiś powód. Przekleństwo po drugiej stronie.

– To PET. Biuro ochrony... Oni chronią polityków. Znasz ich zagrania. Nie wpadaj w paranoję.

W domu było ciemno i bardzo zimno.

– Nie wpadam – powiedziała z uporem. – Muszą mieć gdzieś te numery, które kiedyś znaleźli.

– Jutro z samego rana przyjedzie tu Dyhring. Możesz przyjść i popatrzeć, jak skopię mu dupę. Borch ci coś dał?

– Nie.

– Mamy pierwsze wyniki z krwi, którą znalazłaś. Wygląda na to, że to ojciec Louise Hjelby.

Dźwięk z tyłu. Eva weszła w koszuli nocnej, jęcząc, żeby Lund nie włączała ogrzewania. Trzymała świeczkę w słoiku po dżemie, pachnącą jak kadzidło. Przeszła się, zapalając kolejne świece. Donice z kwiatami na dywanie, na stołach, wszędzie.

– Wniosłam wszystko, co jeszcze żyło – wyjaśniła. – Jeśli tu będzie za ciepło, pomyślą, że to wiosna. Wtedy się obudzą i umrą.

Lund odłożyła telefon. Zastanawiała się, co robić.

– Rzecz w tym – podjęła Eva z powagą – że jeśli będziemy mieli zimę bez mrozu, można by je wynieść wcześniej na dwór, o ile będziemy ich pilnować. Jeśli nie...

– Nie mogę marznąć całą zimę z powodu, kurwa, roślin – burknęła Lund.

Eva się uśmiechnęła i udała, że ignoruje jej wypowiedź.

– Zrobiłam zupę z dyni. Bardzo zdrowa. Chcesz?

Bez odpowiedzi. Lund podeszła do lodówki i spojrzała na piwo.

– Nie! – krzyknęła Eva i szybko zatrzęsnęła drzwiami. – Nie widziałas!

Zdjęcia na drzwiach. Wydruki z USG.

– Wstawię zupę...

– Nie chcę w tej chwili zupy, świeczek, roślin ani zdjęć dzieci.

Jedno piwo. Zimne i kuszące. Wzięła drugie na dokładkę.

– Nie musisz się złościć – powiedziała Eva. – Zostaję tylko do jutra.

Lund spojrzała na nią i przez jedną krótką chwilę poczuła wyrzuty sumienia.

– Czytasz w ogóle gazety, Evo? Kiedykolwiek? Oglądasz telewizję?

– Nie w tej chwili. To wszystko jest takie okropne. A jeśli maluszek usłyszy?

Wyrzuty sumienia przybrały na sile.

– Rozmawiałaś z Markiem? – spytała Lund.

Miała naiwną, śliczną twarz, która tak łatwo zdradzała ból.

– Powiedział, że nie wie, co robić. Ze mną. Z...

Poklepała się po brzuchu, a Lund marzyła, żeby tego nie robiła.

– Muszę pomyśleć o sobie. O dziecku. Chyba mogę się wprowadzić do koleżanki. Nie musisz się martwić.

Nie było za późno, żeby usmażyć jajka, choćby rośliny miały krzyczeć.

– Nie możesz tak mieszkać z dzieckiem. Zawsze masz to mieszkanie.

Wzruszenie ramion, które miało oznaczać: przegrana sprawa.

– W suficie jest azbest. Zamknęli cały budynek. Idzie do zburzenia. – Krótki śmiech, nie gorzki. Pewnie nawet gdyby próbowała, nie zdołałaby wyrazić goryczy. – Pewnie dlatego miało niską cenę.

Lund wychyliła piwo. Zastanowiła się, czy wziąć trzecie.

– Myślę, że bycie samotną mamą nie jest takie trudne – powiedziała Eva.
– Ty dałaś radę.

– Nie. Nie dałam – odparła Lund bez namysłu. – Myślałam, że daję.
Chciałam dać. Bardzo. Ale...

– Ale co?

– Nie udało się z tatą Marka. Myślałam, że go nie potrzebuję. Że nikogo
nie potrzebuję.

– Dlaczego się nie udało? – Jasne oczy Ewy lśniły w świetle świeczki.

– Może zjadłabym zupy.

Iskra zrozumienia.

– Też byłaś w ciąży? Dlatego wzięliście ślub?

Lund się roześmiała. Kiwnęła głową.

– I nie kochałaś go?

Za blisko, ale te oczy nie chciały jej odpuścić.

– Nie. Kochałam kogoś innego. Wcześniej. Ale wtedy się bałam. Więc
go przegoniłam. To się wydawało łatwiejsze...

Dźwięk. Dzwonił jej telefon.

– Możesz tu zostać, jak długo chcesz – powiedziała. – I będę dumna, że
mam na lodówce zdjęcie waszego dziecka. Zawsze.

Lund się zebrała, podniosła telefon.

– Co jest? – spytała.

– Dlaczego mnie powstrzymałaś, Lund? Kim ten gnój jest dla ciebie?

Głos z telefonu Emilie. Zimny. Inteligentny. Wykształcony.

W głowie jej się zakręciło.

– Skąd masz mój numer?

– Mogę mieć wszystko, co zechcę. Twój kumpel z PET zasłużył na
śmierć. Słyszałaś, co zrobił. Ja słyszałem.

– Gdzie jest Emilie? Co jej zrobiłeś?

– Możemy dobić targu. Potrzebuję twojej pomocy.

Przeszła przez pokój. Coś w jej tonie sprawiło, że Eva uciekła do kuchenki.

– Wiemy, że nie zabrałeś jej do Jutlandii. Żyje?

– Notes wymienia dwanaście czarnych samochodów. Potrzebuję nazwisk i numeru ubezpieczenia kierowców. Z resztą sobie poradzę.

– Nie bądź śmieszny. Daj spokój. Oddaj mi Emilie. Dowiem się, kto zabił twoją córkę.

Cisza.

– Mamy próbkę twojej krwi. Wiem, że jesteś ojcem Louise. Powiedziała przyjaciółkom, że jesteś dobrym człowiekiem. Bohaterem. Tak właśnie robią bohaterowie? Wykradają nocą dzieci?

– Moje ktoś wykradł.

– To nie może dłużej trwać. Jesteś ranny. Postrzeliłam cię.

– Bywało gorzej. Zadzwoń jutro. Na ten telefon. Chcę nazwiska i numery ubezpieczenia. Chcę...

Eva już wróciła z miską zupy i zdumionym uśmiechem.

– Nie ma mowy – odparła Lund. – Chcesz, żeby sprawa twojej córki została rozwiązana czy nie? Oddaj mi Emilie, a ja się dowiem, kto zamordował twoje dziecko. Pogrywaj tak dalej, a ten człowiek odejdzie wolno.

Nie wiedziała, czy dalej jej słucha.

– Jutro wzywamy PET. Jeśli mają kopię tych numerów, zaczynamy od nich. To po pierwsze. Dobra?

Długie czekanie.

– Dobra – powiedział. – Nie spraw mi zawodu.

– Emilie...

– Nie musisz czekać do rana. Pod twoimi drzwiami jest kopia.

Na ulicy uruchomił się silnik samochodu.

Odjechał, zanim wyszła. Zobaczyła tylko dwa czerwone światła w oddali, jak zjeżdżają ze wzgórza do miasta.

Na wycieraczce biała koperta.

Jedna kartka, kserokopia. Dziecięce pismo chłopca z Jutlandii. Cyfry. Litery. I nic więcej.

WTOREK_
15 LISTOPADA_

Politigården tętniła już życiem, gdy Lund dotarła tam rano. Poszła prosto na spotkanie z Brixem, Borchem i szefem PET. Zanim ktokolwiek się odezwał, Dyhring przedstawił informacje. Samochód, z którego skorzystał porywacz, został znaleziony na bocznej ulicy w Nyhavn. Na fotelu pasażera była krew. Niewiele.

- Będziemy obserwować twój dom – dodał. – Może on wróci.
- Dzięki, ale prędeż bym się zdała na miejscowe przedszkole – odparła.
- Poradzimy sobie.

Cień uśmiechu na twarzy Brixa. Borch stawił się w ciemnym garniturze, krawacie, świeżo ogolony. Zmęczony. Wyglądał jak akwizytor nerwowo czekający na rozmowę kwalifikacyjną.

- Mamy inne wytyczne niż wy – powiedział ostrożnie Dyhring. – Niewykluczone, że błędnie interpretujecie wydarzenia... Dwa lata temu musieliśmy dopilnować, by nie zszargano niesłusznie imienia Hartmanna. – Spojrzał na Lund. – Wszyscy wiemy, że już raz tego doświadczył. Jako premier nie zasłużył, by znowu przechodzić przez tę gehennę.

- Uważasz, że to moja wina? – spytała Lund. – Hartmann sam uczynił siebie podejrzanym w sprawie Birk Larsen. Gdyby od początku mówił

prawdę, nie zgarnęlibyśmy go, myśląc, że zabił dziewczynę. Mógł nam pomóc rozwiązać sprawę na długo, zanim...

– Sprawa Birk Larsen jest zamknięta – przerwał jej Brix. – Nie wracamy do niej.

– Skąd wiecie, że Hartmann nie ma nic wspólnego ze sprawą w Jutlandii? – spytała Lund.

Brix wzniosł oczy do nieba.

– Proste pytanie, prawda? – dodała.

– Sprawdziliśmy ruchy samochodów z tego dnia – odrzekł Dyhring. – Lokalizacje GPS. On cały czas był w samochodzie z szoferem i personelem. Niczego więcej nie potrzebowaliśmy. Nikt z PET nie rozmawiał z Peterem Schultzem. Ktokolwiek wywierał presję na tego człowieka... to nie byliśmy my.

Borch milczał.

– Zachowanie Schultza nas zaskoczyło – ciągnął szef PET. – Od początku do końca byliśmy z wami szczerzy.

Brix parsknął.

– Tylko że Borch ukradł notes. Ważny dowód w sprawie. Sprzątnął go nam sprzed nosa. I w życiu byście się nawet o tym nie zająknęli, gdyby nie...

Dyhringowi nawet powieka nie drgnęła.

– Zamierzałem wam o tym powiedzieć dziś rano. Musieliśmy zajrzeć do niego pierwsi i rozpracować, co to znaczy. Jak już wspomniałem, mamy inne wytyczne niż wy. Mamy inny zakres obowiązków.

– Krycie tyłków politykom? – spytała Lund.

– Nie musisz być taka złośliwa. Akurat wy powinniście dobrze wiedzieć, że musimy uważać na każdy swój krok.

Chwyciła ze stołu kartkę, kopię tego, co zostawił porywacz, i pomachała przed nimi.

– Który to z tych dwunastu samochodów?

Cisza.

– Peter Schultz zmienił datę zbrodni, żeby kryć jeden z tych samochodów. Który?

– Gdybyśmy wiedzieli – rzekł Borch – powiedzielibyśmy ci.

– To ty umiesz mówić? – Postukała w papier. – Czy jest tu samochód Ussinga?

– Tak – przyznał Dyhring. – Badamy sugestię, że on znał Louise Hjelby. Ten tak zwany świadek wydaje się nieco wątpliwy...

Spojrzała na Brixa i powiedziała, że muszą przesłuchać tego człowieka.

– Parlament to nasz zakres obowiązków – zaczął szef PET.

– My mamy swoje wytyczne, wy macie swoje. Louise Hjelby została zgwałcona i zamordowana, a potem wrzucona do wody, jakby się kompletnie nie liczyła. Gwałt. Morderstwo. To nasz zakres obowiązków. A jeśli jedyne, co porywacz chce za Emilie Zeuthen, to prawda, to ja mu ją dam.

– Chyba że macie jakieś inne sugestie? – podjął Brix.

– W grę wchodzi protokoły – nie ustępował Dyhring. – Kwestia bezpieczeństwa rządu. W tym Hartmanna.

– Chcesz mi powiedzieć, że premier nie chce, by policja zbadała sprawę morderstwa? – spytał Brix. – Po tym, jak go oczyściliśmy z zarzutów w sprawie Birk Larsen? – Wzruszył ramionami. – Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Nie możecie tam po prostu wpaść – warknął Dyhring. – Wy przeszukujcie port, my zbierzemy zespół śledczy. Kiedy...

– Pieprzcie się – przerwała mu Lund. – Całą noc trzymaliśmy ludzi w porcie. Teraz zajmijmy się też tym. To nasz zakres obowiązków. – Ruchem głowy wskazała Borchę. – Zatrzymamy go, na wypadek gdyby sobie coś przypomniał w trakcie. Damy wam znać, czy potrzebujemy czegoś jeszcze.

Brix uśmiechnął się szeroko.

– No chyba że chcecie iść na skargę do ministra sprawiedliwości – dodał. – Chociaż z tego co słyszałem, wątpię, czy zechce się wychylić. Więc... – Klasnął w dłonie. – Do roboty, co?

Juncker był w porcie od siódmej, ale nie czuł się zmęczony. Tylko wściekły. Na PET. Na porywacza. Na siebie. Chodził po nabrzeżu w kasku i zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdą Emilie.

Nocna zmiana ustaliła, że samochód, którego użył porywacz, został skradziony z nabrzeża. Nic poza tym nie mieli.

Zadzwoiła Lund.

– Nie krzycz na mnie – poprosił. – Tu jest całe mnóstwo miejsc, w których mógł ukryć Emilie. Założę się, że w tej chwili trzy czwarte magazynów stoi puste.

– Przeszukaj wszystkie – poleciała. – Sprawdźcie łodzie. Kamery. Ktoś musiał coś widzieć.

– To jest coś w rodzaju prawa? Prawo Lund?

Pauza. Był pewien, że czasami potrafi ją rozśmieszyć.

– Tak, Asbjørn. Jest.

– A skoro mowa o prawie... co mam zrobić z ludźmi Zeuthena? Są wszędzie.

Teraz też przyglądało mu się trzech mężczyzn w garniturach i szarych kaskach.

– Mają nam pomagać czy coś? – spytał Juncker.

– Nie. Nie mają. Niech ci nie wcisną żadnej lipy. I nie pozwól, żeby ci mówili, co możesz, a czego nie. Mam tu rozmowę...

Musiał spytać.

– Co z Borchem?

– A co ma być?

– Z wami w porządku? Wiem, że nas przerobił. Ale to miły gość. No wiesz... Kiedy myśleliśmy, że Emilie nie żyje, to on nas postawił do pionu. Nie może być całkiem zły.

Długa cisza.

– Muszę pogadać z kimś w Christiansborgu – powiedziała. – Zadzwoń, jak coś znajdziesz.

Pierwszym punktem Hartmanna na ten dzień była debata z innymi przywódcami partii w komercyjnej szkółce ogrodniczej na zachód od miasta. Siedział z Karen Nebel w czarnej limuzynie jadącej przez przedmieścia. Kiedy dojechali do celu, ona przechyliła się i poprawiła mu krawat.

Polizała chusteczkę. Wytarła nią jego kołnierzyk.

Wykręcał się jak dziecko z rąk nadopiekuńczej matki.

– Nie możesz się fotografować ze szminką na kołnierzyku – wyjaśniła szybko. – Siedź spokojnie.

Siedział. Wyglądał na lekko skruszonego.

– Muszę pytać? – dodała.

– Opowiedz mi o tym miejscu.

Ta sama historia, co zawsze. Niemal stu pracowników. Firma mocno zadłużona. Jadąca na kredytach bankowych. Czekająca na nieuchronne zamknięcie.

– Możesz zebrać cięgi – ostrzegła.

– Od ciebie czy od nich?

Nebel wzięła do ręki swoją aktówkę.

– Co robisz w wolnym czasie, to nie moja sprawa.

– To prawda.

– Teoretycznie – dodała Nebel. – Jeśli to będzie miało wymiar polityczny...

– To ci o tym wspomnę. – Zawahał się. – Ale to osobiste. Z ręką na sercu. – Sięgnął do jej ręki. Bardzo powoli zamrugła oczami. – Naprawdę doceniam to, co zrobiłaś.

– Powinieneś. Ale i tak wolałabym, żebyś nie bzykał Rosy Lebech w gabinecie. Ludzie mogą coś zauważyć.

– Ludzie?

Stuknęła się w pierś.

– Tacy jak ja.

Wysiedli.

– Rosa nie sprzymierzy się z Ussingiem – powiedział, gdy poszli do drzwi. – Z jakiegoś powodu zmieniła zamiar.

– Ani chybi to decyzja polityczna – skomentowała Nebel. – On o tym nie wspomniał. Ona też nie.

Hartmann postukał się po nosie i puścił oko. Mimowolnie się roześmiała.

– Jesteś straszny.

– Och, daj spokój! Nikt nie chce, żeby krajem rządził święty. No chyba że ma jakiś dodatkowy zmysł. Drań z ciągotami do prawości jest o tyle rzetelniejszy...

Podniosła rękę i usunęła z jego kołnierzyka ostatni ślad czerwieni.

– No to skupmy się na prawości, co?

Niespokojny tłum ludzi w ogrodniczkach. Otoczony reporterami i fotografami Anders Ussing odpowiadał na pytania. Rosa Lebech stała z boku i wyglądała na... zmęczoną.

Nebel przybrała swój najlepszy uśmiech, podeszła i podała jej kartkę.

– Dobrze spałaś? Nie, nie musisz odpowiadać. Organizatorzy chcą zadać kilka dodatkowych pytań. Jeśli nie macie nic przeciwko...

– Ja nie mam – oznajmił Ussing.

Lebech rzuciła coś o konsultacji z doradcą politycznym i zniknęła.

Ussing podszedł do Hartmanna.

– Nawet jak na ciebie to brudna zagrywka, Troels. Naprawdę myślisz, że możesz wygrać wybory dzięki plotkom takiego głupca jak Seifert? – Śmiech, choć niezbyt oddający pewność siebie czy dobry humor. – Musisz być bardzo zdesperowany.

Hartmann był nieporuszony.

– Myślałem, że chcesz, bym dogłębnie zbadał sprawę Zeuthenów. PET zdaje się uważa, że możesz pomóc. Prosisz, żebym ich powstrzymał?

– Jedno słowo, ty dup... Jedno niewłaściwe słowo, a wykończę cię za zniesławienie. Obiecuję...

Podszedł asystent, szepnął mu coś do ucha. Twarz Ussinga znieruchomiała. Oddalił się, by odebrać telefon.

– Anders musi wracać do Christiansborgu – wyjaśnił mężczyzna. – Policja chce z nim rozmawiać.

– Jaka szkoda – mruknął Hartmann. – Nie mogą zaczekać?

– Najwyraźniej nie.

Ussing przepychał się przez tłum mediów, ignorując padające zewsząd pytania. Błyskały flesze. Twarz miał pociemniałą z gniewu.

Hartmann nieśpiesznie podszedł do Lebech.

– Cóż... – zauważył z mrugnięciem okiem – wygląda na to, że zostaliśmy sami.

W gabinecie panował chłód. Podeszła do szafek w szatni, wyjęła wełniany wzorzysty sweter, włożyła go na bluzkę. Gdy wystawiała głowę przez otwór przy szyi, stwierdziła, że od progu przygląda się jej Borch. Elegancki garnitur, wyprasowana koszula, ciemny krawat.

– Dlaczego tak się ubierasz? Wyglądasz, jakbyś sprzedawał ubezpieczenia.

Odpowiedział zgryźliwym uśmiechem. Podeszedł.

– Pracuję dla PET, Sarah. Wiesz, że o niektórych rzeczach nie mogę ci mówić. Nie bądź taka. Nie zasługuję na to. Zrobiłem, co mogłem.

Obciągnęła sweter. Przypomniała sobie, jak on to robił w skromnym pokoiku w Gudbjerghavn.

– Dlaczego tu przyszedłeś? Dlaczego nie mogłeś zostać...?

– Chciałem cię zobaczyć. – Pochylił się, próbując spojrzeć jej w oczy. – Chciałem wiedzieć, jak się miewasz. Czy jest ktoś...

– Jesteś żonaty. Masz dzieci.

Kiwnął głową.

– To prawda. Nadal nic nie mogę na to poradzić. Ani tego nie żałuję. Nie...

Włożyła kurtkę. Wzięła torebkę.

– Jesteś w moim zespole – powiedziała. – Nie w zespole Dyhringa. Kiedy będziemy rozmawiać z Ussingiem, z kimkolwiek tam... masz robić to, co każę.

Kiwnął głową.

– Więc taki masz pomysł, żebyśmy udawali, że nic się nie wydarzyło. To...?

Przyłożyła palec do ust.

– Ćśś...

Robert Zeuthen wezwał szefów ochrony. Sprawdzali kontenery na statkach cumujących w terminalach Zeelanda, otwierając je po kolei. Akcja się przeciągała i powodowała problemy z klientami.

Osiem osób wokół stołu. W tym Reinhardt.

Główny szef ochrony powiedział, że działania potrwać jeszcze tydzień.

– Zatrudnij więcej ludzi – polecił Zeuthen. – Tylu, ilu potrzebujesz.

– To nie problem ludzi. Musimy przekonywać firmy spedycyjne, żeby nam pozwoliły na otwarcie przesyłki. To oznacza, że będą musiały od nowa wykonać całą papierkową robotę. Koszt...

– Zrób to i koniec.

Reinhardt chciał porozmawiać z nim na osobności. Podeszli do okna. Na zewnątrz szare morze, nabrzeża portowe. Widzieli grupki ochroniarzy pracujących w dole wraz z policją.

– Kontaktowałem się z radą. Wszyscy, naturalnie, chcą, żeby ta historia zakończyła się jak najlepiej.

Coś niewypowiedzianego zawisło w powietrzu.

– Ale? – spytał Zeuthen.

– Jesteśmy bez steru, Robercie. Spadają ceny akcji. Krążą plotki. Jeśli ceny jeszcze spadną, będzie nam groziło wrogie przejęcie. Przez Koreańczyków, Chińczyków. Kogokolwiek.

– Jeśli chcą ponarzekać, niech się zgłoszą do mnie.

Reinhardt zeszywniał, niezadowolony z tonu głosu Zeuthena.

– Kornerup ciągle się kręci w pobliżu. Pomogłoby, gdybyśmy pozwolili mu wrócić do firmy, tymczasowo. Będę pilnował...

– Rób, o co cię proszę, dobrze? Za to ci płacę.

– Pracuję tu od osiemnastego roku życia, Robercie. Większość czasu przepracowałem dla twojego ojca. On nigdy tak do mnie nie mówił. To nie było konieczne.

– Czy mój ojciec musiał sobie radzić z taką sytuacją?

Nie czekał na odpowiedź. W recepcji zobaczył jakąś postać. Maja w błękitnym swetrze i czarnych dżinsach. Zeuthen podszedł do niej.

– Nie mogę znaleźć nikogo, kto wie, co to jest „schowek” – powiedziała, kończąc rozmowę telefoniczną. – Pytałam opiekunkę. Ich nauczycieli.

– Może to tylko jakaś wymyślona przez nich zabawa. Jest tu ekipa telewizyjna. Mamy napisany scenariusz. Możemy teraz wystąpić z apelem. Od razu wrzucą to na kanały informacyjne.

Rozmawiali już o tym rano. Brix był w kontakcie telefonicznym.

– Policja naprawdę nie chce, żebyśmy to robili, Robercie. Mówią, że zostaną zalani telefonami. Większość z nich będzie od naciągaczy.

– Policja... – burknął. – Co oni dla nas zrobili?

– Wiem...

Położył jej rękę na ramieniu.

– Nigdy cię o nic nie prosiłem. Aż do tej pory. Ale... proszę.

Kiedyś odsunęłaby się od niego, odruchowo zrzuciłaby jego rękę. Nie teraz.

– Ten jeden raz – błagał.

Pomieszczenie obok. Dwa krzesła pod oknem. Światła. Operator. Reżyserka, kobieta z mikrofonem.

I jedno ślepe oko obiektywu, do którego mają mówić.

Biuro Ussinga, niewielki, zwyczajny pokój na tyłach siedziby Parlamentu. Nie usiadł. Nie chciał przyznać, że Lund i Borch mają

jakikolwiek prawo odciągać go od kampanii. Asystent z kolei usiadł i słuchał jako świadek.

– Chodzi o odnalezienie Emilie Zeuthen. – Lund nie chciała dłużej słuchać jego skarg. – Nie wątpię, że wyborcy wybaczą panu nieobecność.

Przysadzisty mężczyzna o chytrej, agresywnej twarzy. Spojrzał na nią groźnie i powiedział:

– Nie próbujcie ze mną tych sztuczek. Ja nie jestem Troels Hartmann, a to nie jest sprawa Birk Larsen. Nie wsadźcie mnie do aresztu. Już powiedziałem prawdę.

Przeszła do zadawania pytań.

– Peter Schultz był pańskim przyjacielem. Spotkaliście się. Pański samochód był w rejonie, w którym zginęła Louise Hjelby. Naprawdę uważa pan, że nie mamy prawa tu przychodzić?

– Proszę posłuchać. To, co się tu dzieje, jest bulwersujące. Gdybym był w stanie pomóc, pomógłbym. Schultz i ja byliśmy po prostu przyjaciółmi...

– Mamy świadka, który mówi, że słyszał, jak rozmawialiście o Louise Hjelby – powiedział Borch.

Ussing zareagował śmiechem.

– Seifert? Wyrzuciłem tego kretyna, bo sięgnął do funduszy na kampanię. Niech się, do cholery, cieszy, że nie oskarżyłem go o kradzież.

– Dlaczego go pan nie oskarżył? – spytała Lund.

To pytanie mu się nie spodobało.

– Nie chcieliśmy rozgłosu. Ze względów wizerunkowych.

Lund wyjęła zdjęcie Louise Hjelby, pomachała mu nim przed nosem.

Nowe zdjęcie. Wykonane tydzień przed jej zniknięciem. Śliczna dziewczyna. Długie ciemne włosy. Zbyt blada skóra. Zero uśmiechu.

– Widział ją pan kiedykolwiek? – spytała stanowczo.

Ussing zerknął na asystenta. Ten wpatrywał się w podłogę.

– Sprawdziliśmy pana – dodał Borch. – Dwudziestego kwietnia dwa lata temu prowadził pan kampanię w Gudbjerghavn. Tam gdzie została zamordowana Louise.

– Wszyscy tam byli. Zeeland zamykał port. Odbyła się debata. To była wielka sprawa.

– Oto kopia pańskiego rachunku za hotel. – Lund rzuciła na blat kartkę. Ussing usiadł, spojrzął na rachunek. Milczał.

– Pan prowadził czarny samochód – powiedział Borch. – Bmw. Widziano go na tej samej drodze, którą przemieszczała się Louise. Mniej więcej w tym samym czasie.

– Prowadziłem kampanię!

Lund chwyciła krzesło, usiadła. Jakby chciała powiedzieć: „Będę tu siedzieć do skutku”.

– Dziewczynkę zgwałcono, a potem zamordowano. Pański przyjaciel Peter Schultz napisał, że to było samobójstwo. Emilie Zeuthen mogła przez to zginąć. Bądźmy więc precyzyjni. O czym pan i Peter Schultz rozmawialiście przez niemal godzinę? I proszę nam nie mówić, że o pogodzie...

Podszedł asystent, szepnął na ucho parę słów.

– Zdaje się, że wykorzystaliśmy dziewczynkę w jednej z naszych kampanii – powiedział wreszcie Ussing.

Mężczyzna położył na desce broszurę.

– Miała zainteresować ludzi zakładaniem rodzin zastępczych – wyjaśnił.

– Zamknięto wiele prywatnych domów dziecka. Była taka potrzeba. Nadal jest. To była lokalna inicjatywa...

– A pan się nazywa...? – spytał Borch.

Był to Per Monrad. Szef kampanii Ussinga.

– Anders uznał, że organizacja jest najważniejsza. Chcieliśmy wykorzystać dziewczynkę jako przykład, jak to może działać. Potem... – skrzywił się – potem się dowiedzieliśmy, że ona się zabiła.

Postukał palcem w broszurę.

– Wydrukowałem to w tysiącach egzemplarzy. Musieliśmy wiele przeznaczyć na przemiał. Nie wyglądałoby dobrze...

Lund wertowała strony.

– Co miał z tym wspólnego Schultz? Czego od niego chcieliście?

Ussing wzruszył ramionami.

– W sumie nic nie miał z tym wspólnego. Usłyszeliśmy, że dziewczynka się zabiła. Musiałem zdecydować, czy prowadzimy tę kampanię, czy nie. Rozmawialiśmy więc o tym, co się stało. Niepokoilem się, że może to my ją tak zdenerwowaliśmy, wykorzystując w reklamie. Wydawała się trochę nieśmiała. A nie wiedzieć czemu agencja nigdy nie uzyskała zgody rodziców zastępczych ani szkoły. To pewnie niedopatrzenie. Podobno dziewczynka nie chciała, żeby wiedzieli, dopóki broszura nie wyjdzie.

Rozkładówka. Anders Ussing i Louise Hjelby. On uśmiechał się szeroko i obejmował ją ramieniem.

Lund podniosła zdjęcie, pokazała je Borchowi, potem Ussingowi. Czekala.

Polityk nie ustępował.

– Nawet tej dziewczyny nie znałem. Ustawiłem się po prostu do zdjęcia. Nigdy wcześniej ani później jej nie widziałem.

Borch kiwnął głową, jakby mówił: „Doprawdy?”.

– Nie podwiózł jej pan tamtego popołudnia? – spytała Lund. – Nie wsadził pan jej roweru do bagażnika?

– Nie! Czy wy sugerujecie, że ja zabiłem tę dziewczynkę?

– Pytamy tylko – rzucił Borch.

Monrad położył na stole kolejny arkusz.

– Oto, co Anders robił tamtego dnia. Miał bardzo napięty plan. Cały czas spotkania. Po południu pojechaliśmy do Esbjerg na debatę z Hartmannem.

– Wystarczy? – spytał Ussing, wstał od stołu i poszedł po płaszcz.

– Chcę cały terminarz kampanii z tego dnia – powiedziała Lund.

– To bulwersujące...

Borch już rozmawiał przez telefon.

– Jeśli tego nie dostanę, wrócę z nakazem – obiecała.

Borch zakończył rozmowę. Agencja reklamowa potwierdziła, że Louise wzięła udział w sesji fotograficznej do broszury tydzień przed swoim zaginięciem. Ussing miał inne powiązania z Schultzem, między innymi coś związanego z kredytem bankowym. Próbowali ustalić szczegóły na ten temat.

– Jakim cudem, do cholery, wasi ludzie to wszystko przeoczyli? – spytała Lund. – Co wyście robili?

– Nie wiem. Prosiłem o odbitki wszystkich zdjęć.

Ruchem głowy wskazała biuro Ussinga.

– Co o nim wiecie? O jego życiu prywatnym?

Milczał.

– Czy to jakaś tajemnica?

– Ty czasami naprawdę nie odpuszczasz. Ussing rozwiódł się pięć lat temu. Ma dwójkę dorosłych dzieci. Nie widuje ich za często. Jest heteroseksualny i lubi kobiety. Nie dziewczynki, o ile wiem. Coś jeszcze?

– Niech ludzie wezmą pod lupę jego terminarz – poleciła. – Porozmawiaj z jego szefem kampanii. Nie z tym błaznem Monradem. Chcę się spotkać z ludźmi Hartmanna. Rozpracujmy, czy te spotkania trzymają się kupy. I...

Borch nie słuchał. Szedł w stronę telewizora na końcu korytarza, wpatrując się w ekran.

Maja i Robert Zeuthenowie, ręka w rękę, choć raz nieskrępowani bliskością. Za nimi port i płaskie, zimne morze.

– Mamy nadzieję, że ludzie nam pomogą – mówił Zeuthen.

– Jeśli ktoś coś widział, widział Emilie, proszę się zgłosić – dodała Maja, czytając z niewidocznego telepromptera.

Kamera skupiła się na jej twarzy.

– Ona wie, że jej szukamy. Wie, że nie ustąpimy, dopóki jej nie znajdziemy.

Przeście na prezentera wiadomości. Nagroda za bezpieczny powrót Emilie – aż sto milionów koron.

Lund przypomniała sobie, jak Birk Larsenowie poszli tą samą ślepią uliczką, chociaż oczywiście nie zaproponowali żadnych pieniędzy.

– Myślałem, że panujecie nad Zeuthenami – powiedział Borch. – Każdy wariat w tym kraju zadzwoni, telefony nie umilkną ani na chwilę. To jest...

– Tak, wiem – przerwała mu. – Bardzo źle się stało.

Maja Zeuthen wróciła wprost do Drakkara. Carl jeździł po holu na swoim trójkołowym rowerku.

Dom wydawał się pusty. Może personel miał wychodne.

Carsten zadzwonił i spytał:

– Wróćcie niedługo do domu?

Dom.

Takie krótkie słowo. Pełne zawłości i dylematów.

– Nie wiem kiedy – odparła. – Zadzwonię do ciebie.

I tyle.

Patrzyła, jak chłopczyk pędzi do kominka w gabinecie, jak parkuje tam rowerek.

– Mógłbyś pojechać do schowka – zasugerowała. – To już nie jest tajemnica.

Carl spojrział na nią znacząco.

– Mamo... – powiedział.

Potem wziął talię kart i zaczął je rozdawać.

– I tak wiem, gdzie to jest. – Przyglądała mu się, widziała, jak swobodnie się czuje w wielkim starym domu. – Jest w garażu.

Parsknął.

– Nie!

– No to w piwnicy.

– Nie.

– A więc...

– Nie chcę jechać na górę.

Kiwnęła głową i próbowała rozgryźć, o jakim miejscu on mówi.

– Na górę?

Karty. Przetasował je.

– Carl. Co masz na myśli, mówiąc „na górę”?

– Emilie powiedziała, że mam ci nie mówić. Powiedziała...

Dość. Podeszła i wzięła go za ramiona, spojrzała na jego zdumioną buzię.

– Musisz mi pokazać, gdzie to jest, synku. Może Emilie coś tam zostawiła. Może... – Marzenia. To były tylko marzenia i w tej chwili wydawały się jeszcze bardziej nierealne niż zawsze. – Może tam coś znajdziemy.

Podszedł do drzwi i zaczął tam na nią.

Cztery piętra wyżej, gdzieś we wschodnim skrzydle blisko kamiennego smoka, który zawsze ich fascynował. Opuszczone pokoje, których nigdy nie potrzebowali, nigdy nie sprząтали, nie zajmowali.

Pomieszczenie gospodarcze, zwykłe półki, kartony. Rzeczy jeszcze sprzed ich małżeństwa, nietykane od czasu rodziców Roberta.

Dach się obniżył. Carl ruszył prosto do ukrytego włącznika światła. Przykucnięta podążyła za nim do wąskiej przestrzeni pomiędzy dwiema ścianami.

Pod maleńkim oknem dywanik na podłodze. Maja wczołgała się w róg, znalazła niski abażur, włączyła światło.

Spojrzała na okrągłe szkło ponad nimi, rozpoznała jego kształt. To było jedno z oczu kamiennego potwora starego Zeuthena. Mityczny stwór wikingów, którego on uczynił godłem Zeelanda. Pod spodem znajdowało się miejsce, do którego dzieci uciekały, gdy ona kłóciła się z Robertem. Tajemne schronienie przed rozpadem rodziny.

Maja uklękła na dywaniku. Spojrzała na skrawki papieru. Jak jej pamiętnik. Ta sama prosta, dziecięca ręka.

Serca i kwiaty. Słowa „mama” i „tata” połączone jakby w nadziei. Odwróciła kartkę. Przyklejone zdjęcie z ich ślubnego albumu. Ona i Robert wyglądali młodo. Tak bardzo zakochani.

– Tata wie, że tu przychodzicie?

Odgarnął na bok grzywkę i spojrzał na matkę. Pokręcił głową.

– My się tylko bawiliśmy. Nic więcej.

Przeglądała papiery. I zdjęcia. Mały kotek na zielonej trawie. Nagle pod maskotką znalazła biały kabelek. Pociągnęła go i spod dywanika wyjrzał iPad w czarnym skórzanym etui; drogi dyrektorski gadżet.

– To nie jest iPad Emilie. Jej jest na dole.

Carl patrzył tępo.

– Skąd to się tu wzięło, synku?

Wahał się.

– Proszę. To ważne.

– Emilie powiedziała, że dał jej to ten pan.

Płytki oddech, puls szaleje.

– Jaki pan?

Zamknęła oczy. To bolało.

– Jaki pan?

– Pan z kotkiem. – Płakał. Rozumiał, że powinien to powiedzieć. Jakoś nie miał odwagi. – Z małym kotkiem, przy ogrodzeniu.

Maja Zeuthen uniosła czarną okładkę iPada. Znalazła przycisk i włączyła urządzenie.

Morten Weber zadzwonił, gdy jechali ze spotkania w szkółce ogrodniczej. Wydawał się zadowolony.

– Prasa nie zostawia suchej nitki na Ussingu – powiedział Hartmannowi i Nebel, siedzącym na tylnej kanapie. – Rozpuszczam wieść, że to jeszcze nie wszystko. Miejmy nadzieję.

– Tylko nie przesadz – ostrzegła Nebel. – Niech się sam powiesi.

Weber milczał chwilę.

– Miejmy taką nadzieję – rzekł wreszcie. – Schodzą się wszyscy ci ludzie, Troels, którzy wczoraj chcieli cię spalić na stosie. Birgit Eggert gdacze jak szczęśliwa kwoka. Osobiście mam ochotę ukreć jej ten parszywy łeb.

– Morten... – jęknęła.

– Powiedziałem, że mam ochotę, a nie że ukreć. Jeszcze nie. Aha. Dostałem wiadomość od Rosy Lebech, że nie wiecie czemu zmieniła zdanie. Teraz znowu jest naszym sojusznikiem. – Kolejna pauza. – W ogóle nie mam pojęcia, co ją do tego nakłoniło.

– Mówiłem, że wszystko się ułoży – oświadczył Hartmann.

– Kiedy to mówiłeś? Jak wczoraj rąbałeś drwa, bredząc o rezygnacji? I jeszcze jedno. Dzwoniła Lund. Prosi o nasze terminarze z ostatnich wyborów. Chcą sprawdzić, czy Ussing rzeczywiście był z tobą w terenie, gdy zaginęła tamta dziewczyna.

– Daj jej wszystko, czego chce, Morten. Tylko trzymaj ją ode mnie z daleka.

Śmiech.

– Postaram się, obiecuję.

Teraz z kolei zawahał się Hartmann.

– Dzięki, że wróciłeś – rzekł wreszcie. – Zachwiałem się, prawda?

– Owszem, Troels. A ty nie należysz do tych, którzy się chwieją.

– Już się nie zapomnę – obiecał.

Rozmowa dobiegła końca. Nebel spojrzała na niego, gdy samochód włączał się do ruchu.

– Co to miało znaczyć? – spytała.

– Nic się pani nie zmieniła – powiedział Weber do Lund, gdy ta wraz z Borchem weszła do biur premiera.

– Doprawdy?

Weber też się chyba nie zmienił. Niski, nieco niechlujny mężczyzna z potarganymi czarnymi włosami, w mocnych okularach. W drodze od władzy samorządowej po państwową nabył źle dopasowany trzyczęściowy garnitur, ale nic poza tym. Był bystry, przebiegły, bezgranicznie oddany Hartmannowi w czasie długiego śledztwa w sprawie Birk Larsen. Jeśli chciał, stanowił poważną przeszkodę. Ktoś taki, kto smarował kółka, kiedy leżało to w interesie Hartmanna.

– To Mathias Borch z PET – dokonała prezentacji. – Znacie się, panowie?

Uścisnęli sobie dłonie. Lund prawie im uwierzyła, że się nie znają.

Gdy wchodzili do budynku, zadzwonił do nich Brix. Po telewizyjnym apelu Zeuthenów Politigården została zalana telefonami. Chyba połowa Danii uznała, że widziała Emilie, i zastanawiała się, jak zgarnąć nagrodę.

– Ussing daje nam popalić – powiedziała Lund do Webera. – Twierdzi, że podłożyliście mu świnie z pobudek politycznych.

– A czy zabrzmiało to przekonująco?

– Nie do końca – przyznała. – Raczej odnieśliśmy wrażenie, że kłamie w żywe oczy.

Weber się uśmiechnął.

– No ale jest politykiem – dodała. – Czego więc mielibyśmy oczekiwać?

Uśmiech znieruchomiał.

– Czego konkretnie życzy sobie pani ode mnie?

– Czy Hartmann miał debatę z Ussingiem dwudziestego kwietnia dwa lata temu? – spytała.

Palce Webera przebiegły po klawiszach laptopa stojącego na biurku.

– Tak. Miał.

– Nie jest to po prostu nieaktualny wpis w starym terminarzu? Jest pan pewien?

Roześmiał się.

– Przykro mi, już zapomniałem. Rozmowa z panią jest jak islamski rozwód, prawda? Wszystko trzeba powtórzyć trzykrotnie. Tak, miał. Tak, miał. Tak, miał. – Kolejny pasaż po klawiszach. – Odbyła się w fabryce mączki rybnej w Esbjerg. Zaczęła się o siedemnastej trzydzieści.

Jeszcze jedno dźgnięcie palcem w laptop. Obrócił go monitorem do gości, żeby mogli zobaczyć. Wycinek z miejscowej gazety. Zdjęcie Ussinga i Hartmanna na podwyższeniu.

– Czy Ussing zachowywał się wówczas dziwnie? – spytał Borch.

– Chyba nie bardziej niż zwykle. To w głębi duszy kawał zbira. Od takich ludzi nie oczekuje się subtelności.

– A Hartmann? – spytała Lund. – Jaki on był?

Weber nic nie powiedział. Borch też na nią patrzył.

– Pytam z ciekawości – dodała. – Czy prowadził samochód tamtego dnia? Czy może się zdrzemnął w rządowej limuzynie?

– Czemu miały to robić? – zdziwił się Weber.

– Nie wiem. Po prostu się zastanawiam, czy to zrobił.

– Nie sądzę.

– Ale nie wie pan?

Weber rozsiadł się wygodnie.

– Miał kierowcę. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie jego poczynania są rejestrowane. Proszę spytać PET. Oni się tym zajmują. Poza tym mamy autokar wykorzystywany w trakcie kampanii wyborczej i kilka samochodów pomocniczych. Kiedy udajemy się w trasę, Hartmann nie przepada bez śladu, chyba że za moją zgodą. Ktoś zawsze z nim jest.

Zadzwoił telefon Borch. Odszedł odebrać.

– Czemu pani pyta? – spytał natarczywie Weber.

– Na tym polega moja praca.

– Lund. Rozumiem, że uważa pani, że wtedy Troels nie zrobił tyle, ile powinien.

– To nie jest kwestia uważania. Hartmann nie zrobił tyle, ile powinien.

– Dobrze. Nie zrobił. Ale to porządny, szczerzy człowiek. Nieco skory do skrywania słabości uczuciowych. Ale nikt nie jest doskonały. Ma prawo do prywatnego życia tak samo jak każdy z nas. To wszystko?

Spojrzała na Borch. Nic już nie chciał.

– Na razie tak – odparła.

Najnowsze sondaże napłynęły pod wieczór. Hartmann puszył się nimi.

Potem Weber opowiedział mu o śledztwie.

– Rozumiem, że Brunhilda tu była.

Weber spojrzał na niego pytająco i usiadł pod oknem.

– Walkiria Politigården.

– A. Opera to nie mój konik, wybacz. Ona po prostu wykonuje swoją pracę, Troels. I to dość dobrze. Nie sądzimy przecież, że Ussing zamordował tamtą dziewczynkę, prawda?

Nebel słuchała od progu.

– Dopóki błoto się trzyma... Nigdy nie zabijają czyny, lecz kłamstwa – powiedział Hartmann z uśmiechem.

– Chyba jednak czyny – zauważył Weber. – Albo jedno i drugie.

– Mam tu Mogensa – zmieniła temat Nebel. – Z Birgit. Mówiłam, że chcę na słówko.

– Mówiłaś – przyznał Weber. – Wpuść ich.

Rozluźnieni i uśmiechnięci – Rank w eleganckim garniturze, Eggert ubrana niezbyt starannie – weszli do gabinetu.

– Mieliśmy nieformalne spotkanie komitetu – oznajmił Rank. – Po całym tym wczorajszym zamieszaniu. Przekazują pozdrowienia. Wszystko wygląda dobrze. A jakie sondaże!

– Od dziesięciu lat nie mieliśmy takiego poparcia na prowincji! – dodała Eggert. – To wspaniałe. Nie ukrywajmy, w ogromnej mierze to twój osobisty sukces. Twoje przywództwo. Twoja charyzma. Twój charakter.

– A więc sprawdziliście? – spytał Hartmann.

– Oczywiście, musimy sprawdzać – odparła. – I wychodzi na to, że twój świadek nie do końca mylił się w sprawie Ussinga.

Trzymała ręce za plecami. Coś w nich miała. Podeszła do biurka i podała mu butelkę czerwonego wina. Bordeaux. Stare. Drogie.

– Nie umiem przeprosić za to, co się stało. Mogens wspaniale wyjaśnił niezręczną sytuację. Wyprowadził mnie z błędu w kilku punktach. – Machnęła butelką. – Mam nadzieję, że to trochę... pomoże.

Popatrzył na etykietkę.

– Słyszałam, że to jedno z twoich ulubionych – pośpieszyła z pomocą. – Trzymałam je na wieczór wyborczy, ale... – rozejrzała się – czemu nie teraz?

– Nie kłopot się – powiedział Hartmann. – Lepiej je zostaw na moment, kiedy wyznaczę swój nowy gabinet. Przyda ci się coś na pocieszenie.

– Troels – wtrącił Rank szybko. – Ostatnio wszyscy żyliśmy w wielkim napięciu. Birgit wie, gdzie popełniła błąd. Próbuje...

Umilkł, gdy Weber wstał i stanął obok nich. Ze skrzyżowanymi na piersi rękoma mierzył gości od stóp do głów.

– To nie jest przedmiotem dyskusji – powiedział. – Premier już ci nie ufa, Birgit. Czemu miałby ci ufać?

Nie patrzyła na niego. Tylko na Hartmanna.

– Pracujemy razem od lat, Troels.

– To jeszcze jeden powód, byś nas wspierała, gdy zachodzi taka potrzeba – zauważył Weber. – Zaraz po wyborach generalny sekretarz przygotowuje Ministerstwo Finansów do twojego odejścia. Do tego czasu masz zakaz wystąpień publicznych. Nie powinnaś też uważać się za członka rządu.

Podszedł do drzwi, otworzył je i wskazał na butelkę.

– W moim pokoju jest korkociąg. Jeśli chcesz, możesz go po drodze pożyczyć.

Zamknął je za nią, a potem spojrział na Ranka, samotnego, zmartwionego, bez uśmiechu.

– Nie masz się czego bać, Mogens – powiedział Weber i poklepał go po plecach. – To już koniec. Może masz gównianą pamięć, ale jesteś lojalny.

Rank podziękował i wyszedł potulnie.

– Zanim dojdzie do windy, zwoła swoich kumpli, małych intrygantów.

Wiesz o tym, Troels.

– Niech zwołuje. To banda pasożytów. Ja wygrywam. I tylko to się liczy.

– A Rosa?

Hartmann wstał.

– Zostaw ją mnie.

Znalazł ją za recepcją, w głębi korytarza. Siedziała na sofie, wyglądała profesjonalnie w nowym szykownym kostiumie.

Na jego widok wstała i zaczęła mówić, zanim zdążył otworzyć usta.

– Przychodzę z posiedzenia egzekutywy mojej partii. Zatwierdziliśmy umowę. Nawet niedowiarki są teraz nastawione entuzjastycznie. Możemy ją podpisać od razu. I podać do wiadomości publicznej.

– Naprawdę? Tym razem jesteś pewna?

– Absolutnie! Partia Centrum poprze twoją kandydaturę na stanowisko premiera. Kiedy wygrasz, my temu przykłaśniemy. – Sięgnęła po płaszcz. – Wydajmy oświadczenie dla prasy i chodźmy na kolację. Ostatnia noc była trochę... intensywna, że tak powiem?

– Mogę poprosić o słówko tutaj? – spytał.

– Słucham?

Wzruszył ramionami.

– Muszę podziękować, to znaczy odmówić. Nie, dziękuję. Nie będzie sojuszu. Ani politycznego – cały czas patrzył jej prosto w oczy – ani osobistego.

Twarz jej zmarkotniała.

– Nie rozumiem.

Najkrótszy z kpiących uśmiechów.

– Twoje towarzystwo jest rozkoszne, Roso, wspólnie spędzone chwile słodkie, ale... twój były mąż jednak mnie oszukał, wynosząc tajne dokumenty z Ministerstwa Sprawiedliwości. Co gorsza, popędziłaś do Andersa Ussinga w chwili, gdy sytuacja zrobiła się nieciekawa. Nie było cię, gdy cię potrzebowałem. A teraz, kiedy cię nie potrzebuję... cóż... – Skruszona mina, która wcale nie była skruszona. – Kogo obcho...

– Znaczymy coś dla siebie. Prawda?

Hartmann westchnął i spuścił wzrok.

– Muszę być szczery. Jestem prostym czułym facetem. Nigdy nie wątpiłem we własną szczerść. Problem w tym... że jakoś nie mogę się przekonać do twojej.

Wściekłość na jej twarzy. Czasami wywoływał coś takiego u kobiet i niezmiennie go to zaskakiwało.

– Co? – spytała. – Co?!

– To nie powinno wpłynąć na naszą pracę – dodał z naciskiem. – Zawsze będę cenił twoje zdanie w kwestiach politycznych. W granicach rozsądku, oczywiście.

Uśmiech. Uścisk ręki, który zaskoczył ją tak bardzo, że go odwzajemniła.

Nebel przyglądała się temu z recepcji, widziała, jak odchodził. Chwyciła go za ramię i odciągnęła na bok.

– Mogę spytać, o co chodzi?

– Decyzje.

– Właście wpadłam na schodach na Birgit Eggert. Jest wściekła.

– I co z tego? Nie potrzebuję jej. – Obejrzał się na Lebech, która już odchodziła. – Podobnie jak Partii Centrum. Widziałaś sondaże, prawda? Jesteśmy na czele. – Dźgnął ją palcem w pierś. – Ja jestem na czele. To mnie pragnie kraj. Nie Birgit. Nie Rosy.

Patrzyła z wściekłością.

– Zatem przygotowaliście to sobie z Mortenem? I nie przyszło wam do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

Hartmann przechylił głowę na bok, jakby go zaskoczyła.

– No przecież właśnie ci mówię, prawda?

Na dole, w parlamentarnym garażu, Lund i Borch szli wzdłuż szeregów pojazdów.

Wszędzie czarne samochody. Politycy widać takie lubili. Napływały informacje o Ussingu. Wyglądały interesująco.

Po dziesięciu minutach Borch znalazł właściwe auto. Bmw. Ciągłe zarejestrowane na nazwisko Ussinga.

Obeszli je, oglądając dokładnie. Prywatne auto, niemal trzyletnie.

– Jeśli myślisz to, co ja myślę, że ty myślisz, to zapomnij.

Przykucnęła z tyłu. Bagażnik był na tyle duży, by zmieścić się w nim rower dziewczynki.

– On może być następnym premierem – dodał Borch. – Musimy zachować ostrożność.

Teraz oglądała opony. Dołączył do niej.

– Wiem, że jest ohydny dupkiem, ale to nie jest niezgodne z prawem. Na razie...

Błysnęły światła. Coś piknęło. Podnieśli wzrok i zobaczyli Ussinga. Szedł w ich stronę z pilotem w ręku.

– Co to ma być, do cholery? – wrzasnął. – Jesteście na usługach Hartmanna czy co? Wynocha stąd...

Podszedł do drzwi. Lund stanęła mu na drodze.

– Rozmawialiśmy z pańskimi ludźmi w Jutlandii – powiedział Borch. – Nie wiedzą, gdzie pan był dwudziestego kwietnia dwa lata temu, zanim

przyjechał pan na debatę.

To go rozsierdziło.

– Śpieszę się na spotkanie. Macie się natychmiast odsunąć od mojego wozu.

Borch wyjął notatnik.

– Zasiada pan w radzie nadzorczej Banku Pracowniczego. Schultz był tam poważnie zadłużony. Pod zastaw nieruchomości. Bank nigdy nie dopomniął się o pieniądze.

Ussing rozdziawił usta i pokręcił głową.

– Co?

– Czy taką mieliście umowę? – spytała Lund. – Pan mu anulował dług, a on napisał, że dziewczynka popełniła samobójstwo?

– Właśnie tak! – Podszedł do drzwi. – Jeśli chcecie coś jeszcze, zadzwońcie do mojego adwokata.

Chwyił za klamkę, otworzył i zamierzał wsiąść. Lund go odepchnęła i zatrasnęła drzwi.

– Znał pan Louise Hjelby – powiedziała. – Co jej pan obiecał? Trzymaj się mnie, a zapewnię ci sławę? Wsadź rower do bagażnika i przejedziemy się za miasto?

– To śmieszne. Jadę.

Machnął kluczykami. Lund mu je wyrwała.

– Nie tam dokąd pan myśli. Zabieramy samochód do sprawdzenia. Będzie pan musiał odpowiedzieć na nasze pytania...

Ussing zaczął wykrzykiwać coś o nękanii. Zadzwoił telefon Lund.

Juncker. Wciąż był w porcie. Nie było dobrze. Kamera uchwyciła ślizgacz, gdy wracał spod mostu.

– Jest na nim jedna osoba. Ciągłe ma na sobie tę maskę. Emilie nigdzie nie widać. Może wyrzucił ją za burtę po drodze.

– To nie...

– Mam zdjęcia! Dwadzieścia minut później widać, jak odjeżdża czerwona furgonetka. Emilie tam nie było.

Słyszała rozpacz w jego głosie.

– Jeśli to biedne dziecko nie żyje – szepnął Juncker – to nieważne, czy rozwiążemy tę starą sprawę, czy nie, prawda?

– Ważne. Szukaj dalej.

Gdy się rozłączyła, Ussing wciąż jeszcze krzyczał. Zastanawiała się, czy od razu go zwinąć.

Nagle jej telefon zadzwonił ponownie. Brix.

– Postępujemy zgodnie z regulaminem – powiedziała ze znużeniem. – Cokolwiek mówią ludzie Ussinga...

– Zapomnij o Ussingu – przerwał jej. – Musisz przyjechać do portu. Zeuthenowie tu są. Coś znaleźli.

Padają, gdy dotarli do terminala Zeelanda. Żurawie i wózki pracowały na nabrzeżu, jaskrawe światła odbijały się od nieruchomej wody. Juncker i Madsen stanęli przed tymczasowym biurem, które Zeuthen urządził na czas poszukiwań. Policja była trzymana na dystans, chociaż od czasu do czasu Niels Reinhardt informował ich, co się dzieje. Po jego tonie można było sądzić, że to drogie, bezowocne przedsięwzięcie.

Lund zajrzała przez okno kabiny. Siedział tam Zeuthen – choć raz w zwyczajnej kurtce. Stojący obok Reinhardt miał na głowie kask. Dalej smukła postać Mai Zeuthen. Trzymała coś w ręku. Nie powiedzieli Junckerowi, co znaleźli. Chcieli rozmawiać wyłącznie z Lund.

– Dobra – powiedziała i weszła do środka.

Czarny iPad – według Mai dowód, że porywacz nawiązał wcześniej kontakt z Emilie. Zeuthen stał z tyłu, gdy żona wszystko wyjaśniała. To się

stało w Drakkarze. Może więc czuł się winny.

Maja uruchomiła nagranie, które znalazła.

Emilie, szczęśliwa, podekscytowana, zaglądająca w obiektyw kamery. Wiadomość dla nieznanego. Najwyraźniej w podziękowaniu za przysługę.

– Cześć! I dzięki za iPada. Bardzo się z niego cieszę. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

Lund patrzyła uważnie. Dziewczynka była w koszuli nocnej, miała długie, pięknie uczesane włosy. Za nią widać było ścianę, prawdopodobnie na strychu. To była tajemnica. Tajemnica, której trzeba było dochować.

– Rodzice i tak nie pozwalają mi rozmawiać on-line. Mówią, że nie wolno mi rozmawiać z obcymi. – Odgarnęła blond włosy. – Ale to nieważne.

Zeuthen odwrócił wzrok. Już to oglądali. Nie chciał przeżywać tego ponownie.

– Oni już za dużo nie mówią – powiedziała Emilie, kręcąc głową. – Tylko się kłócą. Nie wiedzą, co robię. Nic ich to nie obchodzi. – Rozpromieniła się. – I dziękuję za zdjęcia kici. Wszystkie są takie słodkie. Nie wiem, którego chcę mieć.

Juncker zaklął, spojrzał na Lund.

– Możesz je wszystkie przyprowadzić do ogrodzenia, żebym mogła je poznać? – Ręka nerwowo powędrowała do włosów. – Jeśli jutro będziesz chciał porozmawiać, zostaw mi wiadomość na wallu. Cześć...

Machnięcie ręką. Zeuthen przeciął małe biuro, cały czas wpatrując się w mapy na ścianie.

Lund podeszła do niego. Zaczekała, aż na nią spojrzy.

– Mogłem to powstrzymać – rzekł.

– Jak?

Nie odpowiedział.

– Powinien pan odwołać swoich ludzi, Robercie. Emilie nie dotarła do portu. Mamy nagranie z kamery przemysłowej. Wracał z mostu. Sam.

Zeuthen zastanawiał się chwilę, po czym wskazał mapy.

– Musiał ją po drodze wysadzić na jakiś statek. Poszerzymy rejon poszukiwań. Możemy...

Jego żona ciągle patrzyła na wideo. Palcami dotykała monitora. Jakby dziewczynka naprawdę tam była.

– Powinien pan z nią porozmawiać, Robercie. Ona pana potrzebuje.

Tyle map i wykresów. Zatoczek i fiordów. Tras i map pogody. Szeroki świat poza tą maleńką kabiną.

– Nie pozbędziecie się bólu – dodała – ale jeśli się nim podzielicie, może będzie łatwiejszy do zniesienia.

Podszedł i patrzył, jak kolejny raz odtwarza nagranie wideo. Położył palce na ekranie obok palców żony. Potem objął ją ramieniem.

Juncker robił się niespokojny.

– Mogę spojrzeć? – spytał, wskazując iPad. – Chcę tylko coś sprawdzić.

Maja Zeuthen zawahała się chwilę, nim go podała.

– Emilie dostała go od niego – powiedział młody detektyw. – Zna się na komputerach. Musiał go najpierw skonfigurować, żeby mogli rozmawiać.

– To prawda – przyznał Borch.

Juncker zamknął plik z filmem i wszedł do ustawień. Urządzenie przechowywało logi połączeń z siecią. Zobaczyli szeregi cyfr. Najpierw ciągle ten sam adres IP – Drakkar.

A na samym dole ekranu inny.

Szereg cyfr. I nazwa: Marigold Cafe.

Juncker wyjął swój smartfon, wpisał coś kciukiem.

Pokazał im: teren przemysłowy nad wodą, za Vesterbro.

– Tam po raz pierwszy połączył się z siecią – powiedział młody detektyw. – Musiał gdzieś tam mieć metę.

Lund nie mogła oderwać wzroku od mapy. Rzeka płynęła pomiędzy portem a mostem, przy którym sfingował zabójstwo Emilie. Mógł się zatrzymać po drodze.

Po dwudziestu minutach dotarli na miejsce. Nieczynna fabryka nad wodą, puste pomosty, puste parkingi. Juncker zdołał już ustalić, że zakład należał do Zeelanda. Jedynym czynnym miejscem była knajpa. Lund wysłała Junckera do środka, gdy oni z Borchem poszli się rozejrzeć.

Nie za dużo mieli do oglądania.

Po paru minutach wrócił Juncker z wieściami. Matka Louise Hjelby pracowała w knajpie, kiedy zakład jeszcze działał. Ludzie ją pamiętali, lubili. Jeden człowiek nawet pamiętał Louise jako małe dziecko. Mówił, że niedawno ktoś pytał o matkę i dziewczynę.

– I? – ponaglił go Borch.

– I to wszystko. Żyje tu trochę bezdomnych. Zaznajomiliście się już z nimi?

Trudno było znaleźć kogokolwiek, z kim by można pogadać. Borch próbował z kilkoma mężczyznami stłoczonymi przy koksowniku, ale ledwie mówili po duńsku. Lund przejrzała pusty teren przed fabryką. W jednej z wnęk dostrzegła kogoś.

Podeszła. Kobieta o długich, sterczących na wszystkie strony włosach, skulona pod ścianą, ściskająca w ręku butelkę.

Postanowiła spróbować.

– Trzy noce temu – zagadnęła Lund – przepływała tędy ta łódka. – Miała zdjęcie ślizgacza od techników. – Widziała pani?

Kobieta się skrzywiła i potrząsnęła butelką.

– W nocy to się śpi. A pani czemu nie śpi?

– Bo szukamy zaginionej dziewczynki, babciu – wtrącił Juncker.

Dostał mu się za tę „babcię” stek wyzwisk. I paskudne spojrzenie Lund.

Borch wyciągnął kilka banknotów.

– Świetnie. Ustaliliśmy, że nie jest pani babcią Asbjørna. Proszę, dostanie pani dwieście koron, jeśli powie nam pani coś, czego nie wiemy.

Już miała zacząć.

– Coś przydatnego – dodał. – Widziała pani, żeby ktoś szczególny tutaj krążył?

– Słuchaj, synku, krążę tu ja. I ten plugawy dziad za rogiem. Tak tu zwykle jest.

– Zwierzęta – wtrąciła się Lund. – Ma tu ktoś jakieś zwierzęta?

Zastanowiła się.

– Zwłaszcza koty – dodał Borch.

Kobieta wskazała drugi koniec budynku.

– Przychodzi tu czasami taki dziwak. Ma koty. Mieszka w piwnicy. Mnie tam on nie obchodzi.

– Czemu? – spytał Juncker.

– Gbur z niego. Z nikim nie gada. I ma pieniądze. Czuć od niego, a takim jak ja to on by nie podał ręki.

– Kiedy go pani widziała po raz ostatni? – spytała Lund.

Potargała długie brudne włosy.

– Kilka godzin temu.

Borch podał kobiecie banknoty.

Pusty budynek. Schody w rogu. Wyjęli latarki. I broń. Borch wysunął się na czoło.

Unosił się tu ziemisty zapach pleśni. Gdzieś z przodu dobiegał dźwięk, niski i mechaniczny.

Borch wszedł pierwszy. Znalazł włącznik światła. Nikogo. Tylko niewielkie pomieszczenie. Na suficie kręcił się wiatrak. Ktoś tu widocznie mieszkał.

– Jezu – szepnął Juncker – ten gość naprawdę robi, co chce.

Promień latarki Lund padł na kupkę zakrwawionych szmatek i bandaży.

Juncker dotknął głową kabla zwisającego z sufitu.

– Cholera, on ma tu prąd. I pewnie połączenie z internetem.

W kącie leżał niewielki stos ubrań. Ciemnych, ciepłych, praktycznych, tanich. Poświeciła na nie dłużej. Borch spojrział na te rzeczy, potem na Lund.

– To miała na sobie Emilie, kiedy ją widzieliśmy na motorówce, prawda?

Juncker znalazł kolejny stos w kącie. Tym razem były to ubrania dla osoby dorosłej. Zimowe buty, zestaw narzędzi i odzież nieprzemakalna.

– Wygląda, jakby się przygotowywał do wojny.

– Już jedną prowadzi – zauważyła Lund. Znalazła oczywiście laptop; tani samsung stał na prowizorycznym biurku skleconym ze skrzynek.

Borch podszedł i podniósł kilka kartek rozrzuconych dokoła. Ruchy statków. Numery kontenerów. Porty przeznaczenia ładunków i rozpiski.

– Myślicie, że nadał Emilie w kontenerze? – spytał Juncker. – Jakby to dziecko było ładunkiem czy coś?

Mapa świata niezdarnie narysowana kredą na tablicy. Strzałki oznaczające kierunek ruchu statków.

To było za proste. Zbyt oczywiste.

– Nie – powiedziała Lund. – Nie sądzę.

Na pokrywie laptopa zamigotała dioda. Kamera. Działała.

Zadzwoił jej telefon i już wiedziała, że to on.

– Myślałem, Lund, że mamy umowę. Miałaś szukać jego, nie mnie.

– Pracuję nad tym. Nagroda wyznaczona przez Zeuthena skomplikowała sprawę...

– Gównu mnie obchodzi Zeuthen i jego nagroda. Powiedziałaś mi, że rozwiązesz sprawę.

Zakaszła. Brzmiało to, jakby był chory.

– Nie z dnia na dzień. Pracujemy nad tym.

– Jasne – pisnął. – Czytałem wiadomości. Teraz myślisz, że to Ussing? Juncker przeglądał kolejne papiery. Borch wciąż majstrował przy laptopie.

– Rozważamy różne opcje – odparła.

– Gównu prawda. Stoicie. Ussing nie ma z tym nic wspólnego.

– Na miłość boską, daj mi trochę czasu! – krzyknęła.

Chwila przerwy, nim odezwał się ten sam ochrypły głos.

– Miałas go mnóstwo. A teraz słuchaj. Tamtego dnia nie było dwunastu czarnych samochodów. Było ich trzynaście.

– Co?

– Obejrzyj się, zajrzyj do kosza. Jesteś u mnie. Czuj się jak u siebie w domu.

Podeszła do skrzynek, znalazła śmietnik, wywróciła go do góry nogami.

Coś znajomego. Notes, taki jak ten, którego używał chłopczyk w Jutlandii.

– Masz?

– Tak.

– Ktoś wydarł kartkę, zanim tam zajrzałem. Pewnie twój chłopak z PET.

Lund podniosła notes tak, by Borch go zobaczyć.

– Bardzo mnie rozczarowałaś. Teraz będę musiał zrobić to sam. – Rozłączył się.

Wpatrywała się w Borchę.

– Był jeszcze jeden samochód. Ktoś wyrwał ostatnią kartkę. To ty?

– Na miłość boską, Sarah! Ty mu wierzysz?

Lund podniosła notes.

– Brakuje kartki. Tak. Wierzę mu.

Juncker rozejrzał się dokoła.

– Może i brakuje, ale numer da się odczytać.

Wziął ostrożnie notes. Położył obok laptopa. Ołówek chłopca odbił się na okładce. Wgniecenia obrysowano długopisem: AF 98 208.

– To jakiś żart. – Borch wyrwał mu notes. – Na pewno żart. Tego samochodu tam nie było.

– Jakiego samochodu? – chciała wiedzieć Lund.

Juncker zajrzał do laptopa, przeszedł do przeglądarki.

– Słuchajcie, on czytał wiadomości. Był na bieżąco.

– Jakiego samochodu? – krzyknęła Lund.

Borch odepchnął Junckera i zaczął sprawdzać otwarte okna.

W oknie z aplikacją do przeglądania zdjęć zobaczyli zbliżenie tylnej tablicy rejestracyjnej. Ten sam numer. Czarny mercedes.

– Powiedz mi – poprosiła Lund.

Palce Borchy sięgnęły do klawiszy, żeby zlikwidować zoom zdjęcia.

W tle trzy postaci. Hartmann, Morten Weber, Karen Nebel. Uśmiechnięci, gotowi do wizyty w szkółce ogrodniczej dzisiaj rano.

Juncker przystawił do monitora smukły palec.

– Powiedziałaś, że PET sprawdzała wóz Hartmanna.

– Sprawdzaliśmy wóz służbowy. O ile nam było wiadomo, tamtego dnia korzystał tylko z niego. A to jest jego własny. Nie...

Lund już dzwoniła, pędząc do schodów.

Połączyła się z Brixem, wybiegając na zimne nocne powietrze.

– Wygląda na to, że nasz człowiek wziął teraz na cel Hartmanna – powiedziała, szukając kluczyków. – Jedziemy do Christiansborgu. Może będziesz chciał zabrać go do schronu czy jak oni to nazywają.

Błyskając niebieskim światłem, samochód Lund zatrzymał się gwałtownie na śliskim bruku przed Christiansborgiem. Zostawiła Junckera, by się uporał z najnowszą kryjówką. Tylko Borch jej towarzyszył, całą drogę dzwoniąc do PET.

Twierdził, że nie wiedział, iż prywatny samochód Hartmanna był w Jutlandii, choć i on miał GPS.

Lund spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Skoro nie znajdował się na oficjalnej liście pojazdów, nie sprawdzaliśmy go – przekonywał Borch.

– Ciekawa jestem, kto wyrwał tę kartkę.

Wysiadła i szybkim krokiem dopadła schodów prowadzących do budynku. Wszędzie roiło się od umundurowanych ochroniarzy. Hartmanna nie odprowadzono do schronu. Przewodniczył jakiemuś spotkaniu i odmówił ruszenia się z miejsca.

– Tutaj nie ma żadnego zagrożenia – tłumaczył szef ochrony. – Nikt nie wejdzie do środka bez identyfikatora.

– Jest zagrożenie – upierała się. – Chcę, żeby przeszukano pałac. Chcę listę gości przebywających obecnie w środku...

Borch w kółko paplał o notesie.

– Nikt z PET nie dotknął tej choleryjnej kartki. Musimy się skupić na Ussingu...

– On mówi, że to nie Ussing!

– Skąd, do cholery, może to wiedzieć?

– Sprawdź monitoring – poleciła. – Przyjrzyj się każdemu, kto przeszedł przez te drzwi w ciągu ostatniej godziny.

– Wszyscy są czyści – oznajmił stanowczo szef ochrony. – Wszyscy mieli właściwe identyfikatory...

– Chcę, żeby to jeszcze raz sprawdzono! – krzyknęła.

Ktoś podszedł z listą gości. Zadzwoił telefon. Lund odeszła kawałek, żeby odebrać.

– Co się dzieje, do cholery? – spytał Brix. – Jęczą mi nad głową ludzie Hartmanna. Ussinga też. Nie lubią cię, Lund.

– Spróbuję jakoś z tym żyć. On jest tutaj, w Christiansborgu. Jestem pewna.

– Naprawdę. Co do Ussinga...

Spotkanie Hartmanna z przywódcami trzech partii mniejszościowych. Aktorzy grający epizody w widowisku, którym stała się duńska polityka. Ale jeśli sondaże się nie myliły, Hartmann zgromadzi wystarczające poparcie, by utworzyć rząd, z ich wsparciem opłaconym garstką ministerialnych stołków pomniejszego znaczenia.

Uściskiem dłoni przypieczętowali prowizoryczną umowę. Karen Nebel patrzyła z uśmiechem, jak mężczyźni wracają do swoich biur.

– Ciągłe jestem wściekła, że wyrzuciłeś Birgit, nie uprzedzając mnie.

– Nie było czasu. Omów to z Mortenem.

– Nie mogę. Wezwano go na spotkanie z ochroną. Coś się dzieje. Mogłeś to omówić ze mną.

Nie spodobało mu się to.

– Jeśli ludzie spiskują, znają ryzyko. Odetnijmy grubą kreską...

– Frazesy zostaw mnie, jeśli łaska. Właśnie postawiłeś całe wybory na jedną kartę. W piątek głosowanie.

– Jestem tego świadom.

– Teraz nie mamy parasola. Jeśli stracimy choćby kilka punktów poparcia, nie zbierzesz większości, w każdym razie nie z tymi błaznami, z którymi właśnie rozmawiałeś.

Szedł do swojego gabinetu.

– Nie odchodź, kiedy do ciebie mówię – pisnęła. – Jeśli...

– Karen, płacę ci za to, żebyś pilnowała, by nie było komplikacji. Skup się na tym. Zerwałem z Rosą Lebech. Ussing tkwi po uszy w gównie z policją. Kto pójdzie głosować na niego? A jeśli Emilie wróci do domu...

– Myślałam, że Emilie Zeuthen nie stanowi elementu naszej kampanii.

Przez chwilę wyglądał, jakby miał poczucie winy.

– Dzieje się coś dziwnego – dodała. – Lund prosiła o jakieś szczegóły transportowe z archiwów. Asystentka narzeka, że dzienniki przejazdów z tamtego okresu w Jutlandii zniknęły.

Hartmann podrapał się po głowie.

– Nasze dzienniki?

– Właśnie. I...

Szybkie kroki w holu. Pędził ku nim Morten Weber.

– Dobra – zaczął. – Właśnie rozmawiałem z ochroną. Lund uważa, że porywacz Emilie jest w budynku. Szuka kogoś.

– Porywacz? – spytał Hartmann zdumiony.

– Właśnie. Masz natychmiast wrócić do swojego gabinetu. – Wziął Hartmanna pod ramię i zaczął popychać w stronę biura. – Natychmiast.

Na dole w pokoju ochrony Lund i Borch przeglądali monitoring. Jeden ekran, obrazy z wszystkich kamer w pałacu.

– Ani śladu intruza – powiedział ochroniarz. – W pałacu nie ma nikogo, kto by nie miał identyfikatora.

– Nie podoba mi się to – burknął Borch. – Może on nas znowu okantował i poszedł po Ussinga.

– Nie – odparła Lund. – Ussing siedzi w Politigården ze swoim adwokatem. Jest czysty.

Borch znów miał przekrzywiony krawat. Potargane włosy. Tak wyglądał lepiej.

– Co to znaczy, że jest czysty?

– Ma alibi. Był w hotelu z żoną jednego ze swoich podwładnych. Ona to potwierdziła.

Przesunęła palcem po liście.

– Jakie skomplikowane życie prowadzą ci ludzie ...

Ochroniarz jęczał coś o nawale pracy, o ludziach, którzy chcą iść do domu i muszą zdążyć na pociąg.

– Zobacz. – Lund postukała palcem w jedno nazwisko. – Cztery godziny temu wszedł do pałacu ktoś z serwisu kserokopiarek.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Mamy mnóstwo kserokopiarek.

– Dwadzieścia minut temu ktoś użył tego samego identyfikatora, żeby znowu wejść. – Spojrzała na zegarek. – O osiemnastej trzydzieści. Do kserokopiarki.

Wzruszył ramionami.

– Oni wszyscy są sprawdzeni przez ochronę. Może czegoś zapomniał...

– Tu jest napisane, że on ma dostęp także do biur premiera. Więc gdzie jest teraz?

Znowu wzruszenie ramion. Borch spytał, jak się posługiwać panelem sterowania. Przełączył na część budynku, w której urzędował Hartmann.

Po chwili poszukiwań wypatrzył postać stojącą tyłem do kamery, w czapeczce bejsbolowej i kurtce.

Patrzyli.

– On kuleje – zauważyła Lund. – Jest ranny. – Chwila namysłu. – Nie ma żadnej torby, niczego nie niesie. Dokąd prowadzi ten korytarz?

– Do gabinetu premiera – odparł ochroniarz.

Borch zerwał się na równe nogi i zaczął pytać o wskazówki, zanim ona zdążyła się odezwać.

Dwa piętra wyżej ochroniarze przerwali Hartmannowi rozmowę z Mortenem Weberem.

– Musimy pana natychmiast sprowadzić do schronu – powiedział jeden z nich.

– Och, na miłość boską...

– Lepiej to zrób – wtrącił Weber. – Nie marudź. Gdzie Karen?

– Poszła czegoś szukać. Jakiegoś raportu, o który prosiła Lund. Zaginął. Uważa, że znajdzie kopię...

– Panie premierze...

Silna ręka chwyciła Hartmanna za ramię. Przeszli do bezpiecznego pokoju obok gabinetu. Weszli do środka. Nie było tu okien. Tylko kilka krzeseł. Biurko. Komputer. Lodówka.

Ochroniarz zamknął stalowe drzwi. Pod sufitem uruchomił się wentylator.

Weber podszedł do lodówki, otworzył ją.

Gwizdnął.

– Wody? – spytał.

Cztery pokoje dalej, w biurze ogólnym, Karen Nebel szukała dokumentów w komputerze. Było już późno. Wszyscy poszli do domu. Pracowała więc przy lampce i świetle padającym z monitora.

Zaczęła szukać w archiwach.

Słyszając niespodziewany dźwięk, aż podskoczyła. Obok biura znajdowała się serwerownia całego działu. Szumiące komputery i terkot twardych dysków.

Zobaczyła światło latarki. Ktoś tam był.

Nebel podeszła do drzwi. Dostrzegła mężczyznę, który przykucnął w ciemności i oświetlał latarką szafy serwerowe.

Uniform. Czapeczka bejsbolowa.

– Halo?

Nie odpowiedział. Przesunął się wzdłuż serwerów. Można było odnieść wrażenie, że znalazł to, czego szukał.

– Przepraszam – powiedziała Nebel już głośniej. – To pomieszczenie powinno być zamknięte.

Widziała, jak wyciąga twardy dysk z kieszeni komputera, wsadza go do torby. Potem wstał i ruszył do drzwi, przytrzymując ręką czapkę. Utykał.

– Mówię do pana...

Nebel nie podeszła bliżej. Nie miała odwagi.

Kiedy zniknął, usiadła. Odetchnęła. Nie miała pojęcia, co się właściwie stało.

Kolejny hałas. W drzwiach dwie postaci. Z bronią.

Nebel krzyknęła.

Lund i Borch rozejrzeli się po pomieszczeniu.

– Przed chwilą był tu jakiś człowiek – szepnęła Nebel. – Chyba coś wyniósł.

Seria szybkich pytań. Potem Lund zadzwoniła do ochrony.

Krótki opis.

Uniform.

Czapka bejsbolowa.

Utykał.

Jedna z kamer uchwyciła go idącego w stronę schodów przeciwpożarowych, którymi można było zejść na parter i dalej do piwnicy.

Borch i Lund biegli ramię w ramię. Kręte kamienne schody. Po chwili spowiły ich ciemności. Nie widzieli włączników światła. Pozostało im tylko znów wyjąć latarki.

Na parterze nic. Powiedziała Borchowi, żeby się rozejrzył. Zawahał się.

– Zrób to – wyszeptała i wróciła na schody. Ruszyła do piwnicy.

Znowu sama. Tylko latarka i pistolet. Szła powoli, ostrożnie. Jeden długi korytarz, białe ściany, kamienna podłoga.

Plama po prawej. Spojrzała: krew.

Kolejne pięć stopni. Kolejna plama. Trzaśnięcie drzwi gdzieś w mroku przed nią.

Podążyła za tym dźwiękiem. Słyszała szum rur grzewczych. I chrobot maleńkich zwierzęcych łapek w pobliżu.

Szła dalej. Korytarz robił się coraz węższy, aż zostało ledwie tyle miejsca, by przy dudniącej rurze stanęły obok siebie dwie osoby.

Wreszcie w poświacie rzucanej przez lampę techniczną zobaczyła jego postać.

– Stój! – krzyknęła Lund.

Odwrócona twarz. Nie mogła jej dojrzeć.

Trzymał w rękach kawałek papieru. Podpalał go zapalką, podnosząc płomień do sufitu.

Czujnik dymu.

Gdzieś zadzwonił dzwonek. Płonący papier odfrunął niesiony prądem powietrza.

Zimnego, zimowego.

Kiedy spojrzała ponownie, mężczyzny już nie było.

Dobiegła do rogu, zobaczyła otwarte okno, wspięła się na nie.

Deszcz na twarzy. Serce jej łomotało. Przed sobą miała dziedziniec Christiansborgu, kamienie bruku połyskiwały w wilgotnej nocy.

Przebiegła go, stanęła na środku, obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, przejrzała każde wyjście.

Za nią ciemne budynki. Przed nią miasto. Światła i samochody.

Ktoś do niej dołączył i nie chciała wiedzieć, kto to. Nie musiała patrzeć.

Borch kopnął pustą puszkę po piwie zostawioną na ziemi. Poleciała po bruku, a on rzucił jeszcze kilka przekleństw w noc.

– Pomogło? – spytała Lund, gdy skończył.

Karen Nebel nie widziała dużo. Tylko mężczyznę w granatowym mundurze i czapeczce bejsbolowej zasłaniającej twarz. Ukradł twardy dysk z serwerowni.

– Daliście mu uciec? – spytała, gdy nastąpiła przerwa w pytaniach.

– Tak – przyznała Lund. – Właśnie tak. Daliśmy mu uciec.

Zamieszanie przy drzwiach. Wysoka, znajoma przystojna postać. Troels Hartmann wkroczył dziarsko, zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Pani obecność nigdy nie oznacza dobrych wieści, prawda, Lund? Co, do cholery, ten człowiek tu robił?

Borch się cofnął. Ona nie.

– Próbował się dowiedzieć, gdzie pański samochód był dwudziestego kwietnia dwa lata temu. Ma pan jakieś pomysły?

Hartmann patrzył na nią groźnie.

– Przesłałem informacje o przejazdach – włączył się Weber. – Po naszej rozmowie...

– Ale nie wszystko przesłaliśmy! – krzyknęła Nebel. – Czegoś brakuje...

– Ruchy samochodów komitetu wyborczego są zapisywane w systemie. Od rana do nocy... – ciągnął.

– Nie chodzi o samochód komitetu wyborczego – włączył się Borch. Patrzył Hartmannowi w oczy. – Tylko o pański. On się interesuje pańskim prywatnym autem. My też.

Weber stanął między nimi.

– Dobrze, dość tego. Nie używamy prywatnych samochodów w czasie kampanii wyborczej. Nie ma sensu...

– On tam był – powiedziała Lund. – Widział go pewien chłopiec. Zapisał numery. Tego dnia zniknęła Louise Hjelby...

– Co to ma, do cholery, wspólnego ze mną? – spytał Hartmann. – Znowu pani zaczyna?

– Powinniście się zajmować Ussingiem – wtrącił Weber. – Zamiast marnować czas tutaj.

– Ussing jest poza podejrzeniem. Nie ma nic wspólnego z zamordowaniem dziewczynki.

Weber milczał. Hartmann też.

– Emilie Zeuthen została porwana, ponieważ nigdy nie rozwiązano tamtej sprawy – kontynuowała. – Musimy prześledzić każdy trop...

Hartmann się uśmiechnął. Znowu wyglądał jak kiedyś: przystojny i irytujący.

– Bo tego domaga się ten kryminalista? Naprawdę, Lund, poważnie mówi pani, że waszym zdaniem jesteśmy wplątani w tę sprawę?

– Nie sugerowałam...

– Faktem jest – warknął Borch – że pański samochód tam, kurwa, był. Wiemy to. Niech więc nam pan powie, kto nim jechał.

– Nie podoba mi się pański ton...

– Gównu mnie obchodzi, co się panu podoba, Hartmann!

Wymierzył kciuk w serwerownię, którą miał za plecami.

– Na dysku, który zabrał, znajdowały się backupy zapisów GPS z tego biura. Samochodów służbowych. I prywatnych. On się dowie, kto nim pojechał. I dokąd. I kiedy. Byłoby miło, gdybyśmy my też się tego dowiedzieli.

– Nie życzę sobie, żeby tacy ludzie jak pan zwracali się do mnie w ten sposób! – krzyknął Hartmann. – Ani tacy jak ona. Oskarżacie kogoś stąd o morderstwo...

– Chętnie byśmy usiedli i porozmawiali o tym spokojnie – zaproponowała Lund.

Weber skrzyżował ramiona.

– Nie ma mowy, Lund. To koniec tego cyrku. Nikt z tego biura nie jechał wtedy tym samochodem...

Borch odepchnął go i zbliżył się do Hartmanna.

– Ktoś wyrwał kartkę z numerem rejestracyjnym tego samochodu. Jesteśmy oszukiwani, Hartmann. Przysięgam, że jeśli to pan...

– Proszę nie mówić w ten sposób do premiera – przerwał mu Weber.

Hartmann odwrócił się i ruszył do wyjścia. Podążyli za nim. Borch ciągle coś mówił. Ochroniarze próbowali go zatrzymać.

Jeden z nich spróbował założyć mu blok. Borch go odepchnął.

– Niech nam pan powie, kto nim jechał. Kto zmusił Schultza do wyciszenia tej sprawy.

Wyciągnął rękę, chwycił Hartmanna za marynarkę. Chciał go odwrócić, ale ochroniarz rzucił się na niego i go odciągnął.

Czerwony na twarzy wygrażał ręką wysokiemu mężczyźnie w drogim garniturze.

– My się tego dowiemy. Niech pan sobie nie myśli, że się z tego wyłga, Hartmann. Tym razem to nie jest nastolatka z Vesterbro...

Cisza.

Hartmann wyszedł, Nebel i Weber za nim. Trzasnęły drzwi.

Lund zamknęła oczy. Otworzyła.

– O, ciągle tu jesteś.

– Może posunąłem się odrobinę za daleko...

– Nie, nie. Gdzieżby. Ty? Za daleko? – Odwróciła się i ruszyła do schodów. – To było świetne. Po prostu wspaniałe.

Robert Zeuthen nie posłuchał. Gdy Reinhardt zameldował mu, co policja znalazła w kryjówce porywacza, nakazał rozszerzenie poszukiwań na wody międzynarodowe.

Ochroniarze Zeelanda znów byli z nim w sali konferencyjnej, przedstawiali sytuację jemu i Mai, a Reinhardt dodawał szczegóły, które wydobył od Brixa w Politigården.

Mapa na wielkim monitorze pokazywała tory żeglugowe wokół miasta. Brix powiedział Reinhardtowi, że Emilie mogła zostać uwięziona w kontenerze nadanym jako ładunek. W noc, gdy porywacz sfingował zamordowanie dziewczynki, rejestry notowały dwadzieścia trzy frachtowce przechodzące przez Sund.

– Problem w tym, że to sprzed trzech dni – powiedział szef. Uderzył w klawisz komputera. Punkty zaczęły się rozbiegać na całą Europę. – Statki ruszyły, część została rozładowana. Liczba tych, na których mogłaby być Emilie, podwoiła się albo i potroiła. To trudne...

– Chcę, żeby sprawdzono wszystkie co do jednego – zażądał stanowczo Zeuthen. – Każdy statek. Każdy terminal.

– Większość z nich jest w rejsie – zauważył Reinhardt.

– Niech zawiną do najbliższego portu. Pokryjemy koszty.

Szef ochrony nic nie powiedział. Spadło to na Reinhardta.

– Nawet jeśli właściciele się zgodzą, nie ma pewności, że nic nam nie umknie. Ona może być już na brzegu. Musimy zostawić to władzom...

– A co z apelem? – spytała Maja. – Zgłosił się ktoś z czymś istotnym?

Reinhardt pokręcił głową.

– Zostaliśmy zalani telefonami. Policja też. Żadnych istotnych rezultatów. Na razie.

Zeuthen kiwnął głową.

– Powiadom frachtowce, tak jak prosiłem. Odbieraj telefony. Będę w swoim gabinecie.

Wyszedł. Mężczyźni, którzy zostali, nie chcieli z nią rozmawiać. Jakaś postać stanęła w drzwiach. Carsten. Zastanawiała się, od jak dawna słucha.

Wszedł i spytał, czy są jakieś nowe informacje.

Poprosiła, żeby zaczekał. Poszła do gabinetu. Miejsce, które znienawidziła.

Stał przy oknie, z telefonem w ręku. Teraz w czarnym pulowerze. Dzinsach. Zwyczajny mężczyzna, bez uniformu.

– Dzwonię do Carla, żeby mu życzyć dobrej nocy – powiedział.

Musiał płakać. Oczy miał zaczerwienione.

– Chciałem usłyszeć jego głos – szepnął ze wzruszeniem ramion i przelotnym, zakłopotanym śmiechem

Potem łzy znowu popłynęły, z jej oczu też.

– To nie twoja wina, Robercie.

– Nie wiedziałem o iPadzie. O tym miejscu na strychu, gdzie chodziła się z nim spotykać. O kocie. O dziurze w ogrodzeniu. Zawiodłem ją. Zawiodłem ciebie. Wszystkich...

Zacisnęła rękę na jego ramieniu.

– Emilie była na nas zła. Byłeś... jesteś dobrym ojcem. – Westchnęła. Próbowała znaleźć słowa. – Powiedziałeś mi, że ją znajdziemy.

I znajdziemy.

To się stało tak naturalnie. Objęła go ramionami, on objął ją. Długi, nieśpieszny, ciepły uścisk.

Nie chciała puścić. On też nie. Ale patrzył na nich Carsten Lassen, smutne odbicie w zalanej deszczem szybie.

Nie odzywali się, gdy szli do samochodu Lassena. Nie odzywali się, gdy odwoził ją do miasta. Zadzwoniono z biura. Kolejne odpowiedzi na apel. Nic konkretnego. Sami naciągacze.

Wysłuchała, podziękowała; patrzyła przez okno po stronie pasażera na wilgotną noc.

Ludzie z ochrony skonfigurowali połączenie z jej iPadem. Nazwiska, numery, uwagi zostawiane przez dzwoniących na numer alarmowy. Przeglądała je, trzymając tablet na kolanach.

– Tyle tego – szepnęła do siebie. – Nie wiem, gdzie możemy...

– Jeśli ktoś macha ludziom przed nosem stoma milionami koron, to powinien się spodziewać, że przyciągnie bandę szaleńców.

Maja zwróciła uwagę na jego twardy, urażony ton.

Wyjechał z doków na główną drogę.

– Zdajesz sobie sprawę, co on robi, prawda? – spytał.

– Stara się znaleźć naszą córkę.

Prychnął.

– Robert jest tym samym człowiekiem co zawsze. Kontrolującym, nieracjonalnym, nieczułym...

– Nie teraz.

– Gdyby był porządnym ojcem, nie doszłoby do tego wszystkiego. Choć może to wina Zeelanda. To oni coś zatuszowali.

Na iPadzie pojawiły się nowe dane. Kolejne nazwiska. Kolejne numery.

– Robert i Zeeland nie są niczemu winni. Policja tak powiedziała...

– Ci kretyni? Co oni wiedzą?

Ciągle patrzyła na ekran. Nie na niego.

– Wykorzystuje tę sytuację, żeby cię odzyskać – mówił Lassen. – Nie chcę cię stracić. Zrobiłbym wszystko...

Zdjął rękę z kierownicy, pogłaskał ją po nodze.

– Jedź – szepnęła. – Chcę się zobaczyć z Carlem.

Juncker zadzwonił z fabryki. Nic nie wskazywało na to, że Emilie zostawiła jakieś wskazówki, że wydrapała coś na ścianie, choćby numer rejestracyjny. Juncker pomyślał, że nie mogła być tu długo. Z toalety nikt nie korzystał. Nie znaleźli żadnych śladów jedzenia.

Znaleźli natomiast odciski palców. Nie mieli takich w aktach. Mieszkający w pobliżu bezdomni nie dostarczyli im więcej informacji. Ale zdobyli zdjęcie matki Louise Hjelby – zrobione, zanim zachorowała: uśmiechnięta kobieta w bikini na hiszpańskiej plaży.

– Ukradł twardego dysku – powiedziała Lund. – Będzie potrzebował komputera, żeby sprawdzić, co na nim jest. Myślisz, że tutaj jest jego główna baza?

– Tu miał wszystko. Zasilanie. Światło. Internet. Tak myślę.

– Przyjmijmy, że teraz jest sam. Zaczynaj od bibliotek i kawiarenek internetowych. Zadzwonię do ciebie później...

Brix był w sąsiednim pokoju. Pojawił się Dyhring. Borch był wciąż wściekły po kłótni w Christiansborgu. Obaj funkcjonariusze z PET już się o to spierali.

Kiedy weszła ponownie, siedzieli przy stole, PET po jednej stronie, policja po drugiej.

Jedna wiadomość od Dyhringa: porywacz włamał się do furgonetki firmy serwisującej kserokopiarki, skąd ukradł ich uniform i identyfikator.

Zgromił wzrokiem Borchę.

– Właśnie oglądałem monitoring. On utyka. Jest ranny. Naprawdę jestem pod wrażeniem, że w takich okolicznościach nie złapaliście drania.

Lund rzuciła na stół torebkę dowodową. W środku znajdował się notes, który znaleźli w piwnicy.

– Mamy już rejestr przejazdów samochodu Hartmanna? – spytał Brix.

– Ciągłe czekamy.

– Po co? – warknął Dyhring. – Z powodu kilku bazgrołów w notesie jakiegoś dzieciaka? Czemu...

– Szkoda, że nie wiedziałem o nich dzisiaj rano – przerwał mu Brix. – Kiedy mówiłeś, że powiedzieliście nam wszystko, co wiecie.

Szef PET wzruszył ramionami.

– To była dla nas nowość.

– Mnóstwo tych nowości – zauważył Brix. – Zatem prywatny samochód Hartmanna na pewno był w Jutlandii?

– To były wybory. Mieliśmy za dużo roboty, żeby sprawdzać prywatne samochody.

Brix wziął do ręki torebkę z notesem, wyjął go, przewertował od początku do końca.

– Ktoś wyrwał kartkę, Dyhring. Nie bez powodu. Ktoś próbował...

– Nie wiesz, o czym mówisz! To mógł być Schultz. Albo ten chłopiec.

– To mógł być ktoś z PET, kto widział ten notes dwa lata temu – podsunęła Lund.

Dyhring machnął ręką i spojrzał spode łba.

– Musimy pokazać, że chcemy rozwiązać sprawę Hjelby – powiedziała stanowczo. – To jedyny sposób, żeby zachować z nim kontakt.

– Kto tu jest ofiarą, Lund? – Dyhring robił się coraz bardziej wściekły. – A kto zbrodniarzem? Naszym zadaniem jest złapanie tego łajdaka. A nie

stosowanie się do jego życzeń.

Borch wstał, walnął pięściami w stół.

– To właśnie robimy cały czas, do cholery! Bez pomocy takich jak ty!

Zapadła cisza. Dyhring wstał, poprosił Borchą, by wyszedł z nim z pokoju.

Ten się nie ruszył.

– Borch! Chodź ze mną.

Przeszli do gabinetu po drugiej stronie korytarza. Lund i Brix widzieli ich przez szybę, jak się kłócą i krzyczą na siebie.

– Musisz poprosić komendanta o pozwolenie na przeszukanie biur Hartmanna – powiedziała.

– Dlatego, że mały chłopiec w ramach hobby zapisuje numery rejestracyjne samochodów?

– To wymyśl co innego. Jeśli nie będzie widać, że coś robimy, on się już nigdy z nami nie skontaktuje.

– Kiedyś omal nie oskarżyłem Troelsa Hartmanna o morderstwo, z którym nie miał nic wspólnego.

– Bo kłamał, kłamał, w kółko kłamał.

W drzwiach stanęła Ruth Hedeby.

– Wysłałam do Zeelanda numery kontenerów – powiedziała Lund. – Dowiem się, czy zrobili jakieś postępy.

– Zaczekaj, aż wysłuchasz, co mam do powiedzenia – zatrzymała ją Hedeby. – Kolejny raz chodzi o twoje zachowanie.

Lund sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Właśnie z gabinetu premiera wpłynęła do mnie oficjalna skarga na twoje zachowanie. Grubiaństwo. Agresja. Nieuzasadnione zarzuty.

– Grubiański był Borch – zauważyła Lund, wskazując szybę. – I już przeprosił.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – spytała Hedeby. – Najpierw próbujecie przypisać morderstwo jednemu z szefów opozycji. Teraz premierowi.

Lund pokręciła głową.

– Nieprawda. Zadawaliśmy tylko pytania. Ussing usiłował ukryć fakt, że znał Louise Hjelby. Hartmann... – Wzruszyła ramionami. – Nadal nie wiemy, co w tej okolicy robił jego prywatny samochód.

Spojrzała na Brixę i czekała.

– Wszystko, co robimy, ma uzasadnienie – rzekł w końcu. – Ja to potwierdzam. I popieram moich funkcjonariuszy.

Hedeby odczekała chwilę.

– I to wszystko? – spytała.

– A co byś jeszcze chciała?

– Chcę wiedzieć o górze lodowej, kiedy się pojawi na horyzoncie – odparła. – A nie kiedy w nią uderzymy. Nie życzę sobie więcej żadnych niespodzianek. Od żadnego z was.

Wyszła.

Zawsze mieli problem z podziękowaniami. Jej trudno było je wykrztusić. Brixowi – wysłuchać.

Lund spojrzała przez szybę. Gabinet naprzeciwko był pusty.

– Poradzimy sobie bez PET – stwierdził Brix.

Hartmann potrzebował trochę czasu, żeby się uspokoić. Reszta personelu biur parlamentarnych poszła do domu. Technicy z policji pracowali jeszcze w serwerowni. Weber przyniósł butelkę brandy, kazał mu wypić potężną porcję, nalał też Karen Nebel i sobie. Następnie siadł z nimi w gabinecie, słuchał i robił się coraz posepniejszy.

– Nie będę znowu przez to przechodził – narzekał Hartmann. – Lund nie zrobi mi tego po raz drugi.

– Wybory są w piątek, Troels – odezwała się Nebel. – Mam wszelkie powody naciskać na Brixa i trzymać ją z dala od nas.

– Pieprzyć wybory! – pisnął. Dźgnął się palcem w pierś. – Tu chodzi o mnie.

– Wypij brandy – poradził Weber. – I wyluzuj.

Hartmann zgromił go wzrokiem.

– Ty nie wiesz, jak to jest.

– W zasadzie wiem. Byłem tam, pamiętaj.

Przysługi wyświadczone, a potem zapomniane. Ze sprawy Birk Larsen nie wyszli pachnący fiołkami. Lund miała powód, by zarzucać im brak współpracy.

– Co ma do tego, do cholery, mój prywatny samochód?

Marudzeniu nie było końca, Weber starał się to przeczekać.

– I czemu ktoś ma go na oku?

– Bo jesteś premierem – wyjaśnił cierpliwie Weber. – Muszą.

– To dowiedz się, kto nim wtedy jechał, dobra? Na pewno nie ja.

Nebel wzruszyła ramionami. Powiedział coś oczywistego. Szczegóły dotyczące ruchu pojazdów znajdowały się na skradzionym twardym dysku. Były backupami. Oryginały też zniknęły.

– Wracając do sprawy – powiedział Weber. – Odwołałem wszystkie spotkania na dzisiejszy wieczór. Jutro musisz się stawić na śniadanie ze sponsorami biznesowymi. Potem...

– Chcę mieć te raporty – przerwał Hartmann, wpatrując się w Nebel. – Nic nie będę robić, dopóki to nie zostanie wyjaśnione.

– Szukam! – krzyknęła. – Oryginały zniknęły. Backupy ma ktoś, kto ukradł dysk. I nie wiem kto jeszcze...

– Znajdź kogoś! Czy to takie trudne?

Weber wstał i dolał sobie brandy.

– Nie musisz nikogo pytać – rzekł w końcu.

Hartmann zmarszczył brwi.

– Co to ma znaczyć? – spytał.

– Ja usunąłem ten cholerny raport. Skasowałem go z systemu, gdy tylko dowiedziałem się, że Lund węszy wokół niego.

Wziął swoją aktówkę, znalazł wydruk, rzucił go na biurko.

– Tamtego dnia twoim samochodem jeździł Benjamin. Pojechał nim do Jutlandii. Usiądź. Wyjaśnijmy to w końcu.

Benjamin.

Młodszy brat. Dla Hartmanna niemal jak syn. Upierdliwy błazen. Żartowniś. Nieuchronna tragedia. Dwadzieścia sześć lat, a zachowania nastolatka. Pił. Zadawał się z lewicowymi ekstremistami. Bóg wie co jeszcze.

Człowiek, który pragnie zostać premierem, nie chce mieć przy sobie takich krewnych.

– Nie widziałeś się z nim tamtego dnia – powiedział Weber. – Sprawdziłem to. W Kopenhadze odbyła się demonstracja przeciwko bankom. PET go zwinęła.

– Czemu nic o tym nie wiedziałem? – wyszeptał Hartmann.

– Byłeś w samym środku kampanii! Dyhring wiedział, kim on jest. Gdyby to był ktokolwiek inny, pewnie wylądowałby przed sądem. Ale Dyhring porozmawiał ze mną. Uzgodniliśmy, że lepiej będzie odpuścić.

Łyk brandy. Spojrzenie pełne poczucia winy.

– Zdaje się, że Benjaminowi było mało. Wrócił do domu. Wziął kluczyki do twojego wozu. Pojechał do Jutlandii narobić większych kłopotów. Pisał jakieś teksty, robił zdjęcia do jakieś antykapitalistycznej witryny.

– Powinieneś mi powiedzieć!

Wzruszenie ramion.

– Może. Ale nie chciałem cię w to wciągać. On był w kiepskim stanie. Wściekły jak cholera. Wypił kilka drinków. Nie chciałem, żeby to trafiło do gazet. On pewnie też nie. On...

Weber odstawił szklanekę, zamknął oczy.

– On cię naprawdę podziwiał, Troels. To trudno wyjaśnić. Myślę, że sam by tego nie potrafił. Ale cię kochał. Nie chciał zrobić ci krzywdy. Chyba się po prostu... pogubił.

– Jak długo miał samochód? – spytała Nebel.

– Cały dzień. Zadzwoił wieczorem koło dziesiątej z jakiejś stacji benzynowej pod Esbjerg. Skończyły mu się pieniądze. I paliwo. Nie wiedział, co robić.

– Spotkał się z tą dziewczynką? – szepnęła Nebel.

– Nie! On po prostu jeździł, żeby jeździć. Nic złego nie robił. Zapłaciłem za tankowanie i ściągnąłem go do domu. I to było wszystko. A w każdym razie... tak sądziłem.

Hartmann wymierzył weń oskarżycielski palec.

– Chcę szczegółowy raport z tego wszystkiego. Kiedy dzwonił. Dokąd pojechał. Gdzie go znalazłeś. Chcesz z siebie zrzucić jeszcze jakieś kłamstwa?

Weber zesztywniał.

– Nikogo nie okłamałem. Po prostu milczałem. Nie wiedziałem nic o morderstwie. Poza tym... Benjamin nie zabił tej dziewczynki. To był najłagodniejszy człowiek pod słońcem. Zbyt łagodny. Zbyt...

– Możesz to wszystko powiedzieć policji.

Weber i Nebel wymienili spojrzenia.

– Musimy to przemyśleć – powiedziała Karen ostrożnie. – Jeśli to pójdzie w niewłaściwą stronę, ludzie pomyślą, że wywieraliśmy naciski.

– Gównu mnie to obchodzi. Macie...

Pukanie do drzwi. Kobieta z ekipy do spraw mediów. Wyglądała na zmartwioną, chciała, żeby Nebel zobaczyła coś w telewizji.

Weber się zerwał i włączył telewizor w rogu gabinetu. Brix, wieczorne oświadczenie ze schodów Politigården na temat sprawy Zeuthenów.

– Prowadzimy postępowanie w sprawie serii wydarzeń w biurze premiera – powiedział. – To rutynowe postępowanie. Będziemy je kontynuować, dopóki nie uzyskamy zadowalających odpowiedzi.

Pytania wykrzykiwane spoza linii mikrofonów. Brix pokręcił głową.

– Nie mogę się wdawać w szczegóły, nie taka jest moja rola – rzekł stanowczo, patrząc prosto w kamerę. – Mogę powiedzieć tylko tyle: poruszymy niebo i ziemię, żeby Emilie Zeuthen wróciła do domu cała i zdrowa.

Nebel wstała.

– Lepiej zajmę się telefonami. Będziemy potrzebowali oględnego oświadczenia.

I wyszła.

– To dlatego chciałeś odejść?

To pytanie zdumiało Webera.

– Nie. Zupełnie nie. Wykonywałem swoją pracę. Tę samą co zawsze. Chroniłem twój tyłek. Poprzednio musiałem cię chronić przed samym sobą. Tym razem... przed popieprzonym braciszkiem. Wszystko jedno...

– Wynoś się.

Weber ani drgnął.

– Obawiam się, że to nie jest dobry sposób na uspokojenie sytuacji. Odejdę już niedługo. Gdy wygrasz wybory...

To się stało tak szybko, że nawet Hartmann nie do końca sobie uświadomił, co robi. Poderwał z ziemi tego niewysokiego człowieczka

w tanim, pomiętym garniturze i zaciągnął go do drzwi, choć ten krzyczał i próbował się bronić.

Wypchnął go na korytarz Christiansborgu.

Podszedł do okna i długo patrzył na plac do jazdy konnej i kamienny bruk połyskujący w deszczu.

W pokojach zarządu Zeelanda Robert Zeuthen dostrzegł znajomą twarz. W pierwszej chwili nie skojarzył, skąd zna tego człowieka. Kiedy uświadomił sobie, że to Kornerup, poszedł wściekły do Reinhardta i zażądał wyjaśnień.

– Prowadzimy skomplikowane operacje, Robercie. Nikt nie zna się lepiej na tej robocie niż on.

– Zwolniłem go.

– Praktycznie rzecz biorąc nie. Rada jeszcze tego nie zatwierdziła. Poprosili go, żeby doprowadził sprawy do końca.

– Czy moja wola nic nie znaczy? – spytał Zeuthen.

– Znaczy bardzo dużo. Ale potrzebujemy doświadczonych ludzi. Musisz odłożyć na bok osobiste urazy. Jeśli nie, trudniej nam będzie wykonać to zadanie.

Kornerup był wytrawnym graczem polityki wewnętrznej. Tak sprytnym intrygantem, że Zeuthen nie miał z nim najmniejszych szans.

Telefon z recepcji. Podszedł do biurka. Stała tam Lund, blada, zmęczona, zdenerwowana.

– Jeśli mi pani nie powie, że znaleźliście Emilie – rzekł – nie sądzę, żebyśmy mieli o czym rozmawiać. Znowu daliście mu uciec. Całe to gówno z Hartmannem...

– Niech pan zapomni o Hartmannie. Wysłałam panu te numery kontenerów...

– Te, które są w porcie, przeszukaliśmy.

– Ten człowiek wszystko o was wie, Robercie. To na pewno były pracownik... musiał mieć kontakt...

Reinhardt, który podsłuchiwał ich rozmowę, podszedł nieproszony.

– Sprawdziliśmy akta wszystkich pracowników. Wysłałem pani te, które spełniały podane przez was kryteria.

– Musi być ktoś jeszcze...

Zeuthen odebrał telefon i odszedł wściekły.

Reinhardt ściągnął brwi, przeprosił.

– Nie ma. Mamy tu dużo pracy, Lund. Sytuacja jest napięta. Robimy, co w naszej mocy.

Lund nadal nie mogła rozgryźć, co właściwie Reinhardt robi dla Zeuthenów. Czasami można było odnieść wrażenie, że kieruje całą firmą. Kiedy indziej z kolei – że jest zaledwie służącym.

– Morderstwo w Jutlandii to klucz do odnalezienia Emilie – powiedziała.

– Człowiek, który ją porwał, jest ojcem zamordowanej tam dziewczynki. Z tego co wiemy, pracował na morzu.

– Co jeszcze mamy wam wysłać? – spytał. – Proszę powiedzieć. Zrobię to. Ale szczerze mówiąc...

– On się zna na komputerach. Na broni. Na transporcie morskim. Jest inteligentny. Nie był jakimś podrzędnym marynarzem. To leży w interesie Zeuthenów...

– Niech mi pani nie mówi o interesie Roberta. Lepiej niż ktokolwiek inny wiem, co leży w jego interesie. Dbam o niego, odkąd był chłopcem.

– To niech mi pan pomoże! Może to inżynier. Mechanik. Nie wiedział, że dziewczynka nie żyje, więc musiało go nie być tu co najmniej dwa lata. Jeśli jest coś...

Zwykle zachowywał kamienną twarz. A teraz przez chwilę można było odnieść wrażenie, że coś w niej drgnęło.

– Kryzys dopadł także nas, Lund. Musieliśmy zwolnić tysiące ludzi. Na całym świecie. Zamknęliśmy kilka firm. Inne przejęliśmy i pozbyliśmy się personelu.

Pokiwał smutno głową.

– Jeśli naprawdę mnie pani prosi, bym znalazł niezadowolonego dawnego pracownika naszej firmy... Nie wiem, od czego zacząć.

Zastanowiła się nad tym.

– Ma czterdzieści parę lat. Zapewne techniczne wykształcenie. Zajmował stanowisko kierownicze średniego lub wyższego szczebla. Jest Duńczykiem. Z Kopenhagi. Akcent...

Reinhardt milczał.

– Proszę mi przesłać akta – zdecydowała. – A my sobie z tym poradzimy.

– Zrobię, co będę mógł.

Już miała odejść, ale Niels Reinhardt wyciągnął swoją długą rękę i zatrzymał ją. Rozejrzał się, by mieć pewność, że nikt ich nie słyszy.

– Żebyśmy się dobrze rozumieli.

– Tak?

– Jeśli Emilie straci życie z powodu jakiejś starej sprawy, której nie umielicie rozwiązać, to zniszczy Roberta. Jego żonę też.

– Wyobrażam sobie.

– A wyobraża sobie pani konsekwencje? – spytał. – Bo ja nie jestem w stanie.

Ten telefon był od Mai. Nie wiedzieć czemu była na parkingu podziemnym.

Zeuthen wsiadł do windy i zjechał na dół. Znalazł ich przy jego samochodzie. Maja. Carl. Kilka toreb podręcznych.

– Cześć, tato. – Chłopiec płakał, ale próbował mówić pogodnie.

Sam dźwięk jego głosu sprawiał mu radość. Zeuthen uśmiechnął się, zmierzwił synkowi włosy.

Ona unikała jego wzroku.

– Moglibyśmy zostać w pokojach gościnnych? – Wzruszyła ramionami.

– Dopóki sobie czegoś nie znajdziemy. – Zaskoczony wziął torbę i powiedział, że oczywiście.

Spojrzał na Carla.

– Może zamówimy pizzę od Toniego? Jak...

Jak kiedyś.

Nie ośmielił się tego powiedzieć.

– Bez anchois! – krzyknął Carl.

Stary spór. Niezniszczalny żart.

Zeuthen skrzyżował ramiona na piersi, spojrzał z powagą.

– Ale ja uwielbiam anchois.

– Bez anchois, tato! Błeee. I z dodatkowym serem...

To im się nigdy nie nudziło.

Szkliste spojrzenie Mai. Wzięła syna za rękę i ruszyła w stronę range rovera stojącego na końcu szeregu.

– Anchois dla taty – powiedziała. Kiwnęła głową Carlowi. – Ser dla synka.

Szczęśliwi.

Takie to właśnie było. Proste. Niewyjaśnione. Prawdziwe.

Szli w trójkę przez wilgotny, duszny parking, a Maja powoli wyciągnęła wolną rękę, by znaleźć dłoń Roberta.

Lund też miała pizzę. Bez anchois. Jej domu wciąż pilnowali widoczni na kilometr wartownicy. Dwaj policjanci, których znała, dla żartu poprosili o poczęstunek.

Brix zadzwonił, gdy weszła do środka. Hartmann się skontaktował, by potwierdzić, że jego prywatny samochód był w Jutlandii, gdy zamordowano Louise Hjelby, a prowadził go, bez jego wiedzy, jego młodszy brat Benjamin.

Dom wydawał się pusty. Lund przeszła się po nim, wołając Evę.

– Co jego brat tam robił? – spytała.

– Zdaje się, że to jakaś kłopotliwa postać. Ma na koncie pijaństwa i narkotyki. I jakieś lewackie ugrupowanie.

– To nie wyjaśnia jego obecności w Jutlandii.

– Był wściekły na Hartmanna. PET zgarnęła go podczas demonstracji w mieście. Ostatecznie miał uniknąć zarzutów. Uprzywilejowane traktowanie.

Zastanowiła się chwilę.

– Dlaczego Morten Weber mi o tym nie powiedział?

– Podobno ktoś w administracji zawieruszył raport, gdy o niego poprosił. Bardzo przepraszają.

– Nie wątpię. Wierzymy im?

Pauza. A potem Brix powiedział:

– Tak. Weber widział tego brata, gdy tam jechał. Ściągnął go do miasta. Skończyły mu się pieniądze. Był roztrzęsiony. Jutro chce złożyć zeznania.

– Nie wątpię ...

Na lodówce, nad zdjęciem z USG widniała wiadomość nakreślona niestarannym, dziecinnym pismem. „Wprowadziłam się do przyjaciółki. Stokrotne dzięki za wszystko. Uściski, Eva”.

– Uściski?

– Słucham? – spytał Brix.

– Nic. Znajdźmy brata.

Westchnienie.

– Nie da rady. Benjamin Hartmann nie żyje. Dochodzenie koronera wykazało, że to był wypadek. Wpadł pod pociąg kilka tygodni po wygranych przez brata wyborach. PET mówi, że to pewnie samobójstwo. Ich zdaniem nie mógł być wplątany w sprawę Hjelby.

– Dlaczego?

– Był takim raczej hipisem. Jutro to zbadamy. Pilnuj telefonu. Miejmy nadzieję, że porywacz zadzwoni.

Lund wzięła piwo, popatrzyła na dwie pizze. Jedna wegetariańska dla Evy. Druga dla niej – pełna mięsa w trzech rodzajach.

Pizza Evy trafiła do kosza. Lund usiadła, zaczęła jeść z pudełka, pić z butelki. Usłyszała stukanie do tylnych drzwi. Twarz, której nie chciała zobaczyć.

Borch wrócił w jakichś niecodziennych ciuchach, w dokerskiej czapeczce naciągniętej głęboko na głowę.

– Marznę tu od godziny. To pizza?

– Mam tylko jedną.

Milczał. Pewnie widział.

– Możemy chwilę pogadać? Czy jesteś na mnie wściekła?

– Jedną chwilę.

Wszedł i zaciągnął zasłony. Pod pachą miał teczkę na dokumenty. Wyglądał na zmarzniętego i głodnego.

Lund wyjęła ze śmietnika wegetariańską pizzę.

– Możesz sobie wziąć tę, jeśli chcesz – powiedziała. – Ona cię nie karmi?

Spojrzał na piwo. Westchnęła i wyjęła drugie z lodówki.

– Nie możesz zostać...

– Ani myślę. Jeśli słyszałaś o bracie Hartmanna, to wiesz, że coś ukrywają. To jeszcze nie wszystko...

– Czego chcesz?

Położył teczkę na stole, wziął w palce kawałek pizzy. Otworzył piwo i pociągnął łyk.

– To kopia naszych akt Benjamina Hartmanna. Chciałem, żebyś je miała. On był... był nam znany.

– Brix mówił, że był hipisem.

– Tak. Niezadowolonym hipisem. Zadawał się z różnymi ugrupowaniami antyrządowymi. Dla starszego brata musiał być trochę kłopotliwy.

Odsunął dokumenty na bok.

– Mogłeś dać mi to jutro.

– Nie. Nie mogłem. Nie będzie mnie. Dyhring odsunął mnie od sprawy. Mam się trzymać z daleka od wszystkiego, co jest z nią związane. Od Hartmanna, od Zeuthena. – Chwila przerwy. – I od ciebie.

Zjadł jeszcze kawałek pizzy. Zawsze jadł niewiele. Jeszcze mniej niż ona.

Spojrzał na nią i powiedział:

– Przykro mi, że narobiłem ci tyle kłopotów. Nie chciałem...

– Nie musisz tego mówić.

– Muszę, Sarah. Powinienem ci to powiedzieć na początku. Naprawdę nie wiem, co się stało z tą kartką z notesu. Całość trafiła do Dyhringa. Przeanalizowaliśmy zapisy. A kiedy uznaliśmy, że nic tam nie ma, zwróciliśmy to.

Znowu był taki jak na studiach. Chłopięcy, trochę naiwny, zdesperowany.

– Chcę wiedzieć, czy mi wierzysz. To dla mnie ważne. To...

Właśnie tak to się zaczęło przed laty. Lund odsunęła się, próbowała na niego nie patrzeć. Milczała.

Wyciągnął rękę. Ona znów się odsunęła. Borch zwiesił głowę. Pociągnął nosem, napił się piwa.

– Dzięki za kolację – powiedział i wyszedł tą samą drogą, którą przybył.

Dwadzieścia lat nie byli razem. To ona ich znowu połączyła. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie tamten rozpaczliwy impuls w Jutlandii.

Dlaczego?

Lund obiegnęła wzrokiem swój domek. Rośliny. Zdjęcie na lodówce. Wiadomość zakończoną uściskami...

Mogła prowadzić zwyczajne życie, chociaż ją omijało, chociaż próbowała go uniknąć.

I może gdzieś tam czekało ją szczęście...

Z Mathiasem Borchem.

Jej wzrok powędrował na stół. Teczka z napisem „Benjamin Hartmann”. W środku zdjęcie młodego człowieka o długich włosach i przystojnych, frapujących rysach brata. Ale na jego twarzy widać było też jakiś cień. Hartmann bywał słaby, czasami zdruzgotany. Ale nie tak jak jego młodszy brat.

Może...

Znowu nasunęła jej się pewna myśl. Odepchnęła ją. Oderwała kolejny kawałek pizzy. Przewertowała kilka kartek. I zatonąła w nich.

ŚRODA_ 16 LISTOPADA_

Następnego ranka Troels Hartmann starał się udawać, że to dzień jak co dzień. Była dziesiąta trzydzieści. Nebel towarzyszyła mu do mieszczącej się w centrum szkoły, gdzie miał wystąpić publicznie. Spora grupa dziennikarzy i fotoreporterów podążyła za nimi do holu, rzucając pytania o samochód, o zmarłego brata, o brak postępów w sprawie Zeuthenów.

Hartmann milczał, wszedł do szkoły, uśmiechnął się szeroko do uczniów ustawionych do powitania.

Uściski dłoni. Żadnych pytań, tylko prośby o pamiątkowe zdjęcia. Tymczasem Nebel dzwoniła.

Potem krótka chwila na osobności.

– Morten jest na policji – powiedziała mu. – Mówię mediom, że to narada.

Kiwnął głową. Pomachał dzieciom.

– Próbuję się połączyć z człowiekiem Zeuthena, tym Reinhardtem. Musimy wyjaśnić sytuację. Na razie bez powodzenia.

– Tu nie ma co wyjaśniać.

– Lepiej mu to powiedzmy. I jeszcze jedno... – Zerknęła w głąb korytarza. – Zdaje się, że Ussing wszedł bez zaproszenia.

Wściekłość w jego oczach, i to skierowana na nią.

– Powiedz mi, że to jakiś żart. To my decydujemy, z kim się pojawiamy i kiedy.

– Tak, ale to zrobił. Szkoła stara się o fundusze na remont. On składa obietnice. Macie krótkie wystąpienie razem, a potem jeszcze zdjęcia z dziećmi na podwórku.

Podła mu kartkę: szkic oświadczenia socjalistów o zwiększeniu budżetu na edukację.

– Znowu wydają pieniądze, których nie mamy – burknął Hartmann. – Powiedz im, że od nas też dostaną. Są jakieś dobre wieści?

– Policja mówi, że brakuje im informacji o poczynaniach Benjamina przez dwanaście godzin.

– Morten może im to wyjaśnić.

– Nie może. Wciąż nie mają dokładnych zapisów GPS z samochodu. On się zabił dwa tygodnie później. Policja na pewno myśli, że to ma coś wspólnego...

Hartmann, podążając za wskazówkami mijającego ich ucznia, ruszył do holu.

– Nie ma nic wspólnego, Karen. Znałem swojego brata jak nikt. Był zagubiony, miał depresję. To wszystko.

Pojawiła się uśmiechnięta kobieta. Dyrektorka. Poprosiła Hartmanna, by poczekał w sąsiednim pokoju, aż zbierze się widownia.

Musiała to być któraś z młodszych klas. Na ścianach wisały jaskrawe, fantazyjne obrazki. Przed nimi stał Anders Ussing ze swoim asystentem Perem Monradem.

– Odrobina kolorów zawsze ubarwia codzienność, nie sądzisz? – zagaił z szerokim uśmiechem.

– Rzeczywiście – mruknął Hartmann.

– Życie bywa zabawne, co? W jednej chwili ci idioci z policji uważają, że to do mojego samochodu wsiadła zamordowana dziewczyna. – Uśmiech się poszerzył. – A teraz uważają, że do twojego.

Hartmann przechylił głowę na bok i spojrział na niego.

– Znałeś tę dziewczynkę, Anders. Ja nie. Mój brat też nie...

– Lund uważa inaczej. Znowu siedzi ci na karku. To musi być straszne. Nic się nie martw. Nie wspomnę o tym. – Rozejrzał się po klasie. – Nie tutaj.

– Nie krępuj się.

Ussing się roześmiał.

– Wiesz, że dokładnie to samo powiedzieli moi ludzie? Morten nie śpieszył się z wyznaniem, co? On i Mogens Rank są blisko. Jesteś pewien, że to nie oni naciskali na Schultza?

– Jestem.

Kiwnął głową. Dopił kawę.

– Jasne, musisz tak powiedzieć. Inaczej kiepsko by wyglądała sytuacja Zeelanda i małej Zeuthen. Dwa dni do głosowania. Jak to jest, gdy się wygrywa?

Hartmann podszedł do okna, wyjrzał na posępny plac zabaw, na szary, zimny dzień.

Dołączyła do niego Karen Nebel.

– Będziesz musiał się streszczać – powiedziała. – Właśnie dzwonił Brix. Chcą z tobą rozmawiać. Uważają, że Benjamin zabił tę dziewczynkę w Jutlandii.

Nocna zmiana znalazła akta Benjamin Hartmanna i jego dokumentację medyczną. Dziesięć miesięcy przed śmiercią został wyrzucony

z amerykańskiego college'u, po tym jak aresztowano go w trakcie protestów Okupuj Wall Street w Nowym Jorku.

Lund słuchała, jak Brix przedstawia szczegóły.

– Leczył się na depresję. Zdiagnozowano u niego chorobę afektywną dwubiegunową. Był aresztowany za posiadanie niewielkich ilości narkotyków...

Dwadzieścia sześć lat. W zasadzie nigdy nie pracował. Wieczny student. Miał powiązania z ekstremistycznymi ugrupowaniami lewackimi. Pisał dla wielu magazynów i witryn aktywistów. Po awanturze w squacie wprowadził się do Hartmanna, choć gospodarz nie bywał za dużo w domu.

Ostatnie zdjęcia z akt PET: długie włosy, kolczyk w nosie, tatuaże. Punkowskie spojrzenie do obiektywu. Dochodzenie koronera wykazało, że przez ostatnie dwa tygodnie życia był niespokojny, pytał o leczenie, narzekał na bóle głowy. Troels Hartmann był zajęty tworzeniem rządu, nic o tym nie wiedział. Nagle Benjamin wszedł pod nadjeżdżający pociąg towarowy w Nørrebro.

– Morten Weber twierdzi, że Benjamin nawet nie zbliżył się do miejsc, w których bywała Louise Hjelby w Gudbjerghavn – kontynuował Brix. – Jeździł po okolicy, śledząc limuzyny rządowe.

– Jakiś dowód? – spytała Lund.

Całe rano próbowała się dodzwonić do Evy. Ciągłe zgłaszała się tylko poczta głosowa.

– Żadnego. Z drugiej strony, w aktach nie ma słowa o przemocy. Napaściach seksualnych. Sprawia wrażenie zaburzonego nastolatka, który nigdy nie dorósł. Czy Zeuthen przesłał jakieś nowe akta pracowników?

Pokręciła głową.

– Nie możemy na nie czekać – powiedziała. – Zeuthen uważa, że sam sobie ze wszystkim poradzi. Hartmann musi przedstawić...

– Lund! Porywacz do ciebie nie dzwonił. Wrobiłem Hartmanna, by ci pomóc. Wygląda na to, że na próżno! A to co?

Na biurku leżały rozrzucone akta, których stos przyniosła z archiwum. Raporty, nazwiska, zdjęcia ze sprawy Birk Larsen. Była zła, że nie zdążyła ich uprzątnąć, zanim wszedł.

– Szukałam tylko... – zaczęła.

– Ta sprawa jest od dawna zamknięta. Nie chcę, żebyś znów w niej grzebała. Hartmann nie miał nic wspólnego ze śmiercią tej dziewczyny...

– To nie znaczy, że niczego nie można się z niej nauczyć.

– Jeśli damy wycisk premierowi bez konkretnego powodu, polecą głowy.

– To musi być ten brat! – krzyknęła, uderzając palcem w zdjęcie. – PET zatuszowała mu naruszenie porządku publicznego. Skąd wiadomo, czy przy okazji nie ukryli innych rzeczy?

Ta uwaga chyba go przekonała.

– Nie aresztuję Hartmanna – powiedział. – Przesłuchamy go wyłącznie za jego zgodą. I nie wierz w ten kit, który Borch ci wciska. Nie wiemy, do czego doszli z Dyhringiem.

Brix skończył i ruszył za nią do biura. Juncker nie posunął się ani o krok w poszukiwaniach skradzionego twardego dysku.

– Ten koleś musi mieć inną metę, Lund. To oczywiste.

Ale to nie była prawda. Ona to czuła. Mężczyzna był ranny. Kończyły mu się możliwości. Kończył mu się czas.

– Co się stało z Borchem? – spytał młody.

Patrzyła na zdjęcia na ścianie: Emilie Zeuthen, Louise Hjelby i od niedawna Benjamin Hartmann. Dwoje z nich nie żyło. Trzecie było w niebezpieczeństwie.

I zdjęcie kobiety w bikini, szczęśliwej chyba, na plaży dawno, dawno temu.

– Jest odsunięty od sprawy. Znalazłeś coś na temat matki Louise?

– Monika Hjelby. Mieszkała przy porcie jachtowym. Próbuję się dowiedzieć, gdzie dokładnie. Co do Borchy...

– Zapomnij o Borchu! Już powiedziałam. Jest odsunięty od sprawy. Nic więcej nie wiem.

Podeszła do stołu, zaczęła nerwowo przekładać dokumenty. Dołączył do niej.

– Przez ciebie?

– Co?

– Nie złość się. Kazałaś go wywalić, bo nas oszukał w Jutlandii?

– Nie... nie wiem. Jasne?

– Jasne. – Wzruszył ramionami. Mogła na niego teraz nakrzyczeć, a to i tak niczego by nie zmieniło. – Pytam, bo na zewnątrz czeka jego żona i mówi, że nie ruszy się, dopóki z tobą nie porozmawia.

Smukła kobieta o bladej, wymizerowanej twarzy siedziała sama na ławce w korytarzu. Podniosła nerwowo wzrok, gdy Lund podeszła, przedstawiła się, wyciągnęła rękę. Nie przywitała się.

– Idę właśnie na spotkanie – powiedziała Lund. – Gdyby pani wcześniej zadzwoniła...

– Mathias wrócił wczoraj późną nocą.

Spojrzenie prosto w oczy. Oskarżycielskie. Nieszczęśliwe.

– Nie przyszedł do łóżka. – Głowa lekko przychyłona, spojrzenie wbite w jeden punkt. – Znalazłam go w salonie. Na kanapie.

Lund zerknęła na drzwi, próbowała znaleźć wymówkę.

– Z początku myślałam, że ma obsesję na punkcie sprawy, którą prowadzicie. – Zgorzkniały uśmiech. – Ale nie chodziło o to, prawda? Mówi, że kocha kogoś innego. To pani, prawda?

Nie odpowiedziała.

– Pojechaliście razem do Jutlandii. Co tam się stało?

– Ja nie...

– Jeśli ma pani kłamać, niech pani nic nie mówi. Nie...

Zapadła cisza. Przerwał ją tylko jej głos.

– Kocha go pani? W ogóle go pani zna? Gównu mnie obchodzi, że byliście kiedyś parą. Nieważne, co było między wami.

Zaczęła płakać, cała aż się trzęsła. Ludzie w pobliżu mogli to słyszeć. Patrzyli zakłopotani.

– Mamy dwie małe córeczki. To ich tata. Niech nam go pani nie zabiera.

Chwilę czekała na odpowiedź. Ponieważ nie padła, wstała i rozwścieczona odeszła. Jej energiczne kroki niosły się długim korytarzem Politigården.

Niedbałym krokiem nadszedł Brix.

– Jedziemy. Hartmann chce rozmawiać. W Christiansborgu. – Zerknął na nią. – Wszystko w porządku?

– Tak – szepnęła bez namysłu.

Kiedy rano Zeuthen wszedł do biur Zeelanda, Kornerup siedział przy swoim biurku, jakby nigdy go nie opuszczał.

– Wszyscy ci współczują, Robercie – powiedziała. – Ale trzeba też prowadzić firmę. W dodatku stawiasz tyle dodatkowych zadań. Są niezmiernie złożone.

– Zrobisz, co konieczne, i znikasz.

Kornerup się uśmiechnął.

– Członkowie rady poprosili, bym... tymczasem stał na straży.

Nieco dalej z otwartych drzwi na korytarz wyszli mężczyźni w garniturach i kilka elegancko ubranych kobiet. Rada nadzorcza.

– Dzisiaj rano odbyliśmy nieformalne spotkanie. Postanowiliśmy nie angażować w to ciebie ani Reinhardta. Byliście zajęci, co zrozumiałe, szukaniem twojej córki.

– Mogę to zawetować – powiedział Zeuthen.

– To prawda. Ale to wszystko, co możesz. Nie masz wystarczająco dużo głosów, żeby postawić na swoim. Jeśli doprowadzisz do sytuacji patowej, rynek natychmiast się dowie. Staniemy się łatwym kąskiem dla drapieżców. Kurs akcji i tak jest już żałosny.

Reinhardt kłócił się z dwoma członkami rady. Padały ostre słowa.

Czyjaś ręka dotknęła ramienia Zeuthena. Małe oczka Kornerupa lśniły za grubymi okularami.

– Zatrósz się o rodzinę. Ja zajmę się resztą. Dopilnuję wszystkiego. Ocena sytuacji zajmie mi mniej więcej tydzień. – Pauza. – Chociaż może się zdarzyć, że trzeba będzie wykonać jakieś operacje szybciej. Giełda...

Zeuthen starał się panować nad sobą.

– Mamy umowę z Hartmannem...

– I co ona jest warta?

– Zeeland zostaje tutaj.

– Hartmann jest właśnie przesłuchiwany. Szczerze mówiąc, nie pokładałbym w nim zbyt wielkiej nadziei. – Zerknął na zegarek. – A teraz wybacz. Mam telekonferencję z Szanghajem.

Ostentacyjnie ruszył do pracy.

Podszedł Reinhardt, wciąż wściekły.

– Czułem, że knują coś za twoimi plecami, ale nie miałem pojęcia, że posuną się tak daleko.

– Ty im na to pozwoliłeś, Niels.

To oskarżenie go zabolowało.

– Miał nam pomóc ze statkami! Nic więcej. – Pokręcił siwą głową. – Powinienem to przewidzieć. Podstępny stary drań. Dopilnuję, żeby nie wchodził ci w drogę. Od tej chwili rozmawia tylko ze mną.

Na monitorach pokazujących trasy przewozów ciągle zmieniały się dane. Ochrona szacowała, że Emilie może się znajdować na jednym z piętnastu frachtowców na morzu albo w jednym z sześciu terminali w Europie. Większość portów została sprawdzona, ale Rotterdam, Hamburg, Stavanger i Petersburg odmówiły otwarcia ładunków bez zgody właścicieli.

– Obawiam się, że policja nam nie pomoże – dodał Reinhardt.

– Zwrócimy się do nich bezpośrednio. Ja biorę Hamburg i Rotterdam. Ty jedź do Stavanger i Petersburga.

– Robercie... czy to prawdopodobne, że on to zrobił? Wiem, że policja znalazła te dokumenty, ale... dlaczego?

– A co mam robić?

– Nie wiem. Może zająć się firmą.

– Rada mnie nie słucha. Kornerup też nie. Dołączasz do nich?

Reinhardt pokręcił głową.

– Służyłem twojemu ojcu w doli i niedoli. I dla jego syna też to robię.

Zeuthen klepnął go w ramię. Uśmiechnął się blado.

– Więc zorganizuj samolot.

Wielka sala w Christiansborgu. Zimowe słońce prześwieca przez witrażowe okna. Obraz z widokiem starego portu. Marmurowy kominek i biblioteczki z drzewa orzechowego.

Lund zajęła miejsce po jednej stronie stołu, obok Brixa i Dyhringa. Hartmann po drugiej, przy nim Karen Nebel. Dziwił brak Mortena Webera. Premier bez swego politycznego doradcy sprawiał wrażenie nieco zagubionego. Rozglądał się po pokoju, jakby szacował wyposażenie,

wszystkie te meble, obrazy, trochę jak ktoś, kto wie, że zostanie wywłaszczony z domu, który kocha.

W końcu się skupił, spojrzał na Lund i powiedział:

– Nie wiedziałem, że Benjamin tamtego dnia był w Jutlandii. Wziął samochód bez mojej wiedzy. Co prawda ani trochę nie wierzę...

– Dlaczego więc Morten panu o tym nie powiedział? – spytała.

– Ze względu na Benjamina. Żebym się na niego nie wściekał. Ze względu na mnie, żebym się nie martwił.

W spojrzeniu Hartmanna zobaczyła coś, czego nie dostrzegła nigdy wcześniej. Cień autorefleksji. Lub wątpliwości.

– Żałuję, że mi nie powiedział. On też żałuje. Wszystko przez ten przedwyborczy obłąd. Człowiek myśli tylko o wynikach, słupkach, sondażach. Przyjaciele, rodzina...

Lund spojrzała na siedzących obok niej mężczyzn. Żaden nie zamierzał się odezwać.

– Louise Hjelby została zgwałcona i zamordowana w starej stoczni jachtowej. Pański brat przebywał w rejonie...

– Premier zna szczegóły sprawy – przerwał gwałtownie Dyhring. – Nie musi pani marnować jego czasu, omawiając ponownie ten temat.

Spojrzała na niego. Przynajmniej oboje z Brixem wiedzieli już, na czym stoją.

– Benjamin miał depresję. Zdiagnozowano u niego chorobę afektywną dwubiegunową. Leczył się. Był aresztowany za demonstrację w stolicy. Z Ameryki deportowano go mniej więcej za to samo...

– Lund! – Dyhring znów przerwał przesłuchanie. – Wszystko to wiemy.

– Zatem wie pan, czemu pytam – zwróciła się do Hartmanna. – Jak on się zachowywał po epizodzie w Jutlandii? Zmienił się?

Wzruszenie ramion.

– Nadchodziły wybory. Byłem wciąż w drodze. Ledwie rozmawialiśmy.
– Zamknął oczy, ściągnął brwi. – Nie miałem czasu. Nigdy nie miałem czasu. Zresztą wcześniej też nie.

Krótki nerwowy śmiech.

– Powiedziałem mu, że jeśli przegram, pojedziemy na wakacje. W Alpy czy gdzieś. Wynajmiemy jakiś domek wysoko w górach i będziemy chodzić, całymi godzinami, całymi dniami.

Pochylił się do przodu, złożył ręce i popatrzył na nią.

– Wiedziałem, że z Benjaminem nie jest dobrze. On też to wiedział. Próbowaliśmy coś z tym zrobić. Chodził na wizyty do specjalistów. Do szpitala. Wszyscy powtarzali to samo. To musi potrwać. – Hartmann ściągnął brwi. – A myśmy nie mieli czasu.

– Co on robił całymi dniami? – spytał Brix.

– Słuchał muzyki. Oglądał telewizję. Wiecznie siedział w internecie. No i – tu cierpkie spojrzenie – wiecie, co jeszcze robił. Zadawał się z tymi lewackimi anarchistycznymi mendami. Właśnie za to zgarnęła go PET.

– To było dla pana kłopotliwe – zauważyła Lund.

– Nie do końca – odparł. – Nikogo nie dziwi trudny młodzieniec w rodzinie. Tyle że mój miał dwadzieścia sześć lat, a nie chciał dorosnąć. Nigdy nie używał przemocy. W ogóle nie był agresywny. Był po prostu zagubiony, a ja nie znalazłem czasu, żeby mu pomóc. I ten krzyż muszę nieść...

Nebel postukała w zegarek.

– Odpowiedzieliśmy na wszystkie pytania. Premier ma pilne obowiązki...

– Benjamin się zabił! – krzyknęła Lund. – Pan nie chce wiedzieć dlaczego?

– Miał depresję – wyszeptał Hartmann.

Wyciągnęła kartkę papieru z logo szpitala uniwersyteckiego.

– Nie tylko. Dzień przed śmiercią poprosił o pilne spotkanie ze swoim lekarzem. To notatka. Prosił o więcej lekarstw. Powiedział, że cierpi na ataki paniki. Chciał wiedzieć, czy przyjmą go do szpitala.

– Mogę to zobaczyć? – spytał Hartmann.

Podła mu raport.

– Miał wrócić z panem, żeby to wspólnie omówić. Gdy mu to powiedzieli, odparł, że zrobił coś, czego pan mu nigdy nie wybaczy. Orientuje się pan, co to było?

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Hartmann wpatrywał się w raport medyczny.

Potem odezwał się cichym, niepewnym głosem:

– Dzień przed jego śmiercią wróciłem późno do domu. Myślałem... myślałem, że śpi. Nie słyszałem muzyki. Telewizor był wyłączony. Myślałem, że to dobry znak.

Chwycił karafkę i nalał sobie wody.

– Byłem w kuchni. Benjamin zszedł na dół. Przyniósł foldery ze Szwajcarii. Jakies katalogi z ubraniami do trekkingu. Z namiotami. Ze wszystkim tym...

– Troels – powiedziała Nebel, kładąc mu dłoń na rękę. – Nie musisz tego robić.

– Nie. To trzeba powiedzieć. – Spojrzał na Lund. – Wiedziałem, że chce porozmawiać. Ale chyba się zorientował, że jestem wykończony, bo powiedział, że to nieważne. Że chciał mi tylko pokazać te foldery.

Hartmann był bliski płaczu. Minęło trochę, nim doszedł do siebie.

– Ale my wygraliśmy, prawda? Powiedziałem mu więc, że nie dam rady w tym roku. Bo czeka nas mnóstwo pracy. Może innym razem. – W gniewie zamknął oczy. – Jakby...

Kiwnął głową. Chwilę walczył z nienawiścią do siebie.

– Następnego ranka wstałem. Chciałem mu zrobić śniadanie. Myślałem, że w końcu zrobiliśmy krok naprzód. Ale zajrzałem do jego pokoju, a łóżko było puste. Wyszedł i to był ostatni...

Nebel ścisnęła jego dłoń. W drzwiach stanął jakiś mężczyzna. Dyhring pośpieszył do niego, zaczęli rozmawiać.

– Tak bardzo go zawiodłem – powiedział Hartmann. – Ale on nie skrzywdził tej dziewczynki. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. To nie...

– Musimy mieć ten samochód – przerwała mu Lund. – Technicy kryminalistyki są w stanie znaleźć ślady sprzed lat...

– To śmieszne!

Wysoki głos, oczy pełne bólu. Hartmann patrzył na nią groźnie i znów widziała go takiego jak w Politigården sześć lat temu, kiedy utrudniał śledztwo w sprawie morderstwa tylko dlatego, że nie chciał się przyznać do innej tragedii.

– Benjamin by nigdy...

– To się musi skończyć – przerwała mu, coraz bardziej zła. – Co on powiedział tamtej nocy? Wspomniał o dziewczynce? Miał coś na myśli...

Podszedł Dyhring. Trzymał w ręce iPad, którego podał mu przybyły mężczyzna.

– Nieważne, co powiedział. Benjamin jest niewinny.

Położył tablet na stole. Wyświetlała się na nim mapa i trasa samochodu.

– Znaleźliśmy skradziony twardy dysk w kawiarence internetowej w Vesterbro. GPS pokazuje dokładnie to, co nam wcześniej powiedziano. Prywatny samochód premiera nawet nie zbliżył się do stoczni jachtowej, w ogóle nie był w pobliżu portu.

Lund chwyciła iPad, spojrzała na mapę.

– Chcę wszystko, co pan ma, Dyhring. Chcę przejrzeć...

Hartmann zaklął, wstał i wyszedł. Karen Nebel nachyliła się nad stołem.

– Oczekuję publicznych przeprosin. Jeśli nie usłyszę ich w ciągu godziny, podejmę odpowiednie kroki.

Wyszła. Potem Dyhring. I na koniec, rzuciwszy Lund pełne wyrzutu spojrzenie, Brix.

Stała na dworze z teczką w ręce, przy schodach pałacu, opierając się o ścianę. Nie miała pojęcia, co robić dalej, do kogo zadzwonić.

– Nie teraz – szepnęła, spoglądając na niego.

Ale Borch nie ustępował.

– Co się stało? Co Hartmann powiedział?

Poszła do samochodu. Nie odstępował jej na krok, przekonując.

– Sarah...

– Mercedes Hartmanna nawet nie zbliżył się do Louise. Dowodzi tego nawigacja.

– Jaka nawigacja?

– Ludzie Dyhringa znaleźli twardy dysk. Nie miałam wiadomości od porywacza. Nie wiemy, gdzie jest Emilie.

Spojrzała na niego.

– Wyświadczyli ci przysługę, odsuwając cię od tej sprawy. Myśmy zostali i oberwiemy.

Kręcił głową.

– Dyhring, jeśli zechce, może sfałszować zapisy GPS. Może zrobić wszystko. Pytałaś Hartmanna o jego brata?

– Tak! Tak! – Odwróciła się i wskazała pałac. – Sam go przesłuchaj, jeśli mi nie wierzysz.

I wsiadła do wozu. Zanim zdążyła zablokować drzwi, wskoczył na fotel pasażera.

– Masz jeszcze notes tego chłopca?

– Sprawdziliśmy wszystkie trzynaście czarnych samochodów z tego dnia. Nic nie pasuje.

Borch wyciągnął rękę i powiedział:

– Daj mi go.

Lund warknęła. Ale podała mu notes. Borch przekartkował go szybko, potem raporty, które były razem z nim.

– Zaczekaj. Jedna z osób, które sprawdziliście, kobieta, powiedziała, że w ogóle nie była w Jutlandii.

Lund patrzyła przed siebie, milczała.

– Może chłopiec pomylił daty – zastanawiał się na głos. – Albo numer, cokolwiek. Sarah...

Ciągle patrząc nieruchomo przed siebie, powiedziała:

– Dzisiaj rano była u mnie twoja żona.

Borch przycisnął notes do brzucha, milczał. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

– Nie chcę, żebyś wszystko niszczył... rodzinę, ich życie... przeze mnie.

Milczał. Zadzwoił jej telefon. Juncker.

– Słyszałem o twardym dysku – powiedział. – Bardzo się wkurzy, jak odkryje, że marnował czas.

– To prawda – przyznała.

– Mam imię osoby, która znała Monikę Hjelby. Birthe. Mieszka w porcie jachtowym. Oczekuje nas. Idę się teraz dowiedzieć, co PET znalazła w kawiarence. Ty się nią zajmiesz?

– Wyślij mi adres esemesem.

– Dzięki.

Eseses przyszedł niemal natychmiast. Asbjørn Juncker nigdy z niczym nie zwlekał. Lund pochyliła się, wyciągnęła rękę i chwyciła za klamkę

drzwi pasażera.

– On nie zrezygnuje, Sarah.

– Muszę jechać.

Borch wysiadł. Ona odjechała. Dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że został u niego notes małego Jakoba.

Reinhardt załatwił samolot do Rotterdamu: przygotowano plan lotu, pilot czekał, zatankowana maszyna również, po drugiej stronie wszystko było uzgodnione. Przedstawił Zeuthenowi szczegóły w jego biurze.

– Rozmawiałem jeszcze później z Kornerupem – dodał. – Dopilnuję, żeby się nie rzucił w oczy.

– Powodzenia – odparł Zeuthen, wstał, kiwnął głową i uśmiechnął się. – I dzięki. Doceniam to wszystko.

– Nie ma o czym mówić, Robercie. Po to tu jestem. – Krótki śmiech. – I dlatego żyję pracą.

Stali przy oknie z widokiem na port. Odkąd Zeuthen pamiętał, Niels Reinhardt miał dom i gabinet na terenie firmy, nad wodą. Jeszcze jeden znak, że był częścią Zeelanda, i że tak już zostanie.

– Zrób sobie czasami urlop – zasugerował Zeuthen.

– Najpierw musimy znaleźć Emilie. Poza tym Annette jest w domu we Francji, tam mieszka z dziewczynkami. Jestem słomianym wdowcem. Mogę robić, co chcę. Zadzwoń, jak będę miał jakieś informacje.

Zeuthen wziął kurtkę, aktówkę, i już miał wyjść na lotnisko, gdy wszedł człowiek z ochrony. Ktoś czekał w recepcji. Żeglarz, który twierdził, że widział coś w noc wydarzeń na moście.

– Rozmawialiśmy z nim, ale domaga się spotkania z panem. Myślę... – potarł palcem wskazującym o kciuk – że może chodzi o pieniądze. Jest w pokoju obok.

Zeuthen poprosił asystentkę, by uprzedziła lotnisko, że spóźni się na lot, po czym wszedł do pustego pokoju, do którego po chwili wprowadzono przybysza. Mężczyzna miał na sobie zielony sztormiak, choć było ciepło. Mocne ciężkie okulary. Wełnianą czapkę. Na grubo ciosanej, ogorzałej twarzy widniał kilkudniowy zarost. Był przysadzisty, silny. Nietypowy.

Opowiadał.

Cztery noce wcześniej żeglował po Sundzie w swojej jolce. Była trzecia nad ranem, strasznie zimno. Siedział przy sterze.

– Nagle usłyszałem ślizgacz, płynął bardzo szybko – mówił po duńsku, jak miejscowy. Z pewnością wykształcony. – Nie miał świateł, co wydało mi się trochę dziwne. – Mężczyzna wskazał okno. – Pan ma statki, więc pan rozumie.

– No i? – Zeuthen zerknął na zegarek.

– Niedługo później minąłem kabotażowiec. Nieduży. I znowu zobaczyłem ślizgacz. Cumował przy jego burcie. Spuścili trap. Widziałem, jak do góry wchodzi dziecko, a za nim mężczyzna.

– Cztery noce temu? – spytał ochroniarz. – I dopiero teraz pan przychodzi? Nie do policji?

Mężczyzna przechylił głowę. Patrzył na Zeuthena zza grubych okularów.

– Żeglowałem. Dowiedziałem się o wszystkim dopiero po powrocie. Wtedy nawet próbowałem się dodzwonić na policję, ale się nie udało. Widzę, że pan się jakoś nie cieszy.

Zeuthen pokręcił głową.

– Podsumujmy. Widział pan moją córkę na Sundzie, pływając żaglówką. O trzeciej nad ranem. Po ciemku. Tamtej nocy silnie wiało...

– To prawda – przyznał żeglarz.

Zeuthen wstał, zerknął na ochroniarza.

– Odprowadźcie pana – powiedział. – Jadę na lotnisko.

– Czemu tak trudno uwierzyć, gdy ktoś mówi prawdę, panie Zeuthen? Miała jakiś metr pięćdziesiąt. Ważyła ze czterdzieści kilo.

Zeuthen zatrzymał się i słuchał.

– Długie blond włosy. Proste. Bardzo blond, powiedziałbym. Czarne adidas. Grantowy płaszcz. Nie miała kamizelki ratunkowej.

Robert Zeuthen zawrócił, znów usiadł na krześle.

– Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku – mówił mężczyzna stanowczo. – Kołysałem się w odległości trzydziestu, czterdziestu metrów. Na pokładzie się świeciło. Żeby ta dziewczynka dała radę wejść po drabinie. I ten mężczyzna. Żeby widzieli drogę.

Opadł na oparcie, wyciągnął ramiona, patrzył w bok.

– Nie wiem, czy powinienem to mówić. To trochę krępujące.

– Co takiego?

– Odniosłem wrażenie, że mi pomachała. Dzieci tak robią, wie pan. Ale powinienem się wtedy domyślić, że coś jest nie tak.

Z sercem w gardle Zeuthen spytał:

– Widział pan nazwę tego kabotażowca?

Skinienie głowy.

– A tak. Pewnie.

– I?

– Chętnie panu podam. Ale pan jest człowiekiem interesu. Rozumie pan, że najpierw musimy się zająć stroną praktyczną.

Ochroniarz zeszywniał, popatrzył groźnie na żeglarza. Zeuthen gestem nakazał mu milczenie.

– Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, zgodnie z obietnicą dostanie pan nagrodę. Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Śmiech. Mężczyzna nerwowo podrapał się po wełnianej czapeczce.

– Nie wątpię w to. Niemniej jednak chciałbym gwarancję. Na znak dobrej woli.

– Jaką dokładnie?

Mężczyzna zastanawiał się chwilę.

– Pisemna umowa, spisana w obecności świadków. I dwa procent nagrody z góry. Gotówką. To wystarczy.

– Nie mamy tu takich pieniędzy – powiedział Zeuthen.

Mężczyzna rozsiadł się wygodnie, wyjrzał przez okno na morze.

– Nie śpieszy mi się.

Zeuthen strzelił palcami na mężczyznę stojącego obok. Kazał mu przygotować umowę.

Kiedy ten odszedł, spojrział na żeglarza.

– Tu chodzi o moją córkę. Każda chwila się liczy.

Ani śladu emocji.

– Rozumiem – odrzekł mężczyzna. – Niemniej jednak wolałbym zaczekać.

Przesuwał krzesło to w jedną, to w drugą stronę.

– Chętnie bym się napił herbaty. Z mlekiem. Bez cukru.

Wezwali asystentkę, by podała wszystko, i zostawili mężczyznę w pokoju.

Samego. Z filiżanką herbaty. Podeszedł do komputera. Ostatni użytkownik się wylogował. Mężczyzna wpisał więc nową nazwę użytkownika i świeże hasło administratora. I już patrzył na stojącą przed nim otworem sieć, zastanawiając się, dokąd by tu pójść.

Port jachtowy dobre czasy miał już za sobą. Lund zaparkowała na opuszczonym nabrzeżu obok zbutwiełej łodzi wiosłowej i jeszcze raz sprawdziła adres. Wyglądało tu jak na morskim złomowisku; trudno było

przypuszczać, że ktoś tu mieszka. Kamizelki ratunkowe, liny, kotwice, połamane maszty. Na tyłach, obok dwukondygnacyjnego budynku z blachy falistej z kilkoma doniczkami stojącymi na schodkach, kobieta w długiej kurtce przeglądała zawartość skrzynek.

– Birthe? – spytała Lund, wyciągając legitymację.

Odgarnęła czarne włosy spadające jej na ramiona. Patrzyła podejrzliwie.

– Jeśli chciała pani coś podkraść, to się pani spóźniła.

– Nie. Pani znała Monikę Hjelby. Matkę Louise. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci dziewczynki.

– Na to też już za późno. – Ruchem głowy wskazała schody. – Monika wynajmowała u mnie dziesięć lat temu. Dawno umarła.

– Niemniej jednak czy możemy porozmawiać?

W środku było porządnie, czysto, schludnie.

Kobiety poznały się w kawiarni, w której Monika pracowała.

– Była w ciąży. Trochę taka „ą ę”. Bez grosza. Powiedziała, że szuka mieszkania na parę miesięcy. Potem ojciec dziecka miał wrócić. Ale...

Birthe westchnęła.

– Mężczyźni – burknęła. – Więc Monika została.

– Nie poznała pani ojca Louise?

– Mówiła o jakimś gościu. Ale nigdy się nie pojawił. Uważała, że on ma pieniądze. Mówiła, że jej imponował.

– Czym?

– Nie wiem. Zapytana, robiła się bardzo tajemnicza. Chętnie bym ci powiedziała, ale potem musiałabym cię zabić. Tego typu rzeczy. – Roześmiała się. – Lubiłam Monikę, ale naprawdę... – Pokręciła palcem przy skroni. – Na ogół chodziła z głową w chmurach.

Lund chciała to określić jasno.

– Nigdy więc nie odwiedził jej żaden mężczyzna?

– Za życia nie. Parę lat temu dzwonił jakiś gość. Mówił, że jest jej starym znajomym. Chciał się z nią zobaczyć.

– I?

Wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam, żeby zajrzał na cmentarz na Amager.

– Pytał o Louise?

– Nie wiedział, że ma córkę. To go chyba bardzo zaskoczyło. Ona już wtedy była w domu dziecka.

Lund próbowała ustalić, jak wyglądał. Kobieta ściągnęła brwi.

– Całkiem zwyczajny. W sumie nie pamiętam. Z pewnością nie wiedział, że Monika miała dziecko. Potem już go nie widziałam. W sumie nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Telefon. Lund odebrała i usłyszała niecierpliwy głos.

– Mówi położna Evy Lauersen. Muszę rozmawiać z pani synem.

Birthe wyglądała na znudzoną.

– To nie jest dobry moment – powiedziała Lund.

– Ostatniej nocy przywieziono do nas Evę. Z silnym bólem brzucha. Dziecko może się urodzić przed terminem.

Podeszła do okna.

– To poważne?

– Naprawdę musimy porozmawiać z Markiem.

– Postaram się z nim skontaktować.

Sina woda. Martwa ziemia.

Kiedy się odwróciła, kobieta już schodziła po schodach, by wrócić do przeglądania pudeł i szukania grosza w stosie śmieci.

W drodze do samochodu Lund spytała ją jeszcze:

– Wie pani, w którym domu dziecka umieszczono Louise?

Birthe zatrzymała się na chwilę.

– Nie był państwowy. To wiem na pewno. W państwowych nie było miejsc. Monika pisała do różnych organizacji charytatywnych, gdy już wiedziała, że umiera.

Kluczyki. Telefon. Zastanawiała się, gdzie zniknął Mark.

– Jakich organizacji?

– Chciała, żeby Louise było dobrze. Pomogłam jej napisać mnóstwo podań. – Kobieta się skrzywiła. – Dlaczego tak je nazywam? To były raczej listy błagalne. Nic innego. Umierającej matki, która chciała zrobić coś dla swojego dziecka.

Sękatymi dłońmi wyciągnęła kawałek siatki i odrzuciła go na bok.

– Tylko jedni się zainteresowali. Zeeland. Monika umarła szczęśliwa. Najwyraźniej lubili panny z dzieckiem.

Lund zawróciła.

– Zeeland? Jest pani pewna?

– Jestem pewna. Oni to mają pieniądze, nie? Ale i tak mi żal tych dwojga. Ta ich córeczka... Sami tylu dzieciom pomagają, a tu takie nieszczęście na nich spadło.

– Gdzie był ten dom?

Kobieta zastanawiała się chwilę.

– Gdzieś w Jutlandii. Tak mi się wydaje.

Wracając z kolejnej debaty, Karen Nebel włączyła telewizor w samochodzie. Wywiad wypadł nie najgorzej. Ussing w kółko powtarzał te same rzeczy, o ukrytych sprawach i ich tuszowaniu. Ale skończyła mu się amunicja i świetnie o tym wiedział. Jeśli ktoś wziął górę, to był to Hartmann.

– Kiedy byłeś na wizji, dostałam wiadomość od Zeelanda – powiedziała.
– Nadal nas popierają. Sondáže wciąż wyglądają nieźle. Nie masz powodu

do przygnębienia.

Kolejny wieczór w Kopenhadze. Ruch na ulicach. Ludzie mozolnie przebijający się przez deszcz.

– I to wszystko? Sondaż?

– Nie – odpowiedziała, starając się nie złościć. – Pojutrze są wybory. Weekend budowania rządu. Szansa na nowy początek. Masz poparcie społeczeństwa. Zeelanda. Swój zespół...

– Ta historia w Jutlandii... Wiedziałaś o tym? Morten coś o tym wspomniał?

– Na miłość boską! Nie możemy z tym skończyć? Policja rozumie, że to nie ma...

– Wiedziałaś?

– Nigdy o tym nie wspominał. Nie miałam pojęcia, że Benjamin tam był. A co?

Wyłączył telewizor.

– Lund miała rację. On rzeczywiście się zmienił. Nie wiem, dlaczego nie zwróciłem na to uwagi. Teraz to jest dla mnie oczywiste.

– Tak to jest, gdy patrzysz na coś z perspektywy czasu, Troels. Nie ma w tym żadnej zagadki. Nie dopuszczaj do siebie tej kobiety. Morten wydał oświadczenie. Nie masz się czym przejmować.

Gorzki śmiech.

– To polityka, Karen. Zawsze gdzieś coś się pruje. My tego po prostu jeszcze nie widzimy.

Dziesięć minut później na przyjęciu w jednym z ratuszów grał kwartet smyczkowy, krążyli kelnerzy z szampanem i tarteletkami. Trzeba było podziękować sponsorom. Przywitać się ze zwolennikami.

Pierwszą osobą, jaką dostrzegł, przestąpiwszy próg, był Weber w smokingu, z czarną muchą, rozczochrane włosy. Podszedł i podprowadził

premiera do gości.

Gadki szmatki. Improwizowana przemowa. Ostatnio przychodziło mu to z taką łatwością.

Potem Weber zabrał go w zaciszny kąt, podniósł kieliszek.

– Widziałem cię w telewizji z Ussingiem. Wdeptałeś go w ziemię.

– Nie wspominaj o tym.

Weber milczał.

– Chodziło mi o to – dodał Hartmann – żebyś nie wspominał naszej kłótni z ostatniej nocy. Jej powodu. Tym się właśnie zajmujesz, prawda? Zakopywaniem przeszłości. Ważne jest dzisiaj i jutro.

– To skuteczne, nie sądzisz?

Byli sami. Nikt ich nie mógł usłyszeć.

– Co naprawdę wydarzyło się w Jutlandii? – spytał Hartmann.

Weber się zawahał.

– Nie zamknęliśmy tego raz na zawsze?

– Nie. Coś się zmieniło. Benjamin rzeczywiście był inny. Chcę wiedzieć, co się stało.

Podszedł kelner. Weber chwycił nowy kieliszek.

– Zostawmy to w spokoju, dobra?

Hartmann pochylił się i zajrzał mu prosto w oczy.

– Co się tam stało, do cholery? Chcę wiedzieć.

Weber się rozejrzał, wyprowadził go do holu.

Tu nikogo nie było. Tylko szlifowany kamień i martwe twarze dostojnych posągów.

– Zadzwonił do mnie z przystanku autobusowego. Był bardzo zdenerwowany.

– Czyli rzeczywiście widział tę dziewczynkę?

– Zapomnij o dziewczynce. Benjamin źle się czuł. Jeździł i robił zdjęcia do którejś z tych durnych witryn. Chcieli, żeby trochę narozrabiał w prasie.

– Nie – odparł Hartmann stanowczo. – On nie był taki.

Weber kiwnął głową.

– Nie był. Dlatego tak fatalnie się czuł, gdy omal tego nie zrobił. To nie była jego wina. Zadawał się z tymi wszystkimi szaleńcami i łykał ich propagandę. Jak to podlizujemy się wielkiemu biznesowi, bo osiągnęliśmy porozumienie z Zeelandem. Już wcześniej z nim o tym rozmawiałem. Powiedziałem mu, że to gówno...

– Ty? – Hartmann wymierzył palec w twarz Webera. – To był mój brat. Powinien rozmawiać o tym ze mną.

– Tak, jasne. Ale ciebie nie było. A ja chciałem, żebyś się skupił na kampanii. On mógł nam narobić kłopotów. Za ciężko pracowaliśmy nad tymi wyborami, żeby Benjamin je zniszczył.

– Więc co zrobiłeś?

– Kazałem mu zamknąć jadaczkę i zawiozłem go do Kopenhagi. Wpadł w histerię. Ciągle gadał, jak to oni zamierzają lecieć do prasy z historią, którą im dał. Naprawdę, szalał jak...

Zrobił to bez zastanowienia. Uderzył Webera mocno w twarz, pochylił się i powiedział:

– Mów, co widział.

Weber się nie cofnął. Ćwierć wieku przyjaźni, zmagania. W tej chwili wydawało się odległe.

– Uważał, że Karen siedzi w kieszeni Zeelanda. Organizowała spotkania za twoimi plecami. Dopinała umowy...

– Jakie spotkania?

Weber wzruszył ramionami.

– Nie brałem w tym udziału. Mnie nie pytaj. Benjamin powiedział, że przyjechał ktoś z szefostwa Zeelanda i rozmawiał z nią. Widział ich. Nie wiedział, kogo się bardziej bać. Tych świrów od witryny, którzy chcieli opublikować materiał, czy ciebie, jak się dowiesz, że nas szpiegował. Więc zabrałem go do domu, kazałem się zamknąć i zapomnieć o wszystkim.

– To tyle? – wyszeptał Hartmann.

Widział ją w holu. Uśmiechnięta, serdecznie witająca gości.

– To tyle... – Weber podniósł palec wskazujący. – Aha, i jeszcze jedno.

Hartmann czekał.

– Do wyborów został nam tydzień. Gdy jechaliśmy do Jutlandii, kończyły nam się pieniądze. A kiedy wróciłem do biura, konta były pełne.

Załatwienie pieniędzy trwało półtorej godziny. Zeuthen czekał w swoim gabinecie. Odebrał wiadomość od Reinhardta, który donosił, że przekonał Kornerupa, by na razie trzymał się z daleka od spraw firmy. Potem zadzwonił do Mai i powiedział jej o wszystkim, a ona jak najszybciej przyjechała i zaczęła się domagać spotkania z żeglarzem.

– To nie ma sensu – przekonywał. – On nie będzie rozmawiał, dopóki mu czegoś nie damy.

– Co to za człowiek?

– Wydaje się, że on ją naprawdę widział – odparł Zeuthen. – Jego opis...

Wszedł szef ochrony i nie patrząc mu w oczy, powiedział:

– Przyjechała policja przesłuchać świadka.

– Ja ich nie wzywałem! – krzyknął Zeuthen.

Mężczyzna nawet nie drgnął.

– Przykro mi, proszę pana. Nie miałem wyboru.

– Mamy pomóc w odnalezieniu Emilie – dodał Juncker. – Od pana zależy, co pan robi ze swoimi pieniędzmi. My możemy zweryfikować jego

wersję...

– Opisał jej blond włosy, granatowy płaszcz... Wiedział...

Juncker gwałtownie wciągnął powietrze.

– Nie mógł jej widzieć w granatowym płaszczku. Znaleźliśmy go w miejscu, w którym wcześniej przebywał porywacz. Widziałem ją w oknie, kiedy zabrał ją z tej fabryki w dokach. W sobotę. Tego samego dnia. Miała na sobie coś ciemnego.

Zeuthen zaklął, pognał korytarzem. Do pokoju. Pustego.

Juncker dopadł recepcjonistki. Żeglarz pytał, jak trafić do piwnicy.

– Powiedział, że musi zabrać coś z samochodu – dodała. – Widziałam, jak korzystał z komputera. To niedobrze?

Juncker zerknął na podłogę koło krzesła. Dostrzegł ślady krwi.

Spojrzał na ochroniarza.

– Zamknijcie wszystkie wyjścia budynku – polecił.

Pobiegli do wind: Zeuthen, Maja, Juncker.

Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim zjechali do piwnic. Nagi parking, w połowie wypełniony lśniącymi samochodami, głównie czarnymi.

Juncker biegł, z pistoletem w jednej ręce, telefonem w drugiej, próbował się dodzwonić do Brixa.

Maja wpatrywała się w Zeuthena przeglądającego rzędy samochodów.

– Po co on przyszedł, Robercie? Czego on chce?

– Nie wiem...

Wyglądało na to, że nikogo tu nie ma. Mężczyzna znowu zniknął.

Skuliła się, oparła się o słup. Spojrzała na niego.

– Nie wiem! – powtórzył Zeuthen, prawie krzycząc.

Pół kilometra dalej, w niskim budynku nad wodą, Lund wciskała guzik dzwonka. Dziwne miejsce. Wyglądające trochę jak biuro, trochę jak dom. Wokół drzwi wejściowych zadbane kwiaty i krzaki. W pokoju komputer na wielkim biurku. I kilka kroków dalej przystań, krótki pomost, czarna woda, fale połyskujące w świetle księżyca.

W końcu się doczekała. Wysoki, sztywno wyprostowany Niels Reinhardt podszedł do drzwi. Sprawiał wrażenie zaskoczonego jej widokiem.

– Pańska sekretarka powiedziała, że pana tu znajdę.

– Zwykle właśnie tu mnie można znaleźć. Czego pani jeszcze chce, Lund? Wysłaliśmy pani wszystkie akta pracowników, jakie zdołaliśmy odszukać.

Zerknęła w głąb. Czekala. Uprzejmy mężczyzna.

– Proszę wejść – powiedział, otwierając szerzej drzwi. – Ale proszę krótko. Muszę jechać na Kastrup.

Nie tego się spodziewała. Było tu bardzo nowocześnie a zarazem elegancko. Reinhardt kojarzył jej się raczej z sympatycznym, starszym wujkiem; tak wyglądał. Tymczasem tu na ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy. Lund przyjrzała się też drewnianym afrykańskim rzeźbom, które od razu rzucały się w oczy. Nutka osobista, która wydawała się trochę wbrew naturze właściciela.

Zastanawiała się, ile on ma lat. Sześćdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć? Mniej, niż sądziła na początku. I poruszał się bez trudu, żwawo.

– Chodzi o Fundację Dziecięcą Zeelanda. Pan pewnie jest w to zaangażowany...

Wszedł do biura, włączył więcej światła.

– Fundację? Dlaczego pani o nią pyta?

– To pewnie ślepy zaułek. Chcę wykluczyć ten trop.

Przyglądał się jej chwilę, po czym otworzył szafkę na akta i wyjął kilka broszur.

– Ojciec Roberta był porządnym chrześcijaninem. Wierzył w dobroczynność, pomagał potrzebującym. Zeeland rozwijał ideę społecznej odpowiedzialności firmy, zanim takie rzeczy stały się modne.

Rozłożył broszury.

– Mamy kliniki i domy dziecka. W Danii, oczywiście. Ale też w Afryce i na Bliskim Wschodzie. W Azji. To świetna inwestycja. Ostatnio ją nieco zaniedbaliśmy, ale...

Przystanęli pod długim oknem z widokiem na pomost i dalej na morze.

– Jakie to ma znaczenie?

– Louise Hjelby znajdowała się przez jakiś czas w jednym z waszych domów. Nazywał się Majgården.

Kiwnął głową.

– Pamiętam tę nazwę.

– Trzy i pół roku temu placówkę zamknięto. Nie zostały po niej żadne archiwa.

Reinhardt ściągnął brwi.

– Jak powiedziałem, nadeszły ciężkie czasy. Obawiam się, że i tu nie mamy żadnych archiwów. Naprawdę musi mi pani wybaczyć. Robert chce, bym poleciał do Petersburga. Jest tam statek...

Wziął walizeczkę.

– Emilie została porwana przez ojca Louise. Z jakiegoś powodu nie wiedział on, że ma córkę. Myślę, że pojechał jej szukać do domu dziecka. Tam...

Reinhardt słuchał, patrzył z zainteresowaniem.

– Jak mogę pomóc?

– Może jest ktoś, z kim rozmawiał? Zostawił nazwisko.

Pokręcił siwą głową.

– Muszę rozwiązać tę sprawę, jeśli mamy znaleźć Emilie. Potrzebny mi chociaż kontakt do Majgården.

– Zobaczę, w czym mogę pomóc. Sprawdzę w sekretariacie. Proszę tu poczekać.

Zniknął, a ona zaczęła myślować.

Na biurku znalazła kolejne afrykańskie rzeźby. Na kredensie – rząd pamiątek. Chińskich. Indyjskich.

I zdjęcia. Zawsze przyglądała się zdjęciom.

Zadzwonił telefon.

– Mówi Borch.

Na pierwszej fotografii widniała grupka dzieci. Głównie dziewczynek. Czarnych. Sądząc z buszu na dalszym planie, zdjęcie zrobiono w Afryce. Ośmioro dzieci uśmiechniętych szeroko do aparatu. Reinhardt stał pośrodku, obejmując dwie dziewczynki. Przytulał je, roześmiany. Nigdy nie posądzałyby go o tak promienny uśmiech.

– Nie bez powodu nie możecie znaleźć wozu, Sarah.

– A co?

Drugie zdjęcie. Dziewczynki hinduskie. Pośród nich Reinhardt. Jedna siedziała mu na kolanach.

– Ten numer zapisało siedmioletnie dziecko. Zrobiło błąd.

Następne. To z podpisem „Gwatemala”. Dzieci w strojach etnicznych. Za Reinhardtem dziewczynka obejmująca go ramionami za szyję.

– Odwrócił pierwszą literę. Zapisał Z zamiast S. Dlatego trafiliśmy do kobiety, która w ogóle nie była w Jutlandii.

Każde zdjęcie wyglądało z pozoru niewinnie. Przedstawiało po prostu miłego starszego pana z sierotami w domu dziecka założonym przez jego firmę. Dzieci wydawały się szczęśliwe. Ani śladu lęku. Strachu. Troski.

– W tym rzecz. – Pauza. – Jeśli odwrócimy literę, mamy samochód Zeelanda. To nie jest trudne. Skoro ja na to wpadłem, ten człowiek na pewno też wpadnie.

Czwarte zdjęcie. Dania. Podpis: „Majgården”. Grupka dziewczynek nie więcej niż dwunastoletnich. Niebiesko-białe fartuszki. Śliczne buzie. Żadna z nich nie jest szczęśliwa w ten zimny, nieprzyjemny dzień. Jedyne promienny uśmiech widniał na twarzy wysokiego, siwowłosego mężczyzny w czerni, trzymającego rękę na ramieniu dziewczynki.

Zaborczo. To właściwe słowo. Lund przyjrzała się uważniej. To nie była Louise. Ona stała dalej, ciemnowłosa, ciemnooka. Poważna. Jakby już wiedziała.

– Sprawdziłem numer – ciągnął Borch. – To samochód...

– Nielsa Reinhardta – przerwała mu.

Sięgnęła po zdjęcie. Trzymając je, próbowała myśleć.

– Cały czas krył się za plecami Roberta Zeuthena – dodał Borch.

Dźwięk za plecami. Lund postawiła zdjęcie z powrotem na półkę.

Stał i patrzył jej prosto w twarz. Czarny garnitur, czarny krawat. Nie uśmiechał się. Nie była dzieckiem.

W rękę trzymał karteczkę.

– Znalazłem dla pani nazwisko i numer telefonu.

Borch pytał Lund, gdzie jest. Rozłączyła się.

– To szefowa sekretariatu fundacji – dodał Reinhardt. – Może zdoła pani pomóc. Ale nie mogę tego niestety zagwarantować.

Wzięła karteczkę.

– A teraz naprawdę muszę już iść – rzekł.

Rutyna. Podeszedł do ściany, włączył jakiś system zabezpieczeń.

– Zna pan Majgården – powiedziała. – Jeździł pan tam.

Sięgnął po walizkę.

– Jestem prezesem fundacji. Nie mam dużo czasu. Ale w miarę możliwości zawsze się staram wspierać jej działalność.

Ponownie wzięła zdjęcie do ręki, wskazała Louise Hjelby.

– Znał pan tę dziewczynkę?

– Nie. Odwiedzałem wszystkie domy, kiedy tylko mogłem. Kto to jest?

– To...

Jej słowa zagłuszył dźwięk syren alarmowych. Wycie alarmu przeciwwłamaniowego. Reinhardt spojrzął na panel kontrolek systemu zabezpieczeń na ścianie. Jedno z czerwonych światełek błyskało.

– Przepraszam – powiedział. – Alarm w piwnicy czasami wariuje. Chyba nie zamknąłem okna.

– Proszę tu zostać – rozkazała Lund, odpięła płaszcz i wyjęła broń.

Dała cztery kroki w stronę okna. Światła zgasły. Wszystkie. Z latarką w ręku przyzwyczajala oczy do ciemności. Za oknem w blasku księżyca połyskiwała czarna woda.

Lund nadśluchiwała. Nagle ruszyła przed siebie, po schodach, w mrok piwnicy.

Hartmann i Karen Nebel opuścili przyjęcie. Brix powiadomił ich, że porywacz dostał się do budynku Zeelanda i zażądał pieniędzy, a następnie zniknął.

– Znowu? – spytał.

– Mamy spotkanie z Radą Rolniczą. Elektorat z tego sektora zawsze nieco zawodzi. To może być dobry pomysł...

– Nie chcę rozmawiać o krowich plackach, gdy życie Emilie Zeuthen wisi na włosku. – Zerknął za okno. Zbliżali się do nowoczesnego hotelu. Wyglądał jak każdy inny przystanek na ich drodze. – Te wybory zależą od

tej dziewczynki. Nie od Rady Rolniczej. Niech Mogens Rank informuje mnie na bieżąco.

– Niepotrzebny ci do tego Mogens. Ten człowiek powiedział Zeuthenowi, że jest świadkiem. Że widział Emilie. Sprawdził coś w komputerze i zniknął.

Hartmann spojrzał na nią zdumiony.

– Po co poszedł do Zeelanda?

– Nie wiem...

Zadzwoił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawił się napis „Weber”. Hartmann, widząc to, powiedział, żeby nie zawracała sobie głowy.

– Między wami już wszystko w porządku? Nie wygląda na to.

– Przygotuj nowe sondáže. – Pauza. – Jeśli są na to pieniądze.

– Mamy pieniądze. Czy Morten powiedział coś o Benjaminie?

Hartmann odwrócił się do niej.

– Powiedział, że Benjamin coś widział.

– Gdzie?

– W Jutlandii. A gdzie?

Potrząsnęła głową.

– Co widział?

– W tej chwili to nieistotne. Dzwon do Mogensa. Chcę wiedzieć, co się dzieje w Zeelandzie.

Lund obeszła piwnicę. Nie znalazła nic poza otwartym oknem. Miała zasięg, więc zadzwoniła. Do Brixa.

– Jesteśmy w Zeelandzie. Też powinnaś tu być.

– Jestem w okolicy. U Reinhardta. To niedaleko pomostu.

– Ten człowiek był w biurze. Niewykluczone, że nadal przebywa w budynku. Szuka kogoś.

– Jestem z Reinhardtem. Światła zgasły. Alarm...

Zaszczekał pies. Niemal słyszała odgłosy pracy ekipy w pomieszczeniu, po którym niesie się echo. Garaż, pomyślała, prawie to widziała.

– Powiesz mi później – zdecydował Brix.

– Dzwonił Borch. Mówił, że jeden z numerów rejestracyjnych był źle zapisany. Chłopiec się pomylił...

– Borch został odsunięty od sprawy.

– Słuchaj...

– Ośmieszylaś mnie przed Hartmannem, Lund. Przyjdź tu natychmiast. Rozłączył się.

Zamknęła okno. Alarm przestał wyć. Weszła po schodach na górę.

– Reinhardt – powiedziała – musi pan pójść ze mną do biura.

Pokój był pusty. Na podłodze leżała roztrzaskana porcelanowa figurka. Długie okna wychodzące na morze były otwarte.

Z latarką skierowaną na ziemię w lewej i z pistoletem w prawej dłoni wyszła na zewnątrz i szukała. W końcu na chodniku niedaleko mola zobaczyła plamę krwi. Dalej kolejną.

Wyjęła telefon. Już miała zadzwonić, gdy usłyszała zaledwie jeden cichy krok i dźwięk przeładowywanej broni. Poczowała, jak zimny koniuszek metalu opiera się o jej szyję.

– Rzuć broń, Lund – powiedział znajomy głos. – Już ci nie będzie potrzebna.

W sali konferencyjnej Brix, pokrzykując, zaganiał ludzi do pracy. Zeuthen i jego żona nie odstępowali go na krok.

Na jednym z ujęć monitoringu widać było, że mężczyzna wyszedł z budynku przez wyjście techniczne od strony morza. To wszystko, co mieli.

– On szukał kogoś z waszych ludzi – powiedział Brix. – Mówimy to panu od wielu dni...

– Przecież podaliśmy wam nazwiska! – krzyknął Zeuthen.

– Niewłaściwe.

Juncker wpadł pędem, ściskając kilka kartek.

– Mamy coś z komputera, którego używał. Przeglądał spis samochodów, sprawdzając numery rejestracyjne. Dotarł do... – przeczytał z kartki – ZE 23 574. Jeden z numerów w notesie tego chłopca był podobny. Różnią się tylko jedną literą.

Brix zamrugał powiekami, zadał Zeuthenom pytanie, na które znał odpowiedź.

– Tu są tylko inicjały. Kto to jest NJR?

– Niels Jon Reinhardt. Mój asystent...

– Dlaczego on szuka Reinhardta? – spytała Maja.

– Gdzie on jest?

– Miał jechać na lotnisko – powiedział Zeuthen. – Mieszka tu, na terenie firmy. Przy starym pomoście. On...

Brix już dzwonił do Lund.

Nie odbierała.

Wymierzał sprawiedliwość, więc chciał mieć świadka. Potrzebował kogoś, kto zobaczy, jak wykonuje wyrok.

Z rękoma związanymi na plecach Lund obserwowała rozgrywającą się scenę, walcząc jednocześnie z więzami. Jej pistolet leżał dwa metry od niej.

Niels Reinhardt klęczał na pomoście, a krzepka postać w zielonym sztormiaku metodycznie okładała go pistoletem.

– Czego chcesz? – wychrypiał Reinhardt, a wtedy ramię opadło, pięść uderzyła go w twarz, aż skamłając, padł na zimny beton obok starego

portowego pachołka z liną zarzuconą niedbale u podstawy.

Woda połyskiwała.

Mężczyzna przykucnął i powiedział spokojnym, opanowanym głosem:

– Widziałeś Louise w szkole. Zatrzymałeś się przy niej. Spytałeś, czy ją podwieźć.

Jej pistolet jednak nie był tak daleko. Gdyby zdołała się do niego przysunąć, uwolnić ręce...

– Teraz to zobaczysz, Reinhardt – mówił mężczyzna. – Przeżyjesz to raz jeszcze. Ona była zmęczona marszem. Znała cię z domu dziecka. Więc się zgodziła. Wsadziłeś jej rower do bagażnika...

– Nie wiem, o czym mówisz...

Zamachnął się. Cios pięścią, potem następny.

– Bała się, gdy skręciłeś w niewłaściwą drogę? I wtedy, gdy wrzuciłeś ją do tego hangaru?

Lund przetoczyła się, żeby lepiej widzieć.

– Nie wiesz, czy to on! – krzyknęła. – Zabiłeś już trzech niewinnych marynarzy. Chcesz znowu...

Obejrzał się w jej stronę. Kominiarka: dwa otwory na oczy, jeden na usta.

– Nie masz pewności – dodała ciszej. – Pomyśl o tym.

– Nic innego nie robię, tylko o tym myślę, Lund. Nic...

Kopnął Reinhardta w brzuch. Zaczekał, aż umilknie jego jęk.

– Potem zabrałeś ją do portu. Wrzuciłeś do wody. Jakby była śmieciem.

Podszedł bliżej Lund, znalazł łańcuch i bryłę betonu.

Spojrzał na nią.

– Czym jest sprawiedliwość, Lund? Wiesz? Czy kiedyś...?

– Na pewno porywanie małej dziewczynki to nie jest sprawiedliwość – przerwała mu. – Ani zabijanie człowieka...

Lina się poluzowała. Pistolet był coraz bliżej.

– Nie wiesz!

Zostawił łańcuch i beton. Rzucił coś w jej stronę.

Zdjęcie. Majgården. Louise Hjelby patrząca ponuro w obiektyw. Za nią Reinhardt. Władczy. Triumfujący.

– Myślisz, że ona była jedyna? Gdzie wtedy była sprawiedliwość?

Wrócił do pobitego mężczyzny na pirsie, ciągnąc łańcuch i ciężką bryłę. Przywiązał mu je do kostek i znowu zaczął krzyczeć.

– Tak to było? – spytał. – Żył, gdy wrzucałeś ją do wody?

Cios pięścią. Kopniak. Zamach pistoletem.

– Nie odpowiadasz? – zaśmiał się drwiąco. – No to skończysz tak samo. Pomyśl o tym. Woda...

Cement był już przymocowany. Kiedy mężczyzna pociągnął balast, Reinhardt w jednej chwili znalazł się tuż nad wodą. Zimne morze i zapomnienie.

– Pomyśl...

– Koniec – powiedziała Lund takim głosem, że się obejrzał.

Chwilę to trwało, ale zrzuciła pęta. Nie były tak mocne. Śpieszył się, nie zacisnął porządnie. Teraz stała na niewielkim pirsie z bronią w ręku i mierzyła w niego.

– Odłóż broń. Odsuń się od niego. Natychmiast...

W nikłym świetle na pomoście widziała wyraz jego oczu: zaskoczenie.

Wyprostował się jak żołnierz. Odsunął się w mrok, z dala od zakrwawionego Reinhardta.

– Stań tu – rozkazała. – W świetle.

Stanął.

– Ręce na głowę. Na kolana.

Pokręcił zamaskowaną głowę.

– Och, Lund. Tak się skupiasz na celu, tak się poświęcasz. A tak mało zwracasz uwagi na szczegóły.

Pistolet drżał w jej dłoniach. Przesuwała się, aż znalazła się pomiędzy porywaczem a obolałym, dyszącym Reinhardtem.

Przyglądał się jej.

– Opróżniłem magazynek – powiedział wreszcie – kiedy zabrałem ci broń.

Zapach paliwa i soli. Przenikający do kości wiatr napływający z nad morza.

Prawą ręką sięgnął do kieszeni. Rozrzucił pociski po betonie, a one zadźwięczały jak dzwoneczki.

Sięgnął do drugiej kieszeni i wyjął swoją broń. Wymierzył prosto w nią.

– Zejdź mi z drogi – powiedział.

Lund pociągnęła za spust. Iglica uderzyła w pustkę.

– Z drogi – powtórzył. – Mam cię dość.

Reinhardt jęczał za jej plecami. Próbowwała znaleźć właściwe słowa.

Ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Dwa strzały z ciemności rozdzierające noc na strzępy.

Lund stała wstrząśnięta. Spojrzała na leżącego mężczyznę. Za nim dostrzegła inną postać. Rozpoznała Mathiasa Borchę.

– Zajmij się nim – poleciała, a sama pobiegła na skraj pirsu i odciągnęła krwawiącego Reinhardta z nad krawędzi.

I wtedy nagle dotarło do niej. Kamizelka kuloodporna.

Odwróciła się, zobaczyła, jak porywacz zrywa się z ziemi, jak kopie Borchę w goleń.

Za słabo. Borch nie stracił równowagi, walnął mężczyznę pistoletem w czaszkę, przewrócił go znowu, ukląkł na jego klatce piersiowej, walił prawą pięścią.

– Nie zabijaj go! – krzyknęła.

Podbiegła, krzyknęła raz jeszcze, chwyciła Borchę za ramię, gdy się zamachnął.

Zabrała mu broń.

Coś lśniącego wystawało spod kołnierza sztormiaka. Plastik. Jak od wojskowej kamizelki balistycznej.

– Wstań, Mathias – powiedziała i pomogła mu.

Zdyszany, tak że nie mógł wydusić słowa, stał z kłykcami krwawiącymi od zadawanych ciosów.

Sarah Lund pochyliła się, zdjęła czarną kominiarkę z twarzy człowieka, którego ścigali od tygodnia.

Zwyczajna twarz. Zakrwawiona. Oczy zamknięte. Zwykły człowiek. Wyglądał, jakby spał. Nic nie zdradzało tego, co siedzi mu w głowie.

Nudne posiedzenie Rady Rolniczej. Hartmann przerwał je, gdy tylko napłynęły informacje o aresztowaniu. Wrócił do Christiansborgu, gdzie czekał na niego niezmiernie zadowolony Mogens Rank.

Gazety zaczęły wieszczyć wynik wyborów. Ussing, postać, która nigdy nie cieszyła się popularnością wśród wyborców płci żeńskiej, tracił poparcie. Gdyby Emilie odnaleziono żywą, Hartmann mógłby oczekiwać miażdżącej przewagi, dzięki której bez trudu dobrałby partnerów koalicyjnych.

– Mówił coś o Emilie Zeuthen? – spytał Hartmann, gdy Rank wszedł z nim do pałacu.

– Jeszcze nic. Został postrzelony w trakcie aresztowania.

Hartmann wyraźnie się zaniepokoił.

– Wyjdzie z tego – dodał Rank. – Miał na sobie jakąś profesjonalną kamizelkę kuloodporną. Przewożą go ze szpitala do Politigården...

– Chcę wiedzieć wszystko. Kim jest. Jak został aresztowany. Co nim powodowało...

Rank nie odpowiadał.

– Coś już wiadomo? – spytał premier zaniepokojony milczeniem Ranka.

– Nazywa się Loke Rantzau. Ma czterdzieści trzy lata. Przez jakiś czas służył w jednostkach specjalnych. Potem odszedł i został konsultantem do spraw bezpieczeństwa. Zeeland przez kilka lat korzystał z jego usług...

– Dlaczego, do cholery, nie podali policji jego nazwiska?

– Pracował jako wolny strzelec, nie był ich pracownikiem. Najwyraźniej to była... delikatna sprawa. Brał udział w negocjacjach z porywaczami w Somalii. Zdaje się, że ostatnim razem... – Rank otworzył przed Hartmannem drzwi jego gabinetu, sprawdził, czy nikt nie słucha – sam został zakładnikiem. Hans Zeuthen osobiście kierował operacją, o ile wiem. Nawet my nie byliśmy do tego włączeni.

– Chcesz mi powiedzieć, że duńscy obywatele przebywali w niewoli, a rząd nawet o tym nie wiedział?

– Jeszcze nie znam wszystkich szczegółów, Troels. Pracuję nad tym. Rantzau był ojcem tej dziewczynki zamordowanej w Jutlandii. Przebywał w niewoli przez niemal cztery lata, zanim uciekł. Kiedy wrócił do Danii... – Wzruszenie ramion. – Jego życie nie przypomina bajki.

Weber niemal wybiegł do niego z biura.

– Właśnie się dowiedziałem. Powiedział coś? Kiedy znajdą dziewczynkę?

– Rozmawiaj z Karen, nie ze mną – burknął Hartmann, po czym wszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami.

Mogens Rank poprawił krawat, poprawił okulary.

– Myślałem, że trochę bardziej się ucieszy.

Weber skinieniem głowy odprawił ministra. Następnie wszedł do Hartmanna.

Rozmawiał przez telefon o sprawie Zeuthenów. Gdy się rozłączył, Weber powiedział:

– To się musi skończyć, Troels. Wiem, że nie możesz się pogodzić, że Benjamin odebrał sobie życie, ale nie masz prawa mnie winić.

– Pierdol się! Przechodził załamanie. Zamiast powiedzieć mi wtedy, ty ukleciłeś jakąś bajeczkę o Karen i Zeelandzie, żeby ocalić swoją skórę.

Weber odczekał chwilę.

– Naszą skórę, Troels – rzekł w końcu. – Naszą skórę.

Pukanie do drzwi. Mogens Rank nie odszedł, cały czas był w polizu.

– To potworne – rzekł. – Rantzau twierdzi, że Reinhardt, osobisty asystent Zeuthena, miał coś wspólnego z zamordowaniem dziewczynki. Znam tego człowieka. Jadłem z nim kiedyś kolację. Rantzau mało go nie zabił. Nie...

– On był w Jutlandii? – spytał Hartmann.

– Rantzau? Wiemy, że...

– Nie! – krzyknął Weber. – Reinhardt.

– Nie mam pojęcia. A czemu pytasz?

Morten Weber usiadł, zdjął okulary, przetarł oczy. Nie patrzył na Hartmanna.

– Lepiej ściągnij tu Karen, Mogens – powiedział. – Musimy ustalić, jak z tego wszystkiego wybrnąć.

Trzymali go w chronionym pokoju przesłuchań, pod nieustannym nadzorem. Bez okien. Lund przesłuchiwała, Borch siedział obok. Brix tak chciał. Bez niego Lund by nie żyła, Reinhardt też.

Kamery zostały włączone. Brix śledził przesłuchanie przez lustro fenickie.

Dostali już informacje z marynarki wojennej, w której Rantzau służył do trzydziestego roku życia. Wcześniej skończył elektrotechnikę na uniwersytecie w Kopenhadze. Mieli też akta z archiwów Zeelanda, niestety niekompletne. Zdołali ustalić, że przez ostatnie trzynaście lat Rantzau pracował jako wolny strzelec, konsultant do spraw bezpieczeństwa. Będąc swoistym najemnikiem, rzadko bywał w Danii, nie miał rodziny, a w każdym razie nic o niej nie wiedzieli. Brał udział w tworzeniu i uruchamianiu sieci zabezpieczeń Zeelanda. Szkolił ochroniarzy dla statków firmy pływających po niebezpiecznych trasach. Negocjował okup z somalijskimi piratami. I sam był zakładnikiem.

Te ostatnie szczegóły wcale nie były pewne. Mężczyzna nie odpowiadał na pytania.

– Boli pana? – zagadnęła Lund, kiedy wszystkie inne pytania zawiodły.

W szpitalu go zbadano. Miał siniaki powstałe po uderzeniu pocisków w kamizelkę balistyczną. Starszą ranę ciętą na nodze. Powiedział pielęgniarce, że w Jutlandii wpadł na jakiś zardzewiały metal. Pewnie wtedy, gdy Lund go postrzeliła. Na ramieniu widać było świeżą ranę po postrzale Borch.

Zero odpowiedzi.

– Sporo już wiemy – powiedział Borch. – Według akt przekazanych nam przez marynarkę wojenną mówisz biegle czterema językami. W tej chwili wystarczy tylko jeden.

Położył na stole zdjęcie. Młodszy mężczyzna, krótsze włosy, twarz bez zmarszczek. Mundur marynarki wojennej. Uśmiech.

– Hans Zeuthen pana zdradził, prawda? – spytała Lund. – Negocjował pan okup w jego imieniu. W Somalii. Nie udało się. Zakładnicy zostali

uwolnieni. Pan trafił do niewoli.

Siedział sztywno, jak żołnierz, patrzył prosto przed siebie. Milczał.

Otworzyły się drzwi. Do środka wszedł Dyhring. Za nim rozwścieczony Brix.

– Nie wyraziłem zgody – zachnął się szef PET.

– Nie musiałeś – odparł Brix. – To nasz więzień. A poza tym – ruchem głowy wskazał Borch – masz tu swojego przedstawiciela.

– Ta sprawa podlega PET – krzyknął Dyhring. – Proszę natychmiast skończyć to przesłuchanie. Borch, wyjdź stąd! Chcę...

– Wyjdź! – Brix kciukiem wskazał drzwi.

Krzepki szef PET zmrużył oczy.

– Żartujesz?

– Ani trochę – warknął Brix. – Jeśli chcesz, powiem ministrowi sprawiedliwości, że od początku tej sprawy rzucałeś nam kłody pod nogi. – Ruchem głowy wskazał posiniaczonego, milczącego mężczyznę za stołem. – I dlatego on wciąż ukrywa gdzieś Emilie Zeuthen. Nie przekażę ci tego zadania.

– Borch! – szczeknął Dyhring. – Chodź ze mną.

– On pracuje teraz z nami – odparł Brix. – Jeśli chcesz go wyrzucić, ja go zatrudnię i jeszcze dam mu podwyżkę. Żegnam...

Madsen stał w drzwiach, najwyraźniej gotów do kłótni.

– Jedzie tu Robert Zeuthen, chce rozmawiać o swojej córce – dodał Brix.

– Nie chcę, żebyś psuł atmosferę. – Kiwnął głową do krzepkiego detektywa. – Jeśli Dyhring nie wyjdzie sam, wyprowadźcie go.

Szef PET popatrzył na wyszczerzonego w uśmiechu Madsena i ruszył w stronę korytarza.

Brix wrócił za lustro fenickie. Słuchał, patrzył, sprawdzał, czy kamery działają.

Borch rzucił na stół listę z numerami kontenerów. Rozpisę rejsów statków. Zdjęcia.

Rantzau niezmiennie patrzył w przestrzeń przed sobą.

– Loke – powiedziała Lund. – Musimy znaleźć Emilie. Im dłużej jej szukamy, tym trudniej przygwoździć człowieka, który zabił twoją córkę. Chcę go zobaczyć przed sądem. Chcę go tam postawić. Patrzeć, jak idzie do więzienia. Ty nie?

Coś się zmieniło. Odwrócił głowę. Ciemne, strapione, inteligentne oczy skupiły się na niej.

Nic nie mówił. Na jego twarzy malowała się pogarda.

Borch pękł, dopadł aresztanta, krzycząc na niego, podniósł pięść. Chwycił go za kark. Zmusił, by spojrzał na zdjęcia, na dokumenty.

– Który to statek, Loke? Który kontener?

– Przestań! – krzyknęła Lund i odciągnęła go.

Borch – niezadowolony – wrócił na miejsce. Wszyscy troje siedzieli w milczeniu.

– Wiem, przez co ona przeszła, Loke – odezwała się w końcu Lund. – Wiem, że cały czas to widzisz. Dniem i nocą. W tym nie mogę ci pomóc. Ale mogę go znaleźć. Znajdę...

Spojrzał na nią niemal rozbawiony. Przerwała, gdy zaczął mówić.

– Nigdy ci na to nie pozwolą, Lund. Nie rozumiesz? Zrobiłaś już wszystko, co tylko było można, żeby się z tego wykręcił.

– A jeśli udowodnię, że to był Reinhardt? Jeśli zostanie aresztowany... oskarżony?

Rantzau przyjrzał się swojej ręce, starł z niej krew. Wzruszył ramionami.

– No to musisz się ruszyć. Czasu jest mało. Zawsze mało. Z każdą minutą mniej.

Umilkł.

– Co to znaczy? – spytała. – Loke? Loke?!

Później, kilka pokoiów dalej, Lund spotkała się z Zeuthenami. Po raz pierwszy zobaczyła w ich oczach błysk nadziei.

Nie było jej z tym łatwiej.

– To ten człowiek – powiedziała. – Twierdzi, że Emilie żyje, ale nie chce powiedzieć, gdzie jest. Wciąż z nim rozmawiamy. Jeśli zdołam go przekonać, że będziemy pracować nad sprawą jego córki...

– Niech nas pani do niego wpuści – poprosiła Maja. – Możemy...

Lund pokręciła głową.

– To nic nie da. On ma powód nienawidzić Zeelanda. Uważa, że firma zatuszowała morderstwo jego córki. – Mówiąc to, patrzyła na Zeuthena. – Pracował dla pańskiej firmy. W Somalii były jakieś negocjacje w sprawie okupu za zakładników. Nie powiodły się. Rantzau trafił w ręce porywaczy. Kiedy wyszedł... dowiedział się o swojej córce.

– Nic o tym nie wiemy – odparł Zeuthen. – Dlaczego on się mści na nas?

– Uwierzcie mi – przekonywała Lund – nie ma sensu oczekiwać od niego współczucia. Nie ma szans. Musimy sprawdzić pańskiego asystenta, Nielsa Reinhardta.

– Reinhardta? – powtórzyła Maja.

– On się widział z zamordowaną dziewczynką. Jego samochód znajdował się w okolicy. Musimy zadać mu pewne pytania...

Zeuthen się oburzył.

– To śmieszne. Odkąd pamiętam, Niels jest dla nas jak członek rodziny. Macie tego człowieka. Na pewno...

– Jeśli znajdziemy zabójcę jego córki, przy odrobinie szczęścia znajdziemy Emilie, zanim będzie za późno.

Cisza.

– Za późno? – Maja Zeuthen od razu to podchwyciła. – Co pani chce przez to powiedzieć?

– Musimy znać szczegóły działalności waszej organizacji charytatywnej...

– Lund! Co ma znaczyć „za późno”?

Zmęczona, skołowana. Głupia. Tak się właśnie czuła. Wymknęły jej się te słowa, choć przecież oni i tak musieli o tym wiedzieć.

– Rantzau mówi, że cztery dni temu wysłał Emilie z Kopenhagi do zagranicznego portu. Nie powie do którego.

– I? – Maja nie ustępowała.

– Twierdzi, że ona znajduje się w hermetycznie zamkniętym zbiorniku wewnątrz kontenera. Pokazał nam...

Otworzyła notatnik, podała im kartkę.

– To komora dekompresyjna dla nurków.

Rysunki przedstawiające tubę z drzwiczkami z boku.

– Gdyby coś takiego znalazło się na pokładzie statku, wiedzielibyśmy o tym – powiedział Zeuthen pewnym głosem.

– On tak mówi.

– Ile czasu zostało? – spytała Maja Zeuthen.

– Nic nie wskazuje na to, żeby to była prawda...

– Ile? – powtórzył pytanie Robert Zeuthen.

– Czterdzieści osiem godzin. Może mniej. Potrzebujemy wszelkich danych na temat tej fundacji. Reinhardt jest w swoim domu na terenie Zeelanda. Nie jest ciężko ranny. Miał szczęście w nie...

– Chwileczkę – przerwała jej Maja. – Podsumujmy: pani uważa, że Niels Reinhardt zgwałcił i zamordował tamtą dziewczynkę? Jeśli pani to udowodni, ten Rantzau powie nam, gdzie jest Emilie?

– Tak to właśnie wygląda – przyznała Lund.

Mogens Rank znalazł Nebel w biurze. Całą czwórką usiedli, by wysłuchać jego relacji z dotychczasowego przebiegu wydarzeń. Powiązanie Reinhardta z domem dziecka. Fakt, że jego samochód był widziany w okolicy.

– Jest coś jeszcze, co łączy go z tą dziewczynką? – spytał Weber.

– Zdaje się, że kiedyś ją poznał. Jak widać na zdjęciu. Prowadził fundację działającą na rzecz dzieci. To akurat żadna niespodzianka.

Weber nie ustępował.

– Czy cokolwiek na to wskazuje? Czy jest jakikolwiek dowód, że wywierał on nacisk na Petera Schultza, by umorzono tamto śledztwo?

Rank pokręcił głową.

– Kto mówi, że ktokolwiek z naszej strony naciskał na niego? Ussing miałby powód. Ta mała Hjelby wzięła udział w jego kampanii. Został sfotografowany...

– Anders Ussing jest czysty – przerwał Weber z wściekłością. – Tak mówi policja. W ogóle nie wiedział, że dziewczynkę zamordowano. Schultz wyświadczał przysługę komuś innemu.

Rank wznosił oczy do nieba.

– To nie byliśmy my! Gdybym sądził, że ktoś stąd to zrobił, powiedziałbym wam. Wierzcie mi.

Karen Nebel cały czas milczała. Hartmann spojrzał na nią.

– Chyba że o czymś nie wiemy – rzekł. – Jak sądzisz, Karen?

– O czym?

– Znasz Nielsa Reinhardta? – spytał bez ceregieli.

– Poznaliśmy się. Wszyscy go znamy. Był przecież asystentem Hansa Zeuthena. A teraz jest asystentem jego syna.

– Widziałaś się z nim tamtego dnia w Jutlandii?

Spojrzała mu w oczy.

– To był okres wyborów. Spotkałam się z mnóstwem ludzi. W tym z kilkoma z Zeelanda. Jeśli...

– Odpowiedz na pytanie – poprosił Weber. – Czy tamtego dnia w Jutlandii spotkałaś się z Reinhardtem?

Odłożyła długopis, opadła na oparcie, rozejrzała się po zebranych.

– Tak. Widziałam się.

– Po co? – pytał dalej Weber.

– Bo partia tego potrzebowała. Bo nie mieliśmy wyboru...

Hartmann wstał, wskazał palcem pokój obok. Poszedł tam. Nalał sobie brandy. Czekał.

Po chwili weszła, siadła naprzeciwko niego. Weber dołączył, zamknął drzwi, stanął przy nich i słuchał.

– Czy to oficjalna rozmowa, Troels?

– Gdyby tak było, odbywalibyśmy ją w obecności Mogensa. Mam go tu poprosić? W końcu jest ministrem sprawiedliwości.

Potrząsnęła blond włosami.

– Nie. Nie potrzebuję Mogensa. Wykonywałam swoją pracę. Poparcie nam spadało. To całe gadanie o kryzysie nie poprawiało sytuacji. Potrzebowaliśmy poparcia Zeelanda.

– I?

– Robert Zeuthen właśnie przejął firmę po śmierci ojca. Ich dyrektor wykonawczy, Kornerup, próbował mu sprzątnąć ją sprzed nosa. Gdyby mu się to udało, w tygodniu głosowania Zeeland zapowiedziałyby zwolnienia grupowe.

Wzięła szklanekę i nalała sobie alkoholu.

– Reinhardt zadzwonił i spytał, czy może przyjechać do Jutlandii pogadać. Powiedział, że może powstrzymać Kornerupa, zostawić Roberta na stanowisku, jeśli obiecamy im wystarczająco dużo marchewek.

Zamrożenie niektórych podatków. Birgit Eggert ten pomysł się podobał. Tobie też, kiedy o nim wspomniała. Następnego dnia podaliśmy to do wiadomości publicznej.

– Benjamin cię widział – rzekł Weber.

– I co z tego? To nie była tajemnica. Nie robiliśmy nic nielegalnego. Chodziło o jedną z największych duńskich firm. Wszyscy wiedzą, że lobbują o wszystko...

– Nigdy cię nie prosiłem o takie spotkanie – zaprotestował Hartmann.

– Nie zawracam ci głowy każdym swoim spotkaniem. Byliśmy w środku kampanii.

Weber kiwnął głową.

– I dał ci pieniądze?

– Zeeland zrobił dotację na rzecz partii, oficjalnymi kanałami. Nie przekazał mi torby z gotówką na jakimś parkingu.

– Benjamin i tak już myślał, że podlizujemy się kapitalistom – powiedział jej Weber. – Kiedy was przyłapał...

– To nie moja wina, Morten. Nie zrobiłam nic złego.

Podszedł do stołu, chwycił szklankę i nalał sobie drinka.

– Ale Reinhardt zrobił. Zamordował dziecko. Tak w każdym razie uważa Lund. Jeśli się okaże, że to prawda, Ussing pożre nas żywcem. Kto uwierzy, że nie naciskaliśmy na Schultza, by to wyciszył? Mieliśmy w banku pieniądze Reinhardta.

– Myślisz, że pomogłam Reinhardtowi zatuszować morderstwo? – krzyknęła. – Dla pieniędzy?!

– Mogłaś nam powiedzieć, że spotkałaś się z nim tamtego dnia – zauważył Hartmann.

– Dlaczego? W ogóle mi to nie przyszło do głowy. Dlaczego miałam powiązać jakąś zamordowaną nastolatkę ze starszym gościem z Zeelandy?

Kim ja jestem? Jasnowidzem?

– Za to masz płacone – powiedział Weber. – Nie za...

– Dość – poprosił Hartmann.

– Troels, naprawdę myślisz, że ja miałam coś wspólnego z tuszowaniem tej sprawy?

Czekała. Nie patrzył na nią. Nie odpowiedział.

Nebel wstała, wyszła.

Po jej wyjściu Hartmann odwrócił się do Webera.

– Musi złożyć wyczerpujące zeznanie na policji. Potem znajdzie jej biurko gdzieś w sekretariacie. Może kserować dokumenty...

– Potrzebujemy Karen – przerwał mu Weber. – Jutro ostatni dzień kampanii. Twoja ostatnia debata. Ona trzyma za dużo sznurków...

– Benjamin musiał z kimś jeszcze rozmawiać. Nie tylko z tobą.

Weber milczał.

– Powiedz mi, Morten.

– Zadawał się z tymi swoimi kumplami od protestów. Dlatego właśnie robił zdjęcia. Miały trafić na ich witrynę.

– Jaką witrynę?

Weber się skrzywił.

– Oni się nazywają Frontal. Zwyczajna zasrana ekstremistyczna konspiracja. Tylko pyskują. Miałem na nich oko.

Umilkł.

– I?

– Mówił, że tam była pewna dziewczyna, Sally. Lubił ją. Zaproponowałem, że zapłacę, żeby ją zabrał na wakacje, ale... doszedł do wniosku, że przeklęty kapitalista znowu chce go przekupić.

– Znajdź ją – polecił Hartmann.

Niels Reinhardt wrócił ze szpitala. Miał rany cięte twarzy, obite żebra. Lund i Borch czekali w jego mieszkaniu nad morzem, aż mundurowi i technicy skończą przeszukanie.

– Dzwoni mój telefon – powiedział Reinhardt. – To zapewne moja żona. Wraca z Francji. Mogę odebrać?

– Może pan to zrobić później – odparła Lund. – Według pańskiego terminarza w dniu zniknięcia Louise Hjelby przebywał pan w Jutlandii.

Borch położył brulion na biurku.

– Pamięta pan, czy zajeżdżał do Gudbjerghavn? – spytała.

– Nie sędzę. Poprzedniego roku zamknęliśmy tam port.

– Dokąd pan pojechał?

– Do Esbjerg. Z samego rana miałem tam kilka spotkań.

– Z kim? – chciał wiedzieć Borch.

– Z politykami. To się działo w trakcie wyborów. Lobbowaliśmy, żeby oszacować, ile jest naprawdę warte ich wsparcie dla firm. Spotkałem się z pewną osobą z obozu Hartmanna. A także z obozu Ussinga.

Bardzo się starał poprawić krawat. W końcu zrezygnował z tego pomysłu. Za mocno bolało.

– To co ludzie mówią na osobności, różni się czasami od ich publicznych deklaracji. Walczyliśmy z trudną sytuacją ekonomiczną. Szukaliśmy sposobów, żeby pomóc firmie... pomóc Danii w przetrwaniu najgorszego okresu.

– Pan to pamięta? – spytał Borch. – Po dwóch latach?

– Tak, pamiętam, rzeczywiście. Niedługo wcześniej zmarł ojciec Roberta. W rezultacie w firmie nastąpiły niespokojne dni. A dwudziestego pierwszego kwietnia wypadały w dodatku sześćdziesiąte urodziny mojej żony. Miałem zorganizować wielkie przyjęcie.

Lund zajrzała do terminarza. Następnego dnia nie było żadnych wpisów.

– Więc miał pan spotkania i wyjechał z Jutlandii?

– Nie. Nie czułem się dobrze. Żona nalegała, żebym spędził noc w hotelu. Dojechałem tam po południu. I nie wyjechałem.

Borch poprosił o nazwę hotelu. Reinhardt potrząsnął głową, podał mu nazwisko swojej asystentki, która powinna ją mieć.

– Miał pan dostęp do dokumentów fundacji – powiedziała Lund. – Znał pan adres Louise Hjelby w Gudbjerghavn. Poznał pan ją w domu dziecka...

– Nie wiedziałem, że to o tej dziewczynce mówicie. – Wskazał zdjęcie na półce. – Czy gdybym miał coś do ukrycia, trzymałbym w salonie jej zdjęcie?

Spojrzała na ustawione obok siebie fotografie.

– Niewykluczone, jeśli miałyby to być trofeum. Pamiątka.

Reinhardt zaklął szpetnie.

– Więc nikt nie może potwierdzić, co pan robił po tych porannych spotkaniach w Esbjerg?

– Skoro pani tak mówi...

Borch potrząsnął wydrukami z billingiem.

– A pańska komórka była wyłączona od godziny czternastej. Rozładowała się dwanaście kilometrów od domu Louise? I włączył ją pan dopiero następnego dnia w Kopenhadze?

– Bateria mi się wyczerpała! To jakiś absurd. Mam sześćdziesiąt cztery lata. Czy wyglądam na kogoś, kto gwałci i morduje małe dziewczynki? – Głos mu się załamał. Można by odnieść wrażenie, że się zaraz rozpłacze. – Nie do wiary, że uważacie mnie za zdolnego do takich rzeczy!

Borch powiedział, że muszą pobrać od niego próbki DNA i odciski palców. Samochód Reinhardta zabrano do garażu Politigården.

– Poproszę pański paszport – dodała Lund. – Nie może pan opuszczać Kopenhagi bez naszej zgody. Jeśli nie dostosuje się pan do naszych życzeń,

zostanie pan osadzony w areszcie.

Zadzwoił jej telefon. Lund podeszła do długiego, podwójnego okna i odebrała. Maleńki pomost, na którym omal nie zginęła razem z Reinhardtem, był teraz oświetlony jak molo w nadmorskim kurorcie.

Dzwoniono ze szpitala, znowu proszono o kontakt z Markiem. Eva źle się czuła, potrzebowała wsparcia, ale i ubrań. Zadzwoiła do niego, usłyszała, jak włącza się poczta głosowa, zostawiła kolejną wiadomość.

Borch znowu słuchał narzekań Junckera, który tym razem pytał, dlaczego przetrząsają dom Reinhardta, zamiast szukać Emilie Zeuthen.

Kiedy się rozłączyła, młody spytał, co się dzieje.

– Musimy przeszukać dom Reinhardta we Francji – powiedziała. – I wszystkie inne, jeśli ma jakieś jeszcze. Jeśli to on zabił Louise, musiał w tych domach napastować inne dzieci. Może nie on jeden.

– Zostaw to nam, Sarah. Idź szukać Marka.

– Nakopaliśmy solidnie temu Rantzauowi? – spytał Juncker.

– Mamy robotę! – przypomniała.

– Tak. I wykonamy ją – odparł Borch. – Jedź.

Maja krążyła po pokoju na piętrze w Drakkarze. Wydzwaniała gdzieś, powtarzała, że weźmie paszport i sama pojedzie szukać Emilie za granicę. Nagle pojawił się Kornerup. Pewny siebie. Na jego twarzy widniał może nie uśmiezek, ale coś pokrewnego.

Zeuthen stanął przed nim u stóp wielkich schodów.

– Co tu robisz? Nie życzę sobie twojej obecności w moim domu.

– Przepraszam, Robercie. Doskonale cię rozumiem. Ale musimy omówić kwestię zainteresowania policji Reinhardtem.

Zeuthen jęknął.

– To śmieszne. Oni znowu spartaczyli robotę. Niels jest tu od zawsze. Chcę...

– Nie chodzi tylko o Reinhardta. Fundacja jest publicznym przedsięwzięciem Zeelanda. Jeśli media wpadną na trop tej historii...

– Podobno Rantzau pracował dla nas – przerwał mu Zeuthen. – Niels go znał?

Nic.

– A ty?

– Chcę, by nasi prawnicy pomogli Reinhardtowi. On jest niewinny. Należy mu się to.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie. Nie znałem.

– Tak?

Kornerup spojrział znacząco na gabinet. Przeszli tam i usiedli.

– Twój ojciec osobiście zajmował się sprawami okupów. Myśmy tylko wykonywali jego polecenia.

– Na przykład?

– Trzymaliśmy się z daleka od negocjacji. Korzystaliśmy z pośredników. Wygląda na to, że Loke Rantzau był jednym z nich. Nie wiedziałem. Reinhardt na pewno też nie miał pojęcia. Ten człowiek w zasadzie nigdzie nie figuruje.

– Został schwytany. A my nic nie zrobiliśmy, żeby mu pomóc.

Kornerup ściągnął brwi.

– To niebezpieczne zajęcie. Jak rozumiem, on ma za sobą karierę wojskową. Znał ryzyko.

Zeuthen wpatrywał się w sejf przed sobą. Wiedział, co jest w środku. Myślał o tym od jakiegoś czasu.

– Rzecz w tym, Robercie, że powinniśmy naciskać na Politigården. Nie mogą nękać Reinhardta, jakby był przestępcą, muszą skupić się na tym porywaczu. Dlaczego nie przycisną tej kreatury? On wie, gdzie jest Emilie. Tylko on.

Kroki przy drzwiach. Maja w długim płaszczu noszonym jeszcze w czasach, gdy byli razem.

– Maju... – zaczął Zeuthen.

– Wiem, że uważasz go za kogoś w rodzaju wujka. Ale Lund musi mieć powód, żeby go podejrzewać.

Podszedł do sejfu. Trzymali tam rodzinne archiwum. I broń. Srebrny pistolet. Tak na wszelki wypadek.

Zeuthen wziął jej paszport, podszedł i podał go Mai.

– Prosiłeś Reinhardta, by sprawdził, czy ktoś w Zeelandzie wie coś o śmierci tej dziewczynki – mówiła. – Dlaczego on nie...

Kornerup zerwał się i wyciągnął rękę. Patrzył na nich oboje.

– Wszyscy w Zeelandzie pragną waszego dobra. I dobra Emilie – oznajmił stanowczo. – Jeśli mogę w jakikolwiek sposób pomóc, mówcie.

Wyciągnięta na pożegnanie ręka zawisła w powietrzu. Zeuthen odwzajemnił gest.

– Dzielą nas pewne różnice – kontynuował Kornerup – ale z mojej strony zostają zapomniane. Ty prowadzisz tę firmę, Robercie. Powiedz nam, co robić.

Po jego wyjściu Maja poszła na górę, siadła na łóżku w pokoju gościnnym. Paszport leżał na poduszce.

Wszedł Zeuthen i usiadł obok niej.

– Dokąd chcesz jechać? – spytał.

– Nie wiem.

– Samolot czeka. Dostałem wiadomość z Hamburga. Nic tam nie ma. Może Petersburg. Reinhardt miał tam jechać...

Zesztywniała na dźwięk jego nazwiska.

– Gdyby w firmie działo się coś niedobrego, wiedziałbym o tym – powiedział.

Milczała.

– Pojadę do biura, zobaczę, co można zrobić. Kiedy zdecydujesz, gdzie...

Jej ręka przemknęła do jego dłoni, chwyciła ją.

– Zostań tu. Zostań ze mną. Z Carlem.

Dopiero teraz zobaczył, że na kolanach trzyma jeden z pamiątek Emilie. Rysunki rodziny. Zdjęcie kotka.

– Odnajdziemy ją – powiedział. – Kiedy wróci do domu, wszystko będzie inaczej. Obiecuję ci. Jeśli...

– Nie wiesz wszystkiego o firmie. Nie mówią ci. Oszukują. Widzę to w oczach Kornerupa. Jesteś figurantem, Robercie. Synem swojego ojca. Za twoimi plecami robią, co chcą. Oni...

– Nie obchodzi mnie Zeeland! Chcę naszej czwórki, znowu razem. Możemy gdzieś wyjechać. Na jak długo zechcesz. Aż dzieci się nami znudzą i nie będą mogły już na nas patrzeć.

Roześmiała się, ścisnęła jego dłoń odrobinę mocniej, nachyliła ku niemu głowę i wyszeptwała:

– Czy to ja od ciebie odeszłam? Czy ty ode mnie? Nie pamiętam.

– Pewnie jedno i drugie po trochu.

Tak właśnie było kiedyś. Blisko. Mnóstwo prostej oczywistej miłości.

– Jak mogliśmy być tak głupi? – spytała. I pocałowała go.

Był nieśmiałym mężczyzną. Nie namiętym, ale pełnym uczuć.

Uśmiechnęła się, poczuła, że łzy szczypią ją w oczy.

Położyła dłoń na jego głowie, przyciągnęła ją do siebie.

– Teraz twoja kolej, pamiętasz?

Eva spała. Lekarka cichym, stroskanym głosem mówiła o czymś, co nazywała zespołem aspiracji smółki. Lund patrzyła bezradnie.

– Wody płodowe są zanieczyszczone – wyjaśniła kobieta. – Jeśli sytuacja się pogorszy, prawdopodobnie będziemy musieli wywołać poród.

Spojrzała na Lund.

– Szczerze mówiąc, Eva nie chciała, żebym do pani dzwoniła. Ale nie znalazłam innego krewnego.

Dali jej własny pokój na oddziale położniczym. Dokoła słychać było ciche popłakiwania. Korytarzem przemykały postaci w bieli, trzymające w troskliwych ramionach małe zawiniątka.

– Z dzieckiem wszystko dobrze?

Chwila przerwy.

– Panujemy nad sytuacją.

Żadnej jednoznacznej odpowiedzi. To nigdy nie jest dobry znak.

– Czy pani syn wie, w jakim stanie jest Eva?

Lund przyniosła bukiet kwiatów. Teraz wydawały się jej bez sensu.

– Próbowałam się z nim kontaktować. Nawet nie wiem, gdzie jest.

Kiwnięcie głową. Jakby chciała powiedzieć: „nic nowego”.

– Ona potrzebuje wsparcia. Boi się. I trudno się dziwić.

Kobieta odeszła.

Lund znalazła wazon, postawiła kwiaty obok łóżka. Jej krzątanka przebudziła Evę. Przekręciła się na łóżku, młoda twarz zarumieniona od gorączki i być może od leków.

Wielki brzuch w białej koszuli. Kręciła się, wierciła. Było jej niewygodnie. Lund przypomniała sobie to wszystko. I ten strach.

Weszła pielęgniarka.

– Przepraszam – powiedziała. – Zostawiła pani torbę na korytarzu. Nie wolno...

– Nie zostawiłam.

– Tu jest napisane Eva Lauersen – dodała kobieta. – I tak ją tu wstawię. Jeśli pani...

Lund minęła ją pędem, rozejrzała się po korytarzu. Wysoka postać w zniszczonej kurtce zdążyła do wyjścia. Dogoniła go w drzwiach.

– Mark?

Spojrzał zmęczonym wzrokiem.

– Nie zaczynaj, mamó.

– Nie zacznę. Myślę, że Evie nic nie będzie. Ale z dzieckiem mogą być problemy. Ona cię potrzebuje.

Kaptur naciągnięty głęboko na głowę. Jak u większości chłopaków na ulicy.

– Mówiłam jej, że możecie zostać w moim domu. Jak długo chcecie...

– Tak. Jak kilka ostatnich nocy. I zobacz, do czego to doprowadziło...

Tyle przeprosin. Tyle błagań. A on i tak rzucał jej w twarz absurdalne oskarżenia.

– Nie możesz mnie winić za wszystko. Za wiele spraw tak. Ale nie...

Szyderczy uśmiezek nastolatka; przez chwilę znowu był chłopcem.

– Wiem, że cię zawiodłam – dodała. – Nie musisz mi tego przypominać. Gdybym miała szansę cofnąć czas...

– Nie! – krzyknął. – Nie mów tego. Nigdy mnie nie chciałaś. Nigdy cię nie interesowałam. Zawsze tylko praca. Jakaś martwa dziewczyna czy cokolwiek innego. Ja nigdy. Ja żyłem, a to według ciebie nudne.

Chciała się spierać, nie mogła znaleźć słów.

– A teraz masz mały domek z ogródkiem. Cichą pracę za biurkiem. Więc w końcu wydaje ci się, że masz prawo mówić mi, jak mam żyć. – Pokręcił

głową. – Nie wiesz, kim jestem. A chcesz...

– Żyjesz własnym życiem! – krzyknęła. – Nie chcę ci mówić, jak żyć. Mark... jesteś mądrzejszy ode mnie. Silniejszy. A teraz musisz być szczególnie silny.

Płakała i to go powstrzymało.

– Jedyne, co ode mnie dostałeś, to nauzkę, czego nie robić. Możesz z tego skorzystać. Ty i Eva...

Coś nowego w jego oczach. Może nienawiść.

Odwrócił się i ruszył szpitalnym korytarzem, pośród biało-niebiesko-zielonego morza fartuchów.

– Mark – wyszeptała, ale wiedziała, że jej nie słyszy.

Zadzwoił jej telefon.

– Sprawdzam Reinhardta – powiedział Borch. – Użył swojej karty kredytowej w kiosku. Pół godziny przed zniknięciem Louise. Dwa kilometry od szkoły.

Wydało się jej, że widzi wysoką postać w kapturze znikającą w dalekich drzwiach.

– Sarah?

Jej syn się nie obejrzał. Może nigdy się za siebie nie oglądał.

CZWARTEK_
17 LISTOPADA_

Wczesna pobudka. Lund przyszła do pracy przed siódmą. Brix wyglądał, jakby w ogóle nie wychodził. Prawnicy Zeelanda już dzwonili, obwieszczając całemu światu niewinność Reinhardta.

– Musisz znaleźć coś bardziej obciążającego niż kupowanie batonika w kiosku – powiedział, gdy szli razem do garażu kryminalistyki.

– W jego gabinecie stoi zdjęcie, na którym jest on i dziewczynka – zauważył Borch, popijając kawę przy czarnym mercedesie stojącym na podnośniku.

– Jeszcze bardziej obciążającego – odparł Brix. – Dyrektorski samochód. Zawsze na wysoki połysk.

Podszedł do bagażnika. Wskazał w środku miejsca zaznaczone przez techników.

– Na lakierze są zadrapania pasujące do roweru Louise. To powszechnie stosowany lakier. I biały. Nie da się stwierdzić definitywnie, że to ten sam.

Rower stał obok mercedesa. Brix wyglądał, jakby miał go kopnąć.

Lund podeszła do zdjęć leżących na biurku. Były to fotografie z pierwotnego, utajnionego później raportu Lis Vissenbjerg. Leżał tam też nowy raport.

– Technicy ponownie przeanalizowali zdjęcia zwłok. Ona się broniła. Obrażenia powstały, kiedy jeszcze żyła. Niewykluczone, że sprawca miał na sobie ślady jej krwi.

– A w samochodzie jakieś są? – spytał Brix.

– Już powiedziałem. – Borch robił się drażliwy. – Jest regularnie czyszczony i sprzątany. Ale to, że ich nie znaleźliśmy, nie oznacza, że ich nie było.

Lund przeglądała ostatnie znaleziska.

– Miała połamane zęby. Prawdopodobnie zegarkiem.

Podeszła i pokazała mu zdjęcie – rozchylone martwe usta, krew, potrzaskane zęby.

Brix skinął głową na jednego z techników.

– Zauważyliśmy to trzy godziny temu. Mamy zegarek Reinhardta. – Podniósł do góry torebkę dowodową. – Nie ma na nim nawet zadraśnięcia.

Borch oponował. Nikt nie widział Reinhardta po porannych spotkaniach w Esbjerg. Ani w hotelu.

– Słaby dowód – skwitował Brix.

– Na miłość boską! – warknęła Lund. – Z jego życia zniknął cały jeden dzień. Rano wyjechał z Esbjerg. Dwadzieścia cztery godziny później odebrał z Kastrup żonę przylatującą z Paryża. Nikt nie znika z radaru na tak długo...

– Gdzie się przebrał? – spytał Brix. – Jeśli ją zabił, na pewno chciał od razu posprzątać samochód. Gdzie to zrobił?

– Szukamy! To nie jest łatwe...

– Emilie Zeuthen tkwi w jakimś kontenerze i kończy się jej czas. Musimy...

Zadzwoił telefon Borch. Oni dalej się kłócili. Kiedy skończyli, powiedział:

– Na górze czeka Annette Reinhardt. Przesłuchajmy ją.

Blondynka w drogiej jedwabnej sukni, promienna, pewna siebie. Chętnie zasiadła w pokoju przesłuchań, od razu zobaczyła kamerę i uśmiechnęła się do niej.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam – powiedziała. – Mój mąż o mało nie został zabity zeszłej nocy. A teraz urządza mu piekło.

– Emilie Zeuthen zaginęła – odparła Lund. – Musimy ją znaleźć.

Uśmiech zniknął.

– Myśli pani, że Niels by nie pomógł, gdyby miał możliwość?

Szczegóły. Spytali o przyjęcie urodzinowe. Powiedziała, że to była niespodzianka. Rodzina zebrała się w domu i wyskoczyła z ukrycia, kiedy ona weszła.

– Nasze dwie córki i wszyscy nasi najbliżsi przyjaciele – mówiła. – To dla niego typowe, że tak wszystko po cichu załatwia.

– Odebrał panią własnym samochodem? – spytała Lund. – Czarnym mercedesem?

– Oczywiście.

– I wsadziła pani walizkę do bagażnika?

Potrząsnęła głową.

– A gdzie by?

– Jak mąż się zachowywał? – spytał Borch.

– Wspaniale. Wygłosił najpiękniejszą w świecie mowę.

Lund pogrzebała w papierach.

– Nie był spięty? Ani zmęczony?

– Nie. Poprzedniego wieczoru wcześniej się położył. Ma wysokie ciśnienie. Mówiłam mu, żeby został w Jutlandii. Żeby wynajął pokój w hotelu.

Ekipa Junckera wróciła z domu Reinhardtów ze zdjęciami tamtego przyjęcia. Reinhardt w smokingu, w muszce, z kieliszkiem szampana. Wygłaszający mowę. Rękawy zasłaniały nadgarstki.

– Miał w czasie przyjęcia zegarek? – spytała Lund.

– Pewnie tak. Niels uwielbia ten zegarek. Był bardzo drogi. Dałam mu go na sześćdziesiąte urodziny.

Uśmiech zrobił się mniej pewny. Lund zauważyła, że kobieta bawi się obrączką.

– Proszę mi opowiedzieć o fundacji.

– To niewielka część jego zajęć. Chodzi na spotkania rady. I monitoruje finanse.

Borch rzucił na stół kolejny zestaw zdjęć. Z domów dziecka. Reinhardt z dziećmi. Głównie z dziewczynkami.

– Jak również je odwiedza. Choć od członka zarządu wcale się tego nie oczekuje.

– Ale od Nielsa tak. Jest wyjątkowy. Bardzo... troskliwy. – Pauza. – To ważne, żeby te dzieci dostały w życiu swoją szansę. I...

– Mają państwo dwie córki – przerwał jej Borch. – Jaki był w stosunku do nich?

Uśmiech znikł.

– Kiedy były małe? – dodał. – Czy cokolwiek... panią niepokoiło?

Żona Reinhardta opadła na oparcie, skrzyżowała ramiona. Ściągnęła usta. Wpatrywała się w śledczych.

Otworzyły się drzwi. Madsen poprosił go pilnie na korytarz. Borch wyszedł.

Lund została.

– Mają państwo dwa domy wakacyjne. Jeden we Francji, drugi na Anholt.

– I co z tego? Też je chcecie wybebeszyć?

– Nie. Chyba że to będzie konieczne. Czy jeszcze gdzieś spędzają państwo czas? W mieszkaniu nieopodal biur Zeelanda...

– Hans Zeuthen zapisał je Nielsowi w testamencie. Należy do nas.

– Gdzie jeszcze jeździcie? Jakiś domek na wsi? Łódź?

– Mamy miłe mieszkanko w Londynie, ale je wynajmujemy. I galerię.

– Co takiego?

Lund słuchała. Robiła notatki. Zostawiła kobietę. Borch już wrócił do swojego gabinetu, wyglądał na zagubionego.

– Reinhardt ma w mieście lokal, o którym nam nie powiedział – poinformowała. – Nazywa go galerią sztuki. Jedziemy.

Nie ruszył się.

– Ubierasz się czy nie?

Nic. Odwróciła się. Zobaczyła kobietę. Blond włosy. Szczupła, wściekła twarz.

Żona.

– Jestem zajęta – powiedziała Lund. – Nie teraz.

– Tak! Teraz!

Na ramieniu miała torbę. Wyrzuciła jej zawartość na podłogę. Wszędzie koszule i spodnie.

– To wszystko twoja wina, Lund!

Borch podszedł, kręcąc głową.

– Nie, Marie. Wiesz, że to nieprawda.

– Jęczy, że się wyprowadzi. Więc proszę... – Kopnęła ubrania. – Teraz ty mu możesz prac.

Wszyscy policjanci będący w pobliżu się rozpierchli, starając się nie słyszeć.

– Co mam powiedzieć dziewczynkom? – Spojrzała na Borchę. Na Lund.
– Zobaczą go za tydzień? Za miesiąc? Kiedykolwiek?

Lund milczała. Wzięła głęboki oddech.

– Powiedz coś, suko! Mam prawo wiedzieć. Pieprzyliście się w Jutlandii...

Położył jej rękę na ramieniu. Zrzuciła ją.

– Co ty sobie myślisz, Lund? Rzuciłaś go przed laty. Czego chcesz od niego teraz?

– Nie chodzi o Sarah – powiedział Borch. – Oboje wiemy...

– Nie. Ja nie wiem. Ty...

Drobne pięści uderzyły go w pierś. Próbował je złapać. Przekleństwa. Łzy.

Lund zostawiła ich, przeszła przez wspólne biuro na korytarz, oparła się o ścianę.

Potem wyciągnęła telefon, włączyła nawigację, wpisała adres, o którym zapomniał im wspomnieć Niels Reinhardt.

W podziemiu, powiedziała jego żona. Ciekawe miejsce na galerię sztuki.

Zeuthen nieustannie zerkał na zegary w swoim gabinecie. Kolejne siedem firm transportowych otworzyło swoje ładownie. Na razie ani śladu kapsuły.

Siedział przy stole w codziennej kurtce, białej koszuli rozpiętej pod szyją. Maja obok niego. Od czasu do czasu wyciągała rękę i dotykała jego dłoni.

To pomagało choć trochę.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła wysoka postać, sztywna i ewidentnie obolała.

Zeuthen wstał. Jego żona została na miejscu.

– Chodź ze mną – powiedział Robert Zeuthen, biorąc Reinhardta za ramię.

Zatrzymali się przy oknie z widokiem na port.

– Wyjaśniłem im wszystko – powiedział Reinhardt, wzruszając ramionami. – To policja. Wiemy, jacy oni są. Annette też z nimi rozmawiała. Obawiam się, że jestem jedną z ofiar ich niekompetencji. To dziwne...

Weszła sekretarka, podała im kawę. Reinhardt wziął swoją z manieryczną grzecznością, którą Zeuthen znał od małego.

– Zarzucali mnie tymi głupimi pytaniami, a ja myślałem tylko... dlaczego oni nie szukają Emilie? Dlaczego marnują czas na mnie? No ale najgorsze minęło.

Dotknął szyi i skrzywił się.

– Chcę, żebyś poszedł do domu i odpoczął – powiedział Zeuthen. – Nawet nie myśl o pracy, dopóki to się nie skończy.

– To nie takie proste, Robercie. Na miłość boską... Brix i Lund marnują tyle czasu. Ciągle nie wiadomo, gdzie jest Emilie.

– Idź do domu – powtórzył Zeuthen. – Zostań z Annette. Może policja znowu będzie chciała z tobą rozmawiać.

Reinhardt popatrzył niepewnie, jakby nie chciał czegoś powiedzieć.

– Jak Maja? – spytał. – Kiedy wszedłem, nawet na mnie nie spojrzała. Chyba nie myśli...

– Nie. Oczywiście, że nie. Oboje wiemy...

– To byłoby najgorsze. Gdyby...

– Nie – przerwał Zeuthen. – Nie i koniec.

Galeria sztuki Reinhardta okazała się piwnicą nieużywanego magazynu w dalekim rejonie portu, piętnaście minut piechotą od jego domu. Lund

i Borch zaparkowali nad wodą. Skorzystali z kluczy, które wzięli z jego biura.

Nagie szare pomieszczenie, płótna ustawione pod ścianami.

Na środku dywanika stało krzesło Bauhaus. Obok niego niski stolik ze szklanką i butelką drogiej whisky. Żona mówiła, że Reinhardt lubi w samotności patrzeć na swoje obrazy. W tym budynku miało powstać centrum handlowe, ale właściciele zbankrutowali. Reinhardt, dysponując środkami, kupił go i przylegającą do niego ziemię.

– Na pewno korzystał z tego sam – powiedziała Lund.

Borch spojrział na płótna abstrakcyjnych aktów i podrapał się po głowie.

– Dlaczego nie kupił sobie domu, tylko mieszka na terenach Zeelanda?

– Nie wiem. Muszę wracać.

Zastąpił jej drogę.

– Sarah. Przykro mi, że zostałam wmieszana w to wszystko...

– Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

– Mieliśmy problemy od dawna. Nie chodziło tylko o ciebie...

– Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać.

Znała ten wyraz twarzy – pełen nadziei.

– Wiem. Masz rację. Myślałem po prostu...

– Przestań myśleć, Mathias! – krzyknęła. – To nie ma sensu. Nie udało się kiedyś i nie uda się teraz.

Stał w milczeniu, patrząc na nią.

– Myślę, że powinniśmy o wszystkim zapomnieć...

– Nie chcę. Nie mogę.

Odwróciła się, zmieszana. Podeszła do niewłaściwych drzwi. Potem do następnych. Nie mogła sobie przypomnieć, którądy weszli.

– Gdybyśmy tym razem się postarali. Jesteśmy starsi. Mądrzejsi...

– Ha! Tak sądzisz?

Zajrzała za wielki obraz, jeden z niewielu oprawionych w ramy. Spróbowała w następnych drzwiach. Zamknięte.

– Już kiedyś cię straciłem – powiedział głośno, stanowczo. – Nie pozwolę ci znowu uciec.

Energicznym krokiem przeszła w następny róg. Przystanąła. Borch ją dogonił.

– Myślę, że moglibyśmy szczerze porozmawiać. Spędzić razem odrobinę czasu. Może wakacje...

– Moja noga nie postanie w tej cholernej Norwegii – wyszeptała.

Wysokie płótno stało odwrócone. Obrazem do ściany. Jako jedyne. Podeszła do niego, odsunęła je na bok.

Za nim znajdowały się drzwi. Lund nacisnęła klamkę; ustąpiła.

Spojrzała na długie ciemne schody z metalową poręczą po jednej stronie.

Borch dołączył do niej. Wyciągnął latarkę i skierował ją w dół.

Wtedy ona zrobiła to samo, a następnie wysunęła się przed niego.

– Ja pierwsza – powiedziała.

Na dole znajdował się garaż, kondygnację niżej niż piwnica. Bez okien nawet w metalowych drzwiach, które prowadziły do krętego podjazdu na końcu. W głębi zobaczyli myjkę ciśnieniową. Środki do polerowania. Ściereczki, płyny do czyszczenia.

Na końcu znaleźli regały magazynowe. Na najbliższym wisiała plastikowa płachta. Pod spodem zobaczyli wielki karton.

Włożyła rękawiczki, otworzyła go, poświeciła do środka. Borch podszedł do niej i wyciągnął kolejne kartony.

Każdy był wypełniony archiwami z domów dziecka. Szczegóły dotyczące dzieci, zdjęcia, daty urodzin, adresy rodzin zastępczych, karty zdrowia.

– Ten komplet jest z Majgården – powiedział.

Poświecił latarką w następny róg. Podszedł, spojrzął.

– Sarah?

Też podeszła. Stół warsztatowy. Klucze nastawne i głowice wiertarskie. Klucze nasadowe. Płyn do czyszczenia.

I zegarek.

Do biurowca Zeelanda mieli niedaleko. Kiedy weszli, Reinhardt ledwie na nich spojrzął. Natomiast Maja Zeuthen przyglądała im się z sąsiedniego pomieszczenia. Lund to zauważyła.

– Jest pan właścicielem budynku po drugiej stronie portu – powiedział Borch. – Nie wspomniał nam pan o tym.

Wstał, wyglądał na zmęczonego. I urażonego.

– To tylko miejsce, w którym trzymam swoje obrazy.

– Nie tylko trzyma pan tam obrazy – poprawiła go. – Ma pan też tam archiwa akt z domów dziecka. A pośród nich akta Louise z Majgården.

Robert Zeuthen wszedł zdecydowanym krokiem. Zaczął protestować, zanim jeszcze do nich podszedł.

Ale słysząc słowa Lund, zamilkł.

– Dlaczego ukrywa pan w piwnicy akta dzieci?

Reinhardt patrzył na Zeuthena, tylko na niego.

– Wystarczy – zdecydował Borch. – Zabieramy pana na przesłuchanie. Pewnie nie będzie pan musiał długo szukać adwokata. Wiedzą, gdzie jesteśmy.

Wysunął się do przodu, położył rękę na plecach Reinhardta.

– Idziemy.

Squat znajdował się w Nørrebro, niedaleko Ungdomshuset, miejsca spotkań radykałów – budynku, którego rozebranie kilka lat temu wywołało zamieszki. Hartmann nigdy go nie odwiedził. Był źródłem zbyt wielu

konfliktów. Ale domyślał się, że wyglądał podobnie do tego: stary budynek, częściowo w rozsypce, pokryty graffiti. Nie najlepsze miejsce na wizytę rządową limuzyną dzień przed wyborami. Ale musiał się dowiedzieć.

Morten Weber zaczął poganiać go, gdy tylko zajechali.

– Ta ostatnia debata będzie bardzo ważna. Poparcie spada. Potrzebujemy strategii. Musimy przywrócić Karen. Ona zna telewizję lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Karen mogła nas pogrążyć...

Weber skrzywił się z obrzydzeniem.

– Och, nie bądź śmieszny. Wzięła darowiznę od Zeelanda. Założę się, że w tym samym czasie dali taką samą Ussingowi. Zabezpieczali się. Nie wywyższaj się...

Hartmann zaczął wysiadać. Weber chwycił go za ramię.

– Naprawdę chcesz to zrobić? PET się wścieknie. Ci ludzie nas nienawidzą. Nie powinieneś się tu teraz pokazywać.

Hartmann podszedł zdecydowanym krokiem do budynku, dwóch ochroniarzy popędziło za nim. Jeszcze zanim otworzył drzwi, usłyszał łoskot, który teraz przybrał na sile. Ktoś walił w perkusję na scenie ustawionej w głębi lokalu. Wokalistka z warkoczami darła się niemiłosiernie do mikrofonu. Wszędzie panował mrok. Pachniało potem i palonym ziołem. Ściany pokryto szalonym graffiti. Na obrzeżach stoły, na nich laptopy, butelki z wodą i piwem.

Zebrani w środku ludzie spojrzeli na niego – człowieka w garniturze – jak na kosmitę. Ale Hartmann szedł dalej. W końcu powitała go młoda kobieta z rzęsami pomalowanymi na błękitno, czerwonymi ustami i kolczykiem w nosie.

– Życzy pan sobie herbaty? – spytała.

Podziękował i spytał o Sally.

Dziewczyna wzrokiem wskazała postać w czerni siedzącą w mroku nad laptopem.

Podszedł, uklonił się i powiedział:

– Jestem bratem Benjamina.

Trzymając w ustach papierosa, wciąż stukała w klawiaturę.

– Próbuję się dowiedzieć, co się stało. Miałem nadzieję, że mi pani pomoże.

– Pan jest premierem, prawda? Czemu mnie pan pyta?

Sięgnął po rozwalone krzesło. Usiadł. Powiedział ochroniarzom, żeby się oddalili.

– Bo nie miałem czasu dla Benjamina, kiedy mnie potrzebował. Czuję...

Miała ciemne oczy, czarny tusz, twarz pomalowaną na jasno. Ale patrzyła na niego.

– Czuję, że go zawiodłem, i nie wiem jak. Dwa lata temu, kiedy miałem kampanię wyborczą, pojechał do Jutlandii.

– Pamiętam. Był na pana wściekły. PET zwinęła go, gdy organizowaliśmy flash mob przed bankiem. Zamiast go aresztować, jak nas wszystkich, pańscy ludzie wyrzucili go i kazali siedzieć cicho.

Filizanka herbaty i tak się pojawiła. Ucieszył się z niej.

– To prawda – przyznał. – Dowiedziałem się o tym dopiero teraz. Wziął mój samochód. Mówił, co tam robił?

Dziewczyna, która podała mu herbatę, odeszła.

– Czemu miałabym to panu powiedzieć? – spytała Sally.

– Bo to dla mnie ważne.

– Benjamin tak nie uważał, prawda?

– Nie wiem. Powiedział lekarzowi, że zrobił tam coś niewybacznego. Muszę wiedzieć, co miał na myśli.

Zgasiła papierosa, namyślała się chwilę.

– Benjamin zobaczył, jak któryś z pańskich koleśi podlizuje się Zeelandowi. Od tygodni pracował nad tym materiałem.

– Nad jakim materiałem?

– O tym, skąd ma pan pieniądze. Ale pan mu kazał przestać, prawda?

Hartmann pokręcił głową.

– Nie. Nawet o tym nie wiedziałem.

– Niech pan da spokój. On zamierzał zepsuć panu wybory...

– Kochałem swojego brata. Zrobiłbym wszystko, żeby mu pomóc.

– Tylko nie mógł pan z nim być.

Rozejrzał się. Chyba nikt z tu obecnych nie miał więcej niż dwadzieścia parę lat.

– Dlatego zachęcaliście Benjamina? Żeby mi zaszkodzić za jego pośrednictwem? On tutaj też nie pasował. Wykorzystaliście go. To jego zniszczyliście.

Ruchem głowy wskazała drzwi.

– Powinien pan już iść. Pańskie małpy się denerwują.

– Miał poczucie winy – ciągnął Hartmann. – Że zajmował się tą historią. Że polował na mnie. Pewnie także dlatego, że was rozczarował. Więc oboje jesteśmy odpowiedzialni, Sally. Niech się pani nie oszukuje.

Na jej młodej twarzy odmalowało się zwątpienie. Zastanawiał się, czy dotarło do niej cokolwiek z jego słów.

Ochroniarze rozmawiali przez komórki. Nagle zjawił się Weber i powiedział, że muszą jechać.

– Prasa już to zwietrzyła. Jeśli nie chcesz się pojawić w wiadomościach w otoczeniu skrętów i herbatki ziołowej, musimy się zbierać.

Hartmann wstał, spojrzął na dziewczynę.

– Dawno nie jarałem. Widzi pani, bardzo łatwo zrzucić na kogoś odpowiedzialność. Zwalić winę. Ktoś musi chwycić za ster. Wziąć na siebie

odpowiedzialność. Może pewnego dnia to pani doceni.

Zapisał na kartce swój numer i rzucił jej przed nos.

– Ja tylko chcę zrozumieć, dlaczego umarł mój brat. Jeśli zmieni pani zdanie i uzna, że może mi pomóc...

– Troels! – krzyknął Weber.

Hartmann postukał palcem w kartkę.

– Proszę do mnie zadzwonić o dowolnej porze.

Reinhardt siedział w pokoju przesłuchań. Kamera była włączona, Lund i Borch zajęli miejsca naprzeciwko niego.

– Galeria sztuki z garażem pod spodem – powiedział Borch. – Co pan tam robi?

– Niewiele – odparł Reinhardt. – Sprzątam samochód. Naprawiam go.

– To samochód służbowy – zauważyła Lund. – Ma pan od tego ludzi.

Milczenie.

– Znaleźliśmy też niewielką łazienkę. Łóżko. Spędza pan tam noce?

Wzruszenie ramion.

– Lubię patrzeć na moje obrazy. Studiować je. Czasami robi się późno...

Borch przewertował kilka teczek z akt Majgården.

– Siedem kartonów ze zdjęciami dzieci. Je też pan studiował?

Jęknął, jakby pytanie było idiotyczne.

– Były tam szczegółowe dane na temat Louise, panie Reinhardt. Adres jej rodziny zastępczej. I adres jej szkoły.

– To dla wygody. Nawet do nich nie zaglądałem.

Borch podniósł torebkę dowodową. Z zegarkiem.

– Wie pan, co to jest?

– Mój stary zegarek.

– Lubi pan zegarki, prawda? Tak powiedziała pańska żona. Nie mógł pan się przemóc i wyrzucić go, chociaż był zniszczony.

Lund podsunęła mu drugą torebkę.

– To zegarek, który wzięliśmy wczoraj od pana. Jest identyczny. Stary pan stłukł. Zegarek, który dała panu żona. I zastąpił go pan nowym.

– Nie chciałem, żeby wiedziała. Przenosiłem parę rzeczy i uderzyłem nim o poręcz.

– Gdzie?

– W garażu – odparł bez wahania.

– Sprawdzimy to, panie Reinhardt. To się stało zaraz po śmierci Louise Hjelby, prawda? Stłukł pan zegarek, wybijając jej zęby...

– Nie!

Napięcie rosło, kolejne zdjęcia.

– To przyjęcie urodzinowe pańskiej żony – powiedziała Lund. – Dzień po tym, jak zgwałcono i zamordowano Louise. Na żadnym zdjęciu nie ma pan zegarka.

Milczał. Pokręcił tylko głową.

Borch przejął zadawanie pytań.

– Mówił pan, że nie przejeżdżał pan przez Gudbjerghavn. Ale okazuje się, że użył pan karty kredytowej w tamtejszym kiosku. Jak to możliwe?

– Nie...

Dotknął głowy. Zbolałe spojrzenie.

– Nie zasługuję na to...

Kolejne zdjęcie na stole. Bagażnik jego samochodu, zadrapania, ślady białej farby.

– Wyśledził ją pan – kontynuował Borch. – Podwiózł. Wyłączył swój telefon. Zawiózł pan ją do tej stoczni. Związał. Gwałcił godzinami...

Lund podsunęła mu pod nos zdjęcie martwej dziewczynki. Złamane trzy zęby, zakrwawione usta.

– Broniła się, Reinhardt? Dlatego ją pan uderzył?

Łańcuchy i kajdany. Krew na samotnym materacu na podłodze.

– Nie była posłuszna jak inne dziewczynki? Dlatego ją pan bił? Nie robiła tego, co jej pan kazał?

– To kłamstwa...

– Żyła, kiedy ją pan wrzucił do morza. Utonęła ciągnięta na dno przez betonową bryłę, którą jej pan przywiązał do nóg.

Pauza. Lund odczekała chwilę.

– Co pomyślą pańskie córki? – spytała wreszcie. – Będą zaskoczone? Czy też...?

W jego oczach błysnął gniew, a Lund pomyślała: tu cię mam.

– Nie pojechał pan do żadnego hotelu – podjął Borch. – Wrócił pan do swojego garażu. Wyczyścił pan samochód. Wziął prysznic. A potem co? Nalał pan sobie drinka? Wyciągnął jej akta z kartonu? Pomyślał pan: „tę zaliczyłem”?

– Ja nic nie zrobiłem!

Skończyły im się zdjęcia. I pomysły. Został tylko jeden.

– Wiemy, że pan tam był, Reinhardt – powiedziała Lund. – I zdołamy to udowodnić. Jedyne problem to...

Wiedział, co nadchodzi.

– Czy powie nam pan teraz, żebyśmy zdążyli znaleźć Emilie Zeuthen żywą? Czy będzie się pan tak wygłupiać, aż ona umrze?

– Nigdy bym nie zrobił niczego, co skrzywdziłoby Emilie – warknął. – To Zeuthenówna. Piękne dziecko. Powinniście się zabrać za tę bestię Rantzaua i wydusić to z niego...

Otworzyły się drzwi. Stał w nich Brix i kiwnął na nich.

– Jesteśmy zajęci – zaprotestowała Lund.

– Do mnie!

Przy jej biurku stał prawnik, niejaki Keldgård. Zaczęła à la Donald Trump i takiż uśmiech. Towarzyszył mu sługus z mnóstwem teczek. I Dyhring.

– Nie macie prawa poddawać niewinnej osoby przesłuchaniu – powiedział Keldgård. – Chcę, żeby Niels Reinhardt...

– Spierdalaj pan – warknął Borch. – Mamy stos dowodów przeciwko temu łajdakowi. Od samego początku nas okłamywał.

Mężczyzna zgromił Brixa wzrokiem.

– Widzi pan?! Tak jak mówiłem. Pańscy ludzie wciąż insynuują, że Zeuthen i Zeeland są w tę sprawę zamieszani. Że wywierali naciski na prokuratora...

– Nigdy nic takiego nie mówiliśmy – zaproponowała Lund.

– O co wam chodzi? – spytał prawnik. – O dobre nagłówki? Międzynarodowa firma wybiera ubogie sieroty z Jutlandii...

Borch niemal dźgnął go palcem w twarz.

– Ta dziewczynka została zgwałcona i zamordowana...

– Nie przez Reinhardta – przerwał mu adwokat. – Wasze teorie spiskowe są po prostu śmieszne. Zanim się zorientujecie, wybuchnie skandal, którego nikt nie zdoła zatrzymać.

– Peter Schultz... – zaczęła Lund.

– Tuszował własne błędy. Nic poza tym.

Keldgård rzucił na biurko jakieś dokumenty.

– Przeprowadziliśmy własne postępowanie. Próbował wsadzić za to tych marynarzy. A kiedy zrozumiał, że spieprzył sprawę, zakwalifikował to jako samobójstwo. On, Lund. Nikt inny.

Lund wskazała palcem pokój przesłuchań.

– Reinhardt ma odpowiedzieć na pytania...

– Notes tego dziecka jest bezużyteczny. Z nim też rozmawialiśmy. Zapisywał tylko duńskie tablice rejestracyjne. Droga biegnie niedaleko granicy z Niemcami. Wszyscy turyści, robotnicy wracający z zagranicy do domu... ich wszystkich ignorował.

Uśmiechnął się.

– Mam rozumieć, że o tym nie wiedzieliście?

Keldgård zwrócił się do Dyhringa.

– Kiedy zaginęła Louise Hjelby, Reinhardt był w swoim pokoju w hotelu Royal Prince.

– Potwierdziliśmy to – włączył się Dyhring. – Sprawdziliśmy księgi meldunkowe hotelu. Logi kluczy. Reinhardt użył swojej karty, żeby wejść do pokoju o piętnastej dwadzieścia pięć. Wyszedł dopiero o ósmej trzydzieści następnego ranka.

Próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Brixem.

– Musimy to sprawdzić.

– Dlaczego? – spytał Dyhring. – Nie wierzycie mi? To nie był on, Lund. Prawnik pozbierał dokumenty.

– Ostatni raz rzucacie te śmieszne oskarżenia pod adresem samego Reinhardta i w ogóle Zeelanda. Zostaje mi tylko modlić się, byście lepiej pracowali nad odnalezieniem Emilie Zeuthen.

Brix strzelił palcami. Reinhardt wyszedł z pokoju przesłuchań, uściskiem ręki przywitał się z prawnikiem i jego asystentem. Wyszli całą trójką. Dyhring podążył ich śladem.

– Jeśli to nie on, to kto, do cholery? – spytał Borch.

Brix wpatrywał się w dokumenty leżące na biurku Lund.

– Dlaczego ciągle przeglądasz akta sprawy Birk Larsen?

– Nie przeglądam. Po prostu nie miałam czasu ich odłożyć.

Skrzyżował ramiona na piersi. Pociągła twarz, na niej wyraz głębokiego rozczarowania.

– Ministerstwo Sprawiedliwości chce, żebyśmy przejęli śledztwo – oznajmił Dyhring. – Zrozumiałeś, Borch?

– Co?

– Musimy pogadać. Za pół godziny Rantzau jest nasz.

Lund weszła pierwsza, gdy tylko strażnik przyniósł jedzenie. Wzięła od niego tacę, postawiła ją na pryczy. Rantzau miał na sobie granatowy kombinezon więzienny. Nie wyglądał dobrze.

– Jak się czujesz? – spytała.

Nic nie powiedział, wziął tacę, postawił na kolanach, zaczął jeść powoli, starannie, systematycznie.

Lund zaczekała chwilę.

– To nie może być Reinhardt – powiedziała w końcu.

Widelec wędrował w górę i w dół.

– Z tym notesem daliśmy ciała, Loke. Chłopiec notował tylko duńskie numery. Reinhardt ma alibi.

Nic.

– Zaczynamy śledztwo od nowa. W pełnej obsadzie. Jeszcze raz przeanalizujemy wszystko, co mamy. I znowu wyślemy ludzi do Jutlandii. – Pauza. Nadal na nią nie patrzył. – To trochę potrwa.

Wzrok wbity w tacę. Nadal jadł.

– Dowiem się, kto zabił twoją córkę. Obiecuję. – Podniósł kubeczek z jogurtem, powąchał go. – Nie każ umierać za to Emilie Zeuthen.

Sięgnął łyżeczką do kubeczka. Posmakował. Zmarszczył nos.

Na oczach strażnika wstała, zabrała mu tacę z kolan, rzuciła ją o kamienną podłogę. Podsunęła mu pod nos plik papierów.

– Sam to sobie przeczytaj. Był w pokoju hotelowym. A tamtego dnia przejeżdżało tamtędy mnóstwo innych samochodów.

Wziął kartki, spojrzął na nie.

– Może to ty jesteś ślepy. Zafiksowany na punkcie Zeelanda. Może masz obsesję?

Milczenie.

– Pierdol się – warknęła i odwróciła się do wyjścia.

– W każdym szaleństwie jest metoda, Lund – powiedział tym samym bezbarwnym, zmęczonym, inteligentnym głosem. – Czasami. Masz syna, prawda?

– Już ci to mówiłam...

– Więc dlaczego ta mała Zeuthenówna jest dla ciebie taka ważna? Nie chcesz zadbać o siebie? Masz ładny przytulny domek. Rośliny w ogrodzie. Dobre życie.

– Nie masz pojęcia o moim życiu! Cokolwiek chciałeś udowodnić, już to zrobiłeś. Jeśli chcesz sprawiedliwości dla Louise...

Podniósł do góry palce. Na znak diablích rogów.

– Sprawiedliwość... – syknął. – Ty mówisz o sprawiedliwości? To jedyna rzecz, którą mogę jej dać. Całe lata harowałem dla tych drani, dniem i nocą. Prawie nie bywałem w domu, nawet nie wiedziałem, że mam córkę. Siedziałem w jakiejś cuchnącej somalijskiej dziurze, kopany i torturowany od rana do wieczora. A kiedy wyszedłem? Stary Zeuthen nie chciał mnie znać.

Na chwilę jego nienawiść przygasła.

– Z Moniką zerwaliśmy... Nie powiedziała mi, że jest w ciąży. Potem wróciłem i szukałem jej. Nie żyła. I miała córkę...

– Rozmawiałam z jej rodzicami zastępczymi, Loke. Powiedzieli, że była uroczą i bystrą dziewczynką. Nie chciałyby...

– Louise tu nie ma. Kiedy żyła, nie dałem jej nic. Zeeland... – Twarde spojrzenie pełne nienawiści. – Proszysz, bym miał wzgląd na coś, co nazywasz sprawiedliwością. Moje dziecko zostało zgwałcone i wrzucone do morza. Miałaś szansę dowiedzieć się dlaczego. A co zrobiłaś?

Wszedł strażnik i powiedział, że PET chce przesłuchać aresztanta w pokoju przesłuchań. Schylił się i zaczął mu rozpinąć kajdanki.

– Jeśli Emilie umrze – powiedziała Lund – twoja córka zostanie zapomniana. Nikt nie otworzy jej akt. Nie dlatego, że ja tak chcę. Wcale tego nie chcę. Stanie się tak, bo ty nas zatrzymałeś, Loke. Nikt inny. Ty.

Zabrali go.

Lund usiadła na łóżku w pustej celi. Po chwili wszedł Juncker.

– Właśnie dzwonili ze szpitala. Dziewczyna twojego syna urodziła córkę.

Wzięła tacę, zaczęła zbierać z podłogi naczynia i szczątki jedzenia.

– Powiedział coś, Lund?

– Nie.

Odłożyła tacę na pryczę, wstała. Resztę może zrobić strażnik.

– Więc co robimy?

Na dworze robiło się ciemno.

– Nie mam pojęcia, Asbjørn. Przykro mi.

W drodze powrotnej do Christiansborgu Hartmann niewiele mówił. Na osiemnastą Weber zwołał naradę z Mogensem Rankiem.

– Barwne teorie spiskowe Lund roztrzaskały się na miliony kawałków – powiedział minister. – Będą rozliczenia. Wszystkie te bzdury o zaangażowaniu biznesu i ingerencji polityków poszły do piachu.

– To naciskał ktoś na Schultza czy nie? – spytał Hartmann.

– Nie – odparł stanowczo Rank. – Już mówiłem... kiedy się spotkaliśmy, on chciał po prostu zamknąć sprawę. Potwierdził, że Zeeland nie ma z nią nic wspólnego. Potem próbował zatuszować swoje błędy. To nie miało nic wspólnego z nami. Ani z Ussingiem. To tylko jeden słaby człowiek i jego wpadki.

Weber zaczął coś pisać na kartce.

– Musimy wydać oświadczenie dla prasy. Przed debatą.

Rank kiwnął głową.

– Zgadzam się. Jeśli chcecie, bym zajął się konferencją prasową, wyjaśnię to wszystko. Oskarżenia Ussinga, jakobyśmy kryli Zeelanda, nie mają żadnych podstaw i trzeba to głośno powiedzieć. To dobre wiadomości...

Hartmann pokręcił głową.

– Nie wiwatuj jeszcze, bo ciągle nie znaleziono dziewczynki. Przyciskaj PET, jak tylko się da. – Zerknął na zegarek. – Muszę się z kimś spotkać.

Przeszedł korytarzem do działu medialnego. Znalazł ją porządkującą papiery przy kserokopiarce.

Krzętanina. Nudna robota. Ktoś musiał ją wykonywać. Karen Nebel zrezygnowała z kariery w telewizji państwowej. Dla tego zajęcia.

Hartmann rozejrzał się, ruchem ręki poprosił obecnych, by wyszli. Odprowadził ich wzrokiem.

Ona spojrzała na niego srogo.

– Karen. Musiałem cię odsunąć do prac zespołu na czas, gdy wszystko było sprawdzane. Teraz wiemy, że nie ma nic...

– Mówiłam ci to. Nie wierzyłeś mi.

Chwycił krzesło, przyciągnął na miejsce koło niej, usiadł.

– Masz prawo się złościć. Byłem głupcem. Powinienem okazać ci więcej zaufania.

– To prawda.

– Potrzebuję cię. Bardziej niż kiedykolwiek.

Wprawny uśmiech polityka, natrętny, porozumiewawczy, wyczekujący.

Jęknęła.

– Na miłość boską, nie próbuj na mnie tych sztuczek. Nie jestem Rosą Lebech. Na mnie to nie działa.

– Naprawdę?

Nebel zamrugała powiekami. Potem położyła mu rękę na ramieniu, pogłaskała go po policzku, przemknęła palcami po włosach.

– Dopóki jestem przytomna, na pewno nie, mój drogi. Jesteś gotów do debaty?

– Tak mi się wydaje.

– Na wypadek gdybyś nie był... – wzięła kilka kartek – masz mówić to.

Wyciągnął rękę. Ona cofnęła swoją.

– Nigdy więcej mi tego nie rób, jasne?

Zza rogu wyłonił się Morten Weber z ich płaszczami.

– Znowu jesteśmy jedną drużyną? – spytał radośnie.

Roześmiała się. Podszedł i ku jej zdumieniu cmoknął ją w policzek.

– Tęskniłem za tobą, krynico mądrości – dodał. – I ten kretyń też. Prawda?

Hartmann rozmawiał przez telefon.

– Spotkamy się w samochodzie – powiedział, gdy skończył.

Dziewczyna stała w cieniu przy schodach. Włosy schowane pod czarną czapczką. Tym razem twarz bez makijażu.

Dorasta, pomyślał. Wszyscy przez to przechodzili. Benjamin po prostu dłużej. Pewnego dnia też by dorósł.

Hartmann kazał ochroniarzom zostać na miejscu i podszedł do niej. Rzuciła papierosa na bruk Christiansborgu, wdeptała go glanem.

– Skłamałam o Benjaminie. Nie był na pana wściekły. Nie chciał panu zaszkodzić.

– Dzięki.

– Szczerze mówiąc, był z pana dumny. Powiedział, że jest pan porządnym człowiekiem. Ale że żyje pan na takim, a nie innym świecie. Nie chciał być jego częścią. Pewnie...

Ktoś przechodził. Dziewczyna zamilkła.

– Co? – spytał.

– Pewnie go rzeczywiście wykorzystaliśmy. To był miły koleś. Nie pasował do nas.

Wymierzyła palec w Hartmanna.

– Ale ktoś naprawdę go naciskał. Jeśli nie pan, to ktoś inny. Martwił się. Chciał, żebyśmy się pozbyli zdjęć.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej. – Jakich zdjęć?

– W Jutlandii zrobił mnóstwo zdjęć. Wrzucił je na swoje konto. Miał je opublikować na stronie Frontal.

– Co było na tych zdjęciach?

– Nie wiem, nigdy ich nie widziałam. Jego konto skasowano. Benjamin szalał, gdy to się stało. Wszystko stracił.

Hartmann usiłował sobie przypomnieć tamte dni.

– Nie pamiętam, żeby mi o czymkolwiek takim wspominał.

– Bo nie wspominał. Trzymał dane na serwerze Delty. To firma należąca do Zeelanda. Myślał... – Wzruszyła ramionami. – Popadł w paranoję. Mówił, że ma gdzieś backup.

– Gdzie?

– Nigdy mi nie powiedział. – Wyjęła z kieszeni komplet kluczy. – Prosił, żebym to przechowała. Nie wiem, do czego one są. Nie wiem, dlaczego je w ogóle trzymał. – Pauza. – Panie Hartmann?

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Przepraszam, że zrobiłam panu przykrość. To było niefajne. Pański brat był miłym facetem. Trochę za łagodnym, żeby się z nami zadawać. Może to my powinniśmy mieć poczucie winy. – Zerknęła na pałac. – Sama nie wiem.

Dziewczyna o imieniu Sally odwróciła się i odeszła.

Hartmann nie odrywał wzroku od dwóch kluczyków na sznurku, które mu zostawiła.

Biura Zeelanda już pustoszały pod koniec dnia pracy. Zeuthen siedział sam w swoim gabinecie i próbował myśleć. Dzwoniła ochrona z najnowszymi informacjami z Politigården. W sprawie Emilie nie było żadnych nowych tropów. W sprawie jutlandzkiej też nie.

Wcześniej zadzwonił do Brixa i poprosił o spotkanie z porywaczem sam na sam. O szansę, by go błagać osobiście. Dostał wymijającą odpowiedź. Ale gdyby Zeuthen się pojawił, trudno byłoby im odmówić.

A twarzą w twarz...

Miał srebrny pistolet przyniesiony z domu. Wyjął go z aktówki. Sprawdził magazynek. Przypomniawszy sobie, jak się go używa. Został przeszkolony przez ochronę, gdy przejął po ojcu stery firmy. Zwykła zapobiegliwość.

Jakiś dźwięk u drzwi. Pośpiesznie wepchnął broń do kieszeni kurtki. Weszła Maja, przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Co robisz?

– Wybieram się do Politigården. Postaram się przekonać Brixa, by mnie wpuścił do tego człowieka, może coś mi powie.

Zawsze umiała go przejrzeć.

– Pojadę z tobą. Jeśli będziemy tam razem...

– I tak trudno będzie przekonać Brixa, by pozwolił mi wejść, kochanie.

Zaciekawione oczy nie odrywały się od niego ani na chwilę.

– Będzie dobrze – powiedział, po czym podszedł i ją pocałował. –
Odzyskamy Emilie.

Gdy wychodził, dogoniła go asystentka.

– Tak jak pan prosił, sprawdziłam akta Reinhardta – poinformowała. –
Nie ma w nich niczego, co by go łączyło z tą dziewczynką z Jutlandii.

– Tak myślałem – odparł, czekając na windę.

– Niedużo później był z panem na spotkaniu antykryzysowym...

Widać było, że chce jeszcze coś dodać.

– Znalazłam też coś dziwnego – powiedziała z wyraźnym wahaniem. –
Nie rozumiem zupełnie...

– To może poczekać?

Pokręciła głową.

– Myślę, że powinien pan zobaczyć to jak najszybciej.

Szła długim szpitalnym korytarzem w stronę sali, w której po raz ostatni widziała Evę. Dyżur miała ta sama lekarka, stała w pobliżu automatu telefonicznego i przeglądała jakieś papiery.

– Prosiłam, żeby do mnie zadzwonić – zaczęła Lund z wyrzutem. –
Mogliście zostawić mi wiadomość albo...

– Musieliśmy pilnie wywoływać poród – odparła kobieta. – Nie było czasu.

Mówiła w taki lekki, niezobowiązujący sposób. To było bardzo irytujące.

– Nie chciałam, żeby była sama w takiej chwili. To najgorsze...

Lekarka popatrzyła na nią zdumiona.

– Słucham?

– Nie powinna być sama...

– Nie była. Dzisiaj rano przyszedł pani syn. Cały czas tu jest. – Uśmiechnęła się. – Naprawdę pomagał. Fajny chłopak, chociaż... – roześmiała się – myślałam, że zemdleje, jak powiedziałam, że może przeciąć pępowinę. Ale dał radę.

Przeszła kawałek i skinęła na Lund, by do niej dołączyła.

– Proszę wejść, jeśli pani chce.

Przez szybę zobaczyła na łóżku Evę z dzieckiem w ramionach. Mark siedział obok, trzymał maleńką rączkę. Dotykał włosów Evy, pocałował ją.

– Oboje spisali się na medal – dodała lekarka. – Dziecko jest zdrowe. Nic mu nie dolega.

Wyciągnęła rękę.

– Gratuluje. Została pani babcią. – Odezwał się jej pager. – Przepraszam. – Ruchem głowy wskazała salę. – Może pani tu być, jak długo pani zechce.

Lund została sama. Przyglądała się im niezauważona. Widziała, jak Mark bierze córeczkę na ręce z wyrazem dumy i zdumienia na młodej twarzy.

Sześć lat temu z opryskliwego dziecka stawał się opryskliwym nastolatkiem. Teraz został ojcem. I to dobrym. Tego akurat była pewna.

I sam tu trafił. Bez jej pomocy. Na przekór jej. Lund wiedziała, że mogłaby odejść, a oni w ogóle by tego nie zauważyli. Ale już tyle razy go zostawiała.

Oparła rękę na klamce i odetchnęła głęboko. Uśmiech. Nie wymuszony, tylko radosny.

Już miała wejść, gdy zadzwonił jej telefon.

– Lund? Powiedzieli, że mam prawo do jednej rozmowy telefonicznej.
No to właśnie dzwonię.

Głos, którego nigdy nie zapomni. Spokojny. Rozsądny. Kontrolujący.

– Loke.

– Zaryzykuję. Jeśli obiecasz, że morderca mojej córki zostanie ukarany,
pokażę ci, gdzie jest Emilie Zeuthen.

– Wiesz, że obiecuję.

– To przyjedź po mnie.

Odeszła od drzwi, starała się opanować emocje.

– Może ułatwisz nam chociaż ten jeden raz, co? Powiedz mi, gdzie ona
jest, a...

– Nie – przerwał jej Rantzau. – Ja dyktuję warunki. Ja decyduję. Wóz
albo przewóz.

Z tym człowiekiem nic nigdy nie było łatwe.

– Nie mogę się tego podjąć.

– To znajdź kogoś, kto może. Nie ma innej opcji. – Przerwał na chwilę
dla lepszego efektu. – Musisz to zrobić natychmiast, Lund. Czas się kończy.
Nie chcesz chyba znaleźć zwłok, prawda?

Usłyszała jakieś głosy. Potem telefon przejął Borch.

– Nie podoba mi się to – powiedział. – On coś knuje.

Przyglądała im się przez szybę. Mark ciągle trzymał dziecko, nie
odrywał oczu od maleńkiego zawiniątka. Eva położyła dłoń na jego ręce.

– Już jadę – powiedziała Lund.

Zeuthen czytał wydruk, który znalazła asystentka, spytał, gdzie jest
Kornerup. Znalazł go w garażu podziemnym – właśnie wracał ze spotkania.

– Coś ty, kurwa, sprawdzał w tej sprawie sprzed dwóch lat?

Rozrzucił kartki na masce czarnego mercedesa.

– Właśnie przeczytałem akta z archiwum – mówił dalej. – Chciałeś, żeby cię informowano. Dlaczego?

Z wyrazu twarzy Kornerupa zrozumiał, że ich rozejm właśnie przestał obowiązywać.

– Po co grzebiesz w przeszłości, Robercie? Tam nie ma nic, co by ciebie dotyczyło.

Zeuthen wymierzył w niego palec.

– Szukałeś...

– Bardzo chętnie pójdę na górę i omówię to z tobą, jeśli chcesz. Istniała możliwość, że jeden z naszych marynarzy jest związany z tą sprawą...

– Nie okłamuj mnie! Nawet nie postawiono im zarzutów. Czemu się więc tym interesowałeś?

Kornerup skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o samochód.

– Jestem dyrektorem generalnym tej firmy. Twój ojciec nie żył od niedawna. Do moich zadań...

– Myślałeś, że Reinhardt jest w to wplątany?

Kornerup prychnął z obrzydzeniem.

– Oczywiście, że nie. Nie bądź śmieszny.

Zeuthen chwycił go za kołnierz płaszcza.

– Chcę wiedzieć, co knułeś. Tu chodzi o życie mojej córki. Jeśli się dowiem, że chroniłś Reinhardta...

– Jedyna osoba, którą chronilem, to ty! Obiecałem to twojemu ojcu. Wiedziałem, że nie dasz rady. Kryzys. Negocjacje z rządem. Potrzebowaliśmy jego, nie ciebie. A ponieważ jego nie było, postępowalem tak, jak on by postąpił w takich okolicznościach.

– Chcę wiedzieć...

– Jeśli wątpisz w Reinhardta, powiedz mu to prosto w twarz. Służył tej firmie i twojej rodzinie całe swoje życie.

Kornerup ruchem głowy wskazał drugą stronę garażu, gdzie przy windzie stała wysoka postać.

– Chyba sobie na to zasłużył, nie sądzisz? – Odsunął się.

Niels Reinhardt spojrział na Zeuthena i odwrócił wzrok. Na jego twarzy ciągle widać było rany i siniaki. A jednak znowu był nieskalany. Biała koszula. Ciemny krawat. Podszedł. Wszechobecny sługa.

– Powinienem ci powiedzieć, że Kornerup był informowany o sprawie z Jutlandii, Robercie. To było oczywiste, ponieważ w sprawę byli zaangażowani nasi marynarze. To ja mu przekazałem akta. Dlatego widnieje tam moje nazwisko. Przepraszam cię. A wśród tego wszystkiego... wyleciało mi to z głowy.

Zeuthen kiwnął głową, nic nie powiedział.

– Zrobiłbym wszystko, by Emilie wróciła do domu – dodał Reinhardt. – Mam nadzieję, że o tym wiesz.

W kieszeni Zeuthena zadzwonił telefon.

Maja. Podekscytowana, spięta.

– On z nimi rozmawia, Robercie. Mówi, że pokaże im, gdzie jest Emilie.

– Gdzie?

– Nie wiedzą. Jadą na lotnisko.

Zeuthen strzelił palcami na Reinhardta, rzucił mu kluczyki do samochodu.

– Pogadam z Brixem – powiedział. – Zostań przy telefonie. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Dwudziesta dziesięć, Kastrup. Brix zgodził się na czarter śmigłowca. Biały dauphin AS365.

Pięćset pięćdziesiąt kilometrów do Stavanger w Norwegii. Lot miał trwać godzinę i czterdzieści pięć minut. Miejskowa policja oczekiwała na

ich przybycie.

Rantzau wsiadł do środka o własnych siłach, skuty kajdankami i łańcuchem. Ona zajęła miejsce na ławce przed nim, naprzeciwko Borchy. Zapięła pas. Pilot przedstawił im w skrócie zasady bezpieczeństwa. Dźwięk silnika, miarowy łoskot łopat śmigła. Dauphin oderwał się od czarnego asfaltu, uniósł ponad światłami Kastrup i odleciał w zimną, wilgotną noc.

Tuż przed dwudziestą drugą Ruth Hedeby przyszła na naradę z Brixem. Towarzyszył jej Dyhring.

– Dokąd oni lecą? – spytała.

– Do Stavanger.

– To wiem. Ale gdzie dokładnie?

– Gdy tylko poznam szczegóły, przedstawię ci co do jednego.

Drwiący uśmiech.

– Na górze chcą je poznać już teraz. Skąd wiemy, że dziewczynka jest w Norwegii?

Brix wziął ze stołu notatki.

– Mówi, że wysłał ją tam w kontenerze. Powiedział Lund, że przygotował go na własną ucieczkę. Wygląda to prawdopodobnie.

Hedeby wpatrywała się w niego.

– Prawdopodobnie? Nic więcej nie masz? Czyli ona nie znajduje się w pojemniku, wbrew temu, co mówił poprzednio?

Brixowi już się to znudziło.

– Mówi, że jest w komorze, wewnątrz kontenera. Tak że nikt jej nie usłyszy, jeśli zacznie krzyczeć. Jeśli...

– No to znajdziemy ten cholerny kontener!

– Szukamy. Ale w ciągu ostatnich kilku dni do Norwegii popłynęły ich setki. Niektóre już zostały wylądowane. Niektóre są w jakimś porcie

pośrednim. Inne w drodze.

Machnęła na niego ręką.

– Nie masz nic, prawda? Wyczarterowałeś śmigłowiec. Wysłałeś Lund i Borchę poza zasięg duńskiej jurysdykcji z mordercą? Wszystko to na podstawie obietnicy, że znajdziemy mordercę jego córki?

– I znajdziemy – odparł Brix stanowczo. – Co ty byś zrobiła w tych okolicznościach?

Dyhring pokręcił głową.

– Loke Rantzau nie wierzy w twoje śledztwo. Od początku nie wierzył. To jeszcze jedna zagrywka...

Hedeby kazała mu przejść do sąsiedniego pokoju, zostawiając szefa PET, żeby zadzwonił.

– Musisz zrozumieć sytuację, Lennart. Mogens Rank właśnie miał konferencję prasową. Suchej nitki na nas nie zostawił. Lund to chodząca katastrofa, a ty pozwoliłeś jej robić, co chciała.

– Kiedy cię spytałem, co zrobiłabyś inaczej...

– Nie wkurzałabym wszystkich na swojej drodze. A tak to teraz mam na karku Zeelanda i rząd. Bez względu na to, czy Hartmann wygra te wybory, czy nie, mamy przerąbane, jeśli to dziecko nie wróci żywe do domu.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko i rzekł:

– Chociaż pewnie trudno ci to zrozumieć, Ruth, nie dlatego jej szukamy.

Brix wrócił do swojego gabinetu. Hedeby zniknęła przytulona do Dyhringa. Juncker narzekał, że nie bierze udziału w podróży do Norwegii.

– Możesz się któregoś dnia przelecieć śmigłowcem – burknął Brix.

– Nie chodzi o ten cholerny śmigłowiec! Przetrzęsam akta osobowe Zeelanda...

– Co?

– Lund o to prosiła – wyjaśnił Juncker.

– Skontaktowałeś się z Robertem Zeuthenem, jak prosiłem?

– Nie mogę go znaleźć... I tak mógłbym tam polecieć.

– Co to znaczy, że nie możesz go znaleźć?

Juncker zatrzymał się, zastanowił się nad czymś.

– To znaczy, że ja mu zostawiam wiadomości, a on nie oddzwania. Ten śmigłowiec...

– Na miłość boską, Asbjørn... Zapomnij o śmigłowcu.

Młody detektyw przewertował swoje notatki. Przekazał Brixowi szczegóły lotu, wskazał drobny druk u dołu nakazu czarteru.

– Wiesz, kto jest właścicielem firmy transportowej, prawda? – spytał Juncker.

Pod koniec lotu zadzwonił jej telefon.

– Gdzie jesteś? – spytała Eva. – To brzmi jak...

– W pracy. Jak dziecko?

Pisk rozkoszy.

– Czterdzieści cztery centymetry, trzy tysiące pięćset gramów. I ma wszystkie paluszki. Jest piękna. Kiedy przyj...

– I Mark był.

– Tak. Był naprawdę cudowny. Teraz ją trzyma. Chcesz z nim porozmawiać?

Pilot dawał jej znak, że musi skończyć rozmowę. Zbliźali się do lądowiska.

– Muszę kończyć. Jutro będę w domu. Przyślij mi jej zdjęcie.

– Pewnie – powiedziała Eva. – Chyba się właśnie obudziła.

Przez łoskot śmigłowca Lund zdołała usłyszeć wysoki pisk.

Spojrzała na wiadomości. Znalazła tę od Brixa i pokazała ją Rantzauowi.

– To potwierdzenie, że prowadzimy śledztwo w sprawie twojej córki. Sprawdzamy kamery na głównej szosie. I przejścia graniczne...

Znowu miał na sobie zielony sztormiak, ten sam co w Zeelandzie. Spojrzał na mejl, niewzruszony.

– Zeuthen wie, że opuściliśmy Kopenhagę?

– Rodzice są na bieżąco informowani – przytaknęła Lund. – Ciebie też będę informować o wszystkim, co się dzieje w sprawie Louise. Pamiętasz umowę, Loke. Wydostańmy Emilie.

Kiwnął głową.

– Musimy się przejechać – powiedział po chwili.

– Gdzie? – spytał Borch. – Po Stavanger?

– Trochę dalej. – Ruchem głowy wskazał okno, morze oznaczone latarniami na nabrzeżu. – W górę wybrzeża.

– Czekaj – powiedział Borch. – Wysłałeś kontener tutaj, a potem gdzieś dalej?

Rantzau spojrzał na Lund.

– Szybko łapie, co? Jeśli zrobicie, co mówię, zaprowadzę was do dziewczynki.

Borch machnął mu pięścią przed nosem.

– Przestań pieprzyć i powiedz nam, gdzie jest kontener.

Rantzau zamknął oczy, opadł na oparcie. Wyglądał, jakby zasnął. Znowu zadzwonił telefon Lund. Spojrzała na wyświetlacz. Ciągle żadnego zdjęcia.

– Mamy problem – powiedział Brix. – Zeuthen dowiedział się, dokąd lecicie. Ta firma od śmigłowca należy do niego. Jeden z jego samolotów właśnie wylądował w Stavanger. Wyprzedził was.

Łądowali. Wyjrzała przez okno. Obok lądowiska stał prywatny samolot odrzutowy. I flota wozów policyjnych błyskających niebieskimi światłami.

– Co mam zrobić?

– Trzymaj go z daleka od Rantzaua. Ale też nie drażnij.

Od razu po wylądowaniu Borch poszedł rozmawiać z norweską policją.

Trzydzieści sekund. Tyle to zajęło. Nagle podszedł do nich Robert Zeuthen w zimowej kurtce, w koszuli rozpiętej pod szyją, a za nim Niels Reinhardt w płaszczu i krawacie.

Spojrzał na Rantzaua, Rantzau na niego. Potem poprowadzili skutego aresztanta na tył więźniarki.

– Co on powiedział, Lund? – spytał Zeuthen. – Gdzie ona jest?

– Jedziemy na północ wzdłuż wybrzeża. Pan musi poczekać. Przywieziemy tu Emilie.

– Nie ma mowy! – krzyknął Zeuthen. – Miała powietrza na dwa dni, a pani je zmarnowała na dręczenie Nielsa.

– Panujemy nad sytuacją...

Zeuthen pokręcił głową.

– Mam zadzwonić do Troelsa Hartmanna? Zobaczymy, co on powie? Znamy ten rejon. Możemy pomóc.

– Będziemy się trzymać z tyłu – dodał Reinhardt.

– Ja tam będę, Lund – powiedział Zeuthen. – Lepiej niech się pani oswoi z tą myślą.

Borch wrócił, kręcąc głową.

– Musi mnie pan słuchać, Robercie – powiedziała Lund. – Jeśli będzie mi pan przeszkadzał, natychmiast pan znika.

– Niech będzie – odparł przedsiębiorca i kazał Reinhardtowi wsiąść do samochodu.

Maja przyprowadziła Carla do biura. Bawił się samochodzikami na stole, podczas gdy ochrona próbowała wysledzić ruchy statków w pobliżu

Stavanger. Wydawało się to niemożliwe. Tysiące fiordów, większość z nich żeglowna, z niewielkimi portami rozrzuconymi dosłownie wszędzie.

Nagle wszedł Kornerup. Człowiek, którego nigdy nie lubiła.

– Wiadomo coś? – spytał.

– Jeszcze nie. Muszę na chwilę jechać do domu. Położyć Carla. Musimy mieć w Stavanger śmigłowiec i lekarza w gotowości, żeby był pod ręką, gdy znajdą Emilie.

Kornerup skinął głową.

– Oczywiście. Sprawdziłem część tych zadań, które Rantzau dla nas wykonywał. Regularnie bywał w Norwegii, wprowadzał systemy informatyczne i sieci zabezpieczeń. Musi doskonale znać wybrzeże i fiordy.

Spojrzała na niego.

– Mówiłeś o tym policji?

– Zrobię to, Maju. Nic się nie martw.

Powiedział to, co należało powiedzieć.

– Pewnie jest mnóstwo miejsc, żeby tam kogoś ukryć. Puste budynki. Stare stocznie jachtowe. Teraz tyle ich przenosi się do Azji.

Zdusił uśmiech.

– Przepraszam, jeśli cię w jakiś sposób uraziłem. Robimy wszystko, co...

– Carl! – krzyknęła. – Chodź. Jedziemy do domu.

– Rada nadzorcza i ja naciskamy rząd, by odnalazł Emilie – dodał Kornerup.

Pokręciła głową, kazała Carlowi odłożyć zabawki.

– Kiedy ta sprawa się skończy, dopilnuję, żebyśmy bardziej przyłożyli się do ochrony – obiecał. – Zwłaszcza dzieci.

– Przecież ty jesteś zwolniony...

Teraz rzeczywiście się uśmiechnął.

– To było nieporozumienie. Zapewniam cię...

– My cię akurat obchodzimy najmniej. Wszystkie te rzeczy... – rozejrzała się po szpanerskim biurze – o to właśnie ci chodzi. Zeeland. Pieniądze. Władza. Chciwość.

– Drakkar to piękna posiadłość, Maju. Jak sądzisz, skąd się wziął?

Podeszła do chłopca, zgarnęła jego zabawki, wsadziła do torebki. Kornerup ruszył za nią.

– Chciałbym, żebyś wiedziała...

– Kiedy Emilie wróci do domu, wszystko się tu zmieni – warknęła. – Jeśli chodzi o twoje nieporozumienie...

Mała rączka sięgnęła do jej dłoni.

– Mamo – powiedział Carl. – Chodźmy już.

Studio telewizyjne było już przygotowane na ostatnią debatę w długiej kampanii wyborczej. Hartmann starał się skupić, nie myśleć o Benjaminie. O Sally. O kluczach.

– Możecie potwierdzić, że policja jest w drodze do Norwegii, by odebrać stamtąd Emilie? – spytał prezenter zaraz po rozpoczęciu programu. – Wiem, że to nietypowy początek debaty. Ale cała Dania pragnie usłyszeć odpowiedź...

– Możemy potwierdzić – odrzekł Hartmann bez namysłu. – Wszyscy chcemy, by udręka rodziny Zeuthenów wreszcie się skończyła. Minister sprawiedliwości niedługo złoży bardziej wyczerpujące oświadczenie. Ale ja mogę powiedzieć, że sprawa porwania prawdopodobnie zbliża się ku końcowi. Przestępca, który porwał Emilie, zgodził się powiedzieć policji, gdzie jest przetrzymywana.

Ussing, Rosa Lebech, przywódcy partii mniejszościowych – wszyscy w jednym rządzie.

– Zaczynamy – przerwał Ussing. – Hartmann sprzedaje swój pusty optymizm. Ile czasu minie, zanim zrozumiemy, że to kolejny stek kłamstw?

– Chodzi o życie dziecka. – Hartmann pokręcił głową.

– Tak, a ty je wykorzystujesz – odparował Ussing. – Bo żadna z twoich obietnic funta kłaków nie jest warta bez twoich kumpli z Zeelanda. Czy to prawda, że wstrzymali dotacje środków na twoją kampanię do chwili odnalezienia Emilie Zeuthen?

– Nic o tym nie wiem.

– Więc nie zaprzeczasz?

– Na Boga, Ussing. Do czego ty zmierzasz?

– Kto naciskał na zastępcę prokuratora, Hartmann? Kto nasłał na mnie matolów z PET?

Ussing tracił panowanie nad sobą. Mówił coraz głośniej. Gestykulował.

Hartmann patrzył prosto w kamerę. Niezmiennie spokojny. Nie wahał się.

– Ktoś za tym stoi! – krzyczał Ussing. – Ktoś...

Piętnaście minut później, w charakteryzatorni, Karen Nebel krążyła w tę i z powrotem.

– Udało mu się zasiać wątpliwości. Poparcie spadło nam o dwa punkty.

Na ekranie Mogens Rank udzielał wywiadu na temat poszukiwań w Norwegii.

– Teraz już żadna kobieta w tym kraju na niego nie zagłosuje – odparł Hartmann. – Co robi Lund?

– To, co każe ten drań Rantzau. On im nie podał adresu. Będą musieli pojechać tam, gdzie on chce.

Opadł na oparcie i spojrzał na siebie w lustrze.

– Jak długo to potrwa?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba mu wierzą. Jest też z nimi Robert Zeuthen. – Podeszła bliżej, usiadła na stole makijażystki, spojrzała na szefa. – A może zabralibyśmy na piwo trochę tych maluczkich z prawicy?

Wybuchnął śmiechem.

– Nie jestem aż tak zdesperowany.

– Jesteś, Troels. Przy takich różnicach wszystko może się zdarzyć.

Pukanie do drzwi. Wszedł Morten Weber. Przygnębiony, w mokrym płaszczu.

– Co tam? – spytał Hartmann.

– Nie udało się – odrzekł, potrząsając kluczami. – Pytałem tamtych ludzi, z którymi się spotykał. Nikt nic nie wie.

– Do czegoś, do cholery, muszą pasować. Benjamin dał je tej dziewczynie. Miał backup zdjęć z Jutlandii. Daj mi te klucze.

Weber wykonał polecenie.

– Pewnie miał zdjęcia Karen rozmawiającej z Reinhardtem. Jak wiesz, to nie ma, do cholery, znaczenia.

Hartmann pokręcił głową.

– To dlaczego ktoś z Zeelanda kasowałby mu konto?

– Bo Zeeland zamknął tę firmę. Mnóstwo ludzi straciło dane...

Nebel westchnęła, przyniosła płaszcz.

– Chcę zobaczyć jego rzeczy – powiedział z uporem Hartmann. – Musi być ktoś, kogo o te klucze nie pytałeś.

– Na przykład kto? Jutro wybory. Dlaczego marnujemy czas na taką sprawę? Poddaliśmy się już? – spytał Weber. – Przykro mi z powodu Benjamin. Ale ty wpadasz w jakąś obsesję...

– Daj mi te klucze – warknęła Nebel i zabrała je z dłoni Hartmanna. – Skoro to takie ważne, ja się tym zajmę.

– Karen, na miłość boską... – jęknął Weber.

– Po sprawie – oznajmiła wesoło, wrzucając klucze do kieszeni. –
Idziemy może?

Byli godzinę drogi od Stavanger. Jechali wąskimi, krętymi drogami. Jako pierwsza – norweska policja. Potem Lund i Borch niewielką furgonetką z częścią dla więźnia oddzieloną kratą. Tam siedział Loke Rantzau przykuty do stalowej belki przymocowanej do oparcia. Sanitariusze dali mu środki przeciwbólowe, a on je łykał od czasu do czasu. Na końcu jechali Zeuthen i Reinhardt.

Zadzwoił Brix. Odesłał Junckera do pracy nad trasami statków z ochroniarzami Zeelanda. Wyliczyli, że przez Stavanger przeszło w badanym okresie siedemdziesiąt kontenerów. Każdy udał się w inne miejsce.

Listy, które znaleźli w jego kryjówce, nie dały żadnych nowych tropów. Przeszukano ponownie „Medeę”, statek, na którym torturował marynarzy, w nadziei na jakieś przydatne znalezisko. Bez powodzenia.

Prowadził Borch. Lund przekazywała mu, co się dzieje.

– To nie ma znaczenia, jeśli on nas prowadzi do dziewczynki – dodała.

Niełatwo było po ciemku dojrzeć coś wokół drogi, ale musiało być tu górzyscie i dziko.

– Jeśli – mruknął. – Może dalej nas zwodzić. Nie ma gwarancji, że ona jeszcze żyje. Jeśli wsadził ją do komory... Jezu... – Obejrzał się. – Kto robi takie rzeczy? Dziecku? Ja pierdolę...

– Na pewno żyje.

– Jasne. – Spojrzał na nią. – A swoją drogą... gratulacje, babciu.

Lund się roześmiała.

– Dzięki.

– Dziewczynka. – Zdążyła mu już wcześniej powiedzieć. – To dobrze. Muszą mieć szybko jeszcze jedno dziecko. Żeby było między nimi półtora roku, najwyżej dwa lata różnicy. W ten sposób stworzą jedną drużynę. Staną się małą armią.

Zerknął na nią.

– Ty byłaś jedynaczką. I zobacz, co z ciebie wyrosło.

– Dzięki! – Pogrzebała w pamięci. – Ty też byłeś jedynakiem.

– Tak. Może to nas właśnie połączyło. Podobieństwa się przyciągają. Wykańczają się.

– Myśmy się nie wykańczali.

– Ja się wykończyłem, jak mnie rzuciłaś.

Lund nic nie odpowiedziała. Po prostu lubiła go słuchać.

– Powiedzmy, że znajdziemy Emilie żywą – zmienił temat. – I to wszystko skończy się szczęśliwie. Wrócisz do Kopenhagi i będziesz przykładną babcią. Będziesz przekładać papiery w OPA...

Tak, to by było piękne, pomyślała. Takie życie mogłaby prowadzić.

– Podoba mi się ten pomysł – powiedziała.

– No to może się do mnie wprowadzisz? Ciągłe wiesz mi depozyt za mieszkanie, którego nigdy nie zajęliśmy. Jestem skłonny uznać to za zadatek. Nie będziesz musiała mi płacić.

Sięgnęła ręką do czoła. Patrzył na nią. Znowu tym spojrzeniem szczeniaczka. Spragnionym i tęsknym.

– Do nikogo się nie wprowadzam. A poza tym... jesteś żonaty.

– Już niedługo. Nasze małżeństwo i tak się rozpadało.

– Mathias... nie chcę słyszeć...

– Jesteś babcią!

– A ty w kółko to powtarzasz.

– Czas się ustatkować. – Zdjął rękę z kierownicy i postukał się w klatkę piersiową. – Ze mną. Możemy zresztą żyć w tej twojej małej szopce...

Zadzwoił jej telefon. Borch ciągle marudził. Kazała mu się zamknąć.

To był Juncker. Powiedział, że mają coś z zapisu logowań komórek do masztów w Jutlandii w dniu porwania Louise. Pięćdziesiąt czarnych samochodów oprócz tych z notesu. Niemieckie, polskie, szwedzkie...

– Porozmawiaj z kierowcami – poleciła. – Sprawdź ich alibi.

– Dobra, ale czy mamy pewność co do daty? W raporcie prokuratora jest dwudziesty pierwszy kwietnia...

– Zapomnij o tym raporcie, Asbjørn. Data została zmieniona. Musisz szukać dwudziestego kwietnia. Sprawdź salony z zegarkami, jak prosiłam. Zdaniem patologa uszkodzenia zębów Louise zostały spowodowane zegarkiem. Dowiedz się, czy któryś z kierowców oddawał zegarek do naprawy. – Zerknęła na Borch, który dalej puszczał wodze wyobraźni. – I dalej sprawdzaj archiwa.

Hałas z tyłu. Rantzau walił w okienko odgradzające ich od więźniarki.

– Możemy stanąć? – spytał przez interkom. – Chciałbym zapalić.

– Staniemy dopiero na miejscu – odparł Borch.

– Świetnie. Skręć w następną w lewo, potem dalej nad fiordem. I potem tak jak biegnie w głąb łądu. Musisz dojechać do końca.

Lund zerknęła na mapę.

– To musi być ze cztery godziny albo i więcej – powiedziała. – Droga prowadzi donikąd. Nie ma tam żadnego miasta...

– Wiem – stwierdził Rantzau. – Obudźcie mnie, jak będziemy na miejscu.

Zerknęła w lusterko. Odchylił głowę, zamknął oczy i gotował się do snu.

Dochodziła północ. Jeśli będą mieli szczęście, dotrą do wskazanego przez niego miejsca przed świtem.

– Dojedziemy tam – powiedziała Lund. – Znajdziemy tę dziewczynkę.
Borch kiwnął głową.

– I wiesz... mój dom może nie jest duży, ale to nie jest żadna szopka.

– Można by go trochę ulepszyć – podsunął. – Chociaż jakąś dobudówkę postawić.

Parsknęła.

– Jasne. Pamiętam, jaki jesteś biegły w tych pracach. Przeklinanie śrubokrętów. Przewiercanie rur...

To go ubodło.

– Ej! To było kiedyś. Teraz jestem niezły. Mam duże doświadczenie.

Reflektory przebijały czarną norweską noc. Drzewa przy drodze. Lasy, w których można się zagubić. Nie była w lesie, odkąd sześć lat temu zaginęła Nanna Birk Larsen. A teraz Mark, jej mały Mark, został ojcem. Wreszcie zaczęły się rodzić cieniuteńkie więzy rodzinne.

– Dobra – odparła. – Możesz nam zrobić dobudówkę. Ale mają w niej być grzejniki.

Nic więcej nie dodała.

Mathias Borch krzyknął cicho, a potem zabębnił palcami na kierownicy. Sięgnął do jej dłoni.

Przed nimi pojawił się tunel. Musiał gwałtownie skręcić, żeby wyrównać tor jazdy.

– Patrz przed siebie – powiedziała. – Na drogę.

Potem poklepała go po dłoni spoczywającej na kierownicy i wróciła do mapy.

10_

**PIĄTEK_
18 LISTOPADA_**

Dzień wyborów. Oficjalnie kampania dobiegła końca. Politycy mogli już tylko uśmiechać się do obiektywów, zagłosować na siebie, a potem usiąść i czekać na werdykt społeczeństwa.

Kiedy Hartmann przyszedł do lokalu wyborczego nieopodal Christiansborgu, kłębiący się dokoła tłum dziennikarzy nie chciał nic wiedzieć o gospodarce ani o pakiecie ratunkowym. Wszyscy pytali o Emilie.

Czy żyje? Jakie są szanse na cud, na który czeka cały naród? Czy Emilie wróci bezpiecznie do domu?

Jego odpowiedzi były bezbarwne i wymijające. Partie opozycyjne ciągle stały w rozkroku, czekając na rozstrzygnięcie akcji w Norwegii.

A stamtąd... nie napływały żadne informacje. Konwój wjechał w odległe, niezaludnione rejony. Ilekroć policja sądziła, że zbliża się już do celu, Rantzau dawał im nowe wskazówki. I tak od dziesięciu godzin.

Hartmann podszedł do drzwi.

– Zaczekaj! – Weber chwycił go za ramię, ruchem głowy wskazał wewnątrz lokalu. – Ussing tam jest.

– Nie będę czekał – odparł Hartmann i zdecydowanym krokiem wszedł do środka.

Przywódca socjalistów wsadzał do urny kartę do głosowania, promiennie uśmiechając się do grupki fotoreporterów.

– Przykro mi, że pojawiliśmy się tu jednocześnie – powiedział Hartmann. – Jak pech, to pech.

– Dla ciebie – rzucił zadowolony Ussing. – Ciesz się tym dniem, Troels. To twój ostatni w Christiansborgu.

Hartmann bez słowa wszedł do boksu. Spojrzał na kartę z nazwiskami, na ołówek. Zadzwoił jego telefon.

– Mówi Karen Nebel...

– Coś z kluczami?

– Jedna z koleżanek Sally widziała, jak Benjamin kupował kłódkę. Miał jakiś garaż, w którym trzymał sprzęt do koszykówki i parę rzeczy przywiezionych z Ameryki.

– Benjamin nigdy nie grał w koszykówkę. Coś tu się nie zgadza.

– Ona mówi, że to niedaleko torów. Tam gdzie zginął...

Słyszał, jak Ussing ryczy ze śmiechu jak zawsze.

– Może nie wie, na kogo zagłosować!

Chóralny śmiech.

Hartmann wyszedł z boksu, wsadził swoją kartę do urny i opuścił lokal, zanim dopadli go reporterzy.

– Jeszcze jedno zdjęcie – krzyknęło paru.

– Nawet premier oddaje tylko jeden głos – powiedział Hartmann z przelotnym uśmiechem i ruszył do schodów. Weber nie odstępował go na krok.

Na schodach Morten zaczął marudzić.

– To nasza ostatnia szansa, by coś zmienić. Może się zatrzymasz i uśmiechniesz do obiektywów?

– Karen znalazła miejsce, w którym Benjamin trzymał swoje rzeczy. Może te klucze pasują...

– No na miłość boską... Nie dzisiaj...

– Odwołaj moje spotkania – polecił Hartmann. – Jedziemy do Nørrebro.

Po serpentynach na norweskim odludziu Rantzau poprowadził ich z powrotem na wybrzeże i do niewielkiego terminala kontenerowego na północ od Bergen. Borch gotował się ze złości. Rantzau milczał. Większość czasu najwyraźniej przespał spokojnie.

Kiedy przybyli, skromne nabrzeże było załadowane kontenerami z całego świata. Powiedział, że ten, którego szukają, jest zielony i nosi numer 67678. Nie było go.

Lund dzwoniła do Brixa. Ten się denerwował.

– Dlaczego, do cholery, nie możecie go znaleźć? – spytał rozjuszony.

– Mathias sprawdza karty transportowe z tutejszym kierownikiem. Dam ci...

Z biura wybiegł rozwścieczony Borch. Z kartkami w ręku. Dwóch norweskich mundurowych stało nad wodą, trzymając Rantzaua pod ramiona. Patrzył na szare niebo i ziewał.

Lund ruszyła za Borchem, który szedł wprost do porywacza. Próbowała z nim porozmawiać.

– Gdzie jest kontener? – spytał go Borch. – Wczoraj go stąd odebrano.

– Doprawdy? – znowu ziewnął.

To się stało w jednej chwili. Borch podniósł prawą rękę i uderzył Rantzaua w twarz.

– Gdzie on jest, do cholery?

Śmiech. I kolejny policzek. Norwegowie wyraźnie się niepokoiли.

Lund stanęła między nimi, kazała Borchowi przestać. Rantzau wyglądał teraz o wiele gorzej. Na prawym policzku pojawił się czerwony ślad. Poza tym był nieogolony. Błady. Stał niepewnie na nogach.

– Gdzie jest dziewczynka, Loke? – spytała.

Zerknął na Borchę.

– Powiedz swojemu chłopakowi, że jeśli znów to zrobi, możemy równie dobrze jechać z powrotem.

– Nie zrobi – obiecała, odsuwając Borchę. – Przegoniłeś nas przez całą Norwegię, wpuściłeś nas w maliny. Mówiłeś, że czas się kończy.

Rantzau spojrzał na wodę, zakaszłał.

– Odebrał go tir – powiedział Borch, podtykając jej pod nos jakieś dokumenty. – Nie wiadomo, dokąd pojechał.

– Loke. – Przysunęła się i zaczęła, aż na nią spojrzy. – Mamy umowę. Jeśli nam nie pomożesz, Kopenhaga nie będzie prowadzić śledztwa w sprawie śmierci Louise.

Kiwnął głową.

– Prawda jest taka, że wysłałem go w jakieś spokojniejsze miejsce. Nie wiedziałem, że odbiorą go wczoraj.

Borch przysunął się do niego.

– Jaką firmę wynająłeś? Podaj nazwę, albo, jak Boga kocham, znowu dam ci w pysk, i tym razem solidniej.

Rantzau spojrzał na niego. A potem na Lund.

– Ruszamy w górę fiordu – zarządził. – Będzie wam potrzebna łódź.

Powstało jakieś zamieszanie. To Zeuthen próbował się wtrącić.

Lund krzyknęła i dwóch Norwegów interweniowało, by go nie dopuścić.

– Loke, koniec żartów – powiedziała.

– Ja nigdy nie żartuję, Lund. W przeciwnym wypadku jaki to miałoby sens?

Wskazał głową mały biały statek wycieczkowy zacumowany przy molo.

– Ten nam wystarczy.

Pół godziny później, załatwiwszy czarter stateczka, płynęli w głąb surowego fiordu. Na zboczach leżał śnieg, słońce przebijało przez ciężkie, groźne chmury. Rantzau stał w kabinie, schowany przed lodowatym wiatrem, przykuty do stelażu, i palił tyle papierosów, ile udało mu się wyprosić.

Po godzinie ich wielkoduszność się wyczerpała.

Dołączyła do Borch, Reinhardta i Zeuthena na rufie, gdzie ślęczeli nad mapami.

– Kiedyś mieliśmy tu małe stocznie jachtowe – powiedział Reinhardt. – Rantzau w nich bywał, wprowadzał system informatyczny. Musi doskonale znać ten teren.

Borch spojrzał z powątpiewaniem. Fiord wydawał się pusty.

– Gdzie tu, do cholery, można dostarczyć na brzeg kontener?

Reinhardt uznał, że to niewykluczone. Znajdowało się tu kilka niewielkich portów, niektóre miały połączenie drogowe z wybrzeżem.

– Nie mamy na to czasu – powiedział Zeuthen i postukał ręką w zegarek.

Zostawiła ich i zadzwoniła do Junckera. W sprawie zagranicznych samochodów nic nowego się nie pojawiło.

– Żaden kierowca nie chodził do salonów z zegarkami – powiedział. – Oprócz Nielsa Reinhardta. On kupił nowy zegarek na Fisketorvet, z samego rana nazajutrz po śmierci Louise Hjelby. Tylko że to nie może być on, prawda? Nie było go w Kopenhadze. Był w hotelu w Esbjerg.

Lund spojrzała na wysokiego mężczyznę stojącego obok Zeuthena na pokładzie rufowym, cierpliwie oglądającego mapy.

– Jesteś pewien, że to był Reinhardt?

– Na to wygląda. Zadzwoiłem do sklepu. To był bardzo drogi zegarek. Nie sprzedają takich codziennie. Jest wydruk z karty kredytowej. Sądząc z ich opisu, to był Reinhardt.

Wydawało się jej, że Rantzau coś mówi.

– I jeszcze jedno – dodał Juncker. – Brix mnie przyłapał na sprawdzaniu archiwów sprawy Birk Larsen, i powiem ci, że nie był uszczęśliwiony.

– Musisz patrzeć, Asbjørn. Jeśli przestaniesz patrzeć, nic się nie wydarzy.

– Postaram się to zapamiętać. Dokąd płyniecie? Nawet nie myśl, żeby rzucić słuchawką...

Przerwała połączenie. Podszedł do niej Borch.

– Zgodnie z najnowszą bajeczką mamy się kierować do nieczynnej stacji pomp. Poproszę Norwegów, żeby ściągnęli więcej ludzi. Jak chcesz, możesz pogadać z Lokem. Przysięgam, że zabiję tego gnoja, jeśli okaże się, że znowu się nad nami pastwi.

– W tym hotelu... – zaczęła – sprawdziliście dane z kontroli dostępu?

– Jakim hotelu?

– Reinhardt kupił nowy zegarek nazajutrz po śmierci Louise. W Kopenhadze. Z samego rana. A powinien być w hotelu w Esbjerg. To alibi jest pewne?

Borch wzruszył ramionami.

– Nie sprawdzałem tego osobiście. Dyhring komuś to zlecił. System zarejestrował, że Reinhardt wszedł do pokoju po południu i wyszedł dopiero następnego ranka. PET sprawdziła jego alibi bardzo wnikliwie. Może w tym sklepie pomylili datę?

- Data jest na potwierdzeniu płatności kartą.
- Nie mógł zmienić danych kontroli dostępu w hotelu. To niemożliwe...

Statek wpłynął do niewielkiej zatoczki. Rantzau coś pokazywał. Znajdowało się tam molo, zaskakująco duże. Rząd niskich szarych budynków wciśniętych w skalisty przesmyk, a za nimi wąska, kręta droga. Wyglądało na to, że nikogo tu nie ma.

- Jeśli to nie tutaj – zaczął Borch. – Przysięgam...
- Tak. – Poklepała go po ramieniu. – Już zrozumiałam, dzięki.

Tuż przed dwunastą mercedes Hartmanna wjechał w brudny zaułek w Nørrebro, a za nim dwóch funkcjonariuszy PET w swoim samochodzie. Morten Weber wysłuchiwał przez telefon sprawozdania Mogensa Ranka.

– Nadal nic nowego – powiedział minister. – Wynajęli statek. Teraz płyną w głąb fiordu.

- A co to ma być? Wycieczka? – zdziwił się Weber.
- Rantzau twierdzi, że prowadzi ich do dziewczynki.

Funkcjonariusze PET podeszli z parasolami. Hartmann wysiadł i schronił się pod jednym z nich. Rozejrzył się. Benjamin zginął pod kołami pociągu za tymi zabudowaniami. Tory nie były nawet odgrrodzone. Obok budynków znajdowało się boisko do koszykówki, na którym grała jakaś młodzież.

– Nikt nas nie dotknie nawet kijem, jeśli nie znajdziemy żywej Emilie Zeuthen – westchnął Weber.

– Nie martw się – odparł Rank. – Panujemy nad sytuacją. Powiedz Troelsowi, że chętnie zastąpię Eggert w Ministerstwie Finansów, jeśli chce. Studiowałem ekonomię.

Weber burknął coś kąśliwego i zakończył rozmowę. Karen Nebel już na nich czekała, opierając się o trzecie z rzędu drzwi garaży do wynajęcia.

– Znalazłaś to? – spytał Hartmann.

Weber wyraźnie się ożywił.

– Nie mamy ani jednego partnera koalicyjnego. Ussing wszystkich obdzwania. Naprawdę nie możemy tego przełożyć?

Nebel trzymała w ręku kłódkę.

– To może być niezły pomysł – przyznała.

Hartmann przymknął na chwilę oczy.

– Muszę to zobaczyć – powiedział.

Odsunęła się i otworzyła przerdzewiałe metalowe drzwi. Za nimi znajdował się magazyn. Nebel znalazł włącznik światła. Stare biurko. Za nim tablica z wycinkami prasowymi. Wszystkie o Hartmannie i partii. Do każdego artykułu przyklejone karteczki z notatkami. U góry duża kartka z napisem „Źródła finansowania?”.

– Nie miałem pojęcia, że on gra – szepnął Hartmann, spojrzawszy na buty do koszykówki i parę innych sportowych sprzętów rzuconych w kąt.

Zdjęcia Hansa Zeuthena i jego syna. Webera. Nebel. I samego Hartmanna.

Weber zaczął je uważnie przeglądać.

– Dobra – powiedział. – Proszę. Tu to jest.

Zdjęcie przedstawiające Nebel i Reinhardta obok jego samochodu.

– Benjamin zrobił zdjęcie, jak Zeeland obiecuje Karen trochę kasy – mówił dalej Weber. – Karen dziękuje.

Patrzyła na podłogę. Wszędzie leżały porozrzucone papiery. Krzesło było przewrócone.

– Ktoś przeszukał to miejsce. A potem je zamknął. Kłódka wisiała na drzwiach, gdy tu przyszłam.

– Właśnie, świetnie. – Weber zerknął na zegarek. – Zobaczyliśmy, co było do zobaczenia.

Nebel podeszła i spojrzała na stare zdjęcie z Jutlandii.

– Niemożliwe, żeby szukali tych zdjęć. Gdyby tak było, zabraliby je.

Hartmann podszedł do biurka. Paczka papierosów. Stara zapalniczka. Wszędzie papiery. Stare bilety autobusowe. Wiekowy laptop. I czapka bejsbolowa. Z napisem „Harvard” z przodu. Musiał ją przywieźć ze Stanów, kiedy go wyrzucili z college’u.

– Benjamin był naprawdę w rozsypce – powiedział Weber jak najdelikatniej. – Widzisz przecież. Nie powinniśmy tu być.

Hartmann wziął czapkę. Nie pamiętał, żeby brat ją nosił.

– Wdał się w politykę, którą my ignorujemy, Morten. To go nie zabiło.

Przejechał pociąg. Z łoskotem. Tak blisko, że pomieszczenie się zatrzęsło. Hartmann przyłożył rękę do głowy, nie mógł pozbierać myśli.

– Bardzo mi przykro, że was tu zaciągnąłem. To ja powinienem zamknąć sprawę swojego brata, nie wy. – Omiótł wzrokiem ponure pomieszczenie. – Możesz kogoś ściągnąć, żeby spakował te rzeczy i przeniósł do jakiegoś magazynu?

– Oczywiście – powiedziała.

– Morten. Skontaktuj się z przywódcami partii i dowiedz się, jak długo są skłonni czekać na wieści z Norwegii. Masz rację. Musimy ruszać dalej.

Ciągle trzymał czapkę. W ogóle chyba nie była noszona. Wepchnął ją do kieszeni marynarki i ruszył do samochodu.

Maja Zeuthen przyjechała do Politigården. Oświadczyła, że się stąd nie ruszy, dopóki nie porozmawia z Brixem.

Działo się tak wiele, a oni nic jej o tym nie mówili. Usiadła więc w kącie i czekała na niego. Słuchała.

Prowadził jakąś nerwową rozmowę, pewnie z Lund. Wyduszał z niej informacje. Sam niewiele dawał w zamian.

Poprzedniego wieczoru Robert powiedział jej, że zapomniał ładowarki do telefonu. Potem już nie zdołała się do niego dodzwonić ani nie dostała żadnej wiadomości.

Rankiem, gdy odkładała paszport do sejfu w Drakkarze, zauważyła, że czegoś w nim brakuje. Srebrnego pistoletu, którego nie zносиła. I pudełka z pociskami.

– A jeśli nikt nie widział Reinhardta w hotelu, to co? – warknął Brix. – Zostawiliśmy go w spokoju, gdy się okazało, że ma alibi. Skup się na szukaniu dziewczynki...

Zauważył, że Maja go słucha, i ściągnął brwi.

– Maja Zeuthen tu jest – dodał. – Chce koniecznie rozmawiać ze swoim mężem. Nie może się z nim połączyć. Daj go do telefonu.

Sam podał słuchawkę Mai.

Wyszła na korytarz. Robert miał zmęczony, niespokojny głos.

– Jeszcze jej nie znaleźliśmy – powiedział. – Przykro mi. Ten Rantzau... sam nie wiem... muszę kończyć.

– Robercie... – wyszeptała. – Wiem, co zabrałeś ze sobą. Widziałam, co wzięłeś z sejfu.

Zapadła cisza, potem usłyszała ciche przekleństwo i wreszcie stwierdził:

– Naprawdę muszę kończyć.

– Co to nam da? – Zamrugwała powiekami, czuła, że zbiera się jej na płacz. – Mamy dość bólu i bez...

Kliknięcie. Przerwano połączenie. Brix stał za nią.

– O co chodzi? – spytał

Wysoki mężczyzna. Na ogół miły. Ale kiedy chciał, stawał się groźny.

– Zadałem pani pytanie, Maju. Co się, u diabła, dzieje?

Piętnaście minut zajęło sprawdzenie mola i magazynów. Przy stacji pomp nie było żadnego kontenera.

– On nas nabiera od samego początku – powiedział Borch.

Rantzau stał przy nabrzeżu, skuty, i próbował wyzebrać papierosa od każdego, kto przechodził.

Przyglądała mu się z daleka.

– Musi być jakieś miejsce, którego nie...

– Sarah! Sarah! Przestań. On nas oszukuje. Będziemy musieli zabrać tego drania do Kopenhagi...

– Lund! – krzyknął Rantzau, starając się wskazać coś skutymi rękoma. – Jest! – Uśmiechnął się do Borchy. – Mówiłem.

Tir z naczepą objeżdżał przylądek, powoli pokonując wąską, krętą drogę. Na naczepie wiózł zielony kontener.

Zeuthen z Reinhardtem wyszli z magazynów.

– Nie ustaliłem szczegółów – dodał Rantzau. – Nie miałem pojęcia, że przywiozą go łodem.

Czekali jeszcze z dziesięć minut, zanim tir do nich dojechał. Potem Norwegowie kazali rozładować kontener na nabrzeże i zabrali kierowcę na przesłuchanie.

Ciężkie drzwi były zamknięte i zabezpieczone łańcuchem. Musieli znaleźć nożyce do metalu, a to trochę potrwało. Zeuthen z każdą chwilą coraz bardziej się gorączkował. Wołał do dziecka w środku. Krzyczał, że jeszcze trochę.

Tuż przed pierwszą trzydziestą ostatnie ogniwo łańcucha pękło i pchnęli do góry wrota.

– Emilie! – krzyknął Zeuthen i przepchnął się do przodu, wpatrując się w mrok kontenera.

Wszedł do środka.

Borch wyciągnął latarkę. Dostrzegł coś w głębi, pod metalową ścianą. Zeuthen dopadł tego czegoś, szarpnął za czarny kształt. Ten się poruszył. Poleciał pod naporem kopniaków.

Duży worek foliowy. Pusty. Nic poza tym.

Norwegowie zabrali Rantzaua do jednego z magazynów. Lund wyszła z kontenera, znalazła go siedzącego na ławce przed młodym i nerwowym Norwegiem w mundurze policjanta.

Pochyliła się, zajrzała w jego posiniaczoną, obitą twarz.

– Okłamałeś mnie, Loke. Obiecałeś mi Emilie.

– Wszyscy kłamią, Lund. – Wzruszył ramionami.

Borch przyszedł chwilę później.

– Czy to ma sens? – spytał.

Rantzau pokręcił głową zdumiony.

– Sens? Ależ to oczywiste. Nie miałem wyjścia. – Rozsiadł się odprężony. Uśmiechnął się szeroko. – Gdybym tego nie zrobił, pewnie byście ją już znaleźli.

Lund wrzasnęła. Jej krzyk poniósł się echem po budynku.

Jego skuta ręka uniosła się nieco. Wymierzył w policjantkę zabandażowanym palcem.

– Ty nie chcesz dopaść tego łajdaka, który zamordował moją córkę...

– Staram się! – krzyczała. – Dopadnę go. Obiecuję...

Rantzau zerwał się z ławki wściekły.

– To dlaczego go wypuściłaś? – ryknął. – Dlaczego on tam siedzi i śmieje się ze mnie za każdym razem, gdy na niego spojrzę?

Zegarek. Hotel. Czarny samochód. Ale przede wszystkim to, jak Reinhardt unikał spojrzenia Zeuthena, ilekroć była mowa o Emilie, nie o Louise Hjelby. To wszystko w jednej chwili ułożyło się w jej głowie. Nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Miałaś go – podjął Rantzau już spokojniej. – A potem wypuściłaś i jeszcze przywiozłaś tutaj. Żeby patrzył – Pochylił się ku niej. – Jesteś mi to winna, Lund. Jesteś mi winna o wiele więcej niż ja tobie. To ja jestem poszkodowany. Nikt inny.

Kroki. Zeuthen, Reinhardt i następnych dwóch norweskich policjantów.

Po raz pierwszy Loke Rantzau spojrział w twarz ojcu Emilie.

– Jeszcze jest czas, żeby ją uratować. Ale musi mi pan powiedzieć prawdę.

– Jaką prawdę?! – ryknął Zeuthen. – Ja nic nie wiem.

Rantzau ruchem głowy wskazał Reinhardta.

– On wie. Niech pański człowiek powie mi, jak zabił moją córkę. Jak pańscy ludzie zdołali to zatuszować. Jak zapomnieliście o mnie...

Zeuthen wpatrywał się w niego zdziwiony. Rantzau przechylił głowę na bok, patrzył ze zdumieniem.

– Pan naprawdę jest głupcem, co? Naiwniakiem, jak ta cała reszta? Czy oni...?

– Jeśli to Reinhardt, zostanie ukarany – powiedziała Lund.

Roześmiał się.

– Czemu mam w to uwierzyć? Czy ty w ogóle słuchasz, Lund? Nie pozwolą ci...

– Mówię ci, Loke. Mówię ci...

Urwała. Coś srebrzystego – znajomy kształt – pojawiło się w dłoni Zeuthena. Jednym krótkim, silnym ruchem walnął pistoletem w skroń Lokego Rantzaua.

Potem uskoczył. Drżącą ręką oddał jeden strzał w ciemność.

Borch próbował się do nich dopchać, powtarzając w kółko:

– Robercie, spokojnie, spokojnie, nie...

– Powiedz mi, gdzie ona jest! – ryknął Zeuthen.

Znów mierzył z pistoletu w twarz skutego mężczyzny. Lund poczuła, że po raz pierwszy Loke Rantzau jest spokojny, zrezygnowany. Jakby cały czas zmierzał do takiego właśnie końca.

– Powiedz mi – powtórzył Zeuthen.

– Wiem, co pan czuje – powiedział Rantzau zmęczonym, spokojnym tonem. – Jesteśmy tacy sami. Pan i ja...

– Niech pan rzuci broń, Robercie – prosiła Lund. – W ten sposób nigdy jej nie znajdziemy.

Rantzau na chwilę zamknął oczy. Kiedy je otworzył, nie patrzył już na Zeuthena, tylko na szarą postać Reinhardta naprzeciwko.

Przerażenie.

Cisza.

Zwątpienie na obliczu Zeuthena.

– Rzuć broń – błagała Lund. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Zeuthen powoli opuścił pistolet. Trzymał go na wysokości pasa, gdy Rantzau doskoczył do niego i obaj przewrócili się na brudną podłogę.

Srebrny pistolet wypadł z dłoni Zeuthena, potoczył się po zimnym betonie. Palce skutego mężczyzny sięgnęły po niego, chwyciły rękojeść, i już mierzyły z niego w Nielsa Reinhardta.

Jeden strzał.

Drugi.

Porywczy Norweg dobył broni, zanim zrobiło to którekolwiek z nich.

Tym razem Loke Rantzau nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej. Jego ciało, leżące na brzuchu, podskakiwało przy każdym kolejnym strzale.

Borch pierwszy padł na ziemię, odciągnął Zeuthena, kopniakiem odrzucił srebrny pistolet. Lund uklękła przy Lokem.

Krew na klatce piersiowej. Oczy owarte. Krew sącząca się z ust.

Słowo. Albo cień słowa. Przyłożyła ucho do jego ust. Najcichszy z szeptów:

– Lund...

– Gdybyś chciał, żeby Emilie umarła, zabiłbyś ją dawno temu, Loke. Na miłość boską, gdzie ona jest?

Wczepiła palce w jego brudne włosy. Patrzył jej w oczy, jego usta ułożyły się w cień uśmiechu.

– To Bóg istnieje? – wychrypiał.

Z ustami przy jego uchu, tak blisko, że czuła zapach spoconego i brudnego ciała, wyszeptwała:

– Obiecuję ci, Loke. Przysięgam... nie zapomnę o Louise. Dopilnuję...

Urywki słów.

– Nie...

Oddech gasł, oczy też.

– ...nie pozwolą...

– Nie powstrzymają mnie – przysięgła. – Jeszcze nigdy mnie nie powstrzymali.

Mężczyzna umierał. Wiedziała to.

Chwyliła jego skute rękę, trzymała je i przekonywała:

– Emilie...

Jedno słowo, ledwie słyszalne, równie dobrze mogło być jękiem konającego. Nagle twardy ogień nienawiści zniknął z jego oczu, głowa opadła na bok.

Lund wyjęła telefon drżącymi palcami. Wyszła na ospały zimowy dzień.

Zeuthen szedł tuż za nią, rzucając pytania, na które ona nie umiała odpowiedzieć.

Nie było czasu na kłótnie ani wyjaśnienia.

– Lund? – krzyknął Zeuthen. – Co on powiedział?

Nie było też czasu na rozmowę z Brixem. Musiała to zrobić jak najszybciej.

– Asbjørn. Weź Madsena. I zbierz wszystkich dobrych ludzi, jakich zdołasz znaleźć.

– Tak? – powiedział młody, zdumiony głos oddalony o setki kilometrów.

– A potem znajdź łódź.

Hartmann siedział w sali konferencyjnej w siedzibie premiera z Mogensem Rankiem i Karen Nebel. Piękne obrazy. Stare meble. Długi błyszczący stół. Starał się nie myśleć, jak bardzo będzie za tym tęsknił.

– Potrzebujemy czegoś, Mogens.

– Wiem – odparł minister. – Przykro mi.

Wszedł Weber z kilkoma kartkami.

– Nie mam dobrych wieści. Minęło pół dnia, a sondaże są dla nas niekorzystne. Jeśli stąd nie wyjdiesz, nie porozmawiasz z partią, nie zrobisz czegoś... koniec z nami.

Hartmann pokręcił głową, wyjrzał za okno. Będzie tęsknił za Christiansborgiem. Taką długą drogę przebył, żeby się tu znaleźć. Nie widział drogi powrotnej.

– Mam pomysł – podsunął Weber. – Pozwól mi naprawić sprawy z Rosą. Jeśli rzucimy Partii Centrum kilka stanowisk...

– Nie będę się płaszczył – zaprotestował Hartmann. – Ona też nie.

– Ona nie do końca. – Weber wyjął swój telefon. – W ciągu ostatnich trzydziestu minut dostałem dwa esemesy.

Wyciągnął rękę z aparatem w stronę Hartmanna.

– Daj spokój. To nasza praca. Targi. Handel. Wymiana. Zadzwoń do niej. Hartmann wziął telefon, wszedł sam do swojego gabinetu.

– Chciałaś ze mną rozmawiać?

– Próbowałam się skontaktować z Mortenem. Ale możesz to usłyszeć bezpośrednio ode mnie. Poprzemy kandydaturę Ussinga na stanowisko premiera.

– Ach.

– Chyba że masz jakąś interesującą propozycję. I jakieś dobre wieści o Emilie Zeuthen.

Na biurku leżała czapka bejsbolowa Benjamin. Z Harvardu. Był na tyle bystry, by studiować w college'u. Tylko zabrakło mu silnej woli.

– Jeśli mamy cię poprzeć, musimy wejść do rządu na równych zasadach.

Hartmann obracał w palcach czapkę.

– Ale nie macie równej liczby głosów.

– Tak wygląda umowa – powiedziała stanowczo. – Stanowiska ministerialne pół na pół. Daj nam silny sojusz i ruszamy.

– To nie są negocjacje. To szantaż.

Pauza.

– Tak kończy ktoś, kto przypieprza się do ludzi – stwierdziła.

Pod otokiem było coś twardego. Hartmann to wygrzebał. Pendrive.

– Troels?

Rozłączył się z nią bez słowa. W drzwiach stała Nebel.

– Czy ona zaproponowała coś wartościowego?

– Chciała, żebym się poddał. Są jakieś informacje od Mogensa?

– Nic. A Morten jeszcze tu jest? – spytała.

Hartmann wzruszył ramionami.

– Jeśli nie widziałas go po drodze, to pewnie nie.

Zawahała się. Wyraźnie nie chciała czegoś powiedzieć. Musiał ją ponaglić.

– Rozmawiałam z tymi dzieciakami, które tam grały w kosza, przed magazynem – wydusiła w końcu. – Dałam im wizytówkę. I jeden z nich

właśnie zadzwonił.

Zamknęła drzwi. Usiadła.

– Pytał, czemu tam ciągle wracamy.

Hartmann obracał pendrive w rękach, zastanawiał się, co na nim jest i ile będzie musiał czekać, żeby się dowiedzieć.

– Wracamy?

– Dwa lata temu, mniej więcej w okresie, kiedy zginął Benjamin, ten chłopak widział tam kogoś z nas.

Asbjørn Juncker siedział na dziobie policyjnego pontonu, twarz mu smagał przenikliwy zimowy wiatr. Czarne chmury zapowiadały burzę. Z brzegu dolatywało wycie karetki. I pisk opon zatrzymujących się samochodów. Brix zaciekle kłócił się z Hedeby i Dyhringiem, gdy młody detektyw poszedł z nim pogadać o telefonie Lund. Więc nie czekał. Zawołał Madsena, wziął jeszcze paru ludzi i zorganizował łódź.

Po drodze zadzwonił jeszcze do Politigården, ale nie wsłuchał się w erupcję wściekłości Brixa.

Jednak kiedy teraz obejrzał się na brzeg, zobaczył znajomą wysoką postać. Brix spacerował nerwowo, a za jego plecami rosła grupa pojazdów operacyjnych. Dostrzegł też kobietę o blond włosach. Maję Zeuthen. Czekala. Cały czas czekała.

Lund powiedziała, że to ostatnia szansa. Nie było już żadnych opcji. Loke Rantzau nie żył, zmarł, zanim udzielił konkretnych wskazówek. Powiedział tylko jedno słowo: „Medea”. Teraz musieli się modlić, by okazało się, że gdzieś w przerdzewiałych trzewiach starego frachtowca czeka mała dziewczynka, wciąż żywa.

Mimo że – jak Brix wykrzyczał mu przez telefon – już dwa razy przeszukiwali statek.

Płynęli we czterech pontonem; Juncker pierwszy dopadł trapu. Skoczył do drzwi za mostkiem, jednocześnie rozmawiając z Norwegią.

– Gdzie mam szukać, Lund?

Wejście prowadziło do ogromnego pomieszczenia, które biegło od górnego pokładu aż do dna ładowni. Na każdym pokładzie znajdowały się pokoje i magazyny. Nie miał pojęcia, od czego zacząć.

– Wiesz, gdzie szukali wcześniej? – spytała.

– Pewnie. Też tu byłem.

– Więc tam nie szukaj.

Madsen i pozostali rozbiegli się, zaczynając od pierwszego poziomu.

Juncker przyglądał się, jak pracuje Lund. Próbował się tego od niej nauczyć. To nie było łatwe. Czasami wykazywała się twardą, niemal bezwzględną logiką. Umiała odłożyć na bok emocje, zapomnieć o uczuciach innych ludzi, nie zważając na nic, szukać odpowiedzi.

– Za pierwszym razem przerwaliśmy, gdy znaleźliśmy tych zabitych marynarzy – powiedział. – Za drugim razem szukaliśmy człowieka. Komputerów. Miejsca, w którym pracował.

– Dobrze – przyznała. – Więc gdzie nie zaglądaliście?

Zastanowił się.

– Jak się nazywa dno statku?

Długie westchnienie.

– Nie wiem, Asbjørn. Możesz po prostu ruszyć do roboty?

Tak, pomyślał, i ruszył w dół po krętych stalowych schodach.

Brudna maszynownia. Martwe urządzenia, o których nie miał pojęcia.

Omiótł światłem latarki wszystkie kąty.

– Nic tu nie ma.

– To musi być pomieszczenie dźwiękoszczelne, tak żeby jej nikt nie słyszał, gdyby krzyczała. Spróbuj myśleć jak on, Asbjørn.

– Wolałbym nie...

– To zacznij. Chłodnia. Jakaś mniejsza ładownia.

– To wszystko sprawdziliśmy!

– Nie wszystko. Sam to powiedziałaś. On się o nią troszczył. Karmił ją...

Na końcu maszynowni znalazł kolejne drzwi. Tam nie sprawdzali. Tego był pewien. Z łomoczącym sercem, z latarką w górze, Juncker przeszedł przez próg.

– Nic, Lund – powiedział do telefonu, nie wiedząc, czy ona w ogóle go słyszy.

Lund.

Samo wypowiedzenie jej nazwiska kazało mu się zastanowić, jak ona by przeszukała to miejsce. Znowu sobie przypomniał, co robiła, próbował rozpaczliwie ją naśladować.

Głęboko w trzewiach kadłuba starego, przechylonego frachtowca Asbjørn Juncker obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, starając się dostrzec coś, czego nie zobaczyliby zwyczajni ludzie. Może nie powinni, bo za takie widzenie, odmienną, własną percepcję, trzeba było słono płacić.

W tej chwili światło latarki padło na coś kolorowego. Różowo-białego.

Podszedł kilka kroków, popatrzył.

Kubeczek po jogurcie. Malinowym. Pusty. W środku plastikowa łyżeczka.

Dalej maleńkie drzwi, takie, co to mają daleko i do podłogi, i do sufitu. Otworzył je. Wszedł do środka. Maleńkie pomieszczenie, ledwie nadające się na skromniutki schowek.

– Asbjørn? – odezwał się w komórcie cichy głos Lund. Ledwo ją słyszał.

Na podłodze dostrzegł jakiś kształt. Mały, w czarnym płaszczu. Nieruchomy.

Odłożył telefon, wyciągnął ramiona.

Brix pierwszy odebrał telefon. Madsen mówił, że ją znaleźli. Ponton już płynął.

Przekazał to Mai Zeuthen. Zobaczył strach i nadzieję w jej oczach.

Stali obok sanitariuszy, patrzyli na ponurą wodę, na maleńką łódkę podskakującą na falach.

Lekarz kazał wyjąć nosze z niebieskim prześcieradłem z tworzywa, tlen. Sprawdził torbę.

Oczy wszystkich wpatrywały się w wodę, na unoszący się i opadający ponton.

Wkrótce zdołali dojrzeć i ją. Postać w ramionach Asbjørna Junckera. Madsen i pozostali odsunęli się, żeby Juncker mógł wnieść jej lekkie ciało po metalowych schodkach, ostrożnie, powolutku.

Ktoś coś powiedział.

– Emilie.

Dopiero po chwili Brix uświadomił sobie, że to matka – z ręką na ustach, łzami w oczach – idzie za Asbjørnem niosącym nieruchomy kształt.

Lśniące blond włosy ze zdjęć były brudne i mizerne. Twarz też była brudna. Dziewczynka wyglądała, jakby spała. Albo jakby umarła.

Juncker położył ją na nosze, a potem zrobił coś, czego Brix się nie spodziewał. Ukląkł. Z zamkniętymi oczami, złożonymi dłońmi, wyszeptał cichą modlitwę.

Maja Zeuthen dotykała córki. Łzy płynęły jej z oczu. Łkała. Lekarz ją odsunął. Założył dziewczynce maskę tlenową. Zbadał puls. Powiedział coś o hipotermii. Zawinęli ją w niebieski koc izolacyjny.

– Emilie, obudź się – płakała Maja. – Obudź się!

Asbjørn Juncker wstał, podszedł do matki, i razem patrzyli na nieruchomy kształt na noszach.

Słaba mgiełka pojawiła się na przezroczystym plastiku maski tlenowej, niczym lśniące perełki życia.

– Obudź się – błagała Maja.

Z mgiełki utworzył się cały obłoczek. Emilie otworzyła oczy. Z brudnego nabrzeża ponad szarą wodą poniósł się krzyk, wielki wybuch radości, policjantów i medyków, wszystkich.

Brix odwrócił się i wbił wzrok w stojący w porcie martwy, przechylony statek. Nie znajdował słów.

Asbjørn Juncker, zataczając się, dotarł do kabestanu, usiadł na nim, wyjął telefon i podjął rozmowę, której wcześniej nie skończył.

– Do diabła, Lund... mamy ją – powiedział głosem łamiącym się na każdej sylabie. – Żyje.

Żyje.

Robert Zeuthen słuchał informacji przekazywanych przez żonę. Co powiedzieli w szpitalu. Odżywianie. Troskliwa opieka.

Emilie w końcu była bezpieczna.

Stał nad zimnym norweskim fiordem, nieopodal ciała Lokego Rantzaua, które właśnie pakowano do policyjnej furgonetki.

Próbował powiedzieć coś przez łyżę. Słyszał, jak żona mówi:

– Trzymam ją, Robercie, trzymam ją...

Sztywny i powściągliwy mężczyzna. Mało wylewny. Chwilę to zajęło.

– Przyjadę jak najszybciej – powiedział w końcu. – Przy...

Wydawało się, że morze z niego drwi. Wszystko, co posiadał, pochodziło z tego zimnego, obojętnego źródła. I tak naprawdę nie miało żadnego znaczenia.

– Nigdy już nie pozwolę ci odejść – wyszeptał, skończył rozmowę i zakrył twarz drżącą dłonią.

Żyje.

Hartmann siedział samotnie przy biurku, pisząc swoją rezygnację, gdy weszła Nebel i przekazała mu najnowsze informacje.

Żyje i cały czas była w Kopenhadze.

– Tym razem na pewno? – spytał. – Nikt się nie pomylił? Nie...

– Ona żyje, Troels. – Nebel wyglądała, jakby płakała. – Jest ze swoją mamą, w drodze do szpitala. Mówią, że nic jej nie będzie. Mężczyzna, który ją porwał...

Hartmann wziął do ręki kartkę, na której właśnie pisał, zmiął ją w kulkę i cisnął do kosza.

– Lepiej roznieś te wieści, Karen – zasugerował. – Czym prędzej.

– Już to zrobiłam – powiedziała. – Znam priorytety.

– A dostałaś coś od techników? Widzą już, co jest na tym pendrivie?

– Priorytety – przypomniała.

– Prosiłem o to.

– Więc na pewno zaraz to dostaniesz.

– Ona żyje – powiedział Borch, gdy stali obok siebie, patrząc na Roberta Zeuthena, który z dala od nich płakał.

Lund spojrzała na swój telefon, zastanawiała się, czy to właściwy moment, żeby zadzwonić.

– To twoje dzieło, Sarah.

Mathias Borch uśmiechał się szeroko. Znowu wydawał się młody, taki jak przy pierwszym spotkaniu. Spojrzenie szczeniaczka. Tak bardzo się w nim kiedyś zakochała.

– To nasze wspólne dzieło – poprawiła go stanowczo.

Roześmiał się. Pocałował ją w policzek, dopomniaby się o więcej, gdyby się nie odsunęła.

– Nie. Twoje. Zawsze byłaś o wiele lepsza ode mnie.

Skinęła głową.

– W każdym razie w pewnych sprawach.

Podszedł do nich Reinhardt. Przygotowała się na rozprawę z nim.

Uśmiechnął się dyplomatycznie.

– Robert wie, że złamał prawo, przywożąc tu pistolet – powiedział. – Jest mu bardzo przykro. Na pewno nie zabiłby Rantzaua...

– Loke i tak nie żyje – odparła.

Reinhardt ruchem głowy wskazał miejscowych policjantów.

– Oni go zastrzelili. – Najwyraźniej nie było mu przykro. – To wina Norwegów. Sugerowałbym coś takiego: wezwiemy śmigłowiec po Roberta. To ważne, żeby jak najszybciej dołączył do rodziny. Ja zostanę i zajmę się kwestiami formalnymi.

Spojrzał na nich.

– Może tak być?

Lund milczała. Borch się zgodził.

Reinhardt wrócił do Zeuthena, klepnął go w ramię, ale nie doczekał się reakcji. Robert odszedł na koniec mola.

– To nie może być on – powiedział Borch. – Sprawdziliśmy go. To niemożliwe.

Lund nie odrywała wzroku od Reinhardta, on o tym wiedział.

– Chcę, żeby go ponownie sprawdzono. Wszystko. Od hotelu, poprzez zegarek, po...

Borch pokręcił głową.

– Dyhring tego nie klepie. I nie pozwolą się zaangażować Brixowi. Spędziliśmy nad tą sprawą mnóstwo czasu. Emilie Zeuthen jest bezpieczna. Rantzau nie żyje...

Patrzyła na niego wściekłym wzrokiem. Ich wspólna chwila minęła.

– Niels Reinhardt podróżował po całym świecie w sprawach fundacji Zeelanda. Robił to od lat.

– Sarah... – powiedział Borch ze zboląłą, zmęczoną twarzą. – Przestań. Ty tylko zgadujesz.

– I dalej to robi – dodała. – Loke Rantzau zdawał sobie z tego sprawę. Czemu my nie możemy?

Wybory trwały do dwudziestej. Dużo wcześniej stało się jasne, że uratowanie Emilie Zeuthen zmieniło ich oblicze. Mogens Rank miał wygłosić oświadczenie o jej udanym uwolnieniu. Właśnie ponownie pokazywano je na wielkim monitorze w budynku parlamentarnym, gdy Hartmann przybył na zwycięskie przyjęcie.

Choć raz Rank wychwalał PET i policję. Dzięki niezłomnej postawie funkcjonariuszy sprawa została rozwiązana. Emilie znajdowała się obecnie w szpitalu i jeszcze tej nocy miała go opuścić, by wraz z rodziną udać się do domu.

Już nikt nie mówił o wycofaniu się Zeelanda z Danii. Wszystko wskazywało na to, że Hartmann będzie mógł przebierać w koalicjantach i sam decydować, czy przydzielić im skromne stanowiska, czy wręcz przeciwnie.

W tej chwili to wszystko nie miało dla niego znaczenia. Miał zamiar w tym tłoku odnaleźć Mortena Webera.

Zajął mu to dziesięć minut, wiele uścisków dłoni, gratulacyjnych poklepywań. Dostrzegł Webera pośród tłumu działaczy partyjnych przy oknie wychodzącym na plac.

Na widok Hartmanna uniósł kieliszek.

– Osiągnęliśmy niebywały wynik, Troels. Najlepszy w historii, i to dzięki tobie. – Inni jak na zawołanie też wzniesli toast. – Dzwoniła Rosa

Lebech. Chciałaby pogadać. Powiedziałem... że jak znajdziemy czas. Jak już minie nam kac.

To wywołało wybuch śmiechu wszystkich, ale nie Hartmanna.

Chwycił Webera za kołnierz i zaciągnął na korytarz.

– Na miłość boską, Troels. O co znów chodzi?

– Byłeś w magazynie Benjamina, kiedy on zginął. Ktoś cię rozpoznał.

Weber oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na piersi. Nie wyglądał na przejętego.

– I?

– Co tam robiłeś?

Wzruszenie ramion.

– To, za co mi płacą. Chroniłem twój tyłek. Ktoś mi doniósł, że Benjamin sfotografował Reinhardta i Karen. Chciałem z nim tylko pogadać. To wszystko.

– Kto ci doniósł?

Weber odstawił kieliszek.

– Słuchaj. To nasz wielki wieczór. Nie psujmy go. Wyjaśniłem Benjaminowi, że publikacja tych zdjęć jest bezcelowa. Nie chciał słuchać. Kazał mi spadać i koniec. Nie ukradłem mu żadnych zdjęć...

– Kto ci doniósł? – powtórzył Hartmann.

Weber pokręcił głową.

– Nie będziemy do tego wracać.

Hartmann oburącz chwycił go za marynarkę, przyszpilił do ściany.

– Ludzie patrzą – wyszeptał Weber. – Nie ma mowy, żeby twoja druga kadencja zaczęła się...

– Powiedz mi, albo połamie ci kości. Przysięgam...

– Mogens. Dzwonił do niego Dyhring. PET dowiedziała się, że Benjamin wrzucił te zdjęcia na swoje konto webowe. Pilnowali nas.

Mogens chciał, żebym pogadał dyskretnie...

Hartmann go puścił. Weber poprawił marynarkę.

– Na miłość boską, Troels. Nic się nie stało. Powiedziałbym ci o tym, ale następnego dnia on już nie żył. Byłeś rozbity. – Pokręcił głową. – Nie chciałem cię dodatkowo dołować informacją, że twój własny brat chciał ci dokopać. Dbalem o twoje interesy...

– Nie bardziej niż o swoje.

– To prawda. Nie bardziej. Już ci to mówiłem, prawda? Ale wiesz co...?

Poprawił marynarkę. Spojrzał na drugą stronę korytarza, skąd Karen Nebel przyglądała im się stroskanym wzrokiem.

– Jeśli lepiej się czujesz, zrzucając na mnie winę, to nie ma sprawy. Jeśli dzięki temu nie musisz się konfrontować ze sobą, zadawać sobie pytania, dlaczego Benjamin się załamał, dlaczego się zadawał z ćpunami, podczas gdy ty nie miałeś czasu tego zauważyć...

Policzek. Weber przyjął go bez mrugnięcia okiem.

– To już drugi. Wystarczy.

Ruszył z powrotem na przyjęcie. Hartmann chciał podążyć za nim, ale Nebel zatrzymała go w drzwiach. Informatycy odczytali dane z pendrive'a. Było tam mnóstwo zdjęć.

Tłum gęstniał, coraz radośniejszy z każdą nową prognozą. Hartmann chciał do niego dołączyć. Chciał się zatopić w jego euforii. Zaczekać, aż zostanie sam, i skuć się do nieprzytomności.

Nebel nie ustępowała.

– Wiem, wiem – powiedział wreszcie. – Benjamin sfotografował cię z Reinhardtem. Przechodziliśmy przez to, Karen.

– To nie wszystko. Potem pojechał za Reinhardtem. Popatrz...

Miała zdjęcia z pendrive'a Benjamin na iPadzie, przerzucała je teraz szybko jednym ruchem palca.

Zdjęcia człowieka Zeelanda wypełniał przede wszystkim jego czarny samochód. Reinhardt wchodził do kiosku i wychodził z gazetą i słodyczami.

– Potem to – powiedziała Nebel.

Hartmann patrzył. Już nie słyszał głosów z sali. Zupełnie nie interesowały go prognozy wyników.

Kiedy zadzwoniła, Brix przyglądał się rozpoczynającej się w Politigården imprezie.

– Musimy wrócić do Reinhardta. Sprawdzić garaż. Hotel. Jego zegarek...

Zamknął oczy. Zastanawiał się nad jej nieprawdopodobną zdolnością do psucia mu nastroju.

– Słuchaj, Lund. Dopóki on ma żelazne alibi, nie dostaniemy nakazu absolutnie na nic. W ogóle o żaden nie wystąpię. Emilie Zeuthen jest bezpieczna. Jej porywacz nie żyje. To koniec tej historii.

Juncker gawędził radośnie z Ruth Hedeby po drugiej stronie pomieszczenia. Pewnie niedługo poleje się piwo.

– Nadal nie wiemy, kto zabił Louise Hjelby – powiedziała. – Reinhardt jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym. Myślę, że robił to już wcześniej. I o ile wiemy, zrobi to znowu.

Głębokie, zbolące westchnienie.

– Co to ma wspólnego z tobą? Myślałem, że w poniedziałek przenosisz się do OPA.

– Obiecałam Rantzauowi.

– To wiele dla mnie znaczy. Mam tu papiery. Reinhardt zatrzymał się w pokoju sto osiemnaście. Zamek zarejestrował jego wejście. Wyszedł następnego ranka.

– Sprawdzę to jeszcze...

– Nie! Nie sprawdzisz. Wrócisz tu i odbierzesz rekomendacje. A w poniedziałek zaczniesz pracę w OPA. Wiesz, jak się starałem cię zatrzymać?

– Reinhardt... – zaczęła.

– Ale nie będę już ci stawał na drodze – dodał Brix. – To śledztwo jest zamknięte. Sprawa Hjelby utknęła w martwym punkcie. Nie masz nic na Reinhardta. Nawet jeśli masz rację, nie zdołamy postawić go przed sądem. Pilnują go prawnicy Zeelanda. Nic nie mogę zrobić...

– Chcesz powiedzieć, że mi nie pozwolisz? – spytała po chwili milczenia.

– Jeśli tak to chcesz ująć...

Nastawił się na kolejne protesty. Ale się nie doczekał.

– Lund?

Ktoś z hukiem otworzył butelkę. Hedeby po drugiej stronie biura rozlewała szampana.

Kiepskiej jakości, domyślił się Brix. Z winami nigdy sobie nie radziła. Ale... i tak się napije.

Lund wyłączyła telefon, kopnęła kamień na molo, patrzyła, jak leci na drugą stronę, usłyszała, jak wpada do wody. Robiło się ciemno. Śmigłowiec zabrał już Roberta Zeuthena. Doleci do Kopenhagi, zanim jego córka dojedzie ze szpitala do Drakkara. Reinhardt krążył, ustalając różne rzeczy. Borch... Borch był miły.

Podszedł do niej z telefonem w ręku.

– Nie wiem, co się dzieje w biurze. Nie mogę się połączyć z Dyhringiem.

– Poklepują się po plecach i chleją.

– Hartmann wygrał wybory – dodał. – Już o nim nie usłyszymy. Ciężki dzień, co? – Położył jej rękę na ramieniu i uśmiechnął się. – I dobry.

– Nie sądzę, żeby Loke Rantzau się z tobą zgodził.

– Rantzau był mordercą i łajdakiem.

Norweska policja zabrała ciało. Nie mieli powodu tu zostawać.

– Córka uważała go za bohatera – powiedziała Lund. – I w pewien sposób był bohaterem. Komandosi. Człowiek Zeelanda od zadań specjalnych. Obiecałam...

Uśmiech znikł.

– Obietnica złożona takiemu człowiekowi nic nie znaczy, Sarah. Poza tym Reinhardt ma niepodważalne alibi...

Sięgnął do jej włosów. Odtrąciła jego rękę.

– Wiem, że nie chcesz odpuścić. Ale szczerze mówiąc... to mógł być ktokolwiek z setek samochodów przejeżdżających tą trasą. Znalazłaś Emilie. O to w tym wszystkim chodziło.

Reinhardt podszedł do nich, znowu zadowolony i radosny.

– Ja już skończyłem – oznajmił. – Norwegowie chętnie nas puszczą.

Patrzył na Borchę, nie na nią.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za znalezienie Emilie. Zamówiłem taksówkę powietrzną do Kopenhagi. Z małego lotniska pół godziny drogi stąd.

Lund nie odrywała od niego wzroku.

– Chętnie was ze sobą zabiorę – dodał Reinhardt. – Ale musimy już ruszać.

Ciągle patrzyła i nie odzywała się słowem.

– Świetnie – powiedział Borch i patrzył, jak mężczyzna odchodzi załatwić samochód.

– Tu już nie mamy nic do roboty, Sarah. – Chwycił ją za rękę, ale puścił, gdy nie odwzajemniła uścisku. – Jedźmy.

Hedeby wezwała Brixa do biura. Miał rację. Szampan był okropny. Coś w wyrazie jego twarzy musiało zdradzać tę opinię.

– Ależ z ciebie snob – powiedziała.

– Raczej smakosz.

– Szefostwo świętuje później. Na tę okazję sam możesz wybrać szampana. A ja zapłacę.

– Szefostwo? – spytał Brix. – Czy może przypadkiem nie zaliczają się do nich te dupki z PET? Bo jeśli tak...

Skrzywiła się.

– Bądź dyplomatą, Lennart. Trzeba z nimi trzymać, to ważne. Dyhring do nas nie dołączy.

Pognał do Ministerstwa Sprawiedliwości. Mogens Rank go wezwał, nie wiem dlaczego. Więc...

Musnęła palcami jego kołnierzyk. Potem policzek.

– Dobrze wyglądasz. Zastanawiałam się, czy wysłać cię do domu, żebyś się przebrał. Ale tak jest świetnie.

Brix podniósł brew, milczał.

– Przepraszam, że byłam chwilami trochę wściekła – dodała. – Trochę tu było gorąco.

– Ruth... Czy ja powinienem o czymś wiedzieć?

– Dlaczego jesteś zawsze taki podejrzliwy?

– Bo sytuacja tego wymaga. Co się dzieje?

– Nic! – Przyglądała jego krótko obcięte włosy. – Tylko jutro komendant obwieści, że za pół roku przechodzi na emeryturę. Za dwa tygodnie zbierze się komisja.

Puściła go i teraz dotknęła własnej głowy.

– Dawno, dawno temu myślałam, że może ja będę miała szansę. Ale...

Uśmiech.

– Ty byś dobrze wyglądał w tym mundurze. – Ścisnęła go za rękę. – Tak myślę.

W zasadzie mogli już jechać na lotnisko. Borch i Reinhardt odeszli porozmawiać z miejscową policją.

Lund zadzwoniła do hotelu w Esbjerg, poprosiła o połączenie z recepcją.

– Dzwonię z Zeelanda – powiedziała. – Jestem nową sekretarką Nielsa Reinhardta. Prosił, żebym załatwiła pewne sprawy związane z jego podróżą. Nie jestem pewna...

– Nie ma problemu – weszła jej w słowo kobieta. – Doskonale znamy pana Reinhardta. W czym mogę pomóc?

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt jej na pewno nie słyszy.

– Miałam zarezerwować pokój, ale nie pamiętam, jaki to miał być.

– Pan Reinhardt zawsze zatrzymuje się w pokoju trzysta dwadzieścia dwa. To apartament z pięknym widokiem na morze. O jakiej dacie mówimy?

Zaraz wrócą.

– Wydawało mi się, że mówił sto osiemnaście. Mam taką rezerwację sprzed jakiegoś czasu. Taki numer na niej widnieje.

– To niemożliwe – odparła kobieta pewnym tonem. – Pan Reinhardt przyjeżdża tu od lat. Zawsze zajmuje pokój trzysta dwadzieścia dwa. Proszę zaczekać, sprawdzę.

Reinhardt wyszedł już z biura, ucisnął dłoń norweskim funkcjonariuszom, spojrział na deszczową noc, a potem podszedł do samochodu i usiadł z przodu.

Odezwała się recepcjonistka.

– Rzeczywiście ma pani rację. Zatrzymał się raz w sto osiemnaście. To dziwne.

– Dlaczego?

– To w starym skrzydle. Gorszym. Dbamy o właścicieli. Zwykle ich tam nie umieszczamy. Ale skoro tak jest...

Lund zamknęła na chwilę oczy, poczuła deszcz na twarzy.

– Właściciele?

– Nasza sieć należy do Zeelanda. Nie wiedziała pani? Zwykle sami dokonujecie rezerwacji przez system. To znaczy... bezpośrednio w Kopenhadze.

Lund spojrzała na Reinhardta, który siedział na fotelu pasażera z zamkniętymi oczami. Spokojny.

– Halo?

Lund się rozłączyła, zadzwoniła do Junckera. Słyszała radość w jego głosie. Chciał, żeby mu gratulować, więc poczuła się zobowiązana.

Kiedy ostygła trochę jego euforia, spytała, czy jest coś nowego.

Oddalił się w spokojniejsze miejsce. Hałas przyjęcia biurowego przycichł.

– Narobisz mi w końcu kłopotów – jęknął. – Muszę chować te akta Birk Larsen do szuflady za każdym razem, gdy Brix się pojawia w pobliżu.

– Znalazłeś coś?

– Nie.

Ktoś się śmiał.

– Aha. Oprócz jednego drobiazgu. To pewnie nie ma większego znaczenia...

– Powiedz mi, Asbjørn.

– Chyba Juncker?

– Juncker – westchnęła.

Powiedział. Jednym zdaniem.

Borch wyszedł z policyjnej furgonetki, zajął miejsce kierowcy, obok Reinhardta. Nacisnął klakson.

Bezgłośnie wypowiedział jedno słowo i podkreślił je kategoriycznym ruchem palca.

Wsiadaj.

Mogens Rank siedział w swoim gabinecie z Dyhringiem, gdy weszli tam Hartmann i Karen Nebel.

Szampan już został otwarty. Rank sprawiał wrażenie oszołomionego.

– Daj spokój, Troels! Rozjaśnij się! Wiem, że jeszcze jest kilka głosów do zliczenia. Ale jednak... wygraliśmy.

Dyhring usiłował się wymknąć.

– Nigdzie nie idziesz – warknął Hartmann. Nebel stopą zatrzęsnęła drzwi.

Miał jej iPad. Położył go na biurku. Otworzył zdjęcia. Niels Reinhardt na poboczu. Za nim dziewczyna z białym rowerem. Cała seria. Reinhardt rozmawia z Louise Hjelby. Wsadza jej rower do bagażnika. Potem otwiera drzwi, z uśmiechem, gdy ona zajmuje miejsce pasażera, trochę nieufna.

Rank już miał się odezwać, ale Hartmann go ubiegł.

– Cokolwiek zrobisz, Mogens, nie mów mi, że pierwszy raz w życiu widzisz te zdjęcia.

Z twarzy Ranka zniknął uśmiech. Dyhring podszedł i spojrzał na ekran iPada. Nic nie powiedział.

Hartmann wymierzył oskarżycielski palec w zdjęcia.

– Obaj wiedzieliście, że asystent Zeuthena zamordował tę dziewczynkę.

Rank spojrzał na Dyhringa.

– Czy to wy? – pytał Hartmann. Ruchem głowy wskazał Ranka. – Wyście naciskali na Schultza i kazaliście mu zatuszować tę sprawę? To wy usunęliście zdjęcia mojego brata, gdy tylko się o nich dowiedzieliście?

Rank zdjął okulary, bawił się nimi, włożył z powrotem.

– Nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Pozwól, że ci wyjaśnię...

– Nie potrzebuję wyjaśnień! – krzyknął Hartmann. – To oczywiste. Powiedzieliście Zeelandowi o zdjęciach. Oni je usunęli z konta Benjamina. Kiedy Morten wrócił bez oryginałów, nasłaliście na niego PET. A teraz on nie żyje...

Dyhring podszedł do Ranka i stanął obok niego.

– To nie było tak.

Hartmann zamierzył się na niego pięścią.

– Kto zabił mojego brata?

– Nikt. – Dyhring spojrzał na Mogensa Ranka. – Minister sprawiedliwości może ci powiedzieć...

– Śmiało! – ryknął Hartmann. – Zanim pojedę do Politigården i poślę was obu do więzienia.

Rank spojrzał gniewnie. Chyba miał dość.

To Dyhring zaczął mówić.

– Wiedzieliśmy o tym garażu. Przeszukaliśmy go tamtej nocy. Nie znaleźliśmy tych zdjęć. Kiedy tam byliśmy, pojawił się twój brat. Próbowałem z nim rozmawiać, wyjaśnić, co robimy. Przestraszył się i uciekł.

Szef PET wepchnął ręce do kieszeni.

– Ta linia kolejowa jest nieogrodzona. Chyba nie zdawał sobie sprawy, gdzie biegnie. Nic nie...

– Zamordowaliście go. – Hartmann mierzył palcem w twarz Dyhringa.

– Nieprawda. My nie zabijamy ludzi, Hartmann. My ich chronimy. A przynajmniej się staramy.

– Nie pieprz mi tu...

– Nie poszedłem tam z własnej woli – zaproponował Dyhring. Jeszcze jedno spojrzenie. – Zostałem tam wysłany.

Mogens Rank kiwnął głową.

– To prawda. Ja go wysłałem. Łatwo powiedzieć teraz, że żałuję. A żałuję. To, co się stało z twoim bratem, było straszne. Potworny, nieszczęśliwy wypadek.

Hartmann oparł się o stół, słuchał.

– Mieliśmy tyle problemów z Benjaminem – ciągnął Rank. – Demonstracje. Potem ukradł twój prywatny samochód i pijany pojechał do Jutlandii. Nie chciałem ci zawracać głowy tymi bzdurami...

– Powiesz to sędziemu – warknęła Nebel.

Rank westchnął, jakby zniecierpliwiony.

– Tu chodziło o coś więcej niż te zdjęcia, Karen. Właśnie wygraliśmy wybory. Wszystkim dawała się we znaki polityka ograniczania kredytów. Wiemy, jakie kłopoty miał Troels sześć lat temu przez Lund. Jedno nieuzasadnione oskarżenie przeciwko członkowi ścisłego kierownictwa Zeelanda mogło obalić cały rząd...

– Nieuzasadnione oskarżenie? – krzyknęła Nebel. – To dowód, że on zabił tę dziewczynkę...

– Nie. – Rank musnął zdjęcia palcami. – To tylko kilka zdjęć. A ja dostałem jednoznaczną informację, że jeśli takie podejrzenie padnie na Zeelanda, uznają to za niewybaczalne.

– Od kogo dostałaś taką informację? – spytała Karen.

– To nieistotne. Musiałem dokonać wyboru i dokonałem właściwego. Sprawa jest zamknięta. Po co podejmować ryzyko ze względu na jakąś

sierotę z Jutlandii, za którą nikt nawet nie tęskni?

Spojrzał na Hartmanna i wzruszył ramionami.

– To była słuszna decyzja, Troels. Pomyśl o tym. Benjamin... Nikt z nas o tym nie wiedział, nikt tego nie chciał. Jego śmierć była tragicznym wypadkiem. Gdybyśmy mogli cofnąć czas...

– Daj spokój! – Nebel chwyciła swój iPad. – Idziemy stąd.

– Nie możemy rządzić krajem bez Zeelanda! – wrzasnął Mogens Rank. – To dzięki nim wygraliśmy wtedy wybory. A dzisiaj dzięki Emilie Zeuthen. Dziewczynka żyje. Porywacz zginął. Gdzie tu katastrofa?

Wstał, gdy ruszyli do wyjścia.

– No gdzie, powiedzcie mi?! – krzyknął im jeszcze w plecy.

Pięć minut krętymi korytarzami Slotsholmen. Minęli huczne przyjęcie wyborcze, wszystkie te wspaniałe pokoje. W swoim gabinecie Hartmann usiadł, rozwiązał krawat. Włosy miał w nieładzie, pocił się i zastanawiał.

Telewizja obwieszczała bezprecedensowy sukces. Największa w historii przewaga partii zwycięskiej nad rywalami. Siedział przy swoim biurku i znowu przeglądał dane na iPadzie.

– Jedziemy do Brixa – powiedziała Nebel. – Pokażemy mu te zdjęcia. I wszystko mu powiemy.

Nie ruszył się.

– Musimy to zrobić, zanim Mogens zdąży zniszczyć jakieś dane – dodała. – Potem zwołamy posiedzenie władz partii i zdecydujemy, co dalej.

Wzięła go za ramię. Po chwili szli schodami w dół.

– Dopilnuję, żeby ta sprawa ci nie zaszkodziła – mówiła. – Unikniemy katastrofy.

Już prawie dotarli do drzwi, gdy z cienia wyłoniła się jakaś postać.

Anders Ussing, uśmiechnięty jak zawsze, z wyciągniętą ręką. Hartmann stanął, nie miał wyboru.

– Cóż, Troels. Gratuluję zwycięstwa...

Hartmann popatrzył na wyciągniętą rękę i poszedł dalej. Ussing rzucił za nim wyzwiskiem.

Przy bocznym wejściu, wpatrując się w deszczową noc, Karen Nebel rozejrzała się i powiedziała:

– Nie ma potrzeby, żebyś jutro spotykał się z królową w sprawie misji tworzenia rządu. Możemy wystąpić o kontrolę poczynań Ranka i PET.

W oknach naprzeciwko widział przyjęcie. Twarze w jasno oświetlonych oknach, nad nimi piękne żyrandole. Ludzie śmiali się, tańczyli. Wytwory Slotsholmen, marionetki grające w wielkiej farsie.

Dostrzegła go kobieta stojąca przy witrażowym oknie. Powiedziała coś do towarzyszek. Wskazała premiera. Pomachały, wołały coś.

Wszyscy tacy śliczni. Kolejny element gry pozorów.

Zatrzymał się, uśmiechnął, pomachał. To wszystko przyszło tak naturalnie.

– Troels – powiedziała Nebel. – Musimy iść.

Ani drgnął. Myślał gorączkowo.

– Mogens ma rację, prawda? – spytał Hartmann. – Same zdjęcia niczego nie dowodzą. Reinhardt miał alibi. Nie że PET tak powiedziała. Policja też.

– O czym ty mówisz, do diabła?

– Nie było dowodu. Tylko kilka zdjęć. I jaka szkoda dla kraju, gdyby oskarżyli niewinnego człowieka w rodzaju Reinhardta...

– Skoro był niewinny, to w czym problem?

Nie słuchał.

– Benjamin nie czuł się dobrze, Karen. Nie chcę rozdrapywać tej rany. Jestem mu to winien. Jeśli ktoś ponosi winę za jego śmierć...

Chwyciła go za ramiona.

– Przestań. Przestań natychmiast – mówiła. – Czy ty nie rozumiesz? O to właśnie im chodzi. Chcą, żebyś siedział cicho. Poddał się. Uznał, że mogą robić co chcą z życiem zwyczajnych ludzi. To nie chodzi o ciebie, Troels...

W oknie wciąż widział twarze. Zafascynowane. Może piękne kobiety myślały, że właśnie ma schadzkę.

– Idę poszukać kierowcy. I jedziemy.

Ruszyła za róg po samochód.

Kobiety znów do niego zamachały. Podniosły kieliszki w toaście.

Troels Hartmann uraczył ich najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. Takim z plakatów. Zadał sobie pytanie, gdzie chce być.

Tuż po wylądowaniu Robert Zeuthen zadzwonił do Mai. Ciągłe była w szpitalu, czekała, aż Emilie zostanie wypisana. Lekarz miał pojechać z nimi do domu. I w najbliższych dniach miał się nią opiekować terapeuta. Ale jej stan był dobry. Dopóki Rantzau nie zostawił jej w maleńkim pomieszczeniu

na „Medei”, traktował ją stosunkowo dobrze. Nie było żadnej komory ani ostatecznego terminu. W końcu pewnie i tak ją chciał uwolnić.

– Daj mi godzinę – poprosił Zeuthen.

– Wtedy będziemy już w domu – odparła. – Może całą czwórką gdzieś wyjedziemy.

Cisza. Stał w windzie w czarnym, szklanym biurze Zeelanda, widział oczyma wyobraźni lot smoka za oknem, i próbował znaleźć właściwe słowa.

– To nie może czekać – powiedział. – Kiedy tylko chcesz. Na jak długo chcesz.

Pożegnał się z żoną i poszedł zamknąć ważne sprawy.

Kornerup siedział sam w sali konferencyjnej, przeglądał raporty i mapy. Podniósł wzrok, gdy usłyszał, że otwierają się drzwi. Zerwał się na równe nogi. Promiennie uśmiechnięty podszedł do Zeuthena, uściskał mu dłoń.

– Cóż za rezultat, Robercie! Jesteśmy wszyscy zachwyceni. Rada spotkała się, gdy byłeś w Norwegii. Pozdrawiają cię, oczywiście. Jeśli jest coś...

– Zanim wyrzucę cię stąd po raz ostatni, powiesz mi, czy Reinhardt zamordował tę dziewczynkę w Jutlandii.

Ręka się cofnęła. Twarz Kornerupa zamarła. W oczach schowanych za grubymi szklami pojawiła się wzdarda.

– Jesteś zmęczony. To zrozumiałe. Jedź do domu i odpocznij. Nie śpiesz się. My sobie poradzimy.

Zeuthen rozejrzał się po biurze. Kiedyś należało do jego ojca. Nie pamiętał, jak to się stało, że w zamieszaniu po jego śmierci przejął je Kornerup.

– Rozmawiałem z tym prawnikiem, którego ściągnąłeś. Wiem, że wczoraj, kiedy Reinhardt był przesłuchiwany, dałeś mu wytyczne.

– Niels wchodzi w skład ścisłego kierownictwa firmy – zaproponował Kornerup. – Należy mu się nasze wsparcie.

– W postaci sfabrykowanego alibi? Z naszej własnej sieci hoteli?

Kornerup się roześmiał.

– Nie sądzisz chyba, że uzyskalibyśmy je od kogoś innego, prawda?

Rozwścieczony Zeuthen przysunął się do niego.

– Chcę usłyszeć odpowiedź.

– Nieprawda, nie chcesz.

– Czy Reinhardt zabił tę dziewczynkę?

Kornerup zastanowił się.

– Szczerze mówiąc... naprawdę nie wiem. Trudno w to uwierzyć. Przez wiele lat był osobistym asystentem twojego ojca. Myślałbym, że go znam, ale... – Wzruszył ramionami. – To nieistotne. Ostatnio nastąpiło tyle kryzysów w tej sprawie. Nie trzeba nam kolejnych.

– Wynoś się – warknął Zeuthen, wskazując drzwi. – Wyjdź natychmiast, zanim wezwę ochronę, żeby cię wyrzuciła.

Znowu śmiech.

– Nie masz żadnych dowodów przeciwko Reinhardtowi. Po co ściągać sobie na głowę taki skandal? Jeśli do tego dopuścimy, może to być koniec Zeelanda. Pomyśl o pozytywach. Odzyskałeś Emilie i Maję. Hartmann wygrał wybory. Rada poparła pomysł pozostawienia firmy w Danii, na razie...

– Zwolniłem cię...

– Nieprawda. Nie mogłeś mnie zwolnić. Twoje nazwisko widnieje na papierze listowym, to wszystko. Dzisiaj po południu rada zatwierdziła moją kandydaturę na stanowisko dyrektora naczelnego. To się nie zmieni. Chociaż jeśli chodzi o Reinhardta... Myślę, że czas najwyższy, by przeszedł na emeryturę. A ty?

Nachylił się ku Zeuthenowi i dodał:

– Proszę cię osobiście, rozumiesz. Nie jako dyrektor generalny. Pomyśl nad takim rozwiązaniem, że od czasu do czasu pełniłbyś rolę naszego przedstawiciela. Takiego figuranta. Nic poza tym. Naprawdę w ogóle nie musisz się tu pojawiać. Chyba że ja o to poproszę.

Ironiczny uśmiezek.

– I życzę ci miłego weekendu z rodziną. W poniedziałek moja asystentka umówi cię na rozmowę w sprawie twojej przyszłości. Jak ci się to podoba?

Zeuthen tracił panowanie nad sobą. Kornerup nie dawał się, nasłuchiwał chwilę i rzekł:

– Nie. To nie wymaga odpowiedzi. Jestem zajęty. Sam chyba trafisz do wyjścia.

Następnie wrócił do swojego biurka, do swoich raportów, wykresów i spraw.

Kiedy jechali na lotnisko, zadzwoniła Vibeke, matka Lund, dumna i szczęśliwa.

– Powinnaś tu być. Mark i Eva spisują się niesamowicie. A dzieciaczek jest taki słodki...

Wsiadła do samochodu, na tył. Borch prowadził, Reinhardt siedział obok niego.

– Czy ten miły Mathias Borch ciągle z tobą pracuje?

– Tak.

– Pozdrów go ode mnie serdecznie. Zawsze był moim ulubieńcem. Twoim też, tak myślę, gdybyś tylko chciała to zrozumieć. Pozwól, że przekażę słuchawkę Markowi.

Słyszała kwilenie dziecka. Wyobraziła sobie łóżeczko, czuła Evę nad córeczką. A wszystko w jej małej chatce. Szopce, zdaniem Borchy.

– Cześć, mamó – powiedział. Słyszała, że jest szczęśliwy, odprężony, wyczerpany. – Jest naprawdę urocza. Śpi cały czas. Możemy na parę dni zostać u ciebie?

Musieli już wyjechać z fiordów. Prawie nie widzieli innych pojazdów. Tylko od czasu do czasu jakiś dom w ponurym zimowym mroku.

– Ile chcecie. I gratulacje.

– Zapomniałem wysłać ci zdjęcia. Ciągle coś się dzieje. Zrobię je...

– Nie ma potrzeby w tej chwili – powiedziała. – Niedługo wrócę. Chcę... nie mogę się doczekać, kiedy was zobaczę.

Pożegnała się. Jechali przez długi most. Po przeciwnej stronie widać było coś w rodzaju pasa startowego, w ciemnościach latarnie wyznaczały jego linię.

– Komuś się urodził dzieciaczek? – spytał Reinhardt.

Usłyszała piknięcie telefonu. Spojrzała na zdjęcia, które właśnie przyszły. Mark, Eva i dziecko. Jej matka rozanielona.

Lund zignorowała pytanie, wróciła do patrzenia za okno.

– Samolot jest opłacony i gotów do lotu – podjął Reinhardt, gdy nie uzyskał odpowiedzi. – Potrzebne jeszcze tylko podpisy i nasze dane.

Borch wjechał na parking. Na płycie postojowej zobaczyli kilka lekkich samolotów. Wydawało się, że nikogo tu nie ma, oprócz biura koło wieży kontrolnej za paroma hangarami.

– Załatwię to – powiedział Borch i wysiadł.

Noc była bezchmurna. Nie padało. Jasne gwiazdy. Błady księżyc. Ostry zapach nadciągającego śniegu. Wyjęła notatki, które zrobiła po ostatniej rozmowie z Junckerem, kiedy w tajemnicy przed Brixem przeglądał stare akta sprawy Birk Larsen.

– Czy nazwisko John Lynge coś panu mówi?

Nawet się nie odwrócił.

– A powinno?

– Niech pan mi powie.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Sześć lat temu był jednym z kierowców Hartmanna. Zamordował Nannę Birk Larsen.

Długie milczenie, jakby się namyślał.

– To była paskudna sprawa – powiedział wreszcie. – Z tego co pamiętam, przez jakiś czas myślała pani, że to Hartmann ją zabił. A potem... czy aby nie okazało się, że to ktoś z rodziny?

– Tak brzmiała wersja oficjalna – odparła. – Ale nie była prawdziwa.
Zabił ją John Lyngge.

Roześmiał się.

– Pani chyba zawsze wie więcej niż inni. Dlaczego?

– Bo umiem patrzeć.

Zerknął na zegarek. Borch nadal szukał drogi do biura.

– Lyngge był notowany za wykorzystywanie dzieci. Wy się trzymacie razem, prawda? – spytała. – To coś w rodzaju klubu? Wyświadczacie sobie nawzajem przysługi? Kiedy przetrząśniemy tę pańską pseudogalerię, znajdziemy listę członkowską?

– Naprawdę zupełnie nie wiem, dlaczego pani to drąży.

– Sprawdziliśmy historię zatrudnienia Johna Lyngge. Zanim dostał pracę u Hartmanna, był zatrudniony w Zeelandzie. Był pańskim kierowcą, kiedy załatwiał pan sprawy Fundacji Dziecięcej. To musiało być wygodne rozwiązanie. Co robił? Przyglądał się? Pomagał od czasu do czasu?

Reinhardt westchnął.

– Pani naprawdę sądzi, że pamiętam cały swój personel? Czy to ważne, Lund?

Nikłe powiązanie. Ale zawsze jakieś. Jeśli Brix się zgodzi, będzie miała punkt zaczepienia.

– Był pan zaskoczony, gdy wczoraj pojawił się ten adwokat z alibi? – spytała.

Odwrócił głowę. Nie odpowiedział.

– Ktoś w Zeelandzie załatwił to tak, jakby zatrzymał się pan w pokoju sto osiemnaście. System komputerowy hotelu jest prowadzony z biura w Kopenhadze. Zmienili dane zamka, żeby się wydawało, że jest pan niewinny.

Borch w końcu znalazł wejście. Widziała, jak z kimś rozmawia.

– Pan się nigdy nie zatrzymuje w pokoju sto osiemnaście. To pokój dla zwyczajnych ludzi. Pan zawsze mieszka w apartamencie trzysta dwadzieścia dwa.

Wychyliła się, żeby być bliżej niego.

– Ja wiem, że to pan zabił Louise Hjelby. Nie była pierwsza, prawda?

Westchnął, rozsiadł się wygodnie, ziewnął.

– Co pomyśli Robert Zeuthen, gdy się dowie, że pozwolił pan umrzeć jego córce, byle tylko zachować swoją tajemnicę?

Zaśmiał się krótko, pokręcił głową.

– W sumie może mi pan powiedzieć. Gdy tylko wrócimy, wznowimy śledztwo. Wsadzę pana do więzienia.

Reinhardt wyciągnął rękę i ustawił lusterko tak, że widziała tylko jego oczy, szare, bez śladu zaniepokojenia.

– Nie sądzę, by tak się stało – rzekł spokojnym, lekkim tonem. – W takim wypadku nie odbywalibyśmy tej rozmowy.

– Wsa...

– Nie. – Patrzył jej w oczy w lusterku. Przyłożył palec do ust. – Niech mnie pani choć raz posłucha. Wyrażę się jasno. Podziwiam pani nieustępliwość. Pani precyzję. Pani... poprawność. Cieszę się, że przypomniała mi pani, jak niezbędne są takie cechy. Wiele mnie pani nauczyła.

– Niech pan nie przegina...

Zdała sobie sprawę, że Reinhardt rzadko patrzył ludziom w oczy. I zrozumiała też dlaczego. W pełnym, szczerym spojrzeniu znikał miły wujek. W jego miejsce pojawiał się Niels Reinhardt przebiegły, poważny, zdeterminowany.

– Oczywiście zapamiętam sobie to na przyszłość, Lund. Nie musi się pani martwić. Nie będę już pani kłopotał w Danii.

Obrócił się na siedzeniu i obrzucił ją spojrzeniem.

– Każdy z nas musi znać swoje miejsce. Kiedy pani pozna swoje?

Zakręciło jej się w głowie. Wyobraźnia pracowała. Pojawiały się pytania, których nikt inny nie zada.

Wyjęła telefon, spojrzała na zdjęcia.

Jej matka, Mark, Eva. Dziecko w jego ramionach.

Następnie wysiadła, wyjęła pistolet z kabury, przeładowała go. Obeszła samochód.

Borch wychodził z biura. Zobaczył, zrozumiał.

– Sarah?! – krzyknął.

Lund dotarła do drzwi pasażera. Reinhardt odwrócił się i patrzył ze zdumieniem i obrzydzeniem wypisanymi na twarzy.

Jeden strzał.

Gdzieś w oddali nocne ptaki wzbiły się w niebo na niewidocznych skrzydłach.

Krew na przedniej szybie.

Krzyki Borch.

Postać w ciemnym płaszczu i garniturze oparta bezwładnie o deskę rozdzielczą.

Lund cofnęła się, spojrzała na ciało. Borch szukał oznak życia, choć to nie miało sensu.

– Coś ty zrobiła, u diabła?

Pistolet wypadł z jej ręki, uderzył o ziemię.

– Wsiadaj do samochodu, Sarah! Wsiadaj, do cholery!

Wsiadła na tylną kanapę. Zapach krwi i prochu. Borch myślał.

– Dobra. Powiemy, że chciał ci wyrwać pistolet. Nie miałaś wyboru. Jeśli zdołamy... O Jezu!

Długi, zbolący krzyk. Wpatrywał się w nią oczami wypełnionymi bólem.

– Przyznał, że to on – powiedziała. – I że ona nie była jedyna. Co gorsza...

Borch jej prawie nie słuchał.

– Dobra. Słuchaj, co zrobimy. Zdejmij płaszcz. Zetrzemy krew.

Przetrzęsnał kieszenie kurtki Reinhardta, wyjął portfel, pieniądze, karty kredytowe.

– W Kopenhadze spodziewają się nas dopiero za kilka godzin. – Dał jej gotówkę. – Wymyślę coś, co powiemy tutaj. Pilot jest zarezerwowany. Może cię zawieźć do Rejkiawiku. Tam wsiądziesz w pierwszy samolot...

Wyjął legitymację służbową.

– Dzięki temu nie sprawdzą cię na lotnisku. Powiesz, że twój mąż pracuje w PET. – Zamknął oczy, z trudem panował nad sobą. – A ty... ty jedziesz do chorej cioci. Zapomniałaś paszportu. Przepuszczą cię z moim certyfikatem. Dobra? Sarah? OK?

Na szybie widziała krew i mózg. Ciało Reinhardta nie wiedzieć jak wysunęło się trochę z samochodu.

– Dam ci karty medyczne dziewczynek. To pomoże. Powiesz im, żeby zadzwonili do mnie, jeśli chcą, i...

Nie ruszyła się.

– Zdejmiesz ten cholerny płaszcz czy nie?

Nic.

– To nie jest jakiś świetny plan, kochanie. Ale jeśli będziesz tu po prostu siedzieć, ktoś po ciebie zaraz przyjdzie. I pójdiesz do więzienia na bardzo, bardzo długo. Nieważne, co powiesz. Co ja powiem...

Potrząsnął głową, walnął pięścią w oparcie fotela.

– Cholera, Sarah... dlaczego? Mogliśmy...

Sięgnęła ręką do jego policzka. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Zjeżdżamy stąd – przekonywał ją. – Coś wymyślimy. Coś...

Przechyliła się do niego i pocałowała go. Szczeciniaste policzki. Zimne usta.

Strach i miłość. Żal i determinacja.

Wtedy się rozpłakał. Wysiadł z samochodu i pobiegł do biura.

Pilot sprawdzał mapy, spoglądał to na pogodę, to na zegarek.

– Muszę tu zostać – powiedział Borch. – Polecą tylko jedna osoba. Moja koleżanka.

– Nic panu nie jest? – spytał mężczyzna, gasząc papierosa w popielniczce. – Nie wygląda pan dobrze.

– Z tym że ona też nie leci do Kopenhagi. Musi lecieć do Rejkiawiku.

Mężczyzna potrząsnął głową, roześmiał się.

– Poważnie?

– Zmiana planów. Rej...

– Myśli pan, że polecimy jednosilnikową maszyną nad morzem? Nocą?

Przy tej pogodzie?

– No to gdzieś indziej... – wydukał Borch.

– O co chodzi?

– Moja koleżanka...

Podszedł do okna. Pilot też.

– Jaka koleżanka? – spytał pilot. – Ktoś leży na parkingu. Wygląda...

Borch wybiegł z biura. Ciało na ziemi. Pisk opon na mokrym asfalcie.

Czerwone światła znikające w mroku.

Brixa znudziła leniwa, zadowolona z siebie gadka. Stwierdził, że nie może przestać myśleć o Nielsie Reinhardcie i martwej dziewczynce z Jutlandii, której imienia nikt nie wypowiedział przez cały wieczór.

Unikał lśniących, kuszących oczu Ruth Hedeby. Znalazł spokojny kąć.

Zegarek. Daty. Dziwne zachowanie Reinhardta, jednocześnie służalcze i wymijające. Niewiele mieli punktów zaczepienia. Będą musieli się śpieszyć. I podważyć alibi.

Ale gdyby ktokolwiek zdołał to zrobić...

Zadzwoił na komórkę Lund, czekał, zastanawiał się, co powiedzieć.

Potem nastąpiło coś dziwnego. Ktoś odebrał. Słyszał odgłos szybko jadącego samochodu.

– Lund? – powiedział. – Słyszysz mnie?

Długa cisza. I połączenie przerwano. Znowu spróbował, ale włączyła się poczta głosowa. Właśnie się zastanawiał, co robić rano, gdy pojawiła się Hedeby, wzięła go pod ramię i wcisnęła mu kolejny kieliszek.

– A teraz na górę, Lennart – powiedziała z szerokim, zadowolonym uśmiechem. – Parę osób musi cię poznać.

Karen Nebel czekała na próżno, stojąc na mokrym bruku dziedzińca Christiansborgu. Hartmann już wrócił na przyjęcie, uśmiechał się do zadowolonych zwolenników, ścisnął dłonie, chętnym przybijał piątkę.

Błyski fleszy. Morten Weber klaskał. Rosa Lebech trzymała się na uboczu, z nadzieją.

Hartmann odwrócił się, pomachał, wznosił toast i uśmiechnął się. Zwycięsko.

Wrócił do gry. Znow był na szczycie.

Na schodach wielkiej, zimnej posiadłości Robert Zeuthen siedział ze swoją rodziną. Jedną ręką obejmował milczącą Emilie. Drugą Maję i Carla.

Na podłodze stała jedna walizka. Tę noc spędzą w małym domku na terenie posiadłości, tam gdzie było magicznie, gdzie tworzyła się ich

rodzina. Rano pojedą na Kastrup. Polecą na południe. Gdzieś, gdzie jest ciepło. Gdzie nie sięgają skrzydła Zeelandowego smoka. Tam, gdzie odnajdą to, co zagubili. A potem pomyślą o przyszłości.

Niewielkie lotnisko w Norwegii. Na asfalcie zakrwawione ciało Reinhardta.

Trzepot skrzydeł. Skądś nadleciał kruk, błyszczący w ostrych światłach lotniska. Przydreptał do ciała. Ostry czarny dziób. W gotowości.

SIEDEMNAŚCIE DNI PÓŹNIEJ_

W pierwszy poniedziałek grudnia Brix jak zwykle usiadł do śniadania w cichej eleganckiej knajpce w Nyhavn, nieopodal swojego mieszkania. Ten lokal odkryła jego była żona. Ruth Hedeby też go polubiła po rozstaniu z mężem. Związek z szefową już przestał istnieć, zatruty przez pracę, przez jego potrzebę swobody.

Na ogół jadał więc śniadania w samotności i bardzo to lubił. Chwila samotnej refleksji przed dniem pracy. Teraz potrzebował jej jak nigdy.

Kawa i sok pomarańczowy. Ciastko z najwyższej półki, wypiekane na miejscu. Już miał się zabrać do jedzenia, gdy kobieta, która przed chwilą weszła do środka, zajęła miejsce na wprost niego. Miała krótkie, proste włosy, ufarbowane na jakąś rudą miedź czy kasztan. Profesjonalne cięcie musiało dużo kosztować. Nie pasowało do stroju: taniej, wytartej czarnej kurtki, bluzy z nazwą i logo Cambridge University oraz czarnych dżinsów.

Śmieszna postać, pomyślał. Dziwna. Już miał zażartować, że i tak było wolne i może się dosiąść, kiedy spojrzał na jej bladą, nieruchomą twarz i jasne, wielkie, zerkające na boki oczy.

– Kawy, Lund? – spytał. – Może coś do jedzenia...

– Bardzo chętnie.

– Gdzie byłaś?

– Podróżowałam. Dziwię się, że mnie nie znalazłeś.

Brix rozsiadł się wygodnie i wyciągnął długie ręce nad głową.

– Byliśmy bardzo zajęci. Nie miałaś okazji czytać gazet?

Popatrzyła za okno. Na ulicach królowały już lampki i dekoracje świąteczne. Niedaleko odbywał się jarmark świąteczny na Nytorv, gdzie ledwie kilka tygodni temu dokonał żywota Peter Schultz. Miasto żyło własnym życiem, nawet jeśli kraj pędził ku przepaści.

– Zjesz coś? – Wskazał ladę i bogaty wybór ciastek.

Lund poprosiła kelnerkę i zamówiła jajka z szynką na toście. Białym. I keczup. Kobieta zamrugała oczami, spojrzała na Brixa. Kiwnął głową.

– Co słyhać?

Mnóstwo, pomyślał, i opowiedział jej. Bardzo głośna śmierć Reinhardta otworzyła tamy. Doniesienia na molestowanie seksualne w domach dziecka fundacji Zeelanda zaczęły napływać już dwa dni po tym wydarzeniu. Najpierw pojedynczo, a wreszcie rwącym strumieniem zalały Politigården. Brix, obecnie typowany na nowego komendanta, powołał specjalny zespół dochodzeniowy pod kierownictwem Mathiasa Borchy, oddelegowanego z PET.

– Nie słyszałam o zbyt wielu aresztowaniach – powiedziała.

– Zaczynamy w tym tygodniu. To kawał roboty.

Podano kawę. Tost, szynkę i jajka. Zaczęła pałaszować z takim zapałem, że Brix nabrał podejrzeń, że ostatnio nie żywiła się najlepiej.

– Ale tego chciałaś, prawda? Dlatego go zastrzeliłaś. Żeby wszystkie te dzieci nabrały odwagi i się zgłosiły. – Podniósł swoją filiżankę. – Co prawda to już nie są dzieci. Niektóre sprawy sięgają czterdzieści lat wstecz.

– Znam kogoś?

Zastanawiał się, czy jej powiedzieć, i ostatecznie uznał, że jej się to należy.

Zgłosiły się nie tylko ofiary. Również inni porządni ludzie zbulwersowani tym, co się wydarzyło. Trzy dni temu wrócił z Bali Robert Zeuthen z rodziną i natychmiast powiadomił Borchę, że chce złożyć oświadczenie o nielegalnych poczynaniach ludzi Zeelanda. Spin doctor Hartmanna Karen Nebel złożyła rezygnację, po czym ujawniła obciążające zdjęcia, które doprowadziły do zawieszenia Dyhringa i rezygnacji Mogensa Ranka.

– Rząd Hartmanna prawdopodobnie nie przetrwa świąt. Co prawda wcale nie skorzysta na tym Anders Ussing.

– On też w tym siedział? – spytała.

– Nie sądzę. Ale nazwisko jego asystenta, Pera Monrada, pojawia się w kilku zeznaniach. Asbjørn ma go zwinąć jeszcze dzisiaj. Potem ludzi z Zeelanda. Kilku parlamentarzystów. Paru przemysłowców. Ludzie z mediów. Z show-biznesu. Pewnie niektóre nazwiska znasz. Wątpię, czy ich żony uwierzą choćby w jedno słowo z tego, co usłyszą.

– Asbjørn ma coś obiecać – powiedziała i wróciła do jedzenia.

– To prawda. Hartmann, swoją drogą, nie zrobił nic złego. Jest równie zbulwersowany jak wszyscy.

Wyciągnęła ku niemu palec.

– Troels Hartmann nie zrobił nic. I o to właśnie chodzi. Nie istnieje miłe, wygodne miejsce pomiędzy dobrem a złem. Trzeba wybrać między jednym a drugim. Tak mi powiedział Jan Meyer. Powinam go posłuchać.

– Posłuchałaś przecież, prawda? A teraz losy rządu są przesądzone. Zeeland wpadnie zapewne w ręce Chińczyków albo Koreańczyków. Znikną tysiące miejsc pracy...

– To były dzieci! Jeśli my nie będziemy ich chronić, to kto?

Odsunął od siebie resztki śniadania. Stracił apetyt.

– Ty zawsze byłaś bardzo starotestamentowa, Lund. Zdecydowana zburzyć mury świątyni. Może dlatego tak ci pobłążam. Zawsze zafascynowany czekam, co się wydarzy. I proszę bardzo.

W krótszych kasztanowych włosach było jej ładnie. Gdyby tak jeszcze lepiej się ubrała...

– Warto było? – spytał.

– Myślisz, że miałam wybór?

Lennart Brix opadł na oparcie, zamknął oczy, zastanowił się. Potem wyjął portfel, wyciągnął z niego całą gotówkę i jej podał.

– Możemy zejść do bankomatu. Dam ci więcej.

Lund wpatrywała się w banknoty, siedząc bez ruchu.

– Mam teraz mnóstwo roboty – dodał Brix. – Jesteś na tyle bystra, żeby znowu zniknąć. Więc zrób to, dobra?

Zmarszczyła nos rozczarowana.

– Chcesz, żebym uciekła? Tak właśnie powiedział Borch. Nie... – Cięła tost nożem i widelcem. – Nie zrobię tego.

– Nie – przyznał. – Nie zrobisz.

– Z drugiej strony...

Błysk w oczach. Nabrał nadziei.

– Chciałabym jeszcze jedno jajko – powiedziała. – Zanim mnie zabierzesz. I podwieziesz. Niedaleko.

Czterdzieści pięć minut później dotarli na skromne przedmieście Herlev. Brix nigdy wcześniej tu nie był. W ogóle nie zgłębiał nigdy dziwnego prywatnego życia tej kobiety.

Był to skromny drewniany domek, pomalowany na czerwono. Brix zwolnił, gdy się do niego zbliżali. Pod rynną pobłyskiwały lampki

święteczne. Przed wejściem stał błękitny tricykl christiana, przystosowany do przewozu niemowlęcia.

Stał tam też czarny samochód. Od chwili, gdy Lund zniknęła. Za kierownicą siedział znudzony Madsen. Gdy podjeżdżali, odwrócił się i przyjrzał im z uwagą.

Brix zatrzymał się przy krawężniku i odwołał Madsena gestem. Razem patrzyli, jak drapie się po głowie, a potem odjeżdża.

Jej żywe, błyszczące oczy patrzyły teraz na mały domek. Brix wiedział, na co patrzy tak uważnie. Na widocznych za oknem mężczyznę i kobietę. On trzymał dziecko na rękach, tulili je, całowali, a potem się objęli.

Rodzina. Bliskość. Radość. Szczęśliwy obrazek.

– Mamy kilka minut. Jeśli chcesz wejść i z nimi pogadać...

– Później będę miała na to mnóstwo czasu. – Pokręciła głową.

Brix skrzyżował długie ręce na piersi.

– Sarah – powiedział. – To jedyny powód, dla którego wróciłaś. Prawda?

Lund kiwnęła głową.

– Główny, Lennart. Ale choć możesz odnieść wrażenie, że się powtarzam...

Wskazała palcem miasto rozciągające się przed nimi.

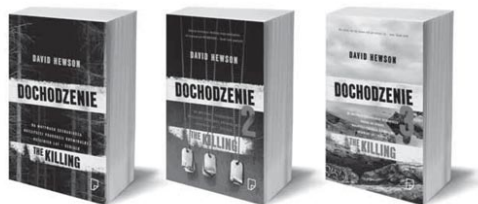
– Możemy już jechać do Politigården?



DAVID HEWSON

DOCHODZENIE

THE KILLING



Chtodna profesjonalistka budzi gorące emocje.

Jej charakter jest jak koktajl Małotowa. Uparta, bezkompromisowa, bystra, a zarazem nieco melancholijna — za wszelką cenę dąży do poznania prawdy. Jej styl i zachowanie naśladują wielbiciele powieści oraz obu seriali. Swetry z Wysp 0wczych, które nosi, osiągają zawrotne ceny. Wysokie obcasy i związane w koński ogon włosy dopełniają obrazu pani komisarz kopenhaskiej policji, którą w serialu amerykańskim zagrała rudowłosa Mireille Enos, a w duńskim — Sofie Gråbøl.

www.marginsy.com.pl

Tytuł oryginału: *The Killing 3*

First published 2014 by Macmillan an imprint of Pan Macmillan, a division of Macmillan Publishers Limited Pan Macmillan, 20 New Wharf Road, London N1 9RR Basingstoke and Oxford Associated companies throughout the world
www.panmacmillan.com

Przekład: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Redaktor prowadzący: Dorota Koman

Redakcja: Dorota Koman

Korekta: Irma Iwaszko, Mateusz Szmigiero

Projekt okładki, opracowanie typograficzne: Anna Pol

Łamanie: **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce: © Sollina Images / Blend Images / Corbis / Fotochannels

Zdjęcie autora: © Mark Bothwell

Zdjęcie Sofie Gråbøl: © DR / Tine Harden

Wydanie pierwsze

Warszawa 2014

ISBN 978-83-63656-97-3

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o. o.

ul. Forteczna 1a, 01-540 Warszawa

tel./faks: 48 22 839 91 27

redakcja@marginesy.com.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com